JULIO CORTÁZAR

GRA W KLASY

(TŁUMACZYŁA: ZOFIA CHĄDZYŃSKA)

SCAN-DAL

TABLICA ORIENTACYJNA

Na swój sposób książka ta zawiera w sobie wiele książek, przede wszystkim zaś dwie książki.

Pierwszą należy czytać normalnie, a kończy się ona na rozdziale 56, pod którym znajdują się trzy ozdobne gwiazdki równoznaczne ze słowem „koniec”, w konsekwencji czego czytelnik bez wyrzutów sumienia może zrezygnować z dalszego ciągu.

Drugą należy rozpocząć od rozdziału 73, czytając w dalszym ciągu według numerów, które są zaznaczone pod każdym rozdziałem w nawiasach. W razie pomyłki lub też zapomnienia wystarczy zajrzeć do następującej tabeli:

73 - 1 - 2 - 116 - 3 - 84 - 4 - 71-5-81 - 74 - 6 - 7 - 8 - 93 - 68 - 9 - 104 - 10 - 65 - 11 - 136 - 12 - 106 - 13 - 115 - 14 - 114 - 117 - 15 - 120 - 16 - 137 - 17 - 97 - 18 - 153 - 19 - 90 - 20 - 126 - 21 - 79 - 22 - 62 - 23 - 124 - 128 - 24 - 134 - 25 - 141 - 60 - 26 - 109 - 27 - 28 - 130 - 151 - 152 - 143 - 100 - 76 - 101 - 144 - 92 - 103 - 108 - 64 - 155 - 123 - 145 - 122 - 112 - 154 - 85 - 150 - 95 - 146 - 29 - 107 - 113 - 30 - 57 - 70 - 147 - 31 - 32 - 132 - 61 - 33 - 67 - 83 - 142 - 34 - 87 - 105 - 96 - 94 - 91 - 82 - 99 - 35 - 121 - 36 - 37 - 98 - 38 - 39 - 86 - 78 - 40 - 59 - 41 - 148 - 42 - 75 - 43 - 125 - 44 - 102 - 45 - 80 - 46 - 47 - 110 - 48 - 111 - 49 - 118 - 50 - 119 - 51 - 69 - 52 - 89 - 53 - 66 - 149 - 54 - 129 - 139 - 133 - 140 - 138 - 127 - 56 - 135 - 63 - 88 - 72 - 77 - 131 - 58 - 131

Dla ułatwienia, u góry każdej strony figuruje numer odpowiadający danemu rozdziałowi.

Z TAMTEJ STRONY

Rien ne vous tue un homme comme d'être obligé de représenter un pays.

JACQUES VACHÉ - list do André Bretona

(Zabija się człowieka każąc mu reprezentować kraj).

1

Czy udałoby mi się spotkać Magę?

Tyle razy, gdy szedłem przez rue de Seine, wystarczało mi pochylić się nad łukiem wychodzącym na Quai Conti, aby - zaledwie szarooliwkowe światło, które unosi się nad rzeką, pozwoliło mi odróżnić jakieś formy - jej szczupła sylwetka od razu rysowała się na Pont des Arts, czasem przechodząca z jednej strony na drugą, czasem oparta o żelazną barierę, pochylona nad wodą. I wydawało się tak naturalne przejść na drugą stronę ulicy, wejść na stopnie mostu, na jego smukły kontur, zbliżyć się do Magi uśmiechającej się bez zdziwienia, przekonanej, tak jak i ja, że przypadkowe spotkanie jest czymś najmniej przypadkowym w naszym życiu i że tylko wyznaczają sobie rendez-vous, ci którzy pisują do siebie na liniowanym papierze, a pastę do zębów wyciskają od samego końca tubki.

Ale teraz nie byłoby jej na moście. Jej delikatna twarz o przezroczystej cerze pochylałaby się ku starym portalom w dzielnicy Marais, może gawędziłaby ze sprzedawczynią frytek lub pogryzała parówki na Boulevard Sebastopol. Zresztą doszedłem aż do mostu, ale Magi nie było. Teraz nie znajdowała się na mojej drodze, a jakkolwiek znaliśmy nasze adresy paryskich pseudostudentów, każdą pocztówkę uchylającą okienko Bracque'a, Ghirlandaia, Maxa Ernsta pośród tanich gipsowych ozdób i krzykliwych tapet, nie szukaliśmy się w naszych mieszkaniach. Woleliśmy spotykać się na mieście, na tarasie kawiarni, w klubie filmowym lub też wspólnie pochylać się nad kotem na byle podwórzu Quartier Latin. Chodziliśmy nie szukając się, ale wiedząc, że chodzimy po to, żeby się znaleźć.

Och, Maga, w każdej kobiecie, która była do ciebie podobna, niby ogłuszająca cisza wzbierało jakieś wyostrzone krystaliczne oczekiwanie, klęsnące pośród smutku, jak mokry parasol, który się składa. Tak, właśnie jak parasol, Maga.

Może przypomniałabyś sobie ten, który przeznaczyliśmy na straty na wzniesieniu parku Montsouris, w lodowate marcowe popołudnie... Wyrzuciliśmy go tam, bo znalazłaś go, już trochę nadłamany, na Place de la Concorde i używałaś bardzo często, przeważnie pakując w żebra pasażerom metra czy autobusu, gdy roztargniona myślałaś o malowanych ptaszkach lub o rysunku, który muchy pozostawiają na suficie.

Tego popołudnia spadł drobny deszcz i pełna dumy chciałaś otworzyć twój parasol, kiedy wchodziliśmy do parku, a zamiast tego w ręku wybuchła ci katastrofa zimnych błyskawic i czarnych chmur, strzępów poszarpanego materiału i migotania wywichniętych

drutów, i śmialiśmy się zmoknięci, przekonani, że parasol znaleziony na placu powinien godnie umrzeć w parku, nie zaś włączać się w nieszlachetny cykl koszów do śmieci i rynsztoków; więc zwinąłem go jak mogłem najlepiej i zanieśliśmy go w wysoko położoną część ogrodu, obok mostku, przez który przejeżdża pociąg, i stamtąd cisnąłem go z całej siły w dół, w głąb parowu, w mokrą murawę, ty zaś wydałaś okrzyk, w którym zabrzmiało coś niby przekleństwo Walkirii. Zatonął w głębi trawy jak statek, uległy zielonej wodzie, wodzie zielonej i burzliwej, *à la mer qui est plus félonesse en été qu'en hiver*[1],w perfidnej fali, Maga, zgodnie z wyszczególnieniami, którym oddaliśmy się przez dłuższą chwilę zakochani w Joinville i w parku, sami spleceni jak zmoknięte drzewa albo jak para aktorów z drugorzędnego węgierskiego filmu. A on pozostał nieruchomy wokół zieleni, niewielki i czarny niby zdeptany owad. I nie poruszył się, żadna z jego sprężyn nie powróciła do poprzedniej pozycji. Koniec. Skończone. I och, Maga, nie byliśmy zadowoleni...

Czego szukałem na Pont des Arts? Mam wrażenie, że tego grudniowego czwartku miałem zamiar iść na prawy brzeg, żeby napić się wina w kafejce na rue des Lombards, gdzie madame Leonie oglądała mi wnętrze dłoni, zwiastując podróże i niespodzianki. Nigdy cię tam nie zabrałem, aby madame Leonie obejrzała twoją rękę, może bałem się, że odczyta w niej jakąś prawdę o mnie, bo zawsze byłaś straszliwym zwierciadłem, monstrualnym, wszystko przekazującym przyrządem. I to, co nazywaliśmy kochaniem się, znaczyło może, że stałem przed tobą z żółtym kwiatem w ręce, ty zaś przytrzymywałaś dwie zielone świece, a wiatr wiał nam w twarze deszcz wyrzeczeń, pożegnań i biletów metra. Wobec czego nigdy cię nie zabrałem, ażeby madame Leonie, Maga... I wiem, bo mi to powiedziałaś, że nie lubiłaś, gdy widziałem, jak wchodzisz do małej księgarenki przy rue de Verneuil, gdzie pochylony staruszek wypełnia tysiące fiszek do kartoteki i wie wszystko, co można wiedzieć o historiografii. Chodziłaś tam bawić się z kotem, a stary pozwalał ci i o nic nie pytał, zadowolony, że od czasu do czasu podasz mu jakąś książkę z wyższej półki. A ty grzałaś się przy jego piecyku o długiej, czarnej rurze i nie chciałaś, żebym wiedział, że chodzisz tam, aby usiąść koło pieca.

Tylko że trzeba było to wszystko powiedzieć we właściwym momencie; ale niełatwo jest oznaczyć właściwy moment dla jakiejś rzeczy i nawet teraz, gdy oparty łokciami o most, patrzę na przepływającą barkę koloru wina, piękną niby lśniący czystością karaluch, na kobietę w białym fartuchu, która na dziobie wiesza bieliznę, na zielono pomalowane okna z

[1] *A la mer qui est plus félonesse...* (franc.) - w morzu zdradliwszym latem aniżeli zimą. (Jean Joinville (1224 1319), *Historia świętego Ludwika).*

[Przypisy obejmują objaśnienia ważniejszych zwrotów w językach obcych i bardzo nielicznych słów pojedynczych, trudniejszych do przetłumaczeń (np. słów arabskich) oraz objaśnienia ważniejszych cytatów z podaniem ich źródeł. Nie

firaneczkami à la Jaś i Małgosia, nawet teraz, Maga, pytam samego siebie, czy całe to krążenie miało sens i czy, aby dojść na rue des Lombards, nie należało raczej przejść przez Pont Saint-Michel i Pont au Change. Ale gdybyś tu była tej nocy, jak tyle, tyle razy, wiedziałbym, że to krążenie miało sens i że teraz ośmieszam tylko moją porażkę, nazywając ją krążeniem. Chodziło już tylko o to, żeby podniósłszy kołnierz kanadyjki iść dalej wzdłuż wybrzeży aż do dzielnicy wielkich składów, która kończy się przy Châtelet, przejść pod fiołkowym cieniem wieży Saint-Jacques, myśląc o madame Leonie i o tym, że nie spotkałem ciebie.

Wiem, że pewnego dnia przyjechałem do Paryża, wiem, że jakiś czas żyłem na kredyt robiąc to, co robią inni, i widząc to, co inni widzą. Wiem, że wychodziłaś z kawiarni na ulicy Cherche-Midi i że zaczęliśmy rozmawiać. Tego popołudnia wszystko szło źle, bo moje argentyńskie zwyczaje nie pozwalały mi co chwila przechodzić z jednego chodnika na drugi, ażeby oglądać nieinteresujące rzeczy na słabo oświetlonych wystawach jakichś ulic, których nazw już sobie nie przypominam. Więc szedłem za tobą niechętnie, uważając, że jesteś niesforna i niewychowana, aż zmęczyłaś się byciem nie zmęczoną i usiedliśmy w kawiarni na Boul' Mich', gdzie nagle, między dwoma *croissants,* opowiedziałaś mi potężny kawał swojego życia.

Jak mogło mi przyjść do głowy, że to, co wydawało się kłamstwem, było prawdą, ów Figari w fioletach zmierzchu, twarze bez krwi, głód, bicie. Później uwierzyłem ci, później - miałem powody, znalazła się madame Leonie i patrząc na moją rękę, która sypiała między twymi piersiami, niemalże dokładnie powtórzyła mi twoje słowa: „Tkwi w niej jakieś cierpienie; zawsze tkwiło. Jest bardzo wesoła. Jej kolorem jest żółty, jej ptakiem kos, jej porą noc, jej mostem Ponts des Arts". (Barka koloru wina, Maga, i dlaczego nie uciekliśmy nią, póki jeszcze nie było za późno...).

I popatrz - ledwie poznaliśmy się, już życie knuło, co mogło, żeby nas poróżnić. Ponieważ nie umiałaś udawać, od razu zdałem sobie sprawę, że, aby cię widzieć taką, jaką chciałem, należało zacząć od zamknięcia oczu, a wtedy najpierw coś niby żółte gwiazdy (poruszające się w aksamitnej galarecie), potem czerwone skoki humorów i godzin, powolne wkraczanie w Mago-świat, który był niezdarnością i pogmatwaniem wszystkiego, ale równocześnie paprociami z podpisem tego pająka Klee, cyrkiem Miró, lustrem z popiołu Vieira da Silva, światem, w którym poruszałaś się jak konik szachowy, który by się poruszał jak wieża, która by się poruszała jak laufer...

objaśniono słów piosenek, jeżeli nie odgrywają one w tekście książek istotniejszej roli (np. piosenek jazzowych) ani też tytułów w językach obcych. *Red.*].

Łaziliśmy wtedy do *ciné*-klubów oglądać nieme filmy, ja - bo taki kulturalny, prawda? - i ty biedactwo, która nic a nic nie rozumiałaś z owego konwulsyjnego żółtego wrzasku jeszcze sprzed okresu twoich narodzin, z tej pręgowanej emulsji, w której biegali umarli; dopiero gdy przeszedł tamtędy Harold Lloyd, otrząsnęłaś się z wód snu, aby wreszcie uwierzyć, że wszystko to było bardzo dobre i że Pabst, i że Fritz Lang. Drażniłaś mnie trochę twoją manią doskonalenia się, podartymi pantoflami, niechęcią do przyjmowania rzeczy przyjętych.

Jedliśmy parówki na Carrefour de l'Odéon i jechaliśmy na rowerach na Montparnasse szukać jakiegokolwiek hotelu, jakiejkolwiek poduszki. Niekiedy jechaliśmy aż do Porte d'Orléans, poznawaliśmy coraz lepiej puste przestrzenie za Boulevard Jourdan, gdzie czasami, o północy, spotykali się członkowie Klubu Węża, aby pogadać ze ślepym jasnowidzem - cóż za podniecający paradoks. Zostawialiśmy rowery na ulicy, włączając się w to wszystko powoli, zatrzymując się, aby popatrzeć na niebo, bo jest to jedna z nielicznych dzielnic Paryża, gdzie niebo piękniejsze jest niż ziemia. Siedząc na kupie śmieci paliliśmy papierosy, a Maga głaskała mnie po włosach albo nuciła pod nosem melodie nawet nie wymyślone, bezsensowne śpiewne melodeklamacje, przerywane westchnieniami albo wspomnieniami; korzystałem z tego, by myśleć o rzeczach nieistotnych metodą, którą zacząłem stosować kilka lat przedtem w szpitalu, a która za każdym razem wydawała mi się skuteczniejsza i bardziej potrzebna. Z wielkim wysiłkiem, gromadząc pomocnicze obrazy, myśląc o zapachach i twarzach, wydobywałem w końcu z nicości jakąś parę brązowych półbutów, których używałem w Olavarria w 1940 roku. Miały gumowe obcasy, cienkie podeszwy, tak że kiedy padało, woda przenikała mi do duszy. Gdy w ręku pamięci trzymałem tę parę półbutów, reszta zjawiała się sama: na przykład twarz donii Manueli albo poeta Ernesto Morroni. Ale przepędzałem ich, bo gra polegała na wyławianiu tylko tego, co najbłahsze, ukryte, przebrzmiałe.

Przerażony, że mógłbym sobie nie przypomnieć, atakowany przez mole proponujące zwłokę, ogłupiały na skutek ocierania się o czas, obok półbutów widziałem wreszcie puszeczkę herbaty „El Sol", którą mi dała matka w Buenos Aires. I łyżeczkę do herbaty, łyżeczkę-pułapkę, z której czarne myszki żywcem topione w szklance ukropu wypuszczały musujące pęcherzyki. Przekonany, że pamięć zachowuje wszystko, a nie tylko Albertyny i inne wielkie efemerydy serca i nerek, upierałem się, aby odtworzyć moje biurko na Floreście, niezapamiętywalną twarz dziewczyny imieniem Gekrepten, ilość piórek do tuszu w moim piórniku z piątej klasy, doprowadzony w końcu do drżenia i rozpaczy (bo nigdy nie mogłem przypomnieć sobie tych piórek, wiedziałem, że leżały w piórniku w specjalnej przegródce, ale

nie wiedziałem ani ile ich było, ani kiedy było ich dwa, a kiedy sześć), aż do chwili gdy Maga, całując mnie i dmuchając w twarz dymem i ciepłym oddechem, przywracała mnie rzeczywistości, i śmiejąc się rozpoczynaliśmy nową wędrówkę pośród śmieci, w poszukiwaniu członków klubu. Już wtedy zdałem sobie sprawę, że szukanie jest moim znakiem, emblematem łażących po nocy bez określonego celu, racją bytu tych, którzy niszczą kompasy.

Z Magą do umęczenia mówiliśmy o metafizyce, bo to samo zdarzało się jej (i nasze spotkanie tym było, i tyle innych rzeczy, tak ciemnych jak zapałka), sytuacje wyjątkowe, znajdowanie się w jakichś innych szufladkach niż normalni ludzie, a wszystko to mimo że nie gardziliśmy nikim i nie czuliśmy się żadnymi wyprzedażowymi Maldororami ani też błądzącymi Melmothami.

Nie wydaje mi się, aby świetlik czerpał specjalną satysfakcję z niezbitego faktu, że jest jednym z największych cudów tego cyrku, a przecież wystarczy przypuścić, że ma świadomość, aby zrozumieć, że za każdym razem, kiedy mu się zapala brzuszek, musi czuć coś w rodzaju dumy z powodu wyjątkowego przywileju. W ten sam sposób Magę zachwycały najnieprawdopodobniejsze komplikacje, w które z powodu bankructwa wszelkich życiowych praw zawsze była wplątana. Należała do tych, pod którymi most potrafi się załamać wyłącznie dlatego, że na niego weszli, do tych, co szlochają, gdy wspomną los loteryjny, na który właśnie padło pięć milionów, a który przecież dopiero co widzieli na wystawie... Ja byłem raczej przyzwyczajony do tego, że zdarzają mi się rzeczy umiarkowanie wyjątkowe, i nie uważałem za nic przerażającego, gdy wszedłszy do ciemnego pokoju po album płyt, nagle poczułem na ręce ciało olbrzymiej stonogi, która jego grzbiet wybrała sobie jako miejsce do spania, ani tego, ani dużych zielonych lub szarych kłaków w paczce papierosów, ani gwizdu lokomotywy dokładnie w tym momencie i tonacji, które były potrzebne do włączenia się *ex officio* do jednego z pasaży symfonii Ludwika van, ani incydentu w pisuarze przy rue Médicis, gdzie zobaczyłem człowieka, który siusiał z namaszczeniem, potem zaś, wychodząc ze swojej przegródki, odwrócił się ku mnie i pokazał na rozwartej dłoni, niby jakiś sprzęt liturgiczny i bezcenny, członek niewiarygodnej wielkości i koloru, i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że ten człowiek jest absolutnie identyczny z tamtym (jakkolwiek nie był tamtym), który dwadzieścia cztery godziny przedtem w Salle de Géographie rozwodził się na temat totemów i tabu i pokazywał publiczności, unosząc je starannie na rozwartej dłoni, pałeczki z kości słoniowej, pióra ptaka-liry, rytualne monety, magiczne sierpy, gwiazdy morskie, zasuszone ryby, fotografie królewskich konkubin, dary myśliwych i olbrzymie

zabalsamowane skarabeusze, na których widok niezawodne panie drżały z pełnej lęku rozkoszy.

W sumie niełatwo jest mówić o Madze, która o tej porze z pewnością spaceruje po Belleville albo Pantin, pilnie wpatrując się w ziemię, aż do chwili, gdy znajdzie strzępek czerwonego materiału. Jeżeli go nie znajdzie, będzie tak chodziła przez całą noc - oczy szklane - przeszukując kosze do śmieci, pewna, że jeżeli nie trafi na ten symbol okupu, ten znak przebaczenia albo niechby już odroczenia, zdarzy jej się coś okropnego. Wiem, co to jest, bo ja także posłuszny jestem takim znakom, także od czasu do czasu poszukuję czerwonych szmatek. Od dzieciństwa, kiedy mi coś upadło, musiałem to podnieść za wszelką cenę, bo jeżeli bym nie podniósł, spotkałoby nieszczęście nie mnie, lecz kogoś, kogo kocham, a czyje imię zaczyna się na taką samą literę, jak nazwa upuszczonego przedmiotu. Kiedy coś spada mi na podłogę, zupełnie nie mogę się opanować, w dodatku nic nie pomaga, jeżeli podniesie to ktoś inny, zły czar bowiem będzie działał nadal. Z tego powodu wielokrotnie brano mnie za wariata, zresztą rzeczywiście jestem wariatem, kiedy to robię, kiedy pospiesznie podnoszę ołówek albo kawałeczek papieru, które wypadły mi z ręki, tak jak tego wieczoru było z kawałkiem cukru w restauracji na rue Scribe, szykownej restauracji pełnej dyrektorów, kurw w srebrnych lisach i dobrze prosperujących małżeństw. Byliśmy tym razem z Ronaldem i Etienne, i spadł mi na ziemię kawałek cukru, który potoczył się aż do sąsiedniego stolika, daleko poleciał, bo normalnie kawałki cukru zatrzymują się, zaledwie dotkną ziemi, zgodnie z rzeczywistymi obyczajami sześcianów. Ale ten zachowywał się jak kulka naftaliny, co tylko zwiększyło moją obawę, bo prawie uwierzyłem, że faktycznie wyrwano mi go z ręki. Ronald, który mnie zna, rzucił okiem, gdzie zatrzymała się kostka i zaczął się śmiać, co jeszcze bardziej przestraszyło mnie i rozzłościło. Podszedł kelner, który pewnie pomyślał, że upadło mi coś wartościowego, „parker", a może sztuczne zęby, ale tylko mnie zgniewał, tak że nie mówiąc „przepraszam" rzuciłem się na ziemię i zacząłem szukać pomiędzy butami zaciekawionych gości, pewnych - i słusznie - że chodzi o coś ważnego. Przy stole siedziała jakaś gruba ruda i druga trochę mniej gruba, ale też kurwowata, i ze dwóch dyrektorów czy coś w tym rodzaju. Po pierwsze zdałem sobie sprawę, że kostki nie widać, a przecież sam widziałem, jak skakała pomiędzy butami, które poruszały się jak niespokojne kury, po drugie, na podłodze leżał dywan i jakkolwiek był zupełnie zniszczony, widać zdołała ukryć się w jego załamaniach, bo nie mogłem jej znaleźć. Kelner rzucił się na ziemię z drugiej strony stołu i już byliśmy parą czworonogów poruszających się między kurami-butami, które ponad nami gdakały jak oszalałe. On ciągle przekonany, że chodzi o „parkera" albo o luidora, kiedy już na dobre zadomowiliśmy się pod stołem w intymnej,

mrocznej atmosferze, zapytał mnie - a gdy mu odpowiedziałem, zrobił minę nadającą się do uwiecznienia, ale mnie nie było do śmiechu, strach zamknął mi żołądek na dwa spusty i w końcu ogarnęła mnie zupełna rozpacz (kelner podniósł się wściekły), i zacząłem chwytać za damskie pantofle i patrzeć, czy pod wzniesieniem podeszwy nie przyczaił się cukier, a kury gdakały, dyrektorzy-koguty dziobali mnie w plecy, Ronald i Etienne pokładali się ze śmiechu, ja zaś miotałem się od stolika do stolika aż do chwili, gdy znalazłem moją kostkę ukrytą za nóżką Drugiego Cesarstwa.

I wszyscy wściekli, nawet ja, z cukrem w zaciśniętej pięści, czując jak topnieje, jak ohydnie rozłazi się w coś w rodzaju lepkiej mazi.

I codziennie zdarzenia w tym stylu.

(2)

2

Najpierw to było coś w rodzaju wykrwawiania się, biczowania, potrzeba, aby czuć ten idiotyczny, granatowo oprawny paszport w kieszeni marynarki, aby wiedzieć, że klucz od pokoju spokojnie wisi na hotelowej tablicy. Strach, nieświadomość, olśnienie; to się nazywa tak a tak, o to się prosi tak a tak, teraz ta kobieta uśmiechnie się, za tą ulicą rozpoczyna się Jardin des Plantes, Paryż, pocztówka z rysunkiem Klee obok brudnawego lustra.

Maga zjawiła się pewnego dnia na ulicy Cherche-Midi; kiedy odwiedzała mnie w moim pokoju na rue de la Tombe-Issoire, zawsze przynosiła jakiś kwiatek, jakąś kartkę Klee albo Miró, a jeżeli była bez grosza - podniesiony w ogrodzie liść platanu.

W owym czasie o świcie zbierałem na ulicy druty i puste skrzynki i fabrykowałem mobile, sylwetki kręcące się nad kominkami, niepotrzebne przedmioty, które pomagała mi malować. Nie byliśmy zakochani, spaliśmy ze sobą z niedbałą i krytyczną wirtuozerią, zapadając później w straszliwe milczenia, a piana z piwa kładła się jak pakuły, grzała i ścinała, podczas gdy patrzyliśmy na siebie czując, że już czas. Wreszcie Maga podnosiła się i zaczynała bezsensownie krążyć po pokoju. Nieraz widziałem, jak podziwia w lustrze własne ciało, na wzór syryjskich statuetek brała piersi w dłonie, długim pieszczotliwym spojrzeniem obrzucała swoją skórę. Nigdy nie mogłem oprzeć się pragnieniu, aby zawołać ją, poczuć, jak powoli opuszcza się na mnie i raz jeszcze otwiera po tej chwili, w której była tak bardzo sama, tak zakochana w wieczności swojego ciała.

Za tamtych czasów nie mówiliśmy wiele o Rocamadourze, rozkosz była egoistyczna, jęcząc waliła nas swym wąskim czołem, wiązała pełnymi soli rękami. Wreszcie zaakceptowałem nieporządek Magi jako naturalny warunek każdej chwili, przechodziliśmy od wspomnienia Rocamadoura do talerzyka odgrzewanych klusek, mieszając wino, piwo i lemoniadę, zbiegając pędem, aby stara z rogu otworzyła nam tuzin ostryg, grając na rozstrojonym pianinie pani Noguet pieśni Schuberta i preludia Bacha, tolerując *Porgy and Bess* pod befsztyk z rusztu i kwaszone ogórki. Nieporządek, w którym żyliśmy, to znaczy porządek, w którym bidet naturalnym, choć niedostrzegalnym sposobem przemienia się w płytotekę i archiwum listów do odpisania, wydawał mi się czymś w rodzaju nieodzownej dyscypliny, jakkolwiek nie chciałem przyznać się do tego Madze. Szybko zrozumiałem, że należało jej przedstawiać rzeczywistość za pomocą metodycznych określeń, pochwała nieporządku oburzałaby ją w takiej samej mierze, jak i jego potępienie. Dla niej nie istniał nieporządek (zrozumiałem to w momencie, w którym zapoznałem się z zawartością jej

torebki, było to w kawiarni na rue Reaumur, padało i zaczynaliśmy mieć na siebie ochotę), co w końcu zaakceptowałem, a nawet polubiłem; z takich niewygód składały się moje stosunki niemal ze wszystkimi; wiele razy wyciągnięty na nie słanym od kilku dni łóżku - słuchając płaczu Magi, której jakieś dziecko w metrze przypomniało Rocamadoura, albo patrząc jak się czesała po spędzeniu wielu godzin naprzeciw portretu Eleonory Akwitańskiej i umierała z pragnienia, żeby być do niej podobną - myślałem z czymś w rodzaju umysłowej czkawki, że całe ABC mojego życia było przykrym idiotyzmem ograniczającym się po prostu do posunięć dialektycznych, do wyboru złego zamiast dobrego zachowania, do umiarkowanej nie-przyzwoitości zamiast wielorakiej przyzwoitości. Maga czesała się, rozczesywała i znów czesała. Myślała o Rocamadourze, nuciła (źle) Hugo Wolfa, całowała mnie, pytała, jak mi się podoba uczesanie, bazgrała coś na kawałku żółtego papieru i wszystko to było absolutnie nią, podczas gdy ja w naumyślnie brudnym łóżku, popijając naumyślnie letnie piwo, byłem zawsze sobą i moim życiem, sobą i moim życiem w przeciwstawieniu do życia innych. Ale równocześnie w jakiś sposób dumny z tego, że jestem świadomie rozlazły między chandrą a chandrą, między niewiarygodnymi perypetiami Magi, Ronalda, Rocamadoura, klubu, ulic, chorób duszy i wszystkich innych choler, i Berthe Trépat, a czasami głodem, i starym Trouille, który nie raz i nie dwa wyciągał mnie z kłopotów, pod akompaniament rzygających muzyką i dymem nocy, i małych świństewek, i wszelkich kombinacji, ponieważ gdzieś pod czy też nad tym wszystkim nie chciałem, jak przedstawiciele typowej cyganerii, udawać, że ten kieszonkowy bałagan jest wyższym nakazem duchowym albo inną równie przegniłą etykietą, ani godzić się na to, że wystarcza minimum przyzwoitości (przyzwoitości, młodzieńcze!), aby wyplątać się z nie kończących się ilości brudnej waty. I w ten sposób właśnie zetknąłem się z Magą, która była świadkiem mym i szpiegiem nic o tym nie wiedząc, i wściekłość, że nie mogłem przestać myśleć o tym, i świadomość, że jak zawsze dużo łatwiej było mi myśleć niż istnieć, że w moim wypadku ergo z powiedzonka nie było właściwie ani ergo, ani niczym w tym stylu, w której to sytuacji spacerowaliśmy po Rive Gauche, Maga nieświadoma, że jest szpiegiem mym i świadkiem, pełna zachwytu dla zasobów moich wiadomości tak różnorodnych i opanowania literatury włącznie z cool jazzem - przeogromnych tajemnic, jak dla niej. l przez to wszystko czułem się koło niej antagonistycznie, kochaliśmy się dialektycznie niby magnes i opiłki, atak i obrona, tak jak piłka kocha ścianę. Przypuszczam, że Maga miała złudzenia na mój temat, pewnie sobie wyobrażała, że się pozbyłem przesądów, może zaś imputowała mi swoje, z pewnością lżejsze i bardziej poetyczne. W pełnym zadowoleniu (wątlutkim), w pełni fałszywego zawieszenia broni wyciągnąłem rękę i dotknąłem kłębka „Paryż", jego nieskończonej materii owijającej

się wokół siebie, magmy utworzonej z powietrza i z tego, co rysowało się za oknem: chmur i facjatek. Wtedy nie było nieporządku, wtedy świat był czymś skamieniałym, ustalonym zbiorem elementów poruszających się na zawiasach, plątaniną ulic i drzew, i nazwisk, i miesięcy. Nie było nieporządku, który by otwierał klapę bezpieczeństwa, był tylko brud i nędza, szklanki z nie dopitym piwem, pończochy ciśnięte w kąt, łóżko pachnące seksem i włosami, kobieta głaszcząca mnie po udach swoją delikatną, przezroczystą ręką, opóźniająca pieszczotę, która na chwilę wyrwałaby mnie z tego czuwania w próżni. Za późno jak zawsze, bo jakkolwiek tyle razy spaliśmy ze sobą, szczęście powinno być inne, miałoby być czymś albo innym, albo może smutniejszym niż ten spokój i ta rozkosz, czymś podobnym do jednorożca na wyspie, nie kończącym się upadkiem w bezruch. Maga nie wiedziała, że pocałunki moje podobne były oczom, które otwierały się gdzieś poza nią, że ja sam byłem nieobecny, zwrócony ku innej twarzy świata, pilot zawrotnie sterujący czarnym okrętem, który pruje wodę czasu, równocześnie negując jej istnienie.

W owych dniach lat pięćdziesiątych zacząłem czuć się jakby osaczony pomiędzy Magą a przeczuciem odmienności tego, co powinno było nadejść. Było idiotyzmem buntowanie się przeciwko światu Magi i światu Rocamadoura, kiedy wszystko mi mówiło, że jak tylko odzyskam niezależność, przestanę czuć się wolny. Będąc wyjątkowym hipokrytą, nie mogłem znieść szpiegowania mnie przez moją własną skórę, przez moje nogi, przez rozkosz, którą odczuwałem z Magą, przez moje wysiłki podobne wysiłkom papugi w klatce, poprzez pręty czytającej Kierkegaarda, myślę zaś, że najwięcej przeszkadzało mi to, że Maga, nic nie wiedząc, że jest moim świadkiem, była jak najszczerzej przekonana o mojej suwerennej samowystarczalności; chociaż nie, właściwie doprowadzało mnie do rozpaczy przekonanie, że nigdy już nie będę równie bliski wolności, jak w dniach, w których czułem się zamknięty przez świat Magi, i że chęć uwolnienia się była właściwie uznaniem porażki.

Gnębiło mnie stwierdzenie, że mimo wyszukanych ciosów, mimo manichejskich walk światła z ciemnością i innych głupich i wyjaławiających rozdwojeń nie byłem w stanie wtaszczyć się na schody Gare Montparnasse, gdzie wciągała mnie Maga, aby odwiedzić Rocamadoura.

Dlaczego nie przyjmować tego, co się dzieje, bez prób tłumaczenia, bez świadomości porządku i nieporządku, wolności i Rocamadoura, jak ktoś, kto ustawia doniczki pelargonii na patio przy ulicy Cochabamba? Może trzeba wpaść w otchłań głupoty po to, ażeby otworzyć kluczem latrynę lub też bramy Ogrodu Oliwnego.

Chwilami przerażała mnie fantazja Magi, która pozwoliła jej nazwać syna Rocamadour. W klubie indagowaliśmy ją bez końca na ten temat, ale wyjaśniła krótko, że syn

nosił nazwisko ojca, po zniknięciu ojca zaś najlepiej było nazwać go Rocamadour i oddać na wieś na garnuszek. Czasem tygodniami nie mówiła o nim, przeważnie zdarzało się to w okresach, gdy miała nadzieję zostać odtwórczynią *Lieder*. Ronald siadał do pianina ze swoją czerwoną łepetyną kowboja, a Maga wyśpiewywała Hugo Wolfa z zapałem, który wprawiał w drżenie madame Noguet, nawlekającą w sąsiednim pokoju plastikowe perełki w nadziei, że sprzeda je na Boulevard Sebastopol. Dosyć lubiłem, kiedy Maga śpiewała Schumanna, chociaż wszystko zależało od humoru i od tego, co będziemy robili wieczorem, a także od Rocamadoura, bo jak tylko przypomniała go sobie, śpiewanie szło w diabły i Ronald pozostawiony sam przy fortepianie miał aż za dużo czasu na „aranżację" bebopu lub na powolne zabijanie nas za pomocą bluesów.

Nie chcę pisać o Rocamadourze, w każdym razie nie dzisiaj; tak bardzo chciałbym zbliżyć się do samego siebie, odrzucić wszystko to, co mnie dzieli od sedna! Zawsze w końcu wzmiankuję to sedno, bez najmniejszej gwarancji, że wiem, o czym mówię, daję się złapać w łatwe sidła geometrii, za pomocą której usiłuje się uporządkować nasze egzystencje ludzi Zachodu: oś, centrum, *raison d'être, omphalos,* imiona indoeuropejskich tęsknot. Włączenie do tej egzystencji, którą czasem staram się opisać, tego Paryża, po którym poruszam się jak zeschły liść, do tego wszystkiego, co nie byłoby widoczne, gdyby za tym nie pulsował niepokój ponownego spotkania z substancją. Ileż słów, ileż nazw dla tego samego zagubienia! Czasem przekonuję sam siebie, że głupota jest trójkątem, a osiem razy osiem to wariacja albo pies. Kiedy obejmuję Magę, tę zgęstniałą mgłę, myślę, że równie mądre jest robienie laleczek z chleba, jak pisanie książki, której nigdy nie napiszę, albo jak bronienie własnym życiem idei odkupujących narody. Wahadło zegara kiwa się tam i na powrót, i znowu umieszczam się w kategoriach uspokajających: nieważna laleczka, transcendentalna powieść, bohaterska śmierć. Ustawiam je rzędem poczynając od największej: laleczka, powieść, bohaterstwo. Myślę o hierarchiach wartości, tak wyeksploatowanych przez Ortegę, przez Schelera: to, co estetyczne, to, co etyczne, to, co religijne. To, co religijne, to, co estetyczne, to, co etyczne. To, co etyczne, to, co religijne, to, co estetyczne. Laleczka, powieść. Śmierć, laleczka. Język Magi łaskocze mnie. Rocamadour, etyka, laleczka, Maga. Język, łaskotanie, etyka.

3

Trzeci papieros bezsenności dopalał się w ustach siedzącego na łóżku Horacia Oliveiry.

Parę razy przesunął ręką po włosach śpiącej obok Magi. Był poniedziałkowy świt, pozwolili minąć całej niedzieli, czytając, słuchając płyt, podnosząc się, raz jedno, raz drugie, aby zagrzać kawy, naparzyć mate. Pod koniec kwartetu Haydna Maga zasnęła, a Oliveira, który nie miał ochoty słuchać dalej, nie wstając wyłączył adapter; płyta obróciła się jeszcze parę razy, już bez głosu. Nie wiedział dlaczego, ale ta jej idiotyczna inercja przywiodła mu na myśl pozornie zbędne ruchy niektórych owadów, niektórych dzieci. Nie mógł spać, palił patrząc przez otwarte okno na facjatkę, gdzie od czasu do czasu garbaty skrzypek ćwiczył do późna. Nie było gorąco, ale ciało Magi grzało mu nogę i prawy bok; odsunął się powoli, myśląc, że noc będzie długa.

Czuł się dobrze, jak zawsze, gdy udało im się z Magą dobrnąć do końca jakiegoś spotkania bez irytacji i starć. Niewiele obchodził go list od brata, zamożnego adwokata z Rosario, który na czterech stronach lotniczego papieru rozwodził się na temat obowiązków synowskich i obywatelskich, lekceważonych przez Oliveirę. List był istną rozkoszą, tak że od razu został przylepiony *scotchem* do ściany ku uciesze przyjaciół. Jedyną sprawą istotną było potwierdzenie wysyłki pieniędzy przekazanych via czarna giełda, którą brat delikatnie nazywał „pośrednikiem”; Oliveira pomyślał, że będzie mógł kupić kilka książek, które chciał przeczytać, i dać trzy tysiące franków Madze, żeby za nie nabyła to, na co będzie miała ochotę: prawdopodobnie będzie to pluszowy słoń niemal naturalnej wielkości, mający oszołomić Rocamadoura. Rano będzie musiał iść do starego Trouille'a, aby wyprowadzić na dziś jego korespondencję z Ameryką Łacińską. Wyjść, zrobić coś, wyprowadzić na dziś... to nie były sprawy, które pomogłyby mu zasnąć. Wyprowadzić na dzień dzisiejszy... też wyrażenie... Robić coś, robić dobrze, robić siusiu, robić kłopot - przetasowane działania. Ale za każdym z nich kryje się protest, w każdym „robić” zawiera się wyjść z, dojść do albo coś poruszyć, żeby nie było tu, tylko tam, albo wyjść z tego domu, żeby wejść albo nie wejść do sąsiedniego - innymi słowy, każda funkcja jest stwierdzeniem jakiegoś niedopełnienia, czegoś jeszcze nie zrobionego, ale co można by zrobić, milczącym protestem wobec nieprzemijającej oczywistości braku, ubóstwa, małości chwili obecnej.

Uwierzyć, że działanie mogłoby zaspokoić albo że suma działań mogłaby równać się życiu, które byłoby godne tej nazwy, jest złudzeniem moralisty. Już lepiej zrezygnować; rezygnacja z działania jest oczywistym protestem, a nie jego maską.

Olivęira zapalił jeszcze jednego papierosa i roześmiał się ironicznie zarówno z owego minimalnego działania, jak i z siebie samego.

Niewiele go obchodziły powierzchowne analizy, prawie zawsze fałszowane przez roztargnienie i filologiczne sztuczki. Jedynie ważny był ciężar w żołądku, czysto fizyczne podejrzenie, że coś szło źle, że prawie nic nie szło dobrze. Nie był to żaden problem - po prostu od najwcześniejszych czasów odczuwany sprzeciw w stosunku do zbiorowych kłamstw i pretensjonalnej samotności specjalistów od radioaktywnych izotopów albo prezydentury Bartolomé Mitre.

Jeżeli za czymś opowiedział się w młodości, to za niestosowaniem obrony za pomocą szybkiego i zachłannego gromadzenia „kultury" - sztuczki stereotypowej dla średniej klasy Argentyńczyków, chcących ocalić się od narodowych i innych rzeczywistości i uznać, że są poza zasięgiem pustki. Może dzięki systematycznemu nieróbstwu - jak to określał kolega Traveler - nie wstąpił do tego faryzejskiego zakonu (gdzie zaciągnęło się wielu z jego przyjaciół, zasadniczo pełnych dobrej woli - rzecz sama w sobie możliwa, istniały na to przykłady), omijającego sedno problemów za pomocą wszelakich specjalizacji, których wykonywanie nadawało (ironicznie) tytuły najwyższego argentyńskiego szlachectwa. W dodatku uważał za nieuczciwe i zbyt łatwe łączenie problemów historycznych, jak fakt bycia Argentyńczykiem lub Eskimosem, z takimi problemami, jak wybór między działaniem a rezygnacją z działania. Żył dostatecznie długo, by podejrzewać, że jemu najczęściej wymykało się to, co dla innych było w zasięgu ręki: waga podmiotu w stosunku do każdej sprawy. Właśnie Maga należała do tych nielicznych, którzy nigdy nie zapominali, że czyjaś twarz ma związek z jego interpretacją komunizmu, czy też cywilizacji kretomykeńskiej, zaś kształt jego rąk łączy się z tym, co myśli o Ghirlandaiu i Dostojewskim. Dlatego musiał przyznać, że jego grupa krwi, dzieciństwo w otoczeniu majestatycznych stryjów, nieudane miłości za młodych lat i skłonność do astenii miały pierwszorzędne znaczenie dla jego wizji wszechświata.

Należał do klasy średniej, pochodził z Buenos Aires, był uczniem państwowego gimnazjum - a tych paru rzeczy nie można zrzucić z siebie jak gdyby nigdy nic. Co gorsza, w dążeniu do uniknięcia zbyt subiektywnego punktu widzenia nieustannie ważył, a nawet zbyt pochopnie akceptował „tak" i „nie" każdej sprawy, stając się w końcu czymś w rodzaju kontrolera wag i miar.

W Paryżu - wszystko było dla niego Buenos Aires i odwrotnie. W chwilach najgwałtowniejszej miłości byłby chciał cierpieć z powodu strat i osamotnienia, równocześnie się tym delektując. Postawa niebezpiecznie wygodna, niemal łatwa, jeśli uda się posiąść refleks i technikę; jasność widzenia paralityka, ślepotę głupiego atlety. Idzie się przez życie powolnym krokiem ni to filozofa, ni to kloszarda, stale redukując objawy żywotności na rzecz instynktu samozachowawczego, na rzecz ćwiczenia świadomości bardziej wyczulonej na to, aby nie dać się nabrać, niż na poznanie prawdy. Laicki kwietyzm, umiarkowane odwrażliwienie, uważna nieuwaga. Dla Oliveiry było ważne móc asystować bez omdlenia przy spektaklu ćwiartowania Tupac-Amaru, nie uciekając się do nędznego egocentryzmu (kreolocentryzmu, przedmieściocentryzmu, kulturocentryzmu, folklorocentryzmu), który pod wszelkimi możliwymi postaciami codziennie go otaczał.

Kiedy miał dziesięć lat, któregoś popołudnia wypełnionego pontyfikalnymi kazaniami stryjowskimi na tematy historyczno-polityczne w cieniu drzew *paraiso,* nieśmiało zamanifestował swój pierwszy protest przeciw tak bardzo hiszpańsko-włosko-argentyńskiemu „Ja ci to mówię!", podkreślonemu uderzeniem pięścią w stół, w charakterze gniewnego argumentu. *Glielo dico io!* Ja ci to mówię, do diaska! Jakąż wartość dowodową posiadało to „ja" - myślał Oliveira. To „ja" dorosłych, jakąż wszechwiedzę gwarantowało?

Mając piętnaście lat usłyszał o „wiem, że nic nie wiem" - towarzysząca sprawie cykuta wydała mu się nieunikniona: nie wyzywa się ludzi w ten sposób, ja ci to mówię! W późniejszych latach ubawiło go stwierdzenie, że przy wyższych formach kultury ciężar autorytetów i wpływów literackich fabrykował swoje własne „ja ci to mówię", zręcznie ukryte nawet przed mówiącym; po czym następowały: „zawsze wiedziałem, że", „jeżeli czegoś jestem pewien, to", „nie ulega kwestii, iż", prawie nigdy nierównoważone obiektywnym spojrzeniem na racje przeciwnika. Jak gdyby sam gatunek pilnował, ażeby nie zapędzać się zbytnio na drogę tolerancji, pełnych mądrości zwątpień, sentymentalnych wahań. W jakimś momencie narastał odcisk, pojawiała się skleroza, definicja: czarne albo białe, radykalne albo konserwatywne, homoseksualne-heteroseksualne, figuratywne-abstrakcyjne, San Lorenzo-Boca Juniors, mięso-jarzyny, interesy-poezja. I dobrze, bo gatunek nie mógł polegać na ludziach typu Oliveiry. List jego brata był dokładnym wyrazem tego odepchnięcia.

„Niestety - pomyślał - to wszystko nieuchronnie prowadzi ku *animula vagula blandula*[2]. *Cóż* robić? Od tego pytania przestałem sypiać. Obłomow, *cosa facciamo?* Głosy Wielkiej Historii zagrzewają do działania: *Hamlet, revenge!* Mścimy się, Hamlecie, czy też spokojnie: chippendale, nocne pantofle i ogień w kominku? Nawet i Syryjczyk, rzecz

[2] *Animula vagula blandula* (łac.) - duszka błędna i przelotna. (Wiersz, przypisywany cesarzowi Hadrianowi, napisany w

skandaliczna, w końcu wybrał Martę. To wiadomo. Wypowiadasz bitwę, Ardżuna? Nie możesz zaprzeczyć męstwa, niezdecydowany królu. Walka dla walki, żyć niebezpiecznie, pomyśl o Mariu-epikurejczyku, o Richardzie Hillarym, o Kyo, o T.E. Lawrensie... Szczęśliwi, którzy wybierają, którzy zgadzają się być wybranymi, piękni bohaterowie, piękni święci, wspaniali eskapiści."

Może. Dlaczegóż by nie? Ale mogłoby się zdarzyć, że jego punkt widzenia byłby punktem widzenia lisa patrzącego na winogrona, l mogłoby się również zdarzyć, że miałby rację, skąpą i żałosną rację mrówki wobec konika polnego. Jeżeli jasność widzenia kończy się inercją, czyż nie staje się przez to podejrzana, nie oznacza jakiejś diabolicznej ślepoty? Bohater narodowy bezsensownie wysadzający się w powietrze, Cabrai - dzielny żołnierz okryty chwałą - może oni właśnie świadczyli o istnieniu jakiegoś nadwidzenia, o możliwościach nagłych - poza wszelką świadomością (tego nie należy żądać od sierżantów) - zetknięć z absolutem, w porównaniu z którymi zwykłe jasnowidzenie, kameralna inteligencja na wpół wypalonego papierosa o trzeciej nad ranem znaczyły mniej niż zdolność widzenia kreta?

Opowiedział to wszystko Madze, która obudziła się przytulona do niego, mrucząca i senna. Otworzyła oczy, zamyślona.

- Ty nie mógłbyś - powiedziała - za dużo się zastanawiasz, a potem nic nie robisz.

- Wierzę w zasadę, że namysł musi poprzedzać działanie, głupotko.

- Wierzysz w zasadę... - powiedziała Maga. - Ależ skomplikowane... Ty jesteś jak świadek, jak taki, co idzie do muzeum i patrzy na obrazy. To znaczy, że obrazy są tutaj, a ty jesteś w muzeum, równocześnie daleko i blisko. Ja jestem obraz. Rocamadour jest obraz. Etienne jest obraz. Myślisz, że jesteś w tym pokoju, ale nie jesteś. Patrzysz na pokój, ale cię w nim nie ma.

- Mogłabyś zakasować świętego Tomasza - powiedział Oliveira.

- Dlaczego świętego Tomasza? - zapytała. - Tego idiotę, który musiał zobaczyć, żeby uwierzyć?

- Tak, kochanie - powiedział myśląc, że w rezultacie wymienił odpowiedniego świętego. Szczęśliwa, ona, która mogła wierzyć nie widząc, która była w harmonii z trawieniem, z ciągłością życia. Szczęśliwa, ona, która była wewnątrz pokoju, która miała prawo obywatelstwa we wszystkim, czego się tknęła, która współżyła - ryba płynąca z prądem, liść na drzewie, chmura na niebie, obraz w wierszu. Ryba, liść, chmura, obraz... Dokładnie to, chyba żeby...

obliczu śmierci, w którym wyraził on swoją niewiarę w istnienie duszy)

4

Tak to zaczęli włóczyć się po mitycznym Paryżu, kierując się znakami, które dawała im noc, wypełniając marszruty zrodzone ze zdania jakiegoś kloszarda, z facjatki oświetlonej w głębi ciemnej uliczki, zatrzymując się na intymnych placykach, by się całować na ławce albo oglądać „klasy", dziecinny rytuał kamyków i podskakiwań na jednej nodze, prowadzący do Nieba. Maga opowiadała o swoich przyjaciółkach ze szkolnych lat w Montevideo, o jakimś Ledesmie, o swoim ojcu. Oliveira słuchał od niechcenia, trochę zasmucony, że nie jest w stanie tym się zainteresować; Montevideo to było to samo, co Buenos Aires, a że czuł konieczność utwierdzenia się w swoim zerwaniu (co na przykład porabiał ten włóczęga Traveler, w co też zdążył się wplątać od jego wyjazdu? A co głupia Gekrepten? Co kawiarnie w śródmieściu?), słuchał więc z nonszalancją, rysując coś gałązką na kamieniu, podczas gdy Maga wyjaśniała, dlaczego Champé i Graciella to były dobre dziewczynki, i jak jej było przykro, że Luciana nie odprowadziła jej na statek, Luciana była snobką, a tego ona nic była w stanie znieść u nikogo.

- Co rozumiesz pod „snobką"? - zapytał Oliveira bardziej zainteresowany.

- No - powiedziała Maga schylając głowę z wyrazem kogoś, kto przeczuwa, że powie głupstwo - ja jechałam trzecią... Ale myślę, że gdybym jechała drugą, Luciana przyszłaby mnie odprowadzić.

- Najlepsza definicja, jaką kiedykolwiek słyszałem - powiedział Oliveira.

- No i był Rocamadour... - powiedziała Maga.

W ten to sposób Oliveira dowiedział się o egzystencji Rocamadoura, który w Montevideo nazywał się skromnie Carlos Francisco. Maga nie miała zamiaru wyjawiać zbyt wielu szczegółów na temat jego pochodzenia poza tym, że nie zgodziła się na skrobankę, czego właśnie zaczynała żałować.

- Chociaż właściwie nie żałuję... problem raczej leży w tym, jak teraz ułożyć życie. Madame Irène jest bardzo droga, no i muszę brać lekcje śpiewu, to wszystko kosztuje...

Maga nie wiedziała dokładnie, dlaczego przyjechała do Paryża, i Oliveira zaczynał podejrzewać, że przy niewielkiej omyłce biletowo-wizowej równie dobrze byłaby wylądowała w Singapurze czy Capetown. Ważne było, żeby wyjechać z Montevideo, stanąć twarzą w twarz z tym, co skromnie nazywała „życiem". Do plusów Paryża zaliczała fakt, że umiała trochę po francusku (raczej w stylu „Szkoły Języków Pitmana") i że można tu było oglądać najlepsze obrazy, najlepsze filmy, *die Kultur* w jej najszlachetniejszych przejawach.

Oliveirę wzruszała całość tej panoramy (jakkolwiek sprawa Rocamadoura peszyła go, choć sam nie wiedział dlaczego) i myślał o swoich wytwornych przyjaciółkach z Buenos Aires, niezdolnych pojechać dalej niż do Mar del Plata, mimo metafizycznego wprost głodu doświadczeń międzyplanetarnych. Ta smarkata, w dodatku z dzieckiem na ręku, ładowała się do trzeciej klasy i jechała do Paryża studiować śpiew, bez grosza w kieszeni. Jakby tego było mało, jeszcze jego uczyła, jak należy patrzeć i widzieć, uczyła bezwiednie, po prostu swoim sposobem nagłego zatrzymywania się na ulicy, ażeby spojrzeć w podwóreczko, na którym nie było nic, tylko zielonkawe światło gdzieś w głębi, a potem przemknąć się chyłkiem - nie chcąc zaczynać z konsjerżką - i obejrzeć jakąś starą figurę, czasem studzienkę porosłą bluszczem, czasem nic, czasem zniszczone bruki z kocich łbów, omszałe ściany, odpoczywającego w cieniu staruszka, odwieczne nieuniknione koty miau-miau *kitten kat chat cat gato gatto,* szare i białe, i czarne, i pręgowane, właścicieli czasu i letnich płyt kamiennych - nieodmiennych przyjaciół Magi, która umiała łaskotać je po brzuszkach i przemawiać do nich językiem głupawo-tajemniczym, umawiając się z nimi, radząc, przestrzegając. Idąc z nią Oliveira nagle zamyślał się; nic nie pomagało irytowanie się na Magę, zawsze jej się wywracały kufle z piwem albo wyciągała nogę spod stolika w taki sposób, że kelner potykał się i zaczynał kląć. Był szczęśliwy, choć stale rozzłoszczony, bo niczego nie robiła jak należy i ignorowała cyfry i rachunki; natomiast nieoczekiwanie wpadała w zachwyt nad skromnym ogonkiem przy trójce albo zatrzymywała się na środku ulicy (czarny renault hamował o dwa metry od niej, a szofer wysuwał głowę wymyślając jej od kurw pikardyjskim akcentem), jakby widok z jezdni na daleki Panteon był nieporównanie lepszy niż z chodnika. I tym podobne rzeczy.

Oliveira znał już Perica i Ronalda. Maga przedstawiła go Etienne'owi, przez którego z kolei poznał Gregoroviusa; Klub Węża formował się podczas wieczorów na Saint-Germain-des-Pres. Wszyscy z miejsca akceptowali Magę jako obecność nieuniknioną i naturalną, jakkolwiek złościli się, bo musieli jej tłumaczyć niemal wszystko, co było na tapecie, nie mówiąc już o tym, że nie umiała przyzwoicie manewrować widelcem i natychmiast rozrzucała ćwierć kilo frytek, które przeważnie lądowały na włosach jedzących przy sąsiednich stolikach, trzeba więc było ich przepraszać, jej zaś wymyślać. Maga źle się czuła w grupie i Oliveira wiedział, że wolała widywać się oddzielnie z poszczególnymi członkami klubu, spacerować z Etienne'em lub Babs, których wciągała do swojego świata, wcale nie mając zamiaru ich wciągać, ale wciągała, ponieważ ci ludzie nie marzyli o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wyskoczyć z normalnych kolein autobusu lub historii, i w taki lub inny sposób wszyscy byli jej w końcu wdzięczni, chociaż przy lada okazji wymyślali jej od

ostatnich. Etienne, pewny siebie jak pies albo jak skrzynka pocztowa, bladł jak papier, gdy Maga wyjeżdżała z tym, co myśli o jego ostatnim obrazie, ale nawet Perico zgadzał się, że jako kobieta Maga jest absolutnie prima. Tygodnie czy też miesiące (liczenie dni jakoś nie wychodziło Oliveirze, był szczęśliwy - ergo bez przyszłości) łazili i łazili po Paryżu oglądając, co się dało, czekając na to, co miało nastąpić, kochając się i kłócąc, wszystko to jakby na marginesie życia, wiadomości z gazet, obowiązków rodzinnych, jakichkolwiek zobowiązań finansowych czy też moralnych.

- Puk. Puk.

- Zbudźmy się - mówił nieraz Oliveira.

- Po co? - odpowiadała Maga patrząc z Pont-Neuf na płynące barki. - Puk. Puk. Masz ptaszka w głowie, puk, puk, cały czas cię dziobie, żebyś mu dał trochę argentyńskiego jedzenia. Puk, puk.

- No, już dobrze - zrzędził Oliveira - ja nie jestem Rocamadour. Skończy się na tym, że zaczniemy mówić po gliglińsku do subiektów i konsjerżek; dopiero będzie zabawa. Popatrz na tego faceta, co idzie z tą czarnulką.

- Znam ją, pracuje w kafejce na rue de Provence. Lubi dziewczynki, biedny facet leży.

- A co? Podrywała cię?

- No... Ale mimo to zaprzyjaźniłyśmy się, dałam jej moją pomadkę, a ona mnie książeczkę niejakiego Retef... nie czekaj, Retif...

- Dobra już rozumiem. No to położyłaś się z nią? To musi być interesujące dla takiej kobiety jak ty.

- A ty chodziłeś do łóżka z mężczyznami, Horacio?

- Jasne. Oczywiście eksperymentalnie...

Maga spojrzała na niego spod oka, podejrzewając, że z niej kpi, a wszystko przez to, że rozzłościł się o ptaszka w głowie puk, puk, o ptaszka, co go prosił o argentyńskie jedzenie. Więc rzuciła się na niego ku zdumieniu małżeństwa kroczącego po rue Saint-Sulpice, targając go za włosy wśród żartów, musiał trzymać ją za ręce, oboje wybuchnęli śmiechem, małżeństwo patrzyło na nich, on zaledwie ważąc się na uśmiech, bo żona zbyt była zgorszona takim zachowaniem.

- Masz rację - zeznawał skruszony Oliveira - jestem nieuleczalny. Po co gadać o budzeniu się, kiedy tak dobrze jest spać.

Zatrzymywali się przed wystawą, żeby zobaczyć tytuły książek. Maga zaczynała zadawać pytania kierując się kolorem okładek, kształtem. Należało usytuować Flauberta, powiedzieć, że Montesquieu, wytłumaczyć, jak i co Raymond Radiguet, objaśnić, kim był

niejaki Teofil Gauthier. Słuchała mażąc palem po szybie. „Ptaszek w głowie chce, żebyś mu dał argentyńskiego jedzenia, myślał Oliveira słuchając samego siebie. - Matko moja, ja nieszczęśliwy".

- Nie rozumiesz, że tak nic się nie nauczysz? - mówił wreszcie. - Chcesz kształcić się na ulicy, kochanie? To niemożliwe. Zaabonuj sobie lepiej „Readers Digest".

- No wiesz, to świństwo...

- Ptaszek w głowie! - decydował Oliveira. Nie ona, on. Ale co ona miała w głowie? Powietrze czy może mamałygę? Nic, co by wzbudzało szacunek. Nie głowa była jej mocną stroną.

„Zamyka oczy i trafia do celu - myślał. - Strzelanie z łuku systemem Zen. Ale trafia, bo nie wie, że właśnie to jest system. Ja natomiast... Puk, puk. I tak leci..."

Kiedy Maga pytała o rzeczy w rodzaju filozofii Zen (mogło się to łatwo zdarzyć w klubie, gdzie mówiło się o tęsknotach, prawdach tak dalekich, że można je było uznać za fundamentalne, o rewersach medali, zawsze o tej drugiej stronie księżyca), Gregorovius wysilał się, by wytłumaczyć jej początki metafizyki, podczas gdy Oliveira pociągał pernoda i patrzył na nich ubawiony. Było bezsensem chcieć wytłumaczyć cokolwiek Madze. Fauconnier miał rację; dla ludzi w jej stylu tajemnica zaczynała się w chwili wyjaśniania jej. Maga słuchała wykładu o immanencji i transcendencji i otwierała swoje prześliczne oczy, które unieszkodliwiały całą metafizykę Gregoroviusa. W końcu dochodziła do wniosku, że zrozumiała ideę Zen i wzdychała zmęczona. Jeden Oliveira zdawał sobie sprawę, że ona i tak pochyla się w każdej chwili nad tymi wielkimi ponadczasowymi tarasami, których oni szukają za pomocą wysilonej dialektyki.

- Nie ucz się tych idiotycznych teorii - radził jej. - Po co będziesz kładła okulary, skoro masz dobry wzrok...

Ale Maga była nieufna. Straszliwie podziwiała Oliveirę i Etienne'a, zdolnych do dyskutowania trzy godziny bez przerwy. Naokoło nich było zakreślone kredowe koło, chciała wejść do koła, zrozumieć, dlaczego początek nieokreślono-ści jest tak ważny w literaturze, dlaczego Morelli, o którym tyle gadali, którego tak podziwiali, pragnął, by jego książka była szklaną kulą, w której mikro- i makrokosmos złączyłyby się w jakąś jedną, wszystko unicestwiającą wizję.

- Tego ci nie można wytłumaczyć - mówił Etienne. - To jest Meccano Nr 7, a ty zaledwie jesteś przy Nr 2.

Maga robiła się smutna, podnosiła liść leżący na brzegu chodnika, aby z nim chwilę porozmawiać, przesuwała nim po wnętrzu ręki, kładła go na plecach albo na brzuszku,

czesała go, wreszcie usuwała miąższ zostawiając tylko unerwienie, delikatną zieloną zjawę, która rysowała się na jej skórze. Etienne wyrywał go jej gwałtownie i oglądał pod światło. Za takie pomysły podziwiali ją, trochę zawstydzeni, że są w stosunku do niej zbyt brutalni, ona zaś korzystała z tego, żeby przymówić się o nowe pół litra, a jeżeliby można, to jeszcze i o parę frytek.

(71)

5

Pierwszy raz to był hotel na rue Valette, spacerowali bez celu zatrzymując się po starych bramach: gorzki jest poobiedni deszcz i trzeba było coś wymyślić przeciw temu lodowatemu kurzowi, przeciw płaszczom pachnącym gumą. Maga przytuliła się do Oliveiry, spojrzeli po sobie, HOTEL, stara za brudnym kontuarem powitała ich ze zrozumieniem, cóż innego można było robić w taką pogodę? Kulała, strach było patrzeć, jak zatrzymywała się na każdym stopniu, ażeby podciągnąć chorą nogę, znacznie grubszą od tamtej zdrowej, jak powtarzała ten manewr przez cztery piętra. Pachniało mydłem toaletowym, zupą, na dywan w przejściu ktoś wylał jakiś niebieski płyn, który rozlał się w formę skrzydeł. W pokoju były dwa okna, czerwone firanki pocerowane i pełne łat, do miejsca, gdzie stało pokryte żółtą kapą łóżko, wilgotne światło przenikało niby anioł.

Maga postanowiła odegrać rodzajową scenę, usiadła koło okna, udając, że wygląda na ulicę, podczas gdy Oliveira sprawdzał zasuwkę. Widać miała jakiś z góry przygotowany schemat tych spraw, a może zawsze układały jej się podobnie, najpierw zostawiało się torebkę na stole, szukało papierosów, patrzyło przez okno, paląc zaciągało się głęboko dymem, robiło się jakąś uwagę na temat tapet, zostawiając chłopu potrzebny czas oraz inicjatywę.

W jakiejś chwili oboje wybuchnęli śmiechem; to było zbyt głupie... Żółta kapa, ciśnięta w kąt, pozostała pod ścianą niby nieruchoma kukła.

Nauczyli się porównywać kapy, drzwi, lampy, firanki. Pokoje w piątym *arrondissement* były lepsze niż w szóstym, w siódmym nie mieli szczęścia, zawsze coś im przeszkodziło, pukanie do drzwi, jakieś huki w sąsiednim pokoju, ponuro wyjące rury. Już wtedy Oliveira opowiedział Madze historię Troppmanna, słuchała tuląc się do niego, będzie trzeba przeczytać opowiadanie Turgieniewa, nie do wiary, ile przez te dwa lata trzeba będzie przeczytać (dlaczego akurat dwa, nie miał pojęcia); innego dnia to był Petiot, innego Weidmann, jeszcze innego Christie, hotele prawie zawsze zachęcały go do mówienia o zbrodniach, ale i Magę ogarniały nagle fale powagi, z oczami utkwionymi w sufit informowała się czy malarstwo sjeneńskie było aż tak wspaniałe, jak twierdził Etienne, czy nie należałoby zacząć oszczędzać na adapter i nagrania Hugo Wolfa, którego czasami nuciła, przerywając w połowie, zagubiona i zła.

Oliveira lubił sypiać z Magą, bo nie było dla niej ważniejszej rzeczy, jakkolwiek, w jakiś niezrozumiały sposób, znajdowała się równocześnie niejako pod poziomem własnej rozkoszy, dosięgała jej na krótką chwilę zaledwie i czepiała się jej rozpaczliwie, chcąc ją

przedłużyć - to było, jakby ktoś budząc się, poznał nagle swoje prawdziwe imię - po czym znowu opadała w strefę pełną mroku, co zachwycało Oliveirę, nie ufającego doskonałościom. Maga natomiast rzeczywiście cierpiała, wracając do swoich wspomnień, do myślenia o tym, czego podświadomie potrzebowała, choć nie chciała myśleć, wtedy trzeba było całować ją, podniecać do dalszej gry, a kiedy już inna, już pogodzona, nagle wykwitała pod nim, porywała go, oddając mu się frenetycznie, jak zwierzę, z oczami uciekającymi, z konwulsyjnie wykręconymi rękami, mityczna i dzika, statua tocząca się z góry, szarpiąca czas pazurami wśród czkawki, wśród nie kończącego się jęku. Którejś nocy wbiła w niego zęby, ugryzła go w ramię do krwi za to, że oddalał się od niej, trochę zagubiony, i wtedy powstał między nimi niejasny pakt bez słów: Horacio poczuł, że Maga oczekuje od niego śmierci, może nie ona, ale coś w niej, co nie było jej własnym przebudzonym „ja", a raczej jakąś ciemną formą, żądającą powolnego wbijania weń noża, unicestwienia, które by - podczas gdy leżała na wznak - kazało zapaść się gwiazdom na niebie, a wszechświat zwróciło pytaniom i przerażeniom.

Tylko tamtym razem, niby mityczny matador, dla którego zabijać znaczyło zwracać byka morzu, morze zaś niebu, zadręczył ją w czasie długiej nocy, do której nie wracali więcej w rozmowie, zmienił ją w Pazyfae, otworzył i posiadł jak chłopca, upokorzył jak najnędzniejszą z kurw, wzniósł do gwiazd i trzymał w ramionach pachnącą krwią, każąc jej pić nasienie cieknące po ustach niby wyzwanie rzucone Logosowi, wysączył każdy cień z jej brzucha, z jej bioder, a potem wzniósł się do twarzy, aby namaścić ją nią samą, w tym ostatnim akcie wtajemniczenia, które tylko mężczyzna może dać kobiecie. Rozjątrzył ją do ostatka skórą, włosami, śliną, odebrał resztę jej wspaniałych sił, cisnął nią o poduszki, o prześcieradła, i usłyszał jak płacze ze szczęścia z twarzą przy jego twarzy, którą nowy papieros wydobywał z mroku hotelowego pokoju.

Później zatroskał się, że poczuje się zbyt obdarowana, że igraszki wzniosą się na szczebel świętości. Przede wszystkim obawiał się tej specyficznej formy wdzięczności, która niepostrzeżenie zmienia się w przywiązanie. Nie chciał, ażeby niezależność - jedyny ubiór pasujący do Magi - zagubiła się w skwapliwej kobiecości. Uspokoił się, kiedy Maga, przenosząc się na płaszczyznę kawy i bidetu, okazała swoje kompletne zagubienie: w zbrutalizowaną tej nocy bez reszty, w otoczoną przez porowatą, pulsującą, wszechogarniającą przestrzeń, pierwsze jego słowa powinny były uderzyć jak bicze; tymczasem powrót jej w strefę łóżka (obraz wzrastającej konsternacji, pragnącej zneutralizować się za pomocą uśmiechów i niepewnych nadziei) w pełni go zadowolił. Przyjąwszy, że jej nie kocha,

przyjąwszy, że pragnienie wyczerpie się (bo nie kocha jej, a pragnienie się wyczerpie), postanowił unikać wszelkiego namaszczenia w tych igraszkach.

W ciągu dni, tygodni, miesięcy, każdy pokój hotelowy i każdy plac, każda poza miłosna i każdy świt w kafejce koło hal stały się okrutnym cyrkiem, pełną zimnej przytomności, wyważoną, acz subtelną operacją.

Na dalszym etapie tej drogi okazało się, że Maga rzeczywiście czekała na śmierć z jego ręki, śmierć, która miała być śmiercią feniksa, dopuszczeniem jej do obrad filozofów, czyli rozmów w Klubie Węża; Maga chciała uczyć się, chciała być wy-kształ-co-na, Horacio był wymarzonym, powołanym, wybranym na kapłana; uznawszy, że w trakcie rozmowy nie byli w stanie się spotkać, tak byli różni i tak odmienne sprawy ich zajmowały (to wiedziała, to rozumiała aż zanadto dobrze), jedynie w śmierci naprawdę mogli być razem, jedynie w śmierci pośród miłości miała szansę mu sprostać; tam, pod niebem hotelowych pokoi, byli równi, byli nadzy, i tam dopiero mogło dokonać się prawdziwe zmartwychwstanie feniksa. Kiedy dławiąc ją rozkoszą, patrzył na nią ekstatycznie, jakby dopiero teraz ją pojmował, dopiero teraz ją przyjmował jako swoją, przeciągał ją na swój brzeg.

6

Technika polegała na oznaczeniu tylko dzielnicy i pory. Lubili wyzywać los, ryzykować, że nie spotkają się i spędzą dzień zasmuceni w kawiarni lub na jakimś placu, czytając „jedną książkę więcej". Teoria „jednej książki więcej" należała do Oliveiry, Maga przejęła ją wyłącznie przez osmozę, w rzeczywistości dla niej była to bowiem zawsze „jedna książka mniej", jak gdyby musiała zaspokoić olbrzymie pragnienie i w nieograniczonym (sytuującym się między trzema a pięcioma latami) okresie czasu przeczytać *opera omnia* Goethego, Homera, Dylana Thomasa, Mauriaca, Faulknera, Baudelaire'a, Roberta Arlta, świętego Augustyna i tych wszystkich, których nazwiska zaskakiwały ją w czasie klubowych konwersacji. Na co Oliveira odpowiadał pogardliwym wzruszeniem ramion i zaczynał mówić o deformacjach znad La Płaty, o rasie czytelników *full-time,* o bibliotekach pełnych przemądrzałych *bas-bleu,* niewiernych ani słońcu, ani miłości, o domach, z których woń farby drukarskiej wygoniła wesoły zapach czosnku. W owym czasie sam niewiele czytał, zajęty patrzeniem na drzewa, sznurkami leżącymi na ziemi, pożółkłymi filmami z iluzjonu i kobietami z Dzielnicy Łacińskiej. Jego nieokreślone ciągoty intelektualne rozłaziły się w bezpożytecznych medytacjach, tak że kiedy Maga prosiła go o pomoc, pytała o jakąś datę, wytłumaczenie, robił to niechętnie, jak coś niepotrzebnego. „Bo ty to już wiesz" - mówiła dotknięta. Wtedy wykazywał jej różnicę pomiędzy „wiedzieć" a „rozumieć" i proponował ćwiczenie się w samodzielnym myśleniu, czego nie chciała; doprowadzało ją to do rozpaczy.

Zgodni, że na tym terenie nie spotkają się nigdy, umawiali się w mieście i prawie zawsze się spotykali, a spotkania te były nieraz tak nieprawdopodobne, że po raz nie wiem który Oliveira zastanawiał się nad teorią prawdopodobieństwa, nicując ją na wszystkie strony.

Było niemożliwe, żeby Maga zdecydowała się skręcić na rue de Vaugirard akurat w tym samym momencie, w którym on o pięć ulic dalej rezygnował z pójścia prosto ulicą de Buci i bez żadnego powodu skręcał w kierunku rue Monsieur-le-Prince, wlokąc się powoli aż do chwili, gdy nagle poznawał ją przed jakąś witryną, zatopioną w kontemplacji wypchanej małpki.

Siedząc w kawiarni, drobiazgowo rekonstruowali swoje marszruty, nagłe zwroty, usiłując wytłumaczyć je - zawsze bezskutecznie - telepatią. Bo przecież udało im się spotkać w labiryncie ulic (to udawało im się prawie zawsze!), więc śmiali się do rozpuku, przekonani, że są obdarzeni jakąś nadprzyrodzoną siłą, Oliveirę fascynowały bzdury, które plotła Maga, jej spokojna pogarda dla najelementarniejszych wyliczeń. To, co dla niego było analizą

prawdopodobieństwa, kwestią wyboru lub po prostu różdżkarstwem - dla niej zmieniało się zawsze w fatalizm.

- A gdybyś mnie nie była spotkała? - pytał.

- No, ale cię właśnie spotkałam...

Niewytłumaczalnie odpowiedź unieszkodliwiała pytanie, wykazywała ubóstwo jego logicznych sprężyn. Po takim zdarzeniu Oliveira czuł się zdolniejszy do walki z jej przesądami na temat lektur, Maga zaś - paradoksalnie - buntowała się przeciw jego pogardzie dla szkolnych wiadomości.

Tak to sobie żyli Punch i Judy, przyciągając się i odpychając jak należy, o ile nie chce się, aby miłość stwardniała na metal albo zmieniła się w romans bez słów. Ale miłość, takie słowo...

7

Dotykam twoich ust, palcem dotykam brzegu twoich ust, rysuję je tak, jakby wychodziły spod mojej ręki, jakby po raz pierwszy twoje usta miały się otworzyć, i wystarczy, bym zamknął oczy, aby zmazać to wszystko i zacząć od nowa; za każdym razem tworzę usta, których pragnę, usta wybrane pośród wszystkich, w absolutnej wolności przeze mnie wybrane, aby moja ręka narysowała je na twojej twarzy, a które przez niezrozumiały dla mnie przypadek dokładnie odpowiadają twoim ustom, uśmiechającym się pod moimi palcami.

Patrzysz na mnie, patrzysz na mnie z bliska, jeszcze bardziej z bliska, oczy powiększają się, zbliżają do siebie, nakładają jedno na drugie, cyklopi patrzą sobie w oczy łącząc oddechy, usta odnajdują się i łagodnie walczą gryząc się w wargi, leciutko opierając języki o zęby, igrają wśród tego terenu, gdzie przelewa się tam i z powrotem powietrze, pachnące starymi perfumami i ciszą. Wtedy moje ręce zanurzają się w twoich włosach, pieszczą powoli głąb twych włosów, podczas gdy całujemy się, jakbyśmy mieli usta pełne kwiatów czy też ryb o szybkich ruchach, o świeżym zapachu.

I jeżeli całujemy się aż do bólu - jest to słodycz, a jeżeli dusimy się w krótkim, gwałtownym, wspólnie schwyconym oddechu - ta sekundowa śmierć jest piękna.

Jedna tylko jest ślina, jeden zapach dojrzałego owocu, kiedy czuję, jak drżysz koło mnie niby księżyc odbijający się w wodzie.

(8)

8

Po południu chodziliśmy oglądać ryby przy Quai de la Mégisserie, w marcu, miesiącu-lamparcie, jeszcze rzyczajonym, ale już pożółconym słońcem, w które czerwień włączała się codziennie mocniej. Idąc chodnikiem po stronie rzeki, obojętnie mijając bukinistów, od których nic nie dostanie się bez pieniędzy, oczekiwaliśmy chwili, gdy dojrzymy wielkie słoje (szliśmy wolno, opóźniając spotkanie) słoje, wszystkie stojące w słońcu, a w nich - jakby zawieszone w przestrzeni, setki różowych i czarnych ryb, spokojnych ptaków w ich kulistym powietrzu. Absurdalna radość chwytała nas wpół, śpiewałaś, ciągnąc mnie, aby przejść na drugą stronę ulicy, aby wniknąć do świata wiszących w powietrzu ryb.

Wystawiają te słoje, te małe akwaria na ulicę, i pośród turystów, zaciekawionych dzieci i pań zbierających egzotyczne osobliwości (550 *francs pièce)* stoją tam na słońcu zamknięte przestrzenie wodne, które słońce miesza z powietrzem, one zaś, ptaki różowe i czarne, wirując łagodnie, tańczą w małym kawałku powietrza, powolne, zimne ptaki. Patrzyliśmy na nie, bawiąc się przybliżaniem oczu do szkła, przylepianiem do niego nosów, irytowaniem starych handlarek uzbrojonych w siatki do łowienia ważek, za każdym razem mniej rozumiejąc, czym jest ryba, a przez owo „mniej rozumiejąc" zbliżając się do nich, które nie rozumieją także. Uwalnialiśmy je ze słojów, równie im bliscy, jak nasza przyjaciółka, sprzedawczyni z drugiego sklepu od Pont-Neuf, która kiedyś wyznała ci: „Zabija je zimna woda. Zimna woda - jakie to smutne..." - Ja zaś myślałem o pokojówce z hotelu, która dawała mi rady na temat paproci: „Nie należy podlewać jej, trzeba podstawić spodeczek z wodą pod doniczkę, wtedy, jak jej chce się pić - to pije, a jak jej się nie chce, to nie pije..." I myśleliśmy o tej nieprawdopodobnej rzeczy, którą przeczytaliśmy, że ryba, samotna w swoim słoju - smutnieje, a kiedy jej włożyć lusterko - znów robi się wesoła...

Wchodziliśmy do sklepów, gdzie delikatniejsze gatunki miały specjalne akwaria z termometrami i czerwonymi robaczkami. Wśród okrzyków, które wzbudzały wściekłość handlarek, pewnych, że nic u nich nie kupimy, *à 550 francs pièce,* odkrywaliśmy ich obyczaje, miłość, kształty. Czas rozpływał się jak czekolada, jak pomarańczowy krem z Martyniki, ów czas, w którym upijaliśmy się metaforami, analogiami, szukając drogi. Ta ryba - to zupełnie Giotto, pamiętasz? A te dwie, co się tam bawią - jak pieski z jaspisu; a ta - podobna do cienia fioletowej chmury... Odkrywaliśmy, jak życie umieszcza się w formach pozbawionych trzeciego wymiaru; że znikają, jeśli ustawiają się przodem, zostawiając w wodzie najwyżej różową, nieruchomą, prostopadłą kreseczkę. Jeden ruch płetw - i znowu są,

z oczami, wąsami, płetwami i brzuchem, z którego czasem wypływa, a potem chwieje się w wodzie, nie mogąc się oderwać, przejrzysta tasiemeczka ekskrementów - ciężar, który kładzie się nagłe między nami, wyrywa je z ich obrazkowej doskonałości, kompromituje, żeby zastosować jedno z tych wielkich słów, których tyle się wszędzie ostatnio używa.

(93)

9

Ulicą de Varennes doszli aż do rue Vaneau. Mżyło, a Maga jeszcze mocniej uwiesiła się u ramienia Oliveiry, przytuliła się do jego nieprzemakalnego, pachnącego zimną zupą płaszcza. Etienne i Perico rozmawiali o możliwości objaśniania świata poprzez malarstwo i słowo. Znudzony, Oliveira objął Magę wpół. To także mogło być tłumaczenie; ręka obejmująca czyjąś talię ciepłą i szczupłą; idąc czuło się delikatną grę mięśni, niby język monotonny i uporczywy, jakiś uparty Berlitz: Ko-cham, ko-cham, ko-cham. Nie wytłumaczenie: po prostu czasownik ko-chać, ko-chać. „A potem zawsze kopulacja" - pomyślał gramatycznie. Gdybyż Maga mogła zrozumieć, jak nagle rozwścieczała go uległość w stosunku do własnego pragnienia, „posłuszeństwo samotne i niepotrzebne" - powiedział poeta, taka ciepła kibić, wilgotne włosy tuż obok jego policzka, sposób à la Toulouse-Lautrec, w jaki szła tuląc się do niego.

Na początku była kopulacja. Gwałcić - to znaczy tłumaczyć, tyle że nie zawsze vice versa. Odkryć system anty-tłumaczeniowy, żeby „ko-cham, ko-cham" było na przykład piastą u koła... A czas? Wszystko powraca, nie ma absolutu. Potem można jeść czy też pościć, wszystko musi wrócić do krytycznego punktu wyjścia.

Pragnienie co kilka godzin, niby nie tak bardzo różne, a za każdym razem co innego: pułapka czasu w celu tworzenia złudzeń. „Miłość jak ogień, płonąc wiecznie w rozpamiętywaniu Wszystkiego. Ale natychmiast wpada się w egzaltowany styl".

- Tłumaczyć, tłumaczyć - zrzędził Etienne. - Jeżeli czegoś nie nazwiecie, to nawet tego nie widzicie. To się nazywa dom, a to się nazywa pies, jak zwykł mawiać ten facet z Duino. Słuchaj, Perico, trzeba pokazywać, a nie tłumaczyć. Maluję, ergo jestem.

- Co pokazywać? - zapytał Perico Romero.

- Jedyne uzasadnienia naszej egzystencji.

- To zwierzę uważa, że istnieje tylko wzrok i to, co mu się zawdzięcza - zauważył Perico.

- Malarstwo jest nie tylko produktem wzroku - powiedział Etienne. - Ja maluję całym sobą, w tym sensie nie jestem tak daleki od twojego Cervantesa czy Tirsa de... nie wiem skąd. Co mnie wścieka, to ta mania tłumaczeń; Logos rozumiane wyłącznie jako słowo.

- Et cetera - wtrącił rozdrażniony Oliveira. - Mówicie o zmysłach, a wasza rozmowa brzmi jak dialog głuchych.

Maga przytuliła się do niego mocniej. „Teraz ta wyjedzie z jakąś bzdurą - pomyślał Oliveira. - Najpierw musi się otrzeć, zdecydować się epidermicznie". Poczuł pełne pretensji rozczulenie, coś już w założeniu tak sprzecznego, że powinno było być samą prawdą. „Trzeba by wynaleźć słodki policzek, pieszczotliwego kopniaka. Ale cóż, na tym świecie nie odkryto jeszcze ostatecznych syntez. Ma rację Perico. Wielki Logos czuwa. Szkoda, przydałoby się na przykład miłościobójstwo, prawdziwe czarne światło, antymateria, która tyle daje do myślenia Gregoroviusowi".

- Gregorovius nie przyjdzie na płyty? - zapytał. Perico był zdania, że tak, Etienne był zdania, że Mondrian...

- Popatrz no, bracie, na Mondriana - mówił. - Przy nim nie liczą się żadne magiczne znaki Klee. Klee igra z przypadkiem, korzysta z dobrodziejstw kultury, ale czystą wrażliwość może zaspokoić tylko Mondrian, bo Klee wymaga kupy innych rzeczy; przerafinowany i dla przerafinowanych, prawdziwy Chińczyk. Mondrian maluje absolut: stajesz sobie naprzeciwko zupełnie nagi, i jedno z dwojga: widzisz albo nie widzisz. Przyjemnostki, łaskotki, aluzje, przerażenia i rozkosze są zupełnie zbędne.

- Rozumiesz, o co mu idzie? - spytała Maga.

- Wydaje mi się, że jest niesprawiedliwy w stosunku do Klee.

- Ani sprawiedliwość, ani niesprawiedliwość nie mają tu nic do roboty - odparł znudzony Oliveira. - On chce co innego powiedzieć. Nie traktuj od razu wszystkiego jako sprawy osobistej.

- Ale dlaczego mówi, że te wszystkie cudowne rzeczy są niepotrzebne Mondrianowi?

- Mówi, że w gruncie rzeczy malarstwo à la Klee wymaga doktoratu z literatury, a w najgorszym razie z poezji, a Mondrian uczy mondrianizować, i już.

- Wcale nie o to chodzi - powiedział Etienne.

- Właśnie, że o to - powiedział Oliveira. - Podług ciebie płótno Mondriana jest samowystarczalne. Ergo potrzebuje bardziej twojej niewinności niż twojego doświadczenia. Mówię o rajskiej niewinności, nie o głupocie. Cała twoja metafora o staniu nago naprzeciw obrazu aż śmierdzi preadamizmem. Jakkolwiek brzmi to jak paradoks, Klee jest o wiele skromniejszy, bo wymaga wielorakiego wspólnictwa patrzącego, nie jest samowystarczalny. W gruncie rzeczy Klee jest historyczny, a Mondrian pozaczasowy. A ty przepadasz za absolutami. Dobrze cię odczytałem?

- Nie - odparł Etienne. - *C'est vache comme il pleut*[3].

- Mowa - zauważył Perico. - Ten kurewski Ronald rzeczywiście mieszka u cholery.

[3] *C'est vache...* (franc.) - Pada ¡ak cholera.

- Chodźmy prędzej - powiedział Oliveira naśladując czysto hiszpański akcent - rzecz w tym, ażeby uchronić nasze ciała przed nadchodzącym dżdżem.

- Już wolę deszcz i twoje normalne argentyńskie gadanie. Umie sobie popadać w Buenos Aires, co, *coño?*

- Absolut... - Maga kopała kamyk z kałuży do kałuży. - Horacio, co to jest absolut?

- To są chwile, kiedy coś osiąga maksimum swoich wymiarów, swojej głębokości, swojego zasięgu, swojego sensu i staje się kompletnie nieinteresujące.

- Idzie Wong - przerwał Perico. - Chińczyk à la zupa z wodorostów.

Niemalże równocześnie spostrzegli Gregoroviusa, wyłaniającego się zza rogu rue de Babylone, z nieodłączną, wypchaną książkami teczką. Razem z Wongiem przystanęli pod latarnią (wyglądało to jakby wspólnie brali prysznic) witając się z ostentacją. W bramie domu Ronalda nastąpiło interludium zamykania parasoli, *comment ça va,* niech no ktoś weźmie zapałkę, światło nie działa, co za potworna pogoda, *oui, c'est vache,* i pełne zamieszania wchodzenie na górę, przerwane na pierwszym podeście przez siedzącą na stopniu, całującą się zapamiętale parę.

- *Allez, c'est pas une heure pour faire les cons!*[4] - powiedział Etienne.

- *Ta gueule* - odparł jakiś zduszony głos - *montez, montez, ne vous gênez pas. Ta bouche, mon trésor.*[5]

- *Salaud, va*[6] - mruknął Etienne - to mój przyjaciel Guy Monod.

Na piątym czekali na nich pachnący tanią wódką Ronald i Babs, każde ze świecą w ręku. Na znak Wonga wszyscy zatrzymali się na schodach, a bluźnierczy hymn Klubu Węża zabrzmiał *a cappella,* po czym wbiegli do mieszkania, zanim zdążyli wyjrzeć sąsiedzi. Ronald oparł się o drzwi, groźnorudy, w kraciastej koszuli.

- Dom otoczony jest przez lornetki, *damn it.* O dziesiątej wieczór zjawia się tutaj Bóg Ciszy i biada temu, co go znieważy. Wczoraj wlazł tu pouczać nas jakiś urzędnik. I co nam oznajmił, Babs?

- Oznajmił, że wniesiono skargę.

- A co my na to? - zapytał Ronald uchylając drzwi, przez które wsunął się Guy Monod.

- A to - Babs pokazała rzecz wymownym ruchem ręki i wydała ustami nieprzyzwoity odgłos.

[4] *Alléz, c'est pas une heure...* (franc. potoczny) - Dajcie spokój, to nie pora na wygłupianie się!
[5] *Ta gueule - montez, montez...* (franc. potoczny) - odczep się - właźcie, właźcie na górę, nie krępujcie się. Daj buzi, skarbie.
[6] *Salaud, va* (franc. potoczny) - precz, łobuzie.

- A twoja dziewczyna? - zapytał Ronald. - Nie mam pojęcia; gdzieś się zgubiła - odparł Guy. - Chyba się wyniosła, głupia, a tak było dobrze na tych schodach... Wyżej też jej nie znalazłem. Zresztą, co tam! Szwajcarka.

(104)

10

Nocą nad Quartier Latin czerwone przygniatające chmury, powietrze wilgotne, drżące jeszcze od kropel wody, popychanych przez leniwy wiatr ku małemu, źle oświetlonemu oknu o brudnych szybach, z których jedna, pęknięta, sklejona jest kawałkiem różowego plastra. Wyżej, pod ołowianymi rynnami, śpią skulone ołowiane gołębie, przykładne antychimery. Przedziurawiony oknem omszały graniastosłup, pachnący wódką i świecami z wosku, mokrymi rzeczami i resztkami jedzenia, mizerne atelier ceramiczki Babs i muzyka Ronalda, siedziba klubu, wyplatane krzesełka, zblakłe leżaki, na ziemi kawałki ołówków i drutu, wypchana sowa z nadgniłym łebkiem, wulgarny, źle grany motyw, stara zdarta płyta, nieustanne skrzypiące drapanie, skrobanie, skrzeczenie, rozpaczliwy saksofon, który jakiejś nocy 28 lub 29 roku grał z lęku przed własną zgubą, podtrzymywany przez instrumenty ze szkolnej orkiestry i byle jaki fortepian. Potem jednak włączył się ostry dźwięk gitary, która wydawała się obwieszczać przejście do czegoś innego, i nagle (Ronald uprzedził ich wznosząc palec w górę) kornet wzbił się ponad inne głosy i wyśpiewał dwie pierwsze nuty nowego tematu, wsparty na nich niby na trampolinie; Bix dał skok w samo serce, czysty rysunek wpisał się w ciszę. Łącząc się i rozdzielając, dwóch umarłych walczyło ze sobą jak bracia, Bix i Eddie Lang (który naprawdę nazywał się Salvatore Mas-saro) grali w piłkę, *I'm coming, Virginia,* gdzie też leży Bix - pomyślał Oliveira - a gdzie Eddie Lang, o ileż mil od siebie ich dwie nicości, które jakiejś przyszłej nocy paryskiej miały walczyć gitara przeciw trąbce, dżin przeciw złemu losowi, jazz.

- Dobrze tu, ciemno, ciepło.

- Co za genialny wariat z tego Bixa. Nastaw *Jazz me Blues,* stary.

- Wpływ techniki na sztukę - powiedział Ronald zanurzając ręce w stosie płyt, przeglądając tytuły. - Ci sprzed longplayów mieli zaledwie trzy minuty na nagranie. Teraz przychodzi taki cwaniak jak Stan Getz i rąbie ci 25 minut przed mikrofonem, może pokazać co chce, wszystko, co ma najlepsze. Biedny Bix musiał się zadowolić jedną solówką i tyle; jeszcze się nie rozgrzali - ciach, i już po krzyku. Co to musiała być za męka, takie nagrywanie...

- Przesadzasz - mruknął Perico. - Po prostu pisali sonety, a nie ody, zresztą guzik się na tym wszystkim rozumiem. Przyszedłem, bo już mam potąd siedzenia w do mu nad Julianem Marias. To nie ma końca.

11

Gregorovius pozwolił nalać sobie wódki i zaczął popijać małymi łyczkami. Na kominku, gdzie Babs trzymała pończochy i butelki piwa, dopalały się dwie świece. Poprzez szklankę Gregorovius podziwiał oderwane kawałki świec, tak obce im, tak anachroniczne, jak kornet Bixa, wynurzający się z jakiegoś odmiennego czasu. Przeszkadzały mu buty Guy Monoda, który spał na tapczanie, a może po prostu słuchał z zamkniętymi oczami. Maga, z papierosem w ustach, usiadła na ziemi. Płomienie zielonych świec odbijały się jej w oczach. Gregorovius patrzył na nią w zachwycie, przypominając sobie ulicę w Morlaix o zmierzchu, wysoki wiadukt, chmury.

- To światło jest jak pani, w ciągłych przypływach i odpływach, w ciągłym ruchu...

- Jak cień Horacia - powiedziała Maga. - To mu nos rośnie, to maleje, nie do wiary...

- Babs jest pasterką cieni - powiedział Gregorovius. - Jak się ma do czynienia z gliną... Te konkretne cienie... Tu wszystko jakoś oddycha, nawiązują się zatracone kontakty, muzyka pomaga, i wódka, i przyjaźń... Na przykład te cienie na gzymsach... Ten pokój ma płuca, pulsuje... A elektryczność jest eleatyczna: raz na zawsze unieruchomiła nam cienie, które teraz są nierozłączną częścią mebli, twarzy... Tymczasem tutaj... Niech pani spojrzy na ten gzyms, na oddech jego cienia, na tę spiralę, która wznosi się i opada. Dawniej człowiek żył wśród miękkości nocy, wśród jej przenikliwości, w ciągłym z nią dialogu. Strachy. Co za luksus dla wyobraźni.

Złożył ręce odstawiając duże palce: na ścianie pies otworzył pysk i zaczął poruszać uszami. Maga śmiała się. Wtedy Gregorovius zaczął pytać ją o Montevideo, pies rozpadł się nagle, bo Osip miał chwilę wahania, czy aby na pewno jest Urugwajką. Lester Young i Cansas City Six. Ććć... (Ronald z palcem na ustach).

- Urugwaj... Dla mnie to tak dziwnie brzmi... W Montevideo musi być pełno wież i dzwonów, które wytopiono po bitwach. I niech pani nie mówi, że nie ma tam na brzegach rzeki olbrzymich jaszczurek.

- Ależ naturalnie - przytaknęła Maga - widać je, jak się jedzie autobusem do Pocitos.

- A w Montevideo wszyscy znają Lautreamonta?

- Lautreamonta? - zapytała Maga.

Gregorovius westchnął i pociągnął łyk wódki. Lester Young - saxtenor, Dickie Wells - puzon, Joe Bushkin - fortepian, Bill Coleman - trąbka, John Simmons - kontrabas, Jo Jones - perkusja. *Four O'clock Drag.* Tak, wielkie jaszczurki, puzony nad samym brzegiem rzeki,

ciągnący się blues, z pewnością *drag* znaczy jaszczurka czasu, nieskończenie przeciągające się trwanie czwartej nad ranem. Albo zupełnie coś innego. „Och, Lautréamont - mówiła Maga, nagle coś sobie przypomniawszy. - Tak, mam wrażenie, że jest bardzo znany".

- Wbrew pozorom był Urugwajczykiem.

- Rzeczywiście trudno w to uwierzyć - rehabilitowała się Maga.

- W gruncie rzeczy, Lautréamont... ale Ronald się złości, nastawił jedno ze swoich bożyszcz. Trzeba przestać gadać, jaka szkoda! Albo mówmy cichutko. Niech mi pani powie coś o Montevideo.

- *Oh, merde alors* - przerwał Etienne patrząc na nich ze złością. Wibrafon drżał w powietrzu, błądził po nieznanych schodach, omijał jeden stopień, przeskakiwał pięć następnych, zjawiał się gdzieś wysoko, Lionel Hampton kołysał *Save It Pretty Mamma,* urywał i upadał, błądząc wśród szkła, wirując na czubkach palców, błyskawiczne konstelacje, pięć gwiazdek, trzy gwiazdki, dziesięć, gasił je czubkiem pantofla, chwiał się z japońską parasoleczką w ręku, cała orkiestra wchodziła w finał, zagniewana trąbka, ziemia, zjazd w dół, woltyżer na ziemi, *finibus,* skończyło się.

Gregorovius via Maga łykał szeptane Montevideo, może wreszcie dowie się o niej czegoś więcej, o jej dzieciństwie, czy rzeczywiście nazywa się Luisa... Był po tylu wódkach, po ilu noc staje się wielkoduszna, wszystko poprzysięgało mu wierność i nadzieję, Guy Monod podkurczył nogi i jego twarde buty przestały wbijać się Gregoroviusowi w tyłek, Maga opierała się o niego lekko, czuł ciepło jej ciała, każdy ruch, który robiła mówiąc lub też słuchając muzyki. Przez przymrużone oczy widział kąt pokoju, w którym Ronald i Wong wyszukiwali i nastawiali płyty, Oliveirę i Babs na podłodze, opartych o eskimoską skórę przybitą do ściany; Oliveirę miarowo kołyszącego się wśród dymu, Babs zagubioną w wódce, w zaległym komornym, w jakichś farbach, które nawalały przy trzystu stopniach, niebieski rozlewał się, robiły się pomarańczowe plamy, nie do zniesienia. Za zasłoną dymu wargi Oliveiry poruszały się bezgłośnie, mówił do wewnątrz, mówił wstecz, do czegoś, co niedostrzegalnie, powoli skręcało Gregoroviusowi kiszki, nie wiadomo dlaczego, może dlatego, że ta jego niby-nieobecność była czystą farsą, zostawiał mu Magę, aby się z nią pobawił, ale ciągle był, poruszał milcząco wargami, rozmawiał z nią poprzez dym, poprzez jazz, śmiejąc się w duchu z tego ich Lautréamonta, z tego ich Montevideo.

12

Gregorovius lubił zebrania klubu, gdyż nie był to właściwie żaden klub, raczej coś, co odpowiadało jego najlepszym wyobrażeniom na ten temat. Lubił Ronalda za jego anarchię, za Babs, za sposób, w jaki starannie zabijali się nie zwracając na to najmniejszej uwagi, pochłonięci czytaniem Carson McCullers, Mulera, Raymonda Queneau, jako skromne ćwiczenie „wyzwalania się" stosując jazz, przyznając bez ogródek, że żadne z nich daleko nie zajechało na gruncie artystycznym. Lubił - jeżeli można to tak nazwać - Horacia Oliveirę i łączący ich antywzajemny stosunek; obecność Oliveiry doprowadzała go bowiem do rozpaczy w tej samej sekundzie, w której wreszcie go spotkał, po długim, przed samym sobą ukrywanym szukaniu. A Horacia bawiły i tanie tajemnice, w jakie Osip owijał swoje pochodzenie oraz sposób życia, i to, że zakochany w Madze, wyobrażał sobie, iż on, Horacio, o tym nie wie; obaj uznawali się i odrzucali jednocześnie, w jakimś rodzaju ryzykownej korridy, która była jeszcze jednym z niezliczonych ćwiczeń, usprawiedliwiających istnienie klubu. Wysilali się na udawanie inteligentnych, na preparowanie całych serii aluzji, którymi do rozpaczy doprowadzali Magę, a do wściekłości Babs. Wystarczyło im zresztą byle głupstwo, tak jak w tej chwili, kiedy Gregorovius pomyślał, że rzeczywiście istniało między nimi coś, co można by nazywać „rozczarowanym prześladowaniem", i w tym samym momencie jeden z nich zaczął recytować *I fled him* etc., drugi zaś (podczas gdy Maga patrzyła na nich z pokorną rozpaczą) już był przy „wzleciałem tak wysoko, że dosięgłem łupu" i kończyli, śmiejąc się z siebie wzajemnie. Ale już było za późno, bo Horacia ogarniał wstręt do tego popisywania się zdolną do skojarzeń pamięcią, Gregorovius zaś natychmiast czuł się włączony w ten wstręt (który sam pomagał wzbudzić), i pełni urazy, niby wzajemnie rozczarowani wspólnicy, w dwie minuty później zaczynali to samo od początku. I takie historie, między innymi, były treścią zebrań klubu.

- Rzadko kiedy piłem tu tak złą wódkę - powiedział Gregorovius nalewając sobie kieliszek. - Luisa, miała mi pani opowiedzieć o swoim dzieciństwie... Wyobrażam sobie panią nad brzegiem rzeki, warkoczyki i rumieńce... Takie kolory mieli moi rodacy z Transylwanii, póki nie zbledli w klimacie tej przeklętej Lutecji.

- Lutecji? - zdziwiła się Maga.

Gregorovius westchnął i zaczął tłumaczyć, ona zaś słuchała pokornie i pilnie, jak to robiła zawsze aż do chwili, gdy jakiś incydent, rozpraszając uwagę, wybawiał ją wreszcie. I teraz właśnie Ronald nastawił jakąś starą płytę Hawkinsa, a Maga zdawała się urażona, bo

wyjaśnienia nie pozwalały jej słuchać muzyki, nie były zaś aż tak pasjonujące, jak zawsze tego oczekiwała - łaskotanie po skórze, potrzeba chwytania oddechu równie głębokiego, jaki musiałby zaczerpnąć Hawkins, aby raz jeszcze rozpocząć tę samą melodię, albo jaki czasem brała ona, kiedy Horacio zniżał się do tłumaczenia jej niejasnego wiersza, na co zaraz nakładała się ta druga, cudowna niejasność, w której - gdyby zamiast Gregoroviusa Horacio tłumaczył jej teraz sprawy Lutecji - wszystko zlewałoby się w jedno płynne szczęście, muzyka Hawkinsa, Lutecja i jej mieszkańcy, światło zielonych świec, łaskotanie, głęboki oddech, który był jedyną niezachwianą pewnością, czymś porównywalnym tylko do Rocamadoura albo do ust Horacia, albo jeszcze czasem do *adagia* Mozarta, którego właściwie już nie można było słuchać, tak zdarta była ta płyta.

- Niech pani nie będzie taka... - pokornie powiedział Gregorovius. - Po prostu chciałem lepiej poznać pani życie, to coś w pani, co ma tyle twarzy.

- Moje życie... - powiedziała Maga. - Nie umiałabym mówić o nim nawet po pijanemu. I wcale by mnie pan lepiej me zrozumiał, gdyby poznał pan moje dzieciństwo. W dodatku... ja w ogóle nie miałam dzieciństwa.

- Ani ja. W Hercegowinie.

- A ja w Montevideo. Coś panu powiem. Czasem mi się śni szkoła i to jest coś tak potwornego, że budzę się z krzykiem. Albo piętnaście lat... Czy miał pan kiedyś piętnaście lat?

- Chyba - powiedział niepewnie Gregorovius.

- Ja miałam; w domu, gdzie na patio było pełno doniczek, a ojciec popijał mate i przeglądał pornograficzne pisma. Wraca do pana czasem ojciec?... Chciałam powiedzieć: duch ojca...

- Nie, już raczej matka - powiedział Gregorovius

- przeważnie ta z Glasgow. Moja mama z Glasgow wraca czasem, ale nie jako duch. Takie jakieś wilgotne wspomnienie. To wszystko. Mija po zażyciu alka-seltzer. Właściwie dość łatwo. Więc pani...

- A bo ja wiem - powiedziała ze zniecierpliwieniem. - To ta muzyka, te zielone świece, Horacio tam w kącie zupełnie jak Indianin. Po co mam panu to opowiadać? No więc parę dni temu siedziałam sobie i czekałam na Horacia, już zapadła noc, siedziałam koło łóżka, a na dworze lało, trochę jak na tej płycie. Tak, trochę tak było i ja patrzyłam na łóżko, i czekałam na Horacia, a kapa była tak jakoś położona... nie wiem... i nagle zobaczyłam ojca odwróconego do mnie plecami, twarz miał zasłoniętą, taką jak miewał, kiedy się urżnął i szedł spać. Widać było nogi, kształt ręki położonej na piersi, poczułam, że mi włosy stają

dęba, chciałam krzyczeć, no, wie pan, to, co się czuje w takich razach, pan pewno także kiedyś się bał... Chciałam uciekać, drzwi były strasznie daleko, w głębi korytarza i jeszcze jakichś korytarzy, ciągle dalej i dalej, a różowa kapa wznosiła się i opadała, słyszałam jego chrapanie, czekałam, że lada chwila ukaże mi się ręka, oczy, nos jak haczyk, ech, po co o tym gadać, nie warto, w końcu wrzasnęłam tak głośno, że przyszła sąsiadka z dołu i zrobiła mi herbaty. A potem Horacio nawymyślał mi od histeryczek.

Gregorovius głaskał Magę po włosach, a ona pochyliła głowę. „Już" - pomyślał Oliveira rezygnując z akrobacji Dizzy'ego Gillespie bez siatki na najwyższym trapezie. „Już. Musiało się tak skończyć. Oszalał dla tej kobiety i mówi jej to dziesięcioma palcami. Wszystko się powtarza. Dopasowujemy się do zużytych formułek, uczymy się jak idioci już dawno wykutych ról. Przecież to ja sam głaszczę ją po włosach, a ona we mnie wgaduje te swoje sagi znad La Platy, i żal jej - więc trzeba ją wziąć do domu, wszyscy są przecież trochę pijani, trzeba ułożyć ją, upieścić, rozebrać, powoli odpinać guzik po guziku, odpinamy guziki, ściągamy błyskawiczne zamki, a ona nie chce, chce, nie chce, prostuje się, zasłania twarz rękami, płacze, obejmuje nas, jakby nam proponowała coś niesłychanie wysublimowanego, potem sama pomaga ściągnąć majtki, zrzuca pantofle, ruch ten ma w sobie coś z protestu i podnieca nas do ostatnich granic, potworne... ech, potworne... Będę musiał dać ci w mordę mój biedny Osipie, mój biedny przyjacielu. Bez ochoty, ale i bez litości, tak właśnie, jak gra Dizzy. bez litości i bez ochoty, tak, zupełnie bez ochoty, tak jak to, co gra Dizzy".

- Ohyda - wstrząsnął się Oliveira. - Zabierajcie tę płytę. Więcej nie przychodzę do klubu, jeżeli mam słuchać tej tresowanej małpy.

- Łaskawy pan raczy nie lubić bebopu - wycedził sarkastycznie Ronald - chwileczkę, zaraz się panu nastawi coś Paula Whitemana.

- Proponuję kompromis - powiedział Etienne - jak przy każdym głosowaniu. Ronald, skarbie, posłuchajmy Bessie Smith, gołąbki w klatce z brązu.

Ronald i Babs wybuchnęli śmiechem, nie bardzo wiadomo dlaczego, a Ronald zabrał się do szukania w stosie starych płyt. Igła piszczała rozpaczliwie, między głosem a uszami coś poruszało w głębi niezliczone warstwy waty. Bessie zamknięta w koszu z brudną bielizną śpiewała z zawiązanymi ustami, głosem coraz bardziej zdławionym, lepiącym się od brudnych ścierek, błagającym bez złości, ale i bez żebrania *I wanna be somebody 's baby doll,* czepiała się nadziei, głosem z rogu ulicy, głosem z domu pełnego staruszek, *to be somebody's baby doll,* coraz goręcej i pożądliwiej dysząc już *I wanna to be somebody's baby doll...*

Parząc sobie usta wódką, Oliveira objął ramieniem Babs, oparł się o jej wygodne ciało. „Orędownicy" - pomyślał, miękko zagłębiając się w dym. Głos Bessie dopływał do

końca płyty coraz cichszy, teraz Ronald odwrócił bakelitowy (jeżeli to w ogóle jest bakelit) krążek i z tego kawałka zużytej materii po raz nie wiem który odrodził się *Empty Bed Blues,* noc, dwudzieste lata w jakimś kącie Stanów Zjednoczonych, Ronald zamknął oczy, oparte o kolana ręce zaledwie zaznaczały rytm. Wong i Etienne także zamknęli oczy, w pokoju było prawie zupełnie ciemno, tylko skrzyp igły o starą płytę, Oliveira z trudem uświadomił sobie, że to wszystko rzeczywiście się dzieje. „Dlaczego tu, dlaczego klub, dlaczego te głupie ceremonie, dlaczego taki był ten blues, kiedy go śpiewała Bessie? - Orędownicy - pomyślał raz jeszcze kołysząc się wraz z kompletnie pijaną Babs, która słuchając Bessie cicho płakała, wzdrygając się od czasu do czasu w takt lub kontrapunkt, szlochając do środka, ażeby za nic nie oddalić się od tego bluesa pustego łóżka, nazajutrz buty w błocie, nie zapłacone komorne, lęk przed starością, lustro w nogach tapczanu odbijające ranek z popiołu, bluesy, nie kończący się *cafard.* Orędownicy, jedna nierzeczywistość ukazująca nam drugą; namalowani święci, wskazujący palcem na niebo, którego nie ma. Niemożliwe, żeby to było naprawdę, niemożliwe, żebyśmy byli tacy, tutaj, niemożliwe, żebym ja był kimś, kto się nazywa Horacio. Ten duch tutaj, ten głos umarłej Murzynki, która dwadzieścia lat temu zginęła w wypadku samochodowym: ogniwa nie istniejącego łańcucha. Jakim cudem tu jesteśmy, jak mogliśmy spotkać się tu dzisiaj, jeżeli nie przez prostą grę złudzeń, reguł przyjętych i uznanych, talia kart w ręku obłąkanego...”

- Nie płacz - szepnął do ucha Babs - nie płacz, Babs, to wszystko nieprawda.

- Och, prawda, prawda, prawda - odparła wycierając nos - to niestety prawda.

- Mogłaby być - powiedział całując ją w policzek - ale nie jest.

- Jak te cienie - połykała łzy, poruszając ręką na lewo, na prawo - i tak jakoś smutno, Horacio. Właśnie dlatego, że wszystko jest takie piękne.

Czyż wszystko to jednak - śpiew Bessie, gruchanie Colemana Hawkinsa - nie były złudzenia lub coś jeszcze gorszego: złudzenia innych złudzeń, łańcuch zawrotnie pędzący wstecz, aż do małpy przeglądającej się w wodzie pierwszego dnia stworzenia? Ale Babs płakała, Babs mówiła: „Och, prawda, prawda, prawda” - więc Oliveira także trochę pijany czuł, że była w tym jakaś prawda, że Bessie i Hawkins to były złudzenia, bo tylko złudzenia miały moc poruszania wiernych, złudzenia, nie prawdy. I jeszcze więcej, istniało orędownictwo, przez te złudzenia można było dotrzeć dalej, na inny plan, do jakiejś niewyobrażalnej strefy, o której nie należało myśleć, bowiem myślenie unicestwiało ją w tym samym momencie, w którym określało jej granice. Jakaś ręka z dymu prowadziła go za rękę, zachęcała do schodzenia, jeśli było to schodzenie, ukazywała środek, jeżeli to był środek, w żołądku - gdzie wódka grzała łagodnie, tworząc kryształowe bąbelki - czuł to, co inne

złudzenie, piękne i rozpaczliwe, w pewnym momencie nazwało nieśmiertelnością. Zamknąwszy oczy zdał sobie sprawę, że jeżeli ich nędzny rytualik zdołał tak wybebeszyć go, ażeby lepiej ukazać mu środek, przenicować go kierując równocześnie ku jakiemuś innemu niepojętemu środkowi, może nie wszystko było stracone i może kiedyś, w innych okolicznościach, po wielu próbach, dojście byłoby możliwe. Ale dojście dokąd i po co? Był zbyt pijany, aby ustalić choćby roboczą hipotezę, aby wyobrazić sobie choćby cień tej drogi. Nie był dość pijany, aby przestać myśleć, a to nędzne myślenie wystarczało mu jednak, aby czuć, że oddala się od czegoś zbyt dalekiego i zbyt cennego, aby mogło mu się ukazać poprzez otępiająco-przychylne mgławice: mgławicę-Magę, mgławicę-wódkę, mgławicę-Bessie Smith. Zaczął widzieć zielone, przeraźliwie kołujące obręcze, otworzył oczy. Zazwyczaj po tych obręczach zbierało mu się na rzyganie.

(106)

13

W oparach dymu Ronald nastawiał jedną płytę po drugiej, nie zwracając uwagi na życzenia innych; od czasu do czasu Babs podnosiła się z podłogi i także zaczynała grzebać w stosach 78-obrotowych płyt, wybierając pięć albo sześć i zostawiając je w zasięgu ramienia Ronalda, który pochylał się i głaskał ją; wtedy odwracała się z uśmiechem i przysiadała mu na kolanach, ale na chwilę tylko, aby nie przeszkadzać mu słuchać *Don't play me cheap.*

Satchmo śpiewał *Don't play me cheap, because I look so meek,* Babs kręciła się na kolanach Ronalda podniecona śpiewem Satchma. Temat był dość wulgarny, aby pozwolić sobie na trochę swobody, na którą Ronald nigdy by się nie zgodził, gdyby Satchmo śpiewał *Yellow Dog Blues* (w dodatku sam sapał jej w kark okropną mieszaniną wódki i kapusty). Ze swojego punktu obserwacyjnego, położonego na szczycie piramidy z dymu, muzyki, wódki, kwaszonej kapusty i rąk Ronalda, które pozwalały sobie na wycieczki w przód, a potem w tył, Babs łaskawie spoglądała ku dołowi: na podłodze widziała Oliveirę opartego o eskimoską skórę na ścianie, palącego i absolutnie już zalanego, z tą jego południowoamerykańską gębą, pełną pretensji i goryczy, w które] usta uśmiechały się od czasu do czasu, między jednym pogwizdywaniem a drugim, wargi Oliveiry, których kiedyś pragnęła (już nie), zaledwie się krzywiły, podczas gdy reszta twarzy była jakby zmyta i nieobecna, choćby nie wiem jak podobał mu się jazz, Oliveira nigdy nie dałby się porwać tak jak Ronald, dla niego byłoby to zawsze dobre albo złe, *bot* albo *cool,* czarne lub białe, dawne lub nowoczesne, Chicago albo New Orléans - nigdy jazz, nigdy to, czym w tej chwili byli Satchmo, Ronald i Babs, *Baby don't play me cheap, because l look so meek,* i wezwanie trąbki, żółty fallus przecinający powietrze, igrający z rozkoszą, wybiegający na jej spotkanie, zawracający, wreszcie ku końcowi trzy wznoszące się nuty, hipnotyczne, szczerozłote nuty, wspaniała pauza, której dygoce świat i swing w jakimś nie do zniesienia momencie, i nagły wytrysk nadmiaru, powoli ześlizgujący się, opadający, podobny fajerwerkom miłosnej nocy, ręka Ronalda pieszcząca jej kark, drganie igły na płycie wciąż wirującej - i cisza, cisza każdej prawie muzyki, powoli odrywająca się od ścian, wyłażąca spod tapczanu, rozklejająca się jak wargi albo jak nie rozwinięte jeszcze pączki.

- *Ça alors* - mruknął Etienne.

- Wielka epoka Armstronga - powiedział Ronald przeglądając płyty, które wybrała Babs - coś w rodzaju gigantycznej epoki Picassa. A dzisiaj co? Dwie wielkie świnie. I

pomyśleć, że lekarze łamią sobie głowy nad kuracjami odmładzającymi... Ci i tak będą nas mordować jeszcze przez drugie dwadzieścia lat, zobaczysz.

- Nas nie - powiedział Etienne - my zadaliśmy im cios w odpowiednim momencie. Oby i mnie zadano go, gdy nadejdzie pora.

- Odpowiednia pora... Bagatelka, synku - ziewnął Oliveira. - Ale to racja, że zadaliśmy im cios, *coup de grâce.* Różą zamiast kuli, można powiedzieć. Potem zostaje już tylko rutyna i kalkulowanie. Jak pomyślę, że Armstrong pojechał teraz pierwszy raz w życiu do Buenos Aires... Nie możesz sobie wyobrazić, ile milionów tych kretynów poleci w przekonaniu, że usłyszą ósmy cud świata, a tu same uniki, więcej sztuczek niż u starego boksera, który uchyla się przed wysiłkiem, Satchmo jest zmęczony, rozmieniony na drobne, i gówno go obchodzi to, co robi, stary rutyniarz; a tu moi rożni przyjaciele, których szanuję, ale którzy dwadzieścia lat temu zatykali uszy, kiedy im się nastawiało *Mahagony Hall Stomp,* teraz płacą ciężką forsę, żeby usłyszeć te odgrzewane kotlety. Co tam zresztą, cały mój kraj jest odgrzewany, muszę to przyznać - aczkolwiek z bezbrzeżną czułością.

- Zaczynając od ciebie - odezwał się spoza słownika Perico. - Ty także przyjechałeś tu na wzór twoich rodaków, którzy zjeżdżali do Paryża szukać *éducation sentimentale.* Przynajmniej w Hiszpanii uczyłbyś się tego w burdelach i na walkach byków, *coño.*

- I na księżniczce de Pardo Bazán - dokończył Oliveira, znowu ziewając. - Masz rację, bracie. Wiesz ty, co powinienem teraz robić? Grać w *truco* z Travelerem. Ale ty i tak go nie znasz. Co ty tam w ogóle znasz... Co będę gadał...

14

Wstał z kąta, gdzie siedział, postawił nogę w kwadracie podłogi, który przedtem obejrzał, jak gdyby trzeba było dokładnie wybierać miejsce, w którym można ustawić nogę, wyciągnął drugą z równą starannością i dwa metry od Ronalda i Babs zaczął przysiadać, aż w końcu usiadł na podłodze.

- Pada - powiedział Wong wskazując palcem okno facjatki.

Rozgarniając niespieszną ręką dym, Oliveira wpatrzył się w Wonga z przyjacielskim zadowoleniem.

- Dzięki Bogu, że ktoś zdecydował się umieścić na poziomie morza. Ze wszystkich stron same buty i kolana. Gdzie twój kieliszek?

- Tam - wskazał Wong.

W rezultacie okazało się, że kieliszek jest pełny i pod ręką. Z aprobatą zabrali się do picia, Ronald zafundował im któregoś Johna Coltrane'a, który zirytował Perica. Następna płyta: Sydney Bechet, okres: *Paris-meringue,* żartobliwa kpina z hiszpańszczyzny.

- Czy to prawda, że przygotowujesz książkę na temat tortur?

- O, to niezupełnie to - odparł Wong.

- A co to jest?

- W Chinach pojęcie sztuki zawsze było odmienne.

- To wiem, przecież wszyscy czytaliśmy Chińczyka Mir-beau. A czy to prawda, że masz zdjęcia tortur w Pekinie z lat dwudziestych, czy coś takiego?

- O nie - uśmiechnął się Wong. - Wyblakłe, nie ma co pokazywać.

- A czy to prawda, że najokropniejsze z nich zawsze nosisz w portfelu?

- O nie... - powiedział Wong.

- I że pokazywałeś kobietom w kawiarni?

- Tak się prosiły... W dodatku nic nie zrozumiały.

- Pokaż no - Oliveira wyciągnął rękę.

Z uśmiechem Wong wpatrzył się w tę rękę. Oliveira był zbyt pijany, żeby nastawać. Przełknął łyk wódki i zmienił pozycję. Na jego dłoni znalazła się złożona we czworo kartka papieru. Uśmiech Wonga zmienił się w uśmiech kota z Cheshire i ukłon wśród dymu. Pal miał ze dwa metry, ale pali było osiem, tylko że to był ten sam pal ośmiokrotnie powtórzony na czterech seriach podwójnych zdjęć, które należało oglądać od lewej ku prawej i z góry w dół; pal był identyczny mimo lekkich różnic w ujęciu, zmiany następowały jedynie w

uwiązanym do niego skazańcu, twarzach asystujących (po lewej stała kobieta) i pozycji kata, także stojącego trochę na lewo, z uprzejmości dla fotografa, jakiegoś amerykańskiego czy też duńskiego etnologa o pewnej ręce, lecz posługującego się kodakiem z lat dwudziestych; w rezultacie migawkowe zdjęcia nie były zbyt dobre (może prócz drugiej fotografii, tej, na której wypadło z losowania, że noże mają uderzać w okolice prawego ucha, zaś reszta nagiego ciała była zupełnie wyraźna), zarówno z powodu krwi zalewającej ciało, jak złego gatunku klisz czy może odbitek - i zawodziły oczekiwania zwłaszcza poczynając od czwartego, gdzie skazaniec był już tylko czarniawą masą, z której wyłaniały się otwarte usta i bardzo białe ramię; trzy ostatnie byłyby właściwie jednakowe, gdyby nie postawa kata (na szóstej), pochylonego ku torbie z nożami, które wyciągał na los szczęścia (pewnie zresztą oszukiwał, bo gdyby zaczynał od głębokich ran...); wpatrując się lepiej, widziało się, że torturowany żył jeszcze: mimo naciągniętych sznurów jedna noga odchylała się w lewo, głowa odrzucona była ku tyłowi, a usta wciąż jeszcze otwarte. Chińska uprzejmość nakazywała widocznie zasłać ziemię większą ilością trocin, bo kałuża nie powiększała się, lecz tworzyła dookoła pala niemalże dokładny owal. „Siódma jest rozstrzygająca" - głos Wonga dochodził skądś spoza wódki, spoza dymu, należało wpatrzeć się uważnie, bo krew buchała i dwóch medalionów okalających sutki, dokładnie obwiedzionych cięciami (na drugiej i trzeciej fotografii), ale na siódmej widać było decydujące uderzenie noża, bo kształt ud lekko rozchylonych na zewnątrz zmienił się, a przybliżając zdjęcie do oczu można było rozpoznać, że zmiana ta nastąpiła nie w udach, lecz w pachwinach; w miejscu zamazanej plamy z pierwszego zdjęcia widniał cieknący otwór, coś w rodzaju seksu zgwałconej dziewczynki, z którego krew strugami ściekała po udach. I jeżeli Wong gardził ósmą fotografią - miał rację, gdyż na niej skazaniec z pewnością już nie żył; nie trzyma się w ten sposób zwieszonej na bok głowy. „Według moich informacji cała operacja trwała półtorej godziny" - objaśnił ceremonialnie. Kartka złożona została na czworo, czarny pugilares rozwarł się jak mały kajman, ażeby połknąć ją wśród dymu. „Rozumie się, że Pekin już nie jest tym, czym był kiedyś. Przykro mi, że pokazałem ci coś dość prymitywnego, ale innych dokumentów nie można nosić przy sobie, wymagają objaśnień, wtajemniczenia..." Głos dochodził z tak daleka, że wydawał się przedłużeniem obrazów, glosą uroczyście wygłaszaną przez uczonego. Pod tym czy też ponad tym Big Bill Broonzy zawodził *See, see, rider,* jak zawsze rzeczy pochodzące z jakichś nie do pogardzenia wymiarów zbiegały się razem, groteskowy kolaż, który należało dopasować do wódki i do kategorii Kanta, tych odczynników przeciw wszystkim zbyt brutalnym zakrzepnięciem rzeczywistości. Albo, jak prawie zawsze, przymknąć oczy i cofnąć się ku otumaniającemu światu jakiejkolwiek nocy,

wyciągniętej z rozsypanej talii. *See, see, rider* - śpiewał Big Bili, jeszcze jeden umarły. - *See what you have done.*

(114)

15

Było więc zupełnie naturalne, że wtedy przypomniał mu się ów wieczór koło kanału Saint-Martin, propozycja, którą mu zrobiono (1000 franków), ażeby obejrzał film w mieszkaniu jakiegoś szwajcarskiego lekarza. W czasie wojny pewien chirurg Osi znalazł okazję, aby sfilmować powieszenie z najdrobniejszymi szczegółami. W sumie dwie rolki, tyle tylko, że nieme, ale same zdjęcia gwarantowane. Zapłacić może wychodząc.

W chwili, w której mógł był odmówić i wyjść z kawiarni razem z dziewczyną z Haiti, przyjaciółką przyjaciela szwajcarskiego lekarza, zdążył wyobrazić sobie całą scenę i poczuć się - jakżeby inaczej - po stronie ofiary. Że kogoś wieszają - trudno, jest to tym, czym jest, i szkoda właściwie tracić na to słów, ale jeżeli ten ktoś wiedział (wyrafinowanie mogło przecież dojść aż do oznajmienia mu tego), że aparat będzie rejestrował każde drgnięcie, każdy grymas jego twarzy ku rozrywce przyszłych dyletantów... „Cokolwiek by to miało mnie kosztować, nigdy nie stanę się obojętny, tak jak Etienne - pomyślał Oliveira. - Po prostu upieram się przy niesłychanym pomyśle, że człowiek został stworzony do czegoś innego. Ale cóż... jakże marne mamy narzędzia, aby wydostać się z tego lochu!" Najgorsze, że tak spokojnie oglądał zdjęcia Wonga tylko dlatego, że torturowany nie był jego ojcem, nie mówiąc o tym, że czterdzieści lat już upłynęło od owej pekińskiej egzekucji.

- Popatrz - powiedział do Babs, która (pokłóciwszy się z Ronaldem, bo upierał się przy nastawieniu Ma Rainey, gardząc Fatsem Wallerem) wróciła do niego. - Nie do wiary, jakim się jest bydlęciem. Ciekawe, co na ten temat myślał przed zaśnięciem Chrystus? W połowie uśmiechu gęba może ci się zmienić we włochatego pająka.

- Och nie - powiedziała Babs. - *Delirium tremens* nie, nie o tej porze.

- Wszystko jest powierzchowne, laluniu, wszystko jest naskórkowe. Jak byłem chłopcem, użerałem się ze starymi ciotkami i kuzynkami, z tym całym genealogicznym śmietnikiem, o milion rozmaitych głupstw, ale i o to, że dla nich każde, jak to określały, „przeniesienie się do wieczności", no, każda śmierć w najbliższym sąsiedztwie była o wiele ważniejsza niż wojna, niż trzęsienie ziemi, które likwiduje dziesięć tysięcy ludzi, niż wszystko w tym rodzaju. Jesteśmy kretynami, ale to tak nieprawdopodobnymi kretynami, Babs, że to w ogóle przechodzi pojęcie, bo po to czyta się całego Platona, wszystkich ojców Kościoła, wszystkich bez wyjątku klasyków, wie się wszystko, co można i czego nie można wiedzieć, żeby dosłownie w tym samym momencie, jak najostatniejszy z idiotów, złapać własną matkę-analfabetkę za chustkę i wściekać się, że rozpacza z powodu śmierci Żydka z

rogu ulicy albo siostrzenicy sąsiadki z trzeciego piętra. Opowiadasz jej o trzęsieniu ziemi w Bab el-Mandeb albo o ofensywie na Vardar Ingh i wyobrażasz sobie, że biedactwo poczuje abstrakcyjną litość z powodu zagłady trzech irańskich dywizji!

- *Take it easy* - powiedziała Babs. - *Have a drink, sonny, and don't be such a murder to me.*[7]

- A w rzeczywistości wszystko polega na tym, że czego oko nie widziało... Może mi powiesz, po jaką cholerę walimy po głowach stare baby tą naszą zasraną, purytańską niedojrzałością? Ech, zalany jestem. Idę do domu.

Ale nie chciało mu się rezygnować z ciepłej skóry eskimoskiej, z odległej i trochę niedbałej kontemplacji Gregoroviusa zagłębionego w sentymentalnej rozmowie z Magą. Odrywając się od tego wszystkiego (coś jakby wyrywanie piór staremu, wychudzonemu kogutowi, broniącemu się niby wspaniały samiec, którym kiedyś był), westchnął z ulgą, rozpoznając *Blue Interlude,* płytę znaną mu jeszcze z Buenos Aires. Już nie pamiętał całego składu orkiestry, ale wiedział, że był tam Benny Carter i chyba Chu Berry, i teraz, słuchając niebezpiecznie prostej solówki Teddy Wilsona, zdecydował, że jednak lepiej będzie doczekać do końca płyty. Wong powiedział, że pada, cały dzień padało. Tak, to musiał być Chu Berry, chyba żeby to był sam Hawkins, ale nie, to nie był Hawkins. „Nieprawdopodobne, jak się sami zubożamy - pomyślał patrząc na Magę, która patrzyła na Gregoroviu-sa, który patrzył w przestrzeń. - Skończy się na tym, że pójdziemy do Bibliothèque Mazarine robić notatki na temat mandragory, naszyjników plemienia Bantu lub porównawczej historii cążków do paznokci". Wyobrazić sobie repertorium rzeczy nieważnych, olbrzymią pracę przestudiowania ich i poznania do dna. Historia cążków do paznokci, dwa tysiące książek, ażeby upewnić się, że do roku 1675 ten przedmiot nigdzie nie figurował. Nagle w Moguncji ktoś rysuje kobietę obcinającą paznokcie. Nie nożyczkami, ale czymś w tym rodzaju. W wieku XVIII niejaki Philip McKinney opatentowuje w Baltimore pierwsze nożyczki ze sprężynką: problem zostaje rozwiązany, palce są w stanie przyciskać dostatecznie mocno, ażeby można było obcinać nieprawdopodobnie zrogowaciałe paznokcie u nóg, po czym cążki z powrotem same się otwierają. Pięćset fiszek, rok pracy. Teraz moglibyśmy przejść do wynalazku śruby albo odmiany czasownika „gond" w literaturze *pali* VIII wieku. Każda rzecz byłaby właściwie bardziej zajmująca niż zastanawianie się, o czym mówili ze sobą Maga i Gregorovius: natknąć się na barykadę, cokolwiek, Benny Carter, cążki do paznokci, czasownik „gond", jeszcze jeden kieliszek, wbijanie na pal przeprowadzone przez dbającego

[7] *Take it easy...* (ang. potoczny) - Nie przejmuj się. Napij się, synku, i nie morduj mnie tak.

o najdrobniejsze szczegóły kata albo Champion Jack Dupree zagubiony w bluesach, jeszcze lepsza barykada, bo (igła skrzypiała niewiarygodnie):

Say goodbye, goodbye to whisky,
Lordy, so long to gin,
Say goodbye, goodbye to whisky
Lordy, so long to gin,
I just want me reefers,
I just want to feel high again

Bo Ronald z pewnością znów wróci do Big Billa Broonzy, kierował asocjacjami, które Oliveira znał i szanował, a Big Bill będzie im mówił o innej barykadzie, głosem zupełnie podobnym do głosu Magi opisującej Gregoroviusowi swoje dzieciństwo w Montevideo. Big Bill bez goryczy, *matter of fact,*

They said if you white, you all right,
If you brown, stick aroun',
But as you black
Mm, mm, brother, get back, get back, get back...

- Wiem, że to nie daje nic - powiedział Gregorovius. - Wspomnienia mają tylko urozmaicać mało interesujące części przeszłości.

- Tak, to nic nie daje - zgodziła się Maga.

- Jeżeli panią prosiłem, żeby mi pani opowiadała o Montevideo, to dlatego, że pani jest dla mnie jak dama z kart, cała *en face,* ale bez trzeciego wymiaru. Tak mówię, żeby mnie pani zrozumiała.

- A Montevideo ma być tym trzecim wymiarem... Co za bzdury... Co pan nazywa dawnymi czasami? Mnie się wszystko przytrafiło wczoraj, najpóźniej minionej nocy...

- Jeszcze lepiej. Znów pani jest damą, tylko już teraz nie z kart.

- ... więc niedawno. Daleko, bardzo daleko, ale niedawno. Arkady na Plaza Independencia, ty też je znasz, Horacio, ten smutny plac pełen restauracji, po południu z pewnością kogoś zamordowali, a gazeciarze wykrzykują sprzedając gazety pod arkadami.

- Loteria i wszystkie wygrane - podpowiedział Horacio.

- Kobieta poćwiartowana w El Salto, polityka, futbol...

- Wyścigowy ślizgacz, kieliszek ancapu, koloryt lokalny, bracie.

- Jakie to musi być egzotyczne - powiedział Gregorovius przesuwając się tak, aby zasłonić Oliveirze i mieć bardziej dla siebie Magę, która patrząc w świecę wybijała takt nogą.

- Wtedy czas się nie liczył w Montevideo - powiedziała. - Mieszkaliśmy niedaleko rzeki, w olbrzymim domu z patio. Ja miałam ciągle trzynaście lat, świetnie to pamiętam. Szafirowe niebo, trzynaście lat, nauczycielka z piątego oddziału była zezowata. Któregoś dnia zakochałam się w jasnowłosym chłopcu, który sprzedawał gazety na placu. Wołał „Gazety..." w taki sposób, że tu mi się robiło jakoś pusto... Chodził w długich spodniach, ale nie miał chyba dwunastu lat. Ojciec nie pracował, całe dni siedział na patio i popijał mate. Matkę straciłam, jak miałam pięć lat, wychowywały mnie ciotki, które później przeniosły się na wieś. Jak miałam trzynaście lat, to mieszkaliśmy tylko we dwoje z ojcem. To nie był właściwie dom, to był „kołchoz"... Mieszkał tam jeden Włoch, dwie staruchy i jeden Murzyn z żoną, z którą się lali po nocach, a potem grali na gitarze i śpiewali. Ten Murzyn miał oczy tak czerwone, jak wilgotne usta. Trochę się nim brzydziłam, wolałam bawić się na ulicy. Ale jak ojciec złapał mnie na ulicy, to mi kazał wracać i jeszcze mnie lał. Jak któregoś dnia mnie bił, to zauważyłam, że Murzyn podgląda przez uchylone drzwi. Z początku nie zorientowałam się, myślałam, że się drapie w nogę, robił tak jakoś ręką. Ojciec nie zauważył, był bardzo zajęty, bił mnie pasem. To nie do uwierzenia, jak w ciągu jednej sekundy można nagle stracić niewinność, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że się weszło w inne życie. Tej nocy Murzyn z Murzynką śpiewali w kuchni do późna, a ja ryczałam u siebie w pokoju, aż mi się okropnie zachciało pić, ale nie chciałam wyjść. Ojciec siedział w drzwiach domu i pił mate. Był taki upał, jakiego pan w ogóle nie może sobie wyobrazić, wy wszyscy jesteście z zimnych krajów. To przede wszystkim wilgoć, rzeka tuż, podobno w Buenos Aires jest jeszcze gorzej. Horacio mówi, że o wiele gorzej, a bo ja wiem... Tego wieczoru bielizna przylepiała mi się do ciała, wszyscy tylko pili i pili mate, ze dwa razy wyszłam, żeby się napić z kranu, który był na patio między kwiatami pelargonii. Wydawało mi się, że z tego kranu woda jest zimniejsza. Nie było ani jednej gwiazdy, pelargonie pachniały tak jakoś cierpko, to są ordynarne kwiaty, ale przepiękne, musi pan kiedyś dotknąć liścia pelargonii. W innych pokojach już pogasili, tato poszedł do knajpy Ramosa, co miał jedno oko, ja sprzątnęłam stołeczek i mate, i pusty czajniczek, który ojciec zawsze zostawiał w drzwiach chyba po to, żeby nam go w końcu ukradli włóczędzy z pustej działki obok. Przypominam sobie, że jak przechodziłam przez patio, to księżyc wyjrzał trochę, i zatrzymałam się, żeby popatrzeć, od księżyca zawsze mi się robiło zimno, podniosłam twarz do gwiazd, żeby mnie stamtąd było widać... wierzyłam w takie rzeczy, miałam przecież zaledwie trzynaście lat. Potem jeszcze trochę się napiłam z tego

kranu i poszłam na górę do siebie, przełażąc przez taki żelazny stopień, na którym zwichnęłam sobie kostkę, kiedy miałam dziewięć lat. Jak chciałam zapalić świecę przy nocnym stoliku, jakaś gorąca ręka złapała mnie za ramię, poczułam, że ktoś zamknął drzwi, drugą ręką zatkał mi usta, poczułam murzyński zapach. Murzyn macał mnie wszędzie, coś mi mówił do ucha, ślinił mi twarz, zdzierał ze mnie sukienkę, a ja nie mogłam nic zrobić, nawet me mogłam krzyczeć, bo czułam, że zabiłby mnie, gdybym krzyczała, a ja nie chciałam, żeby mnie zabił, wszystko było lepsze od tego, umrzeć - to byłaby najstraszniejsza obraza, największa głupota. Co tak na mnie patrzysz, Horacio? Opowiadam, jak mnie zgwałcił Murzyn z naszego domu, Gregorovius koniecznie chce wiedzieć, jak mi się żyło w Urugwaju.

- Abyś tylko nie opuściła żadnego detalu - powiedział Oliveira.

- Och, ogólne wrażenie wystarczy - powiedział Gregorovius.

- Ogólne wrażenie nie istnieje - powiedział Oliveira.

16

- Kiedy wychodził, już prawie świtało; nawet nie miałam siły płakać.

- Potwór - powiedziała Babs.

- Tyle że Maga w pełni zasługiwała na taki hołd - zauważył Etienne. - Jak zawsze, jedyną rzeczą godną uwagi jest ten diaboliczny rozziew pomiędzy formą a zawartością. Przecież w historii, którą opowiadałaś, mechanizm jest prawie taki sam, jaki byłby u pary zakochanych, może opór byłby mniejszy, no i agresywność...

- Rozdział ósmy, część czwarta, paragraf A, *Presses Universitaires Françaises* - mruknął Oliveira.

- *Ta gueule* - powiedział Etienne.

- Reasumując, byłby najwyższy czas posłuchać czegoś w rodzaju *Hot and Bothered* - powiedział Ronald.

- Tytuł dopasowany do wyżej wspomnianych okoliczności - Oliveira napełnił swój kieliszek. - Murzyn okazał się na wysokości zadania.

- Dowcip nie na miejscu - powiedział Gregorovius.

- Prosiłeś o niego, bracie.

- Zalany jesteś, Horacio.

- Możliwe. Ale mam chwile jasności myśli. Ty, dziecinko, powinnaś postarać się o pracę w jakiejś klinice gerontologicznej. Spójrz tylko na Osipa: twoje rozkoszne wspomnienia odmłodziły go co najmniej o dwadzieścia lat.

- Sam mnie o to prosił - powiedziała Maga, dotknięta.

- Niech mi teraz nie opowiada, że mu się nie podobało. Daj mi wódki, Horacio.

Ale Oliveira nie miał zamiaru dłużej się wtrącać między Magę a Gregoroviusa, mruczącego pod nosem jakieś wyjaśnienia, których nie było słychać, bo je zagłuszył głos Wonga, proponującego, że zrobi kawy. Mocnej i gorącej - sekret kasyna w Mentonie. Przyjęte przez aklamację. Oklaski.

Ronald ucałował z czułością etykietkę którejś płyty, potem puścił ją w ruch, ceremonialnie zbliżył do niej igłę. Przez chwilę Ellingtonowska machina starła się z powierzchnią ziemi za pomocą pojedynku trąbki z Baby Coxem, subtelnego, niemalże niedostrzegalnego wejścia Johny Hodgesa, *crescenda* (jakkolwiek po trzydziestu latach rytm stawał się trochę sztywniejszy, stary tygrys ciągle jeszcze był prężny), riffów napiętych i luźnych równocześnie; maleńki, trudny cud: *I swing, therefore I am.*

Opierając się o eskimoską skórę, poprzez kieliszek wódki patrząc na zielone świece (chodziliśmy oglądać ryby na Quai de la Mégisserie...), łatwo było przypuścić, że to, co nazywali rzeczywistością, zasługiwało na uwłaczające zdanie Duke'a *It don't mean a thing if it ain't got that swing.* Ale dlaczego ręka Gregoroviusa przestała pieścić włosy Magi, biedny Osip, podobny do wylizanej foki, zgnębiony był z powodu owej zamierzchłej defloracji. Czuło się jego osobną sztywność, w tej atmosferze, w której muzyka przełamywała opory, tkając coś w rodzaju wspólnego oddechu, spokoju jednego, olbrzymiego serca, które biło dla wszystkich, za wszystkich. A teraz pęknięty głos torujący sobie drogę z owej zgranej płyty, proponujący bezwiednie stare, renesansowe zaproszenie, odwieczny smutek Anakreonta, *carpe diem* à la Chicago 1929.

You so beautiful but you gotta die some day
You so beautiful but you gotta die some day
All I want's a little lovin' before you pass away.

Od czasu do czasu słowa umarłych pokrywały się z myślami żywych (jeżeli jedni byli umarli, jeżeli drudzy byli żywi). *You so beautiful. Je ne veux pas mourir sans avoir compris pourqoui j'avais vécu.*[8] Blues, René Daumal, Horacio Oliveira, *but you gotta die some day, you so beautiful but...* Gregorovius dlatego tak chciał poznać przeszłość Magi, ażeby trochę mniej umierała dla niego tą wsteczną śmiercią, którą jest całkowita nieznajomość spraw wyleczonych przez czas, ażeby zafiksować ją w jakimś własnym czasie, *you so beautiful but you gotta,* ażeby nie kochać ducha, który zaledwie pozwala gładzić się po włosach pośród zielonawych refleksów światła, biedny Osip, jakże źle kończy się ta noc, wszystko takie nieznośnie „takie", buty Guy Monoda, *but you gotta die some day,* Murzyn Ireneo (później jak nabierze odwagi, Maga opowie mu i o Ledesmie, i o tych facetach z karnawałowej nocy, całą sagę Montevideo). I nagle, pozbawiona namiętności perfekcja, z którą Earl Hines podawał swoją pierwszą wersję *I ain't got nobody,* tak że nawet Perico, zagłębiony w jakiejś odległej lekturze, oderwał się od niej, Maga oparła głowę o udo Gregoroviusa patrząc na podłogę, na kawałek tureckiego dywanu, na czerwoną nitkę, która gubiła się gdzieś pod progiem, na pustą szklankę obok nogi stołu. Miała ochotę zapalić, ale nie chciała prosić Gregoroviusa o papierosa, nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała prosić ani jego, ani Horacia: chociaż dlaczego Horacia nie - to wiedziała: nie chciała spojrzeć mu w oczy i usłyszeć, jak się śmieje, mszcząc się w ten sposób za to, że siedziała przytulona do Gregoroviusa, że przez całą

noc ani razu do niego nie podeszła. Była bezradna, przez głowę jej przebiegały wzniosłe myśli, cytaty z jakichś poematów, dzięki którym czuła się w samiusieńkim sercu karczocha, z jednej strony *I ain't got nobody and nobody cares for me*[9], co nie było prawdą, jako że co najmniej dwóch spośród obecnych było nie w humorze z jej powodu, i równocześnie jakiś wiersz Perse'a, coś jakby *Tu es là, mon amour, et je n'ai lieu qu'en toi*[10], gdzie szukała schronienia tuląc się do dźwięku *lieu,* do dźwięku *Tu es là, mon amour;* łagodne zaakceptowanie losu, który żądał, aby zamknęła oczy i poczuła swoje ciało niby ofiarę, coś, co każdy miał prawo wziąć i splamić jak Ireneo, i że muzyka Hinesa odpowiadała czerwonym i niebieskim plamom, które tańczyły pod jej powiekami i nie wiedzieć czemu nazywały się Volaná i Valené, ta na lewo nieprzytomnie wirująca *(and nobody cares for me)* Volaná, a nad nią Valené, zawieszona niby gwiazda wśród błękitu pierodellafrancesca *et je n'ai lieu qu'en toi,* Volaná i Valené, Ronald nigdy w życiu nie będzie grał na fortepianie tak jak Earl Hines, właściwie to oni z Horaciem powinni mieć tę płytę i słuchać jej po ciemku, nocą, kochać się pod rytm tych słów, pod te długie, nerwowe pieszczoty, *I ain't got nobody* po plecach, po ramionach, palce na karku, paznokcie wchodzące we włosy, a potem wycofujące się powoli, finalne uderzenie wiatru i Valené stapiała się powoli z Volana, *tu es là mon amour and nobody cares for me,* Horacio był obok, ale o nią nie dbał nikt, nikt nie głaskał jej po głowie, Valené i Volaná zniknęły i tylko powieki bolały ją od zbytniego zaciskania, słychać było głos Ronalda i wreszcie zapach kawy, och, cudowny zapach kawy, Wong, kochany, Wong, Wong, Wong.

Wyprostowała się mrugając powiekami, spojrzała na Gregoroviusa, który wyglądał jakby brudny, splugawiony. Ktoś podał jej filiżankę kawy.

[8] *Je ne veux pas mourir...* (franc.) - Zanim umrę, chcę wiedzieć, po co żyłem. (Cytat z utworu francuskiego pisarza René Crevela).
[9] *I ain't got nobody...* (ang. potoczny) - Nikogo me mam i nikt me dba o mnie.
[10] *Tu es là, mon amour...* (franc.) - Jesteś tu, ukochana, i miejsce moje tylko w tobie. (Saint-John Petse).

17

- Nie mam ochoty mówić o nim byle gadać - powiedziała Maga.

- To niech pani nie mówi - zgodził się Gregorovius - po prostu tak się pytałem.

- Ale jeżeli tylko o to chodzi, żeby słuchać gadania, to mogę mówić o czym innym.

- Niech pani nie będzie złośliwa.

- Horacio jest słodki jak konfitury z guayaby - powiedziała Maga.

- Co to są konfitury z guayaby?

- Horacio jest jak szklanka wody w czasie burzy.

- Hm... - powiedział Gregorovius.

- Powinien był się urodzić w tej epoce, o której opowiada madame Leonie, kiedy jest trochę pijana. W epoce, w której nie było ludzi niespokojnych, w której były konne tramwaje, a wojny odbywały się na polach bitew. I nie było środków nasennych, mówi madame Leonie.

- W cudownym, złotym wieku - powiedział Gregorovius. - W Odessie też opowiadano o takich czasach. Moja romantyczna mama, z rozpuszczonymi włosami... Na balkonach hodowali ananasy i nie używali nocników. To było coś niebywałego. Ale jakoś nie wyobrażam sobie Horacia w tym „królewskim pszczelim mleczku".

- Ani ja, ale byłby mniej smutny. A tak wszystko mu sprawia ból, nawet aspiryna. Wczoraj wieczorem dałam mu aspiryny, bo go bolał ząb. Patrzył na nią i patrzył, strasznie długo kosztowała go decyzja, żeby ją wreszcie połknąć. Naopowiadał mi Bóg wie jakich rzeczy, że to niezdrowo zażywać rzeczy, których się nie zna, rzeczy, które powymyślali ludzie na uspokojenie jakichś innych również nieznanych rzeczy... Pan wie, jaki potrafi być, gdy zaczyna wszystko wykręcać.

- Pani powtórzyła wielokrotnie słowo „rzeczy" - zauważył Gregorovius. - Nie jest to wytworne, ale znakomicie odmalowuje cierpienie Horacia. Ofiara rzeczości. Niewątpliwie.

- Cóż to jest rzeczość?

- Rzeczość jest nieprzyjemnym stwierdzeniem, że dokładnie tam, gdzie się kończy nasza zarozumiałość, zaczyna się nasza pokuta. Przykro mi, że używam języka abstrakcyj-no-alegorycznego, ale chcę powiedzieć, że Oliveira jest patologicznie wrażliwy na wszystko, co go otacza, na epokę, w której żyje; ładnie mówiąc: na „los". W krótkich słowach: szlag go trafia na okoliczności. W jeszcze krótszych: boli go świat. Pani to odgadła, Luisa, choć z uroczą nieświadomością wyobraża pani sobie, że byłby szczęśliwszy w jakiejkolwiek z

kieszonkowych Arkadii, wyrabianych przez domorosłe madame Leonie, że już nie wspomnę o mojej matce, tej z Odessy. Bo przypuszczam, że nie uwierzyła pani w ananasy.

- Ani w nocniki - powiedziała Maga. - Trudno w to uwierzyć.

Guy Monod uznał za stosowne obudzić się dokładnie wtedy, gdy Ronald i Etienne uzgodnili, że będą słuchali Jelly Roli Mortona; otworzywszy jedno oko, zadecydował, że odcinające się na tle światła plecy należą do Gregoroviusa. Wstrząsnął się gwałtownie, zielone świece oglądane z łóżka robiły przykre wrażenie, deszcz w lufciku dziwacznie mieszał się z resztkami snu, w którym pośród jakiejś absurdalnej, ale pełnej słońca okolicy Gaby biegała nago, rzucając okruszyny chleba gołębiom, głupim i wielkim jak kaczki. „Boli mnie głowa" - powiedział do siebie, Jelly Roli Morton nie interesował go nic a nic, jakkolwiek było zabawne, że słyszało się deszcz za oknem, podczas gdy on śpiewał: *Stood in a corner, with her feet soaked and wet...* bez wątpienia Wong zmajstrowałby na poczekaniu jakąś teorię na temat dwóch czasów, rzeczywistego i poetyckiego, ale czy to nie Wong coś mówił o zrobieniu kawy? Gaby rozrzucając okruszyny i Wong, glos Wonga, dochodzący spomiędzy jej nóg w ogrodzie pełnym bardzo kolorowych kwiatów, głos mówiący: „Sekret Kasyna w Mentonie". W końcu wcale niewykluczone, że nagle zjawi się Wong z maszynką pełną kawy.

Jelly Roll przy fortepianie, z braku lepszej perkusji, delikatnie zaznaczał rytm nogą; Jelly Roll mógł śpiewać *Mamie's Blues* kołysząc się na boki, z oczami utkwionymi w reliefy na suficie czy też w muchę spacerującą tam i na powrót, a może to była plama, która pojawiała się i znikała w oczach Jelly Rolla. *Two-nineteen done took my baby away...* Babs wsiadała już w życiu do tylu pociągów, lubiła jeździć, jeśli w końcu podróży ktoś na nią czekał, jeżeli Ronald obejmował ją wpół tak czule, jak w tej chwili, wrysowując jej w skórę tę muzykę *Two-seventeen will bring her back some day,* oczywiście innego dnia jakiś inny pociąg przywiezie ją z powrotem, ale nie wiadomo, czy Jelly Roli będzie na tym peronie, przy tym fortepianie, o tej porze, gdy śpiewał bluesy Mamie Desdume, deszcz o pierwszej w nocy padający za oknem paryskiej facjatki, mokre nogi i kurwa mrucząca *if you can't give a dollar, gimme a lousy dime,* Babs mówiła takie rzeczy w Cincinnati, wszystkie kobiety od czasu do czasu mówiły takie rzeczy w różnych miejscach, nawet w królewskich łożach, Babs miała specjalne wyobrażenie na temat królewskiego łoża, w każdym razie jakaś kobieta musiała powiedzieć: *If you can't give a milion, gimme a lousy grand,* wszystko jest kwestią proporcji, ale dlaczego fortepian Jelly Rolla tak smutno brzmi, jak ten deszcz, który jego, Guya, obudził, a Magę doprowadził do łez. A Wonga z kawą ani śladu.

- Za dużo - westchnął Etienne. - Nie wiem, jak wytrzymałem to gówno. Wzruszające, ale gówno.

- Z pewnością to nie medalion Pisanella - mruknął Oliveira.

- Ani któreś tam opus Schónberga - dodał Ronald.

- Po coś mnie o to prosił? Brak ci nie tylko inteligencji, ale i litości. Miałeś kiedy mokre nogi o północy? Bo Jelly Roll miał, widać po tym, jak śpiewa. To się czuje, stary.

- Mnie się lepiej maluje, jak mam suche nogi - powiedział Etienne - i bardzo proszę bez argumentów w stylu Armii Zbawienia. Lepiej byś nastawił coś inteligentniejszego, coś w rodzaju tej solówki Sonny Rollinsa. Ci faceci z West Coast przypominają Jacksona Polloka i Tobeya. Widać, że wyszli już z wieku pianoli i pudełek z akwarelami.

- Ten jest gotów uwierzyć nawet w postęp w sztuce - powiedział Oliveira ziewając. - Nie zwracaj na niego uwagi, Ronald, i tą ręką, którą jeszcze masz do dyspozycji, poszukaj małej płyty *Stack O'Lee Blues*. Przynajmniej jest tam solo fortepianowe godne uwagi.

- Gadanie o postępach w sztuce to stary kawał - powiedział Etienne - ale w jazzie, tak samo jak w każdej gałęzi sztuki, roi się od fałszerzy. Co innego muzyka, która wywołuje emocje, a co innego emocje, które pretendują do tytułu muzyki. Ból rodzicielski w tonacji fis i ironiczny śmiech w żółtościach, fioletach i czerniach. Nie, synu, z pewnością trudno jest zakreślać granice sztuki, ale to - sztuką nie jest.

Nie sprzeciwił się nikt, bo właśnie pojawił się Wong, uważnie niosąc kawę. Ronald wzruszył ramionami i puścił Freda Waringa; spoza straszliwego skrzeczenia wyłonił się nagle temat, który zachwycił Oliveirę, bezimienna trąbka, a potem fortepian, wszystko we mgle złego gramofonu, nędznego nagrania, orkiestry z czasów niejako poprzedzających jazz; przecież właśnie z tych starych płyt, ze statków komediantów w dzielnicy Storyville narodziła się jedyna uniwersalna muzyka tego wieku, coś, co zbliża do siebie ludzi lepiej i bardziej niż esperanto, niż UNESCO, niż linie lotnicze, muzyka wystarczająco prymitywna, aby stała się powszechną, i wystarczająco dobra, aby stworzyć swoją własną historię, swoje schizmy, abdykacje, herezje, swego charlestona, swego black bottoma, swoje shimmy, swego fokstrota, swego bluesa, etykiety i klasyfikacje, takie i inne style, swing, bebop, cool, nawroty i upadki romantyzmu, klasycyzmu, hot i intelektualny jazz, muzyka humanistyczna, muzyka posiadająca swoją własną historię w odróżnieniu od głupiej, zwierzęcej muzyki tanecznej, polki, walca, samby, muzyka, którą można było rozpoznać i ocenić zarówno w Kopenhadze, jak w Mendozie, czy też w Capetown, muzyka, która zbliżała do siebie młodych z płytami pod pachą, która ofiarowywała im nazwiska i melodie niby hasła, ażeby mogli się rozróżnić, zetknąć, czuć mniej samotni w biurach, wśród rodzin, wśród nieskończonych goryczy

miłości, muzyka, która pozwala na wszystko, zarówno wyobraźni, jak gustom, 78-obrotowa kolekcja instrumentalistów z Freddy Keppardem czy też Bunk Johnsonem, reakcyjna wyłączność Dixielandu, akademicka specjalizacja w stylu Bixa Beiderbecke'a, albo skok ku wielkiej przygodzie Thelo-niusa Monka, Horace Silvera lub Thad Jonesa, mieszczaństwo Errola Garnera lub Arta Tatuma, żale i przysięgi, predylekcje do małych zespołów, tajemnicze nagrania pod pseudonimami i tytułami, narzucane przez wytwórnie płyt lub chwilowe kaprysy, całe to wolnomularstwo sobotnich nocy w studenckich pokoikach lub w jakiejś piwnicy, z dziewczynami, które wolą tańczyć niż słuchać *Stardust* lub *When your man is going to put you down* i które pachną łagodnie i słodko perfumami, i skórą, i upałem, i dają się całować, kiedy o późnej godzinie ktoś nastawi *The blues with a feeling* i prawie się nie tańczy, tylko się stoi kołysząc, i wszystko mętne jest i brudne, i podłe, i wszyscy mężczyźni chcieliby zrywać z ich ciał ogrzane staniki, podczas gdy ręce pieszczą plecy, a dziewczyny mają rozchylone usta i oddają się przyjemnemu lękowi i nocy, wtedy nagle wznosi się głos trąbki w imieniu tych wszystkich mężczyzn, biorący je w posiadanie w jednej gorącej frazie, która ścina je niby roślina i rzuca w ramiona partnerów, i zaczyna się nieruchomy wyścig, skok w nocne powietrze ponad miastem, aż do chwili gdy fortepian zwróci je samym sobie, wyczerpane i pogodzone, znowu dziewicze - aż do przyszłej soboty - a wszystko to z muzyki gorszącej solidnych obywateli, tych, którzy uważają, że nic nie może być prawdą, jeżeli nie ma bileterów i wydrukowanych programów, i tak toczy się świat, a jazz jest niby ptak, który odlatuje i powraca, przylatuje i przyfruwa, przeskakując bariery, kpiąc z kontroli celnych, coś, co mknie rozprzestrzeniając się, tej nocy w Wiedniu śpiewa Ella Fitzgerald, podczas gdy w Paryżu Kenny Clarke otwiera nową piwnicę, a w Perpignan tańczą palce Oseara Petersona, i wszędzie Satchmo, z tym swoim darem ofiarowanym mu przez Boga, darem wszechobecności, w Birmingham, w Warszawie, w Mediolanie, w Buenos Aires, w Genewie, w całym świecie, to nieuniknione, to deszcz i chleb, i sól, coś poza narodowym obyczajem, poza niewzruszonymi tradycjami, językiem i folklorem: chmura pozbawiona granic, szpieg powietrza i wody, forma archetypu, coś z przeszłości, coś z głębi, z dołu, coś, co godzi Meksykanów i Norwegów, i Rosjan, i Hiszpanów, coś, co z powrotem włącza ich w ciemny, wspólny, dawno zapomniany ogień, tępo, źle i niepewnie zwraca ich ku dawno zapomnianym pierwocinom, mówi im, że może były i inne drogi, i że ta, którą poszli, nie jest ani jedyna, ani najlepsza, albo, że może były i inne drogi, i choć ta, którą poszli, jest najlepsza, istniały łatwiejsze, którymi nie poszli lub też poszli tylko kawałek, mówi im także, że człowiek to zawsze więcej niż człowiek i zawsze mniej niż człowiek, więcej - bo zawiera w sobie wszystko to, co jazz sugeruje, na co czyha, co często nawet przewiduje, a mniej - i bo z tej

wolności zrobi sobie po prostu rodzaj estetycznej gry, szachownicę, na której może być zarówno laufrem, jak í konikiem, określenie wolności takie, jakie podają w szkołach, w tych właśnie szkołach, w których nigdy nie uczyli ani nie będą uczyli dzieci pierwszych tekstów *ragtime,* pierwszej frazy bluesa i tak dalej, i tak dalej.

I set right here and think
Three thousand miles away, I set right here and think
Three thousand miles away, Can't remember the night
Had the blues this bad any-way...

(97)

18

Nie miało sensu zadawać sobie pytań, co robił tutaj, o tej porze i z tymi ludźmi, serdecznymi przyjaciółmi nie znanymi wczoraj, nie znanymi jutro, ludźmi, którzy byli tylko migotliwym epizodem w miejscu i w czasie. Babs, Ronald, Osip, Jelly Roll, Echnaton, co za różnica... Te same cienie tych samych zielonych świec. Szczyt zalania. Wątpliwa, cholernie mocna wódka.

Gdybyż można było wyobrazić sobie ekstrapolację tego wszystkiego, pojmować klub i *Cold Wagon Blues,* miłość Magi i każdy sznureczek ciągnący się od przedmiotów do jego palców, każdą kukiełkę i każdego lalkarza jako epifanię; pojmować je nie jako symbole innej - może nieosiągalnej - rzeczywistości, ale jako przedstawicieli potęgi (ależ język, ależ brak umiaru), jako pasy na bieżni w wyścigu, który musiałby podjąć natychmiast, odrywając się od eskimoskiej skóry tak rozkosznie letniej, tak pachnącej i tak strasznie eskimoskiej, wyskoczyć na podest schodów, zbiec na dół, samotnie zbiec na dół, wyjść na ulicę, samotnie wyjść na ulicę, zacząć iść, samotnie zacząć iść, aż do rogu, do kawiarni Maxa, samotnego Maxa, do latarni na rue Bellechasse, gdzie... gdzie samotnie. I być może zacząć od tego momentu.

Ale wszystko na planie me-ta-fi-zycz-nym. Bo, Horacio, słowa... to znaczy, że słowa dla Horacia... (Sprawa wielokrotnie przeżuwana w częstych okresach bezsenności). Prowadzić Magę za rękę, iść z nią w deszczu, jakby była dymem z papierosa, czymś, co jest częścią nas samych, w deszczu. Znów kochać Magę, ale już po trosze będąc po jej stronie, już nie po to, aby uczyć się zbyt łatwej obojętności, wyrzeczenia, które być może pokrywa zbędność wysiłku idioty, wykładającego algorytmy na jakimś mętnym uniwersytecie dla uczonych psów i córek pułkowników.

Gdybyż to wszystko - tapioka poranku przylepiająca się do małego okienka, smutna twarz Magi patrzącej na Gregoroviusa, patrzącego na Magę, patrzącą na Gregoroviusa, *Struttin' Whit Some Barbecue,* Babs znowu płacząca w sekrecie przed Ronaldem, który nie płacze, ale ma twarz oblepioną dymem i wódką, zamienioną w świątobliwą aureolę, Perico, zjawa hiszpańska wzniesiona na taborecie pogardy i płaskiej stylistyki - gdybyż można wszystko to ekstrapolować, gdybyż tego wszystkiego nie było, gdyby tego w gruncie rzeczy nie było, a tylko istniało tu po to, aby ktoś (ktokolwiek, ale w danym momencie on, bo on o tym myślał, w każdym razie był tym, który z całą pewnością wie, że myśli, ech, Kartezjuszu, stary durniu), więc aby ktoś, z tego wszystkiego, co tu się znajdowało, upierając się i gryząc, a przede wszystkim wyrywając nie bardzo wiadomo co, ale wyrywając aż do kości, aby ktoś *z*

tego wszystkiego przeskoczył do jakiegoś świerszcza pokoju, do polnego konika zadowolenia, gdyby przedostał się przez jakąkolwiek furtkę do jakiegokolwiek ogrodu, do ogrodu alegorycznego dla innych, tak jak dla innych alegoryczne jest *mandala,* a w tym ogrodzie znalazł kwiat, a ten kwiat to by była Maga albo Babs, albo Wong, ale określeni i samookreślający się, odzyskani, wykraczający poza swoje klubowe oblicza, przywróceni, wyłączeni, wychyleni, ech, może to wszystko było po prostu tęsknotą za ziemskim rajem, za ideałem czystości, tylko że czystość stawała się od razu nieuniknionym produktem uproszczenia, fruwa laufer, fruwają wieże, skacze konik, padają pionki i na środku szachownicy, podobni olbrzymim lwom z antracytu, pozostają królowie, wspierani przez najczystszych, ostatnich, najszlachetniejszych swoich żołnierzy, o świcie decydująco skrzyżują się szpady, rozstrzygnie się los, nastąpi pokój. Czystość kopulacji krokodyli inna od czystości „ochmatkoboska" z brudnymi nogami. Czystość łupkowego dachu pełnego gołębi, które srają na głowy dam, oszalałych ze złości, i rzodkiewek, czystość... Horacio Horacio, proszę cię.

Czystość.

(Dość. Idź już. Idź do hotelu, weź kąpiel, poczytaj *Notre--Dame de Paris* albo *Wilczyce z Machecoul,* wytrzeźwiej. Ni mniej, ni więcej tylko ekstrapolacja...)

Czystość. Potworne słowo, „Czy?" a potem „stość". Także coś... Co też wykombinowałby z tego Brisset. Dlaczego płaczesz? Kto znowu płacze...?

Pojmować „czy?" jako epifanię. *Damn the language*[11] „Pojmować". Nie „rozumieć" - „pojmować". Podejrzenie raju, który można by odzyskać. Przecież to niemożliwe, abyśmy się tu znajdowali po to, aby nie móc „być". Brisset? Człowiek pochodzi od żaby. *Blind as a bat. Drunk as a butterfly.*[12] *Foutu, royalement foutu devant les portes que peut-être...*[13] (Kawałek lodu na kark i spać. Problem: Johnny Dodds czy Albert Nicholas. Prawie na pewno Dodds. Zapamiętać: należy zapytać o to Ronalda).

Podły wiersz powiewający w oknie facjatki: *Antes de caer en la nada, con el último diástole...*[14] Alem się urżnął. *The doors of perception*[15] by Aldley Huxdous. *Get yourse/f a tiny bit of mescaline, brother, the rest is bliss and diarrhoea.*[16] Ale bądźmy poważni (tak, to był Johnny Dodds, dochodzi się do sprawdzenia drogą okólną: perkusistą nie może być nikt poza Zuttym Singeltonem, ergo klarnet to Johnny Dodds, jazzologia, nauka dedukcyjna, nad wyraz łatwa począwszy od czwartej rano. Nie poleca się paniom ani klerykom). Więc bądźmy poważni, Horacio, i zanim powoli wstaniemy z zamiarem wyjścia na ulicę, zadajmy sobie

[11] *Damn the language* (ang. potoczny) - Niech diabli wezmą język.
[12] *Blind as a bat...* (ang. potoczny) - Ślepy jak nietoperz. Pijany jak motyl.
[13] *Foutu, royalement foutu...* (franc. potoczny) - Przegrany, absolutnie przegrany przed drzwiami, które być może...
[14] *Antes de caer en la nada...* (hiszp. potoczny) - Przed upadkiem w nicość, z ostatnim uderzeniem serca...
[15] *The doors of perception* (ang.) - Wrota postrzegania.

pytanie z duszą na dłoni (na dłoni? Na czubku języka albo coś w tym rodzaju. Toponomia, anatologia, opisologia, w dwóch tomach z ilustracjami), zadajmy sobie pytanie, czy należy atakować od góry, czy też od dołu. (Dobrze, doskonale, myślę zupełnie jasno, wódka przybija słowa jak motyle do deski. A jest A, *a rose is a rose is a rose*[17]*, April is the cruellest month*[18]*,* każda rzecz na miejscu i miejsce dla każdej róży, która jest różą, *is a rose is a rose...)*

Uf. Beware of the Jabberwocky, my son.[19]

Horacio ześliznął się jeszcze trochę niżej i nadzwyczaj wyraźnie zobaczył wszystko, co chciał zobaczyć. Nie wiedział, jak należy atakować, od góry czy też od dołu, zbierając wszystkie siły czy też raczej tak, jak teraz rozlazły i płynny, wychylony ku okienku, ku zielonym świecom, ku twarzyczce Magi podobnej do smutnej owieczki, ku Ma Rainey, która śpiewała *Jelly Bean Blues.* Raczej tak jak teraz, rozlazły i odbierający, gąbczasty, tak jak wszystko stawało się gąbczaste, o ile patrzyło się długo i prawdziwymi oczami. Nie był aż tak pijany, żeby nie zdawać sobie sprawy, że rozwalił swój dom, że w nim samym nic a nic nie jest na swoim miejscu - to pewne, przecudownie pewne - na podłodze czy na suficie, pod łóżkiem czy też w misce pełno gwiazd i strzępów wieczności, poematów podobnych słońcom lub też olbrzymim twarzom kobiet i kotów, w których płonie furia ich gatunku; w mieszaninie śmieci i plakietek z jaspisu jego języka, gdzie słowa łączą się dniem i nocą w straszliwych walkach mrówek przeciw skolopendrom, bluźnierstwo współistnieje z czystą esencją, klarowny obraz z najgorszym slangiem. Nieład triumfował i biegał poprzez pokoje, z włosami wiszącymi w strąkach, ze szklanymi oczami, z rękami pełnymi nie pasujących do siebie kart, apeli bez podpisów i bez nagłówków, na stołach stygły talerze zupy, podłoga pełna była porozrzucanych spodni, zgniłych jabłek, poplamionych bandaży. I wszystko to nagle rosło stając się potworną muzyką, czymś większym niż filcowa cisza porządnych domów z nienagannymi przodkami, w samym środku zamieszania, w którym przeszłość nie była w stanie znaleźć guzika przy koszuli, teraźniejszość zaś goliła się odłamkami szkła, w braku brzytwy zakopanej w jakiejś doniczce, w środku czasu, który otwierał się ku wszystkim wiatrom niby chorągiewka na dachu, jakiś człowiek oddychał z całych sił, czuł, że żyje do utraty przytomności przez akt obserwacji otaczającego go zamieszania, i zadawał sobie pytanie, czy cokolwiek z tego wszystkiego ma sens. Każdy nieporządek był usprawiedliwiony, jeżeli przekraczał sam siebie, może przez zupełne szaleństwo można było dojść do jakiejś mądrości, innej niż ta, której słabością jest właśnie szaleństwo. „Z

[16] *Get yourself a tiny bit of mescaline...* (ang. potoczny) - Zafunduj sobie bracie trochę meskaliny, reszta to błogość i sraczka.
[17] *A rose...* (ang.) - róża jest różą, jest różą. (Znane powiedzenie Gertrudy Stein, przyswojone w mowie potocznej).
[18] *April is the cruellest month* (ang.) - Najokrutniejszy miesiąc - kwiecień (T. S. Elliot, *Grzebanie umarłych,* z tomu: *Ziemia jałowa,* tłum. A. Piotrowski).
[19] *Beware of the jabberwocky...* (ang.) - Ach, Dżabersmoka strzeż się, strzeż! (Lewis Carroll, O *tym, co Alicja odkryła po*

nieporządku zdążać ku porządkowi - pomyślał Oliveira. - Zapewne. Ale jakiż porządek mógłby nie wydawać się najohydniejszym, najstraszliwszym, najzgubniejszym z nieporządków? Porządek bogów zwie się cyklonem lub leukemią, porządek poety - antymaterią, twardą przestrzenią, kwiatami drżących ust, rany boskie, jakżeż nieludzko się schlałem, muszę natychmiast iść do łóżka".

A Maga płakała, Guy znikł gdzieś, Etienne wychodził w ślad za Perico, a Gregorovius, Wong i Ronald patrzyli na powoli wirującą płytę, trzydzieści trzy obroty na minutę, ani o jeden więcej, ani o jeden mniej, a w tych obrotach *Oscar's Blues,* naturalnie z samym Oskarem przy fortepianie, *i* niejakim Oskarem Petersonem, smutnym grubasem, co miał w sobie coś z pluszowego tygrysa. Facet przy fortepianie i deszcz za okienkiem facjatki - po prostu literatura.

(153)

drugiej stronie lustra, tłum. A. Słomczyński).

19

- Mam wrażenie, że cię rozumiem - powiedziała Maga głaszcząc go po włosach. - Czegoś szukasz, a sam nie wiesz czego. Ja zresztą także szukam i także nie wiem czego. Ale szukamy dwóch rzeczy różnych. To, o czym mówiliśmy tamtej nocy: że ty jesteś raczej Mondrian, a ja Vieira da Silva.

- Hm - powiedział Oliveira. - Tak że ja jestem Mondrian...

- Tak, Horacio.

- Chcesz powiedzieć, że mam zdyscyplinowany umysł.

- Powiedziałam, że jesteś Mondrian.

- A nie przyszło ci do głowy, że za tym Mondrianem może się ukrywać rzeczywistość Vieira da Silvy?

- Z pewnością - powiedziała Maga. - Ale do tej pory nie wyszedłeś z rzeczywistości Mondriana. Boisz się, chcesz mieć pewność. Nie wiem zresztą czego... Jesteś jak lekarz, a nie jak poeta.

- Daj spokój poetom - powiedział Oliveira - i nie rób Mondrianowi krzywdy takimi porównaniami.

- Mondrian jest wspaniały, tylko brak mu powietrza. Trochę się w nim duszę. A kiedy ty zaczynasz z tymi poszukiwaniami jedności, widzę rzeczy bardzo piękne, ale nie żywe, zasuszone kwiaty, takie różności.

- Słuchaj, Luisa, przecież chyba wiesz, co to znaczy jedność...

- Wprawdzie mam na imię Luisa, ale tobie nie wolno tak mnie nazywać, skoro już ochrzciliście mnie Wróżką - powiedziała Maga. - No przecież, że wiem, co to jest jedność. Chcesz powiedzieć, że w twoim życiu wszystko tak się łączy, że możesz równocześnie to widzieć. Tak?

- Mniej więcej - zgodził się Oliveira. - To nie do wiary, ile cię kosztuje uchwycenie jakiejkolwiek abstrakcji. Jedność, wielość... Czy naprawdę nie możesz tego zrozumieć bez przykładów? Nie możesz. Więc na przykład: Czy twoje życie stanowi dla ciebie jedność?

- Nie, chyba nie. Jakieś takie wycinki, rzeczy, które mi się przydarzyły.

- A ty przechodziłaś przez nie jak nitka przez te zielone kamienie. A propos, skąd masz ten naszyjnik?

- Od Osipa - powiedziała Maga. - Należał do jego matki. Tej z Odessy.

Oliveira powoli zalewał mate wodą. Maga podeszła do niskiego łóżka, które im pożyczył Ronald, aby mieli gdzie położyć Rocamadoura. Między łóżkiem, Rocamadourem, irytacją sąsiadów niemalże nie zostawało już miejsca na życie, ale kto by tam przekonał Magę, że miałby lepszą opiekę w szpitalu dla dzieci! Trzeba było pojechać wraz z nią na wieś, tego samego dnia, w którym przyszła depesza od madame Irène, poowijać go w pledy i prześcieradła, zainstalować łóżko, napalić w piecyku, a teraz wysłuchiwać jego wrzasków, kiedy przychodziła pora czopka lub smoczka nie będącego w stanie stłumić smaku lekarstwa. Oliveira naparzył drugą mate, patrząc spod oka na kopertę płyty „Deutsche Gramophon Gesellschaft", którą mu pożyczył Ronald, a której nie miał szans wysłuchać przez wrzaski Rocamadoura. Był przerażony niezdarnością Magi w przewijaniu go, jej nieznośnym nuceniem, które miało go zabawić, smrodem co chwila unoszącym się z łóżeczka, kawałkami waty, krzykiem, jej idiotyczną pewnością, że przecież to głupstwo, że to, co robi dla swojego syna, jest tym, co robić należy, i że Rocamadour będzie za dwa dni zdrów. Wszystko to nie trzymało się kupy, było pozbawione rąk i nóg, niewystarczające. A on w tym wszystkim? Miesiąc temu każde z nich miało swój pokój, potem zdecydowali się mieszkać razem. Maga powiedziała, że w ten sposób wiele oszczędzą, że będą kupowali jedną gazetę, że nie będzie im zostawał chleb, że ona będzie ptasowała bieliznę Horacia, no a ogrzewanie, a światło... Oliveira był o krok od podziwu dla tego nagłego ataku rozsądku i wreszcie ustąpił, bo stary Trouille miał trudności finansowe i zalegał z zapłaceniem mu prawie 30000 franków; było mu zresztą obojętne, czy mieszka sam czy też z Magą, chodził zamyślony, i jakkolwiek męczący zwyczaj przeżuwania każdej rzeczy ciążył mu, nie mógł się od niego wyswobodzić. Doszedł do wniosku, że stała obecność Magi uwolniłaby go od przesadnych dywagacji - no, ale przecież nie liczył się z wzięciem do domu Rocamadoura. Mimo to udawało mu się od czasu do czasu odizolować się, aż do chwili, gdy krzyki małego nagle wpędzały go w zły humor. „Skończę jak bohaterowie Waltera Petera - myślał. - Jeden monolog za drugim - zupełne zboczenie. Jedyne, co mnie ratuje, to zapach siuśków tego szczeniaka".

- Zawsze podejrzewałem, że w końcu pójdziesz do łóżka z Osipem - powiedział Oliveira.

- Rocamadour ma gorączkę - skonstatowała Maga.

Oliveira zaparzył jeszcze jedną mate. Trzeba było ją oszczędzać, w Paryżu kosztowała w aptekach około 500 franków kilo i była ohydna; drogeria koło Gare Saint-Lazare pod piękną nazwą *maté sauvage cueilli par les Indiens*[20] sprzedawała ją jako środek przeczyszczający, moczopędny i antybiotyk. Na szczęście adwokat z Rosario - który przy-

[20] *Maté sauvage...* (franc.) - dzika mate zbierana przez Indian

padkiem był jego bratem - wysłał mu pięć kilo „Cruz de Malta”, ale już niewiele z tego zostało. „Jak mi się skończy mate, jestem ugotowany - pomyślał Oliveira. - Jedyny prawdziwy dialog prowadzę z tym zielonym kubeczkiem”. Studiował dziwne obyczaje mate, oddech ziela odświeżonego przez wodę, które potem, po wessaniu wody, opadało układając się warstwa na warstwie, traciło zarówno połysk, jak i zapach, aż do chwili gdy nowy strumień wody wstrzykiwał nowe życie w to argentyńskie zapasowe płuco dla samotnych i smutnych. Jeszcze niedawno rzeczy bez znaczenia miały dla niego znaczenie i korzyść ze skupionej medytacji w obliczu zielonego kubeczka wynikała z tego, że jego perfidnej inteligencji nie przychodziło na myśl wiązać z nim pojęć, które zazwyczaj wywołują góry, księżyc, horyzont, młoda dziewczyna, ptak albo koń. Również i mate mogłaby wskazać mi centrum” - myślał Oliveira (i podejrzenia, że istniało coś między Magą a Osipem, nikły i traciły konsystencję; przez chwilę zielony kubek był silniejszy, proponował swój mały niesforny wulkanik, swój spieniony krater i wilgotny pióropusz w powietrzu pokoju stosunkowo chłodnym, mimo piecyka, do którego trzeba będzie dołożyć koło dziewiątej). I czyż to centrum, o którym nie wie właściwie, czym jest, nie wystarcza jako wyrażenie współrzędnych jedności? Chodzę po olbrzymiej sali, której podłoga wyłożona jest kamiennymi płytami, a jedna z tych płyt oznacza dokładny punkt, w którym powinienem się zatrzymać, ażeby wszystko uporządkowało się, ustawiło w prawidłowej perspektywie. „Dokładny punkt” - zachłystywał się Oliveira, już niemal ironicznie, żeby się upewnić, że nie igra ze słowami. Bezkształtny czworobok, w który należy się wpatrzyć pod właściwym kątem (przy czym w tym przykładzie ważne jest, że kąt ten jest straszliwie ostry, trzeba niemal przytknąć nos do płótna, ażeby nagle pozornie bezsensowne linie zamieniły się w portret Franciszka I halbo w hobraz bitwy pod Sinigalią, coś habsolutnie hohydnego). Ale ta jedność, suma posunięć, które określają jakieś życie, wydaje się sprzeciwiać wszelkiemu ujawnieniu, póki to życie nie skończy się jak spłukana mate, czyli że tylko inni, tylko biografowie zobaczą w tym całość, co faktycznie dla Oliveiry nie miało najmniejszego znaczenia. Sztuką było posiąść swoją jedność nie będąc bohaterem ani świętym, ani kryminalistą, ani championem boksu, ani nadczłowiekiem, ani pastorem. Poznać jedność w pełni wielości, poznać ją jako straszliwy wir, nie zaś osad zimnej, spłukanej mate.

- Dam mu ćwiartkę aspiryny - powiedziała Maga.

- Jeżeli uda ci się namówić go, żeby ją połknął, będziesz lepszym lekarzem niż Ambroise Paré - powiedział Oliveira, - Chodź pociągnąć mate, świeżo naparzona.

Kwestia jedności zajmowała go, ponieważ tak łatwo nastawiała wszelkie pułapki.

Za swoich czasów studenckich - łażąc po ulicy Viamonte w okresie lat trzydziestych - sprawdził (najpierw ze zdziwieniem, a później z ironią), że miliony ludzi fundują sobie z rozkoszą domniemaną jedność osobowości, która w gruncie rzeczy nie przekracza jedności językowej, za to połączone) z przedwczesną sklerozą charakteru. Ci ludzie konstruowali sobie cały system zasad nigdy nie kontrolowanych, które były tylko ustępstwem w stosunku do słowa, w stosunku do słownego pojęcia sił przyciągania i odpychania, ujarzmianych, przemieszczanych i zastępowanych przez ich słowne ekwiwalenty. W ten sposób obowiązek, moralność, niemoralność i amoralność, sprawiedliwość i miłosierdzie, to, co amerykańskie, i to, co europejskie, dzień, noc, żony, narzeczone, kochanki, armia, bankowość, sztandary i złoto amerykańskie lub moskiewskie, sztuka abstrakcyjna i bitwa pod Caseros stawały się podobne zębom albo włosom, czemuś zaakceptowanemu i automatycznie zespolonemu, czemuś już nieżywemu ani też nie nadającemu się do analizy, bo *takie jest,* bo włącza się w nas, uzupełnia nas i zasila. Gwałt słowa na człowieku, wspaniała zemsta czasownika nad swoim rodzicem, wypełniały gorzką nieufnością wszelkie medytacje Oliveiry, zmuszonego do oparcia się o nieprzyjaciela po to, aby dojść do punktu, w którym będzie w stanie uwolnić się od niego i iść dalej - (ale jak i jakimi środkami, białą nocą czy też ciemnym dniem?) - aż do całkowitego pogodzenia się ze sobą samym i z otaczającą go rzeczywistością. Bez słów dojść do słowa (jakież to dalekie, jakie nierealne), bez świadomości rezonującej uchwycić głęboką jedność, coś, co okazałoby się w końcu jakby sensem tego, co teraz nie jest niczym więcej niż kubeczkiem mate i wypiętą w górę pupką Rocamadoura, po której palce Magi wędrują tam i na powrót z kawałkiem waty, a on krzyczy, bo mu się to wcale nie podoba.

(90)

20

- Zawsze podejrzewałem, że pójdziesz z nim do łóżka - powiedział Oliveira. Maga przykryła syna, który trochę się uspokoił, i wytarła ręce watą.

- Bądź łaskawa umyć ręce, jak pan Bóg przykazał - powiedział Oliveira - i wyrzuć stąd te wszystkie świństwa.

- Zaraz wyrzucę - powiedziała Maga. Oliveira wytrzymał jej spojrzenie (co zawsze sporo go kosztowało), a Maga przyniosła gazetę, którą rozłożyła na łóżku, poukładała na niej kawałki waty, zwinęła w paczuszkę i wyszła z pokoju, żeby spuścić to wszystko w ubikacji na półpiętrze. Kiedy wróciła z błyszczącymi, zaczerwienionymi rękami, Oliveira podał jej mate. Usiadła na niskim foteliku, pociągając w skupieniu. Zawsze marnowała mate kręcąc rureczką w kubku, mieszając nią, jakby gotowała kaszę.

- Ostatecznie - powiedział Oliveira puszczając dym nosem - powinnaś mnie była o tym uprzedzić. Teraz będę musiał wydać 600 franków na taksówkę, żeby przewieźć gdzie indziej moje rzeczy. A pokój o tej porze roku też niełatwo znaleźć.

- Nie ma powodu, żebyś się wynosił - powiedziała Maga. - Kiedyż wreszcie skończysz z tymi fałszywymi wyobrażeniami?

- Z fałszywymi wyobrażeniami?... - powiedział Oliveira. - Przemawiasz jak bohaterowie najlepszych powieści znad La Płaty. Teraz tylko powinnaś wybuchnąć sardonicznym śmiechem z powodu mojego niezrównanego prostactwa i masz do druku, jak znalazł.

- Już nie płacze - powiedziała Maga patrząc w stronę łóżka. - Mówmy ciszej, może uśnie po tej aspirynie. Naprawdę nie spałam z Gregoroviusem.

- A właśnie, że spałaś.

- Nie, Horacio. Dlaczego miałabym kłamać? Od kiedy cię znam, nie miałam innego kochanka. Nic mnie nie obchodzi że mówię to nie tak, jak trzeba, i że ze mnie kpisz. Mówię, jak umiem, nie potrafię wyrazić tego, co czuję.

- Dobrze, już dobrze - przerwał znudzony Oliveira podając jej następną mate. - To widocznie Rocamadour cię zmienił. Od paru dni przeobraziłaś się w tak zwaną mateczkę.

- Przecież Rocamadour jest chory.

- Tym bardziej - odparł Oliveira. - Cóż chcesz, mnie te wszystkie zmiany wydają się trochę innego rodzaju. W rzeczywistości nie najlepiej się znosimy.

- To ty mnie nie znosisz. Nie znosisz Rocamadoura.

- Przyznaję, że nie brałem go w rachubę. Trójka to za dużo na jeden pokój. Pomyśleć, że z Osipem byłoby nas czworo... To nieznośne.

- Osip nie ma tu nic do rzeczy.

- Może byś podgrzała wody - powiedział Oliveira.

- Nic do rzeczy - powtórzyła Maga. - Dlaczego mi dokuczasz, paskudny? Wiem, że jesteś zmęczony mną i że mnie już nie kochasz. Nigdy zresztą mnie nie kochałeś, to było coś innego, takie jakieś marzenia. Idź, Horacio, rzeczywiście nie masz po co zostawać. Już mi się to tyle razy zdarzało... - spojrzała w stronę łóżka, Rocamadour spał.

- Tyle razy - powtórzył Oliveira wyrzucając zużytą mate. - Jesteś zupełnie wzruszająco szczera w twojej sentymentalnej autobiografii. Niech zaświadczy Osip. Po pięciu minutach znajomości trzeba usłyszeć historię Murzyna. To jesteś cała ty.

- Nie rozumiesz, że muszę to opowiedzieć...

- Nie rozumiem, ale to okropne.

- Muszę to opowiedzieć, chociaż to jest okropne. Jeżeli mężczyzna chce wiedzieć, jak przed nim wyglądało życie kobiety, to trzeba mu to było powiedzieć. Mówię o tobie, a nie o Osipie. Ty mogłeś mi opowiadać albo nie opowiadać o twoich kochankach, ale ja musiałam ci opowiedzieć o wszystkim i wszystko. To jedyny sposób, żeby się ich pozbyć, zanim się zacznie kochać kogoś innego. Jedyny sposób, żeby ich wyrzucić za drzwi i żebyśmy sami zostali w pokoju.

- Rodzaj ceremonii ekspiacyjnej, a może i pojednawczej. Więc najpierw Murzyn.

- Tak - powiedziała patrząc na niego - najpierw Murzyn. A potem Ledesma.

- Jasne, potem Ledesma.

- I tych trzech wtedy w zaułku nocą, w czasie karnawałowej nocy.

- Od przodu - powiedział Oliveira przypominając sobie ordynarną dziecinną zabawę, którą teraz zastosował, żeby sobie ulżyć.

- I monsieur Vincent, brat tego, co miał hotel.

- Od tyłu...

- I żołnierz, co nocą płakał w parku.

- Od przodu...

- I ty.

- Od tyłu. Ale pakowanie mnie na listę w mojej obecności potwierdza moje najczarniejsze przeczucia. Naprawdę pełny skład będziesz mogła zaprezentować dopiero Gregoroviusowi.

Maga kręciła rurką. Pochyliła głowę i nagle wszystkie włosy opadły jej na twarz, zakrywając wyraz tej twarzy, na który - nic po sobie nie pokazując - czyhał Oliveira.

- *Después fuiste la amiguita*
de un viejo boticario
y del hijo de un comisario
todo el viento te sacó.[21]

Oliveira nucił tango. Maga pociągnęła mate i wzruszyła ramionami nie patrząc na niego. „Biedactwo" - pomyślał Oliveira. Nagle chwycił ją za włosy, przerzucając wszystkie w tył, jak gdyby odsłaniał kurtynę. Rurka zazgrzytała jej między zębami.

- Prawie jakbyś mnie uderzył - powiedziała dotykając ust drżącymi palcami. - Mnie to obojętne, ale...

- Na szczęście nie jest ci to obojętne - powiedział Oliveira. - Gdybyś nie spojrzała na mnie tak, pogardzałbym tobą. Jesteś fantastyczna razem z całym twoim Rocamadourem i w ogóle.

- Co mi z tego, że mi to mówisz.

- Ale mnie coś z tego.

- Tak, tobie się to przydaje. Przydaje ci się do tego, czego szukasz.

- Słuchaj, kochanie - powiedział uprzejmie Oliveira - przecież wiadomo, że łzy psują smak mate. To znana rzecz.

- To, że płaczę, także ci się do czegoś przyda.

- W takiej mierze, w jakiej uznam się za winnego.

- Idź sobie, Horacio, tak będzie lepiej.

- Prawdopodobnie. Miej na uwadze, że jeśli wyniosę się teraz, będzie to coś bardzo zbliżonego do bohaterstwa: zostawić cię samą, bez forsy i z chorym dzieciakiem.

- Rzeczywiście - spoza łez ukazał się homerycki uśmiech Magi - że to będzie prawie bohaterstwo.

- A ponieważ jestem dość odległy od bohaterstwa, wydaje mi się, że lepiej będzie zostać aż do chwili, w której będziemy wiedzieli, na którym świecie żyjemy, jak by elegancko wyraził się mój braciszek.

- No to zostań.

[21] *Después fuiste la amiguita...* (hiszp.) - Potem byłaś przyjaciółką / starego aptekarza / i syna komisarza / porywał cię byle wiatr.

- Ale czy ty aby rozumiesz, jak i dlaczego rezygnuję z tego bohaterstwa? - Naturalnie.

- No to proszę, wytłumacz.

- Zostajesz, bo jesteś dostatecznie małomieszczański, żeby brać pod uwagę to, co pomyślą Ronald, Babs i inni przyjaciele.

- Znakomicie. To dobrze: zdajesz sobie sprawę, że ty nie masz nic wspólnego z moją decyzją. Nie zostaję ani z przyjaźni, ani z litości, ani dlatego, że trzeba pamiętać o smoczku Rocamadoura. A już najmniej dlatego, że jeszcze coś nas łączy.

- Jesteś czasami tak zabawny...

- Niewątpliwie. W porównaniu ze mną Bob Hope to gówno.

- Jak mówisz, że nie mamy ze sobą nic wspólnego, układasz usta w sposób...

- Trochę tak, co?

- Aha. Boże, jak śmiesznie...

Porwali za chustki, by ukryć w nich twarze, bo tak ryczeli, że byliby z pewnością obudzili Rocamadoura. Jakkolwiek Oliveira robił wszystko, żeby ją powstrzymać, Maga gryząc chustkę i płacząc ze śmiechu powoli ześliznęła się z fotela, którego przednie nóżki były krótsze, i zaplątała się między nogami Oliveiry, śmiejącego się tak, że wśród czkawki wypluł chustkę, którą miał w ustach.

- Pokaż jeszcze raz, jak wykrzywiam usta, kiedy mówię takie rzeczy - błagał Oliveria.

- Tak - powiedziała Maga i znowu aż ich skręciło, Oliveira złożył się wpół, trzymając się za brzuch, a Maga zobaczyła jego twarz tuż koło własnej, oczy, które patrzyły na nią, błyszczące od łez. Zaczęli całować się „do góry nogami", ona ku górze, a on z włosami opadającymi jak frędzle, całowali się przygryzając trochę usta, które się nie poznawały, całowali odmienne usta, szukając się rękami w diabelskim skręcie wiszących włosów; mate wylała się na brzeg stołu i skapywała prosto na spódniczkę Magi.

- Opowiedz mi, jak to robi Osip - mruczał Oliveira przyciskając jej usta do swoich. - Prędko, bo mi krew uderza do głowy, dłużej tak nie mogę, to nie do wytrzymania.

- Bardzo dobrze - powiedziała przygryzając mu wargę - dużo lepiej od ciebie i o wiele częściej...

- Ale wydęga ci murtę? Tylko mi nie kłam. Naprawdę ci ją wydęga?

- Jeszcze jak! Na wszystkie strony. Czasami aż za długo. Nie masz pojęcia, co za cudowne uczucie.

- A kładzie ci plinki między argusty?

- Bez przerwy. A potem sobie wzajemnie tropikamy marcyny, aż on krzyczy, że ma dosyć, ja też już nie mogę dłużej, musimy się spieszyć, rozumiesz. Chociaż ty tego nigdy nie zrozumiesz, masz o wiele za mało gunfii.

- Ani ja, ani nikt inny - zgniewał się Oliveira prostując się. - Nie do picia jest ta mate. Idę się trochę przejść.

- Nie chcesz, żebym jeszcze porozmawiała o Osipie po gliglińsku?

- Nudzi mnie gligliński. W dodatku nie masz fantazji. Stale powtarzasz to samo. Gunfia, także mi nowość. I nie mówi się „rozmawiać o".

- To ja wymyśliłam gligliński - obraziła się Maga. - Ty powiesz byle co i cały się puszysz, ale to wcale nie jest prawdziwy gligliński.

- Wracając do Osipa...

- Nie bądź głupi, Horacio, mówię ci, że z nim nie spałam. Chcesz, żebym ci złożyła wielką przysięgę Siuksów?

- No, ostatecznie może i tak ci uwierzę.

- Nie mówiąc o tym - powiedziała Maga - że w końcu pewnie się z nim położę, i ty jeden będziesz temu winny.

- Rzeczywiście podoba ci się ten facet?

- Skąd! Ale przecież trzeba zapłacić aptekę. Od ciebie nie chcę ani grosza, a nie mogę brać od niego forsy, a potem wystawić do wiatru...

- Wiem, już wiem. Twoje dobre serce. Żołnierzyka w parku także nie mogłaś zostawić, skoro płakał.

- Nie mogłam. Sam widzisz, jacy jesteśmy różni.

- Rzeczywiście. Litość nie jest moją najmocniejszą stroną. Ale i ja mógłbym płakać przy jakiejś okazji, a wtedy ty...

- Trudno mi wyobrazić sobie ciebie płaczącego - powiedziała Maga. - Dla ciebie byłoby to trwonieniem...

- Kiedyś płakałem.

- Tylko ze złości. Nie umiesz płakać, Horacio, to jest jedna z tych rzeczy, których nie umiesz.

Oliveira przyciągnął Magę i posadził sobie na kolanach. Pomyślał, że jej zapach, zapach jej karku, zasmuca go. Ten sam zapach, co przedtem... „Szukać poprzez... - pomyślał niejasno - tak, to jedna z tych rzeczy, których nie umiem, ani tego, ani płakać, ani litować się nad sobą".

- Nigdyśmy się nie kochali - powiedział całując ją we włosy.

- Za mnie nie mów - powiedziała Maga zamykając oczy. - Co ty wiesz o tym, czy ja cię kocham, czy nie. Nawet o tym nie masz pojęcia.

- Uważasz, że jestem aż tak ślepy?

- Przeciwnie. Dobrze by ci zrobiło, żebyś choć trochę oślepł.

- Aha, dotyk, który ma zastąpić definicję, instynkt idący dalej niż inteligencja. Magiczna droga, ciemna noc duszy.

- Dobrze by ci zrobiło - upierała się Maga, jak zawsze, kiedy czegoś nie rozumiała i chciała to ukryć.

- Słuchaj, tyle, ile wiem, wystarcza, żeby uznać, że należy, by każde poszło swoją drogą. Zdaje mi się, że powinienem pobyć trochę sam, Luisa. Rzeczywiście nie wiem jeszcze, co ze sobą zrobię. A tobie i Rocamadourowi, który notabene chyba się budzi, robię tylko krzywdę, źle was traktując. Nie chcę, żeby to dłużej trwało.

- Nie masz się co martwić ani o mnie, ani o Rocamadoura.

- Nie martwię się, ale wszyscy troje kitłasimy się tu na kupie, to nie jest ani wygodne, ani estetyczne. Może nie jestem dość ślepy, kochanie, ale mam wystarczająco dobre oczy, aby widzieć, że znakomicie się urządzisz beze mnie. Jakkolwiek mówienie o tym rani moją dumę, muszę przyznać, że jak dotąd, żadna z moich przyjaciółek nie popełniła samobójstwa.

- Tak, Horacio.

- Czyli że jeżeli uda mi się znaleźć dostateczny zasób heroizmu, ażeby porzucić cię jeszcze dziś wieczorem albo jutro rano, tutaj nie zmieni się nic.

- Nic - powiedziała Maga.

- Z powrotem poślesz małego do madame Irène, wrócisz do Paryża i będziesz żyła tak jak dotąd.

- Właśnie.

- Będziesz często chodziła do kina, czytała powieści, spacerowała z narażeniem życia po najstraszniejszych dzielnicach o najstraszniejszych porach.

- No właśnie, właśnie.

- Będziesz znajdowała na ulicach wiele dziwacznych rzeczy, będziesz je przynosiła do domu, będziesz coś z nich majstrowała. Wong będzie cię uczył żonglerki, a Osip będzie szedł o dwa metry za tobą ze złożonymi rękami, z miną pełną uszanowania i skromności.

- Horacio, proszę cię - powiedziała Maga obejmując go tak, aby nie widział jej twarzy.

- Jasne, że nasze magiczne spotykania się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach będą nadal trwały, tak jak wtedy na placu Bastylii, pamiętasz?

- Na rue Daval.

- Byłem zdrowo urżnięty, a ty nagle zjawiłaś się na rogu i stanęliśmy patrząc na siebie jak idioci.

- Bo byłam przekonana, że miałeś tego wieczoru iść na koncert.

- A ty mi mówiłaś, że jesteś umówiona z madame Leonie.

- Dlatego takeśmy się ucieszyli, jakeśmy na siebie wpadli na rue Daval.

- Miałaś na sobie zielony sweter i zatrzymałaś się na zakręcie, żeby pocieszyć jakiegoś pédéraste.

- Bo pobili go i wyrzucili z kawiarni. Płakał, że serce pękało.

- A kiedyś spotkaliśmy się koło Quai de Jemmapes.

- Było gorąco - powiedziała Maga.

- Właściwie toś mi nigdy nie wytłumaczyła, czego szukałaś koło Quai de Jemmapes.

- Niczego nie szukałam.

- Trzymałaś w ręku jakąś monetę...

- Znalazłam ją na brzegu chodnika. Tak błyszczała...

- I potem poszliśmy na Place de la République, gdzie było pełno strzelnic, i wygraliśmy pudełko cukierków.

- Okropnych.

- A innym razem wychodziłem z metra Mouton-Duvernet, a ty siedziałaś na tarasie kawiarni z Murzynem i z Filipińczykiem.

- Ty też mi się nigdy nie przyznałeś, co robiłeś koło Mouton-Duvernet.

- Szedłem do pedikiurzysty - powiedział Oliveira. - Miał poczekalnię całą wytapetowaną scenami fioletowo-szkarłatnymi: gondole, palmy, kochankowie obejmujący się w świetle księżyca. Wyobraź to sobie powtórzone pięć tysięcy razy w wymiarach dwanaście na osiem.

- Dlatego tam poszedłeś, a nie przez odciski.

- To nie były odciski, dziecinko. Autentyczna kurzajka, która umieściła mi się na podeszwie. Podobno z awitaminozy.

- Dobrze ci się zagoiła? - zapytała Maga podnosząc głowę i patrząc na niego z wielką uwagą.

Przy pierwszym wybuchu śmiechu Rocamadour obudził się i zaczął pojękiwać. Oliveria westchnął; teraz cała scena się powtórzy, przez chwilę będzie widział tylko plecy pochylonej nad łóżkiem Magi, jej poruszające się ręce. Z powrotem zabrał się do przygotowywania mate, do papierosa. Chciał nie myśleć. Maga umyła ręce i wróciła. Wypili parę kolejek mate nie patrząc na siebie.

- Najlepsze w tym wszystkim - powiedział Oliveira - jest, że nie pozwalamy sobie na przedstawienia. Nie patrz tak na mnie, jakbyś pomyślała chwilę, to wiedziałabyś, o co mi chodzi.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziała Maga - nie dlatego patrzyłam na ciebie.

- Myślisz, że...

- Trochę tak, ale lepiej już do tego nie wracać.

- Masz rację. Chyba pójdę się trochę przejść.

- Nie wracaj - powiedziała Maga.

- Nie przesadzaj - powiedział Oliveria. - A niby gdzie pójdę spać? Węzły gordyjskie swoją drogą, a wiatr na dworze swoją. Jest pięć stopni poniżej zera.

- Będzie lepiej, jeżeli nie wrócisz, Horacio - powiedziała Maga. - Teraz jakoś mi łatwo powiedzieć ci to. Zrozum.

- Tak wygląda - powiedział Oliveira - jakbyśmy jedno przez drugie chcieli winszować sobie naszego *savoir-faire.*

- Bardzo mi cię żal, Horacio.

- Stop. Nie tędy droga. Tędy - nie.

- Przecież wiesz, że ja czasem widzę. Widzę bardzo jasno. Co też człowiekowi przychodzi do głowy: godzinę temu pomyślałam, że najlepszym wyjściem byłoby rzucić się do rzeki!

- Zwłoki nie zidentyfikowanej kobiety znaleziono w Sekwanie... Przecież pływasz jak łabędź.

- Żal mi cię - powtórzyła Maga. - Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Tego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się przed Notre-Dame, także widziałam, że... tylko nie chciałam w to uwierzyć. Miałeś na sobie taką piękną niebieską koszulę... Wtedy pierwszy raz poszliśmy do hotelu, prawda?

- Nieprawda, ale to nie ma znaczenia. A ty uczyłaś mnie mówić po gliglińsku.

- Gdybym ci powiedziała, że wszystko to robiłam z litości?

- Przestań - Oliveira popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Tamtej nocy byłeś w niebezpieczeństwie. To się widziało, słyszało się jak daleką syrenę... trudno mi to jakoś wytłumaczyć.

- Mnie grożą tylko metafizyczne niebezpieczeństwa - powiedział Oliveira. - Możesz mi wierzyć, że nie będą mnie wyciągali hakami z wody. Zdechnę na skręt kiszek, na azjatycką grypę albo na peugeota 403.

- Nie wiem - powiedziała Maga. - A ja myślę czasem o tym, żeby się zabić, chociaż wiem, że tego nie zrobię. Nie myśl, że tylko przez Rocamadoura, przed nim było to samo. Myśl o samobójstwie zawsze mi pomagała. Ale ty, który tak myślisz... Dlaczego mówisz „metafizyczne niebezpieczeństwa”? Istnieją przecież i rzeki metafizyczne, Horacio. Kiedyś rzucisz się w jedną z nich.

- Pewnie w Tao - powiedział Oliveira.

- Wydawało mi się, że będę cię mogła osłonić. Nie, nie mów nic. Od razu zdałam sobie sprawę z tego, że mnie nie potrzebujesz. Kochaliśmy się jak dwaj muzycy, którzy łączą się, ażeby razem grać sonaty.

- Ładnie powiedziane.

- Tak było. Fortepian grał swoją partię, a skrzypce swoją i z tego wynikała sonata, sam wiesz jednak, że pod tym wszystkim wcale się nie spotykaliśmy. Wiedziałam to od początku, ale sonaty były takie piękne...

- Tak, kochanie.

- I gligliński.

- Pewno.

- I wszystko, i Klub, tamten wieczór na Quai de Bercy, pod drzewami, kiedy polowaliśmy na gwiazdy aż do rana i opowiadaliśmy sobie historie o książętach, a tobie zachciało się pić i kupiliśmy butelkę musującego wina, bardzo drogą, i piliśmy nad brzegiem rzeki.

- I wtedy przyszedł kloszard - powiedział Oliveira - i oddaliśmy mu pół butelki.

- A wiedział Bóg wie nie co... I o rzymskich czasach, i różne wschodniości. I ty z nim dyskutowałeś na temat...

- Awerroesa, mam wrażenie.

- Tak, Awerroesa.

- A wtedy co żołnierz klepnął mnie na Foire du Trône i tyś go rąbnął w pysk i posadzili nas wszystkich...

- Żeby aby nie usłyszał Rocamadour - roześmiał się Oliveira.

- Na szczęście Rocamadour w ogóle nie będzie cię pamiętał, jeszcze nic mu nie zostaje na dnie oczek. Jak ptaki, co jedzą okruszyny, które im się rzuca. Patrzą, zjadają, odfruwają... Nie zostaje nic.

- Tak - powtórzył Oliveira. - Nie zostaje nic.

Na schodach darła się facetka z trzeciego piętra pijana jak zawsze o te) porze. Oliveira spojrzał przelotnie w stronę drzwi, ale Maga przyciągnęła go do siebie, ześlizgnęła się na ziemię, aż w końcu uklękła płacząc i drżąc.

- Dlaczego tak się gnębisz? - zapytał. - Metafizyczne rzeki płyną wszędzie, nie trzeba ich daleko szukać. Wiesz, nikt nigdy nie miał większego prawa, żeby się utopić niż ja, kitku. Ale obiecuję ci coś: pomyślę o tobie w ostatniej sekundzie, aby była jeszcze bardziej gorzka. Romans kolejowy, okładka w trzech kolorach.

- Nie odchodź - szepnęła Maga obejmując go za nogi.

- Tylko się przespaceruję.

- Nie, nie odchodź.

- Zostaw mnie. Przecież wiesz, że wrócę, na tę noc w każdym razie wrócę.

- To chodźmy razem - poprosiła. - Popatrz, Rocama-dour śpi, nie obudzi się aż do pory karmienia. Mamy dwie godziny, chodźmy do tej kafejki w arabskiej dzielnicy, do te) smutnej kafejki, gdzie jest tak przyjemnie.

Ale Oliveira chciał wyjść sam. Powoli uwalniał jedną i drugą nogę z uścisku Magi. Głaskał ją po włosach, przesuwał palcami po naszyjniku, pocałował ją w kark, za uchem, słysząc, jak płacze, z twarzą zasłoniętą włosami. „Szantażem... nie - pomyślał - płaczmy otwarcie, twarzą w twarz, ale nie ta taniutka czkawka wyuczona w kinie". Podniósł jej głowę i zmusił, żeby na niego spojrzała,

- To ja jestem łajdak - powiedział. - Pozwól, żebym ja zapłacił. Płacz nad twoim synem, który może umiera, ale na mnie nie marnuj łez. Rany boskie, co za scena, od czasu Zoli nie było podobnej. A teraz pozwól mi wyjść.

- Dlaczego? - zapytała Maga nie ruszając się z podłogi, ze wzrokiem wbitym w niego jak pies.

- Co dlaczego?

_ Dlaczego?

- Ach, pytasz, dlaczego to wszystko? Skąd to można wiedzieć! Mam wrażenie, że ani ty, ani ja nie byliśmy specjalnie winni. Nie jesteśmy dorośli, Luisa. To jest cnota, za którą drogo się płaci. Jak dzieci skończą zabawę, zawsze drą się za włosy. To pewnie coś takiego. Trzeba by się nad tym zastanowić.

21

Wszystkim zdarza się to samo, posąg Janusa jest niepotrzebnym marnotrawstwem, w rzeczywistości po ukończeniu czterdziestu lat od rozpaczliwego patrzenia wstecz prawdziwą twarz mamy na karku. Jest to jeden z najoczywistszych komunałów. Nic na to nie można poradzić, trzeba to po prostu uznać, słowami, które wykrzywiają z nudów wargi dorastających jednotwarzowców. Otoczony chłopakami w swetrach i rozkosznie brudnymi dziewczynami (wszystko to w oparach *café crème* na Saint-Germain-des-Prés), którzy czytają Durrella, Simone de Beauvoir, Marguerite Duras, Douassot, Queneau i Sarraute, oto ja - sfrancuziały Argentyńczyk (potworne! potworne!), poza młodzieżową modą, poza coolem, z anachronicznym *Etes-vous fou* René Crevela w ręku, z całym surrealizmem w pamięci, z piętnem Antonina Artaud na podbrzuszu, z *Ionisations* Edgara Várese w uszach, z Picassem w oczach, chociaż podobno jestem Mondrian, tak mi powiedziano.

- *Tu sèmes des syllabes pour récolter des étoiles*[22] - drwi ze mnie Crevel.

- Robi się co można - odpowiadam mu.

- A ta samica *n'arrêtera-t-elle donc pas de secouer l'arbre à sanglots!*[23]

- Jesteś niesprawiedliwy - mówię - zaledwie trochę popłakuje, zaledwie odrobinę się żali.

Smutno dojść w życiu do chwili, w której ma się ochotę otworzyć książkę na stronicy dziewięćdziesiątej szóstej i dyskutować z jej autorem począwszy od kawy, a kończąc na grobie, począwszy od nudy, a kończąc na samobójstwie, podczas gdy przy sąsiednich stolikach tematem jest Algieria, Adenauer, Mijanou Bardot, Guy Trébert, Sydney Bechet Michel Butor, Nabokov, Zao-Wu-Ki, Louison Bobet... W moim kraju zaś tematem jest... Co jest tematem w moim kraju? Już nie wiem, tak od tego odszedłem, ale już nie mówi się o Spilimbergu ani o Justo Suarezie, ani o Rekinie *z* Quilla, ani o Boninim, ani o Leguisamo. To zupełnie naturalne. Sęk w tym, że natura i rzeczywistość nie wiedzieć czemu stają się nagle wrogie, przez jakiś czas to, co naturalne, brzmi zupełnie fałszywie, rzeczywistość lat dwudziestu zaś idzie pod rękę z rzeczywistością czterdziestu, przy czym w każdej ręce jest żyletka krojąca kurtkę sąsiada. Odkrywam nowe światy równoczesne, ale obce sobie, za każdym razem podejrzewam, że zgoda jest najgorszym ze złudzeń. Skąd to pragnienie uniwersalności, skąd ta walka z czasem? Przecież ja także czytuję Sarraute, ja także oglądam zdjęcie Guy Tréberta w kajdanach, ale to tylko mi się zdarza, natomiast kiedy muszę sam coś zdecydować,

[22] *Tu sèmes des syllabes...* (franc.) - Siejesz sylaby, aby zbierać gwiazdy. (R. Crevel).
[23] *N'arrêtera-t-elle...* (franc.) - czy nie zaprzestanie ona potrząsać łkającym drzewem? (R. Crevel).

prawie zawsze decyduję wstecz. Moja ręka wędruje po półkach z książkami; wyciąga Crevela, wyciąga Roberta Arlta, Jarry'ego. „Dziś" pasjonuje mnie, ale zawsze z punktu widzenia dnia wczorajszego (mhówiłem, że mnie phasjonuje?) i tak się dzieje, jakby już w moim wieku przeszłość stawała się teraźniejszością, teraźniejszość zaś jakąś dziwną i niejasną przyszłością, w której chłopcy w. swetrach i dziewczyny o rozpuszczonych włosach popijają swoją *café crème,* pieszcząc się z powolną gracją kotów lub roślin.

Trzeba przeciw temu walczyć.

Trzeba raz jeszcze spróbować osiedlić się w teraźniejszości.

Podobno jestem Mondrian, ergo...

Ale Mondrian malował swą teraźniejszość czterdzieści lat temu...

(Fotografia Mondriana, który wygląda jak typowy dyrygent orkiestry grającej popularne tanga - Julio de Caro, *ecco!* - w okularach, z gładko przylizanymi włosami i w sztywnym kołnierzyku, z miną obrzydliwego subiekta, który tańczy z portową dziwką. Jakąż teraźniejszość odczuwał w czasie tego tańca? Te jego płótna, to jego zdjęcie... Co za przepaść!)

(Jesteś stary, Horacio. Quintus Horacius Oliveira, jesteś stary. Flaccus. Jesteś flakowaty i stary, Oliveira).

- *U verse son vitriol entre les cuisses des faubourgs*[24] - kpi Crevel.

Cóż będę robił? W środku wielkiego nieporządku ciągle uważam się za chorągiewkę na dachu, która po nie kończących się obrotach musi w końcu wskazać północ, południe. Porównywanie kogoś do chorągiewki na dachu zdradza brak wyobraźni: widzi się tylko obroty, nie zaś intencje: koniec strzałki, który chce zatrzymać się i pozostać w strudze wiatru.

Istnieją metafizyczne rzeki. Tak, moja miła, na pewno. Popielęgnujesz syna, popłaczesz od czasu do czasu i oto już będzie nowy dzień, żółte słońce, które nie grzeje, *J'habite à Saint-Germain-des-Prés, et chaque soir j'ai rendez-vous avec Verlaine.* / *Ce gross pierrot n'a pas changé, et pour courir le guilledou...*[25]

Za dwadzieścia franków, które wrzucisz do szparki, zaśpiewa ci o swoich miłościach Léo Ferré, a może Gilbert Bécaud czy też Guy Béart. A tam, w moim kraju: *Si qiuere ver la vida color de rosa / Eche veinte centavos en la ranura...*[26] Może właśnie otworzyłaś radio (uwaga, w ten poniedziałek trzeba zapłacić komorne, muszę ci przypomnieć) i słuchasz kameralnej muzyki, pewnie Mozarta, puściłaś płytę bardzo cichutko, żeby nie zbudzić

[24] *Il verse son vitriol...* (franc.) - Oblewa swym witriolem [miasto] objęte udami przedmieść. (R. Crevel).
[25] J*'habite à Saint-Germam-des-Prés...* (franc.) - Mieszkam na Saint-Germain-des-Prés i każdego wieczoru mam spotkanie z Verlainem / ten wielki pierot nie zmienił się nic i żeby włóczyć się po knajpach... (Słowa piosenki Léo Ferré, *A Saint-Germain-des--Prés).*
[26] *Si quiere ver la vida...* (hiszp.) - Aby widzieć życie na różowo, należy wrzucić do tego otworu dwadzieścia centów...

Rocamadoura. I boję się że nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo Rocamadour jest chory, jaki słaby i chory, i że lepiej byłoby mu w szpitalu. Ale nie mogę z tobą więcej poruszać tych spraw, uznajmy, że wszystko to już się skończyło, że błądzę dookoła szukając północy albo południa, jeżeli rzeczywiście czegokolwiek szukam. Jeżeli czegokolwiek szukam. Lecz jeżeli nie szukam, czym jest to wszystko? Och, miłości moja, tęsknię za tobą, tę tęsknotę jak ból czuję w skórze, w gardle, za każdym oddechem mam uczucie, jakbym wdychał pustkę w piersi, w których już cię nie ma.

- *Toi* - mówi Crevel - *toujours prêt à grimper les cinq étages des pythonisses faubouriennes, qui ouvrent grandes les portes du futur...* [27]

I dlaczegóż by nie, dlaczegóż nie miałbym szukać Magi, tyle razy, kiedy szedłem przez rue de Seine, wystarczało mi pochylić się nad łukiem wychodzącym na Quai Conti, aby - zaledwie szarooliwkowe światło, które unosi się nad rzeką, pozwoliło mi odróżnić jakieś formy - jej szczupła sylwetka od razu rysowała się na Pont des Arts i szliśmy dalej polować na cienie, jeść frytki na Faubourg Saint-Denis, całować się na kanale Saint-Martin. Przy niej powietrze stawało się jakieś nowe, przy niej zauważałem piękność nadchodzącego zmierzchu albo sposób, w jaki przedmioty odcinają się od tła, jak wtedy, kiedy po kratach Cour de Rohan włóczędzy wspinali się ku onieśmielającemu, księżycowemu królestwu świadków i sędziów...

Dlaczegóż nie miałbym kochać Magi i posiadać jej pod tymi wszystkimi sufitami w cenie sześciuset franków każdy, na brudnej i wystrzępionej pościeli, jeśli w tej zawrotnej grze w klasy, w tych wyścigach w workach poznawałem samego siebie i wołałem się po imieniu, wreszcie i na zawsze wyłączony z czasu i jego małpich, oznakowanych klatek, jego witryn, w których „Omega Electron Girard Perregaud Vacheron et Constantin" wyznaczały godziny i minuty najświetniejszych, jakkolwiek limitujących zobowiązań, w atmosferze, w której ostatnie więzy opadały, przyjemność zaś stawała się zwierciadłem pojednania, może lusterkowym wabikiem na skowronki - przecież jednak zwierciadłem, czymś w rodzaju sakramentu łączącego istnienia, tańcem wokół ołtarza, nadejściem snu z ustami na ustach, czasem nawet nie rozpłatawszy się z uścisku, wśród ciepła połączonych seksów, ramion niby splątane pnącza, wśród rąk łagodnie pieszczących czyjeś udo, czyjś kark...

- *Tu t'accroches à des histoires* - mówi Crevel. - *Tu étreins des mots...*[28]

[27] *Toi, toujours prêt...* (franc.) - Ty, który zawsze gotów jesteś wdrapywać się na piąte piętro przedmiejskich wróżek, na oścież otwierających wrota przyszłości... (R. Crevel).
[28] *Tu t'accroches à des histoires...* (franc.) - Czepiasz się wypadków. Dusisz słowa. (R. Crevel).

- Nie, stary, to robi się inaczej po tamtej stronie oceanu, której nie znasz. Już od dość dawna nie chodzę do łóżka ze słowami. Posługuję się nimi, jak ty i jak inni, ale starannie czyszczę je szczoteczką przed użyciem.

Crevel jest nieufny i rozumiem go. Między Magą a mną wyrasta trzcinowe pole słów; zaledwie rozdzieliło nas parę godzin, parę ulic, już mój żal nazywa się żal, moja miłość nazywa się miłość. W miarę upływającego czasu będę czuł coraz mniej, wspominał coraz więcej, ale czymże jest wspomnienie, jeśli nie językiem uczuć, słownikiem twarzy i dni, i zapachów, które powtarzają się jak czasowniki i przymiotniki w przemówieniu, ukradkiem przemykając się poza samą rzecz, aż do czystej teraźniejszości, zasmucając nas lub moralizatorsko pouczając, do chwili kiedy sami stajemy się moralistami, twarz zwrócona wstecz otwiera szeroko oczy, ta prawdziwa zaś zaciera się powoli, tak jak na starych fotografiach, i nagle Janusem jest już każdy z nas.

Mówię to wszystko Crevelowi, chociaż rozmawiam z Magą, teraz kiedy jesteśmy już tak daleko. I nie mówię do niej słowami, które służyły nam tylko do nieporozumiewania się i teraz, gdy jest już za późno, zaczynam wynajdywać inne, jej słowa, poobwijane w to, co ona rozumie, a co nie ma nazwy, w iskry i emanacje, które trzeszczą w powietrzu między dwoma ciałami lub też złotym pyłem napełniają pokój albo wiersz.

Ale czyż nie w ten sposób cały czas żyliśmy, delikatnie się raniąc? Nie, nie cały czas tak żyliśmy, może ona byłaby chciała, ale ja raz jeszcze zaprowadziłem ów fałszywy porządek, który ukrywa chaos, raz jeszcze udałem, że pogrążony jestem w głębiach życia, których w rzeczywistości dotykałem zaledwie czubkiem stóp. Istnieją rzeki metafizyczne, ona pływa w nich niby jaskółka w powietrzu, wirując w zapamiętaniu dookoła dzwonnicy, opadając tylko po to, żeby jeszcze wyżej wystrzelić w górę. Ja opisuję, określam i pożądam tych rzek - ona w nich pływa. Ja ich szukam, znajduję, oglądam z mostu - ona w nich pływa. I podobnie jak jaskółka, nie wie o tym nic. Nie musi - tak jak ja - wiedzieć, że może żyć w nieładzie, bo nie powstrzymuje jej świadomość żadnego porządku. Ten nieład jest jej tajemniczym ładem, cyganerią ciała i duszy, która otwiera przed nią na oścież drzwi. Jej życie jest nieporządkiem tylko dla mnie, pogrzebanego w przesądach, którymi gardzę i które szanuję równocześnie. Ja, nieodwracalnie skazany, aby zostać rozgrzeszonym przez Magę, która sądzi mnie, nie wiedząc. Ach, pozwól mi wnijść, pozwól mi kiedyś popatrzeć twoimi oczami!

Bezcelowe. Skazany na rozgrzeszenie. Wracaj do domu i zabieraj się do Spinozy. Maga nie wie, kto to jest Spinoza. Czyta niezmordowanie rosyjskie i niemieckie powieści oraz Pereza Galdosa, i natychmiast zapomina, co przeczytała. Nigdy by jej na myśl nie przyszło, że skazuje mnie na czytanie Spinozy. Niezwykły sędzia, bo sądzi poprzez ręce,

poprzez sposób przebiegania ulicy, poprzez spojrzenie, którym mnie obnaża, poprzez to, że jest niemądra i nieszczęsna, i zrozpaczona, i mniej niż nic. Poprzez to wszystko, co wiem za pomocą gorzkiej świadomości, za pomocą zgniłych reguł człowieka wykształconego i oświeconego, poprzez to wszystko - sędzia. Zniż się, jaskółko, ostrymi nożycami tnąca powietrze nad Saint-Germain-des-Pres, wydziób te oczy, które patrzą nie widząc, skazany jestem bezapelacyjnie, szybko na tę błękitną szubienicę, na którą wznoszą mnie ręce kobiety pielęgnującej syna, niech szybka będzie egzekucja, niech szybko nastanie kłamliwy porządek samotności, samowystarczalności, egocentryzmu, samoświadomości. I z tym całym ogromem wiedzy niepotrzebne pragnienie żalu nad czymś, i żeby spadł deszcz, tutaj we mnie, i żeby w końcu zaczęło padać i pachnieć ziemią, czymś żywym - nareszcie.

(79)

22

Twierdzono, że stary pośliznął się, że auto ruszyło na czerwonym świetle, że stary chciał popełnić samobójstwo, że w Paryżu wszystko idzie coraz gorzej, że ruch jest wręcz potworny, że stary był winien, że auto miało złe hamulce, że stary był straszliwie nieostrożny, że życie staje się co dzień droższe, że w Paryżu jest zbyt dużo cudzoziemców, że nie znają prawideł ruchu i że odbierają pracę Francuzom.

Stary nie wydawał się poważnie ranny. Uśmiechał się niepewnie, przesuwając dłonią po wąsach. Nadjechało pogotowie, włożono go na nosze, kierowca samochodu nie przestając wymachiwać rękami opowiadał o wypadku policjantom oraz gapiom.

- Mieszka pod trzydziestym drugim na rue Madame - powiedział blondynek, który zamienił parę słów z Oliveirą i innymi ciekawymi. - Znam go. To pisarz. Książki pisze.

- Dostał zderzakiem w nogi, ale szofer już hamował.

- Dostał w piersi - powiedział chłopak. - Stary potknął się na kupie śmieci.

- Dostał w nogi - powiedział Oliveira.

- To zależy od punktu widzenia - powiedział jakiś bardzo niski pan.

- Dostał w piersi - powiedział chłopak - widziałem na własne oczy.

- W takim razie... może trzeba by zawiadomić rodzinę?

- On nie ma rodziny. To pisarz.

- Aha - powiedział Oliveira.

- Ma kota i kupę książek. Kiedyś dozorczyni dała mi paczkę, żebym mu zaniósł na górę, a on mnie wpuścił. Książki, wszędzie książki. Musiało mu się zdarzyć coś takiego, pisarze są roztargnieni. Ja tam nie wpadnę pod auto.

Kapnęło parę kropel, które w jednej chwili rozpuściły grupę świadków.

Podniósłszy kołnierz kanadyjki, Oliveira zwrócił twarz w kierunku zimnego wiatru i ruszył przed siebie bez celu. Był prawie pewien, że stary nie doznał poważnej krzywdy, ale wciąż miał przed sobą jego niemal spokojną, raczej bezradną twarz, podczas gdy go kładziono na nosze wśród przyjacielskich i pocieszających *Allez, pepère, c'est rien ça* noszowego, rudzielca, który z pewnością całemu światu mówił to samo.

„Absolutny brak porozumienia - pomyślał Oliveira. - Nie, że jesteśmy samotni, bo to stary kawał. Ale być samotnym znaczy być samotnym na pewnym planie, na którym inne samotności mogłyby - gdyby to było możliwe - komunikować się z nami. Tymczasem jakikolwiek konflikt, uliczny wypadek czy też wybuch wojny powoduje pokrzyżowanie

różnych planów i człowiek, który może jest znakomitością w zakresie sanskrytu albo fizyki kwantowej, zmienia się w *pepère'a* dla noszowego, który przyjeżdża do wypadku. Edgar Poe na taczkach, Verlaine w rękach znachorów, Nerval i Artaud u psychiatrów. Co mógł wiedzieć o Keatsie włoski konował, który puszczał mu krew i morzył głodem? Jeśli tacy ludzie milczą, co jest więcej niż prawdopodobne, tamci ślepo triumfują, naturalnie nie dlatego, żeby mieli złe intencje, po prostu nie wiedzą, że ten operowany, ten gruźlik, ten nagi ranny na łóżku jest podwójnie samotny, otoczony istotami, które poruszają się jakby za szybą, jakby w innym czasie...".

Przystanąwszy w zaułku, zapalił papierosa. Nadchodził wieczór, grupy dziewcząt opuszczały sklepy, spragnione śmiechu, głośnych rozmów, poszturchiwania, choćby jednego trochę bardziej szorstkiego kwadransa, nim zapadną w codzienny befsztyk i ilustrowany magazyn. Oliveira szedł dalej. Nawet nie dramatyzując, najskromniejszy obiektywizm ukazywał absurd Paryża, życia w stadzie. Skoro już pomyślał o poetach, łatwo było przypomnieć sobie wszystkich tych, którzy denuncjowali samotność człowieka wobec człowieka, śmiechu wartą komedię ukłonów, przeproszeń w czasie mijania się na schodach, miejsc ustępowanych paniom w metrze, braterstwa obserwowanego w polityce lub w sporcie. Jedynie seksualny i biologiczny optymizm mógł ukrywać przed niektórymi z nich ich izolację, cokolwiek by myślał na ten temat John Donnę. Kontakty w czasie działania, w czasie pracy, w łóżku, na stadionie były kontaktami gałęzi i liści dwóch drzew, które krzyżują się i pieszczą, podczas gdy pnie pozostają pogardliwie i niezgodnie równoległe. Zapewne moglibyśmy w głębi duszy być tacy, jacy jesteśmy na wierzchu - pomyślał Oliveira - tylko trzeba by inaczej żyć. A co to znaczy inaczej żyć? Może bezsensownie, po to, aby raz skończyć z bezsensem, może rzucając się na siebie samego z taką gwałtownością, aby ten skok zakończył się w czyichś ramionach. Tak, może miłość, tylko że ta *otherness* trwa tyle, ile trwa kobieta, i w dodatku dotyczy tylko tej kobiety. W gruncie rzeczy nie istnieje *otherness,* zaledwie przyjemna *togetherness*[29]*,* ale i to coś jest... Miłość, ceremonia ontologizująca, dawczyni bytu. I dlatego dopiero teraz pomyślał o tym, co może powinno było przyjść mu na myśl od samego początku: bez posiadania siebie, nie można posiadać innych, a któż naprawdę posiada siebie samego? Któż miałby aż tak dosyć siebie czy też samotności, żeby nie zadowalając się własnym towarzystwem szukać rozrywek w kinie, w burdelu, u przyjaciół albo w absorbującej pracy czy też małżeństwie, po to, aby zostać chociażby samotnym-wśród-innych? W ten sposób - paradoksalnie - szczyt samotności prowadziłby do szczytu życia w stadzie, do wielkiego złudzenia, którym jest towarzystwo

[29] *Otherness... togetherness...* (ang.) - inność... wspólność...

innych, do samotnika w celi pełnej luster i ech. Ale ludzie podobni jemu i tylu innym, ludzie sami siebie akceptujący (lub odrzucający, ale tacy, którzy dobrze samych siebie znają) wkraczają w najokropniejszy paradoks: stojąc na samym kręgu odmienności nie są w stanie przekroczyć jej granicy. Prawdziwa odmienność, zrobiona z najdelikatniejszych zbliżeń, z cudownych dostrojeń się do świata, nie może spełniać się jednostronnie: wyciągniętej ręce musi odpowiadać jakaś inna, z zewnątrz, skądinąd.

(62)

23

Stojąc na rogu, zniechęcony rozrzedzającą się atmosferą własnych rozmyślań (w dodatku nie wiadomo dlaczego bez przerwy widział rannego staruszka; leżał na szpitalnym łóżku, otoczony lekarzami, studentami, pielęgniarkami, którzy pytali go o imię, nazwisko, wiek, zawód, mówili „to nic nie jest", robili jakieś zastrzyki, bandażowali), Oliveira rozglądał się wokół, dochodząc do wniosku, że każdy róg w każdym mieście w takim stopniu ilustruje jego myśli, że właściwie mógłby je zastąpić. W kawiarni grupka chroniących się przed zimnem murarzy (nic, tylko wejść i poprosić o szklankę wina) rozmawiała przy barze z właścicielem. Dwóch studentów pisało coś (czy też czytało) przy stoliku, Oliveira widział, jak podnoszą wzrok na murarzy, jak z powrotem opuszczają go na książki i zeszyty, jak znowu go podnoszą. Z jednej szklanej klatki do drugiej: patrzymy na siebie, odwracamy wzrok, znowu patrzymy, to jest wszystko. W oknie pierwszego piętra, ponad zamkniętym tarasem kawiarni, jakaś kobieta szyła czy też kroiła suknię. Jej wysokie uczesanie poruszało się rytmicznie. Oliveira wyobrażał sobie jej myśli, nożyczki, dzieci, które lada chwila wrócą ze szkoły, męża kończącego urzędowanie w jakimś biurze lub banku. Murarze, studenci, kobieta, a teraz z poprzecznej ulicy wyłaniał się kloszard z wystającą z kieszeni butelką czerwonego wina, popychał dziecinny wózek pełen starych gazet, słoików, siepiących się brudnych szmat, jakaś lalka bez głowy, paczka, z której wyłazi rybi ogon. Murarze, studenci, kobieta, kloszard, a w budce Loterie Nationale, niby pod pręgierzem stara, o wymykających się spod szarej mycki nieposłusznych kosmykach, z rękami w niebieskich mitenkach, *tirage mercredi,* wyzute z oczekiwania czekanie na klientów, wprawiona w swą pionową trumnę z garnkiem węgli na kolanach, spokojna, na wpół zamrożona, ofiarująca szczęśliwy los, myśląca (Bóg wie o czym) małymi grudkami myśli, starczych powtórzeń: jakaś nauczycielka, która w dzieciństwie dawała jej cukierki, mąż, który zginął nad Sommą, syn komiwojażer, a nocą facjatka bez bieżącej wody, zupa gotowana raz na trzy dni, tańszy od befsztyka *boeuf bourguignon, tirage mercredi.* Murarze, studenci, kloszard, sprzedawczyni losów, każda grupa, każde z nich w swojej szklanej klatce, ale niechby tylko jakiś staruszek wpadł pod samochód, natychmiast rozpętałoby to ogólny bieg na miejsce wypadku, gwałtowną wymianę zdań, opinii sprzecznych i zgodnych, rozpadałby się deszcz, murarze wróciliby do baru, studenci do swojego stolika, X do X, a Z do Z.

„Tylko żyjąc absurdalnie można wyłamać się z tego bezgranicznego absurdu - powtarzał sobie w myśli Oliveira. - Zupełnie przemoknę, cholera, trzeba gdzieś się schować".

Zobaczył afisze z dużej Salle de Géographie i przystanął w bramie. Odczyt pt. „Australia, kontynent nieznany”. Zebranie Bractwa Chrystusowego z Montfavet. Recital fortepianowy pani Berthe Trépat. Zapisy na kurs wykładów o meteorach. Naucz się judo w ciągu pięciu miesięcy. Konferencja na temat urbanizacji Lyonu.

Koncert miał zacząć się za chwilę, bilety nie były drogie. Oliveira popatrzył na niebo, wzruszył ramionami i wszedł. Przeszło mu przez myśl, żeby pójść do Ronalda albo do pracowni Etienne'a, ale rozsądniej było zostawić to sobie na wieczór. Nie wiedzieć czemu zabawiło go nazwisko pianistki: Berthe Trépat. Również spodobał mu się pomysł koncertu jako chwilowej ucieczki przed sobą samym, ironiczna ilustracja tego, o czym dopiero co dumał na ulicy. „Jesteśmy niczym, bracie” - pomyślał, równocześnie kładąc 120 franków na wysokości zębów staruchy zamkniętej w klatce kasy. Dostał miejsce w dziesiątym rzędzie tylko przez jej złośliwość, bo mimo że koncert miał się zacząć lada chwila, na sali nie było nikogo poza paroma starcami: jedni z nich byli łysi, drudzy brodaci, trzeci łysi i brodaci równocześnie, przy czym wszyscy robili wrażenie sąsiadów lub też rodziny; były jeszcze dwie panie około czterdziestki w zniszczonych paltach i z ociekającymi parasolkami i trochę młodych: przeważnie pary gwałtownie dyskutujące wśród poszturchiwań, hałasu gryzionych karmelków i skrzypienia okropnych wiedeńskich krzeseł. Razem - ze dwadzieścia osób. Pachniało deszczem, duża sala była lodowata i wilgotna, spoza kurtyny dochodziły odgłosy rozmowy. Jakiś staruch zapalił fajkę, Oliveira pospiesznie wyciągnął gauloise'y. Nie czuł się zbyt dobrze, miał przemoczone buty, mierził go zapach stęchlizny i mokrych ubrań. Na zewnątrz zabrzmiał jąkający się dzwonek, a któryś z młodych zaklaskał gwałtownie. Podstarzała bileterka, z czepkiem na bakier i makijażem, w którym z pewnością sypiała, zaciągnęła kotarę na drzwiach. Dopiero wtedy Oliveira przypomniał sobie, że przy wejściu dostał program. Była to niewyraźnie powielona kartka, na której, przy pewnym wysiłku można było odczytać, że pani Berthe Trépat, złoty medal, będzie grała *Trois mouvements interrompus* Rose Bop (pierwsze wykonanie), *Pawanę ku czci generala Leclerca* Alix-Alixa (pierwsze wykonanie) i *Synthesis Delibes-Saint-Saëns* Delibea, Saint-Saënsa i Berthe Trépat.

„Ale program - pomyślał Oliveira - niech to szlag”.

Nie wiadomo kiedy zza fortepianu pojawił się starszy pan o obwisłym podwójnym podbródku i białych włosach. Był czarno ubrany i różową ręką pieścił łańcuszek zwisający z fantazyjnej kamizelki, która wydała się Oliveirze wręcz brudna. Młoda osoba w liliowym płaszczu od deszczu i okularach w złoconej oprawie parę razy sucho klasnęła w dłonie. Wydając z siebie głos do złudzenia przypominający papugę, stary z podbródkiem wygłosił słowo wstępne, dzięki któremu publiczność dowiedziała się, że Rose Bop jest dawną

uczennicą pani Trépat, że *Pawana* pióra pana Alix-Alixa skomponowana została przez nader dystyngowanego wojskowego wysokiej rangi, ukrywającego się pod tym skromnym pseudonimem, i że oba te utwory wykorzystywały w pełni najnowocześniejsze reguły zapisu muzycznego. Co do syntezy Delibes-Saint-Saëns, to - tu stary wzniósł oczy w niebo - w ramach nowoczesnej muzyki stanowiła ona głębokie novum, określane przez autorkę, panią Trépat, jako coś w rodzaju Proroczego Synkretyzmu, która to charakterystyka była słuszna, ponieważ obaj geniusze (Delibes i Saint- Saëns) dążyli do osmozy, interfuzji i interfonu, stale paraliżowanych przerostem Zachodniego Indywidualizmu, który w ogóle uniemożliwiałby im wyższą Kreację Syntetyczną, gdyby nie genialna intuicja pani Trépat. Rzeczywiście bowiem dopiero jej wrażliwość wychwyciła zbieżności, których nie zauważył ogół słuchaczy, które ją natomiast skłoniły do podjęcia szlachetnej, acz trudnej misji stworzenia pomostu pomiędzy tymi dwoma wielkimi synami Francji. Tu nadchodzi moment, aby zasygnalizować, że pani Berthe Trépat, niezależnie od swojej działalności profesora muzyki, oddaje się również i kompozycji, z którą srebrne jej gody będziemy mieli okazję obchodzić niezadługo. Mówca nie ośmiela się - w krótkim przemówieniu, poprzedzającym koncert tak niecierpliwie (czego nie omieszkał docenić) oczekiwany przez publiczność - rozwinąć tematu, jak bardzo potrzebna byłaby analiza osiągnięć muzycznych pani Trépat. W każdym razie - a to mając na celu niejako wręczenie klucza tym, którzy po raz pierwszy zetkną się z twórczością pani Rose Bob oraz pani Trépat - pragnąłby określić estetykę ich twórczości przez podkreślenie jej anty-strukturalnej budowy, charakteryzującej się autonomicznymi komórkami dźwiękowymi. Komórki te, owoc czystego natchnienia, połączone są tylko za pomocą ogólnego ducha utworu, zupełnie natomiast wolne od wszelkich wzorów dodekafonicznych czy też atonalnych (ostatnie dwa słowa podkreślił z emfazą). Tak więc na przykład *Trois mouvements interrompus* Rose Bob, ukochanej uczennicy pani Trépat, są efektem wrażenia, jakie w umyśle artystki wywołało trzaśniecie drzwi, zaś 32 akordy tworzące pierwsze *mouvement* są reperkusją owego huku przeniesioną na plan estetyczny. Mówca sądzi, że nie będzie niedyskrecją, jeśli wyjawi swoim wykształconym słuchaczom, że technika kompozycyjna *Syntezy* bazuje na prymitywnych, równocześnie jednak ezoterycznych siłach twórczych. Nigdy nie zapomni zaszczytu, jakiego dostąpił asystując przy powstawaniu jednej z faz owej *Syntezy,* mianowicie śledząc wraz z panią Trépat ruchy trzymanej ponad partyturami dwóch mistrzów różdżki, której drgnięcia potwierdziły wręcz zdumiewającą intuicję artystki w wyizolowaniu pewnych nadających się do *Syntezy* części utworów. I jakkolwiek wiele jeszcze można by dodać do tego, co tu zostało powiedziane, mówca uważa, że nadszedł czas, aby się wycofać, nie omieszkawszy uprzednio powitać w osobie pani Berthe Trépat jednej z latarń

morskich - przewodniczek duchowych Francji i patetycznego przykładu zapoznanego geniusza.

Podbródek zatrząsł się gwałtownie i stary, krztusząc się z emocji i kaszlu, znikł za zasłonami. Czterdzieści rąk zaklaskało sucho, kilka zapałek straciło główki, Oliveira wyciągnął się wygodnie na krześle i poczuł się lepiej. Staruszek potrącony przez auto pewnie też poczuł się lepiej na szpitalnym łóżku, już ogarnięty przez następującą zazwyczaj po szoku senność, ten szczęśliwy moment bezkrólewia, w czasie którego rezygnacja z władania sobą przemienia łóżko w łódź, w bezpłatne wakacje, w zerwanie z normalnym życiem. „Może nawet i odwiedzę go któregoś dnia - powiedział do siebie Oliveira. - Chociaż pewno tylko zniszczę mu jego samotną wyspę śladem stopy na piasku. Ale szlachetniejesz, bracie...".

Oklaski zmusiły go do otwarcia oczu i obejrzenia pracochłonnego ukłonu, którym pani Trépat dziękowała zebranym. Zanim jeszcze zobaczył jej twarz, poraziły go jej pantofle tak męskie, że żadna spódnica nie była w stanie tego ukryć, kwadratowe i niemalże bez obcasów, niepotrzebnie opatrzone damskimi klamerkami. Nad nimi wyrastały kształty sztywne i obfite zarazem: gruba pani wpakowana w bezlitosny gorset. Chociaż nie, właściwie nie była gruba, zaledwie można było nazwać ją rozrośniętą. Najwidoczniej cierpiała na ischias czy lumbago, coś, co zmuszało ją do obracania się całym ciałem równocześnie, więc najpierw przodem do sali, pracowicie się kłaniając, później profilem, wciskając się pomiędzy taboret a fortepian i składając geometrycznie, aż do chwili przybrania postawy siedzącej. Z tej pozycji raz jeszcze gwałtownie przekręciła głowę w ukłonie, jakkolwiek nikt już nie klaskał. „Murowanie ktoś z góry pociąga sznurki" - pomyślał Oliveira. Lubił zarówno marionetki, jak wszelkie automaty i oczekiwał cudu od Proroczego Synkretyzmu. Berthe Trépat raz jeszcze zwróciła oczy ku publiczności, wszystkie grzechy księżyca wydawały się skupiać na jej okrągłej i jakby umączonej twarzy, podobne krwawej wiśni usta rozszerzyły się przybierając formę egipskiej łodzi. I znów profilem, jej niewielki papuzi nos na chwilę zawisł nad klawiaturą, podczas gdy ręce, dwie zmięte, zamszowe torebki, ułożyły się pomiędzy *do* a *si.* Rozległy się początkowe akordy z owych trzydziestu dwóch stanowiących pierwsze *mouvement.* Pomiędzy pierwszym a drugim upłynęło pięć sekund, pomiędzy drugim a trzecim - piętnaście, po piątym Rose Bob zarządziła przerwę dwudziesto-pięciosekundową. Oliveira, który w pierwszej chwili docenił dobre, Webernowskie stosowanie chwil ciszy, stwierdził, że nadużywanie tego efektu fatalnie go osłabia. Pomiędzy siódmym a ósmym akordem rozległo się klaskanie, między dwunastym a trzynastym ktoś gwałtownie potarł zapałkę, między czternastym a piętnastym młoda dziewczyna o blond włosach mruknęła wyraźnie: *oh, merde alors!,* w okolicach dwudziestego akordu jedna ze starszych dam, prawdziwa marynata z

dziewictwa, schwyciła za parasol i otwarła usta, żeby powiedzieć coś, co litościwie pochłonął akord dwudziesty pierwszy. Ubawiony Oliveira patrzył na Berthe Trépat, podejrzewając, że pianistka obserwuje ich tak zwanym kątem oka. Z tego kąta poprzez minimalny haczyk jej profilu przesączało się szaroniebieskie spojrzenie, którym - przyszło mu do głowy - nieszczęsna liczyła może liczbę sprzedanych biletów. Przy dwudziestym trzecim akordzie jakiś doskonale łysy, zgorszony pan podniósł się parskając i fukając i opuścił salę, wbijając się obcasami w ośmiosekun-dową ciszę zaordynowaną przez Rose Bob. Począwszy od dwudziestego czwartego akordu pauzy zaczęły się skracać, między dwudziestym ósmym a trzydziestym drugim ustalił się rytm marsza żałobnego, nie pozbawiony pewnego efektu. Berthe Trépat zdjęła pantofle z pedałów, położyła lewą rękę na kolanach i rozpoczęła drugie *mouvement.* Trwało ono tylko przez cztery takty, każdy składający się z trzech uderzeń o tej samej wartości. Trzecie *mouvement* polegało na chromatycznym zbliżaniu się ku środkowi fortepianu, poczynając do końców, po czym pośród ozdób i treli operacja powtórzyła się w odwrotnym kierunku. Wtedy w absolutnie nieoczekiwanym momencie, pianistka przestała grać i raptownie się odwróciła, kłaniając się z prawie prowokującym wyrazem twarzy, w którym Oliveira dostrzegł jednak przebłysk niepewności czy może nawet lęku. Jakaś para zaczęła wściekle oklaskiwać, Oliveira nagle zdał sobie sprawę, że także klaszcze (a kiedy zrozumiał, dlaczego to robi, wściekł się i przestał). Niemalże bez przejścia Berthe Trépat odzyskała swój profil i, przesuwając po klawiaturze nieuważnym palcem, czekała, aż zrobi się cicho. Rozpoczęła się *Pawana ku czci generała Leclerca.*

W ciągu paru następnych minut Oliveira z pewnym wysiłkiem dzielił swoją uwagę pomiędzy niebywałą nędzę utworu, który Berthe Trépat atakowała całą parą, a odpływ z sali słuchaczy zarówno starych, jak i młodych, wychodzących ostentacyjnie lub ukradkiem. *Pawana,* mieszanina Liszta i Rachmaninowa, uparcie powtarzała te same dwa czy trzy tematy, wkrótce ginące w nie kończących się wariacjach (w momentach brawury granych źle, pełnych dziur i łat) oraz w katafalkowej pompatyczności, przerywanej niespodziewanymi efektami pirotechnicznymi, którym tajemniczy Alix-Alix oddawał się ze szczerym zamiłowaniem. Chwilami Oliveira obawiał się, że wysokie à la *Salambó* uczesanie pani Trépat nagle się rozsypie, chociaż któż zgadnie liczbę szpilek utrzymujących je w równowadze podczas grzmotów i drżeń *Pawany!* Nastąpiły orgiastyczne *arpeggia* zwiastujące finał, trzy tematy sukcesywnie powróciły raz jeszcze (jeden z nich wyjęty żywcem *z Don Juana* Straussa), po czym Berthe Trépat wyładowała całe potoki coraz mocniejszych akordów, zlikwidowanych histerycznym powtórzeniem pierwszego tematu oraz

jeszcze dwoma akordami, z których drugi prawa ręka wyraźnie sfałszowała. Ale to ostatecznie mogło zdarzyć się każdemu i Oliveira klaskał z entuzjazmem, szczerze ubawiony.

Jednym ze swoich dziwacznych, sprężynowych ruchów pianistka znów obróciła się przodem i skłoniła sali. Ponieważ najwyraźniej liczyła oczami publiczność, nie mogła nie zauważyć, że zostało zaledwie osiem lub dziewięć osób. Godnie Berthe Trépat opuściła podium lewymi drzwiami, a bileterka odciągnęła kotary i zaczęła roznosić cukierki.

Z pewnością należało teraz wyjść, było jednak coś w atmosferze tego koncertu, co fascynowało Oliveirę. W końcu biedna Trépat przedstawiała publiczności prawykonania, co w tym świecie *Wielkiego Poloneza, Sonaty księżycowej* i *Tańca ognia* zawsze jest zasługą.

Coś wzruszało go w twarzy tej lalki z gałganów, tego pluszowego żółwia, tego przygłupiego dziecka wpakowanego w zgniły świat, wraz z poszczerbionymi imbryczkami, wraz ze staruszkami, które słyszały jeszcze grającego Rislera, wraz z zebraniami poświęconymi poezji i sztuce, w jakichś obitych starymi tapetami salach, wraz z budżetami w wysokości 40000 franków miesięcznie i ukradkowymi prośbami o pożyczkę do pierwszego, wraz z kultem prawdziwej sztuki w stylu au-ten-tycz-nej Akademii „Raymond-Duncan" nietrudno było wyobrazić sobie twarze Rose Bob i Alix-Alixa, ponure kalkulacje przed wynajęciem koncertowej sali, krzątaninę około programu, odbitego na powielaczu przez jakiegoś pełnego dobrej woli ucznia i około nieskutecznie powysyłanych zaproszeń, wreszcie (ukrytą za kotarami) rozpacz na widok pustej sali, na którą mimo wszystko musiało się wyjść - złoty medal! - na którą mimo wszystko trzeba było wyjść.

To wszystko razem było prawie rozdziałem z Céline'a, i Oliveira nie był w stanie wyrwać się myślą z tej atmosfery przegranego i niepotrzebnego istnienia tego typu działalności artystycznej, wśród grup ludzkich równie przegranych co niepotrzebnych. „Że też akurat ja musiałem wpakować się w ten nadjedzony przez mole wachlarz - rozzłościł się nagle. - Najpierw stary pod samochodem, a teraz Trépat. Nie mówiąc o psiej pogodzie i o mnie samym. No, specjalnie już o mnie samym."

Na sali pozostały cztery osoby, więc pomyślał, że najlepiej będzie przesiąść się do pierwszego rzędu, żeby jakoś dotrzymać towarzystwa wykonawczyni. Mimo że ten dziwny odruch solidarności wydał mu się śmieszny, przesiadł się jednak, w oczekiwaniu zapalił papierosa. Nie wiadomo dlaczego jednej z pań zachciało się wyjść dokładnie w tej samej chwili, w której Berthe Trépat wchodziła na salę. Pianistka spojrzała na nią przeciągle, po czym schyliła się, aby z wysiłkiem pokłonić się pustemu parterowi. Oliveira uznał, że osoba, która właśnie wyszła, zasługiwała tylko na kopniaka. Nagle zdał sobie sprawę, że wszystkie jego odruchy wypływały z jakiejś sympatii ku osobie pani Berthe Trépat, pomimo *Pawany* i

Rose Bob. „Od dość dawna nie zdarzyło mi się nic podobnego - pomyślał. - Czyżbym z latami robił się bardziej ludzki? Tyle metafizycznych rzek, a tu nagle przychodzi mi ochota, aby odwiedzić staruszka w szpitalu albo robić klakę tej zasznurowanej w gorset wariatce. Dziwne. Chyba że z zimna albo z przemoczonych nóg".

Synthesis Delibes-Saint-Saëns trwała już około trzech minut, kiedy para, która stanowiła podwalinę publiczności, wstała i ostentacyjnie opuściła salę. Po raz drugi Oliveira pochwycił ukośne spojrzenie pani Trépat, aie teraz zauważył również i to, że zaczęły jej sztywnieć ręce; grała z wielkim wysiłkiem, zgięta we dwoje nad klawiaturą, korzystając z najmniejszej przerwy, aby spod oka spoglądać w krzesła, gdzie Oliveira i jakiś pan o łagodnym wyrazie twarzy słuchali ze wszystkimi oznakami skupienia i uwagi. Proroczy Synkretyzm nie zwlekał z objawieniem swojej tajemnicy, nawet takiemu laikowi jak Oliveira. Po czterech taktach z *Kołowrotka Omfali* następowały cztery z *Dziewcząt z Kadyksu,* po czym lewa ręka wykonywała *Me serce paraca się ku tobie radośnie,* podczas gdy prawa włączała spazmatycznie kilka taktów z *Lakmé,* już obie razem przechodziły do *Tańca szkieletów* i *Coppélia,* po czym inne tematy, wedle programu: *Hymn ku czci Wiktora Hugo, Jean de Nivelle* i *Nad brzegami Nilu,* efektownie mieszały się z bardziej znanymi - z punktu widzenia proroczości trudno było wyobrazić sobie coś bardziej udanego - więc gdy pan o łagodnym wyrazie twarzy zaczął się cicho śmiać, zasłaniając kulturalnie rękawiczką usta, Oliveira uznał, że facet ma prawo, że nie można od niego żądać, aby siedział cicho, ale i Berthe Trépat widać była tego samego zdania, bo myliła się coraz częściej, wydawało się, że paraliż ogarnia jej ręce, mimo to parła dalej, trzęsąc ramionami, odstawiając łokcie niby kura moszcząca się na gnieździe, *Me serce zwraca się ku tobie radośnie* i jeszcze raz *Ścieżyną nad urwiskiem piękna pariaska szła,* dwa synkretyczne akordy, jedno oszalałe *arpeggio, Dziewczęta z Kadyksu,* tralala podobne do czkawki, kilka nut razem à la (nieoczekiwanie) Pierre Boulez - po czym pan o spokojnej twarzy, wydając coś w rodzaju beku, wybiegł trzymając rękawiczki przy twarzy, dokładnie w chwili, w której Berthe Trépat opuściła ręce, nieruchomo patrząc na klawiaturę, a wtedy nastąpiła długa sekunda, nieskończenie długa sekunda straszliwej pustki między nią a Oliveira, zupełnie samymi na sali.

- Brawo - powiedział Oliveira czując, że oklaski byłyby czymś niestosownym. - Brawo, Madame!

Nie wstając, Berthe Trépat przekręciła się wraz z taboretem i oparła łokieć o *la.* Popatrzyli na siebie. Oliveria wstał i podszedł do estrady.

- Nadzwyczaj ciekawe - powiedział. - Niech mi pani wierzy, że słuchałem pani koncertu ze szczerym zainteresowaniem.

(Ależ ze mnie skurwysyn).

Berthe Trépat patrzyła na pustą salę. Jedna z jej powiek lekko drgała. Wydawało się, że zadaje sobie jakieś pytanie, że na coś czeka. Oliveira poczuł, że musi mówić w dalszym ciągu.

- Artystka na pani poziomie będzie się potykała na każdym kroku o niezrozumienie i snobizm publiczności. W głębi duszy czułem, że grała pani dla siebie.

- Dla siebie - powtórzyła Berthe Trépat głosem papugi, niewiarygodnie podobnym do głosu pana, który wygłosił przemówienie przed koncertem.

- No bo dla kogóż by innego? - powiedział Oliveria wdrapując się na estradę z taką łatwością, jakby to wszystko było snem. - Artysta liczy się tylko z osądem gwiazd, jak mówi Nietzsche.

- Kto pan jest? - wzdrygnęła się Berthe Trépat.

- Och, po prostu interesuję się objawami... - Można było zacząć nawlekać najzwyklejsze słowa. Jeżeli coś miało znaczenie, to obecność, dotrzymanie jej choć trochę towarzystwa. Właściwie nie wiedząc dlaczego.

Berthe Trépat słuchała go, jeszcze ciągle półobecna. Wstała z wysiłkiem i spojrzała na salę, na zasłony.

- Tak - powiedziała. - Późno już, muszę iść do domu. - Powiedziała to do siebie samej, tak jakby chodziło o jakąś karę.

- Czy mogę mieć przyjemność towarzyszenia pani? - ukłonił się Oliveira. - To znaczy... czy nikt nie czeka na panią w garderobie albo na ulicy?

- Nie ma nikogo. Valentín poszedł zaraz po wstępie. Jak się panu podobał ten wstęp?

- Interesujący - odparł Oliveira, coraz bardziej przekonany, że to wszystko mu się śni i że nie chciałby, żeby ten sen został przerwany.

- Valentina stać na coś lepszego - powiedziała Berthe Trépat. - I wydaje mi się nikczemne z jego strony... tak, nikczemne... że poszedł sobie. Jakbym była szmatą.

- Mówił o pani i o pani sztuce z jak największym uznaniem.

- Za pięćset franków gotów jest mówić z uznaniem nawet o zdechłej rybie. Za pięćset franków - powtórzyła Berthe Trépat, zagubiona we własnych myślach.

„Zachowuję się jak idiota” - pomyślał Oliveira. Gdyby się teraz ukłonił i wrócił na parter, artystka być może nie pamiętałaby nawet o jego propozycji. Tymczasem jednak patrzyła na niego i wtedy zobaczył, że płacze.

- Valentin to bydlę. Wszyscy... Było przeszło dwieście osób, sam pan widział, przeszło dwieście osób... Na pierwsze wykonanie to niebywałe, no nie? I każdy zapłacił

wstęp, niech pan sobie nie wyobraża, że rozsyłaliśmy darmowe bilety. Przeszło dwieście... a został tylko pan. Valentin poszedł, ja...

- Nieobecność pewnych ludzi oznacza niekiedy prawdziwy triumf - wymamrotał Oliveira zdanie, które jego samego wprawiło w nieprawdopodobne zdumienie.

- Ale dlaczego wyszli? Pan widział? Przeszło dwieście osób, powtarzam, i nie byle kto, nie mylę się, zauważyłam panią de Roche, doktora Lacour, Monteliera - ostatnie Grand Prix za grę na skrzypcach... Mam wrażenie, że nie podobała im się *Pawana* i dlatego wyszli, nie myśli pan? Bo przecież wyszli przed moją *Synthesis,* tego jestem absolutnie pewna.

- Oczywiście - potwierdził Oliveira - ale trzeba przyznać, że *Pawana*...

- To nie jest żadna *Pawana* - powiedziała Berthe Trépat. - To gówno. A wszystko przez Valentina. Uprzedzali mnie, że sypia z Alix-Alixem. Ale dlaczegóż, młodzieńcze, ja mam płacić za jakiegoś pédéraste? Ja, złoty medal... Ja panu pokażę moje recenzje, moje triumfy... W Grenoble, w Pau...

Łzy spływały na jej szyję, ginęły wśród postrzępionych koronek i fałd szarawej skóry. Schwyciła Oliveirę za ramię i potrząsnęła nim. Była na progu ataku histerycznego,

- Niech pani będzie łaskawa wziąć płaszcz i wyjdziemy - powiedział szybko Oliveira. - Powietrze dobrze pani zrobi, napijemy się czegoś, dla mnie to będzie prawdziwa...

- Napić się czegoś! - powiedziała Berthe Trépat. - Złoty medal...

- Jak pani sobie życzy - powiedział Oliveira. Zrobił ruch, żeby się uwolnić, ale artystka ścisnęła go za ramię i przysunęła się bliżej. Oliveira poczuł zapach koncertowego potu zmieszany z czymś niby naftalina czy żywica (a także mocz i tanie perfumy). Najpierw Rocamadour, a teraz Berthe Trépat. Nie do wiary. „Złoty medal" - powtarzała artystka płacząc i połykając łzy. Targnął nią nagły szloch, jakby wielkie wyładowanie, drgający w powietrzu akord. „I wszystko tak, jak zawsze..." - dosłyszał Oliveira, który nadaremnie próbował odegnać to, co czuł, i ukryć się w jakiejś rzece, oczywiście metafizycznej. Bez oporu Berthe Trépat dała się poprowadzić ku zasłonom w głębi, skąd spoglądała na nich ubrana w kapelusz z piórami bileterka z latarką w ręku.

- Pani źle się czuje?

- To z wrażenia - odparł Oliveira. - Ale już jest lepiej. Gdzie jest pani płaszcz?

Pomiędzy jakimiś tablicami, pulpitami, połamanymi stołami, harfą i wieszakiem stało krzesło, na którym wisiał zielony płaszcz nieprzemakalny. Oliveira podał go Berthe Trépat, która miała schyloną głowę, ale nie płakała. Przez drzwi i ciemny korytarz wyszli na bulwar pogrążony w nocy. Mżyło.

- Nie będzie łatwo o taksówkę - powiedział Oliveira, który miał przy sobie niecałe trzysta franków. - Pani daleko mieszka?

- Niedaleko, koło Panteonu. Właściwie to chętnie się przejdę.

- Doskonale.

Berthe Trépat posuwała się powoli, poruszając głową z boku na bok. W kapturze od deszczu wyglądała jak synteza starożytnego wojownika z królem Ubu. Postawiwszy kołnierz, Oliveira otulił się kanadyjką. Powietrze było przenikliwe, zaczynał być głodny.

- Jest pan tak uprzejmy - powiedziała artystka - doprawdy przykro mi, że się pan fatyguje. Co pan myśli o mojej *Synthesis?*

- Nie jestem znawcą, szanowna pani. Że się tak wyrażę, muzyka jest dla mnie...

- Nie podobała się panu - powiedziała Berthe Trépat.

- Pierwsze wykonanie...

- Miesiące pracowaliśmy nad tym z Valentinem. Dnie i noce poszukiwaliśmy sposobu złączenia geniuszy.

- Ale przyzna pani, że Délibes...

- To geniusz! - powtórzyła Berthe Trépat. - Eryk Satie potwierdził to któregoś dnia w mojej obecności. I chociaż doktor Lacour wmawiał mi, że Satie sobie ze mnie... jak by to powiedzieć... Przecież pan z pewnością wie, jaki on był, ten stary. Ale ja umiem czytać w ludziach, młody człowieku, i wiem, że Satie miał to przekonanie, tak, miał je. Z jakiego kraju pochodzi pan, młody człowieku?

- Z Argentyny. I nawiasem mówiąc wcale nie jestem już młody...

- Ach, Argentyna, pampasy... Myśli pan, że tam zainteresowano by się moją twórczością?

- Z pewnością, proszę pani.

- Może mógłby pan zorganizować mi jakieś spotkanie z ambasadorem. Jeżeli Thibaud mógł jeździć do Argentyny i do Montevideo, dlaczegóż nie mogłabym ja, wykonawczyni mojej własnej muzyki? Bo tego był pan świadkiem, a jest to rzecz zasadnicza: moja własna muzyka. Prawie zawsze pierwsze wykonania.

- Dużo pani komponuje? - zapytał Oliveira i poczuł, że mu się zbiera na wymioty.

- Jestem przy opus osiemdziesiątym trzecim. Chociaż nie, zaraz... Ach, teraz sobie przypominam, że powinnam była przed wyjściem porozumieć się z panią Nolet w sprawie uregulowania strony finansowej... Dwieście osób, czyli... - zagubiła się w cichym mamrotaniu, a Oliveira zastanawiał się, czy nie byłoby litościwiej wywalić jej całą prawdę. Tylko że ona ją znała, z pewnością ją znała.

- To skandal! - powiedziała Berthe Trépat. - Dwa lata temu grałam w tej samej sali. Poulenc obiecał, że będzie obecny... Zdaje pan sobie sprawę? Ni mniej, ni więcej tylko Poulenc. Byłam tego wieczoru u szczytu natchnienia. Wielka szkoda, że w ostatniej chwili coś mu przeszkodziło... ale ci modni muzycy... I wtedy ta cała Nolet wzięła ode mnie o połowę mniej - dodała ze złością. - Równo o połowę. Chociaż i tak, kalkulując przy dwustu osobach...

- W sali było prawie zupełnie ciemno - Oliveira ujął ją delikatnie za łokieć, ażeby skierować ku rue de Seine. - Może źle obliczyła pani liczbę osób...

- O nie - powiedziała Berthe Trépat. - Tego jestem zupełnie pewna, tylko przez pana pomyliłam się w rachunkach. Pozwoli pan, że obliczę... - Znów głos jej opadł do mruczenia, poruszała wargami i palcami, zupełnie nieświadoma nie tylko nazw ulic, którymi prowadził ją Oliveira, ale prawdopodobnie i jego obecności. Wszystko to, co mówiła głośno, mogła była równie dobrze mówić do siebie; Paryż jest pełen ludzi, którzy na głos do siebie mówią na ulicy, Oliveirze także się to zdarzało. Wyjątkowy natomiast był fakt, że odstawiał idiotę idąc obok niej, odprowadzając do domu tę starą, spłowiałą lalkę, ten biedny nadęty balonik, w którym głupota i wariacja tańczyły jedyną prawdziwą *Pawanę* tego wieczoru. „To ohydne, powinno się rąbnąć nią o jakiś stopień, postawić jej nogę na twarzy, zdeptać jak robaka, żeby pękła jak spadający z dziesiątego piętra fortepian. Rzeczywiste miłosierdzie nakazywałoby zlikwidować ją, przeszkodzić jej w dalszym cierpieniu z powodu własnych złudzeń, w które w dodatku nie wierzy, które stwarza, ażeby nie czuć wody w butach, samotności lub wspólnego mieszkania z tym ohydnym starcem o białych włosach. Brzydzę się jej, na następnym rogu daję nura, nawet tego nie zauważy. Co za dzień, matko moja, co za dzień".

Jeżeli teraz skręci szybko w rue Lobineau, szukaj wiatru w polu, ostatecznie stara i tak trafi do domu. Oliveira obejrzał się za siebie; czekał na odpowiedni moment poruszając niepewnie ręką, bo mu ciążyło coś podstępnie zawieszonego u łokcia.

Ciężar ten nie okazał się złudzeniem: była to ręka Berthe Trépat, całą sobą opierającej się na ramieniu Oliveiry, który tęsknie patrzył na rue Lobineau, równocześnie przeprowadzając artystkę przez jezdnię; szedł z nią dalej w kierunku rue de Tournon.

- Z pewnością napalił w piecu - powiedziała Berthe Trépat - wprawdzie nie jest zimno, ale ogień to przyjaciel artystów... Nie uważa pan? A może wstąpiłby pan wypić coś ze mną i z Valentinem...

- Dziękuję pani - powiedział Oliveira. - Ale doprawdy jest dla mnie wystarczającym zaszczytem, że pozwoliła mi pani odprowadzić się do domu. W dodatku...

- Niech pan nie będzie tak skromny, młody człowieku. Bo jest pan młody, nieprawdaż? Zresztą widać, że jest pan młody, można to poznać choćby po pana ramieniu... - Palce jej wczepiły się w materiał kanadyjki. - Ja na przykład wyglądam na więcej lat, aniżeli mam. Wie pan, życie artysty...

- Ależ skąd - powiedział Oliveira. - Co do mnie, to już przekroczyłem czterdziestkę, tak że pani mi pochlebia.

Takie zdania wychodziły mu same przez się, nie miał na to rady, rzeczywiście - szczyt! Uwieszona u jego ramienia Berthe Trépat snuła dawne wspomnienia, od czasu do czasu przerywając w połowie zdania, aby wrócić do rachunków. Chwilami szybko dłubała w nosie, chyłkiem spoglądając na Oliveirę. W tym celu błyskawicznie ściągała rękawiczkę i udając, że ją swędzi dłoń, drapała ją drugą ręką (wysunąwszy ją przedtem delikatnie spod pachy Oliveiry), po czym, podnosząc w górę palec ruchem wybitnie wirtuozowskim, na sekundę zagłębiała go w dziurce od nosa; Oliveira udawał, że patrzy w inną stronę, kiedy zaś odwracał głowę, Berthe Trépat, już z powrotem w rękawiczkach, szła z nim pod rękę. Tak to sobie szli w deszczu gawędząc o tym i o owym. Przechodząc koło Luksemburgu rozwodzili się nad życiem w Paryżu, z dnia na dzień trudniejszym, nad nielitościwym współzawodnictwem młodzieży, równie bezczelnej, jak i niedoświadczonej, nad nieuleczalnym snobizmem publiczności, nad cenami mięsa na Marche Saint--Germain i rue de Buci, jedynych miejscach, gdzie można było dostać porządny befsztyk po rozsądnej cenie. Parę razy Berthe Trépat uprzejmie zapytała Oliveirę o jego zawód, jego nadzieje, a przede wszystkim rozczarowania, ale zanim zdążył jej odpowiedzieć, od każdego tematu niespodziewanie wracała do zagadki zniknięcia Valentina, do błędu, jakim był wybór *Pawany* Alix-Alixa (wyłącznie z powodu słabości do Valentina, ale to już ostatni raz i więcej się nie powtórzy). „Pederasta - mruczała Berthe Trépat, a Oliveira czuł, jak jej ręka zaciska się na kanadyjce. - I przez to indywiduum ja, ni mniej, ni więcej tylko ja, podjęłam się zagrać takie gówno bez głowy i nóg, podczas kiedy piętnaście moich własnych kompozycji oczekuje na zaprezentowanie ich publiczności...” Po czym przystawała na deszczu, bezpieczna w swoim nieprzemakalnym płaszczu (Oliveirze natomiast woda zaczynała już dostawać się za kołnierz kanadyjki, kołnierz z królika czy też szczura, który - nieodwracalnie - za każdym zmoknięciem wstrętnie śmierdział zoologicznym ogrodem), patrząc na niego, jakby oczekiwała odpowiedzi. Oliveira uśmiechał się uprzejmie, pociągając ją lekko w stronę rue de Medicis.

- Pan jest zbyt skromny, zbyt pełen rezerwy - mówiła Berthe Trépat. - Pomówmy o panu. Jest pan poetą, nieprawdaż? Kiedy byliśmy młodzi, Valentin także... *Oda do zmierzchu,*

sukces w „Mercure de France”. I liścik od Thibaudeta, pamiętam, jakby to było dziś. Valentin płakał w łóżku, jak zaczynał płakać, kładł się twarzą do poduszki, to było wzruszające.

Oliveira usiłował wyobrazić sobie Valentina płaczącego twarzą do poduszki, ale nasuwał mu się obraz czegoś maleńkiego i czerwonego jak rak, w rzeczywistości bowiem widział Rocamadoura płaczącego w poduszkę i Magę, usiłującą wpakować mu czopek, podczas gdy on opierał się i wypinając pupkę odpychał niezręczne palce Magi. Staruszkowi, który miał wypadek, pewnie także dali czopki w szpitalu, były w modzie, były u szczytu mody, należałoby filozoficznie przeanalizować niespodziewaną zemstę anusa, jego podniesienie do rangi ust, do organu, który już nie ogranicza się do wydalania, ale może połykać i trawić niewielkie, pachnące, aerodynamiczne, różowe, zielone i białe pociski.

Ale Berthe Trépat nie pozwalała mu skupić się, znowu chciała dowiedzieć się czegoś o jego życiu i, ściskając mu ramię jedną ręką lub też obydwiema, zwracała się ku niemu dziewczęcym ruchem, który przerażał go nawet w ciemności. No, więc był Argentyńczykiem, przebywającym przez jakiś czas w Paryżu, w celu... No właśnie, w jakim celu? Niełatwo było wytłumaczyć jej za jednym zamachem wszystko od a do zet. Właściwie szukał...

- Piękna, uniesienia, złotej gałęzi - mówiła Berthe Trépat. - Niech pan nic nie mówi, wiem wszystko. I ja już wiele lat temu opuściłam Pau, aby przenieść się do Paryża w pogoni za złotą gałęzią... Ale byłam słaba, młoda byłam... Jak się pan nazywa?

- Oliveira - powiedział Oliveira.

- Oliveira, *des olives,* Morze Śródziemne... Ja także pochodzę z południa, jesteśmy płochliwi, młody człowieku, jesteśmy oboje płochliwi. Nie to, co Valentin, który pochodzi z Lille. Ci z północy są zimni jak ryby, jak rtęć... Wierzy pan w Wielkie Dzieło? Fulcanelli, pan mnie rozumie... Proszę nic nie mówić, czuję, że należy pan do wtajemniczonych... Może jeszcze nie dosięgnął pan tego, co naprawdę się liczy, podczas gdy ja... Na przykład *Synthesis.* Valentin mówił prawdę, różdżkarstwo wskazywało mi bliźniacze dusze... Mam wrażenie, że odbiło się to na dziele... Czyż nie?

- Ależ tak.

- Ma pan w sobie karmę, to się od razu czuje... - ręka obejmowała go z siłą, artystka wznosiła się ku wyżynom medytacji, do czego potrzebowała wspierać się o Oliveirę, który zaledwie wytrzymywał, starając się za wszelką cenę przeciąć plac i wejść w rue Soufflet. „Jeżeli mnie zobaczą Etienne albo Wong, nie pozbieram się” - myślał Oliveria. Chociaż jakie miało znaczenie, co by pomyśleli Etienne albo Wong; jakby po rzekach metafizycznych, w połączeniu z poplamioną watą, przyszłość mogła nagle mieć jeszcze jakiekolwiek znaczenie. „Tak mi jest, jakbym nie był w Paryżu, a przecież wciąż jestem idiotycznie uwrażliwiony na

wszystko, co mnie spotyka, i udręczony tym, że ta nieszczęsna stara naciąga mnie na wspólny smutek; uścisk umierającego, po *Pawanie* i fiasku koncertu. Jestem gorszy niż kuchenna ścierka, gorszy od tych kawałów brudnej waty, nie mam właściwie nic wspólnego z samym sobą". Bo to jeszcze odczuwał, mimo deszczu, spóźnionej pory i tulącej się Berthe Trépat, to jeszcze czuł, jakby gasło ostatnie światło w olbrzymim domu, w którym wszystkie światła gasną jedno po drugim, to czuł, że on - to nie było to, że gdzieś pod spodem ciągle jeszcze oczekiwał siebie, że ten, który przemierzał Quartier Latin taszcząc starą histeryczkę, a może nawet i nimfomankę, był zaledwie jakimś *Doppelgängerem,* podczas gdy tamten inny, tamten inny... „Czyżbyś został w twoim Almagro? A może utonąłeś gdzieś po drodze, w kurwich betach albo wśród Wielkich Doświadczeń, w owym osławionym Koniecznym Nieporządku? Wszystko brzmi dla mnie jak pocieszenie, wygodnie jest myśleć, że wciąż jest się do uratowania, nawet jak się już w to prawie nie wierzy; skazaniec pod szubienicą także pewnie myśli, że coś się stanie w ostatniej minucie, trzęsienie ziemi, sznur zerwie się dwukrotnie, przynosząc ułaskawienie, telefon od gubernatora, spisek, który go oswobodzi. Teraz, kiedy już tak niewiele brakuje, aby ta stara zaczęła dobierać mi się do rozporka".

Lecz Berthe Trépat gubiła się w zawiłościach i didaskaliach, z entuzjazmem zabrała się do opisywania swojego spotkania z Germaine Taillerferre na Gare de Lyon i jak to Taillerferre powiedziała jej, że *Preludium na pomarańczowe romby* jest nadzwyczaj interesujące i że pomówi z Marguerite Long, ażeby je włączyła do programu swojego koncertu.

- To byłby wielki sukces, panie Oliveira, konsekracja. Ale zna pan impresariów, tych bezwstydnych tyranów, których ofiarami padają najznakomitsi wykonawcy... Valentin uważa, że któryś z młodych pianistów, pozbawionych przesądów, mógłby może... Ale oni są równie zepsuci, jak starzy, wszystko ta sama banda...

- Może sama pani, na innym koncercie...

- Nie chcę więcej grać - powiedziała Berthe Trépat kryjąc twarz, jakkolwiek Oliveira pilnował się, aby nie spojrzeć na nią. - To hańba, że muszę pokazywać się publicznie, aby prezentować moją muzykę, zamiast być muzą, pan rozumie, natchnieniem wykonawców... powinni cisnąć się do mnie jeden przez drugiego z prośbami, abym im pozwoliła wykonywać moje rzeczy, błagać mnie, tak, błagać! A ja bym się zgadzała, bo uważam, że moje dzieło jest iskrą, która wszędzie powinna zapalać wrażliwość publiczności: i tu, i w Stanach, i na Węgrzech... Tak, zgadzałabym się, ale przedtem musieliby błagać o honor wykonywania mojej muzyki!

Przycisnęła się gwałtownie do ramienia Oliveiry, który nie wiedząc dlaczego zdecydował się pójść przez rue Saint-Jacques i maszerował ciągnąc za sobą artystkę. Lodowaty wiatr wiał im w twarze zalewając oczy i usta, ale Berthe Trépat wydawała się żywiołoodporna, uwieszona u ramienia Oliveiry mamrotała coś, co kończyło się czkawką lub krótkim wybuchem śmiechu wyrażającym kpinę czy też ironię. Nie, nie mieszka na rue Saint-Jacques. Nie, ale nie ma znaczenia, gdzie mieszka. Nie zrobiłoby jej różnicy spacerować tak całą noc, przeszło dwieście osób na prawykonaniu *Synthesis*.

- Valentin będzie o panią niespokojny - powiedział Oliveira szukając jakiegoś argumentu, jakiegoś steru, ażeby pokierować tą zesznurowaną kulą, która poruszała się jak jeż morski na wietrze i deszczu. Z długiego, przerywanego monologu zdawało się wynikać, że Berhte Trépat mieszka przy rue de l'Estrapade. Zagubiony Oliveria wolną ręką przetarł oczy i wypośrodkował kierunek, niby Conradowski bohater na dziobie statku. Nagle zachciało mu się śmiać (bolał go pusty żołądek, czuł skurcz mięśni, było to dziwaczne i przykre, Wong nie będzie chciał wierzyć, jak mu to opowie), ale nie z Berthe Trépat, która w dalszym ciągu wyliczała zaszczyty doznane w Pau i Montpellier, od czasu do czasu wzmiankując o złotym medalu, ani też z własnej głupoty, że jej ofiarował swoje towarzystwo. Nie zdawał sobie sprawy, skąd mu się wzięła ta nagła ochota do śmiechu, chodziło tu o coś wcześniejszego, dawniejszego, bo również nie o koncert, jakkolwiek była to jedna z najśmieszniejszych rzeczy na świecie. Wesołość, coś jakby fizyczne objawienie się wesołości. Jakkolwiek trudno było w to uwierzyć - wesołość. Miał ochotę śmiać się z zadowolenia, z czystego, zachwycającego, niewytłumaczalnego zadowolenia. „Zdaje się, że wariuję - pomyślał. - I z tą pomyloną pod rękę, to widocznie zaraźliwe". Nie było najmniejszego powodu do wesołości, woda dostawała mu się do butów, za kołnierz, Berthe Trépat coraz ciężej zwisała mu u ramienia, nagle wstrząsnęła się jakby pod wpływem szlochu, za każdym razem, kiedy wymieniała imię Valentina tak się wstrząsała i łkała, było to coś w rodzaju odruchu warunkowego, który nie powinien był śmieszyć nikogo, nawet wariata. Tymczasem Oliveira, który pragnął śmiać się do rozpuku, z największą uwagą podtrzymywał Berthe Trépat, prowadząc ją powoli ku ulicy de 1'Estrapade, ku numerowi czwartemu przy ulicy de 1'Estrapade, starając się w miarę możności, aby nie wdeptywała w kałuże ani nie wchodziła pod wodospady wyrzygiwane przez rynny na rogu rue Clotilde. Zdawkowe zaproszenie na kieliszek (z Valentinem) wydawało mu się wcale niezłe: trzeba będzie wspiąć się na piąte czy też szóste piętro, taszcząc za sobą artystkę, wejść do pokoju, w którym według wszelkiego prawdopodobieństwa Valentin nie napalił, chociaż tak, będzie rozpalony piec i butelka pysznego koniaku, będzie można zdjąć buty i wyciągnąć nogi do ognia, mówić o sztuce, o

złotym medalu. Możliwe zresztą, że jakiegoś innego wieczoru odwiedzi Berthe Trépat i Valentina, przyniesie im butelkę wina, dotrzyma towarzystwa, doda im ducha. To będzie tak, jakby odwiedzić starego w szpitalu. Pójść tam, gdzie nigdy nie zamierzało się pójść: do szpitala na rue de 1'Estrapade: więc wesołość, ale przedtem te straszliwe kurcze w żołądku, ręka pod skórą - niby pełna rozkoszy tortura (zapytać o to Wonga: ręka pod skórą).

- Pod czwartym, prawda?

- Tak, ten dom z balkonem - powiedziała Berthe Trépat. - Osiemnastowieczna kamienica. Valentin utrzymuje, że na trzecim piętrze mieszkała Ninon de Lenclos. Ale on tak kłamie. Ninon de Lenclos! Och, Valentin kłamie bez przerwy. Już prawie nie pada...

- Trochę mniej - zgodził się Oliveira. - Teraz przejdziemy na drugą stronę, dobrze?

- Sąsiedzi... - powiedziała Berthe Trépat patrząc w stronę kawiarni na rogu. - Naturalnie ta stara spod ósmego... Trudno sobie wyobrazić, ile ona pije. Widzi ją pan? Tu przy tym stoliku z boku. Patrzy na nas, jak jutro zacznie plotkować...

- Niech pani uważa - powiedział Oliveira - o, tutaj jest kałuża.

- Już ja ją znam, i tego z baru także. Nienawidzą mnie przez Valentina. Valentín, trzeba to przyznać, zanadto sobie pozwalał w stosunku do nich... Nie znosi tej starej spod ósmego i którejś nocy, kiedy wracał trochę pod gazem, wysmarował jej całe drzwi kocimi kupami, od góry do dołu, jeszcze porobił rysunki... Nie zapomnę tego nigdy w życiu. Co za skandal! Valentin w wannie, bo także się upaprał, z samego artystycznego zapału, i ja jedna przeciw policji, przeciw starej, przeciw całemu *quartier*... Valentin jest niemożliwy, no po prostu dzieciak...

Oliveira znowu zobaczył siwowłosego pana, papugę, złoty łańcuszek. Jakby nagle w samym środku ściany otwarła się droga: wystarczyło unieść trochę ramię i wejść, otworzyć sobie przejście przez kamienie, przeniknąć grubość muru, wyjść na drugą stronę. Ręka ściskała mu żołądek aż do mdłości. Był nieprzytomnie szczęśliwy.

- Przed powrotem chętnie wypiłabym *une fine à l'eau* - powiedziała Berthe Trépat zatrzymując się w drzwiach i patrząc na niego. - Trochę zmarzłam w czasie tego miłego spacerku, w dodatku deszcz...

- Z przyjemnością - powiedział rozczarowany Oliveira.

- Ale czyż nie byłoby lepiej, aby pani weszła i zaraz zdjęła pantofle? Ma pani nogi mokre po kostki.

- W kawiarni jest ciepło - powiedziała Berthe Trépat.

- Nie wiem, czy Valentin wrócił, czasem wałęsa się w poszukiwaniu swoich przyjaciół. W czasie takich nocy jak dzisiejsza zakochuje się w byle kim, on jest jak psiak, może mi pan wierzyć.

- Z pewnością wrócił i rozpalił ogień - zręcznie wyhaftował Oliveira. - Szklanka dobrego ponczu, wełniane pończochy... Pani musi na siebie uważać.

- Och, ja jestem jak drzewo. Tyle że nie wzięłam ze sobą pieniędzy, żeby zapłacić w kawiarni. Jutro będę musiała wrócić do sali, aby mi wypłacili moje *cachet.* Wieczorem niedobrze jest nosić przy sobie duże sumy pieniędzy, to *quartier* niestety.

- Będę uszczęśliwiony, jeżeli przyjmie pani moje zaproszenie - powiedział Oliveira. Udało mu się wprowadzić Berthe Trépat do bramy, z której wiało ciepłym i wilgotnym zapachem pleśni i chyba grzybowego sosu. Zadowolenie powoli mijało, jakby oddalało się ulicą zamiast pozostać wraz z nim w bramie. Należało jednak z tym walczyć, radość trwała zaledwie parę chwil, lecz była tak nowa, tak odmienna! I ta chwila, kiedy na wzmiankę o Valentinie w wannie, umazanym kocim gównem, miał wrażenie, że może dać krok naprzód, prawdziwy krok, krok ku prawdzie, coś bez rąk i bez nóg, krok w środek kamiennej ściany, wejść tam, iść naprzód i w ten sposób ocalić się od tamtego, od deszczu w twarz i mokrych butów. Trudno to zrozumieć, jak zawsze wtedy, kiedy zrozumienie jest tak konieczne. Radość, ręka pod skórą uciskająca żołądek, nadzieja, jeżeli takie słowo można było zamknąć w myślach, jeżeli było możliwe, aby coś niejasnego, nie do uchwycenia mogło zmaterializować się jako nadzieja; to było zbyt głupie; nie do uwierzenia piękne - i już znikało, oddalało się wśród deszczu, bo Berthe Trépat nie zaprosiła go do domu, bo oddawała go narożnej kawiarni zwracając Porządkowi Dnia, temu wszystkiemu, co się w czasie tego dnia stało: Crevelowi, nabrzeżom Sekwany, chęci pójścia byle gdzie, staremu na noszach, powielonemu programowi, Rose Bob, przemoczonym butom. Ruchem tak powolnym, jakby zdejmował z ramion górę, Oliveira wskazał obie narożne kawiarnie. Ale Berthe Trépat nie widziała, jak się zdaje, różnicy między nimi, nagle zapomniała o swoich planach i mrucząc coś, lecz nie puszczając ramienia Oliveiry, patrzyła ukradkiem w głąb sieni.

- Wrócił - powiedziała gwałtownie wbijając w Oliveirę oczy błyszczące od łez. - Jest na górze, czuję to. I jest z kimś, to pewne, za każdym razem, kiedy przemawia przed moim koncertem, leci potem przespać się z którymś ze swoich chłopczyków.

Dyszała zatapiając palce w ramieniu Oliveiry i co chwila odwracając się, aby patrzeć w ciemność. Z góry doleciało ich zduszone miauknięcie, aksamitny wyścig po kręconych schodach. Nie wiedząc, co powiedzieć, Oliveira wyjął papierosa i zaczął go zapalać z namaszczeniem.

- Nie mam klucza - szepnęła Berthe Trépat tak cicho, że zaledwie ją słyszał - nigdy mi nie daje klucza, jak ma zamiar z kimś się położyć.

- Ale przecież pani musi odpocząć.

- A co go to obchodzi, czy odpocznę, czy zdechnę! Pewnie napalili tą resztką węgla, którą mi podarował doktor Lemoine. I są nadzy, nadzy. Tak, w moim łóżku, nadzy, obrzydliwi. I jutro będę musiała wszystko sprzątać, Valentin na pewno obrzygał mi kapę, zawsze... Jutro, tak jak zawsze... Ja... Jutro...

- Nie mieszka tu gdzieś ktoś z przyjaciół, ktoś, u kogo mogłaby pani przenocować?

- Nie - odpowiedziała patrząc na niego bokiem. - Niech mi pan wierzy, młody człowieku, że moi przyjaciele mieszkają w Neuilly. Tu mieszkają tylko te potworne staruchy, a pod ósmym Algierczycy, ostatnia hołota.

- Jeżeli pani by chciała, to mógłbym wejść na górę i poprosić Valentina, żeby otworzył - zaproponował Oliveira. - Pani zaczeka w kawiarni i wszystko jakoś się ułoży.

- Co się tam ułoży! - powiedziała Berthe Trépat rozciągając słowa, jakby była pijana. - Nie otworzy panu, już ja go znam. Będą siedzieć cicho, po ciemku. Po co im teraz światło? Zapalą później, jak Valentín będzie pewien, że już poszłam spędzić noc w jakimś hotelu albo kawiarni.

- Jak zacznę walić do drzwi, to się zlękną. Z pewnością Valentín nie chciałby skandalu.

- Nic go nie obchodzi, jak jest w transie, to nic a nic go nie obchodzi. Byłby w stanie włożyć na siebie moje rzeczy i wpakować się do komisariatu na rogu, śpiewając *Marsyliankę.* Już raz prawie tak zrobił, tylko Robert, ten ze sklepu spożywczego, złapał go w porę i przyprowadził do domu. To był dobry człowiek, ten Robert, też miewał takie swoje, więc rozumiał innych.

- Niech mi pani pozwoli wejść - nalegał Oliveira.

- Proszę pójść do kawiarni na rogu i zaczekać na mnie. Ja wszystko załatwię, przecież nie może pani tak zostać na noc. Nim Berthe Trépat zdążyła odpowiedzieć, na korytarzu zapaliło się światło. Odskoczyła od Oliveiry i wybiegła aż na ulicę, podczas gdy on pozostał nie wiedząc, co robić. Jakaś para zbiegała szybko po schodach. Nie patrząc, przeszli koło niego w kierunku rue Thouin. Nerwowo oglądając się za nimi, Berthe Trépat z powrotem schroniła się do bramy. Lało jak z cebra.

Bez najmniejszej ochoty, ale mówiąc sobie, że nic innego mu nie pozostaje, Oliveira wszedł głębiej, rozglądając się za schodami. Ale nie zrobił ani trzech kroków, kiedy Berthe Trépat złapała go za ramię ciągnąc w stronę bramy. Bełkotała jakieś zakazy, dyspozycje,

błagania (wszystko to łączyło się w jeden przerywany skrzek, w którym plątały się wyrazy i wykrzykniki). Oliveira nie opierał się, był bezsilny. Światło zgasło, ale zapaliło się w parę sekund później i dały się słyszeć odgłosy pożegnania na drugim czy też trzecim piętrze. Berthe Trépat puściła Oliveirę i oparła się o drzwi udając, że zapina płaszcz przed wyjściem na ulicę. Nie drgnęła aż do chwili, gdy ludzie, którzy schodzili, minęli ją, bez zainteresowania spojrzawszy na Oliveirę i mrucząc sakramentalne *pardon.* Przemknęło mu przez głowę, aby bez uprzedzenia wejść na górę, ale nie wiedział, na którym piętrze mieszkają. Palił zaciągając się z wściekłością, znowu spowity w ciemność, oczekując, żeby coś się stało lub żeby nic się nie stało. Mimo deszczu łkania Berthe Trépat dochodziły do niego z każdą chwilą wyraźniej. Podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

- Madame Trépat - powiedział - niech pani się tak nie przejmuje. Niech pani mi powie, co możemy zrobić, przecież musi się znaleźć jakieś wyjście.

- Proszę mnie zostawić, proszę mnie zostawić - wymruczała artystka.

- Pani jest wyczerpana, musi się pani położyć. W najgorszym razie pójdziemy do hotelu, ja także nie mam pieniędzy, ale załatwię to z właścicielem, zapłacę jutro. Znam mały hotelik na rue Valette, niedaleko stąd.

- Hotel - powiedziała Berthe Trépat odwracając się i patrząc na niego.

- Nie jest dobry, ale przecież chodzi o jedną noc.

- I pan zamierza zabrać mnie do hotelu!

- Chce tylko odprowadzić panią i porozmawiać z właścicielem, żeby dał pani pokój.

- Hotel? Pan zamierza zabrać mnie do hotelu!

- Nic nie zamierzam - powiedział Oliveira tracąc cierpliwość. - Nie mogę ofiarować pani gościny w moim domu z tej prostej przyczyny, że go nie posiadam. Pani nie pozwala mi wejść, aby zmusić Valentina do otwarcia drzwi. Woli pani, żebym sobie poszedł? W takim razie - dobranoc.

Ale kto wie, czy wszystko to mówił, czy tylko myślał. Nigdy nie był równie daleko od tych słów, które w innym momencie natychmiast zjawiłyby się na jego ustach. Nie tak należało postępować. Nie wiedział jak, ale w każdym razie nie tak. Berthe Trépat patrzyła na niego przylepiona do drzwi. Nie, nic nie powiedział, stał przy niej nieruchomo i bez słowa, i jakkolwiek to było nie do wiary, jeszcze chciał jej pomóc, zrobić coś dla Berthe Trépat patrzącej na niego twardo i podnoszącej z wolna do góry rękę, którą nagle uderzyła go w twarz tak, że cofnął się zmieszany, uniknąwszy właściwego policzka, czując jednak uderzenie cienkich palców, drapnięcie paznokci.

- Hotel - powtórzyła Berthe Trépat. - Słyszał to kto, co ten tu ośmiela mi się proponować?

Patrzyła ku ciemnemu korytarzowi, przewracając oczami, jaskrawo umalowane usta poruszały się jak coś niezależnego, obdarzonego własnym życiem, i w swoim pomieszaniu Oliveira miał wrażenie, że znowu widzi ręce Magi, usiłujące włożyć czopek Rocamadourowi, który krzycząc wykręca się i ściska pośladki, a to Berthe Trépat wykrzywiała usta raz w jedną, raz w drugą stronę, wbijała oczy w audytorium niewidzialne w ciemnej sieni, jej absurdalne uczesanie poruszało się w takt coraz gwałtowniejszych ruchów głowy.

- Ależ proszę pani - powiedział Oliveira - przesuwając ręką po lekko krwawiącym zadrapaniu. - Jak pani mogła coś podobnego pomyśleć?

Ale owszem, mogła, bo (krzyczała już wniebogłosy, a światło w sieni znowu się zapaliło) dobrze wiedziała, jacy degeneraci zaczepiali ją na ulicy, ją - tak jak wszystkie przyzwoite kobiety, ale ona nie pozwoli (drzwi konsjerżki uchyliły się i Oliveria zobaczył, jak wyjrzała z nich twarz olbrzymiej myszy z oczkami pełnymi żądzy), ażeby potwór, ażeby jakiś śliniący się satyr atakował ją na progu własnego domu, od tego jest policja i sprawiedliwość - ktoś już zbiegał całym pędem, jakiś chłopak o wijących się włosach i cygańskim wyglądzie wychylał się przez poręcz, aby nasłuchać się i napatrzeć do woli - i jeżeli sąsiedzi jej nie obronią, ona sama wywalczy dla siebie szacunek, bo nie pierwszy raz jakiś maniak, jakiś nikczemny ekshibicjonista... Na rogu ulicy Tournefort Oliveira zdał sobie sprawę, że jeszcze ściska w palcach niedopałek, zmoczony przez deszcz i rozłażący się. Oparty o latarnię, podniósł twarz pozwalając deszczowi całkiem ją zalać. Przynajmniej tak nikt nie zauważy, z twarzą zmoczoną deszczem, nikt nie zauważy. Potem powoli ruszył w drogę, zgarbiony, z kołnierzem kanadyjki zapiętym aż po brodę. Jak zwykle skórka kołnierza ohydnie śmierdziała zgnilizną, garbarnią. Nie myślał o niczym, po prostu szedł, tak jakby patrzył w czasie ulewy na wielkiego czarnego psa, stworzenie o ciężkich nogach, o sztywno zwisającej sierści, w strumieniach deszczu. Od czasu do czasu podnosił rękę i przesuwał nią po twarzy, ale w końcu pozwolił deszczowi płynąć po niej, czasami tylko przesuwając wargę, aby spić coś słonawego, spływającego po skórze. Kiedy znacznie później, koło Jardin des Plantes, wrócił pamięcią do tego dnia, doszedł do wniosku, że może to nie było takie głupie, że czuł się zadowolony odprowadzając starą do domu. Tyle że jak zazwyczaj zapłacił za to bezsensowne zadowolenie. Teraz zacznie je sobie wyrzucać, rozbierać je kawałek po kawałku, aż pozostanie tylko to, co zawsze, dziura, przez którą wieje czas, stała niestałość o zamazanych brzegach. „Tylko bez literatury - pomyślał szukając papierosa, wysuszywszy uprzednio trochę ręce w ciepłych kieszeniach spodni. - Nie bawmy się w pieskie słowa, w tych błyszczących

stręczycieli. Przeszło i minęło. Berthe Trépat... Idiotyzm, ale mogło być tak przyjemnie, wejść na górę i wypić coś z nią i z Valentinem, zdjąć buty koło kominka. Właściwie to jedno mnie cieszyło, myśl, że ściągnę buty i że mi wyschną skarpetki. Nie udało ci się, bracie, cóż robić! Zostawmy to wszystko, trzeba iść spać. Nie było żadnego innego powodu, nie mogło być innego powodu. Jeżeli sobie teraz pozwolę, to w końcu spędzę noc pielęgnując dzieciaka".

Z miejsca, gdzie się znajdował, do ulicy du Sommerard było ze dwadzieścia minut piechotą po deszczu. Najlepiej wejść do pierwszego z brzegu hotelu i spać. Zapałki gasły mu jedna po drugiej. Tylko się uśmiać.

(124)

24

- Bo mnie się trudno wyjęzyczyć - powiedziała Maga wycierając łyżeczkę szmatką, której daleko było do czystości. - Może kto inny umiałby to lepiej wyrazić, ale mnie zawsze było łatwiej mówić o rzeczach smutnych niż o wesołych.

- To jest reguła - powiedział Gregorovius. - Prawidłowo sformułowana i głęboka prawda. Przenosząc rzecz na plan literacki, można by bardziej namacalnie wyrazić ją zdaniem, że pozytywne uczucia tworzą złą literaturę i tak dalej. Szczęście nie nadaje się do tłumaczenia, Luisa, pewnie dlatego właśnie, że jest szczytowym momentem welonu Mai.

Maga spojrzała na niego bezradnie. Gregorovius westchnął.

- Welonu Mai - powtórzył. - Chociaż nie należy mieszać spraw. Pani bardzo słusznie zauważyła, że nieszczęście jest - nazwijmy to - bardziej uchwytne, ponieważ z niego bierze początek podział na podmiot i przedmiot. Dlatego tak się wbija w pamięć i dlatego tak łatwo jest mówić o katastrofach.

- No bo szczęście jest rzeczą osobistą - powiedziała Maga mieszając mleko na maszynce elektrycznej - podczas gdy nieszczęścia dotyczą wszystkich.

- Jak najwłaściwsze uzupełnienie - przyznał Gregorovius. - Chciałbym zwrócić pani uwagę, że nie lubię pytać, ale tamtej nocy, podczas zebrania klubu... Reasumując: wódka Ronalda trochę za bardzo rozwiązuje języki. Proszę mnie nie uważać za wścibskiego, po prostu chciałbym lepiej rozumieć moich przyjaciół. Pani i Horacio... Jak by to powiedzieć? Jest w was coś niezrozumiałego, jakaś tajemnica. Ronald i Babs twierdzą, że jesteście wzorową parą, że się uzupełniacie. Ale ja nie uważam, żebyście się tak bardzo uzupełniali...

- Co to ma za znaczenie?

- Nie idzie o znaczenie, tylko pani mi powiedziała, że Horacio sobie poszedł.

- To nie ma z tym nic wspólnego - odparła Maga. - Nie umiem mówić o szczęściu, ale to nie znaczy, że go nie zaznałam. Jeżeli pana to interesuje, mogę panu opowiedzieć i dlaczego Horacio odszedł, i dlaczego ja także byłabym mogła odejść, gdyby nie Rocamadour.

Wskazała na walizki, na przerażający nieład papierów, garnków i płyt, zalegających pokój.

- Wszystko to trzeba gdzieś poupychać, trzeba mieć dokąd się przenieść... Bo ja także tu nie zostanę, byłoby mi smutno.

- Etienne ma dla pani na widoku jakiś jasny pokój. Kiedy już Rocamadour wróci na wieś... Coś koło siedmiu tysięcy franków miesięcznie. Jeżeli nie miałaby pani nic przeciwko

temu, wtedy ja przeniósłbym się tutaj. Podoba mi się ten pokój, jest w nim jakiś nastrój. Tu można myśleć, można czuć się u siebie.

- Nie wydaje mi się - powiedziała Maga. - Koło siódmej ta z dołu zaczyna wyśpiewywać *Les Amants du Havre.* Ładna piosenka, ale tak bez przerwy w kółko...

Puisque la terre est ronde,
Mon amour t'en fais pas,
Mon amour t'en fais pas,

- Milutkie - potwierdził nieuważnie Gregorovius.

- Pełne filozoficznej głębi, jakby powiedział Ledesma. Pan go nie znał. To było przed Horaciem. W Urugwaju.

- Murzyn?

- Nie, Murzyn się nazywał Ireneo.

- Więc z tym Murzynem to prawda?

Maga spojrzała na niego ze zdumieniem. Co za idiota! Z wyjątkiem Horacia (a i to, czasami...) wszyscy, którzy jej kiedykolwiek pragnęli, zawsze zachowywali się jak idioci. Wciąż mieszając mleko, podeszła do łóżka, aby nakarmić Rocamadoura, który opierał się, płakał, mleko ciekło mu po szyjce. - Topitopitopi - hipnotyzowała go głosem Maga. - Topitopitopi - usiłowała trafić mu łyżeczką do buzi, ale czerwieniał i nie chciał pić, w jakiejś chwili, Bóg wie dlaczego, ustępował, przestawał się bronić, ześlizgiwał się niżej i bezbronnie łykał łyżkę po łyżce, ku wielkiemu zadowoleniu Gregoroviusa, który nabijał fajkę pełen czegoś w rodzaju ojcowskiej dumy.

- Chin-chin - powiedziała Maga stawiając rondelek obok łóżka i opatulając Rocamadoura, który nagle stał się senny. - Ciągle ma gorączkę, co najmniej trzydzieści dziewięć i pięć.

- Nie mierzyła mu pani?

- Bardzo trudno założyć mu termometr, potem płacze pół godziny, a Horacio tego nie znosi. Ja i tak poznaję po temperaturze czoła. Z pewnością ma przeszło trzydzieści dziewięć, nie mogę zrozumieć, dlaczego tak mu się trzyma.

- Zbyt dużo empiryzmu, obawiam się - powiedział Gregorovius. - Czy mleko mu nie zaszkodzi przy tak wysokiej gorączce?

- Wcale nie taka wysoka, jak na dziecko - zmieniła zdanie Maga zapalając gauloise'a. - Najlepiej zgaśmy światło, to zaraz uśnie. Tam, koło drzwi.

Blask z piecyka wydał się jaśniejszy, kiedy usiedli naprzeciw siebie, paląc w milczeniu. Gregorovius widział, jak papieros Magi podnosi się i opada, na przeciąg sekundy jej przedziwnie łagodna twarz zapalała się jak zarzewie, oczy zwrócone ku niemu błyszczały, i znów wszystko zagłębiało się w mroku, w którym stękania i popłakiwania Rocamadoura powoli cichły, pozostała tylko płytka czkawka, powtarzająca się od czasu do czasu. Zegar wybił jedenastą.

- Nie wróci - powiedziała Maga. - Będzie musiał przyjść po rzeczy, ale to nie ma znaczenia. Skończyło się. *Kaputt.*

- Zastanawiam się... - zaczął ostrożnie Gregorovius. - Horacio jest taki wrażliwy, z takim trudem porusza się po Paryżu. Wyobraża sobie, że robi to, co chce, że jest wolny, a przecież bez przerwy rozbija się o ściany. Wystarczy zobaczyć go na ulicy. Kiedyś z daleka szedłem za nim...

- Szpicel - powiedziała Maga niemal uprzejmie.

- Powiedzmy... obserwator.

- W rzeczywistości śledził pan mnie, mimo że mnie z nim nie było.

- Niewykluczone, chociaż wtedy nie przyszło mi to do głowy. Po prostu interesuje mnie zachowanie moich znajomych, uważam, że to bardziej pasjonujące niż zadania szachowe. Na przykład odkryłem, że Wong onanizuje się, a Babs stosuje coś w rodzaju jansenistycznego miłosierdzia: twarz zwrócona do ściany, podczas gdy ręka rzuca za siebie kawałki chleba. W swoim czasie, w Hercegowinie, obserwowałem moją matkę. Adgalle fascynowała mnie: z uporem chodziła w blond peruce, podczas gdy wiedziałem bez żadnych wątpliwości, że ma czarne włosy. Poza mną nikt w całym pałacu (zamieszkaliśmy tam po śmierci hrabiego Rosslera) tego nie wiedział. Kiedy ją pytałem (miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. Szczęśliwe czasy...), śmiała się i kazała przysięgać, że nigdy nie wyjawię prawdy. Korciła mnie ta prawda, którą miałem zachowywać w sekrecie i która musiała być chyba jeszcze piękniejsza niż blond peruka. Peruka była zresztą dziełem sztuki, mama mogła zupełnie swobodnie czesać się w obecności pokojówki i ta nic nie podejrzewała. Ale ja, nie wiem dlaczego, miałem ochotę ukryć się pod kanapą albo za fiołkowymi storami, żeby zobaczyć Adgalle samą: w końcu zdecydowałem się wywiercić dziurkę w ścianie biblioteki, która sąsiadowała z jej toaletą. Pracowałem nocą, kiedy oni myśleli, że śpię. I tym sposobem udało mi się podpatrzyć ją, jak zdjęła blond perukę, rozpuściła czarne włosy, w których była zupełnie inna, piękna, a potem zdjęła i tę perukę i ukazała się dosłownie kula bilardowa, coś tak potwornego, że tej nocy zwymiotowałem w poduszkę cały gulasz.

- Pana dzieciństwo brzmi jak wyjątek z *Więźnia Zendy* - powiedziała zamyślona Maga.

- Świat peruk - odparł Gregorovius. - Zastanawiam się, co by zrobił na moim miejscu Horacio. Właściwie to o nim mieliśmy mówić. Pani chciała mi coś powiedzieć.

- Niepokoi mnie ta czkawka - Maga patrzyła w kierunku łóżka Rocamadoura. - To mu się pierwszy raz zdarza.

- Może niestrawność...

- Dlaczego oni tak nalegają, żebym go oddała do szpitala? Ten doktor o twarzy mrówki dziś znowu się ciskał... Ja nie chcę, on nie byłby z tego zadowolony, a ja i tak robię koło niego wszystko, co potrzeba. Rano była Babs i mówiła, że to nic poważnego. I Horacio także jest tego zdania...

- No co? Wróci Horacio?

- Nie, nie wróci. Łazi gdzieś teraz, szukając Bóg wie czego...

- Niech pani nie płacze, Luisa.

- Wycieram nos. O, już mu przeszła czkawka.

- Niech pani mówi, może to pani ulży.

- Nic nie pamiętam. Nie warto. Chociaż tak, pamiętam. Co tu mówić? Co za dziwaczne imię Adgalle...

- Dziwaczne... I nawet nie wiadomo, czy prawdziwe. Mówiono mi...

- Tak jak te peruki, jasna i czarna.

- Tak jak wszystko - powiedział Gregorovius. - Rzeczywiście przeszła mu czkawka. Teraz powinien spać do rana. Kiedyście się poznali, Horacio i pani?

25

Byłaby wolała, żeby Gregorovius milczał albo żeby opowiadał o Adgalle, pozwalając jej spokojnie palić w ciemnościach, daleko od kształtów pokoju, od płyt, od książek, od tego wszystkiego, co należało zapakować, a co Horacio miał zabrać, gdy znajdzie mieszkanie. Ale nie było szans, nawet gdyby zamilkł na chwilę, czekając, aż ona coś powie, potem znowu by pytał. Zawsze wszyscy musieli ją o coś pytać, tak jakby ich drażniło, że ona wolała śpiewać *Mon petit voyou* albo rysować coś końcem wypalonej zapałki, albo pieścić najbrudniejsze koty z całej rue du Sommerard, albo karmić Rocamadoura.

- *Alors, mon p'tit voyou* - zanuciła Maga - *la vie, qu'est-ce qu'on s'en fout...*

- Ja też uwielbiałem akwaria - powiedział wspomnieniowym tonem Gregorovius - ale straciłem do nich całą sympatię, od kiedy zostałem wtajemniczony w życie seksualne. W Dubrowniku, w domu publicznym, dokąd zaprowadził mnie duński marynarz, ówczesny kochanek mojej matki, tej z Odessy. W nogach łóżka stało przepiękne akwarium, samo łóżko także miało w sobie coś z akwarium, może z powodu niebieskiej mieniącej się kapy, którą ruda grubaska starannie złożyła, zanim mnie schwyciła jak królika za uszy. Nie jest pani w stanie wyobrazić sobie mojego strachu, paniki przed tym wszystkim... Leżeliśmy obok siebie na wznak, ona głaskała mnie machinalnie, było mi zimno, a ona gadała byle co, o jakiejś bójce w barze, o marcowych burzach... a ryby pływały i pływały, jedna była czarna, ogromna, o wiele większa od innych. Pływały tam i na powrót, jak jej ręka po moich udach, w górę, w dół... Wtedy „miłość" - to było to: czarna ryba pływająca uparcie tam i z powrotem. Obraz jakich wiele, niemniej w jakiś sposób dość prawdziwy. Powtarzająca się nieskończenie lękliwa chęć ucieczki: ażeby przebić się przez szkło i wypłynąć gdzieś dalej...

- Bo ja wiem... - powiedziała Maga. - Mnie się wydaje, że ryby nie chcą przebijać się przez słoje; prawie nigdy nie dotykają szkła nosami.

Gregorovius przypomniał sobie, że gdzieś u Szestowa czytał o doświadczeniu polegającym na przedzieleniu akwarium ruchomą ścianką: w jakimś momencie wysuwa się ściankę, ale ryba, przyzwyczajona do takiej, a nie innej przestrzeni, nigdy nie decyduje się przepłynąć na drugą stronę. Dopływać do jakiegoś miejsca w wodzie i zawracać nie wiedząc, że już nie ma przeszkody, że można by spokojnie płynąć dalej...

- Ale to także mogłaby być miłość... - powiedział Gregorovius. - Jak to by było cudownie oglądać ryby w akwarium i nagle zobaczyć, że wydostają się na zewnątrz i odfruwają jak gołębie. Pewnie, że to głupie, ale... wszyscy cofamy się ze strachu, żeby nie

dotknąć czegoś nieprzyjemnego. Temat rozprawy naukowej: Nos jako ograniczenie świata. Wie pani, jak się uczy kota, żeby nie załatwiał się w mieszkaniu? Technika wsadzania go nosem w to, co narobił. A wie pani, jak się uczy świnię, żeby nie zjadała trufli? Kij w nos. Okropność. Mam wrażenie, że Pascal był większym ekspertem w materii nosów, niżby to można wywnioskować z jego osławionej egipskiej obserwacji.

- Pascal? - zdziwiła się Maga. - Jakiej egipskiej obserwacji?

Gregorovius westchnął, zawsze wszyscy wzdychali, kiedy ona o cokolwiek pytała. Horacio także, a już przede wszystkim Etienne, bo nie tylko wzdychał, ale jeszcze sapał, i parskał, i wymyślał jej od idiotek. „Fioletowa ignorancja" - pomyślała dotknięta. Ile razy ktoś oburzał się na jej pytania, czuła jak ogarnia ją jakaś fioletowa masa. Wtedy trzeba było głęboko odetchnąć - i fioletowość rozłaziła się, odpływała jak ryby, dzieliła na wiele fiołkowych trapezów, niby beczułki porzucone na pustych plażach Pocitos, lato na plażach, fiołkowe plamy zamiast słońca, słońca zwącego się Ra, też egipskiego, tak jak Pascal. I właściwie obojętne jej było, że Gregorovius westchnął, po Horaciu nie mogły ją wiele obchodzić westchnienia w odpowiedzi na jej pytania, ale mimo to zawsze, chociaż na krótko, występowała fioletowa plama i coś jakby ochota do płaczu, trwająca nie dłużej niż chwila strząśnięcia popiołu z papierosa, owym gestem bez pudła niszczącym dywany, oczywiście u tych, którzy je mają.

26

- W gruncie rzeczy - powiedział Gregorovius - Paryż jest wielką metaforą. Postukal w fajkę i przybił tytoń. Maga zapaliła nowego gauloise'a. Była tak zmęczona, że nawet nie rozzłościła się nie zrozumiawszy, co powiedział. Ponieważ nie pospieszyła - wbrew zwyczajowi z zapytaniem, Gregorovius sam postanowił jej to wyjaśnić. Słuchała go z oddali, wspomagana przez ciemność pokoju i papierosa. Słyszała urywki zdań, powracające imię Horacia, coś o tym, że Horacio był nieswój, o wałęsaniu się bez celu prawie wszystkich członków klubu, o powodach, dla których wolno przypuszczać, że wszystko to mogłoby dokądś prowadzić. Chwilami któreś ze zdań Gregoroviusa rysowało się w ciemnościach zielono, biało, czasem był to Atlan, czasem Estève, czasem dźwięk, który kręcił się i nabierał form, rósł jak jakiś Manessier, jak jakiś Wifredo Lam, jak jakiś Piaubert, jak jakiś Etienne, jak jakiś Max Ernst. To było zabawne; Gregorovius mówił: „a wszyscy zapatrzeni, że się tak wyrażę, w babilońskie ścieżki i wobec tego...” - i Maga widziała, jak z tych słów powstaje promieniejący Deyrolles, Bissière, ale on już mówił o zbędności empirycznej ontologii i naraz to był Friedlànder, Villon delikatnie kratkujący ciemność, wprawiający ją w wibrację, ontologia empiryczna, błękit koloru dymu, różo-wości, empiryczność, bladożółty, zagłębienie, w którym wirują białawe iskry.

- Rocamadour zasnął - powiedziała Maga strząsając popiół. - Ja także powinnam chwilę się zdrzemnąć.

- Chyba Horacio już dzisiaj nie wróci.

- Bo ja wiem! Horacio jest jak kot, równie prawdopodobne, że siedzi za drzwiami na schodach, jak i to, że wyjechał do Marsylii.

- Mogę zostać - powiedział Gregorovius. - Pani się prześpi, a ja będę pilnował Rocamadoura.

- Ale ja wcale nie jestem śpiąca. Przez cały czas kiedy pan mówił, widziałam w powietrzu różne rzeczy. Pan powiedział „Paryż jest wielką metaforą”, a ja wtedy zobaczyłam, jakby rysunek Sugai, dużo czerwieni, czerń.

- Myślałem sobie o Horaciu - powiedział Gregorovius. - Ciekawe jak się zmienił przez tych parę miesięcy, odkąd go znam. Pani sobie pewnie nie zdaje z tego sprawy, stała pani zbyt blisko. Właściwie to pani jest odpowiedzialna za te zmiany.

- Dlaczego jest wielką metaforą?

- Żyje tu w taki sposób, w jaki inni ludzie szukają ucieczki poprzez *voodoo,* marihuanę, Pierre Bouleza albo malujące maszyny Tinguely'ego. Wydaje mu się, że gdzieś, w jakimś zakątku Paryża, w jakimś dniu, w jakiejś śmierci, w jakimś spotkaniu odkryje klucz. Szuka go jak wariat. Niech pani zauważy, że mówię: jak wariat. To znaczy, że nie ma świadomości ani tego, że szuka klucza, ani też tego, że ten klucz istnieje. Horacio przeczuwa jego wcielenie, jego formy... Dlatego mówię o metaforze.

- Dlaczego pan mówi, że Horacio się zmienił?

- Rzeczowe pytanie, Luisa. Kiedy poznałem Horacia zaklasyfikowałem go jako intelektualistę amatora, chcę powiedzieć: intelektualistę bez rygorów. Wy tam wszyscy jesteście trochę tacy, prawda? Myślę o Mato Grosso, o tych stronach...

- Mato Grosso jest w Brazylii.

- No to w Paranie. Inteligentni, pobudzeni umysłowo, nowocześni i au courant. O wiele bardziej niż my. Na przykład literatura włoska i angielska - obowiązkowo. I cały złoty wiek hiszpański, i naturalnie literatura francuska od a do zet na końcu języka. Horacio był właśnie taki, czuło się to aż za bardzo. Wydaje mi się wspaniałe, że w tak krótkim czasie tak zasadniczo się zmienił. Teraz jest rzeczywiście chamem, wystarczy na niego popatrzeć. No, może jeszcze nie takim zupełnym chamem, ale robi co może.

- Niech pan nie mówi głupstw - rozgniewała się Maga.

- Proszę mnie zrozumieć. Chcę powiedzieć, że szuka czarnego światła, klucza, i zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że takich rzeczy nie znajduje się w bibliotece. W rzeczywistości to pani go tego nauczyła; jeżeli teraz odszedł, to dlatego, że nie mógł pani tego przebaczyć.

- Horacio nie dlatego odszedł.

- W tym także jest jakaś przenośnia. On nie wie, dlaczego odchodzi, a pani, która jest tego powodem, też nie może wiedzieć, chyba żeby mi pani uwierzyła.

- Nie wierzę - Maga ześliznęła się z fotela i położyła na ziemi. - W dodatku nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Proszę tylko nie wymieniać imienia Poli. Nie chcę o niej mówić.

- To niech pani dalej śledzi rysunki w ciemnościach - powiedział uprzejmie Gregorovius. - Możemy mówić o czymś innym. Czy wie pani na przykład o tym, że Indianie szczepu Chirkin, którzy stale żądali nożyczek od misjonarzy, doszli w końcu do takich kolekcji, że stali się grupą ludzką posiadającą stosunkowo najwięcej nożyczek na głowę? Czytałem o tym w artykule Alfreda Métraux. Świat pełen jest przedziwnych rzeczy.

- Ale dlaczego Paryż jest wielką metaforą?

- Kiedy byłem mały - powiedział Gregorovius - niańki kochały się z ułanami, którzy stacjonowali w okolicach Bozsoku. Ponieważ przeszkadzałem im w praktykowaniu tej miłości, pozwalały mi bawić się w olbrzymim salonie, pełnym obić i dywanów, zdolnych napełnić rozkoszą Maltę Laurids Brigge'a. Jeden z dywanów przedstawiał plan miasta Ofir, taki, jaki fabularną drogą dopłynął na zachód. Na kolanach popychałem nosem albo rękami żółtą piłeczkę po rzece Shan-Ten, forsowałem mury obronne, strzeżone przez czarnych uzbrojonych w lance wojowników, po czym po wielu niebezpieczeństwach i po uderzeniu się głową o nogę mahoniowego stołu, który stał na samym środku dywanu, docierałem do apartamentów królowej Saby, gdzie, zwinięty jak gąsienica, zasypiałem na wyobrażeniu *triclinium.* Tak, Paryż jest metaforą... Teraz, kiedy o tym mówię, widzę, że i pani leży na dywanie. Cóż on przedstawia? Och, stracone dzieciństwo, bliskość, bliskość... Dwadzieścia razy byłem w tym pokoju i nie jestem w stanie przypomnieć sobie rysunku dywanu!

- Jest tak brudny, że nie widać żadnego rysunku - powiedziała Maga. - Mam wrażenie, że wyobraża dwa pawie, które całują się dziobkami. Wszystko razem takie więcej zielone.

Zamilkli słuchając kroków na schodach.

27

- Ech, Pola - powiedziała Maga. - Wiem o niej więcej niż Horacio.

- Mimo że nigdy jej pani nie widziała?

- Tyle jej się napatrzyłam! - powiedziała niecierpliwie.

- Horacio przynosił ją we włosach, w płaszczu, drżał przez nią, zmywał ją z siebie.

- Etienne i Wong mówili mi o tej kobiecie - powiedział Gregorovius. - Widzieli ją któregoś dnia na tarasie kawiarni w Saint-Cloud. Tylko gwiazdom wiadomo, co ci wszyscy ludzie robili w Saint-Cloud, ale znaleźli się tam. Podobno Horacio patrzył na nią tak, jakby była, przypuśćmy, mrowiskiem. Później Wong wykorzystał to dla jakiejś skomplikowanej teorii seksualnego nasycenia; według niego, można robić postępy w poznaniu rzeczy, o ile w jakimś momencie osiąga się taki współczynnik miłości (to jego słowa, pani wybaczy, chiński ¿argon), że duch krystalizuje się nagle na innym poziomie, w nadprzyrodzoności. Co pani o tym myśli?

- Myślę, że szukamy czegoś w tym rodzaju, ale prawie zawsze albo nas oszukują, albo my oszukujemy, Paryż - to miłość na ślepo, wszyscy jesteśmy beznadziejnie zakochani, ale jest w tym coś zielonego, jakiś mech, bo ja wiem... W Montevideo też tak było, nie udawało się nikogo kochać naprawdę, zaraz zaczynały się jakieś dziwne rzeczy, awantury o prześcieradła, o włosy, a dla kobiet jeszcze tyle innych przykrości, na przykład skrobanki. Ech...

- Miłość. Zmysłowość. Czy mówimy o tym samym?

- Tak - odparła Maga. - Jeżeli mówimy o miłości, mówimy o seksie. Na odwrót już nie tak. Przecież zmysłowość to nie to samo co seks. No nie?

- Byle bez teorii - powiedział nieoczekiwanie Osip.

- Te dychotomie, tak jak i te synkretyzmy... Prawdopodobnie Horacio szukał w Poli czegoś, czego pani mu nie dawała... jeśli przeniesiemy te sprawy na teren praktyczny.

- Horacio zawsze szukał wielu rzeczy - powiedziała Maga. - Zmęczył się mną, ponieważ nie umiem myśleć, to wszystko. Za to Pola pewnie bezustannie myśli...

- „Biedna miłość, która musi karmić się myśleniem” - zacytował Osip.

- Trzeba być sprawiedliwym - powiedziała Maga.

- Pola jest bardzo piękna, wiem to po wzroku, jakim na mnie patrzył Horacio, kiedy od niej wracał. Wracał jak zapałka, która zapała się nagle i wyrasta jej cały warkocz. Chociaż to trwa tylko sekundę, ale jest cudowne. Najpierw potarcie, potem mocny zapach fosforu, a

potem ten olbrzymi płomień, który zaraz niknie. Taki wracał: ona napełniała go pięknością. Ja mu to mówiłam, Osip, i słusznie robiłam, że mu to mówiłam. Już byliśmy trochę dalej od siebie, ale jeszcze kochaliśmy się. To nie przychodzi nagle, Pola nadchodziła jak słońce do okna. Ja zawsze muszę myśleć o takich rzeczach, żeby wiedzieć, że mówię prawdę. Wchodziła po trochu, odbierając mi cień, a Horacio opalał się niby na pokładzie statku, przypiekał się, był taki szczęśliwy...

- Nigdy bym nie przypuścił. Wydawało mi się, że pani... no, że Pola minie jak tyle innych. Bo wobec tego trzeba by wymienić na przykład i Françoise...

- Bez znaczenia - powiedziała Maga strząsając popiół na podłogę. - Tak jakbym ja zaczęła cytować takich facetów, jak Ledesma. To prawda, że pan nic nie wie. Nie wie pan także, jak się skończyło z Polą.

- Nie wiem.

- Pola jest umierająca - powiedziała Maga. - Nie przez te szpilki, to były głupstwa, jakkolwiek robiłam to na serio, niech mi pan wierzy, że robiłam to na serio. Jest umierająca, bo ma raka w piersi.

- A Horacio?...

- Niech pan nie będzie obrzydliwy. Horacio nic o tym nie wiedział, kiedy z nią zrywał.

- Ależ, Luisa, ja...

- Pan dobrze wie, co pan mówi i na co czeka pan tutaj dziś wieczór, Osip. Ale niech pan nie będzie podły i chociaż tego nie insynuuje.

- Ależ czego? Czego?

- Że Horacio wiedział o tym, zanim ją porzucił.

- Przecież ja - zaczął Gregorovius - przecież ja w ogóle...

- Niech pan nie będzie obrzydliwy - powtórzyła monotonnie Maga. - Dlaczego chce pan pogrążyć Horacia? Nie wie pan, żeśmy się rozstali, że poszedł sobie w taki deszcz...

- Ja niczego nie chcę - powiedział Osip wtulając się głębiej w fotel. - Ja nie jestem taki, Luisa. Pani się upiera, żeby mnie źle zrozumieć. Powinienem rzucić się na kolana, jak w swoim czasie kapitan „Gräffin", błagać, żeby mi pani uwierzyła i żeby...

- Niech mi pan da spokój - powiedziała Maga. - Najpierw Pola, teraz pan... Te plamy na ścianach i ta noc, która nie chce się skończyć... Pan byłby w stanie uwierzyć nawet w to, że to ja zabijam Polę.

- Nigdy w życiu nie przeszłoby mi nic podobnego przez głowę...

- Dosyć, dosyć. Horacio nigdy mi tego nie przebaczy, mimo że już nie jest zakochany w Poli. Śmiechu warte, gówniana mała laleczka, którą zrobiłam z wosku ze świeczek na choinkę, z delikatnego, zielonkawego wosku, przecież pamiętam...

- Luisa, nie mogę uwierzyć, żeby pani...

- On mi nigdy tego nie przebaczy, chociaż nie mówiliśmy o tym. Ale wie, bo widział i laleczkę, i szpilki. Rzucił ją na ziemię i zdeptał. Nie wiedział, że to jeszcze gorzej, że tym tylko wzmógł niebezpieczeństwo. Pola mieszka na rue Dauphine, on chodził do niej niemal codziennie po południu. Myśli pan, że opowiedział jej o tej zielonej laleczce? Jak się panu wydaje Osip?

- Możliwe - odparł Osip, wrogi i pełen pretensji. - Wszyscy jesteśmy zdrowo kopnięci.

- Horacio mówił o nowym zakonie, o możliwości znalezienia jakiegoś innego życia. Zawsze się powoływał na śmierć, kiedy mówił o życiu, nie mogliśmy wytrzymać, żeby się nie śmiać z tego. Powiedział mi, że sypia z Polą, i wtedy zrozumiałam, że on wcale nie uważa za konieczne, żebym się o to rozgniewała i zrobiła mu scenę. A ja rzeczywiście nie byłam wcale rozgniewana, ja także mogłabym w tej chwili iść z panem do łóżka, gdyby mi przyszła ochota. Nie umiem tego wytłumaczyć, to nie chodzi o zdrady i takie rzeczy. Horacio nienawidzi słowa zdrada, oszustwo... Muszę przyznać, że jak tylko poznaliśmy się, powiedział mi, że nie czuje się do niczego zobowiązany. Ja zrobiłam laleczkę, bo Pola wpakowała mi się do pokoju, tego już było za dużo, wiedziałam, że byłaby w stanie zabrać moje rzeczy, nosić moje pończochy, używać mojej pomadki, karmić Rocamadoura.

- Przecież pani powiedziała, że jej pani nie zna?

- Tkwiła w Horaciu, głupi, głupi Osip! Biedny Osip, taki głupi. W jego kanadyjce, w futerku jego kołnierza, przecież pan widział, że Horacio ma futrzany kołnierz. I Pola tam tkwiła, kiedy wracał, i tkwiła w jego spojrzeniu, kiedy się rozbierał, tu w tym kącie, i kiedy stojąc mył się w tej misce. Nie wiem dlaczego, przecież w końcu naprawdę kochaliśmy się... Nie wiem dlaczego. Dlatego, że ja nie umiem myśleć i on mną pogardza. Dlatego.

28

Ktoś szedł po schodach.

- Może Horacio - powiedział Gregorovius.

- Może - powtórzyła Maga. Ale raczej ten zegarmistrz z szóstego. Zawsze późno wraca. Nie miałby pan ochoty posłuchać muzyki?

- O tej porze? Dziecko się obudzi.

- Nie, nastawimy cichutko i posłuchamy sobie kwartetu, będzie przyjemnie. Można tak ściszyć, że nikt poza nami nie będzie słyszał. Zobaczy pan.

- Nie, to nie Horacio - powiedział Gregorovius.

- A bo ja wiem - mruknęła Maga zapalając zapałkę i patrząc na stos płyt leżących w rogu pokoju. - Może usiadł za drzwiami; od czasu do czasu potrafi tak zrobić. Czasem podchodzi pod same drzwi i nagle zmienia zdanie. Niech pan włączy adapter, tu, ten biały guziczek obok kominka.

Stało tam coś w rodzaju pudełka od butów; Maga na klęczkach nałożyła płytę, macając w ciemnościach, a wtedy pudełko od butów wydało z siebie lekkie brzęczenie, daleki akord zawisł w powietrzu niemal w zasięgu ręki. Gregorovius zabrał się do nabijania fajki, ciągle jeszcze trochę zgorszony. Nie podobał mu się Schönberg, ale chodziło o co innego: o porę, o chore dziecko, o sam rodzaj wykroczenia. Tak, wykroczenia. Idiotyczna myśl. Ale od czasu do czasu miewał ataki tego rodzaju: wydało mu się, że jakiś bliżej nie określony porządek powinien się mścić za całkowite lekceważenie go. Wyciągnięta na ziemi, z głową niemalże w pudełku od butów, Maga wyglądała na śpiącą.

Od czasu do czasu słychać było lekkie chrapnięcie Rocamadoura, ale Gregorovius zaczął zagłębiać się w muzyce, gubić w niej, odkrywając, że można bez protestu dać się porwać zmarłemu i pogrzebanemu wiedeńczykowi. Maga paliła leżąc, z zamkniętymi oczami, jej twarz przysłonięta włosami raz po raz wyłaniała się z ciemności, policzki błyszczały jakby płakała, ale nie płakała, to nonsens wyobrażać sobie coś podobnego, raczej zaciskała gniewnie usta, słysząc suche uderzenia w sufit, jedno, a potem drugie, trzecie. Gregorovius drgnął i omal nie krzyknął, czując, że jakaś ręka zaciska mu się koło kostki.

- Nie trzeba się przejmować, to ten stary z góry.

- Przecież nawet my ledwie słyszymy.

- Rury - powiedziała tajemniczo Maga. - Wszystko włazi w rury, już to się nam nieraz zdarzało.

- Akustyka jest nauką pełną niespodzianek.

- Zmęczy się i przestanie - uznała Maga. - Kretyn.

Uderzenia na górze trwały. Maga usiadła wściekła i jeszcze trochę ściszyła adapter. Minęło parę akordów *pizzicato,* po czym pukanie powtórzyło się.

- To niemożliwe - powiedział Gregorovius. - Niemożliwe, żeby facet mógł cokolwiek dosłyszeć.

- Więcej niż my. Na tym polega nieszczęście.

- Ten dom jest jak ucho Dionizosa.

- Czyje? Przeklęty, w samo *adagio!* I nie przestaje walić. Jeszcze mi obudzi Rocamadoura.

- Może byłoby rozsądniej...

- Nie. Nie chcę. Niech rozwali sufit. Nastawię mu teraz Maria del Monaco, to będzie miał nauczkę, szkoda, że nie mam jego żadnej płyty. Kretyn, podłe bydlę.

- Luisa - szepnął Gregorovius. - Jest po północy.

- Zawsze tylko godziny! - rozgniewała się Maga. - Wyniosę się z tego pokoju. Już ciszej nie mogę nastawić, i tak nic nie słychać. Chwileczkę, tylko powtórzymy ostatnie *mouvement...* Nie trzeba zwracać na niego uwagi.

Uderzenia umilkły i kwartet popłynął do końca, nie przerywany nawet rzadkimi chrapnięciami Rocamadoura. Maga westchnęła, z głową dosłownie wsadzoną w głośnik. Znowu zaczęto walić.

- Co za kretyn - powiedziała Maga. - I zawsze, wszystko tak.

- Niech się pani nie upiera, Luisa.

- Niech pan nie gada głupstw. Nosem mi to już wychodzi, wykopałabym ich wszystkich. Jeżeli raz mam ochotę posłuchać Schönberga, jeżeli chociaż na chwilę...

Rozpłakała się, gwałtownym ruchem podniosła igłę wraz z ostatnim akordem, a gdy pochyliła się, aby wyłączyć adapter, siedzący obok niej Gregorovius bez trudu objął ją wpół i posadził sobie na kolanach. Głaskał ją po włosach, usiłując usunąć je z twarzy. Maga płakała urywanymi szlochami, kaszląc i oddychając mu prosto w nos powietrzem przesyconym dymem.

- Biedne dziecko, biedne dziecko - powtarzał, rytmicznie przesuwając ręką po jej policzku. - Nikt go nie kocha, nikt, wszyscy tylko krzywdzą moje małe biedactwo.

- Idiota - Maga z wysiłkiem połykała łzy. - Płaczę, bo tak mi się podoba, i nie potrzebuję, żeby mnie pocieszać. Boże, co za spiczaste kolana, wbijają się we mnie jak nożyczki.

- Ale posiedź chociaż chwileczkę... - błagał Gregorovius.

- Nie mam ochoty - powiedziała Maga. - Nie rozumiem, dlaczego ten kretyn dalej stuka.

- Niech pani nie zwraca na niego uwagi, Luisa...

- Wali bez przerwy... nie do wiary!

- No to niech sobie stuka - powiedział Gregorovius.

- To przecież pan się denerwował tym stukaniem! - roześmiała mu się prosto w nos.

- Ach, żeby pani wiedziała...

- Wszystko wiem, wszystko wiem, ale proszę siedzieć spokojnie. Wie pan, Osip - powiedziała, jakby nagle coś jej się wyjaśniło - on nie stukał z powodu płyty. Jeżeli chcemy, możemy nastawić sobie inną.

- Niech Bóg broni!

- Nie słyszy pan, że wali dalej?

- Pójdę na górę i dam mu w mordę - powiedział Gregorovius.

- Byle już! - poparła zrywając się z jego kolan, aby mógł wstać. - Niech mu pan powie, że to niesłychane budzić ludzi o pierwszej w nocy. No prędko, niech pan leci, drzwi na lewo. A na nich przybity pantofel.

- Pantofel? Na drzwiach?

- Tak, to wariat. Pantofel i jakiś taki kawałek zielonego akordeonu czy coś. Dlaczego pan nie idzie?

- Może nie warto - powiedział Gregorovius ze zmęczeniem w głosie. - Przecież nie o to chodzi, wszystko to takie niepotrzebne. Luisa, pani nie zrozumiała, że... Niezależnie od tego facet mógłby przestać pukać.

Maga podeszła do kąta, zdjęła coś, co w ciemności wyglądało na piórko do odkurzania, i Gregorovius usłyszał mocne walnięcie w sufit. Na górze zrobiło się cicho.

- Teraz możemy słuchać, czego chcemy - powiedziała. „Ciekawe" - pomyślał Gregorovius coraz bardziej zmęczony.

- Na przykład sonaty Brahmsa. Boże, jak to dobrze, że przestał! Chwileczkę, tylko poszukam płyty; musi tu gdzieś leżeć. Nic nie widać.

„Horacio jest za drzwiami - pomyślał Gregorovius. - Siedzi na schodach oparty plecami o futrynę i wszystko słyszy. Jak w taroku - wszystko czeka na rozstrzygnięcie, wielościan, w którym każda krawędź i każda ścianka ma swój własny sens - fałszywy, do czasu kiedy je połączy wspólny sens, przynoszący objawienie. Więc Brahms, ja, uderzenia w

sufit, Horacio - wszystko to powoli zdąża do wyjaśnienia. W dodatku - wszystko niepotrzebnie".

Zastanowił się, co by się stało, gdyby korzystając z ciemności raz jeszcze objął Magę. „Ale przecież on tam jest, słyszy, jeszcze by się ucieszył z tego, co by usłyszał. Ohyda". Poza wszystkim bał się go, ale to trudno mu było wyznać.

- Chyba ta - powiedziała Maga. - Tak, to ta etykietka, posrebrzana z dwoma ptaszkami. Kto tam rozmawia za drzwiami?

„Przezroczysty wielościan, który powoli nabiera form w ciemnościach - pomyślał Gregorovius. - Teraz ona powie to, a za drzwiami nastąpi tamto... tyle że nie wiem ani co jest to, ani co tamto".

- To Horacio - powiedziała Maga.

- Horacio i jakaś kobieta.

- Nie, to ten stary z góry.

- Ten od buta na drzwiach?

- Tak, ma głos baby. On jest jak sroka. Zawsze nosi karakułową czapkę.

- Niech pani nie nastawia płyty - poradził Gregorovius. - Zaczekajmy, zobaczymy, co będzie.

- W końcu w ogóle nie wysłuchamy sonaty Brahmsa - rozzłościła się Maga.

„Dziwne przemieszanie wartości - pomyślał Gregorovius. - Ci na schodach w najlepszym razie za chwilę pobiją się w ciemnościach, a ta tylko o swojej sonacie". Ale Maga miała rację. Jak zawsze była jedyną, która miała rację. „Mam więcej przesądów, niż myślałem - powiedział do siebie Gregorovius. - Człowiek sobie wyobraża, że skoro prowadzi życie wyzwolone i akceptuje moralne i materialne pasożytnictwo Lutecji, to sam staje się preadamitą. Idiota ze mnie".

- *The rest is silence*[30] - powiedział.

- *Silence my foot*[31] - odpowiedziała Maga, która nieźle znała angielski. - Zaraz zacznie się na nowo. Pierwszy stary. O, proszę. *Mais qu'est-ce que vous foutez*[32] - naśladowała go nosowym głosem - a teraz tylko posłuchajmy, co odpowie Horacio. Mam wrażenie, że się śmieje po cichu, jak się zacznie śmiać, to nigdy nie może znaleźć słów. Wyjrzę, co się tam dzieje.

- A mogło być tak dobrze - wymamrotał Gregorovius, jak gdyby zobaczył nadchodzącego anioła mściciela. Gérard David, Van der Weiden, Mistrz z Flemalle; o tej

[30] *The rest is silence* (ang.) - Reszta jest milczeniem (W. Shakespeare, *Hamlet).*
[31] *Silence my foot* (ang.) - Milczenie - a figa.
[32] *Mais qu'est-ce...* (franc.) - Co wy wyprawiacie?

godzinie, nie wiadomo dlaczego, wszystkie anioły o głupich, tłustych twarzach były przeklęcie flamandzkie, choć wspaniale ozdobione koronkami i mieszczańsko rozkazuj ące *Daddy-ordered-it, so-you-better-beat-it-you-lousy-sinners.* Pokój pełen aniołów, *I looked up to heaven and what did I see / A band of angels comin'after me* - odwieczne zakończenie, aniołowie-policjanci, aniołowie-inkasenci, aniołowie-aniołowie. Zgnilizna nad zgniliznami: strumień lodowatego powietrza wdzierającego mu się w nogawki spodni, gniewne głosy na schodach, sylwetka stojącej na progu Magi.

- *C'est pas des façons, ça* - mówił stary. - *Empêcher les gens de dormir à cette heure c'est trop con.]'me plaindrai à la police, moi, et puis qu'est-ce que vous foutez là, vous, planqué par terre contre cette porte? J'aurais pu ma casser la gueule, merde alors.*[33]

- Idź dziadu, spać - przemawiał Horacio, wygodnie rozciągnięty na ziemi.

- *Dormir, moi, avec le bordel que fait votre bonne femme? Ça alors, comme culot, mais je vous préviens, ça ne passera pas comme ça, vous aurez de mes nouvelles.*[34]

- *Mais de mon frère, le poète, on a eu des nouvelles*[35] - ziewnął Horacio. - Masz pojęcie, co za facet.

- Idiota - powiedziała Maga. - Nastawia się cichutko, a on stuka, wyłącza się adapter - a on stuka dalej. No to czego w końcu chce?

- Anegdotka o facecie, który rzucił jeden but.

- Nie znam - powiedziała Maga.

- Było do przewidzenia - odparł Oliveira. - Zazwyczaj starzy napełniają mnie szacunkiem, pomieszanym z innymi uczuciami, ale temu kupiłbym butelkę formaliny, żeby się w nią wsadził i przestał mędzić.

- *On devrait vous mettre à la porte, c'est une honte. Qu'est-ce que fait le Gouvernement, je me demande*[36] - mówił stary.

- Odpieprz się z *sales métèques,* szkoda, że nie wiesz, jaka kupa katanów robi forsę w Argentynie - powiedział Oliveira. - Czegoście słuchali? W tej chwili wróciłem. Jestem przemoczony do suchej nitki.

- Kwartetu Schönberga. A teraz chciałabym cichuteńko posłuchać sonaty Brahmsa.

- Lepiej będzie przełożyć to na jutro - doradził Oliveira opierając się na łokciu, żeby zapalić gauloise'a.

[33] *C'est pas des façons, ça.* (franc.) - Co to za maniery. To juz za dużo przeszkadzać ludziom spać o takiej porze. Złożę skargę na policji, a w ogóle co pan wyrabia, rozwalony na podłodze pod drzwiami Mogłem sobie rozbić łeb, do cholery.
[34] *Dormir, moi, avec le bordel...* (franc. żargon) - Jak można spać w tym burdelu, który robi pana facetka? To jest zupełna bezczelność, ale uprzedzam pana, to tak łatwo nie przejdzie, jeszcze pan mnie popamięta (dosłownie: jeszcze będzie pan miał o mnie wiadomość).
[35] *Mais de mon frère...* (franc.) - Ale o bracie moim, poecie, były jakieś wiadomości.
[36] *On devrait vous mettre à la porte...* (franc.) - Powinno się was wyrzucić z domu, to jest hańba. Pytam się, co właściwie

- *Rentréz chez vous, monsieur, on vous emmerdera plus pour ce soir.*[37]

- *Des fainéants* - powiedział stary. - *Des tueurs, tous.*[38] W płomieniu zapałki widać było karakułową czapkę, brudny szlafrok, wściekłe oczka. Czapka rzucała gigantyczne cienie na klatkę schodową, Maga była zafascynowana. Oliveira wstał, jednym dmuchnięciem zgasił zapałkę i wszedł do pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

- Cześć - powiedział. - Nic tu, cholera, nie widać.

- Cześć - powiedział Gregorovius. - Dzięki Bogu, żeś się od niego odczepił.

- W gruncie rzeczy stary ma rację, a w dodatku jest stary.

- Starość nie jest żadnym motywem, ale jest usprawiedliwieniem.

- Sam powiedziałeś któregoś dnia, że nieszczęście Argentyny polega na tym, że jest rządzona przez starych.

- Na ten dramat już zapuszczono kurtynę - powiedział Oliveira. - Od czasów Perona jest odwrotnie, teraz młodzi grają pierwsze skrzypce i jest chyba jeszcze gorzej. Cóż robić! Racje wieku, pokoleń, tytułów i klas - to niewymierna gra. Czyżby fakt, że tak szepczemy, oznaczał, że Rocamadour śpi snem sprawiedliwych?

- Tak, zasnął, jeszcze zanim zaczęliśmy słuchać płyt. Wyglądasz, jakbyś wyszedł z wanny, Horacio.

- Byłem na recitalu fortepianowym - wyjaśnił Oliveira.

- Aha - odpowiedziała Maga. - No to ściągaj kanadyjkę, zaparzę ci mate.

- Powinna być gdzieś jeszcze cała caña. Daj mi kieliszek.

- Co to jest caña? - zapytał Gregorovius. - Czy to to, co nazywają grappa?

- Nie, to raczej barack, wskazana po koncertach, specjalnie po prawykonaniach mających nieobliczalne konsekwencje. A gdyby tak zapalić jakieś zamglone, a nieśmiałe światełko, które nie raziłoby oczu Rocamadoura?

Maga wzięła lampę i postawiła ją na podłodze, stwarzając nastrój z Rembrandta, który Oliveira uznał za odpowiedni. Powrót syna marnotrawnego, obraz powrotu; nawet gdyby nie wiedział, po co wraca, wchodząc stopień za stopniem po schodach i kładąc się pod drzwiami, ażeby słyszeć z daleka koniec kwartetu i szepty Osipa i Magi. „Już na pewno spali ze sobą, jak koty" - pomyślał patrząc na nich. Chociaż nie, niemożliwe, żeby spodziewali się jego powrotu i dlatego ubrali się, a Rocamadoura położyli na łóżku... Gdyby mały leżał na dwóch fotelach, a Gregorovius był w skarpetkach i bez marynarki... Co go zresztą to wszystko

robi rząd.

[37] *Rentrez chez vous...* (franc. żargon) - Wracaj pan do siebie, już dzisiaj wieczór nie będziemy panu przeszkadzać.

[38] *Des fainéants...* (franc.) - Kupa nierobów i morderców.

obchodzi, do cholery, to przecież on jest tutaj zbyteczny, ociekający wodą, zupełnie wykończony.

- Akustyka - mówił Gregorovius. - Co za przedziwna historia, żeby dźwięki właziły w rzeczy, wdrapywały się po schodach, przechodziły ze ściany do wezgłowia łóżka. Jak w to uwierzyć? Czy które z was kąpało się czasem z głową pod wodą?

- Zna się te rzeczy - powiedział Oliveira, rzucając kanadyjkę w kąt i siadając na stołku.

- Można usłyszeć wszystko, co mówią sąsiedzi z dołu, wystarczy zanurzyć się z głową i słuchać. Przypuszczam, że dźwięki przenoszą się przez rury. Kiedyś w Glasgow tym systemem dowiedziałem się, że sąsiedzi to trockiści.

- Glasgow brzmi jak plucha, jak port pełen smutnych ludzi - powiedziała Maga.

- Za dużo chodzisz do kina - zauważył Oliveira. - Ta mate jest jak łaska, coś niewiarygodnie łagodzącego. Matko moja, ile wody w butach. Wiesz, mate jest jak kropka i od linii. Jak się wypije, można zaczynać nowy akapit.

- Chyba do śmierci będę ignorował te smakołyki z pampasów - powiedział Gregorovius. - Ale zdaje się, że mówiliście także o czymś do picia.

- Przynieś cañę - zadysponował Oliveira. - Mam wrażenie, że zostało przeszło pół butelki.

- Tu ją dostajecie? - zapytał Gregorovius.

„Po jaką cholerę mówi w liczbie mnogiej? - pomyślał Oliveira. - To znaczy, że kotłowali się ze sobą całą noc, taki znak nie może mylić. Zresztą..."

- Nie, przysyła mi ją brat. Mam brata w Rosario - sam smak. Caña i wyrzuty, wszystko napływa w dużych ilościach.

Podał pusty kubek Madze, która przycupnęła u jego nóg z czajnikiem między kolanami. Zaczynało mu być lepiej. Poczuł palce Magi na kostce, na sznurowadłach. Wzdychając pozwolił, ażeby mu zdjęła buty. Maga ściągnęła mokrą skarpetkę i owinęła nogę w podwójną stronicę „Figaro Littéraire". Mate była gorzka i gorąca.

Gregoroviusowi smakowała caña, to nie był barack, ale rzeczywiście coś podobnego. Nastąpiło dokładne wyliczanie trunków czeskich i węgierskich, udekorowane porcyjką nostalgii. Słychać było słabnący deszcz, wszyscy czuli się dobrze, a przede wszystkim Rocamadour, który już od przeszło godziny był cicho. Gregorovius opowiadał o Siedmiogrodzie, o przygodach, jakie miał w Salonikach. Oliveira przypomniał sobie, że ma w nocnym stoliku paczkę gauloise'ów i ciepłe pantofle. Po ciemku zbliżył się do łóżka. „Jak się jest w Paryżu, wszystko, co leży poza linią Wiednia, brzmi jak literatura..." - mówił Gregorovius

proszącym o przebaczenie głosem. Horacio znalazł papierosy i otworzył drzwiczki nocnego stolika, żeby wyjąć pantofle. W cieniu dokładnie widział profil leżącego na wznak Rocamadoura. Nie wiedząc właściwie dlaczego, przesunął mu palcem po czole. „Moja matka nie ośmielała się wymawiać słowa Siedmiogród, bała się, żeby nie zaczęto łączyć jej osoby z historiami wampirów, jakby to... A tokaj, pani wie...” Na kolanach, tuż koło łóżka, Horacio usiłował przyjrzeć się lepiej. „Niech pan sobie wyobrazi, że w Montevideo... - mówiła Maga. - Człowiek myśli, że wszyscy ludzie są jednakowi, ale jak się żyje tam w dzielnicy Cerro... Co to jest tokaj? Ptak?” - „W pewnym sensie...” Normalna reakcja w takich wypadkach. Chwileczkę, więc najpierw... „Co to znaczy w pewnym sensie? Więc ptak czy nie ptak?” Ale właściwie pozostawało tylko przesunąć mu palcem po wargach: żadnej reakcji. „Pozwoliłem sobie na mało oryginalny żarcik, Luisa, przecież w każdym dobrym winie drzemie ptak”. Sztuczne oddychanie, idiotyzm. Drugi idiotyzm, że mu się tak trzęsą ręce, jest boso, a ponieważ ma mokre ubranie (może powinno się natrzeć go alkoholem, może, jeżeliby się energicznie wziąć do rzeczy...) *„Un soir l'âme du vin chantait dans les bouteilles*[39] - skandował Osip. - Mam wrażenie, że już Anakreont...” Można było niemalże wyczuć obrażone milczenie Magi, to, co sobie odnotowała w głowie: „Anakreont, nigdy nie czytany autor grecki. Wszyscy go znają, tylko ja nie. A czyje znowu jest to *Un soir l'âme du vin...”* Ręka Horacia wsunęła się między prześcieradła, ze straszliwym wysiłkiem dotknął zapadniętego brzucha Rocamadoura, zimnych ud, wyżej jakby było jeszcze troszeńkę ciepła, chociaż nie, był zupełnie zimny. „Wskoczyć w gotową formułę - pomyślał Horacio. - Krzyknąć, zapalić światło, rozpocząć normalną, obowiązkową hecę, ale po co...?” A może... może jeszcze... „To znaczy, że to, co wiem o sobie od samego spodu, cały ten instynkt, do niczego mi nie służy. Jeżeli krzyknę - to od początku Berthe Trépat, od nowa głupie usiłowania, żal. Iść po utartej ścieżce, zrobić to, co się powinno robić w takim wypadku. Ach nie, dosyć. Po co zapalać światło i krzyczeć, jeżeli wiem, że to nie posłuży do niczego? Komediant, zgrywus. Jedyne, co można zrobić, to...” Słychać było brzęknięcie kieliszka Gregoroviusa o butelkę z caña. „Tak, rzeczywiście bardzo przypomina barack”. Z gauloise'em w ustach potarł zapałkę i spojrzał uważnie. „Obudzisz go” - powiedziała Maga, która wsypywała mu do kubka świeżą mate. Horacio gwałtownie zdmuchnął zapałkę. Wiadomo, że jeżeli źrenice przy zetknięciu się ze światłem... etc. *Quod erat demonstrandum.* „Barack, tylko z trochę mniejszym bukietem” - mówił Osip.

- Znowu wali - rozzłościła się Maga.

- A może to żaluzja? - powiedział Gregorovius.

[39] *Un soir l'âme du vin...* (franc.) - O zmierzchu dusza wina w butelkach śpiewała. (Ch. Baudelaire, *Dusza wina,* z tomu:

- W tym domu nie ma żaluzji. To stary; z pewnością zwariował.

Oliveira włożył pantofle i usiadł w fotelu. Mate była wspaniała, gorąca, gorzka. Na górze zastukano dwa razy, ale niemocno.

- Może tłucze karaluchy - odezwał się Gregorovius.

- Nie, krew go zalała i postanowił nie pozwolić nam spać. Idź na górę, Horacio, i powiedz mu parę słów.

- Idź ty - powiedział Oliveira. - Nie wiem, dlaczego z tobą bardziej się liczy niż ze mną. W każdym razie nie wyjeżdża z ksenofobią, z apartheidem i innymi segregacjami.

- Jeżeli pójdę, to tak mu nagadam, że wezwie policję.

- Za bardzo pada. Weź go pod włos, pochwal mu ozdoby na drzwiach. Powołaj się na uczucia macierzyńskie, te rzeczy. Idź no, posłuchaj mnie raz...

- Tak mi się nie chce - powiedziała Maga.

- No idź, kochanie - poprosił cicho Oliveira.

- Dlaczego tak ci zależy, żebym ja poszła?

- Żeby mi zrobić przyjemność. Zobaczysz, że się uspokoi.

Znowu rozległy się dwa uderzenia, a potem jeszcze jedno. Maga wstała i wyszła z pokoju. Horacio poszedł za nią, a kiedy zobaczył, że wchodzi na schody, zapalił światło i spojrzał na Gregoroviusa. Palcem wskazał w stronę łóżka. Po minucie zgasił światło, a Gregorovius wrócił na fotel.

- To niemożliwe - powiedział Osip chwytając w ciemnościach butelkę z caña.

- Naturalnie. Niemożliwe, nie do przyjęcia i tak dalej. Tylko bez nekrologii, stary. Wystarczyło, że się wyniosłem na jeden dzień, aby w tym pokoju zaszły najpotworniejsze zdarzenia. Cóż, jedno z nich będzie pociechą w drugim.

- Nie rozumiem - powiedział Gregorovius.

- Rozumiesz, i to znakomicie, *Ça va, ça va.* Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak mi to wisi.

Gregorovius zauważył, że Oliveira mówi mu „ty" i że to zmienia stan rzeczy, tak jakby jeszcze można było... Napomknął coś o Czerwonym Krzyżu, o dyżurnych aptekach.

- Rób co chcesz, mnie to obojętne - mruknął Oliveira.

- Rany boskie, co za dzień!

Gdybyż można było rzucić się na łóżko i zasnąć na parę lat! „Tchórz" - pomyślał. Gregorovius, zarażony jego bezruchem, pracowicie zapalał fajkę. Z daleka dochodziły

Kwiaty zla, tłum. W. Słobodnik).

odgłosy rozmowy, głos Magi wśród deszczu, skrzeczenie starego. Na jakimś piętrze trzasnęły drzwi, ktoś protestował przeciwko hałasom.

- W gruncie rzeczy masz rację - powiedział Gregorovius - ale przecież istnieje odpowiedzialność prawna.

- Już i tak wpadliśmy po uszy - powiedział Oliveira.

- Głównie zresztą wy, ja zawsze mogę dowieść, że przyszedłem za późno. „Dziecko umiera, podczas gdy matka na podłodze zabawia się z kochankiem".

- Jeżeli chcesz powiedzieć...

- Nie ma najmniejszego znaczenia.

- Ale to nieprawda, Horacio.

- Mnie to nie robi różnicy. Skonsumowanie jest tylko dodatkiem. Nie mam już z tym wszystkim nic wspólnego, wszedłem na górę, bo zmokłem i chciałem się napić mate.

- Trzeba by zadzwonić na pogotowie - powiedział Gregorovius.

- Dobra. Dzwoń. Czy to czasem nie głos Ronalda?

- Ja nie zostaję - powiedział Gregorovius wstając. - Trzeba coś zrobić. Mówię ci, że trzeba coś zrobić.

- Ależ ja jestem jak najbardziej tego zdania. Działać, zawsze tylko działać. *Die Tätigkeit,* stary. Masz ci los: jakby nas tu mało było! Bądźcie cicho, bo dziecko się obudzi.

- Czołem! - powiedział Ronald.

- Halo! - powiedziała Babs walcząc z parasolką.

- Ciszej - Maga weszła za nimi. - Jak chcesz wejść nie zamykając parasola?

- Zawsze robię to samo. Ronald, cicho. My tylko na sekundę, żeby wam opowiedzieć o Guy. Niesłychana historia. Korki się wam przepaliły?

- Nie, to przez Rocamadoura.

- Mów ciszej - powiedział Ronald - i odstaw wreszcie ten zasrany parasol.

- Tak trudno go zamknąć - użaliła się Babs. - A otwiera się zupełnie bezboleśnie.

- Zagroził mi policją - Maga zamykała drzwi. - O mało mnie nie pobił, wrzeszczał jak wariat, Osip, powinien pan zobaczyć, co on ma w pokoju, ze schodów trochę widać. Stół pełen pustych butelek, a na środku wiatrak taki wielki, że wydaje się prawie naturalnej wielkości, jak na wsi w Urugwaju. Wiatrak się kręcił od przeciągu, a ja nie mogłam wytrzymać, żeby nic podglądać przez szparę w drzwiach, stary cały się. obślinił ze złości.

- Nie mogę go zamknąć - powiedziała Babs. - Odstawiç go gdzieś w kąt.

- Wygląda jak nietoperz - stwierdziła Maga. - Daj mi, ja zamknę. Widzisz jak łatwo?

- Złamała mi dwa druty - poskarżyła się Babs do Ronalda.

- Odczep się - powiedział Ronald. - Zaraz idziemy, chcieliśmy tylko powiedzieć wam, że Guy połknął tubkę gardenalu.

- Biedactwo - mruknął Oliveira, który go nie lubił.

- Etienne go znalazł na pół żywego. Myśmy z Babs poszli na wernisaż (muszę ci opowiedzieć, coś fenomenalnego), a Guy przylazł do domu i otruł się w naszym łóżku. Macie pojęcie?

- *He has no manners at all*[40] - uznał Oliveira. - *C'est regrettable*[41]

- Etienne wstąpił po nas, na szczęście każdy ma swój klucz - dorzuciła Babs. - Usłyszał, że ktoś rzyga, wszedł, a to był Guy. Właściwie to konał. Etienne wyleciał jak szalony po jakąś pomoc. Teraz go zabrali do szpitala, ale stan jest bardzo ciężki. I jeszcze ta plucha - dodała skonsternowana.

- Siadajcie - powiedziała Maga. - Nie, Ronald, nie tu, temu brak jednej nogi. Ja wiem, że jest ciemno, ale to przez Rocamadoura. I mówcie cicho.

- Zrób im trochę kawy - powiedział Oliveira. - Ale pogoda, co?

- Ja muszę iść - powiedział Gregorovius. Nie wiem, gdzie położyłem palto. Nie, tam nie, Luisa...

- Niech pan poczeka na kawę - powiedziała Maga. - Już i tak nie ma metra, a teraz jest przyjemnie. Może byś zmełł trochę świeżej kawy, Horacio...

- Pachnie stęchlizną - zauważyła Babs.

- A tej zawsze mało ozonu - wściekł się Ronald. - Jak koń: uwielbia rzeczy czyste, a nie mieszanki. Zasadnicze kolory, gamę siedmiotonową. Nie jest ludzka, słowo honoru daję.

- Ludzkość jest ideałem - powiedział Oliveira macając naokoło w poszukiwaniu młynka do kawy. -- Powietrze także ma swoją historię. Z mokrej i pełnej, jak mówisz, ozonu ulicy dostać się w atmosferę, której temperaturę i jakość przygotowało pięćdziesiąt wieków... Babs jest czymś w rodzaju Ripa van Winkle oddychania.

- Och, Rip van Winkle - ucieszyła się Babs. - Moja babcia mi o nim opowiadała.

- W Idaho, wiemy, wiemy - przerwał jej Ronald. - Więc pół godziny temu Etienne zadzwonił do nas, do baru na rogu, uprzedzić, żebyśmy nie nocowali w domu, póki się nie okaże, czy Guy wykituje, czy też uda mu się wyrzygać cały ten gardenal. Mówił, że będzie kiepsko, jeżeli fliki nas zastaną, lubią łączyć jedno z drugim, a ostatnio klub im się zdrowo naraził.

- Cóż zawinił klub? - zapytała Maga wycierając ręcznikiem filiżanki.

[40] *He has no manners at all* (ang.) - Nie ma żadnych manier.
[41] *C"est regrettable* (franc.) - To godne pożałowania.

- Nic, ale przez to właśnie jesteśmy bezbronni. Sąsiedzi wciąż skarżyli się na hałasy, na płyty, że łazi się tam i na powrót o każdej porze... W dodatku Babs pokłóciła się z konsjerżką i ze wszystkimi babami w całym *immeuble,* a jest ich około pięćdziesięciu...

- *They are awful*[42] - nadęła się Babs gryząc cukierek, który wyjęła z torebki. - Węszą marihuanę, nawet jak się robi gulasz.

Oliveira zmęczył się mieleniem i podał młynek Ronaldowi. Maga i Babs szeptem omawiały powody samobójstwa Guya. Wynudziwszy wszystkich, ile wlazło, szukaniem palta, Gregorovius spokojnie rozwalił się w fotelu ze zgaszoną fajką w ustach. Deszcz uderzał o okno. „Schönberg i Brahms - pomyślał Oliveira wyjmując z paczki gauloise'a - nie najgorzej. Zazwyczaj w takich okolicznościach wyjeżdża Chopin albo *Todesmusik für Siegfried.* Wczorajsze tornado zabiło trzy do pięciu tysięcy osób w Japonii. Myśląc statystycznie..." Ale statystyka nie była w stanie rozpędzić smaku łoju, którym pachniał papieros. Obejrzał go bardzo dokładnie przy świetle zapałki. Był to porządny gauloise, bielutki, z delikatnie rysującymi się literami i chropowatymi włóknami tytoniu, które wyłaziły z wilgotnego końca. „Kiedy jestem zdenerwowany, zawsze ślinię papierosy... Jak pomyślę o sprawach w rodzaju Rose Bob... Tak, dzień był niewąski, a co jeszcze nas czeka..." Najlepiej będzie powiedzieć o tym Ronaldowi, żeby przekazał to Babs, tym ich quasi-telepatycznym sposobem, który tak zdumiewa Perica Romero. Teoria porozumienia, jeden z tych fascynujących tematów, których literatura nie wyłowiła jeszcze dla siebie i który czeka na jakichś nowych Huxleyów czy Borgesów. Teraz Ronald przyłączył się do szeptów Magi i Babs, leniwie kręcąc młynkiem. Nie będzie tej kawy do usranej śmierci. Oliveira zsunął się z ohydnego krzesełka *art nouveau* i wygodnie ułożył na ziemi, z głową opartą o stos gazet. Sufit jakoś dziwnie fosforyzował, pewno to było raczej subiektywne wrażenie, bo kiedy zamykał oczy, jeszcze przez chwilę widział fosforyzowanie, po czym zaczynały wybuchać wielkie fioletowe kule jedna po drugiej, wuf, wuf, wuf, prawdopodobnie każda kula odpowiadała skurczowi czy może rozkurczowi serca, skąd można wiedzieć takie rzeczy. Gdzieś w głębi domu, chyba na trzecim, dzwonił telefon. O tej porze rzecz w Paryżu niesłychana. „Jeszcze ktoś wykitował - pomyślał Oliveira. - Po nic innego nie dzwoni się nocą w tym mieście szanującym sen". Przypomniało mu się, jak kiedyś znajomy Argentyńczyk, dopiero co przybyły do Francji, zatelefonował do niego o wpół do jedenastej wieczorem. Wyszukał w książce telefon w tym samym domu i tam zadzwonił. Twarz faceta z piątego piętra, który w szlafroku stukał do jego drzwi, lodowata twarz, *quelqu'un vous*

[42] *They are awful* (ang.) - One były straszne.

demande au téléphone[43], Oliveira szybko wciągający sweter, wbiegający na piąte piętro, najwidoczniej zirytowana pani domu, wszystko po to, żeby dowiedzieć się, że mały Hermida jest w Paryżu - i cześć, stary, słuchaj, kiedy się zobaczymy, mam wiadomości od wszystkich, Traveler i chłopaki z Bidu i tak dalej, i tak dalej, i pani usiłująca pokryć irytację i oczekiwanie, że Oliveira nagle zacznie płakać, bo dowie się o zgonie kogoś ukochanego, i Oliveira nie wiedzący, co robić, *vraiment je suis tellement confus, Madame, Monsieur, c'était un ami qui vient d'arriver, vous comprenez, il n'est pas du tout au courant des habitudes...*[44]

Och, Argentyna, niezobowiązujące, szczodre godziny, otwarte domy, czas, który można wyrzucać przez okno, cała przyszłość przed człowiekiem, calusienieczka, wuf, wuf, wuf, ale w oczach tego tutaj, o trzy metry, nic nie będzie, nic nie będzie mogło być, wuf, wuf, wuf, cała teoria porozumienia unicestwiona, ani mamy, ani papy, ani pipi, ani papu, ani wuf, wuf, wuf, tylko *rigor mortis* i otaczający go ludzie, którzy nawet nie pochodzą z Salty lub Meksyku, aby jak przystało słuchać muzyki i czuwać przy zmarłym aniołku, ludzie, którzy nie mogą wycofać się z tego całego interesu, bo ani nie są dość prymitywni, żeby wznieść się ponad ten skandal przez zaakceptowanie go lub zidentyfikowanie się z nim, ani dostatecznie wysublimowani, aby wręcz go negować i włączyć *one little casualty*[45] na przykład w trzy tysiące ofiar tajfunu „Weronika".

„To wszystko jest właściwie tanią antropologią" - pomyślał Oliveira; w żołądku czuł jakiś dziwny chłód i skurcze. W końcu zawsze splot słoneczny.

„To jest prawdziwe porozumienie, te podskórne zawiadomienia, nie wymagające żadnych słów". Kto zgasił lampę à la Rembrandt? Nie pamiętał, przed chwilą jeszcze było coś w rodzaju złotawego pyłu na poziomie podłogi; nadaremnie usiłował sobie przypomnieć, co się działo od przyjścia Ronalda i Babs. Nic. Widać w jakiejś chwili Maga (bo z pewnością to była ona), a może Gregorovius, no ktoś tam zgasił lampę.

- Jak chcesz po ciemku robić kawę?

- Nie wiem - powiedziała Maga przesuwając filiżanki. - Przedtem było jakoś jaśniej.

- Zapal, Ronald - powiedział Oliveira. - Pod twoim krzesłem. Klasyczny system: dokręć żarówkę.

- Wszystko to jest idiotyczne - powiedział Ronald, tak że nikt nie wiedział, czy mówi o życiu, czy tylko o systemie zapalania lampy. Światło zabrało fiołkowe kule i papieros wydał się Oliveirze smaczniejszy. Dobrze jest, ciepło, będą pili kawę.

[43] *Quelqu'un vous.* (franc.) - Proszony pan jest do telefonu.
[44] *Vraiment je suis tellement confus...* (franc.) - Jest mi naprawdę tak przykro, proszę państwa, przy|echał właśnie jeden przyjaciel, państwo rozumiecie, on zupełnie nie zna obyczajów...
[45] *one little casualty* (ang.) - jeden mały wypadek.

- Chodź tu do mnie - powiedział do Ronalda - będzie ci lepiej niż na krześle, ono ma na samym środku jakiś sztyft, co włazi w dupę. Wong z pewnością zaliczyłby je do swojej pekińskiej kolekcji.

- Kiedy tak mi jest dobrze - powiedział Ronald - jakkolwiek możecie to różnie komentować...

- Nie, nie jest ci dobrze. Chodź. I dałybyście wreszcie tę kawę, moje panie.

- Patrzcie, jaki z niego dzisiaj samiec - powiedziała Babs. - Zawsze z tobą taki?

- Prawie zawsze - odpowiedziała Maga nie patrząc na Oliveirę. - Pomóż mi wyciągnąć tę tacę.

Oliveira zaczekał, aż Babs wdała się w konwersację na temat robienia kawy, i kiedy Ronald zsunął się z krzesła i usiadł obok niego po turecku, powiedział mu parę słów do ucha. Słysząc to Osip włączył się w rozmowę na temat kawy i odpowiedź Ronalda została zagłuszona przez pochwałę mokki i ubolewanie nad upadkiem sztuki parzenia takowej. Po czym wrócił na swoje krzesło akurat w porę, żeby odebrać podawaną mu przez Magę filiżankę. Rozległy się łagodne uderzenia w sufit, dwa razy, potem trzy. Gregorovius wzdrygnął się i wypił duszkiem całą kawę. Oliveira wstrzymał się, żeby nie parsknąć śmiechem, byłoby mu to może pomogło na skurcz w żołądku. Maga niby zaskoczona wodziła po nich oczami w półmroku, a potem, po omacku, jakby chciała wydostać się z czegoś nie-zrozumiałego, z czegoś w rodzaju snu, poszukała na stole papierosa.

- Słyszę kroki - powiedziała Babs - ten stary to chyba naprawdę wariat, trzeba uważać. Kiedyś w Kansas City... Nie, rzeczywiście ktoś wchodzi na górę.

- Schody rysują się w uszach, prawda? - powiedziała Maga. - Zawsze mi bardzo żal głuchych. Teraz mam takie uczucie, jakbym przesuwała ręką z jednego stopnia na drugi. Kiedy byłam mała, dostałam piątkę za takie wypracowanie, w którym opisałam historię jednego hałasu. To był taki miły hałasik, przychodził i odchodził, miał przygody...

- A ja... - zaczęła Babs. - O.K., O.K., nie musisz zaraz mnie szczypać.

- Duszko - powiedział Ronald - uspokójże się na chwilę, żebyśmy mogli zidentyfikować te kroki. Tak, to król pacykarzy, bestia apokaliptyczna - Etienne!

„Dobrze to przyjął - pomyślał Oliveira. - Lekarstwo, zdaje się, o drugiej. Więc mamy jeszcze przeszło godzinę spokoju", Nie rozumiał ani nie chciał rozumieć, po co to odkładanie, to negowanie czegoś już wiadomego. Negowanie, negatyw... „Bo to jest jakby negatyw rzeczywistości takiej, jaka powinna być, to znaczy... Bez metafizyki, Horacio. *Alas,poor Yorick, ça suffit.* Nie mogę uniknąć myśli, że lepiej jest tak, niż żebyśmy zapalili światło i wypuścili tę wiadomość niby gołębicę. Negatyw. Całkowita odwrotność...

Najprawdopodobniej on żyje, a my wszyscy jesteśmy umarli. Albo skromniej: zabił nas, bo byliśmy winni jego śmierci. Winni pewnemu stanowi rzeczy... Oj, kochany, gdzie cię ponosi, osioł, któremu marchew zwisa między oczami. Tak, to rzeczywiście ten zwierzak, Etienne!”

- Uratowany - oznajmił Etienne. - Skurwysyn ma mocniejsze życie niż Cezar Borgia. Ale co do wymiotów...

- Opowiadaj, opowiadaj - przerwała Babs.

- Płukanie żołądka, lewatywy z Bóg wie czego, zastrzyki na wszystkie strony, specjalne łóżko, żeby leżał głową w dół. Wyrzygał całe śniadanie, jakoby z restauracji „Orestias”. Nawet nadziewane liście winogron. Coś potwornego... Nie macie pojęcia, jak zmokłem.

- Jest gorąca kawa - powiedział Ronald. - I alkohol o wdzięcznej nazwie caña, ohyda.

Etienne sapnął, odłożył płaszcz w kąt i przysunął się do piecyka.

- Jak się ma mały, Luisa?

- Śpi - powiedziała Maga. - Na szczęście śpi.

- Mówmy ciszej - powiedziała Babs.

- Około jedenastej odzyskał przytomność - tłumaczył Etienne z czymś w rodzaju czułości - wyglądał... no, szkoda słów. Doktor pozwolił mi zbliżyć się do łóżka i Guy mnie poznał. „Ty ośle” - powiedziałem. A on: „Idź do diabła”. Doktor szepnął mi do ucha, że to dobry znak. W sali tłok, wiecie, sam nie wiem, jak to wytrzymałem, bo dla mnie szpital...

- Wróciłeś do domu? - zapytała Babs. - Czy musiałeś iść do komisariatu?

- Nie, już wszystko w porządku. Na wszelki wypadek byłoby bezpieczniej, żebyście tu zostali na noc. Gdybyś widziała gębę konsjerżki, jak go wynosili...

- *The lousy bastard* - powiedziała Babs.

- Ja przybrałem odpowiedni wyraz twarzy, przechodząc koło niej wyciągnąłem rękę i powiedziałem: „Madame, każdą śmierć należy szanować. Ten młody człowiek odebrał sobie życie z powodu miłości do Kreislera”. Zatkało ją. Oczy miała jak jajka na twardo. I akurat jak nosze mijały drzwi, ten się prostuje, podpiera policzek ręką, jak na etruskich sarkofagach, i rzyga jej wprost na wycieraczkę. Noszowi dosłownie skręcali się ze śmiechu.

- Daj jeszcze trochę kawy - poprosił Ronald. - A ty siadaj tu na podłodze, tu jest najcieplej. Mocnej kawki dla biednego Etienka.

- Nic nie widać - powiedział Etienne. - Dlaczego mam siadać na ziemi?

- Żeby dotrzymać towarzystwa nam, którzy czuwamy pod bronią - powiedział Ronald.

- Nie wygłupiaj się - mruknął Oliveira.

- Bądź łaskaw mnie usłuchać, a dowiesz się takich rzeczy, o jakich nawet Wongowi się nie śniło, *Libri Fulgurales,* pisma starożytnych proroków. Świetnie się bawiłem czytając dziś rano *Bardo.* Tybetańczycy są zupełnie niezwykłym narodem.

- Kto cię tu wprowadził? - zapytał Etienne układając się między Oliveira a Ronaldem, z kawą w ręku. - Pić! - wyciągnął nakazujące drugą rękę ku Madze, która wsunęła mu butelkę canii między palce, ale skrzywił się po pierwszym łyku. - Ohyda. Niewątpliwie produkcja argentyńska. Ale kraj, mój Boże!

- Odpieprz się od mojej ojczyzny - powiedział Oliveira. - Zupełnie jak stary z góry.

- Wong poddał mnie najrozmaitszym testom - tłumaczył Ronald. - Twierdzi, że mam dość inteligencji, żeby z pożytkiem rozpocząć niszczenie jej. Umówiliśmy się, że uważnie przeczytam *Bardo,* a potem przejdziemy do zasadniczych pokładów buddyzmu. Jak myślisz, Horacio, czy istnieje ciało zdematerializowane? Podobno, kiedy się umiera... Jakaś taka rzecz w rodzaju umysłowego ciała, rozumiesz?

Ale Horacio coś szeptał do ucha Etienne'owi, który stękał i kręcił się, cały przesiąknięty mokrą ulicą, szpitalem i gotowaną kapustą. Babs tłumaczyła Gregoroviusowi, zagubionemu w obojętności, niezliczone przywary konsjerżki. Wyfaszerowany świeżo nabytą erudycją, Ronald chciał koniecznie mówić o *Bardo* i zaprzągł do słuchania Magę, która rysowała się przed nim w ciemnościach jak jakaś rzeźba Henry Moore'a, gigantyczna, patrząc z ziemi, najpierw kolana, które wyglądały, jakby zaraz przebić miały czarną masę sukni, potem tors, wznoszący się aż do sufitu, nad tym wszystkim czerń włosów czarniejszych niż ciemność, i w tym cieniu wśród cieni światło stojącej na podłodze lampy, które rozświetlało jej oczy, gdy siedząc w fotelu walczyła od czasu do czasu, aby z powodu jego krótszych przednich nóżek nie ześliznąć się na podłogę.

- Parszywy interes - mruknął Etienne pociągając drugi łyk.

- Jeżeli masz ochotę, możesz iść - powiedział Oliveira - ale myślę, że wszystko przejdzie spokojnie. W tym *quartier* takie rzeczy są na porządku dziennym.

- Zostaję - powiedział Etienne. - Ta wódka, jak się tam nazywa, wcale nie jest najgorsza. Pachnie owocami.

- Wong twierdzi, że Jung zachwycał się *Bardo* - mówił Ronald. - To zrozumiałe. Egzystencjaliści także powinni to studiować. Posłuchaj. W godzinie Sądu Ostatecznego Król stawia umarłego przed lustrem. To lustro - to karma: suma jego uczynków. Umarły widzi je wszystkie, i te dobre, i te złe, tyle że odbicie nie odpowiada żadnej rzeczywistości - po prostu jest projekcją obrazów jego pamięci... Powiedz mi, jak stary Jung miał się nie zdziwić, kiedy przeczytał coś podobnego! Król umarłych patrzy w lustro ale w rzeczywistości spogląda w

twoją pamięć. Czy można sobie wyobrazić lepszy opis psychoanalizy? A czymś jeszcze wspanialszym, kochanie, jest werdykt Króla, który nie jest jego werdyktem, lecz twoim! Nie wiedząc o tym, jesteś swoim własnym sędzią. Czy nie uważasz, że Sartre powinien właściwie przenieść się do Lhasy?

- Niewiarygodne - zadumała się Maga. - Więc to filozoficzna książka?

- To książka dla umarłych - powiedział Oliveira.

Zamilkli słuchając deszczu. Gregoroviusowi zrobiło się żal Magi, która jakby czekała na jakieś wytłumaczenia, o które już nie śmiała prosić.

- Lamowie objawiają umierającym pewne prawdy, mające wskazywać im drogę w zaświatach, pomagać w osiągnięciu zbawienia. Na przykład...

Etienne oparł się ramieniem o ramię Oliveiry. Siedzący po turecku Ronald nucił *Big Lip Elues,* myśląc o Jellym Rollu, swoim ulubionym zmarłym. Oliveira zapalił papierosa i jak w obrazie La Toura ogień na sekundę zabarwił twarze przyjaciół, wyszarpnął z cienia Gregoroviusa nakładając szept jego głosu na ruchy warg, brutalnie wtłamsił Magę w fotel, z tym jej wyrazem pełnym chciwości, który miewała w momentach ignorancji i tłumaczeń, zanurzył w czymś miękkim łagodne cielątko-Babs i Ronalda, zagubionego w swych jękliwych improwizacjach muzycznych. Wtedy, dokładnie w chwili, w której rozległo się uderzenie w sufit, zapałka zgasła.

„U faut tenter de vivre[46] - przypomniał sobie Oliveira, - Dlaczego?"

Wiersz zabłysł mu w pamięci, jak twarze w świetle zapałki, krótką i bezcelową migawką. Ramię Etienne'a grzało go, przekazywało czyjąś zwodniczą obecność, bliskość, które śmierć - gasnąca zapałka, zetrze jak teraz twarze i kształty; zamkną się jak cisza, po uderzeniu tam, na górze.

- I tak właśnie - kończył uroczyście Gregorovius - *Bardo* powraca nas do życia, do konieczności czystego życia dokładnie wtedy, kiedy już nie ma ucieczki, kiedy jesteśmy przykuci do łóżka, każdy ze swoim rakiem pod poduszką.

- Ach - westchnęła Maga. Zrozumiała dość dużo, niektóre kawałki łamigłówki wskoczyły na swoje miejsca, jakkolwiek nigdy nie będzie to równie doskonałe, jak w kalejdoskopie, gdzie każde szkiełko, każdy patyczek, każde ziarenko piasku układa się bezbłędnie, symetrycznie, nudno - ale bez problemów.

- Zachodnie rozdwojenia - skrzywił się Oliveira. - Życie i śmierć. Tu i tam. Nie tego uczy twoje *Bardo,* Osip, chociaż ja osobiście nie mam najlżejszego pojęcia, czego twoje *Bardo* uczy. W każdym razie tam jest to bardziej płynne, mniej kategoryczne.

[46] *Il faut tenter de vivre* (franc.) - Ku życiu trzeba zwrócić kroki (P. Valéry, *Cmentarz morski,* tłum. R. Kołoniecki).

- Posłuchaj - powiedział Etienne, który czuł się wręcz znakomicie, jakkolwiek przekazana przez Oliveirę wiadomość chodziła mu po wnętrznościach jak olbrzymi rak, przy czym, o dziwo, oba te uczucia wcale nie były ze sobą sprzeczne. - Słuchaj, ty szarpany Argentyńcu: nauki orientalne nie są aż tak od nas odległe, jak mówią orientali-ści. Jeżeli tylko poważnie zabierzesz się do ich tekstów, odczujesz to, co zawsze: niewytłumaczalną potrzebę intelektualnego samobójstwa, za pomocą tegoż intelektu. Skorpion, który wbija sobie żądło, ponieważ ma dość tego, że jest skorpionem, musi uciec się do własnego skorpioństwa, żeby przestać nim być. Zarówno w Madrasie, jak i w Heidelbergu sedno problemu jest to samo: u samego źródła rzeczy istnieje jakiś niewyobrażalny błąd i z niego wynika zjawisko, które do was w tej chwili przemawia i którego słuchacie. Każda próba wyjaśnienia spełza na niczym, co nikogo nie dziwi, ponieważ, żeby zrozumieć je i określić, trzeba by znaleźć się poza sferą tego, co daje się określić i zrozumieć. Ergo Madras i Heidelberg pocieszają się, jedni bazując na racjonalizmie, drudzy na intuicji, przy czym różnice między racjonalizmem a intuicją są właściwie bardzo niejasne, o czym wie każdy, kto chodził do szkoły. W tych warunkach człowiek czuje się pewny tylko na terenach wymagających drążenia w głąb: wtedy, kiedy bawi się, kiedy zdobywa, kiedy się stroi w historyczne zbroje, kiedy przerzuca zasadniczą tajemnicę na barki jakiego bądź wydarzenia. Przy czym z każdej osacza go odkrycie, że jego główne narzędzie - *logos,* usiłujące za każdą cenę wyodrębnić nas od zwierząt - jest jednym wielkim nabieraniem, z czego nieuchronny wniosek - chronienie się w inspirację, w bełkot, w ciemną noc duszy, w estetyczne albo metafizyczne wizje. Madras i Heidelberg są różnym dawkowaniem tego samego lekarstwa, czasami bierze górę Yin, czasami Yang, ale na dwóch końcach, na opadającym i na wznoszącym się, siedzą równie nie zidentyfikowani przyjaciele homo sapiens, każdy mocno odbijający się nogą od podłogi, aby wznieść się w górę kosztem drugiego.

- Jakie to dziwne - zamyślił się Ronald. - W każdym razie jest głupotą negować rzeczywistość, nawet jeżeli jej nie znamy. Na przykład oś wznoszenia się i opadania. Jak to możliwe, żeby dotąd nie posłużyła nikomu do zrozumienia tego, co się dzieje na jej końcach? Od czasu człowieka z Neanderthalu...

- Słowa - Oliveira mocniej oparł się o Etienne'a - uwielbiają, jak je wyciągnąć z szafy i oprowadzać po pokoju. „Rzeczywistość", „człowiek z Neanderthalu"... popatrz, jak się bawią, jak nam włażą w uszy, jak jedno spycha drugie. Prawie jak na sankach...

- To prawda - przyznał sucho Etienne. - Dlatego wolę moje farby. Jestem pewniejszy.

- Czego pewniejszy?

- Wrażenia, które wywołują...

- Wrażenia na tobie, ale nie na konsjerżce Ronalda. Twoje farby nie są pewniejsze od moich słów, stary.

- Ale przynajmniej nie usiłują nikogo przekonywać.

- Więc ty się zgadzasz na to, żeby nie było wytłumaczenia?

- Nie - odparł Etienne. - Dlatego równocześnie robię różne rzeczy, choć odrobinę zabijające smak pustki. I to jest w istocie najwłaściwsza definicja homo sapiens.

- Nie definicja, tylko pocieszenie - westchnął Gregoro-vius. - W rzeczywistości jesteśmy trochę jak komedia, kiedy się przyszło po pierwszym akcie. Wszystko cacy, tylko nic się nie rozumie. Aktorzy poruszają się i mówią nie wiadomo po co, a my przerzucamy na nich naszą własną ignorancję i patrzymy jak na wariatów, którzy z wielką pewnością siebie wchodzą albo wychodzą. To już zresztą powiedział Szekspir, a jeżeli nie powiedział, to powinien był powiedzieć.

- Zdaje mi się, że powiedział - odezwała się Maga.

- Powiedział, powiedział - potwierdziła Babs.

- Widzisz - powiedziała Maga.

- I on mówił o słowach - odparł Gregorovius. - Horacio także ustawia problem w formie dialektycznej, że się tak wyrażę. Podobnie jak Wittgenstein, którego zresztą podziwiam.

- Nie znam go - powiedział Ronald - ale przecież wszyscy się zgodzicie, że problemu rzeczywistości nie uda się rozwiązać za pomocą westchnień.

- Kto wie - zamyślił się Gregorovius. - Kto wie, Ronald.

- Zostaw poezję na inny raz. Zgoda, nie należy ufać słowom, ale w rzeczywistości słowa następują po faktach, na przykład po tym, że zgromadziliśmy się tutaj dziś wieczór, że siedzimy koło lampy.

- Trochę ciszej - poprosiła Maga.

- Bez słów wiem i czuję, że jestem tu dziś w nocy - upierał się Ronald. - To właśnie nazywam rzeczywistością.

- Znakomicie - odezwał się Oliveira. - Tylko że ta rzeczywistość nie jest żadną gwarancją ani dla ciebie, ani dla nikogo innego, o ile nie przetworzysz jej w pojęcie, a stąd w jakąś konwencję, w jakiś użyteczny schemat. Sam fakt, że znajdujesz się po mojej lewej stronie, ja zaś po twojej prawej, już robi z tej rzeczywistości co najmniej dwie różne rzeczywistości, przy czym zauważ, że nie chcę wnikać w sedno sprawy wykazując, że ja i ty jesteśmy dwiema istotami absolutnie pozbawionymi innego środka porozumiewania się niż uczucia i słowa, którym przecież nie należy wierzyć, jeżeli mówi się serio o tym wszystkim,

- Ale obaj jesteśmy tutaj - nalegał Ronald. - Na lewo czy na prawo - to obojętne. Obaj widzimy Babs, wszyscy słyszą to, co mówię.

- Ale to są, bracie, przykłady dla chłopaczków w krótkich majtkach - zafrasował się Gregorovius. - Horacio ma rację. Nie możesz, ot tak sobie, uznać czegoś za rzeczywistość. Możesz jedynie twierdzić, że istniejesz. To trudno byłoby negować bez wywoływania awantury. Brak nam „ergo"; to, co następuje po „ergo", jest oczywiste.

- Nie róbmy z tego akademickich problemów - powiedział Oliveira. - Zostańmy przy rozmowie amatorów, którymi jesteśmy. Zostańmy przy tym, co Ronald rozczulająco określa jako rzeczywistość, w dodatku jedyną. Czy dalej wierzysz, że tylko jedna istnieje, Ronald?

- Tak. Przyznaję ci, że ja ją odczuwam czy też rozumiem inaczej niż Babs, rzeczywistość Babs zaś różni się od rzeczywistości Osipa i tak dalej. Ale też są różne zdania na temat Giocondy albo sałaty. Rzeczywistość jest tu, a my w niej, w środku, tyle że rozumiejąc ją każde na swój sposób.

- Jedyną rzeczą, która ma znaczenie, jest rozumienie jej „na swój sposób" - powiedział Oliveira. - Ty uważasz, że istnieje określona rzeczywistość, ponieważ obaj rozmawiamy w tym pokoju i tego wieczoru i ponieważ obaj wiemy, że mniej więcej za godzinę nastąpi w tym pokoju coś określonego. To wszystko - wydaje mi się - daje ci wielką pewność ontologiczną. Czujesz się pewny siebie, pewnie umieszczony w tym, co cię otacza. Ale gdybyś równocześnie mógł asystować tej rzeczywistości z mojej pozycji albo z pozycji Babs, gdyby ci był dany taki wyjątkowy dar, rozumiesz mnie, że mógłbyś być teraz i tutaj, ale z mojej pozycji, będąc tym wszystkim, czym jestem i czym byłem ja, a także czym jest i czym była Babs, może byś zrozumiał, że twój tani egocentryzm nie daje ci żadnej właściwej rzeczywistości. Daję ci tylko opartą na strachu wiarę, konieczność afirmacji tego, co cię otacza, aby nie wpaść w lej i nie wylecieć jego drugim końcem nie wiadomo dokąd.

- Jesteśmy bardzo różni - powiedział Ronald - ja to przecież wiem. Ale spotykamy się w jakichś punktach leżących poza nami. Obaj patrzymy na lampę, może widzimy co innego, ale nie możemy być pewni, że widzimy co innego. No przecież jest tu ta lampa, do wszystkich diabłów!

- Nie krzycz - powiedziała Maga. - Zrobię wam jeszcze kawy.

- Ma się uczucie - mówił Oliveira - chodzenia po starych śladach. Jesteśmy uczniakami, powtarzającymi zleżałe, nieciekawe argumenty. A wszystko to, mój drogi, dlatego, że rozmawiamy dialektycznie. Mówimy: ty, ja, lampa, rzeczywistość. Cofnij się o krok, no cofnij się, to nie tak trudno. Słowa znikają. Ta lampa staje się zmysłowym bodźcem, niczym więcej. I jeszcze krok w tył. To, co nazywasz wzrokiem, i ten bodziec zmysłowy,

popadają w jakiś niewytłumaczalny związek, niewytłumaczalny, bo żeby go wytłumaczyć, trzeba by z kolei dać krok naprzód i wszystko poszłoby w czorty.

- Ale te kroki wstecz są jakby cofaniem się po drodze już przebytej przez rodzaj ludzki - zaprotestował Gregorovius.

- Tak - przyznał Oliveira. - I jeszcze jeden problem: wiedzieć, czy to, co nazywasz „rodzajem ludzkim", poszło naprzód, czy też, jak twierdzi chyba Klages, zeszło na manowce?

- Bez umiejętności mówienia człowiek nie istnieje. Bez historii człowiek nie istnieje.

- Bez zbrodni nie istnieje zbrodniarz. Nic nie dowody że człowiek nie mógł być zupełnie inny...

- No, to nie najgorzej nam poszło.

- Jakie masz porównanie, żeby twierdzić, że poszło nam dobrze? Gdyby tak było, po co musielibyśmy wymyślać Eden, żyć w tęsknocie za utraconym rajem, fabrykować utopie, planować sobie przyszłość? Gdyby robak mógł myśleć, też uważałby, że nie poszło mu najgorzej. Człowiek chwyta się nauki jak tak zwanego koła ratunkowego, chociaż właściwie nie wie i nigdy nie wiedział, co to jest. Za pomocą mowy rozum stwarza nam przyjemne otoczenie, jak w pięknej, rytmicznej kompozycji renesansowych obrazów, i ustawia nas w samym środku. Mimo całej ciekawości i niezaspokojenia wiedza, czyli rozum, na początku uspokaja nas. „Jesteś tutaj, w tym pokoju, otoczony przyjaciółmi w cieniu lampy. Nie bój się, wszystko jest w porządku. A teraz sprawdźmy: jakie jest pochodzenie tego świecącego fenomenu? Czy wiesz, co to jest wzbogacony uran? Podobają ci się izotopy? Wiedziałeś, że umiemy już zmieniać ołów w złoto?" Wszystko bardzo podniecające, bardzo zawrotne, o ile widziane z fotela, na którym wygodnie spoczywamy.

- Ja leżę na ziemi - powiedział Ronald - i mówiąc prawdę, wcale mi nie jest wygodnie. Słuchaj, Horacio, negowanie tej rzeczywistości nie ma sensu. Istnieje, jesteśmy jej częścią. Noc upływa dla nas obydwóch, na dworze pada dla nas obydwóch. Chociaż nie wiem, co to jest noc, pogoda, deszcz, ale są tutaj za oknem, dotyczą mnie, mnie się zdarzają... Nie ma rady.

- Z pewnością - odparł Oliveira - kto by to bracie, negował. Ale nie rozumiemy, dlaczego tak musi być, dlaczego tu jesteśmy, dlaczego na dworze pada. Absurdem nie są rzeczy same w sobie, absurdem jest, że istnieją i że uważamy je za absurd. Mnie się wymyka relacja pomiędzy mną a tym, co mi się zdarza w danym momencie. Nie neguję, że mi się zdarza, jeszcze jak mi się zdarza... To właśnie jest absurd.

- To nie jest jasne.

- Nie może być jasne; gdyby było, byłoby fałszywe, może naukowo byłoby prawdziwe, ale fałszywe w odniesieniu do absolutu. Jasność jest postulatem intelektu i niczym więcej. Obyśmy mogli jasno wiedzieć, jasno rozumieć na marginesie nauki czy też rozumu. A kiedy mówię „obyśmy", wcale nie wiem, czy nie mówię bzdury. Najprawdopodobniej jedynym kołem ratunkowym jest nauka, ^{235}uran, te rzeczy. Ale przecież poza tym trzeba żyć.

- Właśnie - powiedziała Maga podając kawę. - Poza tym trzeba żyć.

- Zrozum Ronald - Oliveira ściskał go za kolano. - To przecież wiadome, że jesteś czymś więcej niż samą inteligencją. Na przykład dzisiejsza noc, to, co nam się zdarza teraz, tutaj, to jest jak jeden z tych obrazów Rembrandta, na których zaledwie trochę światła lśni w jakimś kącie, i nie jest to wcale światło fizyczne, to, co spokojnie nazywasz i sytuujesz jako lampę wraz z jej watami, świecami etc. Absurdem jest wierzyć, że jesteśmy w stanie ogarnąć całość tego, co nas stwarza w tym momencie, albo w jakimkolwiek innym momencie, i odczuć to jako coś sensownego, coś do przyjęcia, jeżeli wolisz. Każdy kryzys jest całkowitym absurdem, zrozum, że dialektyka może robić porządki w szafach tylko w chwilach spokoju. Przecież dobrze wiesz, że w punkcie szczytowym kryzysu działamy wyłącznie za pomocą impulsów, wbrew wszelkim przewidywaniom, robiąc najbardziej nieprawdopodobne szaleństwa. Właśnie w takiej chwili można by mówić o nasyceniu rzeczywistością, nie myślisz? Kiedy nadchodzi rzeczywistość i spada ci na głowę z całym impetem, okazuje się, że jedynym sposobem stawienia jej czoła jest całkowita rezygnacja z dialektyki, właśnie wtedy strzelamy do faceta, wyskakujemy za burtę, łykamy tubki gardenalu tak jak Guy, spuszczamy psa z łańcucha, walimy kamieniami we wszystko, co się nawinie. Rozum służy nam wyłącznie do tego, aby brać pod lupę rzeczywistość w chwilach spokoju i analizować przyszłe burze, ale nigdy do rozwiązywania aktualnych kryzysów. A właśnie te kryzysy są jak metafizyczne wybuchy, stan, który - gdybyśmy nie kierowali się rozumem - byłby stałym i naturalnym stanem *Pithecanthropus erectus.*

- Ostrożnie, bardzo gorąca - powiedziała Maga.

- I te kryzysy, które większość ludzi uważa za skandaliczne, absurdalne, moim zdaniem służą nam do czegoś innego; do ukazania nam prawdziwego absurdu, absurdu spokojnego i uporządkowanego świata, którym na przykład jest pokój, gdzie parę osób pije o drugiej w nocy kawę, przy czym nic z tego nie ma żadnego innego sensu poza hedonistycznym, czyli poza faktem, że jest nam dobrze koło piecyka, który w dodatku tak znakomicie ciągnie. Cuda nigdy nie wydawały mi się absurdem: absurdalne jest to, co je poprzedza, i to, co następuje po nich.

- A jednak - przeciągnął się Gregorovius - *il faut tenter de vivre*[47].

„Voilà - pomyślał Oliveira - oto jeszcze jeden dowód nie nadający się do wykorzystania; z miliona możliwych wierszy wybiera właśnie ten, który mnie przeszedł przez myśl dziesięć minut temu. I to ludzie nazywają zbiegiem okoliczności..."

- No dobrze - powiedział sennie Etienne - nie ma co usiłować żyć, bo przecież życie i tak zostało nam dane. Już od dawna niektórzy podejrzewają, że życie i stworzenie żywe to dwie różne rzeczy. Życie samo się żyje, niezależnie od tego, czy się nam to podoba, czy nie. Guy chciał dzisiaj zaprzeczyć tej teorii, która, mówiąc statystycznie, jest niezaprzeczalna. Dowodem obozy koncentracyjne i tortury. Prawdopodobnie ze wszystkich naszych uczuć jedynym nie naszym jest nadzieja. Nadzieja należy do życia, nadzieja to samo życie, które się broni. Et cetera. Na czym kończę i idę spać, numer Guya starł mnie z powierzchni ziemi. Ronald, wpadnij do mnie rano do pracowni, skończyłem jedną martwą naturę, której, bracie, nie przeżyjesz.

- Horacio nie przekonał mnie - powiedział Ronald. - Zgadzam się z tym, że wiele z tego, co mnie otacza, jest absurdalne, ale prawdopodobnie tym słowem określamy to, czego jeszcze nie zrozumieliśmy. Kiedyś się to wyjaśni.

- Zachwycający optymizm - uznał Oliveira. - Optymizm także moglibyśmy dołożyć do spraw samego życia. Twoją siłą jest fakt, że dla ciebie nie istnieje przyszłość, tak zresztą jak dla większości agnostyków. Zawsze jesteś pełen życia, zawsze w czasie teraźniejszym, wszystko jest w znakomitym porządku, jak na obrazach Van Eycka. Ale niechbyś nie mając wiary stanął w obliczu śmierci, mam podejrzenie, że lusterko szybko zaszłoby ci mgłą.

- Chodźmy, Ronald - powiedziała Babs. - Późno już, chce mi się spać.

- Poczekaj, poczekaj. Myślałem o śmierci mojego ojca, tak, jest coś w tym, co mówisz. Kawałek łamigłówki, który nigdzie nie pasuje. Coś nie do wytłumaczenia. Młody, szczęśliwy facet w Alabamie. Idzie po ulicy i pada na niego drzewo. Miałem wtedy piętnaście lat, posłali po mnie do szkoły... Ale tyle jest innych absurdów, Horacio, tyle śmierci, tyle błędów... Myślę, że to nie jest kwestia ilości. Nie taki zupełny absurd, jak ty sobie wyobrażasz.

- Absurdem jest, że to się nie wydaje absurdalne - enigmatycznie odezwał się Oliveira. - Absurdem jest, że kiedy wychodzisz rano i za drzwiami znajdujesz butelkę mleka, uważasz to za naturalne, bo to samo zdarzyło ci się wczoraj i zdarzy jutro. Ta stagnacja, to „niech tam", ten podejrzany brak wyjątków. Bo ja zresztą wiem... może powinno się spróbować jakiejś innej drogi.

[47] *Il faut...* (franc.) Trzeba spróbować żyć.

- Rezygnując z inteligencji? - zaniepokoił się Grego-rovius.

- Nie wiem. Może inaczej jej używając. Czy to dowiedzione, że zasady logiki są nierozłącznie związane z naszą inteligencją? Przecież istnieją narody żyjące w magicznym porządku rzeczy... Pewnie, że jadają surowe robaki, ale to znowu jest kwestią wartościowania.

- Robaki, brrr - wstrząsnęła się Babs. - Ronald, kochanie, tak późno...

- W sumie - powiedział Ronald - wiesz, co cię męczy? Praworządność i jej formy. Jak tylko coś zaczyna prawidłowo funkcjonować, czujesz się osaczony. Wszyscy jesteśmy trochę tacy, nieudaczniki bez fachu, bez tytułów, bez tego wszystkiego. Dlatego siedzimy, bracie, w Paryżu i twój znamienity absurd w rezultacie obraca się w coś w rodzaju mętnego anarchizmu, którego nie jesteś w stanie wcielić w życie.

- Masz stuprocentową rację - powiedział Oliveira. - Jakby to było fajnie wyjść na ulicę z transparentami „żądamy wolności dla Algierii". I w ogóle ile można by zdziałać na drodze walki społecznej...

- Działanie mogłoby ci się przydać, nadać jakiś sens twojemu życiu - powiedział Ronald. - Mam nadzieję, że wiesz to z Malraux.

- W wydaniu NRF.

- Ale zamiast tego wolisz onanizować się jak małpa, przeżuwając wciąż fałszywe problemy, czekając Bóg wie na co. Jeżeli to wszystko jest absurdem, trzeba jakoś temu zaradzić, postarać się coś zmienić.

- Skądś znam tę piosenkę - mruknął Oliveira. - Jak tylko widzisz, że konwersacja zmierza ku czemuś bardziej konkretnemu, jak na przykład twoje cudowne „działanie", zaczynasz być nader elokwentny. Nie chcesz zrozumieć, że i na działanie, i na brak działania trzeba zasłużyć. Jak tu działać nie ustaliwszy uprzedniego, podstawowego stosunku do sedna sprawy, bez uzgodnienia, co uważamy za słuszne i za prawdziwe. Twoje wiadomości na temat dobra i prawdy są czysto historyczne, oparte na odziedziczonej etyce. Tymczasem mnie zarówno historia, jak i etyka wydają się wysoce wątpliwe.

- Kiedyś - powiedział Etienne prostując się - chętnie wysłucham z detalami twoich opinii na temat tego, co nazywasz „podstawowym stosunkiem do sedna sprawy". A może właśnie to sedno jest pustką?

- Nie myśl, że tego nie brałem pod uwagę - odparł Oliveira. - Ale nawet z czysto estetycznych względów, które ty najlepiej możesz oceniać, musisz przyznać, że między usytuowaniem się w samym środku a trzepotaniem naokoło istnieje jakościowa różnica, która daje do myślenia.

- Horacio - wtrącił Gregorovius - używał i to obficie, tych samych słów, które przed chwilą odradzał nam. Jego nie należy prosić o wygłaszanie przemówień, a raczej pytać o coś zupełnie innego, o jakieś sprawy niejasne, zamglone, niewytłumaczalne jak sny, i jakieś zbiegi okoliczności, objawienia, plus tak zwany czarny humor.

- Ten z góry znowu zaczyna - powiedziała Babs.

- Nie, to deszcz - powiedziała Maga. - Już pora na lekarstwo Rocamadoura.

- Jeszcze masz czas - Babs pochyliła się tak szybko, że zegarek stuknął o lampę. - Trzecia za dziesięć. Chodźmy, Ronald, jest bardzo późno.

- Pójdziemy pięć po trzeciej - zgodził się Ronald.

- Dlaczego pięć po trzeciej? - zdziwiła się Maga.

- Bo pierwszy kwadrans jest zawsze szczęśliwy - wyjaśnił Gregorovius.

- Daj mi jeszcze łyk *cañi* - poprosił Etienne. - *Merde,* nie ma już ani kropli.

Oliveira zgasił papierosa. „Czuwanie pod bronią - pomyślał z wdzięcznością. - Prawdziwi przyjaciele, nawet ten nieszczęsny Osip. No, teraz mamy przed sobą kwadrans łańcuchowych reakcji, których nikt nie uniknie, nikt, nawet jeżeli się pomyśli, że za rok o tej porze najdokładniejsze, najbardziej precyzyjne wspomnienie nie będzie w stanie zakłócić wytwarzania adrenaliny ani śliny, ani sprowadzić pocenia się rąk... Oto dowody, których Ronald nie zechce nigdy przyjąć do wiadomości. Co zrobiłem tej nocy? A priori coś raczej potwornego. Może trzeba było próbować butli z tlenem lub czegokolwiek innego. Idiotyzm, tylko bylibyśmy mu niepotrzebnie przedłużali życie".

- Trzeba by ją przygotować - szepnął mu Ronald do ucha.

- Nie gadaj głupstw. Czy nie orientujesz się, że już jest przygotowana, że zapach czuje się w powietrzu?

- To teraz zaczynacie szeptać - powiedziała Maga - właśnie kiedy nie ma już potrzeby? *„Tu parles"* - pomyślał Oliveira.

- Zapach? - zaszemrał Ronald. - Nic nie czuję, żadnego zapachu.

- No, już chyba będzie trzecia - powiedział Etienne wzdrygając się, jakby przeszedł go dreszcz. - Ronald, zrób no wysiłek. Może Horacio nie jest geniuszem, ale łatwo zrozumieć, co ci chce powiedzieć. Nie możemy zrobić nic więcej, tylko jeszcze trochę zostać i przyjąć to, co nadchodzi. Myślę Horacio, że to, co powiedziałeś o obrazie Rembrandta, było słuszne. Istnieje metamalarstwo, tak jak metamuzyka, a stary pchał łapy po łokcie w to, co robił. Tylko oślepieni logiką mogą zatrzymywać się przed Rembrandtem i nie czuć, że to jest jakieś okno albo coś innego, jakiś znak. Niebezpieczne dla malarstwa, ale za to...

- Malarstwo jest takim samym gatunkiem sztuki, jak wiele innych - powiedział Oliveira. - Jako gatunku nie należy specjalnie go ochraniać. W dodatku na każdego Rembrandta wypada po stu facetów będących tylko malarzami i niczym więcej, tak że malarstwu nic nie grozi.

- Na szczęście - dodał Etienne.

- Na szczęście - zgodził się Oliveira. - Na szczęście wszystko jest jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. Zapal duże światło, Babs, masz kontakt za sobą.

- Gdzie jest jakaś czysta łyżeczka? - powiedziała Maga wstając.

Z wysiłkiem, który wydał mu się ohydny, Oliveira powstrzymał się od spojrzenia w głąb pokoju. Maga przecierała oczy oślepiona, a Babs, Osip i inni patrzyli gdzieś w bok, ukradkiem w tył i znowu w bok. Babs zrobiła gest, jakby chciała wziąć Magę pod rękę, ale coś w twarzy Ronalda zatrzymało ją. Etienne powoli podniósł się, obciągając wilgotne jeszcze spodnie. Osip wygrzebywał się z fotela, mrucząc coś na temat palta. „Teraz powinni zastukać w sufit - pomyślał Oliveira zamykając oczy. - Najpierw kilka uderzeń, a potem jeszcze trzy uroczyste. Ale wszystko jest na odwrót, zapalamy światła zamiast je gasić, jesteśmy po stronie sceny, nie ma rady". Z kolei on także wstał, czując w kościach zmęczenie, całodzienne wałęsanie się, wszystko, co się tego dnia zdarzyło. Maga znalazła łyżeczkę na półce nad kominkiem za stosem książek i płyt. Wytarła ją brzegiem sukni i obejrzała pod lampą. „Zaraz napełni ją lekarstwem, a idąc, połowę rozleje na ziemię" - powiedział sobie Oliveira opierając się o ścianę. Wszyscy byli tak cicho, że Maga zdziwiona spojrzała na nich, ale miała trudności z otwarciem flaszki; pomagając jej, Babs przytrzymywała łyżkę z taką twarzą, jakby to, co Maga robiła, było niewypowiedzianą ohydą; wreszcie Maga wlała płyn na łyżkę i niedbale odstawiła butelkę na brzeg stołu, pomiędzy zeszyty i papiery, po czym podtrzymując łyżkę jak prestidigitator pałeczkę, jak anioł spadającego w przepaść świętego, ruszyła, pociągając pantoflami, w asyście Babs, która robiła miny i chciała patrzyć, potem nie patrzyć, potem patrząc na Ronalda i innych, którzy zbliżali się za jej plecami. Oliveira zamykał pochód trzymając w ustach zgaszony papieros.

- Zawsze mi się wylewa poło... - powiedziała Maga zatrzymując się obok łóżka.

- Luisa - powiedziała Babs i wyciągnęła ręce do jej ramion, nie dotykając ich jednak.

Płyn wylał się na kołdrę, stuknęła łyżka. Maga krzyknęła i upadła twarzą na łóżko, ściskając obojętną, popielatą laleczkę, która podrygiwała i trzęsła się bez przekonania, niepotrzebnie maltretowana i pieszczona.

- Powinniśmy ją byli przygotować, kurwa - mruknął Ronald. - Jak można było... to granda. Wszyscy zajęci bzdurami, a tu, tu...

- Tylko bez histerii - przerwał mu sucho Etienne. - Rób to, co Osip, on nie stracił głowy. Poszukaj wody kolońskiej albo jakiegoś alkoholu. Słyszysz starego? Znowu zaczyna.

- I nie bez racji - Oliveira patrzył na Babs usiłującą oderwać Magę od łóżka - trzeba przyznać, że zafundowaliśmy mu, bracie, noc...

- Niech idzie do jasnej cholery - powiedział Ronald. - Pójdę i dam skurwysynowi w mordę... Jeżeli nie szanuje cudzego bólu...

- *Take it easy*[48] - doradził Oliveira. - Masz, tu jest woda kolońska, a tu moja chustka, której biel pozostawia coś niecoś do życzenia. No i trzeba by iść do komisariatu.

- Mogę iść - odezwał się Gregorovius, stojący z paltem na ręku.

- Jasne, przecież należysz do rodziny - przytaknął Oliveira.

- Gdybyś mogła rozpłakać się - mówiła Babs gładząc po czole Magę, która oparła głowę o poduszkę i nieruchomo patrzyła na Rocamadoura. - Dajcie mi chustkę skropioną alkoholem, muszę ją natrzeć.

Etienne i Ronald zaczęli kręcić się koło łóżka, uderzenia w sufit powtarzały się rytmicznie i za każdym razem Ronald spoglądał w górę, a raz histerycznie pogroził wzniesioną pięścią. Oliveira cofnął się do piecyka, stamtąd słuchał i patrzył. Czuł, że mu trudno oddychać, poruszać się. Zapalił nowego papierosa, ostatniego z paczki. Sytuacja zaczynała odrobinę się poprawiać, Babs spenetrowała jakiś kąt pokoju i skonstruowawszy za pomocą dwóch foteli i pledu coś w rodzaju kołyski, szeptem naradzała się z Ronaldem. (Ciekawe było, jak ponad Magą - odrętwiałą, zatopioną w jakimś lodowatym delirium - ręce jej poruszały się w gwałtownym, ostrym, spazmatycznym monologu). W jakiejś chwili zakryli Madze oczy chustką („jeżeli to ta od wody kolońskiej, gotowi ją oślepić" - pomyślał Oliveira) i z nieprawdopodobną szybkością pomogli Etienne'owi wyjąć Rocamadoura i przenieść go do zaimprowizowanej kołyski, równocześnie wyrywając spod Magi kołdrę, aby ją zakryć, szepcząc coś do niej, pieszcząc ją, podtykając jej pod nos chusteczkę, żeby wdychała wodę kolońską. Gregorovius doszedł do drzwi i zatrzymał się nie mogąc się zdecydować, żeby wyjść; rzucał okiem to na łóżko, to na Oliveirę, który czuł ten wzrok, mimo że stał do niego tyłem. Kiedy zdecydował się wyjść, stary uzbrojony w kij był już na podeście, tak że Osip jednym skokiem znalazł się z powrotem w pokoju. Kij rąbnął w drzwi. „W ten sposób może się to wszystko toczyć jak lawina" - pomyślał Oliveira robiąc krok w kierunku drzwi. Ronald, który się zorientował, podskoczył wściekły, podczas gdy Babs krzyczała coś do niego po angielsku. Gregorovius chciał go uprzedzić, ale nie zdążył. Ronald, Osip i Babs wyszli na

[48] *Take it...* (ang.) - Nie przejmuj się.

schody, a Etienne za nimi, oglądając się na Oliveirę, jak gdyby jedynie on nie stracił do końca przytomności.

- Wyjrzyj no, żeby nie robili głupstw - powiedział Oliveira. - Stary ma coś koło osiemdziesiątki i jest niespełna rozumu.

- *Tous des cons* - krzyczał na platformie schodów stary. - *Bande de tueurs, si vous croyez que ça va se passer comme ça! Des fripouilles, des fainéants! Tas d'enculés!*[49]

Rzecz dziwna - nie krzyczał głośno. Od drzwi głos Etienne'a wrócił jakby rykoszetem: *Ta gueule, pépère!* Grego-rovius złapał za ramię Ronalda, ale przy świetle, które wydobywało się z pokoju, Ronald sam zdał sobie sprawę, że stary jest rzeczywiście bardzo stary, ograniczył się więc do wygrażania mu przed nosem pięścią coraz mniej pewną siebie. Raz czy dwa Oliveira spojrzał w stronę łóżka, na którym Maga przykryta kołdrą leżała zupełnie spokojnie, od czasu do czasu wstrząsana szlochem, z twarzą ukrytą w poduszce, dokładnie w miejscu, w którym przedtem leżała głowa Rocamadoura.

- *Faudrait quand même laisser dormir les gens* - mówił stary. - *Qu'est-ce que ça me fait à moi, un gosse qui a clagué? C'est pas une façon d'agir, quand même on est à Paris, pas en Amazonie.*[50]

Etienne podniósł głos, połykając tamten, przekonywając. Oliveira pomyślał, że nie byłoby tak trudno dojść do łóżka, pochylić się, powiedzieć kilka słów do ucha Magi. „Ale to zrobiłbym dla siebie - pomyślał. - Ona jest poza wszystkim. Jeżeli ktoś spałby potem spokojnie, to tylko ja. Ja, ja, ja. Ja spałbym lepiej, gdybym pocałował ją i pocieszył, choćby powtarzając to wszystko, co i tak już zostało powiedziane".

- *Eh bien, moi, messieurs, le respecte la douleur d'une mère* - rozległ się głos starego. - *Allez, bonsoir, messieurs, dames.*[51] Deszcz walił o szyby, Paryż wydawał się olbrzymią szarą bańką, nad którą niedługo podniesie się świt. Oliveira zbliżył się do kąta, w którym leżała jego kanadyjka podobna torsowi poćwiartowanego, cała parująca wilgocią. Włożył ją powoli, z oczami wciąż utkwionymi w łóżko, jakby czegoś oczekiwał. Myślał o ręce Berthe Trépat ciążącej na jego ramieniu, o spacerze na deszczu, *de qué te sirvió el verano, o ruiseñor en la nieve*[52] - zacytował z ironią. „Smród, bracie, jeden wielki smród. I ani jednego

[49] *Tous des cons...* (franc.) - Wszyscy jesteście bydlaki. Banda morderców, me wyobrażajcie sobie, że wam to ujdzie na sucho. Łotry, nieroby. Zap... hołota!
[50] *Faudrait quand même laisser...* (franc. żargon) - Trzeba by jednak dać ludziom spać Co mnie to obchodzi, ze jakiś dzieciak wykitował? Co to jest za zachowanie, jesteśmy chyba w Paryżu, a nie Amazonii.

[51] *Eh bien, messieurs...* (franc, żargon) - No właśnie, ja potrafię uszanować ból matki. Chciałem tylko życzyć państwu dobrej nocy.
[52] *De qué te sirvió el verano...* (hiszp.) - Cóż przyszło ci z lata, o słowiku wśród śniegu. (Fragment poematu hiszpańskiego poety Luisa Cermuda, *Rzeczywistość i pożądanie - La Realidad j el Deseó).*

papierosa, kurwa. Trzeba by zejść do Café Bébert, ostatecznie świt będzie równie obrzydliwy tam, jak w każdym innym miejscu".

- Co za idiota z tego dziada - mówił Ronald zamykając drzwi.

- Wrócił do siebie - poinformował Etienne. - A Gregorovius poszedł, zdaje się, na policję. Zostajesz?

- Nie. Po co? Nie będą zachwyceni, jak zastaną tu tyle osób o tej porze. Niech zostanie Babs, dwie kobiety to najlepszy argument w takich razach. Jakoś bardziej intymnie, rozumiesz?

Etienne spojrzał na niego.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak ci się trzęsą usta - powiedział.

- Nerwowy tik.

- Tik raczej nie chodzi w parze z cynizmem. Idę z tobą, chodźmy.

- Chodźmy.

Wiedział, że Maga uniosła się na łóżku i że na niego patrzyła. Z rękami w kieszeniach kanadyjki doszedł do drzwi. Etienne zrobił ruch, jakby chciał go zawrócić, ale potem sam poszedł za nim. Ronald patrzył, jak wychodzą, i wzruszył ramionami z wściekłością. „Co za absurd to wszystko razem" - pomyślał. Myśl, że wszystko mogłoby być absurdem, zaniepokoiła go, chociaż nie wiedział dlaczego. Zabrał się do pomagania Babs; chcąc się przydać, zaczął moczyć kompresy. Rozległo się stukanie w sufit.

29

- *Tiens* - powiedział Oliveira

Gregorovius siedział koło piecyka; opatulony w czarny szlafrok, czytał książkę. Przytwierdzona jednym gwoździem do ściany lampa osłonięta była kloszem z gazety.

- Nie wiedziałem, że masz klucz.

- Pamiątki przeszłości - odparł Oliveira rzucając kanadyjkę w ten kąt co zawsze. - Zostawię ci go teraz, kiedy jesteś właścicielem tego lokalu.

- Tylko na jakiś czas. Za zimno tu i jednak trzeba wziąć pod uwagę starego z góry. Dziś rano stukał przez pięć minut bez najmniejszego powodu.

- Inercja. Wszystko trwa zawsze dłużej, niżby powinno. Na przykład ja... Żeby wejść na tych parę pięter, wyciągnąć klucz z kieszeni, otworzyć... Pachnie tu stęchlizną.

- Piekielnie zimno. Trzeba było wietrzyć przez czterdzieści osiem godzin po dezynfekcji.

- A ty cały czas tu byłeś? *Caritas.* Ale facet...

- Nie dlatego... Bałem się, że ktoś z domu zajmie ten pokój siłą. Luisa napomknęła mi kiedyś, że właścicielka to stara wariatka i że wielu lokatorów od lat w ogóle nic jej nie płaci. W Budapeszcie byłem uporczywym czytelnikiem Kodeksu Cywilnego, a to są rzeczy, których się nie zapomina.

- Grunt, żeś się zainstalował jak hrabia. *Chapeau, mon vieux.* Mam nadzieję, żeście mi nie wyrzucili do śmieci yerby.

- Ale skąd, jest w nocnym stoliku, tam, gdzie skarpetki. Teraz jest dużo luźniej.

- Tak wygląda - przyznał Oliveira. - Maga musiała dostać ataku porządków, nie widać ani płyt, ani książek. Słuchaj no, teraz mi przychodzi na myśl...

- Wszystko zabrała - powiedział Gregorovius.

Oliveira otworzył szufladę nocnego stolika i wyjął yerbe i kubeczek. Nakładał powoli, spoglądając to w tę, to w tamtą stronę. W głowie tańczyły mu słowa *Mi noche triste*[53]. Przeliczył na palcach. Czwartek, piątek, sobota. Nie, poniedziałek, wtorek, środa. Nie, we wtorek wieczór - Ber-the Trépat... *Me amuraste* / *en lo mejor de la vida,* środa (pijaństwo jak rzadko, notabene nie mieszać więcej czerwonego wina z wódką), *dejándome el alma herida* / *y espina en el corazón,* czwartek, piątek, Ronald w pożyczonym samochodzie, wizyta u Guya Monoda, rękawiczka wywrócona na lewą stronę, nie kończące się litry zielonych wymiotów, niebezpieczeństwo zażegnane, *sabiendo que te queria* / *que vos eras mi alegria* / *tai*

[53] *Mi noche triste* (hiszp.) - Moja smutna noc.

esperanza y mi ilusión[54]*,* sobota, gdzie? gdzieś w okolicach Marly-le-Roi, w sumie pięć dni, nie, sześć, mniej więcej tydzień, a tu pokój jeszcze taki zimny mimo piecyka. Co za żaba z tego Osipa... ale facet umie się urządzać.

- Więc się wyniosła... - powiedział Oliveira rozsiadając się w fotelu, z imbryczkiem w zasięgu ręki.

Gregorovius przytaknął. Na kolanach miał otwartą książkę i robił wrażenie kogoś, kto (w delikatny sposób) chciałby pokazać, że ma ochotę czytać dalej.

- I zostawiła ci pokój.

- Wiedziała, że jestem w trudnej sytuacji - powiedział Gregorovius. - Moja cioteczna babka przestała przysyłać mi pensję, zmarła prawdopodobnie, Miss Babington milczy wprawdzie, ale jeżeli wziąć pod uwagę sytuację na Cyprze... Wiadomo, że jak zawsze odbija się to na Malcie: cenzura, te rzeczy. Kiedy oznajmiłeś, że się wyprowadzasz, pozwoliła mi tu zamieszkać. Wahałem sic, czy wypada mi przyjąć, ale naciskała.

- Nie bardzo się to zgadza z jej wyprowadzką.

- To wszystko było przedtem.

- Przed dezynfekcją?

- Właśnie.

- Wygrałeś los na loterii.

- Smutne to wszystko - powiedział Gregorovius. - Przecież mogło być inaczej.

- Nie skarż się, stary. Pokój cztery na trzy pięćdziesiąt z bieżącą wodą, za pięć tysięcy franków miesięcznic...

- Chciałbym - powiedział Gregorovius - wyjaśnić z tobą te sprawy. Ten pokój...

- Spokojna głowa, nie był mój. A Maga wyjechała.

- W każdym razie...

- Dokąd?

- Coś mówiła o Montevideo.

- Nie miała na to forsy.

- Wymieniała Perugię...

- Chciałeś powiedzieć: Lukkę. Od kiedy przeczytała *Sparkenbroke,* oszalała na ten temat. Mów no wyraźnie, gdzie jest.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. W piątek wpakowała do walizki książki i rzeczy, porobiła moc pakunków, a potem przyszło dwóch Murzynów, którzy je zabrali. Powiedziała mi, że mogę tu zostać, a ponieważ przez cały czas płakała, trudno się było porozumieć.

[54] *Me amuraste en lo mejor...* (hiszp.) - Rozkochałeś mnie w rozkwicie mojego życia, raniąc mą duszę i drzazgę wbijając w

- Zaczynam mieć ochotę, żeby dać ci w mordę - powiedział Oliveira parząc mate.

- A cóż ja jestem winien?

- Nie chodzi o winę. Jesteś zupełnie w stylu Dostojewskiego, obrzydliwy i sympatyczny równocześnie, masz w sobie jakieś metafizyczne lizodupstwo. A jak się uśmiechniesz, człowiek jest rozbrojony.

- Cóż, ja już mam to wszystko za sobą - odparł Gregorovius. - Mechanikę *challenge and response*[55] pozostawiam mieszczaństwu. Jesteś taki sam, dlatego mnie nie uderzysz. Nie patrz tak na mnie, nic nie wiem o Luisie. Jeden z tych Murzynów bywa w Café Bonaparte, widziałem go tam. Może on cię poinformuje. Ale po co chcesz jej szukać teraz?

- Wytłumacz mi to „teraz". Gregorovius wzruszył ramionami.

- Czuwaliśmy przy nim wszyscy, jak już odczepiliśmy się od policji. Mówiąc szczerze, twoja nieobecność wywołała wiele sprzecznych komentarzy. Klub cię bronił, ale sąsiedzi, a specjalnie stary z góry...

- Nie powiesz mi, że stary przyszedł na wyprowadzenie.

- Nie można tego nazwać wyprowadzeniem. Ale pozwolili nam zatrzymać ciałko do południa, po czym wkroczyły odpowiednie czynniki, muszę przyznać, że szybko i skutecznie.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedział Oliveira. - Ale to nie powód, żeby Maga wynosiła się bez słowa.

- Przez cały czas była pewna, że jesteś u Poli.

- *Ça alors.*

- Cóż, ludzka wyobraźnia. Ludzie sobie różne dziwy wyobrażają... Teraz, kiedy z twojej winy jesteśmy po imieniu, trudniej mi powiedzieć ci pewne rzeczy. To brzmi paradoksalnie, ale tak jest. Prawdopodobnie dlatego, że ten bruderszaft był kompletnie fałszywy. Sam go sprowokowałeś tamtej nocy.

- Nie widzę, dlaczego nie miałbym mówić ty komuś, kto się przespał z moją dziewczyną.

- Jeszcze raz ci oświadczam, że to nieprawda. Dość, że nie ma powodu, abyśmy byli ze sobą po imieniu. Gdyby Maga utopiła się, zrozumiałbym, że pod wpływem chwilowego bólu... całując się i pocieszając wzajemnie. Ale to się nie stało, przynajmniej nie wygląda na to.

- Widziałeś coś w gazecie? - zapytał Oliveira.

- Ale opis nie zgadza się. Możemy dalej być na pan. Tu, na kominku.

serce, wiedząc, ze cię kocham, żeś mą radością, mą nadzieją i złudzeniem.

[55] *Cballenge and response* (ang.) - wyzwanie i odpowiedź.

Rzeczywiście opis nie zgadzał się. Oliveira rzucił gazetę i zalał następną mate. Lukka, Montevideo, *la guitarra en el ropero / para siempre está colgada...* A kiedy zabiera się walizki i paczki, można wydedukować (uwaga: dedukcja nie zawsze jest dowodem), *nadie en ella toca nada / nie hace sus cuerdas sonar.*[56] W jej struny nie uderza nikt.

- Dobra. Już ja się dowiem, gdzie się podziała. Daleko nie zajechała.

- Tu zawsze może wrócić, nawet gdyby Adgalle przyjechała do mnie na wiosnę.

- Twoja matka?

- Tak. Wzruszający telegram, w którym mówi o tetra-gramatonie. Właśnie przeglądałem *Sefer Jezirach,* starając się rozpoznać wpływy napoleońskie. Adgalle dobrze zna *Kabałę.* Będziemy się na pewno kłócić.

- Czy Maga napomykała coś... mówiła, że chce się zabić?

- Kobiety... Wiadomo, jakie są kobiety.

- Konkretnie.

- Nie myślę - powiedział Gregorovius. - Raczej mówiła o Montevideo.

- Idiotyzm, przecież jest bez grosza.

- O Montevideo i o woskowej lalce.

- Ach, o lalce. I myślała...

- Była pewna. Ten przypadek z pewnością wyda się Adgalle interesujący. To, co ty nazywasz zbiegiem okoliczności... Luisa nie wierzyła, żeby to był zbieg okoliczności. W głębi duszy ty także nie wierzyłeś. Mówiła mi, że jak odkryłeś zieloną laleczkę, rzuciłeś ją na ziemię i podeptałeś.

- Nienawidzę głupoty - powiedział bohatersko Oliveira.

- Wszystkie szpilki wbiła w piersi, tylko jedną w seks. Czy wtedy, kiedy deptałeś laleczkę, już wiedziałeś, że Pola jest chora?

- Wiedziałem.

- To niesłychanie zainteresuje Adgalle. Czy znasz system zatrutych portretów? Truciznę trzeba wmieszać do farb i doczekać się odpowiedniego księżyca, wtedy maluje się portret. Adgalle próbowała tego ze swoim ojcem, ale nastąpiły komplikacje. W każdym razie stary umarł w trzy lata później na coś w rodzaju dyfterytu. Był sam w pałacu (w owym czasie mieliśmy jeszcze pałac), a kiedy zaczął się dusić, chciał zrobić sam sobie tracheotomię przed lustrem, wbijając pióro gęsie czy coś podobnego. Znaleziono go u stóp schodów. Właściwie nie wiem, po co ci to opowiadam.

- Przypuszczalnie dlatego, że wiesz, jak mało mnie to interesuje.

[56] *La guitarra en el ropero...* (hiszp.) - gitara juz na zawsze jest w szafie, nikt na niej nie gra i nie potrąca jej strun.

- Możliwe - zgodził się Gregorovius. - Zrobię kawy, o tej porze czuje się już noc, nawet jak jeszcze jej nie ma.

Oliveira podniósł gazetę. Podczas gdy Osip nastawiał wodę na piecyku, po raz drugi przeczytał notatkę. Blondynka około czterdziestu dwóch lat. Co za kretynizm myśleć, że... Jakkolwiek... Oczywiście. - *Les travaux du grand barrage d'Assouan ont commencé. Avant cinq ans la vallée moyenne du Nil sera transformée en un immense lac. Des édifices prodigieux, qui comptent parmi les plus admirables de la planète...*[57]

(107)

[57] *Les travaux du grand barrage...* (franc.) - Rozpoczęły się już prace przy budowie wielkiej tamy assuańskiej. Przed upływem pięciu lat dolina średniego Nilu zamieni się w olbrzymie jezioro. Cudowne budowle, które zaliczyć można do najwspanialszych na kuli ziemskiej...

30

- Nieporozumienie, człowieku, jak tyle innych. Ale kawa na wysokości zadania. Wypiłeś całą cañę?

- Wiesz, w czasie tego całego...

- ... czuwania nad ciałkiem. Jasne.

- Ronald pił zupełnie nieprzytomnie. Nikt nie rozumiał dlaczego, ale był rzeczywiście tak przejęty, że aż Babs była zazdrosna. Nawet Luisa patrzyła na niego zdziwiona. Ale zegarmistrz z szóstego przyniósł butelkę koniaku, tak że starczyło dla wszystkich.

- Było dużo ludzi?

- Poczekaj... No więc my z klubu, ciebie nie było („tak, mnie nie było"), zegarmistrz z szóstego, konsjerżka z córką, jakaś pani zupełnie podobna do mola, listonosz od telegramów też został chwilę, no i ci z policji, węszyli dzieciobójstwo albo coś w tym rodzaju.

- Zdumiewające, że nie było mowy o autopsji.

- Była mowa. Babs podniosła dziki wrzask, a Luisa... Była jakaś kobieta, patrzyła, macała... Nie mogliśmy się na schodach pomieścić, drzwi były otwarte, zimno... Coś tam zrobili, ale w końcu dali spokój. Nawet nie wiem, jakim cudem u mnie zostało świadectwo zgonu. Chcesz zobaczyć?

- Nie, opowiadaj. Mimo że na to nie wyglądam, słucham cię uważnie. Wal dalej. Jestem doprawdy przejęty. Może tego nie objawiam, ale możesz mi wierzyć. I słucham cię, jedź no dalej, stary. Świetnie sobie wyobrażam całą scenę. Nie powiesz mi, że Ronald nie pomagał przy znoszeniu go ze schodów.

- A jakże, razem z zegarmistrzem i z Perico. Ja szedłem z Luisą.

- Z przodu.

- A Babs z Etienne'em zamykali pochód.

- Z tyłu.

- Między czwartym a trzecim piętrem rozległ się piekielny huk; Ronald twierdzi, że to stary z piątego, że to była zemsta. Jak przyjedzie mama, to ją poproszę, żeby zapoznała się z tym starym.

- Twoja matka? Adgalle?

- Moja matka, no ta, z Hercegowiny. Ten dom spodoba się jej, ona ma świetny odbiór, a tu się tyle rzeczy zdarzyło... Myślę nie tylko o zielonej laleczce.

- Chciałbym, żebyś mi wytłumaczył, co to znaczy, że twoja matka ma świetny odbiór, i dlaczego akurat ten dom. No, rozmawiajmy, wypychajmy poduszki. Dawaj no pierze.

31

Gregorovius od dawna zrezygnował z rozumienia, ale lubił, aby nawet nieporozumienia zachowywały jakiś porządek, jakiś sens. Choćby karty były nie wiem jak stasowane, rozkładanie ich zawsze jednak zachowuje swoją kolejność i odbywa się na prostokącie stołu lub na kapie łóżka. Należy sprawić, aby amator argentyńskich naparów zechciał wyjawić sens swoich wykrętasów. Niechby je nawet wymyślił w ostatniej chwili - później byłoby mu już trudno wyplątać się z własnej pajęczyny. Pomiędzy jednym kubkiem mate a drugim Oliveira łaskawie zgadzał się wspomnieć jakieś drobne wydarzenie z przeszłości lub odpowiedzieć na pytanie. Ze swej strony z ironicznym zainteresowaniem pytał o szczegóły pogrzebu, zachowanie ludzi. Rzadko kiedy mówił wprost o Madze, ale wyczuwało się, że podejrzewał ewentualne kłamstwa. Montevideo, Lukka, jakiś kąt w Paryżu. Gregorovius doszedł do przekonania, że Oliveira wybiegłby pędem, gdyby miał najlżejsze pojęcie o miejscu pobytu Luisy. Najwyraźniej specjalizował się w zaprzepaszczonych sprawach. Najpierw zaprzepaścić coś, a potem uganiać się za tym jak wariat.

- Adgalle będzie z pewnością zachwycona swoim pobytem w Paryżu - powiedział Oliveira nalewając sobie nową mate. - Jeżeli szuka zejścia do piekieł, masz szansę udostępnić jej niemało. Wprawdzie w niewielkim stopniu, ale nawet i piekło staniało. Dzisiejsze *nekia:* jazda metrem o wpół do siódmej albo przedłużanie na policji *carte de séjour.*

- Ty lubiłbyś pewnie główne wejście, co? Dialog z Ajak-sem, z Jacquesem Clémentem, z Keitlem, z Troppmannem.

- Tak, ale do tej pory największą dziurę udało mi się znaleźć w klozecie. Nawet Traveler tego nie rozumie, a Tra-veler to nie byle kto: mój przyjaciel, ale ty go nie znasz.

- A ty - Gregorovius patrzył w ziemię - ukrywasz karty.

- A mianowicie?

- Nie wiem, tak mi się zdaje. Od kiedy cię znam, stale tylko szukasz tego, co najprawdopodobniej od dawna nosisz w kieszeni.

- Już mistycy mówili o tym, jednakowoż nie wspominając o kieszeni.

- A po drodze rujnujesz ludziom życie.

- Za ich zgodą, stary, za ich zgodą. Jedno małe popchnięcie, przechodzą i już. Bez złych intencji.

- Ale co chcesz znaleźć w ten sposób, Horacio?

- Prawo do miasta.

- Tego miasta?

- To metafora. Ale ponieważ i Paryż jest metaforą (słyszałem, jak to nieraz mówiłeś), wydaje mi się naturalne, że po to tu przyjechałem.

- A Luisa? A Pola?

- Wielkości niewspółmierne - odparł Oliveira. - Ty uważasz, że ponieważ obie są kobietami, można je podsumowywać na tej samej kolumnie. Ale czy one nie szukają z kolei swojej satysfakcji? Odstawiasz takiego purytanina, jakbyś nie wykorzystał choroby małego, zapalenia opon mózgowych czy co to tam było, żeby się tu wpakować. Dobrze, że nie mamy przesądów, inaczej jeden byłby krótszy o głowę, a drugi w kajdanach. Coś dla Szołochowa, przysięgam Bogu. A my nawet nie nienawidzimy się, przeciwnie... Tak tu u ciebie przytulnie...

- Ukrywasz karty - Gregorovius znowu patrzył w ziemię.

- Bądź łaskaw jaśniej się wyrażać, bracie, będę ci głęboko zobowiązany.

- Ty masz w głowie jedną zasadniczą myśl. Wolność miasta? Raczej podbicie miasta! Te twoje pretensje wynikają z nie zaspokojonej ambicji. Przyjechałeś tu z nadzieją, że znajdziesz swój własny posąg, czekający na ciebie na placu Dauphine. Czego nie rozumiem natomiast, to twoich metod. Ambicje? Proszę bardzo. Jesteś dość niezwykły pod niektórymi względami. Ale o ile zdołałem dotychczas zaobserwować, postępujesz wręcz przeciwnie do tego, jak by postępowali inni ambitni. Na przykład Etienne, że nie wspomnę Perica...

- Hm, hm - powiedział Oliveira. - Więc jednak oczy służą ci do czegoś...

- Wprost odwrotnie, choć oni też nie rezygnują z ambicji. I tego właśnie nie umiem sobie wytłumaczyć.

- Och, wiesz, tłumaczenie... Nic, bracie, nie jest jasne. Wyobraźmy sobie na przykład, że to, co nazywasz ambicją, może owocować wyłącznie przez wyrzeczenie. Odpowiada ci ta formuła? Nie jest trafna, ale to, co chciałbym powiedzieć, jest nie do powiedzenia. Kręcenie się psa za własnym ogonem. To i to, co ci powiedziałem o prawie do miasta, powinno ci wystarczyć, zasrany Czarnogórcu.

- Coś mi się kojarzy. Więc ty... Mam nadzieję, że to nie będzie droga w stylu Wedanty...

- Nie, nie.

- Więc laickie wyrzeczenie. Można to tak nazwać?

- Też nie. Niczego się nie wyrzekam, po prostu robię, co mogę, żeby mnie się wyrzekano. Nie wiedziałeś, że po to, aby wykopać mały dołek, trzeba wybierać ziemię i jak najdalej ją odrzucać?

- Ale w takim wypadku prawo do miasta...

- Właśnie. Jak najbardziej. Trafiłeś w sedno. Przypomnij sobie powiedzenie: *nous ne sommes pas au monde*[58]. A teraz powoli pozbaw je ostrza.

- Ambicja, aby dojść do tabula rasa i wszystko zaczynać od początku?

- Odrobineczkę, cień cienia, zaledwie śladzik, ociupinka, cholerny Transylwańcu, podrywaczu kobiet w kłopotach, synu trzech czarownic.

- Ty i cała ta banda - mruczał Gregorovius rozglądając się za fajką - co za ludzie: złodzieje wieczności, boże kundle, rozganiacze chmur. Dzięki Bogu, że ma się tę kulturę, aby umieć was odpowiednio nazwać. Wieprze astralne.

- Robisz mi zaszczyt tymi określeniami. Dowód, że rzeczywiście coś niecoś pojąłeś.

- Cóż, ja osobiście wolę oddychać tlenem i azotem w takich ilościach, w jakich zsyła je Bóg. Moja alchemia jest o wiele bardziej subtelna niż wasza. Jedyną rzeczą, która mnie interesuje, jest kamień filozoficzny. Owsik w porównaniu do twoich lejów, klozetów i działań ontologicznych.

- Już dość dawno nie mieliśmy okazji do dobrej, metafizycznej pogwarki, to jakoś nie uchodzi między przyjaciółmi, jest uważane za snobizm. Na przykład Ronald ma to w największej pogardzie. Etienne znowu nie wykracza poza widmo słoneczne. Nie najgorzej mi tu z tobą.

- Właściwie moglibyśmy się zaprzyjaźnić - powiedział Gregorovius - gdyby było w tobie cokolwiek ludzkiego... Podejrzewam, że Luisa musiała ci to mówić nieraz.

- Dokładnie co pięć minut. Aż miło, ile znaczeń ludzie są w stanie nadać słowu „ludzkie". Ale wobec tego, dlaczegóż Maga nie została z tobą, przecież cały wprost lśnisz od ludzkości?

- Bo mnie nie kocha. Jak widzisz, w „ludzkości" można znaleźć wszystko.

- A teraz wróci do Montevideo i znowu wpadnie w to życie, kto...

- Może pojechała do Lukki. Gdziekolwiek jest, wszędzie będzie jej lepiej niż z tobą. Tak jak Poli, mnie i wszystkim innym, przepraszam za szczerość.

- Ależ to tak do ciebie pasuje, Osipie Osipowiczu! Po cóż mielibyśmy się okłamywać? Nie można żyć z kimś, kto żongluje cieniami, poskramia mole, spędza całe dnie układając obrazki z tęczowych kręgów, które oliwa pozostawia na Sekwanie. Ja i moje kłódki, moje klucze w powietrzu, ja, piszący dymem... Oszczędź sobie odpowiedzi, którą widzę na twych ustach: nie ma bardziej zabójczych substancji niż te, które przenikają wszędzie, które wdycha się nie wiedząc o tym, w słowach, w miłości, w przyjaźni. Już najwyższy czas, żeby mnie

[58] *Nous ne sommes pas au monde* (franc) - nie ma nas na świecie.

zostawiono samego, samiutkiego jak palec w nosie. Musisz przyznać, że nie czepiam się jak rzep psiego ogona. Zmykaj, synu Bośni! Jak na drugi raz wpadniesz na mnie na ulicy, pamiętaj, że mnie nie znasz.

- Wariat z ciebie, Horacio, nagle zupełny wariat, bo tak ci wygodniej.

Oliveira wyjął z kieszeni kawałek gazety, który nosił tam od Bóg wie jak dawna: listę dyżurnych aptek w Buenos Aires. Będą obsługiwały publiczność od ósmej w poniedziałek do tej samej godziny we wtorek.

- Śródmieście - odczytał - Reconquista 446 (31-5488), Cordoba 336 (32-8845), Esmeralda 599 (31-1700), Sarmiento 581 (32-2021).

- Cóż to takiego?

- Strzępy rzeczywistości. Tłumaczę: Reconquista, jedna taka rzecz, którą zrobiliśmy Anglikom. Cordoba - gród mądrości. Esmeralda - Cyganka powieszona z powodu miłości do archidiakona, Sarmiento - pierdnął, po czym porwał go wiatr. Druga wersja: Reconquista - ulica nierządnic i libańskich restauracji. Córdoba - znakomite ciasteczka. Esmeralda - kolumbijska rzeka. Sarmiento - nigdy nie opuszczał lekcji. Trzecia wersja: Reconquista - apteka, Esmeralda - inna apteka, Sarmiento - jeszcze inna apteka. Czwarta wersja...

- A jeżeli upieram się przy tym, że jesteś wariat, to dlatego, że nie widzę ujścia dla twego sławetnego wyrzeczenia.

- Florida 620 (31-2200).

- Nie poszedłeś na pogrzeb, bo jakkolwiek rezygnujesz z wielu rzeczy, jednak nie byłeś już w stanie spojrzeć przyjaciołom w oczy.

- Hipólito Irigoyen 749 (34-0936).

- A Luisie z pewnością lepiej jest na dnie rzeki, niż było w twoim łóżku.

- Bolivar 800. Telefon jest zamazany. Jeżeli jakimś ludziom w tej dzielnicy rozchoruje się synek, nie będą mogli dostać terramycyny.

- Na dnie rzeki, żebyś wiedział!

- Corrientes 1117(35-1468).

- Albo w Lukce czy w Montevideo.

- Albo na Rivadavii 1301 (38-7841).

- Zachowaj sobie tę listę dla Poli - powiedział Grego-rovius wstając. - Ja wychodzę, a ty rób, co chcesz. Nie jesteś u siebie, ale skoro rzeczywistość nie istnieje i należy zaczynać ex nihil, et cetera... Rozporządzaj według uznania tymi wszystkimi złudzeniami. Schodzę na dół po butelkę brandy.

Oliveira złapał go przy samych drzwiach i położył mu rękę na ramieniu.

- Lavalle 2099 - spojrzał mu w twarz uśmiechając się. - Cangallo 1501, Pueyrredón 53.

- Brak telefonów - powiedział Gregorovius.

- Zaczynasz rozumieć - Oliveira zdjął mu rękę z ramienia. - Przecież w gruncie rzeczy wiesz, że ja już nic nie mogę powiedzieć. Ani tobie, ani nikomu innemu.

Na wysokości drugiego piętra kroki zatrzymały się. „Zawróci - pomyślał Oliveira. - Zląkł się, że spalę mu łóżko, albo potnę prześcieradła, biedny Osip". Ale po chwili oddaliły się.

Siedząc na łóżku Oliveira przeglądał papiery w szufladach nocnego stolika. Jakaś książka Pereza Caldosa. Rachunek z apteki. Widocznie był to wieczór aptek. Jakieś pobazgrane ołówkiem kartki. Maga zabrała wszystko; pozostał dawny zapach, tapety, łóżko z kapą w paski. Książka Galdosa, też pomysł. Jeżeli nie Vicki Baum, to Roger Martin du Gard, a stamtąd niewytłumaczalny skok w Tristana L'Hermite, całe godziny powtarzającego z lada powodu: *les rêves de l'eau qui songe*[59] albo dziwaczne malowidła - nowele Schwittersa, jako rodzaj okupu, pokuty w najwspanialszym i najtańszym wydaniu, ażeby niespodziewanie wpaść w Dos Passosa i przez pięć dni łykać nieograniczoną ilość drukowanego papieru.

Pobazgrane kartki były czymś w rodzaju listu.

(32)

[59] *Les rives de l'eau qui songe* (franc.) - marzenia drzemiącej wody.

32

Synek Rocamadour, synek, syneczek, Rocamadour. Rocamadour - teraz już wiem, że to jest jak lustro; ty śpisz albo oglądasz swoje nóżki, a ja tu trzymam lustro i myślę, że to ty. Ale nie myślę tak, tylko piszę, bo ty nie umiesz czytać. Gdybyś umiał, nie pisałabym wcale albo pisałabym o czymś ważniejszym. Któregoś dnia napiszę ci żebyś dbał o siebie i ciepło się ubierał. Wydaje mi się niemożliwe, że kiedyś - Rocamadour. Teraz tylko piszę do ciebie w lustrze, a czasem wycieram palce, bo są mokre od łez. Dlaczego? Nie jestem przecież smutna, Rocamadour, ale twoja mama jest gapa, wylał jej się barszcz, który gotowała dla Horacia. Ty wiesz, kto to jest Horacio, Rocamadour, to ten pan, który w niedzielę przyniósł ci pluszowego zajączka i którego bardzo nudziło, kiedy ty i ja mówiliśmy do siebie takie różne rzeczy, a on chciał wrócić do Paryża. Wtedy zacząłeś płakać, a on zrobił królika, który rusza uszami, był wtedy piękny; no tak, właśnie on, Horacio, kiedyś sam to zrozumiesz, Rocamadour.

Rocadamour to idiotyzm płakać, że barszcz wylał mi się do ognia. Pokój jest pełen buraków, śmiałbyś się, jakbyś widział kawałki buraków i śmietanę, wszystko na ziemi. Całe szczęście, że zanim wróci Horacio, zdążę posprzątać, ale najpierw musiałam do ciebie napisać, co za głupota, tak płakać, garnki roztapiają się, wyglądają jak odbite w szybie okiennej, już nie słychać dziewczyny z góry, która cały dzień śpiewa *Les amants du Havre.* Jak będziemy razem, zaśpiewam ci to, zobaczysz.

Puisque la terre est ronde...
Mon amour t'en fait pas...
Mon amour t'en fait pas.

Horacio gwiżdże to wieczorem, kiedy pisze albo rysuje. Podobałoby ci się to. Na pewno by ci się podobało, lubi to nawet Perico; Perico to ten pan, który nic ci nie przyniósł zeszłym razem, ale dużo mówił o dzieciach i ich odżywianiu. Wiele umie i kiedyś będziesz go bardzo szanował, a będziesz głuptas, jak go będziesz szanował, jeżeli go będziesz szanował, Rocamadour.

Rocamadour, madame Irène jest niezadowolona, że jesteś taki ładny, taki wesoły, taki krzykacz i taki siusiacz. Mówi, że wszystko dobrze i że jesteś przemiłe dziecko, ale kiedy rozmawia ze mną, to chowa ręce do kieszeni fartucha, tak jak niektóre złośliwe stworzenia, a ja się tego boję. Kiedy to powiedziałam do Horacia, to mnie wyśmiał, on nie rozumie, że ja to

czuję i że chociaż nie istnieje takie zwierzę, które by chowało ręce, ja czuję... no nie wiem co, ale coś czuję, nie umiem tego wytłumaczyć. Rocamadour, gdybym mogła zobaczyć w twoich oczkach, co się z tobą działo przez te dwa tygodnie? Chyba poszukam ci nowej piastunki, chociaż Horacio się wścieknie i będzie mówił, że... ale co ciebie to obchodzi, co on do mnie mówi. Więc innej piastunki, która by mniej gadała, niechby nawet powiedziała, że jesteś niedobry, że płaczesz w nocy, że nie chcesz jeść, byłoby mi wszystko jedno, gdybym czuła, że nie jest złośliwa, i że nie zrobi ci krzywdy. Wszystko jest takie dziwne, Rocamadour, na przykład to, że tak lubię wymawiać twoje imię, a nawet je pisać, mam wtedy uczucie, że cię dotykam w sam czubek noska, a ty się śmiejesz. Madame Irène nigdy nie nazywa cię twoim imieniem, mówi *l'enfant,* popatrz tylko, nawet nie mówi *le gosse.* Mówi *l'enfant,* tak jakby do tego wkładała gumowe rękawiczki, może zresztą i ma je na sobie i dlatego pcha ręce do kieszeni wtedy, kiedy mi opowiada, że jesteś taki miły i ładny.

Istnieje coś, co się nazywa czas, Rocamadour, to jest taki robaczek, który chodzi i chodzi. Nie umiem ci tego wytłumaczyć, bo jesteś za mały, ale chcę przez to powiedzieć, że Horacio zaraz przyjdzie. Pokazać mu ten list, żeby ci coś od siebie dopisał? Nie, ja też nie lubiłabym, żeby ktoś czytał listy przeznaczone dla mnie. To będzie nasz sekret, Rocamadour. Już nie płaczę, zadowolona jestem, ale strasznie trudno jest cokolwiek zrozumieć, mnie potrzeba tyle czasu, żeby zrozumieć to, co Horacio i inni rozumieją w ciągu sekundy! Ale oni nie rozumieją ani ciebie, ani mnie, nie rozumieją, że nie mogę mieć cię ze sobą, karmić cię, przewijać, usypiać i bawić. Nie rozumieją i w gruncie rzeczy nic ich to nie obchodzi. A ja wiem tylko to jedno, właśnie to, że nie mogę mieć cię ze sobą i że to niedobrze dla nas obojga, i że muszę być sama z Horaciem, żyć z Horaciem i pomagać mu, aby znalazł to, czego szuka, czego i ty będziesz szukał. Kiedy będziesz mężczyzną, także będziesz tego szukał i szukał.

Tak to jest, Rocamadour: jesteśmy jak grzyby w tym Paryżu, rośniemy na poręczach schodów, w ciemnych pachnących łojem pokojach, w których ludzie cały czas robią to, co się nazywa „miłość", a potem smażą jajka i słuchają płyt Vivaldiego i palą papierosy, i gadają jak Horacio i Gregoro-vius, i Wong, i ja, i jak Perico, i jak Ronald, i jak Babs, tak Rocamadour, wszyscy „robimy miłość", i smażymy jajka i palimy, och, nie masz pojęcia, ile my palimy, ile robimy tej miłości, na stojąco, na leżąco, na klęczkach, rękami, ustami, śpiewając i płacząc, a za oknami jest tyle rzeczy, powietrze, wróble i rynny, tylko dużo tu pada, Rocamadour, dużo więcej niż na wsi, wszystko rdzewieje, przewody i nóżki gołębi, i druty, z których Horacio robi swoje *rzeźby.* Prawie nie mamy rzeczy, zadowalamy się byle czym, jednym płaszczem, jedną parą butów, jesteśmy brudni, wszyscy są w Paryżu równocześnie brudni i cudowni,

Rocamadour, łóżka pachną nocą i ciężkim snem, pod nimi pełno jest śmieci i książek, kiedy Horacio zasypia, książka wypada mu z rąk i spada na ziemię, a potem jest awantura, bo nie może jej *znaleźć i* myśli, że mu ją buchnął Osip, aż nagle któregoś dnia książka objawia się i wszyscy się śmiejemy, bo właściwie na nic nie ma miejsca, nawet na drugą parę butów; żeby postawić na podłodze miskę, trzeba uprzątnąć adapter, ale nie ma gdzie go postawić, bo na stole jest pełno książek... Nie mogłabym mieć cię tutaj, chociaż jesteś taki malutki, nie zmieściłbyś się nigdzie, uderzałbyś się o ściany. Jak o tym pomyślę, zaraz zaczynam płakać, Horacio nic nie rozumie, uważa, że jestem niedobra, że źle robię, nie przywożąc ciebie, a ja przecież wiem, że on długo by tu z tobą nie wytrzymał. Tutaj z nikim nie można długo wytrzymać, nawet nie wiem, czy my wytrzymalibyśmy ze sobą, ty i ja, wszędzie trzeba przepychać się siłą, takie jest prawo, Rocamadour, i tylko tak można żyć, ale to boli, Rocamadour, jest brudne i gorzkie, i nie dla ciebie, bo ty oglądasz sobie na wsi owieczki albo słuchasz ptaków, kiedy przysiadają na dachu. Horacio oskarża mnie o sentymentalizm, wymyśla mi od materialistek, od takich i siakich dlatego, że akurat chcę cię przywieźć albo dlatego, że rezygnuję, albo dlatego, że chcę cię odwiedzić, albo dlatego, że właśnie nie chcę cię odwiedzić, bo w jakimś *quartier,* którego nie znam, grają *Potiomkina* i muszę to zobaczyć, nawet żebym miała godzinę maszerować po deszczu, nawet żeby świat miał się zapaść, bo właściwie świat staje się obojętny Rocamadour, jeżeli człowiek nie ma dość sił, aby wybrać sobie coś prawdziwego i iść za tym, a tylko wszystko w sobie układa niby w szufladzie komody: ty z jednej strony, niedziele z drugiej, macierzyńska miłość, nowa zabawka, Gare Montparnasse, pociąg, odwiedzanie ciebie. Dziś nie chce mi się jechać, ale ty wiesz, że to nic nie znaczy, więc się nie martwisz. Horacio ma rację, że czasami nic mnie nie obchodzisz; myślę, że któregoś dnia będziesz mi za to wdzięczny, któregoś dnia zrozumiesz, że może było warto, żebym była taka, jaka jestem. Ale mimo wszystko beczę, Rocamadour, i piszę do ciebie, bo nic już me wiem, bo może się mylę, bo może jestem niedobra albo chora, albo przygłupia, nie taka zupełnie głupia, ale trochę, to też jest okropne, na samą myśl o tym dostaję boleści i tak kurczę palce od nóg, że mi pękną pantofle, jeżeli ich nie zdejmę, i tak strasznie cię kocham, Rocamadour, mój synku, jak ząbeczek czosnku, tak strasznie cię kocham, nosku z cukru, krzaczku, mały pluszowy koniku...

33

„Naumyślnie zostawił mnie samego - pomyślał Oliveira otwierając i zamykając szufladkę nocnego stolika. - Uprzejmość albo świństwo, zależy jak na to spojrzeć. Niewykluczone, że jest na schodach i podsłuchuje, niedopieczony sadysta, oczekując wielkiego kryzysu à la Karamazow, ataków w stylu Céline'a. A może po prostu hercegowiński balecik: przy drugim kieliszku kirszu u Béber-ta układa w pamięci pasjanse z uroczystości projektowanych na przywitanie Adgalle. Tortura oczekiwania; Montevideo, Sekwana, Lukka. Warianty: Marna, Perugia. Ale w takim razie, ty..."

Zapalając od niedopałka nowego gauloise'a, znowu zajrzał do szufladki, wyjął książkę, luźno zastanawiając się nad inną tezą - litością. Litość nad samym sobą: jeszcze lepiej. „Nigdy nie starałem się o szczęście - myślał nieuważnie odwracając kartki. - To nie jest ani wytłumaczenie, ani usprawiedliwienie. *Nous ne sommes pas au monde. Donc, ergo, dunque...*[60] Dlaczego miałbym litować się nad nią? Dlatego, że znalazłlem jej list do syna, który w rzeczywistości był listem do mnie? Do mnie - autora pełnej korespondencji do Rocamadoura. Nie ma powodu do litości. Gdziekolwiek jest, włosy jej płoną jak wieża, parzy mnie z daleka, szarpie mnie w kawałki samą swoją nieobecnością. *Et patati et patata.*[61] Znakomicie się urządzi zarówno beze mnie, jak i bez Rocamadoura. Niebieska mucha, jaka cudna, leci do słońca, ajajaj, skaleczyła sobie nos o szybę - i tragedia gotowa. A w dwie minuty później kupa szczęścia, bo udało jej się kupić papierowe laleczki, które powkłada do kopert i powysyła do przyjaciółek, o nordyckich imionach, rozsianych po najnieprawdopodobniejszych zakątkach świata. Jak można żałować kotki albo lwicy? To są życio-maszyny, błyskawice. Jedyną moją winą było to, że nie okazałem się dość dobrym paliwem, aby mogła sobie o mnie rozgrzewać ręce i nogi. Myślała, że wybiera płonący krzew, a dostała dzbanuszek zimnej wody. Moje biedactwo, cholera".

(67)

[60] *Donc, ergo, dunque* (franc., lac., włoski) - A więc.
[61] *Et patati et patata* (franc, żargon) - I tak dalej, i tak dalej.

34

We wrześniu 1880 roku w parę miesięcy po śmierci mojego ojca, postanowiłem wycofać

Co też czyta, nieudolne, paskudnie wydane książczydło, nie sposób zrozumieć, że się z interesów i przekazać je innej firmie, tłoczącej sherry, równie znanej jak moja. Zlikwidowałem mogło ją to interesować, Pomyśleć, że spędzała godziny nad czymś podobnie pozbawionym to, co się dało, wydzierżawiłem nieruchomości, odstąpiłem zapasy, które miałem smaku, a przecież poza tym czytała jeszcze kupy innych świństw, „Elle", „France- Soir", w piwnicy, i inne aktywa, i przeniosłem się do Madrytu, gdzie się osiedliłem. Mój wuj, te żałosne szmaty, które przynosiła jej Babs. *I przeniosłem są do Madrytu, gdzie się* cioteczny brat mego ojca, ofiarował mi u siebie gościnę, opierałem się jednak, w obawie o *osiedliłem!* Wyobrażam sobie, że po przełknięciu czterech czy pięciu stron człowiek wciąga utracenie mojej niezależności. Wreszcie udało mi się osiągnąć kompromis będący połączeniem się już i nie może przerwać czytania, tak jak nie można przerwać spania, szczania, chłosty mojej wygody oraz swobody z łaskawą ofertą mego wuja, albowiem wynająwszy sobie albo ślinienia się. *Wreszcie udało mi się osiągnąć kompromis.* Co za prefabrykowany styl, mieszkanie w tym samym domu, ułożyłem sprawy w taki sposób, aby być samemu, gdy zechcę, przekazujący zgniłe pomysły przechodzące z ręki do ręki, z pokolenia na pokolenie, *te voilà* rozkoszować się zaś rodzinnym ciepłem wtedy, kiedy mi będzie na tym zależało. Ów zacny *en pleine écholalie*[62]. *Rozkoszować się rodzinnym ciepłem,* ależ to piękne, niech mnie szlag pan mieszkał - powinienem raczej powiedzieć: mieszkaliśmy - w dzielnicy, którą zbudowano trafi, jeżeli to nie jest piękne! Ach, Maga, jak mogłaś przełknąć to świństwo! I co do cholery w miejscu dawnego Pósito. Mieszkaniem mego wuja był zatem mezanin w cenie jest Pósito? Ciekaw jestem, ile czasu spędzałaś czytając takie rzeczy, najpewniej 18000 reali miesięcznie, piękny i wesoły, jakkolwiek nie nazbyt przestronny dla aż tak licznej przeświadczona, że jest to „samo życie", i miałaś rację, to jest samo życie, dlatego trzeba by z rodziny. Ja wynająłem sobie mieszkanie na parterze, nie tak duże jak mezanin, lecz bardzo tym skończyć. (Mezanin - a to znowu co takiego?). A czasami, kiedy już obejrzałem gablota obszerne jak na mnie samego, i urządziłem je luksusowo instalując wszystkie komfortowe po gablocie cały egipski dział Luwru i wracałem do domu spragniony mate i chleba z urządzenia, do jakich byłem przyzwyczajony. Dzięki Bogu, moja fortuna pozwalała mi na to marmoladą, zastawałem cię z twarzą przyklejoną do szyby, z grubym książczydłem w ręku,

[62] *Te voilà en pleine èchola*lie (franc.) - (dosł.) i już jesteś w całkowitej echolalii; czyli: mimowolnie powtarzasz zasłyszane słowa i zwroty.

bez uszczerbku. Moje pierwsze wrażenia z Madrytu, gdzie nie byłem od czasów Gonzalesa niekiedy niemal we łzach, nie przecz mi, płakałaś, bo właśnie komuś okrutnie ucięto głowę, i Bravo, przewyższyły moje najśmielsze oczekiwania. Byłem dosłownie oszołomiony pięknem tuliłaś się do mnie z całych sił, pytając, gdzie byłem, ale nie mówiłem ci. W Luwrze jesteś i rozległością nowych dzielnic, sprawnością sieci komunikacyjnej, korzystnymi zmianami w tylko ciężarem, nie można zwiedzać mając cię u boku, twoja ignorancja, biedne dziecko, wyglądzie budynków, ulic, a nawet ludzi. Śliczne małe ogródki pozakładano w miejscach, mogła popsuć mi całą przyjemność, i właściwie to moja wina, że czytałaś tę haniebną szmirę, gdzie kiedyś były stare, pełne kurzu place, wspaniałe domy bogaczy, różnorodne, dobrze za bo jestem egoistą *(stare, pełne kurzu place* - w porządku, to przywodzi na myśl place w opatrzone sklepy, niczym w Paryżu czy Londynie, wreszcie rozliczne wykwintne teatry dla prowincjonalnych cichych miasteczkach, ulice w La Rioja w 1942 roku, wzgórza fiołkowe o wszystkich klas, gustów i budżetów. Te i wiele innych rzeczy, które zaobserwowałem później zachodzie, uczucie szczęścia, jakiego się doznaje będąc gdzieś samemu na skraju świata) i poprzez kontakty towarzyskie, sprawiły, że oceniłem szybkie postępy, jakie nasza stolica po *rozliczne wykwintne teatry!* Co on bredzi? Tu wymienia Paryż i Londyn, omawia gusta i czyniła od 1868 roku, postępy podobne raczej kapryśnym wyskokom niż stałemu zmierzaniu fortuny, widzisz, Maga, no, sama widzisz, jak moje oczy z ironią przesuwają się po naprzód tych, którzy wiedzą, dokąd dążą; niemniej jednak zdobycze te były całkowicie re wierszach, które ty odczytywałaś z przejęciem, przekonana, że zdobywałaś wszechstronną alne. Jednym słowem nos mój zwietrzył niejako zapach europejskiej kultury, dobrobytu, a kulturę czytając hiszpańskiego autora, którego zdjęcie figurowało na obwolucie, w dodatku nawet bogactwa, pracę.

facet mówił o zapachach europejskiej kultury, co już do reszty przekonywało cię, że tego

Mój wuj jest znanym businessmanem w Madrycie, w minionych latach zajmował wy rodzaju lektury pozwolą ci zdobyć mikro- i makrokosmos, i prawie zawsze, zaledwie sokie stanowiska w administracji, najpierw był konsulem, później attaché ambasady, po czym wracałem do domu, wyciągałaś szufladę biurka - bo przecież miałaś biurko, zawsze musiałaś małżeństwo zmusiło go do zajęć związanych z Dworem. Przez jakiś czas prowadził sprawy mieć biurko, jakkolwiek nigdy nie doszedłem, do czego mogło ci służyć - z szuflady skarbu pod opieką i kierunkiem Bravo Murillo, wreszcie potrzeby rodziny skłoniły go do za wyciągałaś na przykład poematy Tristana L'Hermite albo też dysertację Borysa Schloezera i miany małodusznego spokoju, jaki daje stała pensja, na ryzyko i nadzieje związane z podję pokazywałaś mi je z niepewną, a zarazem dumną miną kogoś, kto właśnie nabył jakieś

ciem pracy na własny rachunek. Był umiarkowanie ambitny, prawy, aktywny, inteligentny, wielkie dzieła i teraz zamierza je czytać. Nie było sposobu wytłumaczyć ci, że w ten sposób ustosunkowany, i zaczął pośredniczyć w wielkich transakcjach. Po krótkim czasie był zado nigdy do niczego nie dojdziesz, że na pewne rzeczy jest za późno, na inne za wcześnie; będąc wolony, że porzucił teczki z aktami. Żył z nich wprawdzie, budząc te, które drzemały w ar w samym środku radości i odprężenia, byłaś równocześnie o włos od rozpaczy, twoje chiwach, nadając impuls tym, które zawsze zalegały na biurkach, kierując na właściwe tory zawiedzione serce tonęło we mgle. *Nadając impuls tym, które zalegały na biurkach!* No nie, z te, które poszły nieodpowiednią drogą. Jego przyjaźnie z przedstawicielami obu stron, podob takimi rzeczami nie mogłaś przecież na mnie liczyć, twoje biurko było przecież twoim nie jak szacunek, którym się cieszył we wszystkich resortach, były mu pomocą. Żadne drzwi biurkiem, ani cię za nie nie pchałem, ani zza niego nie wyciągałem, po prostu obserwowałem, nie były dla niego zamknięte. Można było nawet sądzić, że portierzy w różnych instytucjach jak czytałaś swoje romanse, oglądałem okładki i ilustracje tych tomików, a ty miałaś nadzieję, zawdzięczają mu swoje istnienie, okazywali mu bowiem synowskie przywiązanie i szacunek i że usiądę przy tobie i wytłumaczę ci, dodam ci ducha, zrobię to, czego każda kobieta otwierali przed nim wszystkie drzwi tak szeroko, jakby to były drzwi do jego własnego gabi oczekuje od każdego mężczyzny, żeby zawiązał jej sznureczek w pasie i *nadał impuls,* który netu. Słyszałem, że w pewnych okresach zarabiał bardzo dużo, ujmując w swoje aktywne oderwałby ją od chęci robienia na drutach i mówienia, bez końca mówienia o niczym, co jest dłonie sprawy dotyczące kopalń i kolei. W innych natomiast wypadkach jego nienaganna waszą wspaniałą specjalnością. Popatrz, jakie ze mnie bydlę! Nie mam powodów do dumy, uczciwość była mu zawadą. Kiedy osiedliłem się w Madrycie, jego egzystencja była dostat nie mam już nawet ciebie, sam się uparłem, by cię stracić (nawet nie stracić, na to musiałbym nia, ale niezbytkowna. Na niczym mu nie zbywało, ale nie miał za dużo, co w rzeczywistości cię najpierw zdobyć). *Zbytkowna.* Od jak dawna nie słyszałem tego słowa, jakże ubożeje nie było synekurą dla człowieka, który po latach ciężkiej pracy zbliżał się do końca swoich język w Argentynie; gdy byłem chłopcem, znałem o wiele więcej słów niż obecnie, czytałem dni. Był w owym czasie człowiekiem, wyglądającym na więcej lat, niż miał w istocie, zawsze te same powieści, stwarzałem w sobie bogaty słownik, całkowicie nieprzydatny do nienagannie dystyngowany w stylu eleganckich młodych ludzi owego czasu, rzeczywiście czegokolwiek innego. No bo na przykład: *nienagannie dystyngowany* - rzeczywiście! Ciekaw idealnie ogolony, co było aktem lojalności w stosunku do poprzedniej generacji, do której jestem, czy przeżywałaś to, co się dzieje w tej książce, czy też używałaś jej tylko jako

należał. Jego czar i jowialność, zawsze w subtelnej równowadze, nigdy nie miały w sobie nic odskoczni dla twych odjazdów w pełne tajemnic paraże, których ci tak zazdrościłem, jak ty z poufałości ani też dezynwoltury. To, co było w nim najlepsze - ujawniało się w czasie roz mnie moich włóczęg po Luwrze, o które mnie tylko podejrzewałaś, bo nie mówiłem ci o nich mowy, ujawniały się w niej jednak i pewne defekty, gdyż wiedząc, jak dobrze umie mówić, ani słowa. I w ten sposób zbliżaliśmy się coraz bardziej do tego, co musiało nastąpić w pozwalał sobie na opisywanie każdego detalu, tak że jego relacje przedłużały się w nieskoń chwili,w której zrozumiałabyś w pełni, że zamierzałem oddać ci tylko część mego czasu i czoność. Niekiedy czynił to od samego początku i przyozdabiał swoje opowieści w tak dzie życia, *i jego relacje przedłużały się w nieskończoność,* tak, właśnie to, robię się nudny, nawet cinne drobiazgi, że w końcu zmuszało to słuchacza do zaklinania go, aby, na Boga, się stresz kiedy wywołuję wspomnienia. Ale jak ślicznie wyglądałaś w oknie, z szarością nieba czał. Kiedy opowiadał o polowaniu (co praktykował ze szczególnym zamiłowaniem), upły odbijającą się na policzkach, z książką w ręku, z ustami zawsze nieco łapczywie uchylonymi i wało tyle czasu między naciśnięciem cyngla a wystrzałem, że myśli słuchacza odbiegały bar wzrokiem pełnym wątpliwości. Było w tobie tyle straconego czasu, byłaś tak bardzo dzo daleko i finalne „paf" spadało na niego jak uderzenie gromu. Nie wiem, czy powinienem kształtem czegoś, czym byłabyś mogła być w innym układzie, że obejmowanie cię i uznać za fizyczną niedomogę chroniczne podrażnienie jego kanalików łzowych, które dawały posiadanie stawało się czymś zbyt tkliwym, zbyt graniczącym z dobroczynnością, i tu złudzenie, że nie tylko płacze, ale ponadto smarka się i ślini. Nie znam nikogoinnego, kto by oszukiwałem się sam, bo pozwalałem sobie na głupią zarozumiałość intelektualisty, który miał równie bogatą kolekcję chustek do nosa, dlatego też oraz ze względu na zwyczaj nie uważa się za wyposażonego w zdolność rozumienia (*nie tylko płacze, ale jeszcze smarka się i* ustannego trzymania w prawej ręce białej płóciennej szmatki, mój przyjaciel pochodzący z *ślini* - to rzeczywiście zbyt odrażające!). Zdolność rozumienia, och, Maga, naprawdę można Andaluzji, wesołek i kpiarz, ale dobry człowiek, o którym poniżej będzie mowa, nazywał się uśmiać. Słuchaj, ale to jest dla ciebie, nie mów o tym nikomu innemu, Maga - tym pustym mojego wuja „Weroniką"

kształtem byłem ja, ty drżałaś jak płomień swobodny i czysty, jak strumień rtęci, jak trel ptaka,

Okazywał mi on prawdziwą serdeczność i w pierwszym okresie mojego pobytu w rozdzierający świtanie, i dobrze jest mówić ci to wszystko słowami, które fascynowały cię, Madrycie był zawsze u mego boku i szedł mi na rękę w setkach drobiazgów. Kiedy rozma bo nie wierzyłaś w to, by w ogóle mogły istnieć poza wierszami, a przecież mieliśmy pełne

wialiśmy o rodzinie, a ja wspominałem dzieciństwo i ojca, wuja ogarniało nerwowe podnie prawo ich używać. Gdzie jesteś teraz, gdzie będziemy oboje, dwa punkty w niezbadanym cenie, gorączkowy entuzjazm dla wybitnych osobistości, które rozsławiły imię Bueno de wszechświecie, bliskie czy dalekie - dwa punkty, które tworzą linię, dwa punkty, które na Guzmán, i wyjmując chusteczkę zaczynał nie kończące się historie. Uważając mnie za przemian oddalają się od siebie i zbliżają *(wybitne osobistości, które rozsławiły imię Bueno* ostatniego potomka męskiego linii tak bogato wyposażonej w wybitne postacie, dogadzał mi *de Guarnan,* no nie, Maga, co za piekielna pretensjonalność, jak mogłaś kiedykolwiek nieprawdopodobnie i psuł, jakbym był dzieckiem, mimo moich trzydziestu sześciu lat. Biedny przebrnąć poza piątą stronę!), chociaż nie będę ci tłumaczył, co to są „ruchy Browna", no wuj! W tych objawach serdeczności, powodujących wzmożone łzawienie jego oczu, nie, tego nie będę ci przecież tłumaczył, wiedz jednak, że my oboje, Maga, odkrywałem ukrywane, lecz prawdziwe cierpienie, cierń głęboko tkwiący w sercu tego tworzymy coś w rodzaju figury, ty - punkt umieszczony w jakimś miejscu, ja - inny wspaniałego człowieka. Nie wiem właściwie, jak uczyniłem to odkrycie, ale miałem taką punkt w drugim, oba przemieszczające się w stosunku do siebie, ty - prawdopodobnie teraz na pewność istnienia tej ukrytej rany, jakbym ją był widział na własne oczy albo dotknął ręką. rue de la Huchette, podczas gdy ja odnajduję tę powieść w twym opuszczonym pokoju, jutro Było to ciężkie zmartwienie, przytłaczający go żal, że nie zostałem mężem żadnej z jego ty na Gare de Lyon (jeżeli jedziesz do Lukki, jedyna moja), ja na rue du Chemin Vert, gdzie trzech córek; przykrość nie do powetowania, albowiem wszystkie trzy - o bólu - były już odkryłem wcale niezłe winko - i tak, po trochu, Maga, figura nasza staje się coraz bardziej zamężne.

absurdalna, a nasze ruchy szkicują coś podobnego do rysunków much, przelatujących z pokoju do pokoju, stąd tam, nagle zawracają - stamtąd tu, i to właśnie nazywa się „ruchami Browna", teraz rozumiesz? Kąt prosty, linia, która się wznosi stąd tu, z tyłu do przodu, w górę i w dół, gwałtownie, nagle hamując i niespodziewanie startując w odwrotnym kierunku - tworząc obraz, figurę, coś równie nie istniejącego jak ty, jak ja, jak dwa zagubione w Paryżu punkty, przesuwające się stąd tam, stamtąd tu, rysujące swój obraz, tańczące dla nikogo, nawet nie dla siebie samych, nie kończący się rysunek, pozbawiony sensu.

35

Tak, tak Babs. Tak, tak Babs. Tak, Babs, kochanie, zgasimy światło, śpij dobrze, dobranoc, baranki, jeden za drugim, już minęło, dziecinko, przeszło, minęło. Wszyscy są źli dla biednej Babs, wystąpimy z klubu, żeby ich ukarać, wszyscy tacy źli dla biednej Babsiulki, Etienne zły i Perico zły, i Oliveira zły, Oliveira najgorszy ze wszystkich, inkwizytor, jak mądrze powiedziała śliczna, kochana Babs. Tak, Babs, tak. Śpij, Babs, śpij. *Rock-a-bye, baby.* Taraluralura. Tak, Babs, tak. Coś musiało się wreszcie zdarzyć, nie można współżyć z takimi ludźmi, żeby się nic nie zdarzyło. Cicho, malutka, cicho, śpij. Klub się skończył na pewno, Babs, na pewno się skończył. Nigdy więcej nie zobaczymy Horacia, perwersyjnego Horacia. Tej nocy klub rozwalił się jak podrzucony naleśnik, który przykleja się do sufitu. Możesz schować patelnię, Babs, już nie spadnie, nie denerwuj się. Cicho, *darling,* nie płacz już. Boże, jak strasznie się urżnęłaś, nawet dusza śmierdzi ci koniakiem.

Ronald zsunął się trochę niżej i ułożył koło Babs zasypiając. Klub, Osip, Perico... Rekapitulujemy: wszystko zaczęło się dlatego, że wszystko musiało się już skończyć, zazdrośni bogowie, sadzone jajko i Oliveira, konkretnie wszystkiemu było winne to przeklęte jajko sadzone, według Etienne'a niepotrzebnie je wyrzucili, było przepiękne z tymi metalicznymi zieleniami, i Babs uczesana à la *Hokusai*: jajko śmierdziało zgnilizną, że skonać, jak można było żądać, żeby klub obradował z tym jajkiem pod nosem, i nagle Babs wybuch-nęła płaczem, koniak dosłownie strzykał jej uszami i Ronald zrozumiał, że podczas dyskusji o nieśmiertelności sama jedna wypiła przeszło pół butelki koniaku, historia z jajkiem jeszcze jej pomogła i nikogo nie zdziwiło (a Oliveirę jeszcze mniej niż innych), że z jajka powoli przeniosła się na przeżuwanie pogrzebu i pomiędzy czkawką a jakimś dziwnym trzepotem wyrzucała z siebie sprawę dziecka i całą resztę. Daremnie Wong rozstawiał parawany uśmiechów między nią a roztargnionym Oliveirą, daremnie wychwalał *La rencontre de la langue d'oil, de la langue d'oc et du franco-provençal entre Loire et Allier - limites phonétiques et morphologiques*[63] - dzieło S. Escoffiera, niesłychanie interesujące, jak podkreślał, delikatnie popychając Babs w stronę korytarzyka, ale nic to nie pomogło i Oliveira dowiedział się, że jest inkwizytorem, i uniósł brwi z miną zdziwioną i zaskoczoną, porozumiewając się spojrzeniem z Gregoroviusem, tak jakby ten ostatni mógł mu te epitety wyjaśnić. Klub wiedział, że raz puszczona w ruch Babs zmieniała się w katapultę, już się to nieraz zdarzało; pozostawało jedynie czekać, aż czas zrobi swoje, żaden płacz nie jest wieczny, wdowy

[63] *La rencontre...*- Zetknięcie się *langue d'oil, langue d'oe i* franko-prowansalskiego między Loarą i Allier - granice fonetyczne i morfologiczne.

powtórnie wychodzą za mąż. Nie było rady, pijana Babs oscylowała wśród klubowych płaszczy i szalików, wracała z przedpokoju, chciała załatwiać porachunki z Oliveira - moment świetnie wybrany, żeby wymyślać mu od inkwizytorów, tłumacząc płaczliwie, że w swoim pieskim życiu nie spotkała nikogo podlejszego, bezduszniejszego, większego skurwysyna, sadysty, kata, rasisty niezdolnego do najelementarniejszej przyzwoitości, śmierdziela, gówniarza, ohydnego syfilityka. Epitety, które napełniły rozkoszą Perica i Etienne'a, sprzecznymi zaś uczuciami pozostałych, włącznie z adresatem.

Był to cyklon Babs, tornado w szóstym *arrondissement, puré* z walących się domów, klub pochylał głowy, chował je w ramiona, nerwowo chwytał za papierosy. Kiedy Oliveira mógł wreszcie dojść do słowa, zapadła wielka teatralna cisza. Oliveira oznajmił, że mały obrazek Nicolas de Staël wydaje mu się prześliczny i że Wong, skoro tyle pieprzył na temat dzieła Escoffiera, powinien przeczytać je i streścić na następnym posiedzeniu klubu. Babs znowu nazwała go inkwizytorem, Oliveirze zaś musiało przyjść na myśl coś zabawnego, bo uśmiechnął się. Babs uderzyła go w twarz. Klub przedsięwziął szybkie środki zaradcze, ona zaś wybuch-nęła głośnym płaczem, delikatnie przytrzymywana przez Wonga, oddzielającego ją od rozwścieczonego Ronalda. Klub otoczył kołem Oliveirę, zostawiając na zewnątrz Babs, która zgodziła się: 1) usiąść w fotelu, 2) przyjąć chustkę Perica. Mniej więcej w tym momencie wyłoniła się sprawa rue Monge i Magi-Dobrej Samarytanki. Ronaldowi, któremu w sennym wspomnieniu tego seansu klubu latały przed oczami wielkie zielone plamy, wydawało się, że Oliveira sprawdzał u Wonga, czy naprawdę Maga zamieszkała w jakimś *meublé* przy rue Monge, i Wong, zdaje się, powiedział, że nie wie, czy też, że tak, a wtedy ktoś, prawdopodobnie Babs ze swego fotela, zaczął wśród szlochów znowu mu wymyślać, ciskając w twarz poświęcenie Magi-Dobrej Samarytanki u wezgłowia chorej Poli, i zdaje się, że właśnie wtedy Oliveira zaczął się śmiać patrząc na Gregoroviusa i poprosił o więcej szczegółów na temat poświęcenia Magi-pielęgniarki, i spytał, czy naprawdę mieszka na rue Monge i pod jakim numerem, te tam zwykłe szczegóły.

Teraz Ronald usiłował wyciągnąć rękę i ułożyć ją między nogami Babs, która pomrukiwała jakby z oddali, lubił zasypiać z ręką w tych ciepłych rejonach, ach, ta prowokatorka Babs, przyspieszająca rozwiązanie klubu, trzeba będzie jej dobrze nagadać, bo tak się nie robi. Ale cały klub już otaczał Oliveirę, niby na jakimś wstydliwym sądzie, z czego Oliveira zdał sobie sprawę, zanim jeszcze zrobił to klub, i stojąc w środku koła, z papierosem w ustach, z rękami w kieszeniach kanadyjki, nagle wybuchnął śmiechem, po czym zapytał (nie zwracając się specjalnie do nikogo, a patrząc trochę ponad głowami otaczających), czy klub oczekuje od niego *amende honorable* albo czegoś w tym rodzaju, ale klub w pierwszym

momencie nie zrozumiał albo udał, że nie rozumie, o co mu chodzi, prócz jednej Babs, która z fotela, na którym przytrzymywał ją Ronald, znowu zaczęła wymyślać mu od inkwizytorów, co o tak późnej porze zabrzmiało niemal pogrzebowo. Wtedy Oliveira przestał się śmiać i, jakby nagle zdecydował się przyjąć wyrok (jakkolwiek nikt go nie sądził, klub nie zajmował się takimi rzeczami), cisnął papierosa na ziemię, przydeptał butem, a po chwili, zaledwie usuwając ramię, aby uniknąć ręki Etienne'a, niezdecydowanie się ku niemu wyciągającej, bardzo cicho oznajmił, że nieodwołalnie występuje z klubu i że cały wyżej wymieniony klub, od niego poczynając, a na wszystkich pozostałych kończąc, ma głęboko w dupie. *Dont acte.*

(121)

36

Do rue Dauphine nie było daleko, może jednak warto by sprawdzić informacje Babs. Gregorovius z pewnością od pierwszej chwili wiedział, że Maga, wariatka jak zawsze, pójdzie odwiedzić Polę. Caritas. Maga-Dobra Samarytanka. Czytaj „Rycerza Niepokalanej". Czyż zdarzył jej się dzień bez dobrego uczynku? Śmiechu warte. Ech, wszystko było śmiechu warte, a raczej wszystko było jednym wielkim śmiechem, który nazywa się „historią". Pójść na rue Dauphine, cicho zapukać do pokoiku na najwyższym piętrze, a pojawi się Maga, a raczej siostra Luisa, z nocnikiem w ręku albo z irygatorem. Nie, nie można widzieć się z chorą, jest za późno, chora już śpi. To chyba rzeczywiście przesada, *vade retro, Asmodeus.* Albo pozwolą mu wejść, zrobią kawy (nie, to jeszcze gorzej), w jakimś momencie obie wybuchną płaczem, a że to z pewnością zaraźliwe, więc już we troje będą płakać tak długo, aż wzajemnie sobie przebaczą, a wtedy rzeczywiście wszystko będzie możliwe - odwodnione kobiety bywają potworne. Albo każą mu odmierzać pipetką dwadzieścia kropel belladony...

- Powinienem iść - zwrócił się Oliveira do czarnego kota na rue Danton. - Coś w rodzaju estetycznego obowiązku. Uzupełnienie. Trójka - prawdziwa cyfra. Nie należy tylko zapominać o Orfeuszu; a może zgolić głowę, posypać ją popiołem i wziąć mały garnuszek na jałmużnę? Już przestałem być tym, który kiedyś znał was, o kobiety! Histrion. Mim. Noc Empuz i Lamii, diabelskich cieni, końca Wielkiej Gry. Jakież to męczące, ciągle być sobą! Wręcz niedopuszczalne! Napisane jest, że nigdy ich więcej nie zobaczę. O *toi, que voilà, qu'as tu fait de ta jeunesse?*[64] Inkwizytor, rzeczywiście, ta ma pomysły! Jeżeli już - to autoinkwizytor, *et encore...* Najwłaściwsze określenie: zbyt miękki. Chociaż straszliwa jest miękka inkwizycja, tortury z manny, stosy z tapioki, ruchome piaski, meduza przyssana chyłkiem. Meduza chyssana przyłkiem. A pod tym wszystkim litość. Ja, który uważałem się za bezlitosnego... Nie można pragnąć tego, czego ja pragnę, i tak, jak tego pragnę, a w dodatku dzielić z kimś życia. Należałoby umieć być samotnym, a tamtym uczuciom zostawić swobodę działania, niechby uratowały mnie lub zniszczyły, lecz bez rue Dauphine, bez śmierci małego, bez klubu i całej reszty. Nie uważasz, bracie?

Kot nie odpowiedział ani słowa.

Nad Sekwaną nie było tak zimno jak na ulicach i Oliveira podniósłszy kołnierz zszedł popatrzyć na rzekę. Jako że nie należał do tych, co się rzucają do wody, poszukał mostu, pod którym mógłby się schronić i chwilę pomyśleć o kibucu, myśl o kibucu, o kibucu pożądań, od jakiegoś czasu nie dawała mu spokoju. „Ciekawe, jak jakieś wyrażenie zaczyna w człowieku

[64] O *toi, que voilà...* (franc.) - Cóżeś uczynił, o powiedz, z twojej młodości? (P. Verlaine, *Księga mądrości,* tłum. A. Stolan).

kiełkować, pozornie zupełnie bez sensu, na przykład: kibuc pożądań - aż za trzecim razem jego ukryte znaczenie zaczyna się powoli wyjaśniać i nagle czuje się, że to wcale nie jest absurd (bo na przykład zdanie: Nadzieja, ta <<gruba Palmira>> - jest tak bezsensowne, jak hałaśliwe burczenie w brzuchu) i że kibuc pożądań nie ma w sobie nic głupiego, że po prostu jest skrótem, co prawda dość hermetycznym, bezsensownej włóczęgi. Kibuc: kolonia, *settlement,* zakorzenienie, miejsce wybrane na ostatni biwak, miejsce, gdzie nocą czas obmyje ci twarz, gdzie złączysz się ze światem, z Wielkim Szaleństwem, z Olbrzymią Głupotą, gdzie otworzysz się na krystalizację pragnień, na spotkanie. Huwaga, Horacio" - hostrzegł się Holiveira husiadłszy na parapecie przęsła, skąd mógł przysłuchiwać się chrapaniu kloszardów, dochodzącemu spod gór gazet i worków.

Choć raz pogrążenie się w melancholii nie było bolesne. Zapaliwszy nowego papierosa, który go rozgrzał, pośród pochrapywań dobiegających jakby spod ziemi, zaczął opłakiwać odległość nie do przebycia, dzielącą go od jego kibucu. Przyjąwszy, że nadzieja nie była niczym więcej niż grubą Palmirą, nie należało się łudzić. Odwrotnie: wykorzystać chłód nocy, aby jasno, z precyzją gwiezdnych konstelacji, które miał nad głową, zdać sobie sprawę, że niejasne poszukiwania, w których był pogrążony, zawiodły i że może na tym właśnie polegało jego zwycięstwo - po pierwsze, ponieważ było na jego poziomie (istniały chwile, w których Oliveira oceniał samego siebie jako dość udany okaz ludzkiego gatunku), a po drugie, bo kibuc, którego szukał, był czymś niesłychanie odległym, cytadelą osiągalną jedynie za pomocą jakiejś bajecznej broni, nie zaś „duszy" Zachodu, intelektu, tych wszystkich sił wyniszczonych własnymi kłamstwami, jak to pięknie określano w klubie, tych alibi człowie-ko-zwierzęcia, wpędzonego na drogę bez powrotu. Kibuc pożądań, nie zaś duszy ani intelektu. I jakkolwiek pożądanie także było niedokładnym określeniem niepojętych sił, czuł, że było obecne, obecne zarówno w każdym błędzie, jak w każdym skoku naprzód; to znaczyło być człowiekiem, nie ciałem albo duszą, a właśnie tą nierozdzielną całością, tym ciągłym potykaniem się o własne braki, o to wszystko, co skradziono poetom, wraz z gwałtowną nostalgią za jakimś krajem, gdzie życie wymagałoby innych kompasów, zaczynało się od innych imion. Nawet gdyby śmierć stała tuż za rogiem z podniesioną miotłą, nawet gdyby nadzieja nie była niczym więcej niż grubą Palmirą. I chrap, a od czasu do czasu pierdnięcie.

Wobec tego zmylenie drogi było mniej znaczące, niż gdyby wyruszył na poszukiwania kibucu z mapami Towarzystwa Geograficznego, z autentycznymi, sprawdzonymi busolami, pokazującymi północ na północy, zachód na zachodzie; wystarczyło zrozumieć, że w końcu jego kibuc nie był bardziej nieosiągalny o tej porze, na tym zimnie i

po tych wszystkich dniach, niż gdyby poszukiwał go zgodnie ze wskazówkami plemienia, unikając rzuconego mu w oczy epitetu inkwizytora, unikając policzka, unikając ludzkich łez, wyrzutów sumienia, chęci, by wszystko cisnąć w czorty i wrócić do swojej książeczki wojskowej i do zacisza osłaniającego każde intelektualne lub moralne zamierzenie. Może umrze nie znalazłszy swego kibucu, ale ten kibuc istnieje, daleko, ale istnieje, on wie, że istnieje, bo jest dzieckiem jego pragnienia, tak jak świat czy wyobrażenie świata są też pragnieniem (jego pragnieniem czy też pragnieniem samym w sobie, co o tej godzinie nie ma większego znaczenia). Po czym już można było zakryć twarz rękami, z małą tylko szpareczką na papierosa, i pozostać nad brzegiem rzeki pomiędzy włóczęgami, z myślą o swoim kibucu.

Kloszardka zbudziła się ze snu, w którym ktoś powtarzał jej bez przerwy: *Ça suffit, conâsse*[65], i zrozumiała, że Celestyn zabrał się w środku nocy wraz z dziecinnym wózkiem pełnym puszek sardynek (w nie najlepszym stanie), które po południu dostała od kogoś w dzielnicy Marais. Toto i Lafleur spali jak krety, ponakrywani workami, a nowy siedział na kamiennej ławce, z papierosem w zębach. Świtało.

Kloszardka pozdejmowała z siebie kolejne nakłady „France-Soir", którymi była nakryta, i chwilę drapała się w głowę. O szóstej dawali gorącą zupę na rue du Jour. Celestyn pewnie zjawi się na zupie, to będzie mogła odebrać mu sardynki, jeżeli jeszcze nie opchnął ich Piponowi albo La Vase.

- Cholera - powiedziała zabierając się do skomplikowanego wyczynu podniesienia się z ziemi. - Y *a la bise, c'est cul.*[66]

Owinąwszy się czarnym paltem, które sięgało jej do kostek, podeszła do nowego. Nowy zgodził się z nią, że zimno było chyba jeszcze gorsze niż policja. Kiedy podawał jej zapalonego papierosa, przeszło jej przez myśl, że skądś go zna. Nowy powiedział, że on także ją skądś zna, i obojgu bardzo się spodobało, że rozpoznali się o tak wczesnej porze. Usiadłszy na sąsiedniej ławce, uznała, że jeszcze jest za wcześnie, żeby iść na zupę. Przez chwilę omawiali zupy, jakkolwiek nowy nie miał na ten temat nic do powiedzenia i trzeba było mu wyłożyć, gdzie dają najlepsze; rzeczywiście był nowy, ale interesował się wszystkim i może nawet odważyłby się odebrać Celestynowi sardynki. Powiedziała mu o sardynkach; obiecał, że jak tylko spotka Celestyna, to się o nie upomni.

- Ale on zaraz wyciągnie haka - uprzedziła kloszardka. - Trzeba przedtem szybko dać mu czymś w łeb. Tonią musieli zszywać w pięciu miejscach, wrzeszczał, że w Pon-toise było słychać. *C'est cul, Pantoise* - dodała, dając się ogarnąć nostalgii.

[65] *Ça suffit...* - (franc.) - Dosyć, przeklęta mordo.
[66] *Y a la bise...* (franc.) - Ale wieje, kurwa mać.

Nowy patrzył na dzień wschodzący nad cypelkiem du Vert-Galant, na wierzbę wyłaniającą z mgły swoje delikatne pajęczyny. Kiedy kloszardka zapytała, dlaczego trzęsie się w takiej fajnej kanadyjce, wzruszył ramionami i poczęstował ją papierosem. Palili sobie jednego za drugim, rozmawiając i patrząc na siebie życzliwie. Ona opowiadała mu o zwyczajach Celestyna, on zaś przypominał sobie czasy, kiedy widywał ich objętych na różnych ławkach i balustradach wzdłuż Pont des Arts, na rogu koło Luwru naprzeciw tygrysowatych platanów, pod arkadami Saint-Germain-l'Auxerrois, a jakiejś nocy na ulicy Gît-le-Coeur, kiedy na przemian całowali się i bili, straszliwie pijani, Celestyn w malarskiej bluzie, ona jak zawsze w kilku spódnicach i kilku paltach, podtrzymująca zwoje jakiegoś materiału, spod których wyłaniały się kawałki rękawów i złamanej trąbki, tak zakochana w Celestynie, że to było wręcz rozczulające, obsmarowująca go od góry do dołu różem i czymś w rodzaju tłuszczu, oboje przeraźliwie zagubieni w swojej publicznej idylli; kiedy w końcu skręcili w rue de Nevers, Maga powiedziała: „To ona go kocha, tamtemu jest to zupełnie obojętne” - i spojrzała na niego przelotnie, a potem schyliła się, aby podnieść kawałek zielonego sznurka, który owinęła sobie dookoła palca.

- O tej porze nie jest zimno - mówiła kloszardka chcąc mu dodać kurażu. - Pójdę zobaczyć, czy Lafleurowi nie zostało trochę wina. Wino jakoś pomaga strawić noc. Celestyn zabrał mi moje dwa litry, no i te sardynki... Nie, nic mu nie zostało. Pan jest porządnie ubrany, mógłby pan iść i przynieść litra od Habeba. I bułkę, gdyby wystarczyło forsy. - Nowy podobał się jej, jakkolwiek w gruncie rzeczy wiedziała, że to nie jest żaden nowy, był porządnie ubrany i mógł spokojnie iść i oprzeć się o bar u Habeba, i pić sobie jedno pernod za drugim, i klienci nie protestowaliby, że im śmierdzi albo że im jeszcze tam coś.

Nowy w dalszym ciągu palił, nieuważnie przytakując, ale myślami był gdzie indziej. Znajoma twarz. Celestyn od razu by go poznał, bo Celestyn co do twarzy...

- O dziewiątej naprawdę robi się zimno. Ciągnie od błota z dołu. Ale można już iść na zupę. Nie jest najgorsza.

[A kiedy tamci już znikali w głębi rue de Nevers, kiedy dochodzili być może akurat do tego miejsca, w którym wóz przejechał Pierre'a Curie („Pierre Curie?” - zapytała Maga zdumiona i jak zawsze skora do nauki), oni powoli odwrócili się w stronę wysokiego brzegu rzeki i oparli o skrzynkę bukinisty, jakkolwiek skrzynki bukinistów w nocy zawsze wydawały się Oliveirze pogrzebowe, rząd zapasowych trumien ustawionych na kamiennej balustradzie, a jednej nocy, kiedy sypał śnieg, zabawili się w pisanie kijkiem na wszystkich blaszanych skrzynkach RIP, ale policjantowi raczej nie spodobał się ten żarcik i powiedział im to, używając słów w rodzaju „szacunek” i „turystyka”. Dlaczego ta ostatnia - raczej trudno

zgadnąć. W owych dniach wszystko było jeszcze kibucem albo choćby możliwością kibucu: i chodzenie po ulicy, i pisanie *Requiescat in Pace* na skrzynkach bukinistów, i zachwyt nad zakochaną kloszardką, wszystko włączało się w niejasną listę ćwiczeń pod włos, które należało wykonać, zaaprobować, mieć za sobą. I tak oto było, i było zimno, i nie było kibucu. Nic tylko kłamstwo, że kupiwszy jej u Habeba butelkę czerwonego wina, sam sobie zrobi kibuc taki jak u Kubła Khana, chociaż jest niejaka różnica pomiędzy *laudanum* a sikaczem starego Habeba.]

In Xanadu did Kubla Khan
A stately pleasure-dome decree.[67]

- Zagranicznik - powiedziała kloszardką, już z mniejszą sympatią dla nowego. - Hiszpan albo nawet Włoch...

- Mieszanka - powiedział Oliveira starając się mężnie znieść jej zapach.

- I pracuje, to się widzi - oskarżyła go.

- E, nawet nie. Prowadziłem książki dla jednego starego, ale od jakiegoś czasu już do niego nie chodzę.

- Praca nie hańbi, byle nie nadużywać. Kiedy byłam młoda...

- Emmanuèle - powiedział nagle Oliveira, opierając rękę tam, gdzie pod łachmanami powinno było być jej ramię. Wstrząsnęła się na dźwięk swego imienia i spojrzała na niego z ukosa, a potem z kieszeni palta wyjęła kawałek lusterka i obejrzała sobie usta. Oliveira zastanowił się, jak nieprawdopodobny łańcuch okoliczności doprowadził do tego, że miała utlenione włosy. Operacja malowania ust koniuszkiem pomadki pozostawiła mu aż za dużo czasu, by po raz nie wiem który nawymyślać sobie od idiotów. Ręka na ramieniu po nauczce z Berthe Trépat! I to z wiadomym rezultatem! Zasłużył na własnonożnego kopa w dupę, który by wywrócił go na lewą stronę jak rękawiczkę. *Cretinaccio,* idiota, złamany kutas. RIP. RIP. *Malgré le tourisme.*

- A skąd pan wie, że mi na imię Emmanuèle?

- Nie pamiętam. Pewno ktoś mi powiedział...

Emmanuèle wyciągnęła pudełko od pastylek Váida pełne różowego pudru i zaczęła nacierać sobie lewy policzek. Gdyby był tu Celestyn, to z pewnością... Bez wątpienia... Celestyn - niezmordowany. Tuzin puszek od sardynek, *le salaud.* Nagle przypomniała sobie:

- Mhm - powiedziała.

[67] *In Xanadu did Kubla Khan...* (ang.) - A w Xanadu Kubła Khan kazał budować wspaniały pałac rozkoszy. (S.T. Colendge,

- Być może - przystał Oliveira otaczając się gęstym dymem.

- Wiele razy widziałam was razem - powiedziała Emmanuèle.

- Często przechodziliśmy tędy.

- Ale ona rozmawiała ze mną, tylko kiedy była sama. Miła, trochę kopnięta.

„Trafiłaś" - pomyślał Oliveira. Słuchał Emmanuèle, która przypominała sobie coraz więcej szczegółów, torebkę cukierków i biały pulower, jeszcze zupełnie dobry, fajna facetka, ta przynajmniej nie pracowała ani nie traciła czasu na żadne dyplomy, faktycznie trochę kopnięta, bo wyrzucała forsę na groch dla gołębi z Ile Saint-Louis. Czasem taka smutna, a czasem roześmiana. A znowu czasem zła.

- Pokłóciłyśmy się - oznajmiła - bo mi radziła, żebym dała sobie święty spokój z Celestynem. I już nie przyszła więcej. Bardzo ją lubiłam.

- Często przychodziła gadać z panią?

- Nie w smak to panu, co?

- To nie to - powiedział Oliveira spoglądając na drugi brzeg rzeki. Ale to było to: bo skoro Maga zwierzała mu się tylko z części swoich stosunków z kloszardką, najprostsze uogólnienia wskazywały na to, że... Retrospektywna zazdrość - *vide* Proust, subtelne tortury *and so on.* Pewno zacznie padać, wierzba wygląda, jakby zawisła w wilgotnym powietrzu. Za to nie będzie tak zimno, będzie trochę cieplej. Może dodał coś w rodzaju: „Niewiele mi o pani mówiła", bo Emmanuèle roześmiała się ze złośliwą satysfakcją i dalej pacykowała się pudrem za pomocą brudnego palucha. Od czasu do czasu podnosiła rękę uderzając się nią po matowych włosach, związanych wełnianą przepaską w czerwone i zielone prążki, która w istocie była wyciągniętym ze śmieci szalikiem. Cóż, należało iść, wspiąć się ku miastu tak bliskiemu, leżącemu zaledwie o sześć metrów wyżej, zaczynającemu się dokładnie po drugiej stronie otaczającej rzekę bariery, za blaszanymi skrzynkami RIP, gdzie rozgadane gołębie wystawiały się na pierwsze słabe i bezsilne słońce, na bladą poranną mannę, sypiącą się ze spłaszczonego nieba, z którego z pewnością znowu zacznie mżyć, jak zawsze.

Kiedy już odchodził, Emmanuèle krzyknęła coś do niego. Poczekał na nią i razem wdrapali się na schody. Kupili u Habeba dwa litry czerwonego wina i ulicą de l'Hirondelle poszli do krytego pasażu. Emmanuèle zgodziła się wydobyć spomiędzy swoich okryć paczkę gazet i zrobili sobie pyszne posłanie w kącie, który Oliveira uprzednio wybadał przy nieufnym świetle zapałki. Z drugiej strony łuku dochodziło ich chrapanie zionące czosnkiem, kalafiorem i zapomnieniem w tanim wydaniu. Przygryzając wargi, Oliveira ześlizgiwał się coraz niżej, aż wreszcie ułożył się wygodnie w kącie oparty o ścianę, tuż obok Emmanuèle,

Kubla Khan).

która już ciągnęła z butelki, sapiąc z zadowolenia między jednym łykiem a drugim. Oduczać zmysły: szeroko otwierać usta i nos, i przyjąć najgorszy ze wszystkich smrodów - ludzki brud. Minuta, dwie, trzy... coraz łatwiej, każde ćwiczenie daje rezultaty. Powstrzymując mdłości Oliveira schwycił butelkę; mimo że nie widział, czuł, że szyjka pełna jest różu i śliny; ciemność wyostrzała mu powonienie. Zamykając oczy, aby się chronić sam nie wiedział przed czym, wypił jednym haustem ćwierć litra czerwonego wina. Po czym oparci ramionami zapalili sobie, zadowoleni. Mdłości ustępowały nie zwyciężone, ale upokorzone, oczekiwały ze schyloną głową; można było zacząć myśleć o czymś innym. Emmanuèle gadała przez cały czas między jedną a drugą czkawką, zwracała się sama do siebie z solennymi przemowami, po macierzyńsku karciła Celestyna-Zjawę, wypominała sardynki, twarz jej rozświecała się z każdym pociągnięciem papierosa i Oliveira widział placki brudu na czole, grube, ociekające winem wargi, triumfalną przepaskę syryjskiej bogini podeptanej przez nieprzyjacielską armię, kamienną głowę toczącą się w kurzu, pełną brudu i krwi, ale zdobną w odwieczny czerwono-zielony diadem, Wielką Macierz porzuconą w pyle, podeptaną przez pijane żołdactwo, dla rozrywki oddające mocz na jej okaleczałe piersi, aż w końcu któryś z żołnierzy, podniecony wrzaskami towarzyszy, ukląkł nad upadłą boginią z wzniesionym fallusem i onanizując się o marmur prysnął spermą w jej oczy, z których ręce oficerów wydłubały już drogie kamienie, w otwarte usta - przyjmując upokorzenie, jak ostatnią ofiarę przed stoczeniem się w niepamięć. I było zupełnie naturalne, że w mroku ręka Emmanuèle trącała ramię Oliveiry, na którym w końcu poufale spoczęła, podczas gdy druga szukała butelki, i słychać było odgłosy popijania i zadowolone sapanie, było zupełnie naturalne, że wszystko stawało się orłem i reszką, przeciwieństwami jako jedyną możliwą formą przeżycia. I jakkolwiek Holiveira nie dowierzał hopilstwu, chytremu wspólnikowi haniebnego hołgiwania się, coś mówiło mu, że tam również znajdował się kibuc, że za tym - zawsze za czymś - nadzieja na kibuc istniała. Nie żeby to była pewność, och, nie, stary, co to, to niestety nie, choćbyś nie wiem jak tego chciał, ani *in vino ventas,* ani dialektyka à la Fichte, czy à la inni lapidarni spinozjanie, a tylko jako zgoda wśród mdłości, Heraklit kazał zakopać się w gnoju, co miało uzdrowić go z puchliny wodnej, ktoś opowiadał mu to tamtej nocy, ktoś jakby z przeszłego życia, ktoś w rodzaju Poli czy może Wonga, ludzi, których zaszokował tym, że po prostu chciał nawiązać kontakt od właściwej strony, raz jeszcze wynaleźć miłość jako sposób, aby wreszcie osiągnąć kibuc. W gównie po szyję, Ciemny Heraklit, identyczny jak oni, tyle że bez wina, no i po to, żeby się pozbyć wodnej puchliny. Więc może to było to, siedzieć w gnoju po szyję i jeszcze mieć nadzieję, bo przecież Heraklit musiał z pewnością siedzieć w tym gnoju całe dni, Oliveira przypomniał sobie teraz, że to przecież Heraklit powiedział, że jeśli nie będziesz oczekiwał,

nigdy nie spotka cię nieoczekiwane, ukręć szyję łabędziowi, powiedział Heraklit, chociaż skąd, nic podobnego nie mówił, i podczas gdy pociągał solidny łyk, a Emmanuèle śmiała się, słuchając w mroku jego gul-gul, i głaszcząc mu ramię, jakby chciała okazać mu tym zadowolenie z jego towarzystwa i z obietnicy odebrania sardynek od Celestyna, Oliveirze wino odbiło się podwójnym nazwiskiem skazanego na uduszenie łabędzia i zachciało mu się śmiać i opowiedzieć to wszystko Emmanuèle, ostatecznie jednak zwrócił jej tylko prawie pustą już butelkę, ona zaś zaczcła ochryple wyśpiewywać *Les Amants du Havre,* piosenkę, którą Maga nuciła, kiedy była smutna; Emmanuele natomiast śpiewała ją z zacięciem tragicznym, fałszując, zapominając słów i pieszcząc Oliveirę, który w dalszym ciągu myślał, że tylko oczekującego może spotkać nieoczekiwane, i mrużył oczy, aby odepchnąć słabe światło, wnikające do pasażu. Wyobrażał sobie gdzieś bardzo daleko (z drugiej strony oceanu? Byłożby to coś w rodzaju ataku patriotyzmu?) przeczysty krajobraz swojego kibucu. Bez wątpliwości należało ukręcić szyję łabędziowi, nawet jeżeli nie był to rozkaz Heraklita. Stawał się sentymentalny, *puisque la terre est ronde, mon amour t'en fais pas, mon amour t'en fais pas*[68]*,* przez wino i ten klejący się głos stawał się sentymentalny, wszystko zakończy się szlochami i litością nad sobą samym, jak u Babs, biedny Horacio *anclado en Paris,* jak mówiły słowa tanga, *como habrá cambiado tu calle Corrientes, Suipacha, Esmeralda y el viejo arrabal*[69]. I jakkolwiek całą swoją wściekłość włożył w zapalenie jeszcze jednego gauloise'a, daleko, gdzieś w głębi oczu, nadal widział swój kibuc po drugiej stronie oceanu, może zresztą i nie po drugiej stronie oceanu, może po prostu to była rue Galande, a może rue Puteaux albo rue de la Tombe-Issoire, w każdym razie jego kibuc ciągle istniał i to nie było mirażem.

- To nie miraż, Emmanuèle.

- *Ta gueule, mon pote*[70] - odparła Emmanuèle szukając pośród swoich niezliczonych spódnic drugiej butelki.

Po czym zagłębili się w innych sprawach, Emmanuèle opowiedziała mu o topielicy, którą Celestyn widział na wysokości Pont de Grenelle, i Oliveira zapragnął dowiedzieć się, jakiego koloru miała oczy, ale Celestyn nie widział nic, poza nogami, które trochę sterczały z wody, bo zmył się stamtąd, zanim policja swoim przeklętym zwyczajem zabrała się do przesłuchiwania wszystkich obecnych. A kiedy już druga butelka była na wykończeniu, zrobiło się im bardzo wesoło, Emmanuèle wyrecytowała fragment z *La mort du loup,* Oliveira

[68] *Puisque la terre est ronde...* (franc.) - a ponieważ ziemia jest okrągła, kochanie, nie przejmuj się, kochanie, nie przejmuj się.
[69] *Anclado en Paris...* (hiszp.) - zakotwiczony w Paryżu, jakże zmieniły się twoje ulice Corrientes, Suipacha, Esmeralda i stare przedmieście.
[70] *Ta gueule...* (franc.) - Zamknij się, chłopie.

zaś wprowadził ją z grubsza w sekstyny Martina Fierro. Przez plac przejechały jakieś ciężarówki wydając odgłosy à la Delius... Ale nie było sensu mówić o Deliusie z Emmanuèle, która, jakkolwiek wrażliwa na sztukę, wolała się wyrażać gestami. Na przykład teraz ocierała się o Oliveirę, żeby się rozgrzać i głaskała mu ramię, podśpiewując pasaże z oper i mrucząc świństwa pod adresem Celestyna. Ściskając papierosa tak mocno, że prawie stawał się częścią ust, Oliveira słuchał jej, zezwalał na przytulanie się, powtarzał sobie chłodno, że nie jest nikim lepszym niż ona i że w najgorszym wypadku zawsze pozostaje mu Heraklitowa kuracja. Może prawdziwym przesłaniem Ciemnego było właśnie to, czego nie napisał, zezwalając, aby głos uczniów przekazał legendę po to, by kiedyś ktoś o wrażliwym uchu właściwie ją odebrał. Bawiło go, że po przyjacielsku i niesłychanie *matter of fact*[71] Emmanuèle rozpinała go, podczas gdy on zastanawiał się, że może Ciemny zanurzył się w gnoju po szyję wcale nie będąc chorym, nie mając żadnej puchliny, po prostu stwarzając metaforę, której jego świat nie byłby mu przebaczył w formie sentencji ni też lekcji, a która w ten sposób przemyciła się przez linię czasu i połączyła w jedno *z* teorią, zaledwie trochę żenujący drobiazg obok wstrząsającego diamentu panta rhei, barbarzyńska terapeutyka, którą nawet Hipokrates byłby potępił, tak jak ze względów higienicznych byłby również potępił fakt, że Emmanuele powoli przewalała się na swego biednego, pijanego przyjaciela i poplamionym taniną językiem pokornie lizała mu członek, podtrzymując palcami jego zrozumiałą wątłość, gaworząc doń jak do oseska czy też kota, całkowicie obojętna odbywającym się ponad jej głową kontemplacjom i zagłębiona w funkcji, która - aczkolwiek pozbawiona przyszłości - pochodziła ze współczucia i chęci, aby nowy był zadowolony ze swej pierwszej nocy bezdomnego włóczęgi, żeby może drażniąc tym Celestyna troszkę się w niej zakochał, żeby zapomniał o tym, co mamrotał w swym barbarzyńskim języku, podczas gdy obsuwał się coraz niżej i niżej, i, zbliżając się do mety, wreszcie minął ją z westchnieniem, kładąc rękę na włosach Emmanuele i wierząc przez ćwierć sekundy (choć to musiało być piekło), że to włosy Poli, że raz jeszcze Pola pochyla się nad nim wśród meksykańskich *ponchos,* pocztówek Klee i „Kwartetu" Dur-rella, ażeby dawać mu rozkosz i samej tę rozkosz z zewnątrz odbierać, leżąc obok uważna, analizująca i obca, aż do chwili gdy ona także zacznie żądać swojej części i przytulać się do niego drżąc, błagając, żeby ją wziął i maltretował, z ustami poplamionymi jak syryjska bogini, jak Emmanuele, która właśnie podnosiła się, tarmoszona przez policjanta, i gwałtownie siadała mówiąc: *On faisait rien, quoi...*[72] - i nagle w szarości, która nie wiadomo skąd wypełniła pasaż, Oliveira otworzył oczy i zobaczył - sam groteskowo porozpinany - obok swoich nóg nogi policjanta, butelkę

[71] *Matter of fact* (ang.) - rzeczowo.

wina, która potoczyła się kopnięta, drugi kopniak w udo, wściekłe uderzenie w łeb Emmanuele, która skuliła się jęcząc, i sam nie wiedząc jak znalazł się na klęczkach (jedynej pozycji odpowiedniej, aby corpus delicti, współdziałając z jego wysiłkiem, wręcz cudownie się zmniejszył i znalazł z powrotem w spodniach), bo przecież nie stało się nic, ale to absolutnie nic, ale jak tłumaczyć to policjantowi, który ciągnął ich do stojącej na placu karetki, jak wytłumaczyć Babs, że inkwizycja to jednak było co innego, a Osipowi, przede wszystkim Osipowi, że wszystko się załatwi i że jedyną rzeczą przyzwoitą było cofnięcie się, aby nabrać rozpędu, pozwolić sobie na upadek, żeby potem, może, móc się podnieść, Emmanuele, po to, żeby potem, może...

- Niech pan jej pozwoli odejść - zwrócił się z prośbą do policjanta - biedaczka jest jeszcze bardziej zalana niż ja.

Pochylił głowę w sam czas, aby uniknąć uderzenia. Inny policjant schwycił go za pasek i za jednym zamachem wrzucił do wozu. Na niego cisnęli Emmanuele, śpiewającą coś jak gdyby *Le Temps des cerises.* Pozostawili ich w wozie samych i Oliveira roztarłszy sobie obolałe udo dołączył swój głos do *Le Temps des cerises,* jeżeli to było to. Karetka ruszyła jak wyrzucona z katapulty.

- *Et tous nos amours* - wrzeszczała Emmanuele.

- *Et tous nos amours* - powtórzył Oliveira, wyciągając się na ławce i szukając papierosa. - Wiesz, stara, że tego nawet Heraklit...

- *Tu me fais chier* - powiedziała Emmanuele i wybuchnęła głośnym płaczem.

- *Et tous nos amours* - rozdarła się jeszcze raz pomiędzy jednym szlochem a drugim. Oliveira usłyszał śmiech policjantów, którzy patrzyli na nich przez kraty. „Chciałem mieć spokój, no to zdaje się, że będę go miał aż za dużo. Trzeba go tylko wykorzystać, bracie, nic z tego, o czym myślisz". Dobrze by było móc zatelefonować i opowiedzieć swój zabawny sen, ale trudno, szkoda gadać, każde swoją drogą, leczenie puchliny wodnej wymaga cierpliwości, gówna i samotności. W dodatku klub jest rozwiązany, a to, co jeszcze pozostaje do rozwiązania, jest tylko kwestią czasu. Samochód zahamował na jakimś rogu, a kiedy Emmanuèle darła się *quand il reviendra, le temps des cerises,* jeden z policjantów uchylił okienka i uprzedził ich, że jeżeli nie będą cicho, połamie im wszystkie kości, więc ułożyła się na podłodze twarzą do ziemi, płacząc wniebogłosy, Oliveira zaś oparł nogi o jej tyłek i wygodnie usadowił się na siedzeniu. W klasy gra się małym kamyczkiem, który należy popychać czubkiem buta. Elementy gry: chodnik, kamyczek, but i piękny rysunek kredą, najchętniej kolorową. Na górze jest Niebo, na dole jest Ziemia, trudno jest trafić kamyczkiem

[72] *On faisait rien, quoi...* (franc.) - Nic nie robiliśmy, naprawdę...

w Niebo, prawie zawsze źle się jakoś obliczy i kamyk wylatuje poza rysunek. Powoli jednak nabiera się zręczności koniecznej, by przechodzić z jednego kwadratu do drugiego, i któregoś dnia może się uda wyjść z Ziemi i przenieść kamyczek do samego Nieba. *(Et tous nos amours* - szlochała Emmanuèle w podłogę). Na nieszczęście, zanim ktokolwiek nauczy się przenosić swój kamyk do Nieba, nagle kończy się dzieciństwo, i wpada się w książki, w lęk, w spekulacje na temat innego Nieba, do którego również trzeba umieć znaleźć drogę. A ponieważ skończyło się dzieciństwo *(je n'oublierai pas le temps des cerises*[73] - waliła nogami w podłogę Emmanuèle), zapomina się, że aby się dostać do Nieba, potrzeba kamyka i czubka buta. Co jednak wiedział Heraklit, siedzący w gównie, Heraklit, a może i Emmanuèle cała w smarkach, *au temps des cerises,* albo tych dwóch pederastów, którzy nie wiadomo kiedy znaleźli się w rogu karetki (chociaż wiadomo, przecież drzwi otwarły się i zamknęły wśród wrzasków, chichotów i gwizdków) i śmiejąc się do rozpuku patrzyli na Emmanuèle leżącą na ziemi i Oliveirę, który chciał zapalić, ale nie mógł znaleźć ani papierosa, ani zapałek, przy czym wcale nie pamiętał, że policjant zrewidował mu kieszenie, *et tous nos amours, et tous nos amours.* Kamyk i czubek pantofla, to, co Maga wiedziała tak dobrze, on o tyle gorzej, a klub średnio, i co od czasów dzieciństwa w Burzaco czy też na przedmieściach Montevideo wskazywało prostą drogę do Nieba, bez Wedanty, bez teorii Zen, bez eschatologii: osiągnąć Niebo kopiąc mały kamyk (nosić swój krzyż? Fatalnie nieprzenośny obiekt...) i ostatnim kopnięciem wyrzucić go w błękit, w błękit, w błękit, plaf, zbiłeś szybę, pójdziesz do łóżka bez deseru, niegrzeczne dziecko, i jakie to miało znaczenie, czy za tą szybą był kibuc, skoro Niebo nie było niczym innym jak dziecinnym określeniem jego kibucu.

- I pod to wszystko - oznajmił Horacio - zaśpiewamy i zapalimy. Emmanuèle wstawaj, stara bekso!

- *Et tous nos amours* - zawyła Emmanuèle.

- *Il est beau* - powiedział jeden z pederastów patrząc na Horacia z czułością. - *II a l'air farouche.*

Drugi z pederastów wyjął z kieszeni blaszaną tubę i patrzył w otwór, uśmiechając się i robiąc miny. Młodszy wyrwał mu ją i sam zaczął patrzeć. „Nic nie widać, Jo" - powiedział. „A właśnie, że widać, kotku". - „Nie. Nie. Nie". - „Ależ widać, widać! LOOK THROUGH THE PEEPHOLE AND YOU'LL SEE PATTERNS PRETTY AS CAN BE"[74]. - „Jest noc, Jo". - Jo wyciągnął pudełko zapałek i zapalił jedną z nich przed kalejdoskopem. Krzyki pełne entuzjazmu, *patterns pretty as can be. Et tous nos amours* - wydeklamowała Emmanuèle

[73] *Quand il reviendra, le temps des cerises, je n'oublierai* (franc.) - kiedy nadejdzie czas, gdy kwitną czereśnie, nie zapomnę, czasu, gdy kwitły czereśnie (słowa popularnej piosenki).
[74] *Look tbrough the peephole...* (ang.) - Zajrzyj przez dziurkę, a ujrzysz najpiękniejsze wzory.

siadając na podłodze karetki. Wszystko było tak dobrze, wszystko nadchodziło we właściwym czasie, i klasy, i kalejdoskop, mały pederasta, który patrzył i patrzył, och, Jo, nic nie widzę, więcej światła, światła, Jo. Rozwalony na ławce Horacio pozdrowił Ciemnego, głowę Ciemnego pochylającą się nad kupą gnoju, oczy niby zielone gwiazdy, *patterns pretty as can be,* Ciemny miał rację, drogą do kibucu, może jedyną drogą do kibucu, nie mógł być świat, ludzie chwytali za kalejdoskop od złej strony, należało go odwrócić z pomocą Emmanuèle i Poli, i Paryża, i Magi, i Rocamadoura, rzucić się na ziemię jak Emmanuèle i zacząć patrzeć stamtąd, zacząć patrzeć z kupy gnoju, oglądać świat przez oko w dupie, *and you'll see patterns pretty as can be,* kamyk musi przejść przez oko w dupie, wepchnięty tam czubkiem buta, i wtedy od Ziemi do Nieba wszystkie kwadraty staną otworem, labirynt wyprostuje się jak pęknięta sprężyna od zegarka, która roztrzaska na tysiące kawałków urzędniczy czas, i poprzez smarki i nasienie, i smród Emmanuèle, i gnój Ciemnego wejdzie się na drogę, która wiedzie do kibucu pragnień, nie wzięci się do Nieba (wzlatywać - oszukańcze słowo, Niebo, *flatus vocis),* tylko będzie się szło ludzkim krokiem przez ludzką ziemię aż do kibucu, tam, daleko, ale na tym samym planie, tak jak dziecinne Niebo na brudnych chodnikach było na tym samym planie co Ziemia, i może w końcu któregoś dnia wejdzie się do świata, w którym słowo Niebo nie będzie ścierką poplamioną tłuszczem, i może któregoś dnia zobaczy się prawdziwy rysunek świata, *patterns pretty as can be,* i może, popychając nogą kamyk, w końcu osiągnie się kibuc.

Z TEJ STRONY

II faut voyager loin, en aimant sa maison.

APOLLINAIRE - *Les Mamelles de Tirésilas.*

[Dalekie trzeba podejmować podróże, kochając
swoje domostwo.
(G. Apollinaire, *Cycki Tyrezjasza*)]

37

Wściekało go nazwisko Traveler, jego, który nigdy nie opuścił Argentyny, jeśli nie liczyć wyjazdów do Montevideo, a raz do Asunción w Paragwaju, stolic, które wspominał z kompletną obojętnością. Mając czterdzieści lat, ciągle był sprzężony z ulicą Cachimayo, fakt zaś, że pracował jako administrator i trochę „do wszystkiego" w cyrku „Las Estrellas", nie dawał mu najmniejszych nadziei na podróż dookoła świata nawet à la Barnum; strefa jego cyrku rozciągała się od Santa Fé do Carmen de Patagones, z długimi postojami w stolicy, La Plata i Rosario. Kiedy Talita, która była pilną lektorką encyklopedii, edukowała się na temat wędrownych plemion i ich kultury, Traveler zrzędził i wygłaszał nieszczerą pochwałę patia pełnego pelargonii, własnego łóżka i wszędziedobrzealewdomunajlepiej. Między jednym a drugim mate błyskał taką erudycją, że olśniewał własną żonę, chociaż uważała, że stara się być zanadto przekonywający. Czasem we śnie wymykały mu się słowa w rodzaju „wydrzeć się", „wyrwać z korzeniami", „przepłynąć ocean", coś o formalnościach portowych lub niejasnych celach podróży. Jeżeli Talita kpiła z niego po obudzeniu, przykładał jej parę klapsów, oboje zaśmiewali się i wyglądało na to, że ta mimowolna zdrada jego tajemnic dobrze robiła im obojgu. Jedno trzeba przyznać, że w odróżnieniu od wszystkich swoich znajomych Traveler nie winił ani życia, ani losu o to, że nie udało mu się podróżować tak, jak o tym marzył. Po prostu łykał jednym haustem kieliszek jałowcówki i wymyślał sobie od kretynów.

- Ja jestem jego najlepszą podróżą - mawiała Talita, kiedy nadarzała się okazja - ale jest tak głupi, że nawet o tym nie wie. To ja, proszę pani, na skrzydłach fantazji zawiodłam go na kraj świata.

Tak objaśniona pani myślała, że Talita mówi serio, i odpowiadała mniej więcej w tym sensie:

- Ach, proszę pani, mężczyźni są tak niezrozumiali... (co miało znaczyć: nie rozumiejący). Albo:

- Niech mi pani szczerze wierzy, że ja mam zupełnie to samo z moim Juanem. Powtarzam mu to stale i wciąż, ale spływa to po nim jak po gęsi woda.

Albo:

- Szkoda słów, proszę pani, życie jest jednym pasmem. Albo:

- Byle się nie przejmować, kochana. Najważniejsze, że zdrowie dopisuje...

Później Talita opowiadała to Travelerowi i tarzali się ze śmiechu po podłodze w kuchni, nie bacząc na ubranie. Dla Travelera nie było lepszej zabawy niż schować się w klozecie i z chustką albo podkoszulkiem w ustach podsłuchiwać, jak Talita napuszcza paniusie z pensjonatu „Sobrales" albo z hotelu naprzeciwko. W chwilach optymizmu, które u niego trwały długo, wymyślał słuchowiska radiowe, w których nie zostawiał suchej nitki na nic nie podejrzewających grubych babach, doprowadzając je do łez i zmuszając do codziennego wysłuchiwania jego audycji.

Ale niezależnie od tego wszystkiego nie podróżował, co ciążyło mu na duszy jak czarny kamień.

- Dosłownie cegła - tłumaczył dotykając żołądka.

- Nigdy nie widziałem czarnej cegły - mawiał dyrektor cyrku, ewentualny powiernik tych nadmiarów nostalgii.

- Sczerniała od siedzenia na jednym miejscu. Jak pomyślę, że istnieli poeci, którzy skarżyli się na to, że są *heimatlos,* nie do wiary, Ferraguto...

- Mówże do mnie po ludzku - irytował się dyrektor, w którym ta do niego skierowana dramatyczna inwokacja wywoływała pewien szok.

- Nie mogę, szefie - mruczał Traveler, usprawiedliwiając się milcząco ze zwrócenia się do niego po nazwisku,

- Piękne cudzoziemskie słowa są jak oazy, jak porty. Czyż nigdy nie pojedziemy do Costa Rica, do Panamy, gdzie niegdyś cesarskie galeony... Gardeł w Kolumbii umarł, szefie, w Kolumbii...

- Nie ma forsy - mówił dyrektor patrząc na zegarek.

- Wracam do hotelu, Kukę już tam pewno szlag trafia...

Traveler zostawał sam w biurze, zastanawiając się nad tym, jak też wyglądają zachody słońca w Connecticut. Na pociechę przypominał sobie dobre rzeczy, które mu się w życiu zdarzyły. Na przykład jedną z lepszych było wejście w 1940 roku do kancelarii jego ówczesnego szefa w Izbie Skarbowej, ze szklanką wody w ręce. Wyleciał z punktu, podczas kiedy szef za pomocą bibuły wycierał sobie wodę z twarzy. Tak, to było niezłe, bo właśnie w tym miesiącu mieli dać mu podwyżkę; ożenek z Talitą był drugą dobrą rzeczą (jakkolwiek oboje podtrzymywali odwrotną wersję), ponieważ ze względu na swoje farmaceutyczne wykształcenie Talita byłaby nieodwołalnie skazana na samotne zestarzenie się wśród plastrów i gaz. Traveler zjawił się w celu nabycia czopków przeciw zaziębieniu i zwrócił się do niej z prośbą o objaśnienie sposobu użycia, z czego miłość wybuchła jak piana z proszku mydlanego pod prysznicem. W dodatku Traveler upierał się, że zakochał się w Talicie

dokładnie w momencie, w którym ta, opuszczając oczy, usiłowała wytłumaczyć mu, dlaczego działanie czopka jest skuteczniejsze po porządnym wypróżnieniu.

- Szkoda cię - mówiła Talita w chwilach rozpamięty-wań. - Świetnie wszystko wiedziałeś, tylko odstawiałeś idiotę, żebym ci musiała tłumaczyć.

- Farmaceutka powinna być zawsze na usługach prawdy, nawet gdyby ta ostatnia sytuowała się w najintymniejszych rejonach. Żebyś wiedziała, w jakich nerwach zakładałem sobie pierwszy czopek po rozmowie z tobą. Był zielony i olbrzymi...

- Eukaliptusowy - stwierdzała Talita. - Dziękuj Bogu, że ci nie sprzedałam tych, co jadą czosnkiem na dwadzieścia metrów.

Ale od czasu do czasu smutnieli czując, że po raz nie wiem który po prostu wygłupiają się, aby uciec w ten sposób od melancholii Buenos Aires i życia niezbyt obfitującego w... (co by tu dodać po „w"? Nieuchwytna słabość w dołku, odwieczna czarna cegła).

Oto Talita tłumacząca chandry Travelera señorze Gutusso:

- Zawsze go chwyta w porze sjesty, to chyba żołądkowe...

- To pewno jakieś wewnętrzne zapalenie - stwierdza señora Gutusso. - Jak to mówią: zastrzał.

- Ma chorą duszę. Mój mąż jest poetą, niech mi pani szczerze wierzy.

Zamknięty w ubikacji, z ręcznikiem w gębie, Traveler skręca się ze śmiechu.

- A nie będzie to, jak to mówią, algeria? Mój młodszy, no Wiktorek, pani spojrzy, jak to się bawi na kwietniku, przecież Wiktorek to lalka nie dziecko. Ale jak go łapie algeria na selera, robi się z niego kompletna małpa. Te piękne czarne oczki to mu się tak zamykają, ta buźka to mu tak potrafi spuchnąć, że wygląda jak ropucha, a po chwili to już, za przeproszeniem, nie może nawet otworzyć palców od nóg.

- Czy aby można żyć nie otwierając palców od nóg? - niepokoi się Talita.

Z klozetu dochodzi zdławiony chichot i Talita zmienia temat, żeby zmylić czujność señory Gutusso. Zazwyczaj Traveler opuszcza swe schronienie znowu smutny, a Talita go rozumie. Tu należałoby omówić wyrozumiałość Tality. Jest to wyrozumiałość ironiczna, czuła, jakby z oddali. Jej miłość do Travelera składa się z mycia garnków, czuwania późno w noc, łagodnej zgody na jego nostalgiczne fantazje, na namiętność do tang i gry w *truco.* Kiedy Traveler jest smutny i myśli o tym, że nigdy nie podróżował (a Talita wie, że nie o to chodzi, że jego zmartwienia sięgają głębiej), należy dotrzymywać mu towarzystwa, nie mówić zbyt wiele, parzyć mu mate, uważać, żeby miał dość papierosów, być „kobietą obok mężczyzny", nigdy jednak nie rzucając na niego własnego cienia, a to niełatwo. Talita jest bardzo zadowolona z Travelera, z cyrku, z tego, że trzeba czesać kota-rachmistrza przed

wypuszczeniem go na scenę, z prowadzenia buchalterii dyrektora. Czasem wydaje jej się nawet, że jest bliżej niż Traveler tych elementarnych głębi, które go trapią, ale ponieważ boi się jakichkolwiek metafizycznych aluzji, więc tłumaczy sobie, że tylko on sam może przebić otwór, przez który wyleje się ten czarny, oleisty płyn. Wszystko to faluje wokół niej, układa się we wzory i figury, nazywa się „czymś innym", nazywa się śmiechem albo miłością, a właściwie, żeby nadać temu jakieś prawdziwe imiona, jest cyrkiem i życiem, i nie ma co zawracać sobie głowy.

W braku tego „czegoś innego" Traveler jest człowiekiem czynu. Czynu ograniczonego, jak sam to określa, ale przecież nie chodzi o to, żeby zginąć. W czasie czterech dekad przeszedł następujące etapy: futbol (w „Colegiales", środkowy atak, nie najgorzej), marsze piechotą i polityka (miesiąc w więzieniu w Villa Devoto w 1934), *cunicultura* i *apicultura* (ferma w Manzanares, bankructwo w trzecim miesiącu, zaraza na króliki, a pszczoły nie do poskromienia), sport samochodowy (pilot Marimona, wypadek w Resistencia, trzy żebra złamane), artystyczna stolarka (wyrabianie mebli, których części po jednym użyciu piętrzyły się do sufitu - absolutne fiasko), małżeństwo - i kolarstwo na Avenidzie General Paz, w soboty, na wynajętym rowerze. Pozostałościami tych namiętności są: pamięciowe archiwum, dwa języki, łatwość pisania, ironiczne spojrzenie na soteriologię i wróżenie z kryształowej kuli, próby hodowli mandragory i batata posadzonego w misce ziemi zmieszanej ze spermą, batat rozwijający się wedle nieopamiętanego systemu wszystkich batatów, zajmujący cały pokój, wyłażący przez okna, Talita podstępnie wkraczająca z nożyczkami w ręku, Traveler badający wymiary batata, coś podejrzewający, skonfundowana rezygnacja z mandragory - owocu szubienicy, z Alraune, z pozostałości dzieciństwa. Od czasu do czasu Traveler robi aluzje do sobowtóra, mającego więcej szczęścia od niego, co - z niezrozumiałych dla niej przyczyn - nie podoba się Talicie, obejmuje go więc, całuje pełna niepokoju i robi co może, aby wyrwać go z takich rozmyślań. Na przykład zabiera go na film z jego ulubienicą Marilyn Monroe, hamując - zresztą czysto artystyczną - zazdrość w ciemnościach kina im. Prezydenta Roca.

38

Talita nie była taka zupełnie pewna, czy Traveler rzeczywiście cieszył się na powrót do kraju przyjaciela z dzieciństwa, albowiem zaledwie się dowiedział, że ów Horacio wraca do Argentyny na pokładzie statku „Andrea C", kopnął kota-rachmistrza i oznajmił, że życie jest jednym wielkim zasrańskim. Mimo to poszedł do portu wraz z Talitą i kotem-rachmistrzem w koszyku.

Oliveira wyszedł z komory celnej z lekką walizeczką w ręku i poznając Travelera uniósł w górę brwi ruchem, w którym było trochę zaskoczenia, a trochę irytacji.

- Co nowego?

- Cześć - powiedział Traveler ściskając mu dłoń ze wzruszeniem, którego sam się nie spodziewał.

- Chodź - powiedział Oliveira - chodź, pójdziemy do baru na kiełbaski. Tu, w porcie.

- To jest moja żona - powiedział Traveler.

Oliveira mruknął „bardzo mi miło" i wyciągnął rękę, zaledwie na nią spojrzawszy. Po czym natychmiast zapytał, co to za kot i dlaczego przyniesiono go do portu w koszyku. Talita, dotknięta takim przyjęciem, uznała go za wręcz antypatycznego i oznajmiła, że zabiera kota i wraca do cyrku.

- Jak chcesz - powiedział Traveler. - Tylko postaw go w tramwaju koło okna, wiesz, że źle znosi jazdę.

W barze Oliveira zabrał się do czerwonego wina, kiełbasek i *chinchulines*. Ponieważ niewiele mówił, Traveler opowiedział mu o cyrku, o tym, jak się ożenił z Talitą, i zrobił krótkie résumé sytuacji politycznej i sportowej kraju, specjalnie podkreślając wielkość i upadek Pascualita Pereza. Oliveira powiedział, że w Paryżu natknął się na Fangia i że Krzywo-nóg wyglądał na śpiącego. Travelerowi również zachciało się jeść, więc poprosił o dróbka. Spodobało mu się, że Oliveira przyjął z uśmiechem pierwszego argentyńskiego papierosa i że wypalił go ze smakiem. Zamówili jeszcze litr czerwonego, Traveler znowu mówił o swojej pracy, o tym, że nie traci nadziei na coś lepszego, to znaczy na coś, gdzie by było mniej roboty, a więcej forsy, cały czas czekając, że Oliveira opowie mu coś - nie wiedział co - no, coś, co by ułatwiło im to spotkanie po tak długim czasie.

- No, może mi coś opowiesz - zaproponował wreszcie.

- Pogoda - powiedział Oliveira - była bardzo zmienna, od czasu do czasu trafiały się jednak piękne dni. Poza tym rzecz, którą trafnie ujął już zresztą Cesar Bruto: gdybyś znalazł

się w Paryżu w październiku, nie omieszkaj zawadzić o Luwr. Cóż jeszcze? Ano, że raz dojechałem nawet do Wiednia. Kawiarnie prima, grube, co prowadzają psy i mężów na strudel.

- Dobrze, dobrze. Nie musisz gadać, jak ci się nie chce.

- Raz mi spadł kawałek cukru pod stolik w kawiarni. Ale w Paryżu, nie w Wiedniu.

- Żeby mówić tylko o kawiarniach, nie warto było przepływać tej całej kałuży.

- I słusznie. - Oliveira starannie krajał *chinchulines.* - Tego, bracie, nie było w Ville-Lumière, nad czym ubolewają wszyscy Argentyńczycy. Płaczą z nostalgii za porządnym befsztykiem, doszło do tego, że jedna pani z tęsknotą wspominała argentyńskie wino. Według niej francuskie nie nadawało się do mieszania z wodą sodową.

- Rany boskie - powiedział Traveler.

- No i trzeba ci wiedzieć, że pomidory i kartofle tutaj są smaczniejsze niż gdziekolwiek indziej.

- Nie da się ukryć, że obracałeś się pośród śmietanki.

- Od czasu do czasu. Zazwyczaj moje „obracanie się" nie było im w smak, żeby nie odstępować od twojej pięknej metafory. Ale tu, bracie, wilgoć...

- Będziesz się musiał reaklimatyzować. I dalej w tym stylu przez jakieś dwadzieścia pięć minut.

39

Oczywiście Oliveira nie miał zamiaru opowiadać Travelerowi, że w czasie postoju w Montevideo wałęsał się po ubogich dzielnicach, rozglądając się i rozpytując, wstępując na kieliszek cañi, aby zyskać zaufanie przypadkowych informatorów. I nic - poza tym, że przybyło wiele nowych gmachów i że w porcie, gdzie spędził ostatnią godzinę przed odjazdem statku „Andrea C", morze pełne było zdechłych, pływających brzuchem do góry ryb, pośród których parę prezerwatyw łagodnie unosiło się na brudnej wodzie. Nie pozostawało nic innego jak wrócić na statek myśląc, że może jednak Lukka, że może rzeczywiście Lukka albo Perugia... I wszystko na próżno.

Zanim stanął na ziemi Matki-Ojczyzny, Oliveira doszedł do wniosku, że to, co minęło, właściwie nie minęło, że tylko aberracja umysłowa, jedna z wielu, może prowadzić do złudzenia, że uda się oprzeć przyszłość na ogranych już schematach. Zrozumiał (sam na rufie, o świcie, pośród żółtawej portowej mgiełki), że nic się nie zmieniło, o ile uda się zapuścić korzenie, odrzucić łatwizny. Dojrzałość - jeżeli coś takiego istnieje - w ostatecznym sensie jest hipokryzją. Nic nie było dojrzałe, nic nie było bardziej naturalne niż fakt, że ta kobieta, oczekująca go z kotem w koszyku u boku Manola Travelera, była troszkę podobna do tej drugiej kobiety (chociaż po co wobec tego łaził po nędznych dzielnicach Montevideo, po co jeździł taksówką do brzegów El Cerro, sprawdzając dawne, w nieposłusznej pamięci rekonstruowane adresy). Należało albo ciągnąć dalej, albo zaczynać od nowa, albo zakończyć. Nie było żadnego pomostu. Z walizką w ręce pomaszerował ku portowej knajpie, w której kiedyś jakiś podgazowany facet opowiadał mu anegdoty na temat Betinotiego i o tym, jak Betinoti śpiewał walca: *Mi diagnóstico es sencillo: Sé que no tengo remedio.*[75]

Pomysł wpakowania do walca słowa „diagnóstico" wydał się Oliveirze niebywale śmieszny, teraz jednak powtarzał sobie te strofy z powagą, podczas gdy Traveler opowiadał mu o cyrku, o K.O. Lausse'u, a nawet o Peronie.

(86)

[75] *Mi diagnóstico es sencillo...* (hiszp.) - Moja diagnoza jest prosta: wiem, ze nie ma dla mnie ratunku.

40

Zrozumiał, że powrót rzeczywiście jest swojego rodzaju wyjazdem, i to nie w jednym znaczeniu. Już bowiem mieszkał z biedną, zaniedbaną Gekrepten w hoteliku naprzeciw pensjonatu „Sobrales", gdzie rezydowali Travelerowie. Szło im znakomicie: Gekrepten była uszczęśliwiona, serwowała doskonale mate i jakkolwiek nie miała pojęcia o łóżku ani o *spaghetti bolognese,* posiadała inne, wręcz rewelacyjne gospodarskie talenty i zostawiała mu dużo czasu potrzebnego na przemyślenie podróży tam i z powrotem, który to problem męczył go podczas chodzenia po domach z kuponami gabardyny. Z początku Traveler był zgorszony jego manią krytykowania absolutnie wszystkiego w Buenos Aires, nazywania miasta „kurwą w gorsecie", jednakowoż Oliveira wyjaśnił, zarówno jemu, jak i Talicie, że tylko takie dwa przygłupy jak oni mogły się nie poznać, ile czułości jest w tej krytyce. Uznali więc, że miał słuszność i że nie należy silić się na obłudne pochwały Buenos Aires, skoro teraz czuje się znacznie dalej od kraju, niż kiedy był w Europie. Tylko rzeczy proste i „z myszką" przywoływały na jego usta słaby uśmiech: mate, płyty de Caro, od czasu do czasu port wczesnym popołudniem. We troje dużo łazili po mieście, korzystając z tego, że Gekrepten pracowała w sklepie, i Traveler, użyźniając ziemię nie kończącymi się ilościami piwa, śledził w Oliveirze oznaki bratania się z miastem; Talita była bardziej bezwzględna (charakterystyczna cecha obojętności) i żądała akceptacji dla malarstwa Clorindo Testy i filmów Torre Nilssona. Dyskutowali z pasją na temat Bioya Casares, Dawida Viñas, ojca Castellani i polityki koncernu naftowego YPF. Talita doszła do wniosku, że Oliveirze było zupełnie obojętne, czy mieszka w Buenos Aires, czy, powiedzmy, w Bukareszcie, i że w rzeczywistości nie tyle wrócił dobrowolnie, ile został przy taszczony. Pod wszystkimi dyskutowanymi tematami zawsze błądził cień patafizyki, potrójna zbieżność pełnych zgrywy poszukiwań punktów widzenia, które by pozwoliły wyobcować albo patrzącego, albo oglądanego. Na skutek ciągłych dyskusji Talita i Oliveira zaczynali się uznawać. Traveler wspominał dwudziestoletniego Oliveirę, i bolało go serce, a może wzdymało piwo.

- Feler w tym, że nie jesteś, bracie, poetą - mówił. - Nie czujesz tak jak my, że to miasto jest olbrzymim brzuchem, powoli przetaczającym się pod niebem, przeogromnym pająkiem z łapami w San Vicente, w Burzaco, w Serandi, w Palomar, a innymi zanurzonymi w wodzie (nieszczęsne stworzenie, wziąwszy pod uwagę, jak brudna jest ta rzeka).

- Bo Horacio jest perfekcjonistą - współczuła mu Talita, kiedy się już z nim oswoiła. - Giez na rasowym koniu. Powinieneś uczyć się od nas, którzy jesteśmy tylko układnymi mieszkańcami Buenos Aires, a mimo to wiemy, kim jest Pieyre de Mandiargues.

- A po ulicach spacerują kociaki - mówił Traveler odwracając wzrok - o pełnych słodyczy oczach i buźkach, które radio El Mundo i ryż na mleku delikatnie przypudrowały uprzejmą głupotą.

- Że już nie wspomnę wyemancypowanych intelektualistek, pracujących po cyrkach - skromnie dodawała Talita.

- I znawców rodzimego folkloru, jak niżej podpisany. Przypomnij no mi w domu, stary, żebym ci pokazał spowiedź Yvonne Guitry. Mocna rzecz.

- A propos, señora Gutusso każe ci powiedzieć, że jeżeli jej nie oddasz śpiewnika z tekstami Gardela, da ci doniczką w łeb - poinformowała Talita.

- Najpierw muszę mu pokazać spowiedź. Niech czeka, wredna małpa.

- Czy señora Gutusso to ta apokaliptyczna bestia, z którą gada Gekrepten?

- Tak, teraz jest tydzień przyjaźni. Ale poczekaj trochę. Taka już jest ta nasza dzielnica...

- Posrebrzana księżycem.

- Lepsza jak twoje Saint-Germain-des-Prés - odcięła się Talita.

- Nie ulega wątpliwości - powiedział Oliveira patrząc na nią. Może, gdyby spojrzeć trochę bardziej z boku... I ten sam sposób wymawiania po francusku, tak, ten sam; gdyby trochę przymknąć oczy... (Farmaceutka. Szkoda).

Ponieważ uwielbiali gry słów, wymyślili pewnego dnia zabawę w cmentarz słów umarłych, otwierali encyklopedię Julia Casaresa na przykład na stronie 558 i jechali prosto: chynąć, chytroskok, ciałokupiec, ciemiec, ciżba, ciżma, ciżwola, ale było im trochę smutno, kiedy zastanawiali się nad możliwościami zmarnowanymi przez ich argentyńskie charaktery i nielitościwe przemijanie czasu. Co do farmacji, Traveler upierał się, że jest to wynalazek barbarzyński, mianowicie Merowingów, i wraz z Oliveira zadedykowali Talicie epicki poemat, w którym była mowa o hordach farmaceutycznych, które zajmowały Katalonię, siejąc terror, pipirinę i ciemierzycę. Plemię farmaceutów żyjące stadnie. Medytacje na farmaceutycznych stepach. Och, cesarzowo Farmaceutów, miej litość nad antycznymi, apokaliptycznymi, archaicznymi, aresztowanymi, o argusowych oczach.

Podczas kiedy Traveler po trochu obrabiał dyrektora, żeby zaangażował Oliveirę do cyrku, przedmiot tych manewrów popijał w pokoju mate niechętnie uzupełniając swoje luki w argentyńskiej literaturze. Zastały go nad tym wielkie upały, tak że ilość sprzedawanych

kuponów gabardyny znakomicie się obniżyła. Za to rozpoczęły się reuniony na patio don Crespa, który był przyjacielem Travelera i wynajmowa! pokoje señorze Gutusso oraz innym damom i kawalerom.

Rozpieszczany przez Gekrepten jak dziecko, Oliveira sypiał nieprawdopodobnie długo, a w czasie *lucida intervalla* z miną bohatera rosyjskich powieści przeglądał książeczkę Crevela, która objawiła się gdzieś na dnie walizki. Z tak metodycznego nieróbstwa nie mogło się zrodzić nic dobrego, ale miał niesprecyzowane nadzieje, że, przymykając powieki, można będzie zobaczyć wyraźnie niektóre rzeczy, że sen jakoś mu rozjaśni mózg.

Sprawy cyrku szły źle, dyrektor nie chciał słyszeć o nowym pracowniku. Pod wieczór, przed pójściem do pracy, Travelerowie schodzili na mate do don Crespa, Oliveira zjawiał się również i słuchali dawnych tang granych na rozpadającym się gramofonie, tak właśnie jak się powinno słuchać starych płyt. Czasem Talita siadała naprzeciw Oliveiry, ażeby grać w ich grę albo żeby wciągnąć go do „wagi" - innej gry, którą wymyślili do spółki z Travelerem i która również bardzo ich pasjonowała. Don Crespo był zdania, że nie mieli dobrze w głowie, señora Gutusso zaś uważała ich wręcz za idiotów.

- Nigdy o tym nie mówisz - mawiał Traveler nie patrząc na Oliveirę. To było silniejsze od niego: kiedy już decydował się na zapytanie, musiał odwracać oczy; nie wiedział również, dlaczego nie był w stanie nazwać stolicy Francji, i mówił „to", jak czuła mateczka łamiąca sobie głowę, aby wynaleźć niewinne nazwy na wstydliwe części ciała swoich bożych robaczków.

- O czym tu gadać - odpowiadał niechętnie Oliveira. - Jak mi nie wierzysz, to możesz sprawdzić.

Był to najlepszy sposób doprowadzenia do szału Trevelera, sfrustrowanego podróżnika. Zamiast się kłócić, stroił swoją straszliwą gitarę z „Casa América" i zabierał się do tang. Talita kątem oka patrzyła na Oliveirę, trochę obrażona. Jakkolwiek nic nie precyzując, Traveler wbił jej w głowę, że Oliveira jest dziwakiem, i choć to było widoczne, „dziwaczność" powinna była być jakaś inna, na czym innym polegać. Bywały wieczory, w czasie których wszyscy niejasno na coś czekali. Czuli się dobrze ze sobą, ale razem tworzyli jakby czoło burzy. W czasie takich dni, kiedy otwierali „cmentarz", nasuwały im się takie słowa, jak rozdział, rozpacz, rozpad, rozsypka, roztargnienie. Wreszcie szli spać ze złym nastrojem przyczajonym pod skórą, a w nocy śniły im się zabawne i miłe rzeczy, bo przecież wszyscy mamy w sobie ducha przekory.

41

Począwszy od drugiej, słońce świeciło Oliveirze prosto w twarz. W dodatku upał utrudniał mu prostowanie na kaflu podłogi gwoździ za pomocą uderzania w nie młotkiem (każdy zna niebezpieczeństwo prostowania gwoździ młotkiem, już-już gwóźdź jest prawie że wyprostowany, ale jeżeli uderzyć jeszcze raz, wykręca się i boleśnie przyszczypuje trzymające go palce; historia wręcz perwersyjna), uporczywie waląc w nie młotkiem na kaflu (ale każdy wie, że...), waląc w nie (ale każdy...) uporczywie.

„Ani jednego prostego - pomyślał patrząc na wysypane na podłogę gwoździe. - A o tej porze sklep jest zamknięty i wywalą mnie na zbity łeb, jeżeli się zacznę dobijać o gwoździe za trzydzieści centów. Nie ma rady, trzeba je wyprostować".

Ile razy udało mu się wyprostować jakiś gwóźdź, podnosił głowę w kierunku otwartego okna i gwizdał na Travelera. Ze swojego pokoju widział część jego sypialni i coś mu mówiło, że Traveler leży w łóżku z Talitą. Travelerowie dużo sypiali, nie tyle z powodu przemęczenia pracą w cyrku, ile z zasady, żeby się nie przepracowywać, którą to zasadę Oliveira cenił. Przykro było budzić Travelera o wpół do trzeciej, ale palce, którymi przytrzymywał gwoździe, były już całkiem sine, w dodatku zaczynały mu puchnąć jak nieforemne serdelki, ohyda. Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej korciło go, aby obudzić Travelera. Poza tym miał ochotę na mate, a skończyła mu się yerba. Nie miał dosyć nawet na jedną porcję i chciał, żeby Treveler albo Talitą dorzucili mu trochę (z paroma gwoździkami w charakterze balastu) przez okno.

Sjesta będzie łatwiejsza do zniesienia, jak się będzie miało parę prostych gwoździ, no i mate.

„Nie do wiary, jak ja głośno gwiżdżę" - pomyślał ze zdumieniem. Z parteru, gdzie mieścił się *un clandestino* z trzema dziewczętami i małą na posyłki, ktoś naśladował go, nieudolnie wydając z siebie coś pomiędzy bulgotaniem gotującej się wody a bezzębnym syczeniem. Oliveirę radował podziw i chęć rywalizacji, które wzbudzał jego świst; nie nadużywał go, zostawiając na co ważniejsze okazje. W porze swoich lektur, czyli między pierwszą w nocy a piątą rano (nie co noc jednak), doszedł do smutnego wniosku, że gwizd nie był tematem specjalnie eksponowanym w literaturze. Niewielu autorów zmuszało swoich bohaterów do gwizdania. Właściwie żaden. Skazywali ich na dość monotonny repertuar środków ekspresji (mówienia, opowiadania, śpiewania, krzyczenia, mamrotania, jąkania się, wygłaszania, szeptania, wykrzykiwania i deklamowania), natomiast nigdy żadna postać nie

koronowała wielkich ewenementów gwizdem z gatunku tych, od których pękają szyby. Angielska szlachta gwizdem przywoływała swoje psy, a niektóre postacie Dickensa - dorożkę. Co do literatury argentyńskiej, to ta - o wstydzie - gwizdała niewiele. Dlatego też, jakkolwiek Oliveira nigdy nie czytał Cambaceresa, musiał uważać go za mistrza, po prostu za sam już tytuł książki *Pogwizdywania leniucha,* czasami wyobrażał sobie jakiś dalszy ciąg, w którym gwizd wdzierałby się w Argentynę, tę jawną lub tę ukrytą, owijał ją swoim połyskliwym sznurkiem i ku ogólnemu zdumieniu prezentował ów powiązany baleron, który miałby równie niewiele wspólnego z oficjalną wersją ambasad i zawartością niedzielno-konkokcyjnego dodatku „La Prensa", jak ze wzlotami i upadkami Klubu Boca Juniors, kultem umarłych „baguala" i dzielnicą Boedo.

„Kurwa twoja mać (do gwoździa), nawet mi nie dadzą spokojnie pomyśleć". Na dodatek wszystkie te rozmyślania raziły go jako zbyt łatwe, chociaż był przeświadczony, że należało zawstydzać Argentynę, odsłonić rumieńce, ukrywane pod warstwą stu lat wszelkich uzurpacji (co tak pięknie tłumaczyli sobie eseiści), i wykazywać, że wbrew jej żądaniom - nie ma sposobu brać jej poważnie. Któż by miał ochotę odstawiać klowna, kto odważyłby się posłać w diabły tyle narodowej godności, kto ośmieliłby się parsknąć śmiechem w twarz bez nadziei, że się zaczerwieni albo też, że czasem uśmiechnie się jak ten, kto spotyka i rozpoznaje? „Rany, bracie, po cholerę marnujesz dzień... Zobaczymy, czy ten gwóźdź będzie miał lepszy charakter od innych, wygląda na łagodniaka".

„Ale zimno!" - powiedział do siebie Oliveira, który wierzył w skuteczność autosugestii. Pot spływał mu spod włosów na oczy, było niemożliwe utrzymać gwóźdź skrzywieniem do góry, bo najłagodniejsze uderzenie młotka wytrącało go z palców oślizłych (od zimna), po czym znowu przyszczypywał go i siniaczył mu (z zimna) paluchy. Żeby było jeszcze lepiej, słońce całkowicie wkroczyło do pokoju (księżyc na pokrytych śniegiem stepach, a on pogwizdywał i poganiał szarpiące uprząż konie), o trzeciej nie będzie już ani centymetra bez śniegu, a on będzie zamarzał, aż powoli ogarnie go ostateczna senność, tak dobrze opisywana w słowiańskich opowiadaniach, jego ciało zaś pozostanie na zawsze wśród morderczej bieli bladych kwiatów przestrzeni. To było niezłe: blade kwiaty przestrzeni. W tym samym momencie rąbnął się z całej siły w duży palec. Przeszył go tak przejmujący mróz, że przewrócił się na podłogę, aby lepiej walczyć przeciw sztywnieniu z zimna. Kiedy wreszcie udało mu się usiąść, wymachując ręką na wszystkie strony, był mokry od stop do głów albo od topniejącego śniegu, albo też od tego drobnego deszczu, który co jakiś czas mieszał się z bladymi kwiatami przestrzeni, a wilkom odświeżał sierść.

Traveler zawiązywał sobie spodnie od piżamy i ze swego okna widział walkę Oliveiry ze śniegiem pokrywającym step. Właśnie miał zamiar odwrócić się i powiedzieć Talicie, że Oliveira tarza się po ziemi machając ręką, kiedy się zorientował, że sytuacja nabiera pewnej powagi i że rozsądniej będzie pozostać niewzruszonym świadkiem.

- Teraz wyłazisz, kurwa mać - powiedział Oliveira. - Od pół godziny na ciebie gwiżdżę. Popatrz, jakem sobie porozwalał łapę.

- Przy sprzedawaniu kuponów gabardyny? - zapytał Traveler.

- Przy prostowaniu gwoździ. Potrzeba mi kilka prostych gwoździków i trochę yerby.

- Dobra - powiedział Traveler. - Poczekaj.

- Zrób no paczuszkę i rzuć.

- Dobra - zgodził się Traveler. - Ale coś nie mam wrażenia, żeby mi się chciało iść aż do kuchni.

- Dalczego? - zapytał Oliveira. - To niedaleko.

- Nie, ale bielizna wisi na sznurze, te rzeczy.

- Przejdź pod nią - poddał mu Oliveira. - Chyba żebyś wolał poprzecinać. Szelest, z jakim mokra koszula pada na kafle podłogi, jest jedyny w swoim rodzaju. Chcesz, to ci rzucę scyzoryk. Zakład, że go wbiję w okno. Jak byłem mały, wbijałem scyzoryk na odległość dziesięciu metrów, w co mi się żywnie podobało.

- Twoim błędem - wypowiedział się Traveler - jest to, że przy każdej okazji cofasz się do czasów dzieciństwa. Nosem mi wychodzi powtarzanie ci, żebyś wziął się trochę za Junga. Popatrz tylko, jak się trzymasz tego scyzoryka, myślałby kto, że idzie o międzyplanetarną broń. Nie można nic powiedzieć, żebyś nie wyjechał ze scyzorykiem. Może mi powiesz, co to ma wspólnego z odrobiną yerby i z gwoździami.

- Nie śledziłeś, bracie, rozumowania - obraził się Oliveira. - Najpierw wzmiankowałem o potłuczonej ręce, później przeszedłem do gwoździ. Wtedy ty mi przeciwstawiłeś te jakieś sznury, które nie pozwalają ci pójść do kuchni, więc było zupełnie logiczne, że od sznurów przeszedłem do scyzoryka. Powinieneś poczytać trochę Edgara Poe, stary. Niezależnie od sznurów, nie umiesz iść po nitce do kłębka, ot co.

Traveler oparł się o okno i spojrzał na ulicę. Niewielki cień płaszczył się o bruk, a na wysokości pierwszego piętra rozpoczynała się materia słoneczna, żółte szaleństwo, które właziło wszędzie, dosłownie miażdżąc twarz Oliveiry.

- To popołudniowe słońce nieźle ci daje w kość - zauważył Traveler.

- To nie jest słońce - odparł Oliveira - miałeś dość czasu, aby się zorientować, że to księżyc i że jest cholernie zimno. Ta ręka zsiniała mi od mrozu. Niedługo wda się gangrena, a za parę tygodni będziesz mi targał gladiolusy do parku sztywnych.

- Księżyc! - powiedział Traveler patrząc w górę. - Zdaje się, że będę ci musiał targać mokre ręczniki do czubków.

- Tam potrzebniejsze są papierosy - powiedział Oliveira. - Nie ma u ciebie nijakiej logiki, Manu.

- Sto razy ci mówiłem, że nie życzę sobie, żebyś nazywał mnie Manu.

- A Talita cię nazywa Manu - powiedział Oliveira machając ręką tak, jakby chciał ją oderwać od ciała.

- Różnice między tobą a Talita należą do namacalnych. Nie ma powodu, żebyś przejmował jej słownictwo. Ja osobiście nienawidzę krabów-pustelników, symbiozy pod wszelkimi formami, liszajów ani innych parchów.

- Twoja delikatność wzrusza mnie dosłownie do łez.

- Dziękuję. Przy czym to trzymaliśmy? Przy yerbie i gwoździach. Po co ci gwoździe?

- Jeszcze nie wiem - zawahał się Oliveira. - Wyciągnąłem puszkę z gwoździami i zobaczyłem, że wszystkie są pokrzywione. Zacząłem je prostować, no, a że taki mróz... Mam wrażenie, że jak będę miał proste gwoździe, to od razu będę wiedział, do czego ich użyć.

- Ciekawe - mruknął Traveler patrząc na niego uważnie. - Od czasu do czasu zdarzają ci się rzeczy niebywale interesujące. Najpierw te gwoździe, a potem ich cel. Duża rzecz.

- Zawsze mnie rozumiałeś - powiedział Oliveira. - Yerba znowu potrzebna mi jest, żeby sobie zrobić parę mate.

- Dobrze - powiedział Traveler. - Poczekaj. Jeżeliby to za długo trwało, możesz gwizdać, Talita lubi, jak gwiżdżesz.

Machając ręką Oliveira poszedł do łazienki, zlał sobie twarz i włosy wodą. Polewał się tak, aż zmoczył podkoszulek, po czym wrócił do okna, aby wypróbować teorię głoszącą, że słońce padające na mokry materiał, wywołuje gwałtowne uczucie zimna. „Pomyśleć, że umrę - powiedział do siebie - nie zobaczywszy na pierwszych stronach gazet wiadomości: upadek wieży w Pizie. To smutne, jeżeli się nad tym głębiej zastanowić".

Zaczął komponować tytuły, na tym zawsze szybciej schodził mu czas. „Zaplątana w wełnę do robienia na drutach zadusiła się w Lanus Oeste". Policzył do dwustu, czekając na natchnienie, ale żaden tytuł więcej nie przyszedł mu do głowy.

„Trzeba się będzie wynosić - pomyślał. - Ten pokój jest straszliwie mały. W rzeczywistości powinienem wstąpić do cyrku Manu i zamieszkać z nimi". - Yerba!

Nikt nie odpowiedział.

- Yerba - powtórzył łagodnie Oliveira. - Yerba, stary. Nie rób mi tego, Manu. Pomyśleć, że moglibyśmy sobie pogadać z okna do okna z tobą i Talitą, a może nadeszłaby señora Gutusso, albo ta mała od posyłek i zagralibyśmy w cmentarz albo w jaką inną grę...

„Właściwie - pomyślał - sam mogę pograć w cmentarz".

Poszedł po słownik Królewskiej Akademii Hiszpańskiej, na którego okładce słowo „Królewska" było starannie pocięte żyletką, otworzył ją na los szczęścia i przygotował dla Manu następujący zestaw:

„Korne kukle i kuczmy kleryków o klimakterycznych kontemplacjach kleszczą się klinem w klimacie klechd, klasycznie klinując ku kloakom klęskowe klempy".

- Kurwa - zachwycił się swoim dziełem. Pomyślał, że „kurwa" także mogłaby mu posłużyć za punkt wyjścia, ale z przykrością stwierdził, że nie figuruje w „cmentarzu". Z drugiej jednak strony kurwatura, kunopies i kuropłoch kolidowały z kurem krzewiącym kukurydzę, a kulbaczona w karcerze kurtyzana kusząc kuszerowaniem krotochwilnie kołatała koromysłem do komnaty kunktatora. „Faktycznie cmentarz - pomyślał. - Nie rozumiem, jakim cudem to świństwo jeszcze się nie rozleciało". Zabrał się do następnej gry, ale mu nie wychodziła. Zdecydował się na klasyczne dialogi i zaczął szukać kajetu, w którym zapisywał wypowiedzi podsłuchane w kolejce podziemnej, w kawiarniach, w barach. Miał prawie gotów *'Typowy dialog hiszpański,* więc tylko go podretuszował, wylawszy przedtem na siebie dzbanek zimnej wody.

TYPOWY DIALOG HISZPAŃSKI

Lopez. Przez rok okrągły mieszkałem w Madrycie. Było to w okolicach roku pańskiego 1925.

Perez. W Madrycie? Ależ właśnie wzmiankowałem wczoraj doktorowi Garcia...

Lopez. Od 1925 do 1926 byłem profesorem literatury przy uniwersytecie.

Perez. Mówiłem mu: „Człowieku, każdy, kto kiedykolwiek mieszkał w Madrycie, będzie to pamiętał do śmierci".

Lopez. Na katedrze specjalnie dla mnie stworzonej, ażebym mógł wykładać literaturę.

Perez. Właśnie, właśnie. Wczoraj, dokładnie wczoraj, mówiłem do doktora Garcia, z którym od dawien dawna się przyjaźnię...

Lopez. Oczywiście, jeżeli się tam żyło dłużej niż rok, łatwo jest zdać sobie sprawę z faktu, że poziom studiów pozostawia wiele do życzenia.

Perez. To syn Paco Garcia, tego, który był ministrem handlu i hodował byki.

Lopez. Dosłownie hańba, niech mi pan wierzy, jedna wielka hańba.

Perez. Jasne, człowieku, szkoda słów. A więc doktor Garcia...

Oliveirę trochę już znużył *Dialog,* zamknął więc zeszyt. „Siwa - pomyślał nagle. - O kosmiczny tancerzu, jakże błyszczysz, o brązie, wieczny pod tym słońcem". Dlaczego wspomniał Siwę? Buenos Aires. Żyje się. Dziwaczne. W końcu ma się encyklopedię. *De qué te sirvió el verano, oh ruiseñor.* Pewno, że gorzej by było specjalizować się w czymś i na przykład przez pięć lat obserwować zachowanie szarańczy. Ale co za niebywała lista, popatrzmyż przez chwilę... Był to żółty papierek wycięty z jakiegoś urzędowego dokumentu. Publikacja UNESCO czy coś w tym rodzaju, z nazwiskami członków jakiejś birmańskiej komisji, co wciągnęło Oliveirę tak, że nie mógł opanować się, żeby nie napisać ołówkiem następującego bezsensownego poematu:

U Nu,
U Tin,
Mya Bu,
Thado Thiri Thudama U E Maung,
Sithu U Cho,
Wunna Kyaw Htin U Khin Zaw,
Wunna Kyaw Htin U Thein Han,
Wunna Kyaw Htin U Myo Min,
Thiri Pyanchi U Tbant,
Thado Maha Thray Sithu U Chan Htoon.

- Trzy „Wunna Kyaw Htin" są może trochę monotonne - stwierdził przyglądając się poematowi. - Pewnie to znaczy coś à la „Jego Najjaśniejsza Ekscelencja". Niezgorsze też jest „Thiri Pyanchi U Thant"; tak, to brzmi najlepiej. A jak się wymawia „Htoon"?

- Halo - zgłosił się Traveler.

- Halo - odparł Oliveira. - Ale zimno, niech to szlag.

- Przepraszam za zwłokę. Wiesz, gwoździe...

- Jasne - zgodził się Oliveira. - Co gwóźdź, to gwóźdź, a w dodatku prosty... Zrobiłeś paczuszkę?

- Nie - Treveler drapał się w brodawkę na piersiach. - Rany, co za dzień. Ogień z nieba leci.

- Wolnego! - Oliveira dotknął zupełnie suchego podkoszulka. - Ty jesteś po prostu salamandrą, żyjesz w świecie nie kończącej się piromanii. A mate przyniosłeś?

- Nie - powiedział Traveler. - Kompletnie zapomniałem o mate. Mam tylko gwoździe.

- To idź, przynieś mate, zrobisz pakiecik i rzucisz mi. Traveler obejrzał swoje okno, potem spojrzał na ulicę, wreszcie na okno Oliveiry.

- Boję się, że będzie klops - oznajmił. - Ja nie trafiam, nawet na odległość dwóch metrów. W cyrku wszyscy się ze mnie nabijają.

- Ale to przecież jest tak, jakbyś mi podał - powiedział Oliveira.

- Łatwo ci mówić, a potem gwoździe spadną komuś na łeb i awantura.

- Rzuć mi paczuszkę, to zagramy w cmentarz - zaproponował Oliveira.

- Zajdź po nią. To będzie lepiej.

- Co ty, oszalałeś? Schodzić trzy piętra, przechodzić po lodzie, znowu wchodzić trzy piętra... Tego nie proponują nawet w *Chacie wuja Toma.*

- Chyba nie wyobrażasz sobie, że ja oddam się tej popołudniowej wspinaczce.

- Takie intencje ani mi nie postały w głowie - uniósł się szlachetnością Oliveira.

- Ani, że będę szukał w kuchni deski, aby przerzucić most...

- To nie jest zła myśl - zastanowił się Oliveira. - Niezależnie od tego, że na dodatek zmusiłaby każdego z nas do użycia gwoździ.

- Poczekaj no - mruknął Traveler i znikł.

Oliveira zamyślił się nad wynalezieniem odpowiedniej obelgi, aby nią obdarzyć Travelera przy pierwszej okazji. Poszperawszy w „cmentarzu" i wylawszy na siebie dzbanek wody zasiadł w oknie w pełnym słońcu. W chwilę potem zjawił się Traveler taszcząc ogromną deskę, którą powoli zaczął wysuwać z okna. Dopiero wtedy Oliveira zauważył, że Talita także podtrzymywała deskę i pozdrowił ją gwizdnięciem. Talita miała na sobie zielony szlafroczek dość obcisły, ażeby można się było zorientować, że pod spodem jest naga.

- Ale nudzisz - wysapał Traveler - zobacz tylko, jaki mamy z tobą kram.

Oliveira chwycił w lot okazję.

- Zamilknij, skolopendro, pareczniku od dziesięciu do dwunastu centymetrów długości, o ciele składającym się z dwudziestu pięciu pierścieni, posiadająca czworo oczu i przy otworze gębowym zrogowaciałe szczękonóżki, które przy ukąszeniu wypuszczają z siebie silnie trujący jad

- wypowiedział jednym tchem.

- Szczękonóżki! - skomentował Traveler. - Bądź łaskawa zauważyć, jakim żargonem toto się posługuje. Słuchaj, jeżeli będę dalej tak wysuwał tę deskę, przyjdzie chwila, że szlag nas trafi razem z Talita.

- To prawda - przyznał Oliveira - ale weź łaskawie pod uwagę, że koniec deski jest zbyt daleko, abym mógł ją uchwycić.

- To wyciągnij trochę szczękonóżki - doradził Traveler.

- Będzie mi trudno. W dodatku, jak ci wiadomo, cierpię na *horror vacui.* Jestem prawdziwą myślącą trzciną, *la caña pensante.*

- Jedyną caña, z którą masz coś wspólnego, jest ta, co w butelce przychodzi z Paragwaju - wściekł się Traveler.

- Co tu robić? Ta deska jest za ciężka, choć ciężar jest, jak ci wiadomo, rzeczą względną: jakeśmy ją przynosili ze sklepu, była leciutka, co prawda słońce nie prażyło, tak jak dziś.

- Wciągnij ją z powrotem do pokoju - doradził Oliveira wzdychając. - Tak będzie najlepiej. Ja mam inną deskę, nie taką długą, ale za to szerszą. Założymy na nią sznur tak jak lasso i obie deski zwiążemy przez środek. Ja moją przytwierdzam do łóżka, a ty rób z twoją, co ci się żywnie podoba.

- Naszą najlepiej będzie zaklinować w szufladzie komody - powiedziała Talita. - Zanim ty przyniesiesz swoją, my się przygotujemy.

„Ależ utrudniają życie" - pomyślał Oliveira idąc po swoją deskę, która stała w zakamarku między jego drzwiami a drzwiami pokoju Turka, znachora. Była to cedrowa deska, pięknie zheblowana, ale wylazło z niej parę sęków. Oliveira włożył palec w dziurę, zaobserwował, jak wyszedł na drugą stronę, i zastanowił się, czy dziury nie przydałyby się do przeciągania liny. W zakamarku było ciemnawo (była to raczej różnica pomiędzy cieniem a zalanym słońcem pokojem), a w drzwiach Turka stało krzesło, z którego wylewała się czarno ubrana dama. Oliveira ukłonił się spoza deski, którą postawił przed sobą niby olbrzymi, acz nieprzydatny puklerz.

- Dobry wieczór, kawalerze - powiedziała czarna dama. - Ale mamy upał.

- Przeciwnie, proszę pani - powiedział Oliveira - raczej powiedziałbym, że mamy tęgi mróz.

- Niech pan nie będzie za dowcipny - powiedziała dama. - Trochę uszanowania dla chorego człowieka.

- Ależ pani nic nie jest.

- Nic mi nie jest? Jak pan śmie?

„Oto rzeczywistość - pomyślał Oliveira opierając deskę o ścianę i patrząc na damę w czerni. - Oto, co akceptuję w każdym momencie jako rzeczywistość; to nie może być, nie może być..."

- Nie może być - powiedział Oliveira.

- Niech pan się stąd zabiera, bezwstydny młodzieńcze! - powiedziała dama. - To skandal wychodzić w podkoszulku o tej porze.

- Marki Maslloréns, proszę pani - objaśnił Oliveira.

- Bezczelny - powiedziała Dama.

„To biorę za rzeczywistość - pomyślał Oliveira, pieszczotliwie głaszcząc deskę i opierając się o nią. - Tę wystawę oświetloną, urządzoną przez pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt wieków rąk, wyobrażeń, kompromisów, układów, sekretnych swawoli".

- Kto by pomyślał, że człowiek na progu siwizny...

„Wyobrażać sobie, że jest się środkiem - myślał Oliveira, wygodnie opierając się o deskę. - Co za niewymierna głupota. Środek równie iluzoryczny, jak iluzoryczną jest wszechobecność. Nie ma środka, jest coś w rodzaju stałego przemijania, falowania materii. W nocy jestem ciałem nieruchomym, a równocześnie w jakimś punkcie miasta rolka papieru zmienia się w poranną gazetę, o ósmej czterdzieści wyjdę z domu, o ósmej dwadzieścia gazeta dotrze do narożnego kiosku, a o ósmej czterdzieści pięć moja ręka i gazeta połączą się i zaczną się razem poruszać w powietrzu o metr nad ziemią w stronę tramwaju..."

- I ten don Bunche, który bez końca przyjmuje tamtego pacjenta - poskarżyła się dama w czerni,

Oliveira podniósł deskę i zaniósł do siebie. Traveler dawał mu znaki, żeby się zwijał; chcąc go uspokoić, zastosował dwa przeszywające gwizdy. Lina leżała na szafie, trzeba będzie wejść na krzesło.

- Może byś się pośpieszył!

- Już, już - powiedział Oliveira w stronę okna. - Twoja deska jest dobrze umocowana?

- Zaklinowaliśmy ją w szufladzie komody, a na wierzch Talita położyła *Encyklopedię dla samouków* Quilleta.

- Może być - zgodził się Oliveira. - Ja moją przyłożę rocznikiem „Statens Psykologisk-Pedagogiska Institut". Przysyłają to Gekrepten nie wiadomo po co ani dlaczego.

- Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, jak je połączymy - powiedział Traveler popychając komodę tak, aby deska po trochu zaczęła wysuwać się przez okno.

- Wyglądacie jak asyryjscy wodzowie, mający machinami wojennymi obalać mury - powiedziała Talita, która nienadaremnie była właścicielką encyklopedii. - Ta książka, co mówiłeś, to niemiecka?

- Szwedzka, oślico - odpowiedział Oliveira. - Mówi o rzeczach w rodzaju *Mentalhygieniska synpunkter i förskoleundervisning.* Przepiękne słowa godne tego osławionego Snorri Sturlussona, tak często wymienianego w argentyńskiej literaturze. Prawdziwe napierśniki z brązu z talizmanicznym wyobrażeniem sokoła.

- Dzikie wichry Norwegii - dorzucił Traveler.

- Czy ty jesteś kulturalnym człowiekiem, czy też tylko utrafiasz? - zagadnął Oliveira z pewnym zdziwieniem.

- Nie będę cię bujał, że mi cyrk nie zabiera czasu

- rzekł Traveler - ale jednak zostaje go trochę, żeby przypiąć sobie gwiazdę na czole. To zdanie o gwieździe zawsze mi wyskoczy, kiedy mówię o cyrku, zaraźliwe, czy co. Skąd też ja to wziąłem? Nie wiesz czasem, Talita?

- Nie wiem - Talita próbowała wytrzymałości deski.

- Pewnie z jakiejś portorykańskiej powieści.

- Najgorsze, że ja w gruncie rzeczy wiem, gdzie to przeczytałem.

- Któryś z klasyków?

- Nie wiem, o co tam chodziło - powiedział Traveler

- ale to była niezapomniana książka.

- Jak widać - zauważył Oliveira.

- Nasza deska wspaniale siedzi - doniosła Talita. - Ciekawe, jak też ty umocujesz swoją.

Oliveira skończył rozplątywać linę, przeciął ją na dwie części i jedną z nich przywiązał brzeg deski do sprężynowej siatki łóżka. Drugi jej koniec wyrzucił przez okno, przysunął łóżko i deska-dźwignia zaczęła powoli opuszczać się na deskę Travelera, podczas gdy nogi łóżka uniosły się o jakieś 50 cm w górę. „Niedobrze, będą się coraz wyżej wznosić, jak tylko ktoś stanie na pomoście" - zatroskał się Oliveira. Podszedł do szafy i popchnął ją w stronę łóżka.

- Za mały ciężar? - zapytała Talita, która usiadła na swoim oknie i patrzyła do pokoju Oliveiry.

- Po prostu jak najdalej idące środki ostrożności - objaśnił Oliveira - żeby wykluczyć wypadek.

Dopchnął szafę do łóżka i powoli zaczął ją na nie przewracać. Talita podziwiała jego siłę prawie tak samo, jak spryt i wynalazczość Travelera. „Prawdziwe gliptodonty" - pomyślała rozczulona. Epoka antydyluwialna zawsze wydawała się jej oazą mądrości.

Szafa nabrała rozpędu i upadła na łóżko, aż podłoga zadrżała. Na dole podniósł się krzyk i Oliveirze przyszło do głowy, że Turek z sąsiedztwa musiał zebrać w sobie wszystkie szamańskie moce. Uplasował szafę jak należy i usiadł okrakiem na desce, oczywiście po wewnętrznej stronie okna.

- Teraz wytrzyma każdy ciężar - oznajmił. - Wprawdzie obejdzie się bez tragedii, ale za to sprawimy zawód dziewczynkom z dołu, które tak nas kochają. Rzecz nabiera dla nich sensu, dopiero jak ktoś poleci na mordę na ulicę. Samo życie, jak to mówią.

- Nie związujesz razem desek twoją liną? - zapytał Traveler.

- Słuchaj, przecież świetnie wiesz, że dostaję zawrotu głowy od wysokości. Od samego słowa „Everest" mam uczucie kopa w krocze. Wśród wielu ludzi, których nienawidzę, największy wstręt mam do Sherpy Tensinga, jak Boga kocham.

- Czy to innymi słowami znaczy, że my mamy związywać deski?

- Tak by wyglądało - Oliveira zapalił z rezygnacją „43"

- Masz pojęcie - zwrócił się Traveler do Tality - ten żąda, żebyś ty się czołgała do połowy pomostu i zawiązywała linę!

- Ja? - zdziwiła się Talita.

- Przecież sama słyszałaś.

- Oliveira wcale nie mówił, że to ja mam czołgać się do połowy pomostu.

- Nie powiedział, ale to się rozumie samo przez się. Nie mówiąc już o tym, że bardziej wypada, żebyś ty podała mu yerbę.

- Nie będę umiała zawiązać liny - powiedziała Talita.

- Wy jakoś umiecie robić węzły, a moje od razu się rozwiązują. Właściwie to się nie chcą nawet zawiązać.

- Będziemy ci dawali wskazówki - łaskawie przystał Traveler.

Talita zawiązała szlafroczek i zdjęła kawałek nitki, który jej się przyczepił do palca. Miała ochotę westchnąć, ale wiedziała, że Travelera doprowadzały do rozpaczy jej westchnienia.

- Tobie rzeczywiście na tym zależy, żebym ja podała yerbę Oliveirze? - spytała półgłosem.

- Co tam gadacie, hę? - Oliveira wystawił pół ciała za okno i oparł obie ręce o swoją deskę. Mała od posyłek ustawiła sobie krzesełko na chodniku i patrzyła na nich. Kiwnął jej ręką. „Podwójne załamanie czasu i przestrzeni

- pomyślał. - Biedactwo uważa, żeśmy zwariowali, i czatuje na zawrotny upadek w normalność. Jeżeli ktoś spadnie, opryska ją krew, jak amen w pacierzu. A ona nie wie, że zostanie opryskana krwią, nie wie, że po to postawiła tu krzesło, aby opryskała ją krew, i nie wie, że przed dziesięcioma minutami miała w kuchni atak *taedium vitae,* który spowodował wystawienie krzesła na chodnik. I że szklanka wody, którą wypiła o drugiej dwadzieścia pięć, była letnia i wstrętna, ażeby żołądek, centrum popołudniowego samopoczucia, przygotował ją na ten atak *taedium vitae,* który trzy pastylki magnezji marki Phillips mogły były znakomicie usunąć. Ale tego ostatniego nie powinna wiedzieć, pewne ponadwymiarowe albo niszczące sprawy bywają znane tylko na astralnym planie, ażeby posłużyć się tą bezsensowną terminologią".

- Nic nie gadamy - odparł Traveler. - Przygotuj no linę.

- Zrobione. Lina prima. Jazda, Talita, podam ci ją stąd. Talita usiadła okrakiem na desce i posunęła się jakieś pięć centymetrów opierając się na rękach i dosuwając pupę.

- Niewygodnie mi w tym szlafroku - powiedziała.

- Lepiej by mi było, gdybym włożyła twoje spodnie albo coś w tym rodzaju.

- Nie warto - powiedział Traveler. - A nuż spadniesz, to mi zniszczysz ubranie.

- Nie spiesz się - doradzał Oliveira. - Jeszcze tylko trochę, i już będę ci mógł przerzucić linę.

- Jaka szeroka jest ta ulica - Talita spojrzała w dół.

- Dużo szersza, niż kiedy się patrzy na nią z okna.

- Okna są oczami miasta - wyjaśnił Traveler - i wobec tego deformują to, na co patrzą. W tym punkcie osiągnęłaś czystość spojrzenia i zapewne widzisz rzeczy niby gołębica albo koń, które nie wiedzą, że mają oczy.

- Pozostaw myślenie ludziom z „Nouvelle Revue Française" i lepiej trzymaj deskę - znowu doradził Oliveira.

- Ciebie naturalnie szlag trafia, jak ktokolwiek powie coś, co sam byś chciał powiedzieć. Mogę znakomicie trzymać deskę obserwując i myśląc.

- Już chyba jestem blisko środka - powiedziała niepewnie Talita.

- Środka? Zaledwieś się odsunęła odrobinę od okna. Brak ci najmniej dwa metry.

- Mam wrażenie, że deska ugina się pode mną.

- Nic się nie ugina - powiedział Traveler, który po stronie pokoju również usiadł okrakiem na desce - odrobinę wibruje, i tyle.

- Zresztą jej brzeg opiera się o moją deskę - powiedział Oliveira. - Byłoby niesłychanie dziwne, żeby obie ugięły się w tym samym momencie.

- Ale ja ważę pięćdziesiąt sześć kilo - powiedziała Talita. - A zanim dojadę do środka, będę ważyła co najmniej dwieście. Czuję, jak za każdym razem bardziej się obniża.

- Gdyby się obniżała, już miałbym nogi w powietrzu - powiedział Traveler. - A tymczasem znakomicie opieram je o ziemię. W najgorszym przypadku mogłyby obie pęknąć, ale to mało prawdopodobne.

- Włókno jest bardziej wytrzymałe na długość - wyłożył Oliveira. - Stąd wszystkie doświadczenia z pękami trzcin i inne przykłady temu podobne. Tuszę, że nie zapomniałaś gwoździ ani yerby.

- Mam w kieszeni. Rzućże mi już raz tę linę, bo zaczynam się denerwować.

- A wszystko z zimna - Oliveira kręcił liną jak gauczo lassem. - Uwaga, żebyś nie straciła równowagi. Może lepiej złapię cię na lasso, wtedy będę pewny, że będziesz mogła uchwycić linę.

„To ciekawe - pomyślał widząc linę wirującą nad głową. - Jeżeli komuś naprawdę na czymś zależy, wszystko się prawidłowo zazębia. Jedyną rzeczą fałszywą jest analiza".

- Już się zbliżasz - ogłosił Traveler. - Usadź się tak, żebyś mogła połączyć obie deski, bo trochę się rozchodzą.

- Zobacz, jak świetnie ją złapałem na lasso - ucieszył się Oliveira. - Masz, nie powiesz mi teraz, Manu, że nie mógłbym pracować z wami w cyrku.

- Uderzyłeś mnie w twarz - użaliła się Talita. - Co za jakiś kolczasty sznur!

- Wkładam kowbojski kapelusz, wylatuję gwiżdżąc i łapię wszystkich na lasso - Oliveira pełen był entuzjazmu. - Owacje z trybun, sukces od dawna nie notowany w cyrkowych annałach.

- Zdaje się, że dostałeś porażenia słonecznego - zirytował się Traveler. - I już ci mówiłem, żebyś mnie nie nazywał Manu.

- Nie mam siły - powiedziała Talita. - Strasznie szorstka jest ta lina i zaczepia się.

- Oto ambiwalencja liny - stwierdził Oliveira. - Jej naturalna funkcja sabotowana przez tajemniczą tendencję do neutralizacji. To nosi, zdaje się, nazwę entropii.

- Chyba już się trzyma. Czy mam ją jeszcze raz przełożyć? Jeszcze kawałek zwisa.

- Tak, okręć ją lepiej - powiedział Traveler. - Nienawidzę rzeczy, które wystają albo zwisają, jest w tym coś diabolicznego.

- Perfekcjonista się znalazł - dociął Oliveira. - Teraz przenieś się na moją deskę, żeby wypróbować most.

- Boję się - powiedziała Talita. - Twoja deska wygląda na mniej solidną od naszej.

- Co takiego? - obraził się Oliveira. - Nie widzisz, że to cedrowa deska? Co za porównanie z tym sosnowym świństwem. Spokojnie przejeżdżaj na nią i już.

- A ty jak uważasz, Manu? - spytała Talita odwracając się.

Zanim odpowiedział, Traveler spojrzał na miejsce, gdzie stykały się deski, i na źle zawiązaną linę. Siedząc okrakiem na swojej, czuł, jak mu wibruje między nogami w sposób przyjemny i nieprzyjemny równocześnie. Talita powinna była tylko oprzeć się na rękach i leciutko odbić, aby znaleźć się na desce Oliveiry. Most przecież wytrzyma. Jest doskonale zrobiony.

- Poczekaj chwilę - powiedział pełen wątpliwości.

- Stąd nie możesz mu podać paczuszki?

- Naturalnie, że nie może - zgorszył się Oliveira.

- Co ci też przychodzi do głowy? Wszystko psujesz.

- Dosłownie podać nie mogę - przyznała Talita.

- Ale mogę mu rzucić, nic łatwiejszego.

- Rzucić - odezwał się dotknięty Oliveira. - Tyle zawracania głowy po to, żeby mówić o rzucaniu!

- Jeżeli wyciągniesz rękę, będziesz o mniej niż czterdzieści centymetrów od paczuszki - powiedział Traveler.

- Nie ma żadnej potrzeby, żeby Talita pchała się aż tam. Rzucaj paczuszkę i koniec.

- Spudłuje, jak wszystkie kobiety - powiedział Oliveira - i yerba tylko wysypie się na bruk, nie mówiąc już o gwoździach.

- Możesz się nie denerwować - Talita szybko wyciągała paczuszkę. - Nawet jeżeli nie wpadnie ci prosto w rękę, to i tak trafi w okno.

- Pewno, i rozleci się na podłodze, która jest brudna, i będę pił ohydną mate pełną kłaków.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Traveler - ciskaj paczuszkę i wracaj.

Talita odwróciła się ku niemu i spojrzała pytająco, niepewna, czy mówi poważnie. Traveler patrzył na nią w sposób, jaki dobrze znała, i odczuła jego spojrzenie jak pogłaskanie po plecach. Ścisnęła paczuszkę w ręku i odmierzyła dystans.

Oliveira opuścił ręce i zdawał się nie zwracać uwagi na to, co Talita zrobi, czy też czego nie zrobi. Ponad nią, nieruchomo, patrzył na nieruchomo patrzącego nań Travelera.

„Tych dwóch przeciągnęło między sobą drugi most - pomyślała Talita. - Nie zauważyliby nawet, gdybym spadła na ulicę". Popatrzyła na chodnik, zobaczyła małą na posyłki wpatrzoną w nią z otwartą gębą; o dwie ulice dalej szła jakaś kobieta, podobna do Gekrepten. Talita zatrzymała się, położyła paczuszkę na pomoście.

- No i proszę - powiedział Oliveira. - Musiało się tak skończyć, ciebie nic na świecie nie zmieni. Dochodzisz do brzegu spraw i człowiek myśli, że w końcu coś zrozumiałeś, ale szkoda gadać, zaczynasz je obracać, odczytywać etykietki. Nie wychodzisz poza prospekty, chłopie.

- No to co? - odparł Traveler. - Dlaczego mam iść na twoją grę, bracie?

- Gra idzie swoją drogą, ty tylko wsadzasz kije w szprychy koła.

- Które ty zrobiłeś, jeżeli już o tym mowa.

- Nie mam wrażenia - odparł Oliveira. - Nie zrobiłem nic, po prostu stworzyłem okoliczności, jak to określają wtajemniczeni. Należało grać uczciwie.

- To zdanie przegrywającego, stary.

- Łatwo jest przegrać, jeżeli partner ma znaczone karty.

- Brawo - powiedział Traveler. - Zdanie godne prawdziwego gracza.

Talita zdawała sobie sprawę z tego, że w jakiś sposób mówią o niej, i nie spuszczała wzroku z małej, nieruchomo siedzącej na krześle z otwartymi ustami. „Nie wiem, co bym dała za to, żeby nie słyszeć tej rozmowy - pomyślała. - O czymkolwiek mówią, zawsze w gruncie rzeczy idzie o mnie, chociaż to też nie to, jakkolwiek prawie to". Przyszło jej do głowy, że byłoby zabawnie wycelować tak paczuszkę, żeby wpadła prosto w gębę małej, ale właściwie i to nie ubawiło jej, czuła nad sobą ten drugi pomost, słowa wędrujące tam i z powrotem, śmiechy, parne milczenia.

„To jest jak rozprawa sądowa - pomyślała. - Jak jakiś rytuał".

Poznała Gekrepten, która dochodziła do sąsiedniego rogu spoglądając w górę. „Kto cię sądzi?" - kończył Olivei-ra. Ale to nie Travelera, to ją sądzono. Uczucie czegoś lepkiego, jakby słońce na karku i nogach. Dostanie porażenia słonecznego, może to będzie karą. „Myślę, że nie masz żadnego tytułu, żeby mnie sądzić" - mówił Manu. Ale to nie jego, to ją sądzono. A przez nią Bóg wie co jeszcze, podczas gdy ta głupia Gekrepten machała ręką dając jej znaki, jakby miała spaść na ulicę, skazana bez ratunku.

- Dlaczego tak się kołyszesz? - zapytał Traveler przytrzymując deskę obiema rękami. - Słuchaj, nie trzęś nią tak, bo nas wszystkich szlag trafi.

- Wcale się nie ruszam - powiedziała żałośnie Talita.

- Chciałabym tylko rzucić mu wreszcie tę paczuszkę i wrócić do domu.

- Przecież słońce pada ci prosto na głowę, biedulko

- użalił się Traveler. - Okropność.

- Twoja wina - zirytował się Oliveira. - Z najdrobniejszej rzeczy zawsze zrobisz burdel.

- Ty tylko zawsze na mnie - wściekł się Traveler.

- Spiesz się, Talita. Daj mu tą yerbą w łeb i niech się odpierdoli od nas raz na zawsze.

- Trochę późno - odezwała się Talita. - Już nie jestem taka pewna, czy trafię w okno.

- A nie mówiłem - wyszemrał Oliveira, który szemrał bardzo rzadko i tylko wtedy, kiedy był o krok od zrobienia jakiejś potworności. - O proszę, jeszcze i Gekrepten z kupą paczek. Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię.

- Ciskaj, Talita, tę yerbę, byle już - zniecierpliwił się Traveler. - Jak nie trafisz, to nie trafisz.

Talita pochyliła głowę i włosy spłynęły jej po czole aż do ust. Mrugała bezustannie oczami, do których wlewał się pot. Język miała pełen soli i jeszcze czegoś podobnego do iskier, maleńkich gwiazdeczek przebiegających po dziąsłach i języku.

- Zaczekaj - powiedział Traveler.

- Do mnie mówisz? - zapytał Oliveira.

- Nie. Zaczekaj no, Talita. Trzymaj się mocno, podam ci kapelusz.

- Nie schodź z deski - poprosiła Talita. - Nie schodź, bo spadnę na ulicę.

- Encyklopedia i komoda świetnie ją trzymają. Nie ruszaj się, już wracam.

Deski pochyliły się trochę ku dołowi, a Talita uchwyciła się ich rozpaczliwie. Oliveira gwizdnął z całej siły, jakby chciał tym zatrzymać Travelera, ale już nie było w oknie nikogo.

- Co za bydlę - powiedział Oliveira. - Nie ruszaj się, najlepiej wstrzymaj oddech. Mówię ci, to sprawa życia i śmierci.

- Wiem - głos Tality był cieniusieńką niteczką. - Zawsze tak było.

- A na dodatek Gekrepten już jest na schodach. Matko, jak zacznie mędzić! Nie ruszaj się.

- Nie ruszam się - powiedziała. - Ale myślę...

- Nie masz co myśleć - doradził Oliveira. - Masz się nie ruszać, to jedyne, co można zrobić.

„Już mnie osądzili - pomyślała Talita. - Teraz powinnam spaść, a oni będą dalej pracować w cyrku, dalej żyć".

- Dlaczego płaczesz? - zainteresował się Oliveira.

- Ja nie płaczę. Tylko strasznie się pocę.

- No wiesz - Oliveira poczuł się dotknięty. - Mogę być ostatnim bydlęciem, ale jeszcze mi się nigdy nie zdarzyło pomylić potu ze łzami. To dwie różne rzeczy.

- Ja nie płaczę - powtórzyła Talita. - Prawie nigdy nie płaczę, przysięgam ci. Płaczą tacy ludzie jak Gekrepten, która cała obładowana paczkami właśnie wchodzi na górę, a ja jestem jak łabędź, który śpiewa, kiedy ma umrzeć. Tak jakoś było na płycie Gardela.

Oliveira zapalił papierosa. Deski znowu trochę się wyrównały.

Zaciągnął się z zadowoleniem.

- Wiesz, póki nie wróci ten idiota Manu z kapeluszem, moglibyśmy sobie pograć w „wagę".

- Zaczynaj - zgodziła się Talita. - Jeżeli chcesz wiedzieć, wczoraj przygotowałam sobie kilka kawałków.

- To świetnie. Ja zaczynam i każde zadaje jedno pytanie. Więc: Operacja polegająca na zalaniu stałego ciała warstwą roztopionego metalu za pomocą prądu elektrycznego. Czy to nie jest dawna fregata o trójkątnych żaglach, o wyporności jakichś stu ton?

- No przecież, że jest - Talita odrzuciła w tył włosy.

- A wałęsać się, włóczyć się, odbić cios, uperfumować piżmem i przeliczyć dziesięcinę z owoców „na pniu"

- czyż to nie to samo, co jakiekolwiek soki owocowe, przeznaczone do konsumpcji, jak wino, oliwa i tak dalej?

- Bardzo dobre - uznał Oliveira. - Soki owocowe, jak wino, oliwa... Nigdy mi nie przyszło do głowy myśleć o winie jako o soku owocowym. Wspaniałe! Ale posłuchaj tego: powtórnie zakwitnąć, zazielenić pole, splątać włosy, wełnę, pobudzać do kłótni, do bójki, zatrzeć wodę naparstnicą albo inną rośliną o podobnych właściwościach, ażeby oszołomić ryby i potem je złowić. Czyż to nie jest zakończenie poematu dramatycznego o tragicznym zacięciu?

- Jak cudownie! - zachwyciła się Talita. - Naprawdę przepięknie, Horacio. Ty rzeczywiście umiesz wyłowić z cmentarzy sam smak!

- Roślinny smak - uzupełnił Oliveira.

Drzwi do pokoju otworzyły się i weszła zdyszana Ge-krepten, która była farbowaną blondynką, posiadała łatwość wymowy i nie dziwiła się już byle przewróconej szafie ani facetowi siedzącemu okrakiem na desce.

- Ale upał! - powiedziała rzucając paczki na krzesło.

- Najgorsza pora na zakupy, możesz mi wierzyć. Co ty tam robisz, Talita? Niech mi kto powie, dlaczego zawsze chodzę ze sprawunkami w porze sjesty.

- Dobrze, dobrze - Oliveira nawet na nią nie spojrzał.

- Teraz twoja kolej, Talita.

- Już nic dobrego sobie nie przypominam,

- Pomyśl, niemożliwe, żebyś sobie niczego nie przypomniała.

- Wszystko przez dentystę - mówiła Gekrepten.

- Naznacza mi zupełnie nieprawdopodobne godziny na plombowanie zębów. Mówiłam ci, że dzisiaj miałam pójść do dentysty?

- Teraz mi się coś przypomina.

- I popatrz, co mi się zdarza - ciągnęła Gekrepten.

- Przyjeżdżam do tego dentysty na ulicę Warnes, dzwonię i wychodzi pokojówka. Więc ja mówię : „Dobry wieczór". Na to ona: „Dobry wieczór. Proszę, niech pani wejdzie". Ja wchodzę, a ona mnie prowadzi do poczekalni.

- Więc tak - powiedziała Talita. - Taki, co ma wypchane policzki albo rząd związanych cebrzyków, które unoszą się na wodzie tak jak tratwa, płynąc do miejsca zarośniętego trzciną, sklep artykułów pierwszej potrzeby, założony dla obsługiwania określonej grupy osób na zasadach bardziej ekonomicznych niż w normalnych sklepach, całość mająca coś wspólnego z sielanką, czy to nie to samo co galwanizować zwierzę żywe albo martwe?

- Cudo! - zdumiał się Oliveira. - Po prostu genialne.

- ... i mówi: „Niech pani chwileczkę spocznie" - więc usiadłam i czekam.

- Mnie też jeszcze jedno zostało - powiedział Oliveira.

- Poczekaj, przypomnę sobie.

- Były dwie panie i jakiś pan z synkiem. Wydawało mi się, że czas w ogóle stanął. Co ci powiem: przeczytałam trzy numery „Idylli" od deski do deski. Dzieciak płakał biedactwo, a ojciec, taki jakiś nerwowy... Nie chcę skłamać, ale minęło przeszło dwie godziny od tej wpół do trzeciej, o której przyszłam. Więc nadeszła moja kolej i dentysta mówi do mnie: „Proszę, niech pani wejdzie". Wchodzę, a on mówi: „Nie bolało pani to, co założyłem ostatnim razem?" - mówi. „Nie, panie doktorze - mówię - co mnie miało boleć, tym bardziej że - mówię - cały czas gryzłam tylko z jednej strony". „To bardzo dobrze - mówi - tak powinna była pani zrobić. Niech pani siada"

- mówi. Więc usiadłam, a on mówi: „Niech pani otworzy usta". Jest bardzo uprzejmy, nie można powiedzieć.

- Już mam - powiedział Oliveira. - Nastaw uszy, Talita. Dlaczego się odwracasz?

- Żeby zobaczyć, czy nie wraca Manu.

- Akurat. Uważaj dobrze: czynność i rezultaty posuwania się w przeciwnych kierunkach albo, w turniejach czy zawodach, ruch jeźdźca, którego koń styka się pierś w pierś z koniem przeciwnika. Czy to nie przypomina *fastigium,* najcięższego momentu, tak zwanego kryzysu w chorobie?

- Dziwne - zadumała się Talita. - Czy tak się mówi?

- Co czy się tak mówi?

- To zetknięcie się piersi końskich pod dwoma jeźdźcami...

- Na turniejach tak - powiedział Oliveira. - Zresztą tak stoi w „cmentarzu".

- *Fastigium*... - powtórzyła Talita. - Jakie ładne słowo. Szkoda, że znaczy to, co znaczy.

- Ii, przecież to samo jest z mortadela i tyloma innymi słowami - wzruszył ramionami Oliveira. - Już *abbé* Bre-mond zajmował się tym, nie ma na to rady. Słowa podobne są do nas, rodzą się z jakąś twarzą, i mów do mnie jeszcze. Pomyśl na przykład o twarzy Kanta. I co mi powiesz? Albo Bernardino Rivadavia, żeby nie szukać tak daleko.

- Założył mi plastikową plombę - powiedziała Ge-krepten.

- Co za upał, Manu powiedział, że mi przyniesie kapelusz.

- Akurat ci przyniesie - powiedział Oliveira.

- Jeżeli się zgadzasz, to rzucam paczuszkę i wracam do domu - zaproponowała Talita.

Oliveira popatrzył na pomost, zmierzył okno, niedbale rozkładając ręce i pokręcił głową.

- Czy ja mogę być pewien, że ty trafisz - powiedział. - Z drugiej strony, nie chciałbym trzymać cię dłużej na tym mrozie. Nie czujesz, że ci się tworzą stalaktyty we włosach i w dziurkach od nosa?

- Nie - odpowiedziała Talita. - Stalaktyty... Czy to trochę jak *fastigium?*

- W pewnym sensie tak - zgodził się Oliveira. - Dwie rzeczy, które są do siebie podobne przez swoje różnice, trochę tak jak Manu i ja, jeżelibyś się nad tym zastanowiła. Przyznasz przecież, że cały kram polega na tym, że tak jesteśmy podobni.

- Tak - zgodziła się Talita. - To czasem bardzo męczące.

- Masło się zupełnie roztopiło - oznajmiła Gekrepten smarując sobie kromkę czarnego chleba. - Nie daj Boże, ile kłopotu z masłem w taki upał.

- Największa różnica polega na tym... - rzekł Oliveira, - Największa ze wszystkich różnic: dwóch facetów o czarnych włosach, o twarzach stołecznych cwaniaków, z tą samą pogardą dla prawie tych samych rzeczy, i ty...

- Ja... - zaczęła Talita.

- Nie masz się co wykręcać - przerwał Oliveira. - Jest faktem, że w jakiś sposób łączysz się z nami obydwoma po to, aby powiększać podobieństwa, a tym samym różnice.

- Nie wydaje mi się, żebym się łączyła z obydwoma.

- Co ty o tym wiesz? Co ty możesz o tym wiedzieć? Siedzisz w swoim pokoju, gotujesz i czytasz encyklopedię dla samouków, a wieczorem idziesz do cyrku i wyobrażasz sobie wobec tego, że jesteś tylko tu, gdzie jesteś. Czy nigdy nie zwracałaś uwagi na klamki u drzwi, na metalowe guziki, na kawałki szkła?

- Czasem zwracałam - przytaknęła Talita.

- Gdybyś dobrze patrzyła, zauważyłabyś, że wszędzie tam, gdzie człowiek najmniej się tego spodziewa, jest coś, co naśladuje każdy twój ruch. Strasznie jestem wrażliwy na takie głupstwa.

- Chodź, wypij mleko, bo już się robi kożuch - zawołała Gekrepten. - Dlaczego zawsze mówicie o takich dziwolągach?

- Nadajesz mi zbyt wielkie znaczenie - powiedziała Talita.

- Och, o tych rzeczach nie decyduje się samemu. Istnieje cały gatunek spraw, o których się samemu nie decyduje, i to są zawsze te najbardziej irytujące, jakkolwiek nie najważniejsze. Mówię ci to, bo to jest pociechą. Na przykład miałem ochotę napić się mate. Teraz przyłazi ta i robi człowiekowi białą kawę, o którą nikt jej nie prosił. Rezultat: jeżeli jej nie wypiję, na mleku zrobi się kożuch. Nieważne, a przecież złości. Wiesz, o czym mówię?

- Och tak - Talita patrzyła mu prosto w oczy. - Naprawdę podobny jesteś do Manu. Obaj umiecie tak pięknie mówić o białej kawie i o mate, aż w końcu człowiek zaczyna rozumieć, że w rzeczywistości kawa i mate...

- Utrafiłaś - przerwał Oliveira. - Tak że możemy wrócić do tego, o czym mówiłem przedtem. Różnica między Manu a mną polega na tym, że jesteśmy prawie jednakowi. W tych proporcjach różnica jest jak gdyby zagrażającą katastrofą. Jesteśmy przyjaciółmi? Oczywiście, ale wcale nie zaskoczyłoby mnie, gdyby... Zauważ, że odkąd się znamy

- z tobą mogę o tym mówić, bo i tak to wiesz - tylko się ranimy. Jemu się nie podoba, że jestem, jaki jestem, wystarczy, żebym się zabrał do prostowania paru gwoździków, a sama widzisz, jaką robi z tego hecę, a przy okazji wciąga w nią ciebie. Ale jemu nie podoba się, że jestem, jaki jestem, bo uważa, że wiele z tych rzeczy, które mi się zdarzają lub które robię, kradnę mu sprzed nosa. Zanim on pomyśli

- ciach! - już zrobione. Stuk, stuk, on podchodzi do okna, a ja już prostuję gwoździe.

Talita obejrzała się znowu i zobaczyła cień Travelera, który przysłuchiwał się, schowany między oknem a komodą.

- Nie przesadzaj - powiedziała. - Za to tobie nie przyszłyby do głowy niektóre rzeczy, które przychodzą Manu.

- Na przykład?

- Stygnie ci mleko - powtórzyła Gekrepten zrzędnym głosem. - Chcesz, żebym je trochę podgrzała, kochany?

- Zrób z niego deser na jutro - doradził Oliveira.

- Mów dalej, Talita.

- Nie - westchnęła Talita. - Po co? Strasznie mi gorąco i zaczyna mi się robić niedobrze.

Poczuła wibrację deski, kiedy usiadł na niej Traveler. Nie wychylając się poza parapet, położył na niej słomkowy kapelusz. Za pomocą kija od „piórka" popychał go teraz centymetr po centymetrze.

- Jeżeli tylko troszkę się skręci - uprzedził - to na pewno spadnie i trzeba będzie schodzić po niego na ulicę.

- Najlepiej będzie, jeżeli już wrócę do domu - powiedziała Talita patrząc na niego ze smutkiem.

- Ale najpierw musisz podać yerbe Oliveirze.

- Teraz już nie warto - odpowiedział Oliveira.

- Niech rzuca. To już wszystko jedno.

Talita spojrzała na jednego, potem na drugiego nie poruszając się.

- Wiesz, że niełatwo cię zrozumieć - powiedział Traveler. - Takie nieludzkie zawracanie głowy, a teraz okazuje się, że jedno mate więcej, czy jedno mate mniej nie gra roli.

- Wskazówki przesunęły się, synu - odparł Oliveira. - Poruszasz się w nie kończącej się czasoprzestrzeni z powolnością robaka. Pomyśl o wszystkim, co się zdarzyło, odkąd poszedłeś po tę nieszczęsną panamę. Cykl mate zamknął się bez skonsumowania, równocześnie wkroczyła zawsze wierna Gekrepten, uzbrojona w narzędzia kuchenne. Wstąpiliśmy w sektor białej kawy - nie ma rady.

- Ale mi powody! - mruknął Traveler.

- To nie są powody, to są obiektywne wyjaśnienia. Ty masz tendencję do poruszania się w ciągłości, jak to określają fizycy, podczas gdy ja jestem uwrażliwiony na zawrotną niestałość egzystencji. W tym momencie następuje wtargnięcie na scenę białej kawy, która instaluje się, króluje, rozprzestrzenia na setki tysięcy domów. Mate zostaje zmyta, schowana, zmieciona z powierzchni ziemi. Czasowa powłoka kawowa pokrywa tę część amerykańskiego

kontynentu. Pomyśl o wszystkim, co się w tym zawiera i co to za sobą pociąga. Pilne mateczki pouczające swoje pociechy o korzyściach diety mlecznej, zebrania wokół okrągłych stolików w dziecinnych pokojach, których część ponadstołowa jest jednym uśmiechem, zaś podstołowa zalewem kopniaków i uszczypnięć. Powiedzieć o tej porze: „Biała kawa" - oznacza zmianę, przyjacielskie zmierzanie ku końcowi dnia pracy, obrachunek dobrych uczynków, sytuacje przejściowe, mętne wstępy podsumowane brutalnie przez godzinę szóstą, straszliwą godzinę kluczy w zamkach i wyścigu do autobusów. O tej porze prawie nikt nie oddaje się miłości, której miejsce jest przedtem albo potem. O tej porze myśli się o prysznicu (który my weźmiemy o piątej) i ludzie zaczynają przeżuwać plany na wieczór, czyli zastanawiają się nad tym, czy pójdą zobaczyć Pauline Singerman, czy też Toca Tarantela (ale to niepewne, jeszcze czas). Co to wszystko może mieć wspólnego z godziną picia mate? Nie mówię naturalnie o mate pitej byle jak, przeplatanej białą kawą, tylko autentycznej, takiej, jakiej pragnąłem o właściwej godzinie, w momencie największego mrozu. Otóż mam wrażenie, że niedostatecznie rozumiesz te sprawy.

- Wiesz, moja krawcowa jest zwykłą nabieraczką - powiedziała Gekrepten. - Kto tobie szyje sukienki, Talita?

- Sama trochę znam się na kroju.

- I dobrze robisz, kochana. Dziś po południu prosto od dentysty poleciałam do krawcowej, która mieszka zaraz na drugiej ulicy, po spódniczkę, którą mi miała zrobić osiem miesięcy temu. A na to ona: „Ach, proszę pani - mówi - mama jest chora, tak że dosłownie nie byłam w stanie, jak to mówią, wziąć igły do ręki". Na to ja: „Ale ja - mówię - potrzebuję, proszę pani, tej spódniczki". - „Niech mi pani - mówi - wierzy, że mi bardzo przykro. Taka dobra klientka jak pani - mówi. - Mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Proszę o wyrozumienie". - „Z wybaczenia nie będę miała spódniczki - mówię. - Byłoby lepiej być punktualną, dla nas obu obróciłoby się to na lepsze". - „Skoro pani tak to bierze - mówi - to może poszuka sobie pani innej krawcowej". A na to ja: „Może mi pani wierzyć, że chętnie bym to zrobiła - mówię. - Ale skoro już liczyłam, że pani mi zrobi, lepiej mi się opłaci poczekać, chociaż uważam, że pani nie jest w porządku".

- To wszystko ci się przydarzyło? - zapytał Oliveira.

- No pewno - zdziwiła się Gekrepten. - Nie słyszysz, co mówię do Tality?

- To są dwie różne rzeczy.

- Już zaczynasz?

- Masz przykład - zwrócił się Oliveira do Travelera, który patrzył na niego z uniesionymi brwiami. - Masz przykład, jak to jest. Każdy jest przekonany, że to, o czym mówi, dzieli z innymi.

- Co oczywiście nie jest prawdą - uśmiechnął się Traveler. - Aleś odkrył Amerykę!

- Po prostu warto to powtórzyć.

- Tobie zawsze warto powtarzać to, co uważasz za sankcję przeciwko innym.

- Bóg zesłał mnie na wasze miasto... - powiedział Oliveira.

- Ledwoś zlazł ze mnie, już się czepiasz twojej kobiety.

- ... ażeby nie dać wam zasnąć.

- Coś w rodzaju furii Mojżeszowej. Zstąpiła na ciebie, gdy schodziłeś z góry Synaj.

- Lubię wszystko dokładnie wyjaśnić - oznajmił Oliveira. - Tobie jest obojętne, że w samym środku rozmowy Gekrepten wyjeżdża z fantastyczną historią o dentyście i jakiejś spódnicy. Nie zdajesz sobie chyba sprawy, że wtręty, wybaczalne, jeżeli są prześliczne lub co najmniej pełne natchnienia, stają się wręcz nieznośne, jeżeli ograniczają się do popsucia jakiegoś porządku, do rozwalania jakiejś konstrukcji. Ale zagajam, bracie...

- Horacio jest zawsze taki - wyjaśniła Gekrepten. - Niech pan na niego nie zwraca uwagi.

- Nasza miękkość jest nie do zniesienia, Manu. Ciągle pozwalamy rzeczywistości przeciekać nam przez ręce. Mieliśmy ją tu niemalże doskonałą, niby tęczę rozciągającą się między pierwszym a piątym palcem. Tyle pracy, czasu, wysiłków... Ciach. W radio mówią, że generał Pisotelli coś tam ogłosił. *Kaputt.* Wszystko *kaputt.* „Nareszcie coś się dzieje" - myśli ta mała na posyłki albo tamta, albo nawet i ty sam. A może i ja, bo nie myśl, że uważam się za nieomylnego. A bo ja wiem, gdzie jest prawda? Tylko że tak mi się podobała ta tęcza, jak żabka między palcami... A dziś po południu... Wydawało mi się, że niezależnie od zimna zaczęło się coś na serio... Na przykład Talita, której udał się niebywały wyczyn niespadnięcia na ulicę, i ty... i ja... Człowiek jest uwrażliwiony na pewne rzeczy, nie ma rady.

- Nie wiem, czy uchwyciłem, o co ci chodzi - odparł Traveler. - Rzeczywiście tę tęczę nie najgorzej wymyśliłeś. Ale dlaczego jesteś tak niewyrozumiały? Żyj, bracie, i pozwól innym żyć.

- Teraz, kiedy już miałeś tyle zabawy, chodź no tu i zdejmij mi tę szafę z łóżka - powiedziała Gekrepten.

- Zdajesz sobie sprawę? - Oliveira popatrzył na Travelera.

- A no tak - zgodził się Traveler, przekonany.

- *Quod erat demonstrandum,* stary.

- *Quod erat* - powtórzył Traveler.

- A najgorsze to, że właściwie jeszcześmy wcale nie zaczęli.

- Jak to? - Talita odrzuciła w tył włosy i spojrzała, czy Traveler dostatecznie daleko dopchnął kapelusz.

- Tylko się nie denerwuj - doradził jej spokojnie.

- Odwróć się powolutku i wyciągnij rękę, tak. Chwileczkę, jeszcze go popycham odrobinkę... Proszę. Nie mówiłem ci?

Talita schwyciła kapelusz i nasadziła go na głowę jednym ruchem. Na dole stało dwoje dzieci i jakaś pani; rozmawiali z małą na posyłki, obserwując most.

- Teraz rzucam paczuszkę Oliveirze, i skończyło się

- oznajmiła czując się jakoś pewniej w kapeluszu na głowie. - Trzymajcie porządnie deskę, żeby potem nie było...

- Rzucisz? - powiedział Oliveira. - Na pewno nie trafisz.

- Pozwól jej spróbować - powiedział Traveler. - Jeżeliby paczuszka miała spaść na ulicę, to niechby już prosto na łeb tej wrednej sowie Gutusso.

- Ach, tobie też się nie podoba? - ucieszył się Oliveira.

- Jakże mi miło, bo ja dosłownie nie trawię tej baby. A ty, Talita?

- Wolałabym rzucić już tę paczuszkę...

- Zaraz, zaraz, nie należy za bardzo się spieszyć.

- Oliveira ma rację - włączył się Traveler - nie można przecież na samym końcu wszystkiego popsuć. Tyle z tym było kramu...

- Kiedy mi gorąco - powiedziała cicho Talita. - Ja już chcę wracać, Manu.

- Nie masz się co tak skarżyć, nie jesteś daleko. Można by pomyśleć, że piszesz do mnie z Mato Grosso.

- To mówi à propos yerby - poinformował Oliveira Gekrepten, która patrzyła na szafę.

- Jeszcze na długo macie tej zabawy? - zapytała.

- Wprost przeciwnie.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Gekrepten.

Talita wyjęła paczuszkę z kieszeni szlafroka i kołysała nią w przód i w tył. Most zaczął wibrować, Traveler i Oliveira przytrzymywali go z całych sił. Zmęczona nabieraniem rozpędu, Talita podniosła rękę, przytrzymując się drugą.

- Nie rób głupstw - powiedział Oliveira. - Wolniej, słyszysz, co ci mówię? Wolniej!

- Już leci! - krzyknęła Talita.

- Wolniej, spadnie ci na ziemię.

- Wszystko mi jedno - zawołała rzucając paczuszkę, która z całym rozpędem wpadła do pokoju i roztrzaskała się o szafę.

- Wspaniale! - krzyknął Traveler, który przez cały czas patrzył na Talitę tak, jakby chciał podtrzymać ją na moście wyłącznie za pomocą siły wzroku. - Znakomicie, kochanie. Trudno było wyraźniej. Masz twoje *demonstrandum.*

Most powoli przestawał drżeć. Talita schwyciła się go obiema rękami i pochyliła głowę. Oliveira widział tylko kapelusz i włosy spadające na ramiona. Podniósł oczy i spojrzał na Travelera.

- Jeżeli chcesz wiedzieć - powiedział - ja również uważam, że trudno było wyraźniej.

„Wreszcie - pomyślała Talita patrząc na jezdnię, na chodniki. - Nic gorszego niż być w środku, między tymi dwoma oknami".

- Możesz teraz wybrać - powiedział Traveler. - Albo posunąć się do przodu, będzie ci łatwiej, i wejść do Oliveiry, albo cofnąć się, co jest trudniejsze, ale za to oszczędzisz sobie schodów i przechodzenia przez ulicę.

- Niech tu przyjdzie, biedula - powiedziała Gekrepten.

- Całą twarz ma zlaną potem.

- Tylko dzieci i wariaci... - zaczął Oliveira.

- Zostaw, niech chwilę odpocznę - powiedziała Talita.

- Kręci mi się w głowie.

Oliveira wychylił się przez okno i wyciągnął rękę. Wystarczyło posunąć się o pół metra, aby jej dotknąć.

- Jak prawdziwy dżentelmen - powiedział Traveler.

- Poznać, że czytał poradnik towarzyski profesora Maidana. Prawdziwy hrabia. Nie lekceważ tego, Talita.

- To z zimna - bąknął Oliveira. - Odpocznij trochę, Talita, zanim ruszysz dalej. Nie zwracaj na niego uwagi, wiadomo, że mróz na chwilę przed śmiercią wywołuje delirium.

Ale Talita wyprostowała się powoli i opierając na rękach przesunęła się o dwadzieścia centymetrów w tył. Drugie podparcie i drugie dwadzieścia centymetrów. Oliveira z uniesioną ręką wyglądał prawie jak pasażer statku, powoli odpływającego od mola.

Traveler wyciągnął ramiona i ujął ją pod pachy. Pozostała nieruchoma, a potem odrzuciła głowę w tył ruchem tak gwałtownym, że kapelusz spadł i powoli pożeglował ku chodnikowi.

- Jak na korridzie - powiedział Oliveira. - Stara Gutusso będzie go chciała sobie zabrać.

Talita przymknęła oczy i pozwoliła się podtrzymać, zdjąć z deski, wciągnąć przez okno. Czuła na swoim karku usta Travelera, jego szybki i gorący oddech.

- Wróciłaś - wyszeptał - wróciłaś, wróciłaś.

- Tak - odpowiedziała idąc w stronę łóżka. - A co myślałeś? Cisnęłam mu tę przeklętą paczkę i wróciłam. Cisnęłam mu tę paczkę i wróciłam. Cisnęłam mu...

Traveler usiadł na brzegu łóżka. Myślał o tęczy między palcami, o rzeczach, które przydarzały się Oliveirze. Talita pochyliła się ku niemu, cicho płacząc. „To nerwy - pomyślał Traveler - nie przyszło jej to łatwo".

Zaraz przyniesie jej dużą szklankę lemoniady, aspirynę, będzie ją wachlował gazetą, każe jej przespać się chwilę. Ale przedtem trzeba by schować encyklopedię dla samouków, przesunąć komodę i schować deskę. „Boże, jaki tu nieporządek" - pomyślał całując ją. Jak tylko przestanie płakać, poprosi, żeby pomogła mu posprzątać. Zaczął pieścić ją, przemawiać do niej.

- No, dobrze - powiedział Oliveira. Odsunął się od okna i usiadł na krawędzi łóżka, w miejscu nie zajętym przez szafę. Gekrepten kończyła zbierać łyżką yerbę z podłogi.

- Pełna gwoździ! - powiedziała. - Dziwne.

- Przedziwne - przytaknął Oliveira.

- Chyba zejdę po kapelusz Tality. Wiesz, jakie są dzieciaki.

- Mądra myśl - powiedział Oliveira; podniósł gwóźdź i obracał go w palcach.

Gekrepten zeszła na ulicę. Dzieci podniosły kapelusz i omawiały sprawę z małą od posyłek i z señora Gutusso.

- Dajcie go mnie - powiedziała Gekrepten z wysilonym uśmiechem. - To jest mojej znajomej, tej pani z przeciwka.

- Znajomej wszystkich, córciu - powiedziała señora Gutusso. - To ci dopiero przedstawienie, o takiej godzinie i jeszcze przy dzieciach!

- Nie było w tym nic złego - niepewnie i bez większego przekonania powiedziała Gekrepten.

- Fikać na desce z nogami w górze, ale mi ładny przykład dla dzieciaków! Pani może tego nie zauważyła, ale stąd faktycznie wszystko jej było widać, może mi pani wierzyć.

- Strasznie włochata - powiedział najmniejszy.

- No proszę - powiedziała señora Gutusso. - Dziecia-czki nie kłamią, mówią to, co widzą, biedne aniołeczki. A może też mi pani powie, co ona miała do roboty okrakiem na tej desce? O takiej porze, kiedy przyzwoici ludzie śpią albo zajmują się swoimi sprawami. A pani by wlazła na deskę okrakiem, jeżeli wolno zapytać?

- Ja nie - odpowiedziała Gekrepten. - Ale Talita pracuje w cyrku. To są artyści.

- Robią sztuki? - zapytał jeden z chłopców. - A ta, w jakim cyrku pracuje?

- To nie była sztuka - wyjaśniła Gekrepten. - Po prostu chcieli dać trochę yerby mojemu mężowi i...

Señora Gutusso patrzyła na małą od posyłek. Mała od posyłek przytknęła palec do czoła i zrobiła na nim kółeczko. Gekrepten złapała kapelusz obiema rękami i weszła do bramy. Dzieci stanęły rzędem, zaczęły śpiewać na melodię *Lekkiej kawalerii:*

Z tyłu podeszli ją, z tyłu podeszli ją
I wsadzili jej prosto w dupę kija.
Szkoda babki, szkoda babki,
Cala ze wstydu się zwija. (bis)

42

Il mio supplizio
è quando
non mi credo
in armonia.[76]
(G. Ungaretti, *I Fiumi*)

Należy uważać, aby dzieci nie wczołgiwały się pod namiot; jeśli zajdzie potrzeba, dopilnować zwierząt, pomagać mechanikowi regulującemu światła, redagować ogłoszenia i afisze, przypilnować drukarni, dogadać się z policją, o ile możności wyręczać dyrektora, pomagać panu Manuelowi Traveler w dziedzinie administracji i ewentualnie pani Atalii Donosi de Traveler w sekretariacie etc.

O *serce moje, nie powstawaj,*
aby świadczyć przeciw mnie![77]

W owym czasie w wieku lat trzydziestu trzech zmarł w Europie Dinu Lipatti. Aż do rogu ulicy gadali o pracy i o Dinu Lipattim, bowiem Talita była zdania, że należy zbierać dowody nieistnienia Boga, w najgorszym zaś razie jego nieuleczalnej lekkomyślności. Zaproponowała, aby niezwłocznie kupić płytę Dinu Lipattiego i wstąpić do don Crespa jej wysłuchać, ale Traveler i Oliveira chcieli w kawiarni na rogu napić się piwa i pogadać o cyrku, skoro kolegowali i byli właściwie zadowoleni. Oliveira nie--omieszkał-zauważyć-bohaterskiego-wysiłku Travelera, żeby przekonać szefa, ani też faktu, że w rezultacie przekonał go raczej zbieg okoliczności. Już zdecydowali, że z trzech kuponów kaszmiru, które mu jeszcze pozostały do sprzedania, dwa ofiaruje Gekrepten, z trzeciego zaś Talita zrobi sobie kostium, żeby ufetować „nominację". W rezultacie Traveler zamówił piwo, Talita zaś poszła przygotowywać obiad. Był poniedziałek, dzień wolny. We wtorek były dwa przedstawienia, o siódmej i o dziewiątej, z występami „4 Niedźwiedzie 4", dopiero co przybyłego z Kolumbii żonglera i kota-rachmistrza. Na początek taka praca to był właściwie sam miód, jeszcze przy okazji Oliveira oglądał przedstawienia, wcale nie gorsze niż gdzie indziej. Wszystko szło jak najlepiej.

[76] Jest dla mnie męczarnią, gdy nie czuję w sobie wewnętrznej harmonii, (Ungaretti, *Dymy*)
[77] *Księga umarłych* lub napis wyryty na grzbiecie skarabeusza.

Wszystko szło tak dobrze, że Traveler spuścił oczy i zaczął bębnić palcami w stolik. Kelner, dobry znajomy, podszedł, aby porozmawiać o meczu z Ferrocaril Oeste, i Oliveira postawił dziesięć pesos na drużynę Chacarita Juniors. Wybijając takt baguali, Traveler mówił sobie, że dobrze się stało, że nie było innego wyjścia, Oliveira zaś omawiał szczegóły swojego zakładu, popijając piwo. Zebrało mu się tego ranka na myślenie o zdaniach egipskich, o bogu Tot, opiekunie magii i wynalazcy języka. Przez chwilę podyskutowali, czy nie było złudzeniem dyskutować przez chwilę, skoro ich język, nawet tak lokalny i argotyczny, był, być może, jakąś częścią wieszczbiarskiej struktury, co by nie miało w sobie nic uspokajającego. Doszli do wniosku, że wziąwszy wszystko pod uwagę, podwójne powołanie Tota było oczywistą gwarancją zgodności między rzeczywistością a nierzeczywistością, i ucieszyli się, że w jakiejś mierze rozwiązali zawsze niemiły problem obiektywnej współzależności. Magia czy też świat namacalny - w każdym razie istniał egipski bóg, który był w stanie uzgodnić słownie podmiot z przedmiotem. Rzeczywiście wszystko szło jak z płatka.

(75)

43

W cyrku było znakomicie; zwodnicze świecidełka i oszalała muzyka, kot-rachmistrz, reagujący na uprzednio skrapiane walerianą tablice z numerami, wzruszone damy, pokazujące potomstwu ów wymowny przykład darwinowskiej ewolucji. Kiedy pierwszego wieczoru Olivei-ra wyszedł na pustą jeszcze arenç i spojrzał ku wylotowi znajdującemu się u samej góry czerwonego namiotu, ku temu ujściu, tej możliwości jakiegoś zetknięcia, ku temu środkowi, temu oku tworzącemu pomost pomiędzy ziemią a wolną przestrzenią, przestał się śmiać i pomyślał, że może istnieje ktoś, kto z największą łatwością wspiąłby się po maszcie ku temu oku w górze, ale że tym kimś nie jest on, który paląc papierosa patrzy w górę, nie jest on, który stoi na dole i pali pośród całej cyrkowej wrzawy.

Jednego z pierwszych wieczorów zrozumiał, dlaczego Traveler wyrobił mu to zajęcie. Talita powiedziała mu to prosto z mostu podczas liczenia kasy w baraku z cegieł, który służył za bank i biuro cyrku. Oliveira i tak już to wiedział, tyle że inaczej, punkt widzenia Tality potrzebny mu był tylko po to, by z tych dwóch wersji urodził się jakby nowy czas, czas teraźniejszy, w którym on sam poczuł się włączony, z którym poczuł się związany. Chciał przeczyć, powiedzieć, że to były wymysły Travelera, raz jeszcze chciał poczuć się poza nawiasem czasu innych (on, który umierał z ochoty, aby przyłączyć się, włączyć, być razem), ale równocześnie zrozumiał, że to było prawdą, że w jakiś sposób naruszył ich świat, świat Tality i Travelera, bez uczynków, niemalże bez intencji, ulegając po prostu kaprysowi, zrodzonemu z nostalgii. Pomiędzy słowami Tality ujrzał mgliste zarysy El Cerro i roześmiał się jej prosto w twarz, tak jak tego samego ranka w lustro, w którym przeglądał się myjąc zęby.

Talita związała nitką paczkę dziesięciopesowych banknotów i mechanicznie zaczęli liczyć dalej.

- Cóż chcesz - powiedziała. - Moim zdaniem Manu ma rację.

- Pewnie, że ma - zgodził się Oliveira. - Ale niezależnie od tego jest idiotą, o czym sama wiesz aż za dobrze.

- Nie, nie za dobrze. Wiem, czy może raczej wiedziałam to, kiedy siedziałam konno na desce. Za dobrze wiedzieliście to tylko wy dwaj, ale ja jestem w środku, tak jak ta część wagi, co nigdy nie pamiętam, jak się nazywa.

- Jesteś naszą Egerią, naszym mediumicznym pomostem. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z tego, że w twojej obecności obaj wpadamy w trans. Nawet Gekrepten zakonotowała to, o czym mi doniosła za pomocą tego właśnie efektownego czasownika.

- Może być - Talita zapisywała obliczone banknoty.

Jeżeli chcesz, żebym ci powiedziała, co o tym myślę, to Manu nie wie, co z tobą robić. Kocha cię jak brata, z czego, jak podejrzewam, nawet ty zdajesz sobie sprawę, a równocześnie żałuje, że wróciłeś.

- Nie musiał czekać na mnie w porcie. Nie posyłałem mu, siostro, widokówek.

- Dowiedział się od Gekrepten, która obsadziła geranium cały balkon, a ona dowiedziała się w ministerstwie.

- Diaboliczny przebieg zdarzeń - skrzywił się Oliveira. - Kiedy doszło do mnie, że Gekrepten została poinformowana drogą dyplomatyczną, zrozumiałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak pozwolić jej, aby rzuciła mi się w objęcia jak oszalałe cielę. Pomyśl tylko, co za poświęcenie, co za rozpaczliwy penelopizm!

- Jeżeli nie masz ochoty o tym mówić - powiedziała Talita patrząc w ziemię - to możemy zamknąć kasę i iść po Manu.

- Ależ przeciwnie, mam ochotę, tylko komplikacje twojego męża stwarzają mi żenujące problemy sumienia. A już tego to ja... W krótkich słowach: nie rozumiem, dlaczego sama nie rozetniesz tego węzła.

- No wiesz... - Talita popatrzyła na niego spokojnie. - Miałam wrażenie, że tamto popołudnie nawet największemu tępakowi powinno było dokładnie zademonstrować...

- Z pewnością, ale to właśnie cały twój Manu: następnego dnia idzie do dyra i zdobywa mi posadę! Dosłownie w chwili, gdy ocierałem łzy kuponikiem materiału, zanim wyszedłem go sprzedać.

- Manu jest dobry - powiedziała Talita. - Nigdy nie będziesz w stanie zrozumieć, jak bardzo jest dobry.

- Dziwna dobroć; niezależnie od tego, że nigdy nie będę w stanie jej zrozumieć (co chyba rzeczywiście jest prawdą), pozwól mi poddać ci myśl, że chce igrać z ogniem. Jak się nad tym bliżej zastanowić, jest to w gruncie rzeczy cyrkowa sztuczka. A ty - wskazał na nią palcem - masz wspólników.

- Wspólników?

- Tak, wspólników. Ja jestem jednym, a drugim ktoś, kogo tu nie ma. Czujesz się języczkiem u wagi, ażeby zastosować twoje piękne porównanie, a nie orientujesz się, że własnym ciałem przeważasz na jedną stronę. Powinnaś się o tym dowiedzieć.

- Czemu nie pójdziesz sobie, Horacio? Czemu go nie zostawisz w spokoju?

- Już ci przecież tłumaczyłem: właśnie wychodziłem z kuponami, kiedy zjawia się ten ciemniak i mówi, że mi znalazł pracę. Co miałem zrobić? Odmówić? Byłoby jeszcze gorzej. Zacząłby podejrzewać Bóg wie co.

- I w ten sposób mamy cię na głowie, a Manu źle sypia.

- Niech bierze librium.

Talita związała pięciopesowe banknoty. Podczas występu kota-rachmistrza zawsze wychylali się, aby go zobaczyć, bo było to bydlę niewytłumaczalne, już dwa razy rozwiązał mnożenie, zanim zdążyła podziałać sztuczka z walerianą. Traveler był zdumiony i prosił wtajemniczonych, aby go obserwowali. Ale dzisiejszego wieczoru kot był wręcz katastrofalnie ogłupiały i liczył zaledwie do dwudziestu pięciu. Paląc papierosa w jednym z przejść na scenę, Traveler i Oliveira zdecydowali, że prawdopodobnie brak mu fosforu, na co należałoby zwrócić uwagę szefowi. Dwóch klownów, nienawidzących kota bez żadnej przyczyny, wygłupiało się tańcząc naokoło platformy, na której kot czyścił sobie wąsy w świetle rtęciowych lamp. Przy ich trzecim okrążeniu, pod akompaniament rosyjskiej piosenki, kot wystawił pazury i skoczył do twarzy starszemu. Publiczność jak zawsze nieprzytomnie oklaskiwała numer. Wziąwszy wózek klownów, dyrektor zrewindykował kota, im zaś wlepił karę za prowokację.

Była to dziwna noc; patrząc w górę, jak zwykle o tej porze, w samym środku czarnej dziury Oliveira widział Syriusza i myślał o owych trzech dniach, w czasie których świat stoi otworem, Manu - duchy przeszłości - wznoszą się i tworzą pomost pomiędzy człowiekiem a dziurą w górze, pomiędzy człowiekiem a człowiekiem (bo kto by się wspinał aż do dziury, gdyby nie chciał zejść odmieniony i raz jeszcze - lecz już inaczej - stanąć oko w oko ze swoją rasą?). Dwudziesty czwarty sierpnia był jednym z owych trzech dni, w czasie których świat stoi otworem. Pewnie że nie warto o tym tyle myśleć, skoro teraz jest zaledwie luty. Oliveira nie pamiętał dwóch pozostałych dni, zabawne było pamiętać jedną tylko datę spośród trzech. Dlaczego akurat tę? Może dlatego, że miała siedem sylab, pamięć umie robić sztuczki w tym rodzaju. Ale wobec tego może Prawda jest aleksandrynem albo jedenastozgłoskowcem; może po raz nie wiem który i tu rytmy wskazywałyby dojście, skandowały etapy podróży. Nowe tematy rozpraw doktorskich. Przyjemnie było patrzeć na prestidigitatora, na jego niebywałą zręczność, na mleczny szlak papierosowego dymu kładący się na głowach setek dzieci z Villa del Parque, dzielnicy na szczęście pełnej eukaliptusów równoważących ten dym, że raz jeszcze wspomnimy wagę, owo narzędzie sprawiedliwości, ów znak Zodiaku.

44

Traveler rzeczywiście mało sypiał, w nocy wzdychał, jakby miał na sercu jakiś ciężar, i przytulał sie do Tality, która przyjmowała go bez słowa, przysuwając się do niego, aby czuł ją naprawdę blisko. W ciemnościach całowali się po nosach, ustach, oczach, a Traveler pieścił jej policzki ręką, która wyłaniała się spomiędzy prześcieradeł, po czym z powrotem ukrywała się wśród nich tak, jakby było jej zimno, chociaż oboje byli spoceni; potem Traveler zaczynał szeptać cyfry - stare przyzwyczajenie, jakoby pomagające usnąć, a Talita czuła, że uścisk jego ramion rozluźnia się, że zaczyna głęboko oddychać, że się uspokaja. W dzień był raczej wesoły i pogwizdywał tanga parząc mate lub czytając, ale w czasie gotowania obiadu zjawiał się wiele razy pod byle pretekstem, mówiąc o czymkolwiek, najczęściej jednak o zakładzie dla umysłowo chorych, bo pertraktacje były już w toku, a dyrektor coraz bardziej zapalał się do tej transakcji. Tality nie zachwycał pomysł domu wariatów, o czym Traveler wiedział. Oboje starali się znaleźć w tym elementy humorystyczne, obiecując sobie widowiska godne Becketta, kpiąc z biednego cyrku, który kończył cykl przedstawień w Villa del Parque i szykował się do występów w San Isidro, Oliveira od czasu do czasu wpadał napić się mate, przeważnie jednak siedział u siebie, korzystając z nieobecności Gekrepten, która chodziła do pracy i pozostawiała mu czas na czytanie i palenie. Kiedy Traveler patrzył na fiołkowo podkrążone oczy Tality, pomagając jej skubać kaczkę - cotygodniowy eksces, który zawsze niewymownie ją cieszył, była bowiem zwolenniczką kaczki pod wszystkimi postaciami - mówił sobie, że w końcu tak jak było, nie było aż tak źle, i prawie miał ochotę, żeby Horacio przyszedł na parę kubków mate, bo wtedy natychmiast zaczynali grać w swoją zaszyfrowaną grę, której nie rozumieli, ale w którą musieli grać, aby czas jakoś mijał i aby wszyscy troje czuli się siebie godni. Również sporo czytali, albowiem w młodości (przypadkowo socjalistycznej, a trochę teozoficznej w przypadku Travelera) każde z nich lubiło na swój sposób komentowaną literaturę, polemiki w stylu hiszpańsko-argentyńskim, polegające na chęci przekonania partnera, nigdy zaś na przyjęciu jego przekonań, możliwość uśmiania się i poczucia „ponad" cierpiącą ludzkością, pod pretekstem wyciągania jej z aktualnej, zasranej sytuacji.

Ale to było prawdą, że Traveler sypiał źle, Talita powtarzała to sobie, patrząc na niego, gdy golił się w porannym słońcu. Jedno pociągnięcie, drugie, Traveler w podkoszulku i spodniach od piżamy gwizdał *La Gayola,* po czym wołał na cały głos: „Muzyko, melancholijna strawo nas, którzy żyjemy miłością", i odwracając się patrzył znacząco na

Talitę: właśnie tego dnia Talita skubała kaczkę, w pełni szczęścia, bo pióra wychodziły jak złoto, a kaczka miała wyraz poczciwy, rzadko spotykany u tych nieboszczyków pełnych pretensji, o oczach przymkniętych i niewidocznej kresce czegoś jakby światło między powiekami. Nieszczęsne zwierzaki.

- Dlaczego tak źle sypiasz, Manu?

- „Muzyko! me...” Ja? Źle? W ogóle nie sypiam, skarbie, spędzam noce na myśleniu o *Liber penitentialis,* wydanie Macroviusa Basca, którą zabrałem parę dni temu doktorowi Feta, korzystając z nieuwagi jego siostry. Zwrócę mu ją, jak amen w pacierzu, musi kosztować kupę forsy. *Liber penitentiaUs,* co też ludziom przychodzi do głowy!

- A co to jest? - Talita nagle zaczynała rozumieć pewne tajemnicze manewry i szufladę zamykaną na klucz. - Ukrywasz przede mną to, co czytasz. To się zdarza pierwszy raz od kiedyśmy się pobrali.

- Tu leży, możesz patrzeć na nią, ile ci się żywnie podoba, byłeś najpierw umyła ręce. Chowam ją, bo jest wartościowa, a ty wiecznie chodzisz z obierkami marchwi poprzylepianymi do palców, jesteś tak pogrążona w gospodarstwie, że zniszczyłabyś najcenniejsze inkunabuły.

- Nic mnie nie obchodzi twoja książka - obraziła się Talita. - Obetnij jej głowę, ja nie ucinam nawet trupom.

- Może brzytwą - zaproponował Traveler. - To doda całej sprawie pieprzu, zresztą zawsze dobrze jest poćwiczyć, co tam wiadomo...

- Nie. Tym nożem, jest naostrzony.

- Brzytwą.

- Nie. Nożem.

Traveler zbliżył się do kaczki z brzytwą w ręku i ciachnął jej głowę.

- Ucz się - powiedział. - Na wypadek czubków warto gromadzić doświadczenia w stylu podwójnego morderstwa na rue de la Morgue.

- To wariaci tak się zabijają?

- Nie, staruszko, ale od czasu do czasu próbują. Tak jak ludzie normalni, jeśli mi wybaczysz takie porównanie.

- Rzeczywiście nie za dobre - zgodziła się Talita robiąc z kaczki równoległościan obwiązany białym sznurkiem.

- A co do tego, że źle sypiam - dodał Traveler wycierając brzytwę toaletowym papierem - to świetnie wiesz, o co chodzi.

- Przypuśćmy. Ale ty również dobrze wiesz, że problem nie istnieje.

- Problemy są jak przymusy. Wszystko idzie świetnie, dopóki nie wybuchną. Powiem ci jedno: na tym świecie pełno jest problemów teologicznych. Wydaje się, że ich nie ma, tak jak w tej chwili, a tymczasem bomba zegarowa nastawiona jest na nazajutrz, na dwunastą w południe. Tik-tak, wszystko idzie dobrze. Tik-tak.

- Kłopot polega na tym - powiedziała Talita - że ty sam nakręcasz zegar w tej bombie.

- Moja ręka, myszko, jest także nastawiona na jutro, na dwunastą w południe. Do tego czasu żyjmy i pozwólmy innym żyć.

Talita wysmarowała kaczkę masłem, co było żałosnym widokiem.

- Masz mi coś do zarzucenia? - powiedziała tak, jakby zwracała się do płetwonoga.

- W tej chwili absolutnie nic - powiedział Traveler.

- Ale zobaczymy jutro o dwunastej, jeżeli mi wolno przedłużyć obraz sprawy aż do zenitalnego punktu jej rozwiązania.

- Jakiś ty podobny do Horacia - powiedziała Talita.

- To nieprawdopodobne, jaki jesteś do niego podobny.

- Tik-tak - powiedział Traveler szukając papierosów.

- Tik-tak, tik-tak.

- Jeszcze jaki podobny! - podkreśliła upuszczając kaczkę, która upadła z miękkim obrzydliwym plaśnięciem. - On także by powiedział tik-tak, on także cały czas używałby omówień. Czyż nie zostawicie mnie w spokoju? Naumyślnie ci mówię, że jesteś do niego podobny, żebyśmy raz na zawsze skończyli z tymi absurdami. To niemożliwe, żeby wraz z powrotem Horacia wszystko miało się zmienić. W nocy sobie uświadomiłam, że już dłużej nie mogę, bawicie się mną, gracie mną w tenisa, walicie we mnie ze wszystkich stron, tak nie wolno, Manu, nie macie prawa.

Traveler objął ją, choć się opierała, po czym nadepnąwszy na kaczkę i poślizgnąwszy się tak, że o mało oboje nie znaleźli się na ziemi, dopiął swego i pocałował ją w sam czubek nosa.

- A może nie ma na ciebie bomby, myszko - powiedział z uśmiechem, który ją uspokoił, tak że uplasowała się wygodnie w jego ramionach. - Posłuchaj: ja nie szukam pioruna, żeby mnie trafił w głowę, ale czuję, że mi nie wolno bronić się za pomocą piorunochronów, że powinienem chodzić z odkrytą głową, aż do owej dwunastej jakiegoś dnia. Dopiero po tej godzinie, po tym dniu z powrotem stanę się sobą. To nie przez Horacia, jakkolwiek on przybył jak jakiś wysłannik. Może gdyby nie był przyjechał, i tak zdarzyłoby się coś podobnego... Może bym przeczytał jakąś demobilizującą książkę albo zakochałbym

się w innej kobiecie... Tego typu fałdy na życiu, rozumiesz, zdarzenia, których człowiek nie spodziewa się i które nagle prowokują kompletny kryzys. No, powinnaś zrozumieć...

- Czy ty naprawdę myślisz, że jemu na mnie zależy i że ja...

- Nic a nic - powiedział, zwalniając ją z uścisku. - Obchodzisz go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nie obrażaj się, wiem, ile jesteś warta, i całe życie będę zazdrosny o każdego, kto na ciebie spojrzy, czy się do ciebie odezwie. Ale Horacio nie dba o ciebie, nic mu na tobie nie zależy i tym nie ma powodu się przejmować. Będę to powtarzał, nawet gdyby próbował cię zdobyć, nawet w takim wypadku... To jest inna sprawa - podniósł głos - cholernie inna...

- Aha - Talita podniosła kaczkę i zabrała się do oczyszczenia miejsca, gdzie nadepnął ją Traveler. - Zgruchotałeś jej żebra. Więc to jest inna sprawa... Nic nie rozumiem, ale widocznie masz rację.

- Gdyby tu był - powiedział cicho Traveler patrząc na swego papierosa - także nie rozumiałby nic. Chociaż wiedziałby doskonale, że to jest inna sprawa. To nie do uwierzenia, ale wydaje się, że kiedy przyłącza się do nas, mury się walą, miliony rzeczy idą w czorty i nagle niebo staje się cudowne, gwiazdy układają się jak na półmisku, tylko je obierać i jeść, ta kaczka zmienia się w łabędzia Lohengrina, a za tym, za tym...

- Nie przeszkadzam? - señora Gutusso wysunęła głowę z sieni. - Może państwo mówicie o osobistych sprawach? Bardzo nie lubię pchać się, gdzie mnie nie proszą.

- Ale skąd - powiedziała Talita. - Proszę bardzo, niech pani wejdzie. Widzi pani to cudo?

- Coś pięknego - pochwaliła señora Gutusso. - Powtarzam stale i wciąż, że co kaczka, to kaczka, czasem trafi się twardsza, ale zawsze ma ten swój smak.

- Manu nadepnął ją, będzie mięciusieńka jak masło.

- Jakbyś wiedziała - powiedział Traveler.

45

Było to naturalne myśleć, że oczekuje, iż przybliży się do okna. Wystarczyło przebudzić się o drugiej w nocy, pośród lepkiego upału, pośród kwaśnego dymu „spiralki" przeciwko komarom, pośród olbrzymich, w głębi za oknem utkanych gwiazd, naprzeciw tego drugiego okna, które również było otwarte.

Było naturalne, bo w gruncie rzeczy deska ciągle tam była i to, co było odmową w pełnym słońcu, mogło stać się czymś innym w pełni nocy, nagle przetworzyć się w zgodę, a wtedy on stałby w swoim oknie, z zapalonym papierosem, aby odstraszać komary, oczekując aż somnambuliczna Talita łagodnie odłączy się od ciała Travelera, aż wychyli się i popatrzy na niego z ciemności w ciemność. A wtedy może powolnym ruchem ręki trzymającej papierosa zacząłby jej rysować w ciemności świetlne znaki, trójkąty, obwody kół, migawkowe herby, symbole zgubnych naparów miłosnych albo też difanilopropilaminy, farmaceutyczne skróty, które ona umiałaby odczytać, a może po prostu powtarzałby wahadłowy ruch świetlny od ust do poręczy fotela do ust, od ust do poręczy fotela przez całą noc.

Ale w oknie nie było nikogo. Traveler nachylił się nad gorącą studnią, spojrzał na ulicę, na której bezbronnie rozłożona gazeta pozwalała się czytać wygwieżdżonemu i niemal dotykalnemu niebu. Okno hotelu z przeciwka w nocy wydawało się jeszcze bliższe, gimnastyk doskoczyłby jednym susem. Nie, nie doskoczyłby. A jeżeli, to śmierć siedziałaby mu na karku. Nie było już ani śladu deski, przejście nie istniało.

Jeżeli był gdzieś w głębi czarnej studni, zaczajony w pokoju, i stamtąd patrzył przez okno, musiał był zobaczyć Travelera, białą ektoplazmę jego podkoszulka. Jeżeli był gdzieś w głębi czarnej studni, czekając, że wychyli się Talita, ukazanie się białego podkoszulka powinno go było zaboleć. Teraz drapałby się powoli w ramię, zwykły gest w chwilach złego samopoczucia lub urazy, ścisnął papierosa wargami, wymamrotał jakieś okolicznościowe świństwo i pewnie rzucił się na łóżko, nie zwracając najmniejszej uwagi na śpiącą Gekrepten.

Ale jeżeli nie był w czarnej studni, fakt obudzenia się i podejścia do okna o takiej porze był przyznaniem się do strachu, niemalże zgodą nań. Praktycznie było to stwierdzenie, że żaden z nich nie wycofał swojej deski. W taki lub inny sposób przejście istniało, można było iść i wrócić. Każde z nich, lunatyków, mogło przejść z okna do okna, depcząc gęste powietrze bez lęku, że spadnie na ulicę. Pomost zniknie dopiero w porannym świetle, wraz z

ukazaniem się białej kawy, która jest powrotem do solidnych konstrukcji i zrywa pajęczyny przedświtu ciężkimi rękami radiowego biuletynu i zimnego prysznicu.

Sny Tality: brano ją na wystawę malarską w jakimś olbrzymim zrujnowanym pałacu, w którym obrazy wisiały na zawrotnych wysokościach, jakby ktoś zmienił w muzeum więzienie Piranesiego. Tak więc, aby dojść do obrazów, należało wspinać się po łukach, na których wgłębienia pozwalały zaledwie zaczepiać palce nóg, przesuwać się po galeriach, które urywały się nad brzegiem wzburzonego morza o ołowianych falach, ślimakiem wspinać się w górę, aby w końcu zobaczyć, zawsze źle, zawsze z dołu czy też z boku, obrazy, na których takie same białawe plamy, takie same skrzepy z tapioki lub mleka powtarzały się w nieskończoność.

Przebudzenie Tality: nagłe zerwanie się o dziewiątej rano, tarmoszenie śpiącego twarzą w poduszce Travelera, poklepywanie go po tyłku, aby się przebudził. Traveler wyciągający rękę i szczypiący ją w nogę, Talita rzucająca się na niego i ciągnąca go za włosy. Traveler nadużywający siły i wykręcający jej rękę, żeby się poddała. Pocałunki; nieludzki upał.

- Śniło mi się jakieś potworne muzeum, ty mnie prowadziłeś.

- Nienawidzę oniromancji. Naparz mate, robaczku.

- Dlaczegoś wstawał w nocy? To nie było na siusiu, zawsze mnie objaśniasz, jakbym była niedorozwinięta: „Muszę wstać, bo nie wytrzymam", a ja cię żałuję, bo mnie łatwo wytrzymać całą noc, nawet nie muszę wytrzymywać - inny metabolizm.

- Co inny?

- Powiedz, po co wstałeś? Podszedłeś do okna i zacząłeś wzdychać.

- Ale nie rzuciłem się z...

- Idiota.

- Było gorąco.

- Powiedz, po co wstałeś.

- Po nic. Po to, żeby zobaczyć, czy Horacio także **nie** śpi, tobyśmy pogadali chwilę.

- O tej porze? Ledwie rozmawiacie w dzień...

- Może w nocy byłoby inaczej. Nigdy nic nie wiadomo.

- Śniło mi się potworne muzeum - zaczyna Talita wkładając majtki.

- Już mi opowiadałaś - mówi Traveler gapiąc się na sufit.

- My ostatnio także niewiele rozmawiamy - mówi Talita.

- Jest taka wilgoć...

- Ale wydawałoby się, że coś za nas przemawia, coś nas używa do mówienia, nie wydaje ci się? Nie masz wrażenia, że jesteśmy jak gdyby nawiedzeni? To znaczy, chcę powiedzieć... To tak trudno...

- Może raczej opętani. Ale przecież to nie będzie zawsze trwało. *No te aflijas, Catalina* - zanucił Traveler - *ya vendrán tiempos mejores y te pondré un comedor.*[78]

- Głuptasie - Talita całuje go w czubek ucha - to nie będzie zawsze trwało, to nie będzie zawsze trwało... To nie powinno trwać ani minuty dłużej!

- Gwałtowne amputacje nie udają się, później kikut boli przez całe życie.

- Jeżeli chcesz, żebym ci powiedziała prawdę - mówi Talita - to mam uczucie, jakbyśmy hodowali pająki albo stonogi. Pielęgnujemy je, dbamy o nie i rosną; z początku były malutkie, nawet miłe, miały tyle nóżek, aż tu nagle od razu są duże, skaczą człowiekowi do twarzy. Wiesz, teraz mi się zdaje, że śniły mi się pająki, tak sobie przypominam jak przez mgłę...

- Posłuchaj Horacia - mówi Traveler wkładając spodnie. - Gwiżdże jak oszalały, żeby ufetować wyjście Gekrepten. Dziwny facet.

[78] *No te aflijas, Catalina...* (hiszp.) - Nic się me martw, Katarzyno, nadejdą lepsze czasy i kupię ci meble do stołowego.

46

- „Muzyko, melancholijna strawo tych, którzy żyją miłością” - po raz czwarty zacytował Traveler brzdąkając w gitarę przed przystąpieniem do tanga pod tytułem *Cotorrita de la suerte.*

Don Crespo zainteresował się cytatem i Talita poszła po całą pięcioaktową tragedię w tłumaczeniu Astrana Marin. Choć na ulicy Cachimayo nie było cicho o zmroku, na patio don Crespa poza kanarkiem Cien Pesos słychać było tylko głos Travelera, który właśnie dojeżdżał do *la obrerita juguetona y pizpireta* / *la que diera a su casita la alegría.* Przy grze w karty pod nazwą „miotła” nie potrzeba wiele gadać i Gekrepten raz po raz wygrywała do Oliveiry, który na zmianę z señora Gutusso tracił dwudziestocentówki. Katarynkowa papużka *(que augura la vida o la muerte)* wyciągnęła tymczasem różowy papierek: narzeczony, długie życie. Co nie przeszkodziło gwałtownemu obniżeniu głosu Travelera, aby opisać chorobę bohaterki, y *la tarde en que moría tristemente y preguntando a su mamita: „No llegó?”* Trrran!

- Z uczuciem - pochwaliła señora Gutusso. - Śmieją się z tang, ale gdzie tam do nich tym różnym kalipsom czy innym świństwom, co nadają w radio. Pan mi pozwoli jeszcze parę fasolek, don Horacio.

Traveler oparł gitarę o doniczkę, pociągnął do dna mate i poczuł, że nadchodząca noc nie będzie dla niego lekka. Byłby chyba wolał iść do pracy albo rozchorować się - jakoś się rozerwać. Nalał sobie kieliszek cañi i wypił jednym haustem, spoglądając na don Crespa, który w okularach na czubku nosa z nieufnością zagłębiał się w prologu tragedii. Przegrany i pozbawiony osiemdziesięciu centów, Oliveira przysiadł się do niego i także nalał sobie kielicha.

- Niebywały jest ten świat - powiedział półgłosem Traveler. - Tu za chwilę ma się odbyć bitwa pod Akcjum, jeżeli stary dojedzie aż tak daleko; a obok te dwie idiotki walczą o ziarnka fasoli całą siłą swoich siedmiu kart.

- Takie samo dobre zajęcie jak każde inne - powiedział Oliveira. - Zwróć uwagę na słowo. Być zajętym, mieć zajęcie. Dreszcze mi chodzą po krzyżu. Żeby nie wpaść w metafizykę, powiem ci tyle, że moje zajęcie w cyrku to zwyczajne nadużycie. Biorę forsę za nicnierobienie.

- Poczekaj, w San Isidro będzie gorzej. W Villa del Parque wszystkie problemy były już rozwiązane, włącznie z tą łapówką, którą szef się tak denerwował. Teraz zacznie się z nowymi ludźmi i będziesz zajęty, skoro to określenie tak ci odpowiada.

- Iiii... szkoda, ja przecież tylko tak... Więc co? Rzeczywiście trzeba będzie popracować?

- Przez pierwsze dni, potem zawsze wszystko się układa. Powiedz mi... W Europie nigdy nie pracowałeś?

- Niezbędne minimum. Jako nie zarejestrowany buchal-ter. Stary Trouille, facet jak znalazł dla Céline'a. Opowiedziałbym ci któregoś dnia, gdyby było warto, ale nie warto.

- Ja bym posłuchał.

- Sam wiesz, że to wszystko jest takie nieuchwytne. Cokolwiek ci opowiem, to będzie jakiś wycinek rysunku na dywanie. Brak żelatyny, żeby to jakoś nazwać: Brzdęk - nagle wszystko układa się na swoim miejscu i wyłania się cudowny kryształ ze wszystkimi profilami. Zresztą - Oliveira patrzył na swoje paznokcie - może to już zakrzepło, a ja nie zauważyłem, zostałem z tyłu, jak ci starzy, co słuchają, jak się mówi o cybernetyce, i powolutku kręcą głowami myśląc, że już pora na zupkę z lanymi kluseczkami.

Kanarek Cien Pesos zaprodukował się trelem niesłychanie przejmującym.

- Czasami myślę - powiedział powoli Traveler - że nie powinieneś był wracać...

- Ty myślisz, a ja czuję. Może w rzeczywistości to jest to samo, ale nie popadajmy w łatwe uogólnienia. I ciebie, i mnie gubi bracie, wstydliwość. Po domu spokojnie chodzimy nago, ku wielkiemu zgorszeniu niektórych dam, a jak idzie o rozmowę... Chwilami myślę, że mógłbym ci powiedzieć... Bo ja wiem, może nareszcie słowa posłużyłyby do czegoś, przydałyby się nam. Ale ponieważ to nie są codzienne słowa o życiu i o mate na patio, no, nie ta zwykła, dobrze naoliwiona gadanina - człowiek się cofa i właśnie z najlepszym przyjacielem najtrudniej jest rozmawiać. Czy ci się nigdy nie zdarzyło wywnętrzyć się nagle przed byle kim?

- Możliwe - odparł Traveler strojąc gitarę. - Rzecz w tym, że przy tych zasadach właściwie nie ma po co mieć przyjaciół.

- Po to, żeby gdzieś istnieli, żeby w razie czego znaleźli się pod ręką.

- Jak uważasz. Tylko że w ten sposób trudno nam będzie dogadać się jak za dawnych czasów.

- W imię dawnych czasów robi się największe głupstwa w teraźniejszych - powiedział Oliveira. - Słuchaj, Manolo, mówisz o porozumieniu się, chociaż w głębi duszy wiesz, że ja także chciałbym się z tobą porozumieć i że to „z tobą” obejmuje dużo więcej niż ciebie.

Trudność polega na tym, że prawdziwe porozumienie jest zupełnie czymś innym. Zadowalamy się byle czym. Jeżeli przyjaciele dobrze się porozumiewają, jeżeli kochankowie dobrze się porozumiewają, jeżeli rodziny dobrze się porozumiewają - uważamy to za harmonijne pożycie. Złudzenie, bracie, lusterko do wabienia skowronków. Nieraz czuję, że istnieje większe porozumienie pomiędzy dwojgiem ludzi lejących się po łbach niż między tymi, którzy patrzą na to z zewnątrz. Dlatego... Rany boskie, faktycznie powinienem pisywać do niedzielnego dodatku „La Nación".

- Byłeś na dobrej drodze - Traveler stroił pierwszą strunę - ale pod koniec złapał cię atak tej wstydliwości, o której przed chwilą wspomniałeś. Zupełnie jak señora Gutusso, kiedy się czuje w obowiązku donieść o pigułkach, które zażywa jej mąż.

- Co on też wygaduje, ten jakiś Oktawiusz Cezar

- zgniewał się don Crespo, patrząc na nich spoza okularów.

- Tu na przykład mówi, że Marek Antoniusz zjadł w Alpach jakieś dziwaczne mięso. Może mnie kto powie, co on pod tym rozumie... Koziołka?

- Raczej jakiegoś bezpiórego dwunoga - odparł Traveler.

- W tym utworze, jak nie wariat, to pomylony - wypowiedział się z uszanowaniem don Crespo. - Wystarczy, co wyrabia Kleopatra...

- O, królowe nie są proste - objaśnia señora Gutusso.

- Z tej Kleopatry to był numer! Widziałam na filmie. Pewnie, że to były inne czasy. Nie było religii.

- Miotła! - zawołała Talita zabierając sześć kart naraz.

- Ale szczęściara z pani...

- W końcu i tak zawsze przegram, Manu, skończyły mi się dwudziestki.

- Zmień u don Crespa, może już wszedł w okres faraonów i da ci prawdziwe złote monety. Popatrz, Horacio, à propos tego, co mówiłeś o harmonii.

- Cóż - powiedział Oliveira. - Jeżeli zależy ci na tym, żebym wywrócił kieszenie podszewką do góry i wyrzucił na stół kłaki...

- Daj spokój z wywracaniem kieszeni. Nie o to chodzi. Ja mam wrażenie, że spokojnie czekasz, aż się nam wszystkim zwali sufit na głowę. Poszukujesz tego, co nazywasz harmonią, ale poszukujesz jej dokładnie tam, gdzie według twego pojęcia jej nie ma: między przyjaciółmi, w rodzinie, w mieście. Dlaczego?

- A bo ja wiem! Nawet nie wiem, czy jej poszukuję. Mnie się tylko zdarzają rzeczy...

- Ale dlaczego tobie muszą się zdarzać właśnie takie rzeczy, przez które my później nie możemy spać?

- Ja też źle sypiam.

- Dlaczego, żeby już ci dać jakiś przykład, związałeś się z Gekrepten? Dlaczego przychodzisz do mnie? Czy to nie Gekrepten, nie my właśnie psujemy tę twoją harmonię?

- Chce się napić mandragory! - wykrzyknął pełen zdumienia don Crespo.

- Man... Czego? - zdziwiła się señora Gutusso.

- Mandragory! Posyła niewolnicę, żeby przyniosła mandragory. Mówi, że chce zasnąć. Kompletna wariatka!

- Powinna zażywać bromural - powiedziała señora Gutusso. - No, ale w tych czasach...

- Masz rację staruszku - Oliveira napełnił im kieliszki caña - z tą małą różnicą, że nadajesz Gekrepten większe znaczenie, niż ma w istocie.

- A my?

- Wy... Może wy jesteście tą żelatyną, o której mówiliśmy przed chwilą. Zastanawiam się nad tym, że nasz związek jest niejako chemiczny, jest czymś poza nami, rysunkiem w trakcie tworzenia. Wyszedłeś po mnie na statek, nie zapominaj o tym.

- A dlaczego nie miałem wyjść? Skąd miałem wiedzieć, że wrócisz w takim stanie, że tak cię tam zmienią, że za żadną cenę nie będę chciał być do ciebie podobny... To nie to, wszystko nie to. Ech, ani sam nie żyjesz, ani innym nie dajesz żyć...

Między nimi na gitarze pobrzękiwało cichutko *cielito.*

- Wystarczy, żebyś pstryknął palcami - powiedział bardzo cicho Oliveira - a nie zobaczysz mnie więcej. To byłoby świństwo, żebyście przeze mnie, ty i Talita...

- Zostaw Talitę w spokoju: ona jest poza tym.

- Ani myślę pozostawiać jej poza tym. Obaj jesteśmy Talitą, i ty, i ja, trójkąt wybitnie trismegistyczny. Jeszcze raz ci powtarzam: dajesz mi znak i znikam. Nie myśl, że nie widzę, jak się gnębisz.

- To, że teraz znikniesz, już wiele nie załatwi.

- Jak to, człowieku, nie jestem wam potrzebny.

Traveler zagrał pierwsze takty *Malevaje,* przerwał. Było już ciemno i don Crespo zapalił światło, żeby móc czytać dalej.

- Słuchaj - powiedział cicho Traveler - przecież któregoś dnia i tak wyniesiesz się stąd, więc nie ma potrzeby, żebym ci dawał jakieś znaki. Może i nie sypiam po nocach, jak ci pewnie mówiła Talitą, ale w gruncie rzeczy nie żałuję, że wróciłeś. A może właśnie było mi ciebie brak?

- Jak sobie chcesz, stary. W takich wypadkach najlepiej siedzieć spokojnie. Mnie także nie jest najgorzej.

- Rozmowa dwóch idiotów - zauważył Traveler.

- Dwóch „mongołów” - poprawił Oliveira.

- Człowiek za każdym razem myśli, że coś wytłumaczy, i tylko brnie dalej.

- Tłumaczenie jest zakamuflowanym błędem - wygłosił Oliveira. - Zapamiętaj to sobie.

- Wobec tego lepiej mówmy o czym innym, na przykład o tym, co się dzieje w Partii Radykalnej. Tylko, że ty... Ech, jak na karuzeli, ciągle się kręci to samo, biały konik, za nim bułany, znowu biały. Poeci z nas, psiakrew!

- Trubadurzy - Oliveira znowu napełnił kieliszki. - Ludzie, którzy źle sypiają i podchodzą do okien, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Coś w tym rodzaju.

- A więc widziałeś mnie w nocy?

- Niechże sobie przypomnę. Najpierw Gekrepten się naparła i musiałem pójść na ugodę. Niedużo, ale zawsze...

Potem zasnąłem jak kamień, żeby o tym zapomnieć. Ale dlaczego pytasz?

- Dla niczego - powiedział Traveler i rozpłaszczył rękę na strunach.

Brzękając wygraną señora Gutusso przysunęła krzesło i poprosiła Travelera, żeby coś zaśpiewał.

- Tutaj niejaki Ahenobarbus oświadcza, że nocna wilgoć jest trująca - poinformował don Crespo. - W tym utworze występują sami wariaci. W połowie bitwy zaczynają mówić na zupełnie inny temat.

- Proszę bardzo - powiedział Traveler - uczynimy zadość pani prośbie, o ile nie sprzeciwi się jej don Crespo. *Malevaje* - tangaczo niejakiego Juana de Dios Filiberto. Słuchaj, chłopie, przypomnijże mi, żebym ci pokazał spowiedź Yvonne Guitry, duża rzecz, Talita, przynieś śpiewnik Gardela. Leży na nocnym stoliku, czyli na miejscu stworzonym dla takich przedmiotów.

- A przy okazji może mi go pani zwróci - włączyła się señora Gutusso. - Nie wiem, co to jest, ale jakoś wolę, jak mam moje rzeczy pod ręką. Mój mąż też jest takuteńki, jak Boga jedynego kocham.

47

Jestem sobą, jestem nim. Jesteśmy, ale jestem sobą, przede wszystkim sobą, będę tego broniła póki będę mogła. Atalia - to ja. *Ego.* Ja. *Yo,* magister, Argentynka, znamię na lewej łopatce, czasami ładna, ciemne oczy, ja. Atalia Donosi, ja. Ja. *Yo.* Yo-yo. Szpuleczka i sznurek. Zabawne.

Co za wariat z tego Manu, żeby iść do Casa America ł tylko dla rozrywki coś takiego wynająć! COFNĄĆ TAŚMĘ. Co za głos, to nie mój głos. Fałszywy i wysilony: „Jestem sobą, jestem nim. Jesteśmy, ale jestem sobą, przede wszystkim jestem sobą, będę tego broniła..." STOP. Niezwykły aparacik, ale nie służy do myślenia na głos, a może po prostu trzeba się przyzwyczaić. Manu mówi o nagraniu swojej osławionej sztuki teatralnej na temat kobiet, ale nic nie zrobi. Magiczne oko jest rzeczywiście magiczne, zielone prążki migoczą, kurczą się, jednooki kot, który na mnie patrzy. Lepiej zasłonić go kawałkiem tektury. COFNĄĆ TAŚMĘ. Taśma biegnie tak gładko, tak równo. NATĘŻENIE. Nastawić na 5 albo 5½ „Magiczne oko jest naprawdę magiczne, zielone prążki migo..." Ale naprawdę magiczne byłoby, gdyby mój głos powiedział: „oko magiczne bawi się w ciuciubabkę, czerwone prążki..." Za silne echo, trzeba bliżej postawić mikrofon i obniżyć natężenie. Jestem sobą. Jestem nim. A w rzeczywistości, czym jestem - nędzną parodią Faulknera. Łatwe efekty. Czy on po prostu mówi do magnetofonu, czy też whisky służy mu za taśmę? Jak się mówi. „Nagrywacz" czy „magnetofon"? Horacio mówi „magnetofon"; zdumiał się, jak go zobaczył, powiedział: „Ale magnetofon, chłopie!" W prospekcie mówią „nagrywacz", oni powinni wiedzieć, ci z Casa America. Tajemnica: dlaczego Manu wszystko, do butów włącznie, kupuje w Casa America? Fiksacja. Idiotyzm. COFNĄĆ TAŚMĘ. To będzie zabawne. „... Faulknera. Łatwe efekty." STOP. Nie jest zbyt zabawne wysłuchiwać siebie samej. Wszystko to musi trwać, trwać, trwać. Wszystko to musi trwać. COFNĄĆ TAŚMĘ. Czy mój ton jest naturalny? „...wać, trwać, trwać. Wszystko to mu..." Ciągle ten sam głos zaziębionej karlicy. Ale już umiem tym manewrować. Manu będzie zdumiony, nic a nic mi nie ufa w sprawach technicznych. Mnie - farmaceutce. Horacio nawet by nie zauważył, patrzy na człowieka jak na purée przetarte przez sitko, jak na tę masę, która wyłazi z drugiej strony, tylko usiąść i jeść. COFNĄĆ TAŚMĘ? Nie, bawmy się dalej, zgaśmy światło. A może mówmy w trzeciej osobie... Więc Talita Donosi gasi światło i widać tylko magiczne oko, jego czerwone prążki (a może zielone, a może fiołkowe) i ogień papierosa. Upał i ten Manu, który nie wraca z San Isidro; wpół do dwunastej. Gekrepten jest w oknie, nie widzę jej, ale wiem, że jest w nocnej

koszuli, a Horacio przy swoim maciupeńkim stoliczku ze świecą czyta i pali. Ich pokój jest mniej „hotelowy" od naszego. Idiotka ze mnie, jest tak hotelowy, że chyba nawet karaluchy mają na plecach numer, a jeszcze obok ten don Bunche i jego gruźlicy, jego kulawi, jego epileptycy po dwadzieścia pesos za wizytę. A na dole *clandestino* i tanga fałszowane przez małą na posyłki. COFNĄĆ TAŚMĘ. Jak długo to trwa, kiedy się cofa chociażby o pół minuty. Marsz pod prąd czasu, Manu lubiłby to jako temat. NATĘŻENIE 5 „...na plecach nu..." Jeszcze w tył. COFNĄĆ TAŚMĘ. Teraz: „Horacio przy swoim maciupeńkim stoliczku ze świecą..." STOP. „Maciupeńki!" Maciupeńki! Sentymentalizm nie w porę. No, już dobrze. Talita, dosyć głupstw, basta. COFNĄĆ TAŚMĘ. Wszystko aż do samego początku. Felerem tego instrumentu jest konieczność dokładnego kalkulowania, jeżeli taśma wylizie, traci się pół minuty na to, żeby z powrotem ją zaczepić. STOP. Akuracik dwa centymetry. Co mówiłam na początku? Już nie pamiętam, ale głos wychodził jak z gardła przerażonej myszy, znany lęk przed mikrofonem. Spróbujmy. Natężenie 5 $'/_2$, żeby lepiej było słychać. „Jestem sobą, jestem nim. Jesteśmy, ale jestem sobą, przede..." I po co było mówić „jestem sobą, jestem nim", a potem gadać o maciupeńkim stoliczku, a potem się złościć. „Jestem sobą, jestem nim. Jestem sobą, jestem nim."

Talita przerwała nagrywanie, zamknęła magnetofon, przyjrzała mu się z głębokim wstrętem i nalała sobie szklankę lemoniady. Pragnęła nie myśleć o klinice (dyrektor nazywał to „kliniką umysłową", co nie miało za grosz sensu), ale jeżeli przestawała myśleć o klinice, pomijając już, że to niemyślenie było wciąż raczej intencją niż rzeczywistością, bezzwłocznie włączała się w ten drugi nurt, równie męczący. Myślała o Manu i o Horaciu jednocześnie, o szalach owej wagi, którą tak efektownie manipulowali z Horaciem w pokoiku obok cyrku. Uczucie nawiedzenia stawało się wtedy silniejsze, ostatecznie klinika była czymś trochę przerażającym, nieznanym, jeżącą włosy na głowie wizją szaleńców w kaftanach, goniących za sobą z brzytwami, wyrywających nogi od stołków i łóżek, wymiotujących na wykresy temperatury i onanizujących się rytualnie. To będzie zabawne, Manu i Horacio w białych fartuchach pilnujący wariatów. „Ja także będę coś znaczyła - pomyślała skromnie. - Dyrektor z pewnością powierzy mi aptekę kliniki, jeżeli tam w ogóle będzie apteka. A może tylko apteczka pierwszej pomocy? Manu wyśmieje mnie jak zawsze". Powinna sobie powtórzyć niektóre rzeczy, tyle się zapomina, delikatny szmergiel czasu, nieopisywalna codzienna walka przez całe lato, port i upal, Horacio schodzący z mostku z tą nieprzyjazną twarzą, chamstwo, z jakim odprawili ją do domu wraz z kotem, wsiądź w tramwaj, my mamy ze sobą do pogadania. Potem zaś rozpoczynał się czas podobny opuszczonej działce, pełen starych, pokrzywionych puszek, gwoździ, o które można było poranić nogi, brudnych kałuż,

kawałków szmat pouczepianych do ostów, a wieczorami z Horaciem i Manu, patrzącymi na nią lub na siebie, kot albo co dzień głupszy, albo co dzień bardziej genialny, rozwiązujący zadania pośród krzyków zachwyconej publiczności, powroty piechotą, z przystankami przy każdym barze, aby Horacio i Manu mogli napić się piwa, gadając, gadając o niczym, słuchając tego gadania pośród upału, dymu, zmęczenia. Jestem sobą, jestem nim, powiedziała to nie myśląc, ale to było więcej niż przemyślane, przychodziło z obszarów, gdzie słowa były jak ci obłąkani w klinice, jakieś stwory absurdalnie groźne, żyjące własnym, wydzielonym życiem, wyskakujące nagle, nie do powstrzymania: jestem sobą, jestem nim, przy czym „on" to nie był Manu, „on" to był Horacio, nawiedzający, atakujący z ukrycia, cień w cieniu jego pokoju. Wśród nocy ogieniek papierosa powoli rysujący formy bezsenności.

Kiedy ogarniał ją lęk, Talita wstawała i parzyła sobie kwiat lipowy pół na pół z miętą. Zabrała się więc do tego teraz, pragnąc usłyszeć w zamku zgrzyt klucza Manu. Manu oznajmił jej, jakże wytwornie: „Tyle go obchodzisz, co zeszłoroczny śnieg". Było to obraźliwe, ale uspokajające. Manu powiedział, że gdyby nawet Horacio próbował ją zdobyć (ale nie próbował, nigdy nie zrobił nawet najmniejszej aluzji),

jedna łyżka kwiatu lipowego
jedna lyżka mięty
woda wrząca, świeco zagotowana, stop

nawet w takim wypadku nie obchodziłaby go nic a nic. Ale jeżeli go nie obchodzi, po cóż siedzi wiecznie tam, w głębi pokoju, paląc albo czytając, jest (jestem sobą, jestem nim), tak jakby jej w jakiś sposób potrzebował, tak, właśnie tak, jakby jej potrzebował, czepiając się jej z daleka, desperacko przysysając się do niej po to, aby osiągnąć coś, wyraźniej coś zobaczyć, jakoś bardziej być. Więc nie: Jestem sobą, jestem nim. Więc odwrotnie: jestem nim, ponieważ jestem sobą. Talita westchnęła, dosyć zadowolona ze swojego rozumowania i ze wspaniałej wonności ziółek.

Ale to nie było tylko to, to byłoby za proste. Niemożliwe (logika przecież do czegoś służy), żeby Horacio równocześnie interesował się nią i nie interesował. Z kombinacji tych dwóch rzeczy powinna była wyniknąć jakaś trzecia, coś, co nie miałoby nic wspólnego z miłością (co za idiotyzm myśleć o miłości, skoro miłością jest tylko Manu, tylko Manu aż do końca wszystkich dni), a na przykład z polowaniem czy może raczej z jakimś straszliwie napiętym oczekiwaniem, kot patrzący na niedosiężnego kanarka, jakieś zamrożenie czasu, przyczajenie się. Półtorej kostki cukru, zapach łąk. Przyczajone oczekiwanie bez

najmniejszych wyjaśnień, myśl sobie o tym, co chcesz, aż do dnia kiedy Horacio zechce łaskawie coś powiedzieć, odejść, strzelić sobie w łeb, dać jakiekolwiek wyjaśnienie albo materię, z której można by sobie stworzyć jakiekolwiek wyjaśnienie... Wszystko, byle nie to, co teraz: być wciąż razem, wspólnie pociągać mate, sprawiać, żeby Manu też pociął mate i patrzył na niego, i we troje tańczyć bez końca to dziwaczne, powolne pas. „Powinnam pisać książki - pomyślała Talita. - To wszystko, co mi przechodzi przez głowę...".

Była tak przygnębiona, że z powrotem włączyła magnetofon i śpiewała piosenki aż do przyjścia Travelera. Obydwoje zgodzili się, że jej głos nie wychodzi dobrze, i Tra-veler zademonstrował jej, jak należy śpiewać bagualę. Przysunęli magnetofon do okna, żeby Gekrepten mogła bezstronnie osądzić, a ewentualnie nawet i Horacio, o ile by był w pokoju, ale go nie było. Zdaniem Gekrepten śpiewanie wychodziło im znakomicie, wobec czego zdecydowali, że zjedzą wspólnie kolację u Travelerów, łącząc zimną pieczeń z zasobów Tality z jarzynową sałatką, której skonfekcjonowania podjęła się Gekrepten przed przenosina-mi do sąsiadów. Talita uznała to wszystko za bardzo dobry pomysł, równocześnie mający w sobie coś z pokrywki czy też pokrowca, jednym słowem, z pokrywania, zupełnie jak mag-netofon czy też zadowolony wyraz twarzy Travelera, rzeczy zrobione lub chociaż zamierzone po to, by nimi zasłonić powierzchnię - ale czego? - oto zagadnienie i powód, że w gruncie rzeczy pozostało takie samo, jak było przed kwiatem lipowym pół na pół z miętą.

(110)

48

W pobliżu El Cerro - chociaż właściwie nie było żadnego pobliża, człowiek dochodził tam od razu, nie widząc nawet, czy już jest na miejscu, czy nie, może więc raczej: obok El Cerro - w dzielnicy niskich domków i kłótliwych dzieci, pytania na nic się nie zdały. Wszystko rozbijało się o uprzejme uśmiechy, kobiety, pełne dobrej woli chciały pomóc, ale nic nie wiedziały, ludzie przeprowadzają się, proszę pana, tutaj wiele się zmieniło, może na policji będą umieli coś panu powiedzieć. A nie mógł tracić dużo czasu, bo statek odpływa lada chwila, zresztą gdyby nawet nie odpływał, i tak wszystko z góry było stracone, sprawdzał ot tak, na wszelki wypadek, tak jak się gra na loterii albo słucha horoskopu. Więc następny autobus do portu i wyciągnąć się na koi aż do pory posiłku.

Tej samej nocy, około drugiej nad ranem, po raz pierwszy znowu ją zobaczył. Było bardzo gorąco i w hali pod pokładem, wśród setki pocących się i chrapiących emigrantów, było jeszcze gorzej niż między zwojami lin, gdzie pod nisko opuszczającym się na rzekę niebem cała wilgoć portowa kleiła się do skóry. Oparłszy się o przepierzenie, Oliveira zapalił papierosa, obserwując nieliczne, nędzne gwiazdy wyłaniające się spomiędzy chmur. Maga wyszła spoza wywietrznika, trzymając w jednej ręce coś, co ciągnęła za sobą po ziemi, i niemal od razu odwróciła się do niego plecami, skręcając w kierunku luku. Oliveira nie próbował pójść za nią; wiedział aż nadto dobrze, że zobaczył coś, za czym nie uda się pójść. Pomyślał, że to jakaś elegantka z pierwszej, która zstąpiła do brudnej hołoty stłoczonej na dziobie, żądna tak zwanych doświadczeń, poznawania życia, tego rodzaju wrażeń. Niewątpliwie bardzo przypominała Magę, ale wiele z tego podobieństwa stworzył sam, tak że gdy serce przestało się w nim tłuc jak wściekły pies, zapalił nowego papierosa, wymyślając sobie od nieuleczalnych kretynów.

Myśleć, że zobaczył Magę, było mniej gorzko, niż uświadomić sobie, że nieopanowane pragnienie wywołało ją z samej głębi tego, co określamy jako podświadomość, i wcieliło w sylwetkę pierwszej z brzegu dziewczyny na statku. Aż do tej chwili uważał, że może sobie pozwolić na luksus melancholijnych wspomnień pewnych spraw, że może o pewnej godzinie i wśród odpowiedniej aury wywoływać określone zdarzenia i kończyć wizje z takim spokojem, z jakim zgniatał niedopałek w popielniczce. Kiedy w porcie Traveler zapoznał go z Talitą, zabawną z tym kotem w koszyku i wyrazem twarzy à la Alida Valu, powtórnie odczuł, że pewne niejasne skojarzenia nagle stwarzają podobieństwo kompletne, jakkolwiek fałszywe, jakby z jego pamięci, pozornie tak dobrze poszufladkowanej, wyrwała

się ektoplazma zdolna wcielić się w inne ciało i inną twarz, zdolna uzupełnić je i spojrzeć na niego z zewnątrz spojrzeniem, które on raz na zawsze zaliczył do wspomnień.

W tygodniach, które potem nastąpiły, wypełnionych nieprzepartym oddaniem Gekrepten i nauką trudnej sztuki oferowania po domach kuponów na garnitury, było aż za dużo kufli piwa i ławek w parkach, aby przeanalizować pewne epizody. Indagacje w okolicach El Cerro na pozór wyglądały, jakby je robił, by uspokoić sumienie: spotkać, wyjaśnić, pożegnać na zawsze. Zwykła ludzka tendencja do przyzwoitego kończenia tego, co się kończy, do nie-pozostawiania wiszących strzępów. Teraz zaczynał zdawać sobie sprawę (cień wyłaniający się spoza wywietrznika, kobieta z kotem), że nie dlatego poszedł do El Cerro. Analityczna psychologia irytowała go, niemniej to było pewne: nie po to poszedł do El Cerro. I nagle coś niby studnia zapadająca się w nim samym w jakąś bezdenną głąb. Na samym środku placu Congreso strofował się ironicznie: „Więc to nazywałeś szukaniem? Czułeś się wolny? Jak tam było z tym Heraklitem? No, proszę, powtórz stopnie uwalniania się, choćby dla zabawy. Jesteś na samym dnie leja, bracie!". Chciał uznać się za nieodwracalnie spodlonego swoim odkryciem, ale przeszkadzało mu lekkie uczucie satysfakcji, gdzieś w okolicach żołądka, ten koci wyraz zadowolenia, który dajje ciałło, kiedy się śmiejje z niepokojjów duszy i wygodnie usadawia między żebrami, brzuchem i podeszwami nóg. Kłopot w tym, że w gruncie rzeczy był dosyć zadowolony z tego, że tak się czuł, że nie zawrócił i ciągle jeszcze szedł naprzód, choć nie wiedział dokąd. Gdzieś wyżej, ponad zadowoleniem, paliła go rozpacz nad tym, co raz na zawsze zrozumiał, płacz z powodu czegoś, co chciało wrosnąć w niego, a co to wegetatywne zadowolenie ślamazarnie odpychało, trzymało na odległość. Chwilami, niby świadek, Oliveira asystował owej dwutorowości, nie chcąc brać udziału, cynicznie bezstronny. Tak zaczęło się z cyrkiem, popijaniem mate na patio u don Crespa, z tangami Travelera: we wszystkich tych zwierciadłach Oliveira przeglądał się z przymrużeniem oka. Posunął się do robienia luźnych notatek w zeszycie, którego Gekrepten miłośnie strzegła w szufladzie komody, nie odważając się do niego zajrzeć. Powoli zdał sobie sprawę, że pójście do El Cerro było raczej rzeczą dobrą; właśnie dlatego, że miało inne motywy, niż poprzednio przypuszczał. Świadomość, że jest zakochany w Madze, nie była ani fiaskiem, ani też zafiksowaniem się w jakimś minionym, przedawnionym porządku rzeczy; miłość, która była w stanie obejść się bez obiektu, która znajdowała pokarm dla siebie w niczym - może taka właśnie miłość, dobra do innych sił, razem z nimi stopiona, zniszczyłaby raz na zawsze to z trzewi idące zadowolenie ciała, wzdętego piwem i frytkami. Wszystkie te słowa, którymi wypełniał zeszyt, gestykulując w powietrzu i przeszywająco gwiżdżąc, właściwie piekielnie go śmieszyły. W końcu Traveler

podchodził do okna, prosząc o trochę ciszy. Kiedy indziej Oliveira znajdował jakieś uspokojenie w zajęciach manualnych, jak prostowanie gwoździ albo rozdwajanie grubych nici, aby z włókienek zbudować delikatny labirynt, który potem naklejał na abażur lampy; Gekrepten uważała, że to jest eleganckie. Może miłość była jakimś wyższym wzbogaceniem się, dawcą życia; ale tylko zmarnowawszy ją udawało się uniknąć jej „powrotnego" efektu, pozwolić jej płynąć ku zapomnieniu i utrzymać się - znów samemu - na tym nowym stopniu otwartej i porowatej rzeczywistości. Zabicie podmiotu miłości, ten odwieczny ludzki lęk, to cena, którą trzeba zapłacić za niezatrzymywanie się na stopniach drabiny, podobnie jak błaganie Fausta zwrócone do pięknej chwili, by nie przemijała, nie miałoby sensu, gdyby jednocześnie tej chwili nie odtrącał, tak jak się odstawia na stół już opróżniony kieliszek. I dalej w tym stylu, i znów gorzka mate.

Można było tak łatwo zorganizować jakiś spójny schemat, jakiś porządek w życiu i myślach, jakąś harmonię. Wystarczała zwykła hipokryzja, nadanie przeszłości wagi doświadczenia, wykorzystanie zmarszczek na twarzy, wyrazu wyżycia, który odnajduje się w uśmiechach i w milczeniach ludzi po czterdziestce. Potem kładło się granatowe ubranie, przyczesywało srebrzące się skronie i szło na wystawę obrazów, do Związku Literatów lub do baru Richmond, już w zgodzie ze światem. Dyskretny sceptycyzm w wyrazie twarzy, mina człowieka, który wrócił z daleka, stopniowe wchodzenie w dojrzałość, w małżeństwo, w ojcowskie kazania w czasie posiłków lub w razie niezadowalających stopni w dzienniczku. Mówię ci to, bo dużo przeżyłem. Ja, który podróżowałem. Kiedy byłem młody. Wszystkie są jednakowe, możesz mi wierzyć. Doświadczenie przemawia przeze mnie, synu. Jeszcze nie znasz życia.

To wszystko, tak groteskowe i pospolite, mogło być jeszcze gorsze na innych planach, w rozmyślaniach stale zagrożonych przez *idola fort,* w słowach zafałszowujących intencje, w kamienieniu pod pozorem upraszczania, w zmęczeniach, wśród których z kieszeni kamizelki powoli wydobywa się białą flagę. Ta zdrada mogła dopełnić się w całkowitej samotności, bez świadków ani wspólników: z rączki do rączki, w poczuciu, że jest się poza zasięgiem osobistych zobowiązań i dramatów zmysłów, poza zasięgiem etycznej tortury, jaką staje się świadomość związku z jakąś rasą, a już w najlepszym razie z jakimś narodem, jakimś językiem. W pozornie pełnej wolności, bez zdawania nikomu rachunków porzucić całą rozgrywkę, minąć skrzyżowanie i pójść przypadkową drogą, ogłaszając ją albo za właściwą, albo za jedyną. Maga była jedną z tych dróg, literatura inną (natychmiast spalić zeszyt, nawet gdyby Gekrepten za-ła-my-wa-ła ręce), lenistwo - inną, a rozmyślania o niebieskich migdałach - jeszcze inną. Stojąc przed pizzeria na Corrientes 1300, Oliveira zadawał sobie

wielkie pytania: „Czyż więc należy pozostać jak piasta u koła na samym środku skrzyżowania? Do czego służy wiedzieć lub wierzyć, że się wie, że każda droga jest fałszywa, jeżeli żadna z tych dróg nie jest naszym celem? Nie jesteśmy Buddą, nie ma tu drzew, pod którymi można by dumać w postawie lotosu. Przyjdzie glina, stary, i wlepi ci mandat".

Iść z przekonaniem, że celem już nie jest sama droga. Z całej tej gadaniny (co za słowo, coś od gada, tak jakby gadanie miało coś wspólnego z gadem) nie pozostawało nic poza tym przebłyskiem. Oto formuła godna namysłu. Tak więc w sumie pójście do El Cerro miało jakiś sens, w ten sposób Maga przestawała być zagubionym przedmiotem, aby stać się obrazem jakiegoś dopuszczalnego połączenia - tyle że już nie z nią, tylko gdzieś bliżej lub dalej poza mą. Przez nią, ale nie z nią. I Manu, i cyrk, i ten nieprawdopodobny pomysł pracy u czubków, o których tyle mówili w ostatnich dniach, wszystko to mogło być znaczące, naturalnie pod warunkiem, że się to wyekstrapoluje, niehunik-niona hekstrapolacja w hoderwany hokres methafizyczny, te piękne słowa zawsze będące w pogotowiu. Oliveira ugryzł kawałek pizzy parząc sobie dziąsła, co zawsze mu się zdarzało przez łakomstwo, i poczuł się lepiej. Ileż to razy przebył już ten sam cykl, w nieskończonych ilościach kawiarni tylu miast, ileż razy dochodził do podobnych wniosków, zaczynał czuć się lepiej, wierzyć w nowe życie, na przykład tego popołudnia, kiedy wybrał się na ów bezsensowny koncert, a potem... A potem była ta straszna ulewa... Po co do tego wszystkiego wracać! Tak jak z Talitą. Im więcej do tego wracał - tym było gorzej. Ta kobieta cierpiała przez niego, nie przez coś ważnego, po prostu przez to, że tu się znalazł, i od tej chwili wszystko między nimi, między Travelerem a nią, zaczęło się zmieniać, miliony tych drobiazgów, które się uważa za załatwione i odfajkowane, nabierały ostrości, i to, co rozpoczynało się jako sztuka mięsa à la *española,* kończyło się jako śledź à la Kierkegaard, żeby nie powiedzieć więcej. Popołudnie z deską było przywróceniem porządku, ale Traveler przepuścił okazję powiedzenia tego, co należało, aby Oliveira wyniósł się z ich dzielnicy i z ich życia jeszcze tego samego popołudnia; nie tylko przepuścił tę okazję, ale również postarał się dla niego o zajęcie w cyrku, czyli że w tym wypadku litowanie się byłoby takim samym idiotyzmem jak wtedy: deszcz, deszcz. Ciekawe, czy też Berthe Trépat ciągle jeszcze grywa na fortepianie?

49

Talita i Traveler szalenie dużo mówili na temat różnych sławnych wariatów i innych tajemniczych spraw, teraz gdy Ferraguto zdecydował się już na kupno kliniki, odstępując cyrk wraz z kotem i całym majdanem niejakiemu Suarezowi Mellan. Wydawało im się, a specjalnie Talicie, że zamiana cyrku na klinikę jest czymś w rodzaju kroku naprzód, choć właściwie Traveler nie widział wyraźnych przyczyn do takiego optymizmu. W oczekiwaniu lepszego zrozumienia wszystkiego, podnieceni, ciągle podchodzili do okien albo do wejściowych drzwi, ażeby opowiadać swoje spostrzeżenia i aby wszyscy byli *au courant,* i señora Gutusso, i don Bunche, i don Crespo, i Gekrepten, jeżeli była pod ręką. Niestety, w tych dniach dużo się mówiło o rewolucji, o domniemanych rozruchach w Campo de Mayo, co jakoś wszystkim wydawało się ważniejsze od kupna kliniki przy ulicy Trelles. W końcu Traveler i Talita zabierali się do podręcznika psychiatrii, ażeby tam znaleźć choć trochę normalności. Jak zawsze podniecało ich byle co, toteż w dzień kaczki dyskusje bez powodu osiągały taki stopień gwałtowności, że Cien Pesos szalał w swojej klatce, don Crespo zaś oczekiwał nadejścia kogokolwiek ze znajomych, aby rozpocząć rotacyjny ruch drugiego palca lewej ręki opartego o właściwą skroń. Przy takich okazjach gęste chmury kaczych piór wyfruwały przez kuchenne okno i rozpoczynało się trzaskanie drzwiami i ostra wymiana zdań, które uspokajały się dopiero przy obiedzie, kiedy to kaczka znikała do ostatniego włókienka.

W porze kawy, zakropionej caña Mariposa, milczące pojednanie nad cennymi tekstami zbliżało ich do wyczerpanych numerów ezoterycznych pism, kosmologicznych skarbów, które czuli się w obowiązku wchłonąć, niby rodzaj prologu do nowego życia. O wariatach mówiło się bardzo dużo, a zarówno Traveler, jak i Oliveira postanowili pościągać stare papierzyska i wystawić jako część „kolekcji fenomenów", którą rozpoczęli wspólnie w zamierzchłych czasach, gdy jeszcze razem uczęszczali na dawno zapomniany uniwersytet, a którą później gromadzili oddzielnie. Studiowanie tych dokumentów zabierało im czas po wszystkich posiłkach, a Talita zdołała sobie wyrobić prawo udziału dzięki posiadaniu paru numerów „Renovigo" *(Periódiko Rebolusionario Bilingue*), publikacji meksykańskiej w języku hispanoamerykańskim wydawnictwa „Lumen", z którym całe tłumy wariatów współpracowały ze znakomitym rezultatem. Od Ferraguta mieli tylko od czasu do czasu wiadomości, bo praktycznie cyrk znajdował się już w rękach owego Meliána, ale wydawało się pewne, że od połowy marca obejmują klinikę. Parę razy Ferraguto pojawił się w cyrku,

żeby popatrzeć na kota-rachmistrza, z którym - bez żadnych wątpliwości - nielekko było mu się rozstać, i nigdy nie omieszkał wspomnieć o zbliżającym się terminie Wielkiej Transakcji i ciężkich obowiązkach, które spadną na wszystkich (westchnienie).

Wydawało się prawie pewne, że apteka zostanie powierzona Talicie, i biedaczka była podenerwowana powtarzając wiadomości zapomniane od czasów, gdy kręciła maści. Oliveira i Traveler używali sobie na niej ile wlezie, ale kiedy wracali do cyrku, patrząc na ludzi i na kota obaj byli smutni, jakby ów cyrk był czymś nieocenionym i niezwykłym.

- Tu wszyscy są o wiele bardziej kopnięci - mawiał Traveler. - Najmniejszego porównania...

Oliveira wzruszał ramionami, niezdolny przyznać się, że w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, i patrzył ku górze namiotu, głupio się gubiąc w niepewnych rozpamiętywaniach.

- Pewno, że się zmieniłeś jeżdżąc tak z miejsca na miejsce - konkludował naburmuszony Traveler - ja zresztą także, ale ja wiecznie tu, wiecznie na tym cholernym południu...

Wyciągał ramię określając tym ruchem to, co myślał o geografii Buenos Aires.

- Wiesz, zmiany... - zaczynał Oliveira.

Podczas takiej wymiany zdań pękali ze śmiechu, a publiczność patrzyła na nich krzywo, bo przeszkadzali.

W chwilach zwierzeń wszyscy troje przyznawali, że są znakomicie przygotowani do swoich nowych obowiązków. Na przykład niedzielny dodatek do „La Nación” wywoływał w nich smutek, porównywalny tylko do tego, w który wprawiały ich ogonki przed kinami albo nakład „Reader's Digest”.

- Kontakty z każdym dniem częściej się zrywają... - stwierdzał sybillicznie Traveler. - Powinno się krzyczeć wniebogłosy.

- Już to zrobił w nocy pułkownik Flappa - odpowiadała Talita. - Rezultat: stan wyjątkowy.

- To nie był krzyk, córuchno, zaledwie rzężenie. Ja mówię o tym, o czym śnił Yrigoyen... O kulminacjach historycznych, proroczych zapowiedziach, o tych nadziejach ludzkiej rasy, tak podupadłej w tych parażach.

- Już gadasz prawie tak jak tamten - mówiła Talita patrząc na niego z niepokojem, lecz ukrywając „charakterologiczne” spojrzenie.

Tamten, ciągle jeszcze w cyrku, dawał ostatnie wskazówki Suarezowi Mellan i dziwił się chwilami, że właściwie wszystko jest mu aż tak obojętne. Miał uczucie, że to, co jeszcze

w nim pozostało, cała jego mana, przeszła w Talitę i Travelera, którzy coraz bardziej się podniecali na myśl o klinice, podczas gdy on tymi dniami miał ochotę jedynie bawić się z kotem-rachmistrzem, który poczuł do mego jakiś niesłychany sentyment, tak że wyłącznie dla niego rozwiązywał zadania. Ponieważ Ferraguto wydał dyspozycje, że nie wolno brać kota na ulicę inaczej niż w koszyczku lub obróżce z adresem, podobnej do tych, które nosili żołnierze w czasie bitwy pod Okinawą, Oliveira rozumiał uczucia kota, i jak tylko znajdowali się o dwie ulice od cyrku, zostawiał koszyk w zaprzyjaźnionej wędliniarni, zdejmował biednemu zwierzakowi obróżkę i maszerowali we dwóch oglądać stare puszki od konserw na pustych działkach albo skubać trawę, co było rozkosznym spędzeniem czasu. Po owych zdrowotnych przechadzkach Oliveira jakoś lepiej znosił asystowanie przy posiedzeniach na patio don Crespa i czułość Gekrepten, pogrążonej w przygotowywaniu mu ciepłych rzeczy na zimę. Tej nocy, gdy Ferraguto zadzwonił do hotelu, ażeby zawiadomić Travelera o dokładnej dacie Wielkiej Transakcji, wszyscy troje pogrążeni byli w uzupełnianiu swoich wiadomości o języku ispamerykańskim, czerpiąc je z nieprawdopodobną frajdą z któregoś z numerów „Renovigo". Posmutnieli na myśl, że w klinice czeka ich powaga, wiedza, poświęcenie i tym podobne rzeczy.

- *Ké bida no es trajedia?* - przeczytała Talita w znakomitym ispamerykańskim.

Tak zabawiali się aż do przybycia señory Gutusso, która przyniosła ostatnie wiadomości z radia na temat pułkownika Flappy i jego czołgów - wreszcie coś realnego i konkretnego, po których to wiadomościach rozeszli się natychmiast, ku zdziwieniu informatorki, pijanej od patriotycznych uczuć.

(118)

50

Z przystanku autobusowego przy ulicy Trelles był dosłownie krok, trzy bloki z kawałkiem. Ferraguto i Kuka już tam byli wraz z administratorem, kiedy przyszli Traveler z Talitą. Wielka Transakcja odbywała się na pierwszym piętrze w sali, której dwa okna wychodziły na patio--ogród, gdzie przechadzali się chorzy, i widać było wznoszący się i opadający strumyk wody w fontannie. Ażeby dojść do sali, Talitą i Traveler musieli przejść przez nieskończoną liczbę korytarzy i pokoi na parterze, gdzie wiele pań i panów w najczystszym kastylskim zaczepiało ich prosząc o dobrowolne ofiarowanie im paru paczek papierosów. Towarzyszący im pielęgniarz wydawał się uważać owo małe interludium za rzecz najzupełniej normalną, okoliczności zaś nie ułatwiały przedwczesnych indagacji w celach orientacyjnych. Niemalże zupełnie bez papierosów dotarli do sali Wielkiej Transakcji, gdzie Ferraguto w wytwornej formie przedstawił ich administratorowi. W połowie lektury jakiegoś niezrozumiałego dokumentu zjawił się Oliveira i wśród szeptów i wymownych gestów wytłumaczono mu, że wszystko jest w porządku i że nikt nic nie rozumie. Kiedy Talitą do ucha opowiedziała mu, jak tu doszli, ććć, ćć, Oliveira spojrzał na nią zdziwiony, bo sam wszedł prosto w bramę i wąskie przejście, które go doprowadziło do jakichś drzwi: właśnie tych. Co do dyra, to wbił się od razu w czarny garnitur, jak przystało na taką okazję.

Upał był z tych, które duszą głosy radiowych lektorów, co godzina podających komunikat meteorologiczny oraz oficjalne démenti na temat buntu w Campo de Mayo i ponurych intencji pułkownika Flappy. O godzinie piątej pięćdziesiąt pięć administrator przerwał czytanie dokumentu i włączył swój japoński tranzystor, aby - jak oznajmił po uprzednim przeproszeniu - nie tracić kontaktu z rzeczywistością. Zdanie to wywołało u Oliveiry klasyczny gest człowieka, który czegoś zapomniał przy wejściu (i co w sumie - pomyślał - administrator powinien był uznać za inną formę kontaktu z rzeczywistością), i pomimo piorunujących spojrzeń Travelera i Tality opuścił salę pierwszymi z brzegu drzwiami, ale nie były to te same, przez które wszedł.

Z kilku zdań „dokumentu" zorientował się, że klinika składa się z parteru i czterech pięter oraz z oddzielnego pawilonu w patio-ogrodzie. Najlepiej będzie przejść się po patio-ogrodzie, jeżeli tam trafi - pomyślał, nie nadarzyła mu się jednak ta okazja, bo zaledwie przeszedł pięć metrów, zbliżył się do niego uśmiechając się młody człowiek bez marynarki, wziął go za rękę i poprowadził, machając rękami, tak jak to robią dzieci, ku korytarzowi, w którym znajdowały się liczne drzwi i coś, co wyglądało na wylot towarowej windy. Myśl

poznania kliniki pod przewodnictwem wariata była nadzwyczaj kusząca, toteż Oliveira przede wszystkim poczęstował papierosem towarzysza, młodzieńca o inteligentnym wyglądzie, który przyjął papierosa i zagwizdał z zadowoleniem. Później okazało się, że był on pielęgniarzem, Oliveira zaś nie był wariatem - zwykłe nieporozumienia w takich okolicznościach. Zdarzenie to było tanie i mało obiecujące, ale między jednym a drugim piętrem Oliveira i Remorino zaprzyjaźnili się, topografia kliniki zaś objawiła się od wewnątrz, wraz z anegdotkami, okrutnymi drwinami z reszty personelu i przyjacielskimi ostrzeżeniami. Właśnie znajdowali się w pokoju, w którym doktor Ovejero trzymał swoje świnki morskie i zdjęcie Moniki Vitti, kiedy wbiegł jakiś zezowaty chłopak, aby powiedzieć panu Remorino, że jeżeli pan, który z nim się przechadza, jest panem Horacio Oliveira etc. Z westchnieniem Oliveira zszedł dwa piętra i wrócił do sali, w której odbywała się Wielka Transakcja i gdzie czytanie dokumentu dobiegało końca pośród menopauzowych uderzeń krwi do głowy Kuki Ferraguto i bezceremonialnego poziewania Travelera. Oliveira zadumał się nad sylwetką w różowej piżamie, która mignęła mu na zakręcie korytarza trzeciego piętra, nad starym człowiekiem, który szedł przytrzymując się ściany i tuląc do siebie śpiącego mu na ręce gołębia. Dosłownie w tym momencie Kuka wydała z siebie coś w rodzaju beczenia.

- Jak mają wyrazić zgodę?

- Cicho, kochanie - powiedział dyro. - Pan chce nam dać do zrozumienia...

- To zupełnie jasne - powiedziała Talita, która zawsze była w dobrych stosunkach z Kuką i chciała jej pomóc.

- Przekazanie wymaga zgody chorych.

- Ależ to wariactwo - oznajmiła Kuka ad hoc.

- Niech pani weźmie pod uwagę - administrator wolną ręką obciągnął kamizelkę - że tu są dość specyficzni chorzy, a prawo Méndez-Delfino nie pozostawia na ten temat wątpliwości. Poza ośmioma czy dziesięcioma, których rodziny już wyraziły zgodę, inni spędzają życie przenosząc się z jednego zakładu do drugiego i nikt za nich nie odpowiada. W takich wypadkach prawo naznacza administratora, który w chwilach przytomności tych osobników naradza się z nimi, czy zgadzają się na to, aby zakład zmienił właściciela. Tu są zaznaczone odnośne artykuły - dodał pokazując im czerwono oprawną książkę, pozakładaną paskami pociętej gazety „Razón". - Proszę przeczytać i koniec.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem - powiedział Ferraguto

- załatwienie tej sprawy powinno odbyć się natychmiast?

- A po cóż bym inaczej zwoływał panów? Pana jako właściciela i tych państwa jako świadków: zawezwiemy chorych i wszystko załatwi się dziś po południu.

- Rzecz w tym - odezwał się Traveler - żeby u tych, co mają podpisywać, trafić na to, co pan nazwał chwilą przytomności.

Administrator spojrzał na niego z politowaniem i zadzwonił. Wszedł Remorino w fartuchu, mrugnął do Oliveiry i położył na stole olbrzymią księgę. Przysunął krzesło do stołu i skrzyżował ręce na piersiach niby perski kat. Ferraguto, który pospiesznie przeglądał księgę-rejestr z miną fachowca, zapytał, czy wyrażona zgoda zostanie zarejestrowana pod aktem, na co administrator powiedział, że tak i że w tym celu będzie się wzywało chorych w porządku alfabetycznym, prosząc ich o wyrażenie swojej aprobaty za pomocą niebieskiego długopisu. Mimo tak skutecznych przygotowań Traveler upierał się przy insynuacji, że może jednak któryś z chorych odmówi podpisu lub też zacznie się awanturować. Nie mając odwagi otwarcie go poprzeć, Kuka i Ferraguto zawiśli-na-jego-ustach.

51

Właśnie pojawił się Remorino z jakimś zastraszonym starcem, który, gdy tylko poznał administratora, ukłonił mu się z uszanowaniem.

- W piżamie! - zdumiała się Kuka.

- Zauważyłem to, jak tylko wszedłem - odparł Ferraguto.

- Nie są w piżamach. Są w czymś w rodzaju...

- Proszę o ciszę - zarządził administrator. - Niech pan podejdzie bliżej, don Antúnez, i podpisze tam, gdzie wskazuje Remorino.

Staruszek uważnie obejrzał księgę, Remorino podał mu pióro. Wyjąwszy chusteczkę Ferraguto lekkimi uderzeniami osuszał sobie czoło.

- To jest ósma strona - powiedział Antúnez - a mnie się wydawało, że mam podpisać na pierwszej.

- Tutaj - Remorino wskazał mu określone miejsce - no, nie traćmy czasu, bo nam kawka wystygnie.

Antúnez złożył ozdobny podpis, skłonił się i odszedł małymi, różowymi kroczkami, które zachwyciły Talitę. Następna piżama była o wiele grubsza; upłynąwszy dokoła stolik, podała rękę administratorowi, który uścisnął ją bez większego entuzjazmu i wskazał księgę suchym gestem.

- Już pan wie, o co chodzi, więc proszę podpisać i może pan wracać do swojego pokoju.

- Kiedy u mnie nie zamiecione - powiedziała gruba piżama.

Kuka odnotowała w pamięci brak higieny. Remorino usiłował włożyć pióro w rękę grubej piżamy, która wycofywała się powoli.

- Zaraz posprzątają - obiecał. - Niech no pan podpisze, don Nicanor.

- Za nic - powiedziała gruba piżama. - To podstęp.

- Nie ma żadnych podstępów - powiedział administrator. - Doktor Ovejero wytłumaczył panu, o co chodzi. Podpisujecie - a od jutra podwójna porcja ryżu na mleku.

- Nie podpiszę bez zgody Antúneza - upierała się gruba piżama.

- Właśnie dopiero co podpisał. O, proszę.

- To jest nieczytelne. To nie jest podpis Antuneza. Wydobyliście to z niego za pomocą ukłucia elektrycznością. Zabiliście go.

- Przyprowadź go z powrotem - rozkazał administrator; Remorino wybiegł pędem i wrócił z Antúnezem. Gruba piżama wydała okrzyk radości i podbiegła uścisnąć mu rękę.

- Niech mu pan powie, że pan się zgadza i że nie ma się czego obawiać - zwrócił się do niego administrator. - Prędzej, bo robi się późno.

- Podpisuj bez obawy, synu - polecił Antúnez grubej piżamie. - Tak czy tak leżysz...

Gruba piżama wypuściła pióro z ręki. Remorino podniósł je sarkając, administrator zerwał się wściekły. Schowana za Antúnezem gruba piżama trzęsła się, szarpiąc sobie rękawy. Suche pukanie do drzwi - i zanim Remorino zdążył je otworzyć, weszła pani w różowym kimonie, podeszła prosto do księgi i zaczęła oglądać ją ze wszystkich stron, tak jakby to było peklowane prosię. Wyprostowawszy się z wyrazem pełnym zadowolenia, położyła na niej otwartą dłoń...

- Przysięgam - powiedziała pani - mówić całą prawdę. Pan mi nie pozwoli kłamać, don Nicanor.

Gruba piżama potwierdzająco skinęła głową, nagle przyjęła pióro, które jej podsuwał Remorino, i nie tracąc ani chwili podpisała nie patrząc.

- To bydlę - usłyszeli szept administratora. - Remorino, sprawdź, czy nie podpisał w złym miejscu. No, szczęśliwie nie. Teraz pani, señora Schwitt, skoro już się pani tu znalazła. Pokaż jej gdzie, Remorino.

- Jeżeli nie poprawicie ogólnego nastroju, to nic nie podpiszę - oznajmiła señora Schwitt. - Należy otworzyć drzwi i okna dla ducha.

- Ja chcę mieć w moim pokoju dwa okna - powiedziała gruba piżama. - A don Antúnez chce iść do angielskiej apteki kupić watę i inne drobiazgi. Tu jest tak ciemno.

Lekko odwróciwszy głowę, Oliveira zobaczył, że Talita na niego patrzy, i uśmiechnął się do niej. Każde z nich wiedziało, że drugie zdaje sobie sprawę z tego, że wszystko to jest jedną idiotyczną komedią, że gruba piżama i inni nie są ani o włos bardziej zwariowani niż oni sami. Źli aktorzy, nawet nie wysilali się, żeby wyglądać na porządnych obłąkańców wobec nich, którzy tak porządnie przeczytali podręcznik psychiatrii dla laików. Na przykład wspaniale opanowana Kuka, trzymająca oburącz torebkę i wygodnie rozparta w fotelu, o wiele bardziej wyglądała na wariatkę, niż troje podpisujących, którzy już od dobrej chwili domagali się zabicia psa, nad czym señora Schwitt rozwodziła się gestykulując. Nic nie było zaskakujące, najnormalniejsza przy-czynowość obowiązywała w tych stosunkach obfitujących w potoki słów, w których ryki administratora stanowiły stały bas, w powtarzających się tematach skarg, żądań i angielskiej apteki. Widzieli, jak Remorino wyprowadzał po kolei Antúneza i grubą piżamę, jak pani Schwitt pogardliwie podpisywała

się w księdze, jak wchodził wychudzony niby szkielet olbrzym, rodzaj spłowiałego płomienia z różowej flaneli, a za nim siwowłosy młodzieniec o złośliwie-przepięknych zielonych oczach. Ci ostatni podpisali bez większego oporu, natomiast zgodnie stwierdzili, że chcą pozostać na miejscu aż do końca ceremonii.

Ażeby uniknąć nowych trudności, administrator usadził ich w kącie, a Remorino poszedł po dwóch dalszych pacjentów, jakąś dziewczynę o obfitych biodrach i człowieka o skośnych oczach, który nie odrywał wzroku od podłogi. Niespodziewanie znowu coś wtrącili na temat zabicia psa. Gdy podpisali, dziewczyna zrobiła dyg jak baletnica; Kuka Ferraguto odkłoniła jej się uprzejmym skinieniem głowy, co niesłychanie rozśmieszyło oboje Travelerów. W księdze znajdowało się już dziesięć podpisów, a Remorino wciąż jeszcze kogoś przyprowadzał: ukłony, a niekiedy sprzeczka, która niespodziewanie przerywała się lub zmieniała partnerów, i od czasu do czasu jakiś podpis. Było już wpół do ósmej, wyjąwszy puderniczkę Kuka doprowadzała do porządku twarz ruchem ni to madame Curie, ni Edwige Feuillère, nader właściwym dla kierowniczki kliniki. Nowe chichoty Travelera i Tality, nowe zaniepokojenie Ferraguta, na przemian obserwującego wzrost liczby podpisów i twarz administratora. O siódmej czterdzieści któraś z pacjentek oznajmiła, że nie podpisze, dopóki pies nie zostanie zabity. Remorino obiecał jej to, mrugając porozumiewawczo do Oliveiry, który docenił ten dowód zaufania. Podpisało dwudziestu pacjentów, pozostawało tylko czterdziestu pięciu. Administrator podszedł do nabywców, ażeby ich poinformować, że przypadki najostrzejsze już się załatwiło (właśnie tak się wyraził) i że najlepiej będzie, jeśli przejdą do sąsiedniego pokoju na piwko i „ostatnie wiadomości". Podczas przerwy mówiono o psychiatrii i o polityce. Rewolucja została zduszona przez siły rządowe, przywódcy poddali się w Lujan. Doktor Nerio Rojas znajduje się na Kongresie w Amsterdamie. Piwo znakomite.

O wpół do dziewiątej było już czterdzieści dziewięć podpisów. Zmierzchało i sala pełna była dymu, ludzi stojących po kątach i kaszlu, który od czasu do czasu nachodził któregoś *z* obecnych. Oliveira miał ochotę wyjść na ulicę, ale administrator był nieugiętym formalista. Trzech podpisujących w ostatniej grupie żądało zmian w wyżywieniu (Ferraguto robił znaki, aby Kuka notowała to, co mówili, już tam w jego klinice jedzenie będzie bez zarzutu) i uśmiercenia psa. (Kuka pytająco krzyżowała palce u rąk tak, aby to widział Ferraguto, który zaniepokojony kręcił głową spoglądając na administratora, ledwie żywego ze zmęczenia i zasłaniającego twarz reklamowym kalendarzem). Kiedy wszedł stary z gołąbkiem na dłoni, nastąpiła przerwa; wszyscy zamarli wpatrzeni w nieruchomego ptaka, którego stary głaskał powoli, jakby chcąc go uśpić, i prawie było żal, że musiał przerwać tę rytmiczną pieszczotę, aby niezdarnie wziąć pióro do ręki. Za starym weszły pod rękę dwie

siostry, które z miejsca zażądały śmierci psa i innych ulepszeń w zakładzie. Sprawa psa najwidoczniej śmieszyła Remorina, ale Oliveira poczuł, że mu się coś przelewa w dołku; i podniósł się mówiąc Travelerowi, że idzie się trochę przejść; zaraz wróci.

- Musi pan pozostać - oznajmił administrator. - Jest pan świadkiem.

- Zostanę w budynku - odparł Oliveira. - Niech pan zajrzy do prawa Mendez-Delfino, to jest przewidziane.

- Pójdę z tobą - powiedział Traveler. - Za pięć minut będziemy z powrotem.

- Proszę tylko nie opuszczać gmachu - upomniał administrator.

- Nie ma obawy - uspokoił go Traveler. - Chodź, bracie, mam wrażenie, że tędy można zejść do ogrodu. Cóż za smutek, to wszystko.

- Jednomyślność jest nudna - stwierdził Oliveira. - A tu ani jeden się nie wyłamał. Ale popatrz tylko, jak się uczepili tego psa... Chodź, usiądziemy koło fontanny, strumyczek wody ma w sobie coś oczyszczającego, dobrze nam to zrobi.

- Śmierdzi benzyną - zauważył Traveler. - Faktycznie oczyszczający.

- Na co właściwie czekamy? Sam widzisz, że w końcu wszyscy podpiszą, nie ma żadnej różnicy między nimi a nami. Najmniejszej. Będzie nam tu bosko, zobaczysz.

- Jest ta różnica - powiedział Traveler - że oni są różowo ubrani.

- Popatrz - Oliveira wskazał górne piętra. Było już prawie zupełnie ciemno i na drugim i trzecim światła rytmicznie zapalały się i gasły. Światło w jednym oknie, a ciemność w sąsiednim. I na odwrót. Światła na jednym piętrze, a ciemność na drugim. I na odwrót.

- Zaczyna się - powiedział Traveler. - Popodpisywali ile wlazło, ale teraz odstawiają swoje numery.

Zadecydowali, że dopalą papierosy przy oczyszczającym strumyczku, mówiąc o niczym i patrząc na światła na przemian zapalające się i gasnące. Wtedy to Traveler napomknął o zmianach, a po chwili ciszy usłyszał w ciemnościach łagodny śmiech Horacia. Nie ustąpił jednak, bo potrzebował jakiejś pewności, chociaż nie wiedział, w jaki sposób wyrazić to, co wyślizgiwało się słowom i myślom.

- Jakbyśmy byli wampirami, jakbyśmy mieli ten sam krwiobieg, który nas łączy czy może raczej dzieli. Czasem ty i ja, czasem wszyscy troje, nie oszukujmy się. Sam nie wiem, kiedy się to zaczęło, ale tak jest, i trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Myślę, że znaleźliśmy się tutaj nie tylko z woli szefa. Przecież można było zostać w cyrku z Meliánem, znamy tamtą pracę, cenią nas. Ale nie - musieliśmy tu szukać guza, i to wszyscy troje. Ja najwięcej zawiniłem, bo nie chciałem, żeby Talita myślała... że cię puszczam w trąbę przy tej okazji po to, żeby się w ogóle od ciebie uwolnić. Sprawa miłości własnej, jak sam widzisz.

- W gruncie rzeczy wcale nie muszę tego przyjąć - powiedział Oliveira. - Mogę wrócić do cyrku albo jeszcze lepiej w ogóle zniknąć. Buenos Aires to wielkie miasto. Już ci przecież to wszystko kiedyś mówiłem.

- Tak, ale odszedłbyś po tej rozmowie. Czyli że zrobiłbyś to dla mnie, a właśnie tego sobie nie życzę.

- Na wszelki wypadek wyjaśnij mi sprawę tych zmian.

- A bo ja wiem... Gdy chcę wyjaśnić, to tylko mi się to zaciemnia. Posłuchaj, to jest jakoś tak: póki jestem z tobą, nie ma problemu, ale jak tylko zostaję sam, czuję, że wywierasz na mnie nacisk nawet z twojego pokoju. Przypomnij sobie dzień, kiedy poprosiłeś o gwoździe. Talita także to czuje, patrzy na mnie, a mnie się wydaje, że to spojrzenie jest dla ciebie, natomiast jak jesteśmy wszyscy razem, może przez całe godziny nawet nie zauważyć twojej obecności. Przypuszczam, że sam się w tym zorientowałeś.

- Jedź dalej.

- To wszystko. Ale właśnie dlatego nie wydaje mi się fair, żebyś odchodził z tak nieistotnego powodu. To musi być coś, o czym sam zadecydujesz; a teraz, kiedy już zrobiłem to głupstwo, żeby mówić o tym, nawet i ty nie będziesz miał swobody wyboru, ty także będziesz na to patrzył z punktu widzenia obowiązku, więc leżymy obaj. W tym wypadku etycznym wyjściem byłoby raczej darować przyjacielowi życie, a na to nie mogę się zgodzić.

- Aha - mruknął Oliveira - tak, że nie pozwalasz mi odejść, a sam także nie mogę odejść. Czy nie masz wrażenia, że sytuacja staje się trochę różowo-piżamowa?

- Raczej tak.

- Popatrz.

- Co?

- Wszystkie światła zgasły równocześnie.

- Widocznie skończyli podpisywać. Klinika przeszła w ręce dyra. Niech żyje Ferraguto!

- Właściwie teraz należałoby usatysfakcjonować ich i zabić tego psa. Niewiarygodne, jak są na niego cięci.

- Wcale nic są - powiedział Traveler. - Tutaj także na razie nie widać gwałtowniejszych namiętności.

- Masz potrzebę radykalnych rozwiązań, stary. Długi czas sam tak czułem, a potem...

Zaczęli wracać, ostrożnie, bo ogród pogrążony był w zupełnych ciemnościach, a nie pamiętali położenia kwietników. Kiedy, już blisko wejścia, natknęli się na „klasy", Traveler

cicho się roześmiał i podniósłszy nogę zaczął przeskakiwać z jednego kwadratu do drugiego. Kredowy rysunek lekko fosforyzował w ciemnościach.

- Któregoś wieczoru - powiedział Oliveira - opowiem ci o tym, tam. Nie mam ochoty, ale może okazać się to jedynym sposobem, aby, że tak powiem, uśmiercić w końcu tego psa.

Traveler wyskoczył z klas, a w tej chwili światła na drugim piętrze nagle zapaliły się. Oliveira chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zobaczył wyłaniającą się z mroku twarz Travelera i przez sekundę, zanim światło ponownie zgasło, zaskoczyło go skrzywienie jej, ryktus (z łac. *rictus,* otwór ustny: wykrzywienia warg przypominające uśmiech).

- Skoro już mówiliśmy o zabiciu psa - powiedział Traveler - to czy zauważyłeś, że lekarz naczelny nazywa się Ovejero? Owczarek? Zdarzają się te koincydencje...

- To nie było to, co chciałeś mi powiedzieć.

- Tylko by tego brakowało, żebyś ty się skarżył na moje przemilczenia czy wykręty. Pewno, że nie to, ale jakie to ma znaczenie? O tym nie można rozmawiać. Jeżeli chcesz się przekonać... Ale coś mi mówi, że już jest za późno, stary. Pizza wystygła, nie warto jej odgrzewać. Weźmy się lepiej od razu do roboty, to nas rozerwie.

Oliveira nie odpowiedział i poszli na górę do sali Wielkiej Transakcji, gdzie administrator i Ferraguto raczyli się podwójnymi kieliszkami cañi. Oliveira natychmiast się do nich przyłączył, ale Traveler podszedł do kanapy i usiadł obok Tality czytającej książkę z sennym wyrazem twarzy. Po ostatnim podpisie Remorino usunął zarówno księgę, jak i chorych biorących udział w ceremonii. Traveler zauważył, że administrator zgasił górną lampę i zastąpił ją lampką na biurku; wszystko było zielonkawe, wszyscy mówili cichymi, pełnymi zadowolenia głosami. Usłyszał, że robią plany, aby pójść na flaki po włosku do którejś restauracji w centrum. Talita zamknęła książkę i spojrzała na niego sennie, Traveler pogłaskał ją po włosach i poczuł się raźniej. W każdym razie pomysł flaków o tej porze i przy tym upale był kompletnie pozbawiony sensu.

52

Bo w rzeczywistości nie mógł nic opowiedzieć Travelerowi. Gdyby dotknął kłębka, zaczęłaby się ciągnąć wełniana nić, metry wełny, wełna, po łacinie lana, lanaliza, lanapurna, lanaturner, lanatomia, lanamneza, lana ad lanauseam, wełna do wełmiotów - ale nigdy sam kłębek. Musiałby narzucić Travelerowi podejrzenie, że to, co mówi, nie ma bezpośredniego sensu (jaki właściwie miało sens?), nie mając też i symbolicznego, nie będąc żadną przenośnią, żadną alegorią. Nieprzekraczalny dystans, problem poziomów nie mający nic wspólnego ani z inteligencją, ani z zasobem informacji. Co innego było grać w karty z Travelerem albo dyskutować z nim na temat Johna Donne'a, wtedy wszystko przebiegało na poziomie wspólnej płaszczyzny; ale tamto - być małpą pośród ludzi, chcieć być z nią z powodów, których nawet małpa nie byłaby w stanie sobie wytłumaczyć, przede wszystkim dlatego, że nie miały w sobie nic racjonalnego i że ich siła na tym właśnie polegała, i tak dalej aż do skutku.

Pierwsze noce w klinice były spokojne; odchodzący personel pełnił jeszcze swoje funkcje, nowi ograniczali się do patrzenia, zdobywania doświadczeń i spotkań w aptece, gdzie Talita, cała na biało i pełna emocji, ponownie odkrywała emulsje i barbituraty. Problem polegał na tym, jak się wykręcić od Kuki Ferraguto, która zainstalowała się w biurze administratora, zdecydowana - jak się wydawało - narzucić klinice swój autorytet i sam dyro z uszanowaniem wysłuchiwał zasad „nowego ładu", zamkniętego w takich słowach, jak higiena, dyscyplina, bóghonoriojczyzna, szare piżamy, kwiat lipowy. Zatrzymując się w aptece, Kuka co chwila nastawiała uszu, aby usłyszeć fachowe konwersacje nowego personelu. Talita w jakimś stopniu wzbudzała jej zaufanie, gdyż miała nad głową zawieszony dyplom, ale jej mąż i jego kumpel wydawali jej się mocno podejrzani. Najgorszy dla Kuki był fakt, że niezależnie od wszyst kiego od początku cholernie przypadli jej do serca, co zmuszało ją do korneliańskich walk pomiędzy obowiązkiem a platonicznymi ciągotami, podczas gdy Ferraguto zajmował się stroną administracyjną i powoli przenosił się z połykaczy noży na schizofreników, z bel siana na ampułki z insuliną. Lekarze, w liczbie trzech, zjawiali się rano i niewiele przeszkadzali. Internista, facet mający słabość do pokera, już się zaprzyjaźnił z Oliveirą i Travelerem; w jego gabinecie na trzecim piętrze w pocie czoła wypracowywali fule i karety, a kupki dziesięcio- i stupesowe przechodziły z ręki do ręki, szkoda, że państwo tego nie widzą. Chorzy lepiej, dziękuję bardzo.

(89)

53

Pewnego czwartku, ciach! koło dziewiątej wieczorem wszyscy zainstalowali się na swoich miejscach. Po południu trzaskając drzwiami odszedł poprzedni personel (ironiczne prześmieszki Kuki i Ferraguta, podpisy załatwiające sprawę odszkodowań) i delegacja chorych pożegnała odchodzących okrzykami: „Zdechł pies! Zdechł pies!", co nie przeszkodziło im w wystąpieniu z petycją do Ferraguta, opatrzoną pięcioma podpisami, w której żądali czekolady, popołudniowej gazety i śmierci psa. Pozostali nowi, jeszcze trochę niepewni, i Remorino, który odstawiał ważniaka twierdząc, że wszystko pójdzie jak po maśle. Radio „El Mundo" podtrzymywało sportowego ducha mieszkańców Buenos Aires doniesieniami o fali upałów. Wszystkie rekordy zostały pobite i można było patriotycznie pocić się ile wlazło, Remorino znajdował walające się po kątach piżamy. Wraz z Oliveirą przekonywał ich właścicieli, aby je z powrotem nałożyli, niechby chociaż spodnie. Przed przystąpieniem do pokera z Ferraguta i Travelerem, doktor Ovejero upoważnił Talitę do dystrybucji lemoniady wszystkim poza szóstką, osiemnastką i trzynastką. U trzynastki spowodowało to atak płaczu, wobec czego Talita dała jej podwójną porcję. Był najwyższy czas, aby przystąpić do uśmiercenia psa.

Jak można było rozpoczynać tak spokojne życie bez zbytniego zdziwienia? Niemalże bez uprzedniego przygotowania, bo podręcznik psychiatrii, nabyty w firmie Tomas Pardo, nie był dostateczną propedeutyką dla Tality ani Travelera. Bez doświadczenia, bez prawdziwego zapału, bez niczego: człowiek jest rzeczywiście bydlęciem, które się może przyzwyczaić nawet do tego, że nie może się przyzwyczaić. Na przykład trupiarnia: ani Traveler, ani Oliveira tego nie znali, a tu patrzećcosiędzieje: we wtorek wieczorem przychodzi po nich Remorino z rozkazu Ovejera. Na drugim piętrze, zgodnie z oczekiwaniami, umarł pięćdziesiątka szóstka, trzeba pomóc noszowemu i rozerwać trzynastkę, która z tego wszystkiego dostała telepalpitacji.

Jakież to dziwne, że przy czytaniu inwentarza w dniu Wielkiej Transakcji w ogóle nie wspomniano o kostnicy! Co myślisz, bracie, przecież gdzieś trzeba trzymać truposzczaki, dopóki nie zjawi się rodzina albo zarząd miejski nie przyśle karawanu. Może inwentarz wspominał jakąś poczekalnię, przejściówkę albo chłodnię, te tam eufemizmy, może po prostu zaznaczono istnienie ośmiu lodówek. Przecież trupiarnia to nie było słowo do umieszczania w dokumencie - myślał Remorino. - A po co osiem lodówek? Ach, to... Może wymogi wydziału higieny, a może lokata byłego administratora, który miał okazję nabyć ją na wyprzedaży, w

sumie to nie było złe, bo czasem w okresach szczytu, na przykład tego roku, co wygrał klub San Lorenzo (w którym roku to było? Remorino nie pamiętał, ale właśnie wtedy, kiedy San Lorenzo zajął pierwsze miejsce), z punktu czterech wykorkowało, dosłownie za jednym zamachem, dziękuję za taką przyjemność. Tak to bywa, rzadko, ale bywa, z pięćdziesiątką szóstką to było nieuniknione, szkoda gadać. Tędy i cicho, żeby nie pobudzić całej grandy. A ty, co tu robisz o tej porze, hajda do łóżka, ale już! To dobry chłopak, popatrzcie tylko, jak zjeżdża. W nocy zbiera mu się na łażenie po korytarzach, tylko nie wyobrażajcie sobie, że za kobietami, ale skąd, te sprawy mamy z głowy. Wychodzi, bo wariat, każdy z nas byłby taki sam w tej sytuacji.

Oliveira i Traveler uznali, że Remorino jest fajny facet i doświadczony, od razu widać. Pomogli noszowemu, który, jeżeli nie występował w tym charakterze, był po prostu siódemką, uleczalny, tak że mógł być przydatny w lżejszych przypadkach. Zwieźli nosze windą ciężarową, trochę stłoczeni i czując tuż-tuż tłumok pięćdziesiątki szóstki, nakryty prześcieradłem. Rodzina miała się po niego zgłosić w poniedziałek, byli z Trelew, biedacy. Po dwudziestkę dwójkę jeszcze nie przyjechali, faktycznie szczyt. Bogaci, twierdził Remorino: najgorsi, prawdziwe sępy, wypruci z jakichkolwiek uczuć. A miasto nic na to, że dwudziestka dwójka...? Może zawieruszyły się papiery. Coś z tych rzeczy. W krótkich słowach: dni mijają, już dwa tygodnie, tak że sami możecie się zorientować w użyteczności posiadania większej ilości lodówek. Tak się złożyło, że jest ich już troje, bo przecież jest i dwójka, jedna z założycielek. Posłuchajcie tylko, dwójka nie miała rodziny, natomiast zarząd zakładu pogrzebowego zapewnił, że karawan zjawi się w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin. Remorino obliczył to sobie dla śmiechu, właśnie mijało trzysta sześć godzin, już prawie trzysta siedem. Nazywał ją „założycielką", bo należała do tych staruszek, co tu były od samego początku, jeszcze sprzed czasu tego lekarza, od którego kupił dom Ferraguto. Jakiż przyjemny ten Ferraguto, nie? Pomyśleć, że facet miał cyrk; ale numer nie z tej ziemi.

Siódemka otworzył windę, wyciągnął nosze i pogazował korytarzem w takim tempie, że Remorino, trzymając w ręku klucz yale do otwarcia metalowych drzwiczek, ledwie go przyłapał, podczas gdy Traveler i Oliveira równocześnie sięgali po papierosa, ma się te odruchy... Powinni byli zrobić co innego; przynieść sobie palta, bo o fali upałów nic nie było wiadomo w kostnicy, która w dodatku wyglądała jak bar, z szerokim stołem pod jedną, zaś lodówką aż do sufitu pod drugą ścianą.

- Sięgnij no po piwo - zadysponował Remorino. - Eh, co wy tam wiecie! Tutaj przepisy są często zanadto... Więc lepiej nic nie mówcie dyrowi, tyle że od czasu do czasu wypije się trochę piwka.

Siódemka podszedł do drzwi jednej z lodówek i wyjął butelkę. Podczas gdy Remorino otwierał ją kluczem, który miał przy scyzoryku, Traveler spojrzał na Oliveirę, ale siódemka odezwał się pierwszy:

- Może najpierw jego wpakujemy, nie myślicie, panowie?

- Ty - zaczął Remorino, ale przerwał z otwartym scyzorykiem w ręce. - Masz rację, chłopie. Jazda! Ta tutaj jest wolna.

- Nie - odpowiedział siódemka.

- Mnie będziesz uczył?

- Pan daruje - powiedział siódemka - ale ta nie jest wolna.

Remorino spojrzał na niego, zaś siódemka uśmiechnął się, z czymś w rodzaju ukłonu zbliżył się do drzwiczek, które stały się przedmiotem sporu, i otworzył je. Błysnęło zimne światło, coś jakby zorza polarna czy jakieś inne północne zjawisko, w którym ukazał się wyraźnie zarys dwóch dość dużych stóp.

- Dwudziestka dwójka - powiedział siódemka. - A nie mówiłem panu? Ja ich wszystkich poznaję po nogach. Tu jest dwójka. O co zakład? Niech pan popatrzy, jeżeli mi pan nie wierzy. Przekonał się pan? W porządku, więc kładziemy go do tej, która jest wolna. Panowie mi poddadzą, uwaga, główką, do przodu.

- Prawdziwy as - z uznaniem szepnął do Travelera Remorino. - Pojęcia nie mam, dlaczego Ovejero go tu trzyma. Szklanek nie ma, panowie, więc tym, co nam Bozia dała.

Przed przyjęciem butelki Traveler zaciągnął się dymem aż do kolan. Podawali ją sobie z rąk do rąk, z pierwszym nieprzyzwoitym kawałem wyjechał Remorino.

54

Z okna swojego pokoju na drugim piętrze Oliveira widział patio z fontanną, strumyczek wody, klasy ósemki, trzy drzewa ocieniające klomb geranium, trawnik i wysoki mur zasłaniający kamienicę. Ósemka grał prawie całe popołudnie w klasy, był niepokonany, czwórka i dzie-więtnastka chcieli zabrać mu Niebo, ale wszystko nadaremnie, noga ósemki była precyzyjną bronią, kamyk układał się zawsze w najdogodniejszej pozycji. Wieczorem klasy lekko fosforyzowały i Oliveira lubił patrzeć na nie z okna. W łóżku, ulegając działaniu jednego centymetra kubicznego hip-nosalu, ósemka pewnie zasypiał jak bocian, w myśli stojąc na jednej nodze lub popychając kamyk suchymi, nieomylnymi kopnięciami, w podboju Nieba, które - zaledwie zdobyte - wydawało się przynosić mu rozczarowanie. „Jesteś obrzydliwie romantyczny - myślał o sobie Oliveira parząc mate. - Przydałaby ci się różowa piżama". Na stole leżał liścik od niepocieszonej Gekrepten, a więc masz prawo wychodzić tylko w soboty, to nie jest życie, kochany, nie zgadzam się na to, aby być stale samą, gdybyś zobaczył nasz pokoik. Oliveira odstawił mate na parapet, wyjął z kieszeni pióro i odpisał na list. Po pierwsze, istniał telefon (tu następował numer); po drugie, są bardzo zajęci, ale reorganizacja nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie, a wtedy będą mogli widywać się co najmniej w środy, soboty i niedziele. Po trzecie - kończyła mu się yerba. „Można by pomyśleć, że już jestem zamknięty" - pomyślał podpisując list. Była prawie jedenasta, niedługo będzie musiał zastąpić Travelera, który miał dyżur na trzecim piętrze. Nalał sobie następną mate, raz jeszcze odczytał list i zakleił kopertę. Wolał pisać, telefon w rękach Gekrepten stawał się groźnym narzędziem, nie rozumiała nic z tego, co jej się tłumaczyło.

W pawilonie na lewo zgasło światło w aptece. Talita wyszła na patio, zamknęła drzwi na klucz (widać ją było wyraźnie w świetle ciepłego i wygwieżdżonego nieba) i niepewnie zbliżyła się do fontanny. Oliveira zagwizdał na nią cichutko, ale w dalszym ciągu patrzyła na strużkę wody, a nawet wysunęła doświadczalny palec i przez chwilę potrzymała go pod wodą. Potem przecięła patio, nieprawidłowo przechodząc przez klasy, i znikła pod oknem Oliveiry. Wszystko było trochę tak, jak na obrazach Leonory Carring-ton, noc, Talita, klasy, linie bezwiednie się przecinające, strumyk tryskający z fontanny. Kiedy jakaś postać w różowym wyłoniła się z mroku i powoli zbliżyła do klas, nie odważając się na nie nadepnąć, Oliveira zrozumiał, że wszystko wraca na właściwe miejsce, że niewątpliwie postać w różowym wyszuka sobie płaski kamyk z tych wielu, które ósemka układał na brzegu klombu, i że Maga, bo to była Maga, podkurczy lewą nogę i czubkiem pantofla popchnie kamień do

pierwszej przedziałki klas. Z góry widział włosy Magi, linię ramion, widział jak trochę unosiła ręce, aby zachować równowagę, podczas gdy małymi podskokami wchodziła do pierwszej przedziałki, popychała kamień do następnej (Oliveira zadrżał, bo kamień o mało co nie wyleciał z klas, nierówność bruku zatrzymała go dosłownie na granicy drugiego kwadratu), przystawała, nieruchomiała na chwilę, w mroku podobna do różowego flaminga, po czym powolutku przybliżała nogę do kamienia, oceniając odległość, która dzieliła ją od trzeciej przedziałki.

Talita podniosła głowę i zobaczyła Oliveirę w oknie. Nie od razu go poznała, chwiejąc się przez ten czas na jednej nodze, jakby się rękami trzymała powietrza. Patrząc na nią z ironicznym rozczarowaniem, Oliveira zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki, zobaczył, że różowe nie było różowe, że Talita miała na sobie popielatą bluzkę i chyba białą spódniczkę. Wszystko (jeżeli można to tak nazwać) jakoś się tłumaczyło: Talita wyszła, ale znów zwabiona przez klasy wróciła, a ta sekundowa przerwa pomiędzy wejściem a wyjściem wystarczyła, aby go omamić, tak jak tamtej nocy na dziobie statku, tak jak w czasie wielu innych nocy. Niechętnie odpowiedział na gest Tality, która teraz spuściła głowę w skupieniu, obliczała, i krążek wyrzucony z siłą wylatywał z drugiej przedziałki, wpadał do trzeciej pionowo, tocząc się w dalszym ciągu bokiem, wypadając poza klasy, na odległość jakichś dwóch płyt chodnika.

- Musisz potrenować - powiedział Oliveira - jeżeli chcesz wygrać z ósemką.

- Co tu robisz?

- Upał. Dyżur o wpół do dwunastej. Korespondencja.

- Co za noc! - powiedziała Talita.

- Czarowna - zgodził się Oliveira i Talita krótko się zaśmiała, po czym znikła za progiem. Usłyszał, że wchodzi na górę, że mija jego drzwi (a może pojechała windą?), że dochodzi do trzeciego piętra. „Uznałem, że podobieństwo jest duże - pomyślał. - To, i fakt, że jestem kretynem - tłumaczą wszystko od A do Z". Mimo to jeszcze przez chwilę patrzył na patio, na opuszczone klasy, jakby chciał przekonać samego siebie. O jedenastej dziesięć przyszedł po niego Traveler i zdał mu raport. Wszystko jak złoto, piątka trochę niespokojny, gdyby zaczął być agresywny, zawiadomić Ovejera; reszta śpi.

Trzecie piętro było faktycznie jak złoto, nawet piątka uspokoił się, przyjął papierosa, wypalił go z uwagą, wytłumaczył Oliveirze, że sprzysiężenie żydowskich wydawców opóźnia ukazanie się jego wielkiego dzieła o kometach i obiecał mu egzemplarz z dedykacją; Oliveira zaś zostawił mu uchylone drzwi, bo znał jego manię, i zaczął chodzić tam i na powrót po korytarzu, od czasu do czasu zaglądając przez wizjerki zainstalowane w każdych drzwiach

dzięki potrójnej chytrości Ovejera, administratora oraz firmy „Liber and Finkel": każdy pokój niby maleńki van Eyck, z wyjątkiem czternastki, która jak zawsze zakleiła „oko" znaczkiem pocztowym.

O dwunastej nadszedł Remorino napompowany paroma kieliszkami jeszcze niezupełnie zasymilowanego dżinu: pogadali o koniach i o futbolu, po czym zszedł na parter trochę się przespać, piątka całkiem się uspokoił, w ciszy i mroku korytarza upał wzrastał. Myśl, że ktoś będzie chciał go zabić, do tej pory nie przyszła Oliveirze do głowy, ale wystarczyła mu migawkowa wizja, właściwie tylko szkic, dreszcz raczej niż konkretny strach, aby sobie uświadomić, że to nie jest myśl nowa, że nie pochodzi z atmosfery korytarza z jego pozamykanymi drzwiami, z cieniem pudła windy w głębi. Mogło mu się to zdarzyć w samo południe w knajpie Roque'a albo o piątej w metrze. Albo o wiele wcześniej, w Europie, którejkolwiek nocy, kiedy wałęsali się po pustych placach, opuszczonych działkach, gdzie przy odrobinie dobrej woli każdą porzuconą puszką można było popodrzynać sobie gardła. Zatrzymawszy się koło windy, spojrzał w głąb czarnego otworu i pomyślał o Polach Flegrejskich, znowu o zejściu do. W cyrku było odwrotnie, otwór był u góry, połączony z wolną przestrzenią, obraz spełnienia. Teraz stał nad brzegiem studni, nad eleuzyjską przepaścią. Klinika spowita w gorące opary sprzyjała myśli o tym negatywnym przejściu, o siarczanych wyziewach, o zejściu. Odwróciwszy się zobaczył prostą linię korytarza, słabe światło fiołkowych lampek umieszczonych na framugach białych drzwi. Zrobił głupstwo: podniósłszy lewą nogę zaczął posuwać się maleńkimi skokami po korytarzu aż do pierwszych drzwi. Kiedy z powrotem postawił tę nogę na zielonym linoleum, cały był zlany potem. Za każdym podskokiem powtarzał przez ściśnięte zęby imię Manu. „Pomyśleć, że spodziewałem się przejścia" - powiedział sam do siebie opierając się o ścianę. Niemożliwe jest zobiektywizować pierwszy ułamek myśli i nie uznać go za groteskowy. Na przykład przejście. Pomyśleć, że spodziewał się przejścia. Ześliznął się w dół i usiadł na ziemi nie spuszczając oczu z linoleum. Przejścia dokąd?! I dlaczego klinika miałaby mu służyć za przejście? Jakichż świątyń potrzebował, jakich orędowników, jakich hormonów psychicznych czy może moralnych, które by go rzuciły poza czy może w głąb siebie samego?

Kiedy nadeszła Talita niosąc szklankę lemoniady (te jej pomysły, ten jej styl młodziutkiej nauczycielki z robotniczej dzielnicy i „Kropli Mleka"), natychmiast powiedział jej o wszystkim. Talita niczemu się nie zdziwiła; usiadłszy naprzeciw niego patrzyła, jak duszkiem pił lemoniadę.

- Jakby nas tu Kuka zobaczyła siedzących na ziemi, szlag by ją trafił. Co za sposób pełnienia dyżuru! Śpią?

- Tak. Chyba. Czternastka jak zawsze zatkała oczko i nie wiem, co wyprawia, ale nie znoszę włazić do nich bez potrzeby.

- Chodząca delikatność - uznała Talita. - To może ja wejdę... Między nami kobietami...

Wróciła prawie natychmiast i tym razem usiadła obok Oliveiry na podłodze i oparła się o ścianę:

- Śpi snem sprawiedliwej. Wiesz, biedny Manu miał jakieś okropne koszmary. Zawsze zresztą odbywa się to tak samo: on potem zasypia, ale ja jestem tak wytrącona z równowagi, że w końcu wstaję. Przyszło mi do głowy, że pewno wam gorąco, tobie albo Remorinowi, więc zrobiłam lemoniady. To ci lato; w dodatku te mury zupełnie odcinają dopływ powietrza z zewnątrz. A więc jestem podobna do tamtej kobiety...

- Trochę tak - powiedział Oliveira - ale to nie ma żadnego znaczenia. Tylko ciekaw jestem, dlaczego uznałem, że jesteś różowo ubrana.

- Wpływ otoczenia. Upodobniłeś ją do innych.

- Pewnie, właściwie to proste, jeżeli wszystko wziąć pod uwagę. Ale ty? Skąd ci przyszło do głowy grać w klasy? Też się upodobniłaś?

- Rzeczywiście - przytaknęła Talita - skąd mi to przyszło do głowy? Właściwie nigdy nie lubiłam grać w klasy. Tylko nie rozwijaj tych swoich teorii o opętaniu, nie jestem niczyim upiorem.

- Nie musisz tak krzyczeć.

- Niczyim - powtórzyła Talita zniżając głos. - Jak weszłam, zobaczyłam te klasy, był kamyk... Więc zagrałam i poszłam sobie.

- Przegrałaś w trzecim kwadracie. Madze to samo by się zdarzyło, nie ma najmniejszej wytrwałości, najmniejszej oceny odległości, czas rozłazi jej się w rękach, o wszystko się potyka. Dzięki czemu jest absolutnie bezbłędna w wykrywaniu fałszywej doskonałości u innych. Ale zdaje mi się, że mówiłem o windzie.

- Coś tam powiedziałeś, a potem wypiłeś lemoniadę. Nie, czekaj, najpierw wypiłeś lemoniadę.

- Pewno wymyślałem sobie od idiotów; kiedy przyszłaś, byłem w pełni szamańskiego transu, zdecydowany rzucić się w tę dziurę, aby raz na zawsze skończyć z przypuszczeniami. Ależ kostropate słowo.

- Dziura kończy się w piwnicy - powiedziała Talita. - Są tam karaluchy, jeżeli cię to interesuje, i kolorowe ścierki do podłogi. Wszystko jest wilgotne, czarne, no, a tuż obok umarli. Manu mi wszystko opowiedział.

- Manu śpi?

- Tak. Miał złe sny, coś krzyczał, że zgubił krawat. Już ci mówiłam.

- Noc wielkich zwierzeń - Oliveira przeciągle popatrzył na nią.

- Bardzo wielkich - potwierdziła Talita. - Maga dotąd była tylko imieniem, teraz ma już i twarz. Jeszcze się tylko waha co do koloru sukien, o ile się nie mylę.

- Suknie nie mają znaczenia, skąd mogę wiedzieć w co będzie ubrana, jak znowu ją zobaczę. Może będzie naga, a może będzie miała na rękach małego i będzie mu śpiewała *Les Amants du Havre...* Ale ty nie znasz tej piosenki.

- Mylisz się - odpowiedziała. - Często ją grają w Radio Belgrano. La-la-la, la-la-la...

Oliveira wykonał miękki ruch, jakby chciał dać jej w twarz, co zmieniło się w pieszczotę. Talita cofnęła głowę i uderzyła się o ścianę korytarza. Skrzywiła się masując kark, ale nie przestała nucić. Dał się słyszeć suchy trzask, a potem szum, który w mroku korytarza zabrzmiał zupełnie szafirowo. Usłyszeli, że winda jedzie do góry, spojrzeli na siebie i zerwali się na równe nogi. Któż mógł o tej porze... Trzask na pierwszym piętrze i szafirowy szum. Talita cofnęła się, stanęła za Oliveira. Trzask. Za okratowaną szybą ukazała się różowa piżama. Oliveira podbiegł do dźwigu i otworzył drzwi. Dmuchnęło niemal chłodne powietrze. Stary spojrzał na niego, jakby go nie znał, i w dalszym ciągu głaskał gołębia, po którym można było poznać, że kiedyś był biały; nieustające głaskanie ręki starego zmieniło mu barwę na ciemnoszarą. Nieruchomy, z przymkniętymi oczami spoczywał we wnętrzu dłoni, która go podtrzymywała na wysokości piersi, podczas gdy palce niezmordowanie przesuwały się od szyi do ogona, od szyi do ogona.

- Niech pan idzie spać, don López - powiedział Oliveira ciężko oddychając.

- Gorąco w łóżku - odparł don López. - Niech pan tylko popatrzy, jaki on zadowolony, kiedy go wyprowadzić na spacer.

- Ale już późno. Niech pan idzie do siebie.

- Przyniosę panu świeżutkiej lemoniady - obiecała Talita-Nightingale.

Don Lopez pogłaskał ptaka i wysiadł z windy. Usłyszeli, że schodzi po schodach.

- Każdy tu robi, co mu się żywnie podoba - mruknął Oliveira zamykając windę. - Któregoś dnia wszyscy popod-rzynają sobie gardła. To wisi w powietrzu. Ten gołąb wyglądał zupełnie jak rewolwer.

- Trzeba by zawiadomić Remorina. Stary przyjechał z podziemia, to dziwne.

- Popilnuj tutaj przez chwilę, a ja zjadę sprawdzić, czy nikt więcej tam nie rozrabia.

- Zjadę z tobą.

- Dobrze. Ci tutaj śpią spokojnie.

W dźwigu światło było niebieskawe, a zjeżdżało się z szumem science fiction. W podziemiach nie było żywej duszy, ale jedne z drzwi chłodni były uchylone, a przez szparę buchało światło. Talita zatrzymała się w drzwiach z ręką przy ustach, podczas gdy Oliveira poszedł je zamknąć. To był pięćdziesiątka szóstka, przypominał sobie znakomicie, rodzina miała zjawić się lada chwila. Z miasta Trelew. A tu tymczasem pięćdziesiątkę szóstkę odwiedził przyjaciel; ciekawe, jak wyglądała konwersacja ze starym od gołębia, jeden z tych pseudodialogów, w których mówiącemu jest zupełnie obojętne, czy partner odpowiada, czy też nie, byleby tylko był naprzeciw niego, byle coś było naprzeciw niego, cokolwiek, jakaś twarz, jakieś nogi wystające z lodu. Przecież tak samo on mówił do Tality, opowiadając jej, co widział, opowiadając jej, że się bał, cały czas mówiąc o dziurach i przejściach, do Tality czy do kogokolwiek innego, do jakiejkolwiek pary nóg wystających z lodu, do jakiegokolwiek zjawiska naprzeciwko niego, zdolnego do słuchania, do przytakiwania. Ale gdy zatrzaskiwał drzwiczki lodowni i nie wiadomo dlaczego opierał się o brzeg stołu, wspomnienia schwyciły go jak wymioty, pomyślał, że zaledwie dwa dni temu wydawało mu się niemożliwe opowiedzieć cokolwiek Travelerowi, małpa nie może nic mówić człowiekowi, i nagle, nawet nie wiedząc jak, usłyszał sam siebie opowiadającego Talicie, jakby była Magą, wiedząc, że nią nie jest, ale mówiąc do niej o „klasach", o lęku w korytarzu, o kuszącej dziurze. I wszystko to było niby jakiś koniec (a Talita była tam, o cztery metry od niego, za jego plecami, czekając), jakiś apel do cudzej litości, powrót do rodziny człowieczej, gąbka z ohydnym plaśnięciem padająca na sam środek ringu, jakby wychodził z siebie, jakby opuszczał siebie, aby - marnotrawny (skurwy) syn - rzucić się w ramiona łatwego pojednania, skąd jeszcze łatwiej było wrócić do świata, do możliwości życia, do swoich czasów, do rozsądku, który kieruje uczynkami porządnych Argentyńczyków i ludzkich stworzeń w ogólności. Był w swoim małym, wygodnym, chłodzonym Hadesie, bez żadnej Eurydyki, której by musiał szukać, nie mówiąc już o tym, że wygodnie zjechał tam windą i teraz, podczas gdy otwierał lodownię, wydobywając z niej butelkę piwa, czuł, że każdy chwyt jest dozwolony, aby skończyć z tą komedią.

- Chodź napić się łyczek - zaprosił ją. - Lepsze niż twoja lemoniada.

Talita zrobiła krok naprzód i zatrzymała się.

- Tylko bez nekrofilii - powiedziała. - Wyjdźmy stąd.

- Przyznasz, że to jedyne chłodne miejsce. Dobrze byłoby przenieść tu sobie leżankę.

- Aż zbladłeś z zimna - Talita zbliżyła się do niego. - Chodź, nie mam ochoty zostawiać cię tutaj.

- Nie masz ochoty? Ci nie wyjdą z lodu, żeby mnie pożreć, gorsi są tamci na górze.

- Chodź, Horacio - powtórzyła Talita. - Nie chcę żebyś tu został.

- Ty... - zaczął Oliveira patrząc na nią ze złością, ale przerwał, aby jednym ruchem ręki otworzyć piwo o kant krzesła. Z zupełną jasnością widział bulwar w deszczu, ale zamiast żeby on kogoś prowadził pod rękę, mówiąc do niego z litością, to jego prowadzono, jemu miłosiernie podawano ramię, do niego mówiono z litością, żałowano go wręcz do upojenia. Przeszłość odwracała się, zmieniała znak, ta kobieta, ta grająca w klasy kobieta litowała się nad nim. To było tak jasne, że aż parzyło.

- Dalszy ciąg rozmowy na drugim piętrze - wyjaśniła Talita. - Weź butelkę, dasz mi trochę.

- *Oui, Madame, bien sûr, Madame* - odpowiedział Oliveira.

- Nareszcie coś powiedziałeś po francusku. Już myśleliśmy, że zrobiłeś sobie jakiś ślub. Nigdy...

- *Assez* - powiedział Oliveira. - *Tu m'as eu, petite. Céline avait raison, on se croit enculé d'un centimètre, et on l'est déjà de plusieurs mètres.*[79]

Talita spojrzała na niego nierozumiejącym spojrzeniem, ale ręka jej podniosła się, jakkolwiek ona sama tego nie poczuła, i przez chwilę oparła się na piersiach Oliveiry. Kiedy ją cofnęła, spojrzał na nią jak gdyby z dołu, oczami, które patrzyły skądinąd.

- Bądź tu mądry - zwrócił się Oliveira do kogoś, kto nie był Talita - bądź tu mądry, czy to ty opluwasz mnie dzisiejszej nocy taką porcją współczucia. Bądź tu mądry, czy w gruncie rzeczy nie powinno się płakać z miłości, napełnić łzami większej ilości miednic. Chociaż niech inni za nas płaczą, tak jak w tej chwili.

Talita odwróciła się i poszła ku drzwiom. Kiedy zatrzymała się, aby poczekać na niego, niezdecydowana, lecz równocześnie czując, że trzeba na niego poczekać (opuszczenie go teraz równałoby się zgodzie na to, aby wpadł w studnię pełną karaluchów, pełną kolorowych ścierek), zobaczyła, że uśmiecha się, ale że ten uśmiech też nie jest dla niej. Nigdy nie widziała u niego takiego uśmiechu, żałosnego, ale z twarzą całą odsłoniętą, szczerą, bez zwykłej ironii, otwartego na coś nadchodzącego z samej głębi życia, z jakiejś innej studni (pełnej karaluchów, pełnej kolorowych ścierek, z twarzą pływającą w brudnej wodzie?); zbliżał się do niej z uśmiechem, który zgadzał się na tę jakąś nienazywalną rzecz, która z kolei sprawiała, że się uśmiechał. Jego pocałunek także nie był dla niej, nie odbywał się tutaj, w groteskowej bliskości lodowni pełnej trupów, tak blisko śpiącego Manu. Obejmowali się jakby w innym wymiarze, w innym wymiarze własnych osobowości, i nie o nich chodziło, było tak, jakby płacili coś lub dostawali coś za innych, jakby byli goleniami jakiegoś

[79] *Assez. Tu m'as m petite..* (franc.) - Dosyć. Udało ci się, maleńka Céline miał rację. Człowiek myśli, ze został wydymany na

spotkania, które dla właścicieli tych golemów nie było możliwe. I Flegrejskie Pola, i to, co Horacio wyszeptał na temat schodzenia, bezsens tak kompletny, że Manu i wszystko to, czym był Manu i co było na poziomie Manu, nie mogło wziąć udziału w tej ceremonii, bo to co tu się zaczęło, było jak głaskanie gołębia, jak myśl, żeby wstać i zrobić dyżurującemu lemoniady, jak podkurczenie nogi i pchnięcie krążka z pierwszej przedziałki do drugiej, z drugiej do trzeciej. W jakiś sposób weszli w coś innego, w to coś, gdzie można było ubierać się na szaro i różowo, gdzie można było, utopiwszy się w rzece (tego nie myślała już ona), zjawić się wśród nocy Buenos Aires, aby w klasach powtórzyć obraz tego, co osiągnęli, ostatnią przedziałkę, centrum mándala, zawrotny Ygdrassil, przez który wychodziło się na otwartą plażę, na bezkresny obszar, na świat, który oczy zwrócone do środka poznawały i akceptowały pod powiekami.

(129)

centymetr, a tymczasem już go wydymali na wiele metrów.

55

Ale Traveler nie spał, mimo wysiłków koszmary powróciły, tak że w końcu usiadł na łóżku i zapalił światło. Talita, ta lunatyczka, ta nocna ćma, znów gdzieś znikła, wypił więc kieliszek canii i włożył kurtkę od piżamy. Trzcinowy fotelik był chłodniejszy niż łóżko, a noc nadawała się do tego, by usiąść i poczytać. Co jakiś czas z korytarza słychać było kroki, tak że dwa razy zbliżył się do drzwi, wychodzących na administracyjne skrzydło. Ale nie było nikogo, nawet skrzydła, widocznie Talita poszła trochę popracować; z niewiarygodnym entuzjazmem przyjmowała powrót na łono nauki, aptekarskie wagi i środki przeciwbólowe. Między jedną a drugą canią poczytał trochę. To dziwne, że Talita jeszcze nie przyszła z apteki. Kiedy wróciła, z wyrazem twarzy schodzącego na ziemię ducha, poziom canii w butelce był tak niski, że Travelerowi było właściwie obojętne, czy ją zobaczy, czy nie, chwilę więc pogadali o różnych rzeczach, podczas gdy Talita rozwijała nocną koszulę i najrozmaitsze teorie, prawie wszystkie dobrze przyjmowane przez Travelera, który w tym stanie skłaniał się do wyrozumiałości. Po czym zasnęła leżąc na wznak, niespokojnym snem, pełnym gestów i jęków. I zawsze to samo: kiedy ona była niespokojna, Travelerowi nie udawało się usnąć, ale zaledwie zmogło go zmęczenie, Talita budziła się już po minucie, zupełnie przytomna, bo on gadał i kręcił się przez sen; tak im mijała noc, jak na huśtawce. Jak na złość górna lampa pozostała zapalona, a było bardzo trudno dosięgnąć kontaktu, z którego to powodu oboje rozbudzili się, a wtedy Talita zgasiła światło i przysunęła się do Travelera, który pocił się i przewracał.

- Horacio widział dziś w nocy Magę - powiedziała. - Widział ją na patio, dwie godziny temu, podczas twojego dyżuru.

- Hm - powiedział Traveler przewracając się na plecy i szukając papierosów systemem Braille'a. Jeszcze coś dodał, jakieś mętne zdanie, wynikające pewnie z jego ostatniej lektury.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę - powiedziała Talita, coraz bliżej się do niego przysuwając - że ja byłam Magą...

- Raczej tak.

- Musiało się na tym skończyć. Ale co mnie zdumiewa to fakt, że tak go to zaskoczyło.

- Och, wiesz, Horacio, narozrabia ile wlezie, a potem tak na to patrzy jak szczeniak, który zrobił na podłogę kupkę i wpatruję się w nią z niedowierzaniem.

- Mam wrażenie, że to się zaczęło od tego dnia, gdy poszliśmy po niego do portu - powiedziała Talita. - Trudno to wytłumaczyć, przecież nawet na mnie nie spojrzał, a potem obaj wygoniliście mnie jak psa z kotem w objęciach.

Traveler mruknął coś niewyraźnie.

- Pomylił mnie z Magą - raz jeszcze powtórzyła Talita.

Słyszał, co mówiła, jak wszystkie kobiety robiąc aluzje do przeznaczenia, do nieuniknionego powiązania pewnych spraw; byłby wolał, żeby umilkła, lecz wyrzucała to z siebie gorączkowo, przytulając się do niego, mówiła uporczywie, mówiła do siebie i - oczywiście - dla niego. W końcu Traveler dał się wciągnąć.

- Najpierw przyszedł stary z gołąbkiem, a wtedy zjechaliśmy do podziemia. Horacio cały czas majaczył o zejściu, o jakichś pustych miejscach, które go przyciągają. Był w rozpaczy, Manu, to było przerażające, bo właściwie wydawał się zupełnie spokojny, a tymczasem... Zjechaliśmy windą, i on poszedł zamknąć lodownię... Okropne było to wszystko.

- Więc zeszłaś z nim - powiedział Traveler. - No--no-no...

- To nie to - odparła. - To nie było zwyczajne schodzenie. Rozmawialiśmy, ale ja czułam, że on jest gdzie indziej, jakby mówił do kogoś innego, na przykład do topielicy. Dopiero teraz mi to przychodzi do głowy, chociaż wtedy jeszcze mi nie powiedział, że Maga utonęła.

- Ani jej się śniło tonąć - powiedział Traveler. - Jestem tego absolutnie pewny, chociaż nic a nic o tym nie wiem. Wystarczy znać Horacia.

- Ale on jest przekonany, że ona nie żyje, Manu, a równocześnie czuje ją obok siebie, dzisiaj wieczorem ja byłam nią. Powiedział mi, że widział ją już na statku i pod mostem na Avenida San Martin... Ale nie mówi o tym tak, jak o halucynacji, ani nie żąda, żeby mu wierzyć. Po prostu mówi, i wtedy to jest prawdziwe, to istnieje. Kiedy zamknął lodownię, a ja się zlękłam i coś powiedziałam, spojrzał na mnie, ale czułam, że to na nią spojrzał. Ja nie jestem niczyim upiorem, Manu, nie chcę być niczyim *zombie*...

Traveler przesunął rękę po jej włosach, ale odepchnęła go z irytacją. Usiadła na łóżku i poczuł, że drży. Na taki upał. Powiedziała mu, że Horacio pocałował ją, i usiłowała wytłumaczyć mu ten pocałunek, a ponieważ nie znajdowała słów, dotykała go w ciemnościach, ręce jej jak szmaty kładły się na jego twarzy, na ramionach, ześlizgiwały po piersiach, opierały o kolana i z tego wszystkiego rodziło się jakby wytłumaczenie, którego Traveler nie był w stanie odrzucić, zaraza przychodząca skądinąd, skądś głęboko czy też skądś wysoko, z miejsca, które nie było ani tą nocą, ani tym pokojem, poprzez Talitę ta zaraza, ten bełkot niby

nieprzetłumaczalne zwiastowanie opanowywał i jego, podejrzewał, że znalazł się w obliczu czegoś, co mogło być zwiastowaniem, choć głos, który je przynosił, był pęknięty i zwiastował w niezrozumiałym języku, niemniej tylko to właśnie potrzebne było i pożądanie, to będące w zasięgu poznania i przyjęcia, rozbijające się gąbczastą ścianę, o ścianę z dymu i z korka, nieuchwytne i oddające się, nagie, gdy się je trzymało w objęciach, ale jakby z wody, jakby uchodzące ze łzami.

„Twarda umysłowa skorupa" - zdołał pomyśleć Traveler. Coś słyszał, że Horacio, że strach, że winda, że gołąb; zrozumienie powoli wtłaczało się w niego przez uszy; więc ten nieszczęśnik wyobrażał sobie, że on go zabije. Można się uśmiać.

- Rzeczywiście powiedział ci to? Nie do uwierzenia, przy jego dumie.

- Bo to jest inaczej - Talita zabrała mu papierosa i zaciągnęła się z chciwością godną niemych filmów. - Mam wrażenie, że jego strach jest czymś w rodzaju ostatniego schronienia, żelazną sztabą, której się chwyta przed skokiem w próżnię. Żebyś wiedział, jaki był szczęśliwy, że bał się dziś w nocy. Ja wiem, że był szczęśliwy.

- Tego - powiedział Traveler oddychając jak prawdziwy joga - nie zrozumiałaby Kuka, możesz być pewna. A i ja muszę chyba być dzisiaj wyjątkowo inteligentny; bo szczęśliwego strachu nie przetknąłbym inaczej, staruszko.

Talita posunęła się trochę w łóżku i oparła o Travelera. Wiedziała, że znowu jest po jego stronie, że nie utonęła, że on unosi ją na powierzchni wody i że w gruncie rzeczy to szkoda, przecudowna szkoda. Oboje poczuli to w tej samej sekundzie i przytulili się do siebie, jakby chcieli wtopić się jedno w drugie, w jakiś wspólny teren, gdzie słowa, pieszczoty, usta owijały ich niby obwód koła, te kojące metafory, ten stary smutek, zadowolony z tego, że wrócił na miejsce, że nadal trwa, że utrzymuje się na fali przeciw prądom i wiatrom, przeciw wołaniu i upadkowi.

56

Skąd też mu się wziął zwyczaj noszenia sznurków po kieszeniach, zbierania kolorowych nitek i wkładania ich pomiędzy stronice książek, a później za pomocą kleju fabrykowania z tego różnych form?

Owijając czarną nitką klamkę, Oliveira zastanawiał się, czy słabość nici nie sprawi mu czegoś w rodzaju perwersyjnego zadowolenia, i doszedł do wniosku, że *peut-être, maybe, quizás*. Natomiast bez wątpienia sznurki i nitki bawiły go i nic nie wydawało mu się równie pouczające, jak na przykład zmontowanie olbrzymiego, przezroczystego dwunastościanu - rzecz wymagająca wiele czasu i zachodu - aby potem przybliżyć do niego zapałkę i obserwować, jak maleńki płomyczek liże go ze wszystkich stron, podczas gdy Gekrepten za-ła-mu-je-rę-ce gorsząc się, że to doprawdy wstyd niszczyć coś tak pięknego. Trudno jej wytłumaczyć, że im kruchsza i bardziej nietrwała jest konstrukcja, tym więcej swobody ma się w stwarzaniu jej i niszczeniu. Nitki wydawały się najodpowiedniejszym materiałem dla jego kompozycji i tylko czasem, gdy znalazł na ulicy kawałek drutu lub obręcz od beczki, ośmielał się tego użyć. Lubił, by wszystko, co robił, pełne było przestrzeni, by powietrze mogło wchodzić i wychodzić, najważniejsze, żeby wychodziło; podobne rzeczy zdarzały mu się z książkami, kobietami i obowiązkami, ale nie żądał ani od Gekrepten, ani od księdza prymasa, żeby rozumieli te manifestacje.

Motanie czarnego sznurka wokół klamki zaczęło się w jakieś dwie godziny później, a tymczasem Oliveira wykonał sporo czynności zarówno w swoim pokoju, jak i poza nim. Miski były pomysłem klasycznym, tak że nie czuł się wcale dumny z użycia go, ale ostatecznie po ciemku miska z wodą przedstawia całą serię dość subtelnych wartości obronnych: zaskoczenie, może strach, w każdym razie dzika wściekłość, gdy człowiek sobie uświadomi, że wpakował w wodę włoski lub szwajcarski bucik wraz ze skarpetką i że z tego wszystkiego kapie woda, podczas gdy oszalała stopa miota się jak tonący szczur albo jak ci nieszczęśnicy, których zazdrośni sułtani topili w Bosforze, zaszytych w workach (naturalnie sznurkiem: wszystko w końcu spotykało się; to było dość śmieszne, że miska z wodą i sznurki spotykały się w jego rozumowaniu na końcu, a nie na początku, ale w tym momencie Horacio pozwalał sobie sądzić, że, po pierwsze, porządek rozumowania wcale nie musi stosować się do czasu fizycznego, do najpierw i do potem, a po drugie, że może rozumowania dokonało się bezwiednie, ażeby w ten sposób przeprowadzić jego świadomość od sznurków do wodnistych miednic). Słowem analiza nasuwała poważne podejrzenia determinizmu; najlepiej było

barykadować się w dalszym ciągu, nie zwracając zbyt dużej uwagi na rozumowania ani upodobania. Cóż właściwie było wcześniejsze: sznurek czy też miednica? W realizacji - miednica, ale jako pomysł - sznurki. Nie warto zastanawiać się nad tym, gdy idzie o życie.

Najważniejsze było zdobywać miednice, toteż pierwsze pół godziny poświęcone zostało ostrożnemu rewidowaniu drugiego piętra i parteru, skąd wrócił z pięcioma miskami średniej wielkości, trzema nocnikami i pustym słojem po konfiturach, całość zaklasyfikowana do wspólnej kategorii miednic. Osiemnastka, który się obudził, uparł się, że mu pomoże, i Oliveira wreszcie się zgodził, zdecydowany pozbyć się go, jak tylko operacje obronne staną na odpowiednim poziomie. Natomiast co do sznurków, osiemnastka okazał się nader użyteczny, albowiem zaledwie został zwięźle poinformowany o koniecznościach strategicznych, zmrużył swe zielone złośliwie-przepiękne oczy i powiedział, że szóstka ma całe szuflady pełne kolorowych nitek. Kłopot polegał na tym, że szóstka mieszkała na parterze, w skrzydle Remorina, a jeżeli Remorino się obudzi, będzie draka nie z tej ziemi. W dodatku, zdaniem osiemnastki, szóstka była kompletną wariatką, co nie ułatwiało wtargnięcia do jej pokoju. Mrużąc swe zielone złośliwie-przepiękne oczy zaproponował Oliveirze, że stanie na czatach w korytarzu, podczas gdy on, zdjąwszy buty, pójdzie poszukać nitek, ale Oliveira uznał to za przesadę i zdecydował, że sam podejmie całkowite ryzyko wtargnięcia po nocy do pokoju szóstki. Było rzeczą niepoważną mówić o odpowiedzialności, równocześnie wdzierając się do panieńskiej sypialni, której właścicielka chrapała, leżąc na wznak narażona na najgorsze przygody; z kieszeniami i rękami pełnymi kłębków sznurka i kolorowych nici Oliveira przez chwilę zatrzymał się patrząc na nią, ale potem wzruszył ramionami, jakby chciał zrzucić z nich odpowiedzialność - tę małpę, ciążącą mu na barkach. Osiemnastka, który czekał na niego w pokoju pogrążony w obserwacji misek zwalonych na łóżko, uznał, że Oliveira nie przyniósł dostatecznej ilości sznurków. Mrużąc swe zielone złośliwie-przepiękne oczy stwierdził, że do skutecznego przysposobienia obrony nieodzowna jest znaczna ilość kulkowców i chociaż jeden Heftpistol. Pomysł z kulkowcami spodobał się Oliveirze, jakkolwiek nie miał pojęcia, do czego służą takowe, natomiast z miejsca odrzucił propozycję Heftpistola. Osiemnastka otworzył swe zielone złośliwie-przepiękne oczy i wyjaśnił, że Heftpistol wcale nie jest tym, co pan doktor ma na myśli (mówił „doktor" takim tonem, aby natychmiast można było zrozumieć, że to kpiny), ale wobec jego sprzeciwu postara się tylko o ku-Ikowce. Oliveira pozwolił mu odejść, licząc, że nie wróci, miał bowiem ochotę być sam: o drugiej zmiana Remorina, trzeba przedtem pewne rzeczy przemyśleć. Jeżeli Remorino nie znajdzie go na korytarzu, przyjdzie go szukać w pokoju, a tego należało uniknąć, chyba żeby się zdecydował na nim dokonać próby obronności. Odrzucił tę myśl, gdyż obrona była

pomyślana w przewidywaniu określonego ataku, Remorino zaś wszedłby do niego w zupełnie innych intencjach. Coraz bardziej się bał (a kiedy ogarniał go strach spoglądał na zegarek i strach powiększał się wraz z mijającym czasem); zapalił więc papierosa, rozważając obronne możliwości swojego pokoju, a na dziesięć minut przed drugą poszedł osobiście obudzić Remorina. Złożył mu raport-cac-ko, uwzględniający najmniejsze wahania temperatury, pory dawania środków uspokajających oraz eupeptyczno-syndromatyczne objawy u pacjentów z pierwszego piętra, potrzebujących tak wielu usług, aby Remorino nie miał ni chwili czasu na pacjentów z drugiego, którzy według tegoż raportu spali spokojnie, potrzebując tylko jednej rzeczy - aby im nic tego spoczynku nie zakłócało. Remorino zapytał (bez większego zainteresowania), czy to z wysokiego polecenia doktora Ovejero jedni wymagali aż tak dużo troskliwości, drudzy zaś tak mało, na co Oliveira odpowiedział obłudnie przysłówkiem jednosylabowym i potakującym. Po czym rozeszli się w przyjaźni i Remorino wszedł na pierwsze piętro ziewając, zaś Oliveira na drugie, drżąc. Niemniej w żadnym wypadku nie skorzysta z Heftpistola, wystarczy, że zgodził się na kulkowce.

Miał jeszcze chwilę spokoju, bo osiemnastka nie wracał, więc napełnił wodą miski i nocniki i ustawił je w pierwszej linii obrony, zaraz za pierwszą zaporą z nici (jeszcze teoretyczną, ale już znakomicie obmyśloną), po czym rozważył wszystkie możliwości aż do ewentualnego upadku pierwszej linii włącznie - a to, aby przekonać się o skuteczności drugiej.

Podczas ustawiania misek napełnił umywalnię zimną wodą, zanurzył w niej twarz, ręce, zmoczył szyję i włosy. Palił bez przerwy, ale zaledwie dochodził do połowy papierosa, wyrzucał go przez okno i zapalał nowego. Niedopałki padały na klasy, a Oliveira tak kalkulował, aby kolejne błyszczące okno płonęło w coraz innej przedziałce: bawiło go to. Przychodziły mu do głowy jakieś myśli obce, *dona nobis pacem,* słowa jakiegoś tanga i tym podobne rzeczy, a także nagle opadały jakieś strzępy umysłowej materii, coś pomiędzy myślą a uczuciem, na przykład przeczucie, że barykadowanie się byłoby ostateczną niezręcznością, że jedyną rzeczą bezsensowną, a przez to możliwą, a może nawet skuteczną jest atakować zamiast się bronić, oblegać zamiast czekać tu, drżąc, paląc i myśląc, czy aby osiemnastka przyniesie kulkowce; ale to trwało krótko, prawie tak krótko jak papieros, i ręce mu drżały, a on wiedział, że pozostaje mu już tylko to, to drżenie, i nagle znów jakieś wspomnienie, które było niby nadzieja, czyjeś słowa, że sen i niespanie jeszcze nie stopiły się w jedno, a potem następował wybuch śmiechu, którego słuchał tak, jakby to nie on sam się śmiał, i grymas, który niewątpliwie świadczył, że to połączenie snu i czuwania było sprawą zbyt odległą i że nic z dziedziny snu nie posłuży mu na jawie i odwrotnie. Zaatakowanie Travelera powinno

było być jego najlepszą bronią, ale oznaczało wtargnięcie w coś, co odczuwał coraz bardziej jako czarną masę, jako strefę, w której ludzie spali, nie spodziewając się żadnego ataku o tak późnej porze, zwłaszcza z powodów niedostępnych dla pojęć czarnej masy. Ale mimo że tak czul, Oliveira nie był zadowolony ze sformułowania „czarna masa", to było czarną masą, ale z jego winy, nie zaś z winy terenów, na których spał Traveler; dlatego nie było wskazane używanie określeń równie negatywnych, jak „czarna masa", wystarczało nazwać to po prostu „strefą", skoro w końcu człowiek musi określać jakoś swoje odczucia. Strefa zaczynała się poza drzwiami jego pokoju i atakowanie jej nie było wskazane, gdyż powody ataku mogły być dla niej niezrozumiałe, a może nawet niedostrzegalne. Przeciwnie, o ile zabarykaduje się w swoim pokoju i tam zostanie zaatakowany przez Travelera, nikt nie będzie mógł twierdzić, że Traveler nie wiedział, co robi, każdy zaś zrozumie, że napadnięty, znakomicie zdając sobie sprawę z tego, co ryzykuje, po prostu przedsięwziął odpowiednie kroki, odpowiednie środki i odpowiednie kulkowce, czymkolwiek miałyby się one okazać.

Tymczasem można było stać w oknie, palić, obserwować pozycje wodnistych misek i nici i myśleć o jedności wystawianej na ciężką próbę przez konflikt strefa-pokój. Oliveirę miał zawsze boleć fakt, że nie był w stanie wyobrazić sobie tej jedności, którą czasem nazywał środkiem, a która w braku wyraźniejszego konturu ograniczała się do takich obrazów, jak czarny krzyk, kibuc pożądania (jakże już odległy ów kibuc wśród zorzy i czerwonego wina), a nawet życie godne tej nazwy, ponieważ (uczuł to w chwili, w której rzucał papierosa na piąty kwadrat) był dostatecznie głupi, aby wyobrazić sobie możliwość godnego życia na zakończenie rozlicznych niegodziwości drobiazgowo doprowadzonych do końca. Jakkolwiek nie można było o tym myśleć, można to było chociaż odczuwać pod takimi postaciami, jak skurcze żołądka, strefa, oddech urywany, ale głęboki, pocenie się rąk, zapalanie papierosa, rżnięcie w kiszkach, pragnienie, bezgłośne krzyki pękające w gardle niby jakaś czarna masa (zawsze w tej grze istniała gdzieś czarna masa), senność, lęk przed uśnięciem, niepokój, obrazek gołębia, który niegdyś był biały, kolorowe ścierki w głębi czegoś, co mogło okazać się przejściem, Syriusz w górze namiotu i... dosyć, człowieku, na Boga, dosyć tego! Ale przyjemnie było czuć się tutaj od niewymiqrnie dawna, nie myśląc o niczym, będąc po prostu tym, co się tu znajdowało z żołądkiem w kleszczach. To - przeciw strefie, czuwanie przeciwko spaniu. Ale powiedzenie: czuwanie przeciwko spaniu - już było powrotem do dialektyki, stwierdzeniem raz jeszcze, że nie ma najmniejszej nadziei na jedność. Dlatego też przybycie osiemnastki z kulkowcami okazało się doskonałym pretekstem, aby powrócić do przygotowań obronnych punktualnie około godziny trzeciej dwadzieścia.

Osiemnastka przymrużył swe zielone złośliwie-przepiękne oczy i rozwiązał ręcznik, w którym przyniósł kulkowce. Oznajmił, że podglądał Remorina i że ten ostatni ma w tej chwili tyle roboty z trzynastką, siódemką i czterdziestką piątką, że ani mu w głowie wchodzenie na drugie piętro. Prawdopodobnie chorzy burzyli się przeciw terapeutycznym innowacjom, które pragnął zastosować, można więc było liczyć, że rozdawanie pastylek i zastrzyków zajmie mu dłuższą chwilę. Niemniej Oliveira uznał, że nie należy tracić więcej czasu, i wskazawszy osiemnastce, gdzie najskuteczniej ulokować należy kulkowce, zaczął sprawdzać działanie wodnistych miednic, i w tym celu wyszedł z pokoju przezwyciężając strach, który odczuwał przed znalezieniem się w fiołkowym świetle korytarza, po czym wrócił z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie, że jest Travelerem, i stawiając nogi trochę na zewnątrz, tak jak to robi Traveler. Za drugim krokiem wpakował lewą nogę w wodnisty nocnik (jakkolwiek dobrze znał jego położenie), a wyrywając ją gwałtownie, tak kopnął tenże nocnik, że wylądował na łóżku nie robiąc, dzięki Bogu, najlżejszego hałasu. Osiemnastka, który czołgał się pod biurkiem siejąc kulkowce, zerwał się na równe nogi i mrużąc swe złośliwie-przepiękne zielone oczy doradził zgrupowanie kulkowców pomiędzy jedną a drugą linią miednic, aby uzupełnić zaskoczenie wynikłe z powodu zimnej wody możliwością wręcz bezkonkurencyjnego poślizgu. Oliveira nie powiedział nic, lecz pozwolił mu działać, a kiedy z powrotem ulokował wodnisty nocnik na swoim miejscu, zabrał się do przywiązywania do klamki czarnego sznurka. Sznurek ten został przeciągnięty aż do biurka i przywiązany do poręczy krzesła, krzesło zaś ustawione na dwóch nogach i oparte bokiem o brzeg biurka w taki sposób, żeby przy otwarciu drzwi natychmiast upadło. Osiemnastka wyszedł na korytarz, aby wypróbować efekty, Oliveira zaś przytrzymał krzesło, aby uniknąć hałasu. Zaczynała go męczyć przyjacielska obecność osiemnastki, który od czasu do czasu przymrużał swe złośliwie-przepiękne zielone oczy i zabierał się do opowiadania historii swojego znalezienia się w klinice. Co prawda wystarczało położenie palca na ustach, aby milkł zawstydzony i przez pięć minut stał bez ruchu pod ścianą, lecz Oliveira ofiarował mu nie zaczętą paczkę papierosów i polecił wrócić do łóżka, tak aby Remorino go nie zauważył.

- Zostanę z panem, doktorze - powiedział osiemnastka.

- Nie, idź. Ja sam doskonale się obronię.

- Powinien był pan mieć Heftpistola, tak jak radziłem. On wszędzie umieszcza małe haczyki, które znakomicie służyłyby do zaczepiania sznurków.

- Poradzę sobie, stary - powiedział Oliveira. - Idź spać, bardzo ci dziękuję.

- W porządku, doktorze. No, to żeby panu dobrze poszło.

- Cześć, śpij spokojnie.

- Proszę uważać na kulkowce, chociaż nigdy nie nawalają. Niech je pan zostawi tam, gdzie są, sam się pan przekona.

- Dobra.

- Jeżeli w końcu zdecyduje się pan na Heftpistola, proszę mnie zawiadomić. Jest u szesnastki.

- Dziękuję ci, cześć.

O wpół do czwartej Oliveira skończył umocowywanie nitek. Osiemnastka zabrał wraz z sobą słowa oraz możliwość wzajemnego spojrzenia na siebie od czasu do czasu albo poczęstowania papierosem. W mroku (bo lampkę z biurka owinął zielonym swetrem, który powolutku się przyżółcal) zabawne było występowanie w roli pająka łażącego z jednego miejsca na drugie i rozciągającego nici od łóżka do drzwi, od umywalki do szafy, trzymając razem po pięć albo po sześć nitek i cofając się z wielką uwagą, ażeby nie nadepnąć na kulkowce. W końcu sam został uwięziony w maleńkim kąciku między oknem, bokiem biurka (stojącego w głębi na prawo) i łóżkiem (pod ścianą na lewo). Pomiędzy drzwiami a ostatnią linią przebiegały nici ostrzegawcze (od klamki do przechylonego krzesła, od klamki do popielniczki z reklamą wermutu martini, leżącej na brzegu umywalki, i od klamki do szuflady w szafie, pełnej książek i ledwo się trzymającej), wodniste miednice w formie dwóch linii obronnych, nieregularnych, ale przeważnie przebiegających od lewej ściany ku prawej, czyli od umywalki do szafy w pierwszej linii, a od nóg łóżka do nóżek biurka w drugiej. Pomiędzy ostatnim szeregiem wodnistych misek a ścianą z oknem na patio (o dwa piętra niżej) pozostawała przestrzeń najwyżej szerokości metra, poprzecinana wielką ilością nitek. Usiadłszy na brzegu biurka, Oliveira zapalił nowego papierosa i zaczął wyglądać przez okno. W pewnej chwili zdjął koszulę i cisnął ją na biurko. Teraz już nie będzie mógł pić, nawet gdyby miał pragnienie. Pozostał w podkoszulku, paląc i patrząc na patio, ale z uwagą skoncentrowaną na drzwiach, jakkolwiek od czasu do czasu odrywał się od nich w chwili rzucania niedopałka na klasy. Nawet nie było niewygodnie, choć blat biurka był twardy, a zapach przypalającego się swetra wzbudzał obrzydzenie. Wreszcie zgasił lampę i po chwili zobaczył fiołkową smugę rysującą się pod drzwiami; gdy nadejdzie Traveler, jego gumowe buty w dwóch miejscach przetną fiołkową smugę, co będzie mimowolnym sygnałem, że atak wkrótce się rozpocznie. Kiedy Traveler otworzy drzwi, zdarzy się wiele rzeczy, a będzie się mogło zdarzyć jeszcze wiele innych. Pierwsze z nich będą mechaniczne i nieuniknione, konsekwencje idiotycznej zależności skutku od przyczyny, krzesła od sznurka, klamki od ręki, ręki od woli, woli od... I tędy szła droga do tych innych rzeczy, które mogły nastąpić albo nie, zależnie od tego, jak upadek krzesła na ziemię, rozbicie się na kawałki popielniczki

Martini, wypadnięcie szuflady z szafy podziałają na Travelera, a nawet i na niego samego, bo teraz - podczas gdy zapalał nowego papierosa od niedopałka poprzedniego, który rzucił celując w dziewiąty kwadrat, i widział, jak upadł w tenże dziewiąty kwadrat, ale potem przeskoczył do siódmego, zasrany niedopałek - może teraz właśnie należało się zastanowić nad tym, co zrobi, kiedy otworzą się drzwi, kiedy pół jego pokoju pójdzie w drobny mak i rozlegnie się głuchy okrzyk Travelera, o ile Traveler wyda z siebie okrzyk i o ile będzie on głuchy. W gruncie rzeczy było głupotą odrzucenie Heftpistola, bo poza lampą, która była lekka jak piórko, i krzesłem, w rejonie okna nie było żadnej innej broni, a z lampą i krzesłem nie zajedzie daleko, jeżeli Travelerowi uda się sforsować dwie linie wodnistych miednic i uniknąć pośliźnięcia się na kulkowcach. Ale nie uda mu się, na tym właśnie polega strategia. Broń obronna z natury rzeczy musi różnić się od broni zaczepnej. Na przykład nitki sprawiają na Travelerze piorunujące wrażenie: bo, gdy będzie chciał posunąć się do przodu, twarz jego, ręce i nogi będą napotykały wciąż wzrastający łagodny opór, aż wreszcie odczuje niepohamowane obrzydzenie, typowe dla człowieka, który wplątał się w pajęczynę. Przypuściwszy, że w dwóch skokach poprzerywa wszystkie nici, przypuściwszy, że nie wdepnie w wodnistą miskę i nie pośliźnie się na kulkowcach, wreszcie dotrze do sektora okna i pomimo ciemności rozpozna nieruchoma postać siedzącą na brzegu biurka. Było bardzo mało prawdopodobne, żeby dotarł aż tutaj, ale gdyby tak się stało, nie ulegało wątpliwości, że Heftpistol nie posłużyłby Oliveirze do niczego, nie dlatego że nie doszłoby do takiego spotkania, jakie wyobrażał sobie Traveler, byłoby to coś zupełnie odmiennego, coś, czego Oliveira też nie był w stanie sobie wyobrazić, ale o czym wiedział tak dobrze, jakby widział albo słyszał napieranie przychodzącej z zewnątrz czarnej masy na to, o czym wiedział nie wiedząc, nieobliczalne, nieudane zetknięcie się czarnej masy Travelera z tym, co paliło papierosa tu, na brzegu biurka. Coś jakby czuwanie sprzeciwiające się uśnięciu (godziny snu i czuwania - powiedział kiedyś ktoś - jeszcze nie połączyły się w jedno), ale powiedzieć „czuwanie sprzeciwiające się uśnięciu" to przyznać się aż do końca, że nie istnieje żadna nadzieja na jedność. Natomiast mogło się zdarzyć i tak, że przybycie Travelera byłoby jakimś kulminacyjnym punktem, od którego począwszy można by jeszcze raz spróbować skoku jednego w drugie, a równocześnie drugiego w pierwsze, ale ten skok byłby zupełnym przeciwieństwem zderzenia. Oliveira był pewien, że strefa Travelera nie mogła dojść aż do niego, nawet gdyby się na niego zwaliła, gdyby go uderzyła, gdyby mu podarła koszulę, gdyby pluła mu w oczy i w usta, gdyby mu wykręcała ręce i wyrzuciła go przez okno. Jeżeli Heftpistol był zupełnie nieskuteczny przeciwko tej strefie (skoro według wyjaśnień osiemnastki było to coś w rodzaju mechanicznego spinacza), jakież znaczenie mógł mieć nóż

Travelera czy też cios pięścią Travelera, biedne Heftpistole, zupełnie niezdatne do wypełnienia przestrzeni między dwoma ciałami, w sytuacji, w której każde z tych ciał negowałoby istnienie drugiego. Jakkolwiek było faktem, że Traveler mógł go zabić (coś w tym było, nie bez powodu miał tak sucho w ustach, tak ohydnie spocone ręce), wszystko skłaniało Oliveirę do przeczenia tej możliwości ze względu na to, że odbyłoby się to w płaszczyźnie, w której ów fakt miałby znaczenie wyłącznie dla mordercy. Byłoby jednak lepiej czuć, że morderca w ogóle nie jest mordercą, że może nawet strefa nie jest strefą, uszczuplić, zminimalizować, zbagatelizować strefę, aby z całego tego wodewilu, ze wszystkich rozbijających się o ziemię popielniczek nie pozostało nic więcej niż hałas, jako jej jedyna, żałosna konsekwencja. Gdyby (walcząc ze strachem) udało mu się utwierdzić w tym kompletnym odcięciu się od strefy, obrona stałaby się najlepszym atakiem, najstraszniejsze pchnięcie zadałaby rękojeść szpady, nie zaś jej ostrze. Chociaż do czego prowadziły metafory o tak późnej porze, skoro jedynym sensownym bezsensem było obserwowanie stóp pod drzwiami, czyli fiołkowej smugi - tego termometrycznego słupka strefy.

Na dziesięć przed czwartą Oliveira przeciągnął się, poruszył zdrętwiałymi ramionami i usiadł na wąskim parapecie okna. Bawiła go myśl, że gdyby miał szczęście zwariować tej nocy, unicestwiłby tym doszczętnie strefę Travelera. Rozwiązanie, które zresztą nie pasowało ani do jego dumy, ani do decyzji przeciwstawienia się jakiejkolwiek formie kapitulacji. W każdym razie wyobrazić sobie Ferraguta wpisującego go do księgi chorych i zakładającego mu na drzwiach numer i oko magiczne do obserwowania w nocy... I Talita, przygotowująca mu w aptece opłatki, przechodząca uważnie przez patio, aby nie nadepnąć na klasy, aby nigdy więcej nie nadepnąć na klasy. Już nie mówiąc o nieszczęsnym Manu, ' w rozpaczy z powodu swojej niezręczności, z powodu swojego absurdalnego przedsięwzięcia. Zwrócony plecami do patia, niebezpiecznie kołysząc się na parapecie, Oliveira poczuł, że strach zaczyna mijać i że to jest zły znak. Nie odrywał oczu od świetlnej smugi, ale wraz z każdym oddechem wpływało w niego jakieś zadowolenie bez słów, jakieś zadowolenie nie mające nic wspólnego ze strefą, radość - to było właśnie to - uczucie, że strefa powoli się cofa. Nieważne było, na jak długo, z każdym wdechem ciepłe powietrze świata jednoczyło się z nim, tak jak mu się to już parę razy w życiu zdarzało. Nawet nie odczuwał potrzeby palenia, na krótką chwilę zawarł pokój z samym sobą i to równało się unicestwieniu strefy, wygraniu bitwy, chęci - wreszcie!

- uśnięcia w chwili przebudzenia, na tym brzegu, gdzie sen i przebudzenie mieszają swe pierwsze wody, odkrywając, że są one jednym i tym samym; ale to było źle, bo przecież wszystko to musiało zostać przerwane przez nagłe pojawienie się dwóch czarnych form na

fiołkowej smudze i przez uporczywe drapanie w drzwi. „Sam tego chciałeś - pomyślał Oliveira zsuwając się z parapetu aż do brzegu biurka.

- Chociaż, co tu ukrywać, gdyby trwało to choć o sekundę dłużej, runąłbym głową w dół prosto na klasy. Wejdźże już raz, Manu, przecież nie egzystujesz albo ja nie egzystuję, albo jesteśmy tak głupi, że wierzymy w te wszystkie brednie i pozabijamy się, bracie. Teraz albo nigdy, szkoda gadać." - Wejdź - powtórzył głośno, ale drzwi nie otworzyły się. W dalszym ciągu dochodziło ciche skrobanie i może było prostym zbiegiem okoliczności, że ktoś stał na dole obok fontanny, kobieta odwrócona tyłem, o długich włosach i opuszczonych ramionach, pogrążona w obserwowaniu nikłego strumyka wody. O tej porze, w tej ciemności, mogła to równie dobrze być Maga, jak Talita, czy którakolwiek z wariatek, a wziąwszy wszystko pod uwagę, to choćby Pola. Nic mu nie przeszkadzało patrzeć na odwróconą tyłem kobietę, ponieważ nawet gdyby Traveler zdecydował się wejść, system obronny zacząłby działać automatycznie, tak że on miałby aż za dużo czasu, żeby odwrócić się i stawić mu czoło. W każdym razie było dość dziwne, że Traveler dalej drapał w drzwi, jakby chciał sprawdzić, czy on śpi (nie, to jednak nie mogła być Pola, Pola miała krótszą szyję i wyraźniejszy zarys bioder), chyba żeby ze swej strony opracował jakiś system ataku (to mogła być albo Maga, albo Talita, i tak były do siebie podobne, a jeszcze w nocy i *7,* drugiego piętra...), mający na celu wyrzucenie-go-z-jego-

-pozycji (przynajmniej z pierwszych ośmiu kwadratów, bo poza ósmy nigdy nie udało mu się wyjść, nigdy więc nie osiągnie Nieba, nigdy nie wejdzie do swojego kibucu). „Na co czekasz, Manu? - pomyślał Oliveira, - Do czego nam to wszystko służy?" Najprawdopodobniej była to jednak Talita, która teraz patrzyła w górę i znieruchomiała widząc, jak on zmęczonym gestem wysuwa za okno nagie ramię.

- Przybliż się, Mago - powiedział Oliveira. - Stąd jesteś tak podobna, że można zmienić ci imię.

- Zamknij okno, Horacio - poprosiła Talita.

- Wykluczone, jest piekielny upał, a twój mąż mi drapie w drzwi, że aż strach. Ot - i zbieg okoliczności raczej nieprzychylny. Ale nie przejmuj się, weź kamyk i popróbuj od nowa, a nuż tym razem...

Szuflada, popielniczka i krzesło równocześnie runęły na ziemię. Pochyliwszy się, oślepiony Oliveira patrzył w fiołkowy prostokąt, który zastąpił drzwi, w czarną poruszającą się plamę. Usłyszał przekleństwo Travelera. Hałas zbudził prawdopodobnie pół kliniki.

- Czyś ty zupełnie oszalał? - powiedział Traveler, nieruchomo stojąc w drzwiach. - Chcesz, żeby dyro wszystkich nas wylał na zbity pysk?

- Poucza mnie - objaśnił Talitę Oliveira. - Zawsze był mi ojcem.

- Proszę cię, zamknij okno - powiedziała Talita.

- Cóż może być potrzebniejszego od otwartego okna - odpowiedział Oliveira. - Posłuchaj pisków twojego męża, daje się zauważyć, że wsadził nogę w wodę. A całą twarz ma z pewnością w niciach i nie wie, co dalej robić.

- Niech cię szlag trafi, skurwysynu - Traveler usiłował w ciemności wyplątać się ze sznurków. - Zapalże światło, do cholery.

- Ale jeszcze się nie przewrócił. Zdaje się, że mi nawalają kulkowce - poinformował Oliveira.

- Nie przechylaj się tak - krzyknęła Talita podnosząc w górę ręce. Tyłem do okna, z odwróconą głową, aby ją widzieć i móc do niej mówić, Oliveira coraz bardziej wychylał się na zewnątrz. Kuka Ferraguto wbiegła pędem na patio i dopiero wtedy Oliveira zdał sobie sprawę, że noc się skończyła, szlafrok Kuki był tego samego koloru co kamienie, co ściany apteki. Zwracając twarz ku cieniowi w celu wojenno-zwiadowczym, Oliveira przekonał się, że mimo trudności ofensywnych Traveler zdecydował się zamknąć drzwi. Między jednym przekleństwem a drugim usłyszał hałas zasuwki.

- To mi się podoba - pochwalił Oliveira. - Sami na ringu, jak przystało na prawdziwych mężczyzn.

- Mam cię w dupie - Traveler był wściekły. - Zamoczyłem but. Zapal chociaż światło, nic nie widać.

- Za nic w świecie! Chyba sam rozumiesz, że nie mogę pozbawić się mojej strategicznej przewagi. Dziękuj Bogu, że w ogóle ci odpowiadam, powinienem nie robić i tego. Ja także, bracie, przechodziłem naukę strzelania.

Usłyszał ciężki oddech Travelera. Na zewnątrz trzasnęły drzwi, głos Ferraguta mieszał się z innymi wśród pytań i odpowiedzi. Sylwetka Travelera robiła się coraz wyraźniej-sza; wszystko układało się na swoich miejscach, wykazywało swoją ilość: pięć misek, trzy nocniki i tuziny kulkowców. Już niemalże mogli się widzieć w tym świetle koloru gołąbka w rękach obłąkanego.

- Słuchaj - powiedział Traveler podnosząc leżące krzesło i niechętnie na nim siadając - może będziesz łaskaw wytłumaczyć mi ten cały burdel.

- To nie będzie łatwe, stary. Z mówieniem, jak wiesz, u mnie...

- Rzeczywiście, że tobie do mówienia potrzeba raczej specyficznych okoliczności - warknął Traveler. - Jeżeli nie siedzimy okrakiem na desce przy 45 stopniach w cieniu, to przymierzasz się do mnie, kiedy mam nogę w wodzie, a całą gębę w tych ohydnych niciach.

- Lecz zawsze w pozycjach symetrycznych - stwierdził Oliveira. - Jak dwóch bliźniaków na huśtawce albo jak nie wiem tam kto przed lustrem. To cię zastanawia, *Doppel-gänger?*

Nie odpowiadając Traveler wyjął papierosa z kieszeni piżamy i zapalił go, podczas gdy Oliveira sięgnął po swojego i też zapalił niemal równocześnie. Spojrzeli na siebie i zaczęli się śmiać.

- Jesteś absolutnie kopnięty - powiedział Traveler.

- Tym razem to już nie ulega wątpliwości. Wyobrażać sobie, że ja...

- Zostaw wyobraźnię w spokoju - powiedział Oliveira.

- Zadowól się faktami: wprawdzie ja przedsięwziąłem konieczne środki, jednak przyszedłeś ty. Nie kto inny, ale właśnie ty. O czwartej nad ranem.

- Talita powiedziała mi... Więc myślałem... słuchaj, więc ty naprawdę uwierzyłeś...

- Może to było w gruncie rzeczy potrzebne, Manu? Ty myślisz, że wstałeś po to, aby mnie uspokoić, aby mnie jakoś upewnić. Gdybym spał, byłbyś po prostu wszedł, jak ktoś, kto bez trudności podchodzi do lustra z pędzlem w ręku. A teraz przyjmijmy, że zamiast pędzla miałbyś w ręku to, co masz tam, w piżamie...

- Przecież stale mam go przy sobie - krzyknął Traveler. - A ty co sobie myślisz, że tu jest przedszkole, czy co? Jeżeli sam chodzisz bez broni, to tylko dowodzi, że rzeczywiście masz źle w głowie.

- Cóż? - powiedział Oliveira, z powrotem sadowiąc się na oknie i pozdrawiając ręką Talitę i Kukę. - To, co ja o tym wszystkim myślę, bardzo niewiele znaczy w porównaniu z tym, co musi nastąpić, niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie. Od dawna już jesteśmy jednym i tym samym psem, który kręci się w kółko usiłując ugryźć się w ogon. To nie znaczy, że nienawidzimy się, wprost przeciwnie. Są inne rzeczy, które nami posługują się w tej grze, jak białym czy czarnym pionkiem. Nazwijmy to dwoma stylami, z których każdy dąży do unicestwienia drugiego i vice versa.

- Ja cię nie nienawidzę - powiedział Traveler. - Tylko zapędziłeś mnie w kozi róg tak dalece, że nie wiem, co robić.

- *Mutatis mutandis,* poszedłeś po mnie do portu z czymś w rodzaju zawieszenia broni, z białą flagą, ze smutnym zaproszeniem, by zapomnieć. Ja także nie nienawidzę cię, bracie, ale cię demaskuję, a ty uważasz to za zapędzenie cię w kozi róg.

- Ja jestem żywy - Trav.eler patrzył mu prosto w oczy. - Jest się żywym zawsze za cenę czegoś. A ty nie chcesz zapłacić ani grosza. Nigdy nie chciałeś. Egzystencjalny purytanin. Albo być Cezarem, albo niczym, ten rodzaj radykalnych postulatów. Może myślisz,

że nie podziwiam cię na swój sposób? Ale to ty jesteś prawdziwym *Doppelgängerem,* bo jesteś jakby odcieleśniony, twoje wola jest ot, taką chorągiewką na dachu. Chcę tego, chcę tamtego, chcę północy, chcę południa, chcę wszystkiego jednocześnie, chcę Magi, chcę Tality, wobec czego pan łaskawie udaje się do trupiarni, gdzie zabiera się do całowania żony swego najlepszego przyjaciela. A wszystko dlatego, że mu się myli rzeczywistość ze wspomnieniami w sposób jak najbardziej nie-Euklidesowy.

Oliveira wzruszył ramionami, ale spojrzał na Travelera chcąc mu pokazać, że to nie był gest pogardy. Jakże przekazać mu to coś, co w tamtej strefie nazywało się pocałunkiem, pocałowaniem Tality, pocałowaniem Magi czy też Poli, tę inną grę luster podobną tej grze, w której teraz odwracał głowę ku oknu i patrzył na Magę, stojącą tam na samym skraju klas, na Kukę, Remorina i Ferragutę, stłoczonych przy drzwiach, jakby oczekiwali tego, że Traveler podejdzie do okna i oznajmi im, że wszystko w porządku i że wystarczy uspokajający proszek lub co najwyżej malutki kaftanik na parę godzin, by młodemu człowiekowi minęły te wszystkie fanaberie. Walenie w drzwi również nie ułatwiało porozumienia. Gdyby Manu był w stanie zrozumieć chociaż to, że nic z tego, co myślał, nie ma znaczenia po stronie okna, że to ma znaczenie tylko po stronie misek i kulkowców, i gdyby ten, kto wali pięściami do drzwi, uspokoił się choćby na minutę, może wtedy... Ale nie pozostawało nic innego, jak patrzyć na Magę, tak prześliczną na skraju klas, i życzyć sobie, aby przepchnęła kamyk z jednej przedziałki do drugiej, z Ziemi do Nieba.

- ... jak najbardziej nie-Euklidesowy.

- Czekałem na ciebie przez cały ten czas - powiedział Oliveira ze zmęczeniem. - To chyba zrozumiałe, że nie chciałem dać się zarżnąć bez mrugnięcia. Każdy najlepiej wie, co powinien robić, Manu. Jeżeli chcesz wytłumaczenia tego, co się stało tam, na dole... tylko że to nie ma z tym nic wspólnego, o czym doskonale wiesz. Wiesz, *Doppelgänger,* doskonale wiesz. Jakie znaczenie miał dla ciebie ten cały pocałunek? Dla niej także nie miał. Właściwie ta cała rzecz rozgrywa się tylko między wami.

- Otwierać! Otwierać natychmiast!

- Sprawa zaczyna być poważna - powiedział Travêler wstając. - Otwieramy? To pewnie Ovejero.

- Co do mnie...

- Będzie chciał zrobić ci zastrzyk, Talita z pewnością zaalarmowała cały ten bajzel.

- Kobiety to śmierć - oznajmił Oliveira. - Popatrz tylko na nią, jak grzeczniutko sobie stoi obok tych klas... Ech, lepiej nie otwieraj, Manu, a bo nam tu źle?

Traveler podszedł do drzwi i zbliżył usta do dziurki od klucza. Bando kretynów, może byście nareszcie przestali wydzierać się jak na sensacyjnym filmie. Obaj z Oliveira doskonale się czują i otworzą, kiedy im się zechce. Lepiej by zrobili, jakby dla wszystkich naparzyli kawy. W tej klinice dosłownie nie dają żyć.

Głosy zza drzwi świadczyły ponad wszelką wątpliwość, że Ferraguto nie został przekonany, lecz rozsądne i uporczywe mruczenie Ovejera przytłumiło jego głos i wreszcie zostawili drzwi w spokoju. Na razie jedynym przejawem wzburzenia byli ludzie zgromadzeni na patio i światła na trzecim piętrze, na zmianę wciąż zapalające się i gasnące, rezultat wesołych nawyków czterdziestki trójki. Po chwili Ferraguto i Ovejero znowu pojawili się na patio, skąd patrzyli na siedzącego w oknie Oliveirę, który pozdrowił ich, przepraszając za podkoszulek. Osiemnastka zbliżył się do Ovejera, tłumacząc mu sprawę Heftpistola, co tego zdawało się niezwykle interesować, bo patrzył na Oliveirę profesjonalnym spojrzeniem, jakby ten ostatni już przestał być jego najlepszym partnerem do pokera, co dość ubawiło Oliveirę. Prawie wszystkie okna na pierwszym piętrze były otwarte i rozliczni chorzy z najwyższym zainteresowaniem brali udział w tym, co się działo, czyli właściwie w prawie niczym. Maga chcąc zwrócić na siebie uwagę Oliveiry uniosła w górę prawe ramię i poprosiła go, aby ściągnął Travelera do okna.

Oliveira wyjaśnił jej wyczerpująco, że to niemożliwe, ponieważ żona okna należy wyłącznie do obrony, ale że ewentualnie można by pomyśleć o zawieszeniu broni. Dodał, że wołanie go z podniesioną ręką przypomniało mu dawne aktorki, zwłaszcza operowe śpiewaczki, jak Emmy Destynn, Melba, Mariorie Lawrance, Muzio, Bori albo Theda Bara i Nita Naldi; wykrzykiwał te imiona z ogromnym zadowoleniem i Talita opuszczała rękę, potem znowu ją podnosiła prosząco. Eleonora Duse i naturalnie Vilma Banky, no dosłownie Greta Garbo, ależ jasne, i jedno zdjęcie Sary Bernhardt, które miał wklejone do zeszytu, kiedy był chłopcem, no i Karsawina, Bałaszewa, ech, kobiety, te odwieczne gesty, powtarzalność przeznaczenia, jakkolwiek w tym wypadku absolutnie nie był w stanie spełnić jej łaskawej prośby. Ferraguto i Kuka na cały głos wrzeszczeli każde co innego, aż do chwili, gdy Ovejero, który mimo sennej twarzy na wszystko zwracał uwagę, uciszył ich, żeby Talita mogła porozumieć się z Oliveira. Posunięcie, które nie doprowadziło do celu, Oliveira bowiem po raz siódmy wysłuchawszy prośby Magi, odwrócił się plecami i zobaczyli (jakkolwiek nie usłyszeli), że konwersuje z niewidzialnym Travelerem.

- Ni mniej, ni więcej, tylko by chcieli, żebyś podszedł do okna.

- No to pozwól mi, chociaż na sekundę. Przejdę pod sznurkami.

- Ani mowy. To jest ostatnia linia obrony; jeżeli ją przekroczysz, będziemy musieli walczyć wręcz.

- Niech będzie - zgodził się Traveler siadając. - No to bredź dalej, składaj na kupę te niepotrzebne wyrazy.

- Wcale nie niepotrzebne - oburzył się Oliveira. - Jeżeli chcesz tu dojść, nie musisz mnie prosić o żadne pozwolenie. Chyba jasno się wyrażam.

- Przysięgasz mi, że nie wyskoczysz?

Oliveira popatrzył na niego tak okrągłymi oczami, jakby Traveler był olbrzymią pandą.

- Nareszcie. Nareszcie kawa na ławę. Pomyśleć, że tam na dole Maga to samo sobie wyobraża. I ja, który myślałem, że mimo wszystko chociaż trochę mnie znacie!

- To nie Maga - powiedział Traveler. - Sam świetnie wiesz, że to nie Maga.

- To nie jest Maga - zgodził się Oliveira. - Sam świetnie wiem, że to nie jest Maga. A ty jesteś jak chorąży, jak herold ogłaszający kapitulację, powrót do domu i do porządku. Zaczynam na serio martwić się tobą, stary.

- Nie myśl o mnie - powiedział gorzko Traveler. - Zależy mi tylko na tym, żebyś dał mi słowo, że nie zrobisz tego idiotyzmu.

- Co ty wiesz, człowieku - powiedział Oliveira. - Przecież jeżeli skoczę, spadnę prosto do Nieba.

- Odsuń się, Horacio, i pozwól mi porozumieć się z Ovejerem. Jeszcze mogę tak wszystko załatwić, że jutro nikt nie będzie o tym pamiętał.

- Tego się nauczyłeś w podręczniku psychiatrii - powiedział Oliveira. - Jesteś pilnym uczniem i masz dobrą pamięć.

- Posłuchaj - powiedział Traveler. - Jeżeli nie pozwolisz mi podejść do okna, zmusisz mnie do otwarcia im drzwi, a to będzie gorsze.

- Mnie tam wszystko jedno. Wejść wejdą, ale wątpię, żeby doszli aż tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli będą próbowali cię ująć, rzucisz się przez okno?

- Może z twojego stanowiska tak to wygląda.

- Proszę cię... - powiedział Traveler robiąc krok w przód. - Czy ty nie czujesz, że to jakiś koszmar? Pomyślą, że naprawdę zwariowałeś, uwierzą, że rzeczywiście chciałem cię zabić.

Oliveira jeszcze trochę się przechylił w tył, a Traveler zatrzymał się na wysokości drugiej linii wodnistych miednic. Jakkolwiek kopnął wysoko w powietrze dwa kulkowce, nie posunął się o krok w przód. Wśród krzyków Tality i Kuki, Oliveira się powoli wyprostował i

dał im uspokajający znak ręką. Traveler, zwyciężony, przysunął trochę bliżej krzesło i usiadł. Znowu rozległo się stukanie do drzwi, tym razem słabsze niż poprzednio.

- Nie łam sobie więcej głowy - powiedział Oliveira. - Jakiego wytłumaczenia szukasz, stary? Jedyną prawdziwą różnicą między tobą a mną jest w tej chwili to, że ja jestem sam. Dlatego lepiej będzie, jeżeli zejdziesz teraz pomiędzy swoich i pogadamy sobie przez okno, jak przystało na dobrych przyjaciół. Koło ósmej i tak mam zamiar się wynieść, Gekrepten czeka na mnie z racuszkami i mate.

- Nie jesteś sam, Horacio. Chociaż chciałbyś, przez próżność, przez chęć zostania domorosłym Maldororem. Skoro mówiłeś o *Doppelgängerze,* sam wiesz, że ktoś idzie za tobą, ktoś, kto jest taki sam jak ty, jakkolwiek znajduje się po drugiej stronie tych przeklętych sznurków.

- Wielka szkoda - powiedział Oliveira - że tak marne masz pojęcie o próżności. W tym rzecz, że za każdą cenę chcesz mieć o wszystkim swoją opinię. Czy nie jesteś w stanie pomyśleć choćby przez sekundę, że może się mylisz?

- Przypuśćmy, że się mylę. Niemniej ty kiwasz się w otwartym oknie.

- Gdybyś rzeczywiście mógł zrozumieć, że może to wszystko jest inaczej... Gdybyś rzeczywiście zechciał dotrzeć do samego sedna rzeczy... Nie proszę cię, abyś negował to, co widzisz, ale abyś zechciał coś ułatwić, coś popchnąć choć odrobinkę, choćby czubkiem palca...

- To nie jest takie łatwe... - powiedział Traveler. - To nie jest tylko kwestia rozciągnięcia tych idiotycznych sznurków... Ja nie mówię, że ty ze swej strony nic nie chciałeś ułatwić, ale popatrz na rezultat.

- A niby co w tym jest złego? Za to mamy otwarte okno i wdychamy ten przecudny poranek, powąchaj tylko, jaka świeżość jest w powietrzu o tej porze. A na dole wszyscy przechadzają się po patio, to niesłychane - robią poranną gimnastykę mimo woli! Popatrz, i Kuka, i ten milczący suseł dyro, no i twoja żona, istne wcielenie lenistwa. Ty chyba także mi przyznasz, że nigdy nie byłeś równie rozbudzony, jak w tej chwili, a jak mówię: rozbudzony, to wiesz, co mam na myśli, prawda?

- Zastanawiam się, czy nie całkiem odwrotnie, stary.

- No wiesz, to są te łatwe rozwiązania, bajeczki do antologii. Gdybyś był zdolny spojrzeć na to z innej strony, może w ogóle nie chciałbyś się stąd ruszyć. Gdybyś wyszedł ze strefy, gdybyś przeszedł, powiedzmy, z pierwszej przedziałki do drugiej albo z drugiej do trzeciej... Dla ciebie to takie łatwe, *Doppelgänger,* a ja całą noc spędziłem na ciskaniu niedopałkami w klasy i nie trafiłem dalej niż do ósemki. Wszyscy pragniemy tysiącletniego

królestwa, czegoś w rodzaju Arkadii, gdzie może bylibyśmy o wiele nieszczęśliwsi niż ty tutaj (bo przecież, *Doppelgänger,* nie o szczęście nam idzie), ale za to może nie byłoby tam tej straszliwej gry podstawień, która zajmuje pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat życia, i może umielibyśmy naprawdę podawać sobie ręce zamiast powtarzać gest strachu, zastanawiając się, czy drugi nie ukrywa w ręku noża. A jeżeli już mowa o podstawieniach, to wcale bym się nie zdziwił, gdybyśmy ty i ja okazali się jedną i tą samą osobą - tyle że każdy po swojej stronie. Skoro uważasz, że jestem próżny, mam wrażenie, że wybrałem lepszą stronę, ale kto wie, Manu. Wiem jedno: to, że z twojej strony już nie mogę być, wszystko mi się kruszy w palcach, robię rzeczy, od których rzeczywiście powinno się zwariować, gdyby to nie było tak trudne. Ale ty, który jesteś w harmonii ze strefą, nie chcesz zrozumieć konieczności tego chodzenia tam i na powrót; ledwie ruszę palcem, żeby wyjść, już coś się dzieje, pięć tysięcy lat zasranych genów ciągnie mnie wstecz i z powrotem, wpadam w strefę, i brodzę w niej przez dwa tygodnie, dwa lata, piętnaście lat... Któregoś dnia zanurzam place w przyzwyczajeniu i to jest nie do uwierzenia, jak się zagłębiają, wręcz przechodzą na drugą stronę, już, już mam wrażenie, że dopłynę do ostatniej przedziałki, i nagle jakaś kobieta się topi albo, jeżeli wolisz, ja dostaję ataku... ataku litości nad bzdetem, bo cała ta litość... Mówiłem o podstawieniach? Co za nędza, Manu. Poczytaj sobie Dostojewskiego. Co tam zresztą... Po prostu pięć tysięcy lat znowu ciągnie mnie wstecz i trzeba wszystko zaczynać od początku. Dlatego mam uczucie, że ty jesteś mój *Doppelgänger,* bo stale tylko przechodzę z twojej strefy do mojej, i w tych żałosnych podróżach mam uczucie, że jesteś czymś ze mnie, co zostaje tu, patrząc na mnie z litością, ty jesteś te pięć tysięcy ludzkich lat ułożonych do wysokości metra siedemdziesiąt, które patrzą na pajaca, pragnącego wydostać się ze swojej przedziałki. Rzekłem.

- Odpierdolcież się wreszcie - krzyknął Traveler do dobijających się do drzwi. - Dom wariatów, cholera, nie dadzą spokojnie pogadać.

- Fajny jesteś, stary - powiedział ze wzruszeniem Oliveira.

- W każdym razie - Traveler trochę przysunął krzesło - nie zaprzeczysz mi, że tym razem nieco przeholowałeś. Te wszystkie transsubstancjacje i inne ziółka są bardzo piękne, ale twój żarcik będzie nas wszystkich kosztował posady, czego mi żal, głównie ze względu na Talitę. Możesz sobie gadać na temat Magi ile wlezie, ale o moją żonę to już ja muszę dbać.

- Masz zupełną rację - przyznał Oliveira. - Człowiek zapomina, że jest urzędnikiem, te tam drobiazgi. Chcesz żebym porozmawiał z Ferragutem? Stoi obok fontanny. Przebacz mi, Manu, naprawdę nie chciałbym, żebyście i Maga, i ty...

- Teraz to już chyba naumyślnie nazywasz ją Magą. Nie kłam, Horacio...

- Wiem, że to Talita, ale przed chwilą była Magą. Też jest podwójna, tak jak i my.

- To się nazywa obłęd - powiedział Traveler.

- Wszystko się jakoś nazywa, wybierz sobie, i jazda. Jeżeli pozwolisz, zajmę się trochę tymi za zewnątrz, są już u granic wytrzymałości.

- Idę - powiedział Traveler wstając.

- Będzie lepiej - powiedział Oliveira. - Będzie dużo lepiej, jak sobie pójdziesz, a ja sobie stąd porozmawiam i z tobą, i z nimi. Będzie dużo lepiej, jak sobie pójdziesz, nie zginając kolan, tak jak to teraz robisz, ja zaś wytłumaczę ci dokładnie, co i jak się odbędzie, ty przecież nade wszystko lubisz wyjaśnienia, jak każdy syn pięciu milionów lat. A więc zaledwie rzucisz się na mnie, wiedziony zarówno twoją przyjaźnią, jak i twoją diagnozą, zrobię unik (nie wiem, czy pamiętasz, że kiedyś praktykowałem judo z chłopakami z ulicy Anchorena), a wtedy ty wylecisz przez okno i rozwalisz się na miazgę na czwartym kwadracie, i to tylko w wypadku, jeżeli będziesz miał cholerne szczęście, bo może się zdarzyć, że nie polecisz dalej niż do drugiego.

Traveler spojrzał na niego i Oliveira zobaczył, że ma oczy pełne łez. Wyciągnął rękę ruchem, jakby z daleka chciał go pogładzić po włosach. Traveler poczekał jeszcze sekundę, a potem podszedł do drzwi i otworzył je. Kiedy Remorino (za którym stało jeszcze dwóch pielęgniarzy) wepchnął się do środka, wziął go za ramiona i wypchnął na korytarz.

- Dajcie mu spokój - rozkazał. - Za chwilę mu przejdzie. Trzeba go zostawić, zamiast rozrabiać i robić z igły widły.

Odrywając się od dialogu, który wkrótce przemienił się w tetralog, heksalog i dodekalog, Oliveira przymknął oczy i pomyślał, że wszystko jest dobrze, że rzeczywiście Traveler jest jego bratem. Usłyszał trzask zamykających się drzwi, oddalające się głosy. Drzwi otwarły się równocześnie z jego powiekami, które podniosły się ciężko.

- Zasuń zasuwę - powiedział Traveler. - Nie mam do nich za grosz zaufania.

- Dziękuję. Zejdź na patio. Talita jest bardzo niespokojna.

Przeszedł pod resztkami pozostałych przy życiu sznurków i zamknął zasuwkę. Zanim wrócił do okna, zanurzył głowę w umywalni i zaczął chłeptać jak zwierzę, łykając, liżąc, sapiąc. Z dołu dochodziły dyspozycje Remorina, który rozsyłał chorych do pokoi. Kiedy wychylił się przez okno, odświeżony i spokojny, zobaczył, że Traveler stoi obok Tality, że obejmuje ją wpół. Po tym, co zrobił Traveler, wszystko było jakimś cudownym uczuciem pogodzenia i nie należało gwałcić tej harmonii bezsensownej, ale żywej i obecnej, nie powinno się było niczym jej fałszować; zasadniczo Traveler okazał się właśnie tym, czym powinien okazać się on, Oliveira, gdyby miał mniej tej przeklętej wyobraźni - człowiekiem

strefy, bezpowrotnym błędem zagubionej przestrzeni; ale ileż piękna w tym błędzie, w tych pięciu tysiącach lat strefy fałszywej i niepewnej, ileż piękna w tych oczach napełniających się łzami, w tym głosie, który mu poradził: „zasuń zasuwkę, nie mam do nich za grosz zaufania", ileż miłości w tym geście, którym obejmował kibić kobiety. „A może - pomyślał Oliveira, równocześnie odpowiadając na przyjazne gesty Ovejera i (trochę mniej przyjazne) Ferraguty - jedynym sposobem umknięcia przed strefą jest zanurzenie się w niej po szyję?" Wiedział, że zaledwie pomyśli o tym (jeszcze raz o tym), zobaczy obraz mężczyzny prowadzącego pod rękę paskudną starą kobietę wzdłuż zimnych, zalanych deszczem ulic. „Bądź tu mądry

- powiedział sobie - bądź tu mądry, czy przypadkiem nie zostałem na brzegu, tam, gdzie jednak istniało przejście? Manu byłby je znalazł, na pewno byłby je znalazł, idiotyzm polega na tym, że on nigdy by go nie szukał, podczas gdy ja..."

- Oliveira, stary, dlaczego nie zejdziesz na kawę? - proponował Ferraguto ku widocznej dezaprobacie Ovejera.

- Już chyba wygrałeś zakład, nie uważasz? Spójrz na Kukę, jak jest przedenerwowana.

- Niech się pani nie denerwuje - odpowiedział Oliveira.

- Ze swoim doświadczeniem w cyrku nie powinna się pani przejmować takimi głupstwami.

- Niemożliwi jesteście obaj z Travelerem - odezwała się Kuka. - Dlaczego nie zrobi pan tak, jak proponuje mój małżonek? Właśnie sobie myślałam, że wspólnie napijemy się kawki.

- No, złaź już, bracie - niby przypadkiem wtrącił Ovejero. - Muszę zapytać cię o coś na temat francuskich książek.

- Stąd doskonale słychać - odparł Oliveira.

- Ze świeżutkimi rogaliczkami - dodała Kuka. - No to co? Idziemy parzyć kawę, Talita?

- Nie wygłupiaj się - burknęła Talita i w niesamowitym milczeniu, które potem zaległo, zetknięcie się spojrzeń Oliveiry i Travelera było, jakby nagle dwa ptaki w locie uderzyły o siebie i splątane spadły do dziewiątego kwadratu - w każdym razie tak to odczuli zebrani. Kuka i Ferraguto przez chwilę zaniemówili, po czym Kuka otwarła usta, żeby pisnąć: „Jakim prawem? Proszę mnie nie obrażać..." - podczas gdy Ferraguto wypinał pierś mierząc wzrokiem Travelera, który patrzył na żonę jednocześnie z zachwytem i z wyrzutem aż do chwili, gdy Ovejero znalazł naukowy sposób wyjścia z impasu, mówiąc sucho: *„Histeria matinensis jugulata,* proszę do mnie, to dam odpowiednie proszki" - dokładnie w tej samej chwili, kiedy osiemnastka, gwałcąc rozkazy Remorina, wchodził, żeby zawiadomić, że

trzynastka ma mdłości i że jest telefon z Mar del Płaty; szybkie usunięcie go przez Remorina sprawiło, że zarówno administratorzy, jak i Ovejero mogli opuścić patio bez nadmiernej utraty prestiżu.

- Aj-aj-aj - powiedział Oliveira kiwając się na oknie - a ja, durny, myślałem, że farmaceutki są dobrze wychowane...

- Masz pojęcie? - zachwycił się Traveler. - Była fantastyczna.

- Poświęciła się dla mnie - zauważył Oliveira. - Tamta nie przebaczy jej do śmierci.

- Tyle mnie to obchodzi, co i nic - powiedziała Talita. - „Ze świeżutkimi rogaliczkami", no nie, co też takiej kretynce może przyjść do głowy!

- A Ovejero niby lepszy? - powiedział Traveler. - Francuskie książki! Już tylko tego brakowało, żeby cię zwabiali na banana! Nie mogę wyjść ze zdumienia, żeś ich nie ochrzanił.

Tak było, harmonia trwała niewiarygodnie długo, nie było słów, którymi można by odpowiedzieć na dobroć tych na dole patrzących na niego i mówiących do niego z klas, bo Talita - nie zdając sobie z tego sprawy - stała w trzeciej przedziałce, a Traveler trzymał jedną nogę w szóstce, tak że Oliveira nie mógł zrobić nic innego, jak tylko lekko kiwnąć prawą ręką w nieśmiałym pozdrowieniu i dalej patrzeć na Magę, na Manu, mówiąc sobie, że w końcu, w końcu istniało jednak jakieś spotkanie, nawet gdyby nie mogło trwać dłużej niż ta pełna słodyczy chwila, w czasie której, bez najmniejszych wątpliwości, najlepszą rzeczą, jaką mógłby zrobić, byłoby wychylić się jeszcze trochę na zewnątrz i pozwolić sobie spaść, klap, skończyło się.

* * *

Z RÓŻNYCH STRON

(Rozdziały, bez których można się obejść)

57

- Właśnie powtarzałem sobie pewne wiadomości na wypadek przyjazdu Adgalle. Jak się zapatrujesz na to, żebym ją któregoś wieczoru przyprowadził do klubu? Etienne i Roland będą zachwyceni, jest na to dostatecznie zwariowana.

- To ją przyprowadź.

- Tobie także byłaby się spodobała.

- Dlaczego mówisz o mnie tak, jakbym już nie żył?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Osip. - Naprawdę nie mam pojęcia. Jakiś mizerny jesteś...

- Opowiadałem dzisiaj rano Etienne'owi przepiękne sny. Ale dosłownie w tej samej chwili, kiedy zacząłeś z takim uczuciem opisywać pogrzeb, pomyliły mi się z innymi wspomnieniami. Widzę, że to musiała być nader wzruszająca ceremonia. Nieczęsto zdarza się równocześnie być obecnym w trzech miejscach, ale dzisiaj mi się to udało. Widocznie wpływ Morellego. Dobrze, dobrze, zaraz ci opowiem. Właściwie jeżeli się zastanowić, to nawet w czterech. Zbliżam się do wszechobecności. Stąd, do wariacji... Masz rację, może nie poznam Adgalle, wykorkuję wcześniej.

- Zen zajmuje się właśnie możliwościami przedwszecho-becności; to jest coś w rodzaju tego, co czułeś, jeżeli rzeczywiście to czułeś.

- Jakbyś zgadł, stary. Równocześnie wracam z czterech miejsc: ten poranny sen, od którego wszystko jeszcze we mnie drży, pewne wyjaśnienia z Połą, których wolę ci oszczędzić, twoja arcyefektowna opowieść o pogrzebie małego, a w tej chwili widzę, że na dokładkę równocześnie dyskutowałem z Travelerem; przez całe swoje pieskie życie nie był w stanie zrozumieć mojego wiersza, który zaczynał się tak... „Ja, na wpół uśpiony umywalniany nurek”... Przecież to takie łatwe, jeżeli się w to wmyślec, jestem pewien, że ty od razu zrozumiałeś. Jak się budzisz z resztkami raju, o którym śniłeś, a później niby włosy topielca spadają na ciebie uczucia mdłości, lęku, kruchości, fałszu, a przede wszystkim niepotrzebności tego wszystkiego, zapadasz się w głąb siebie i myjąc zęby stajesz się prawdziwym umywalnianym nurkiem, masz uczucie, że biała miska cię wchłania, że cały wysuwasz się przez ten otwór, przez który spływa osad, smarki, łupież, ropa, ślina, że ty spływasz z nadzieją powrotu dokądś, do czegoś innego, może do tego, czym byłeś przed obudzeniem, a co jeszcze jest przed tobą, ale już zaczyna się ulatniać... Tym sposobem

spadasz w głąb tak długo, aż obronne duchy jawy - och, co za piękne wyrażenie, cóż za język! - wezmą cię pod opiekę i zatrzymają.

- Przeżycie typowo egzystencjalne - stwierdził Gregorovius.

- Zapewne, wszystko zależy jednak od dozy. Mnie, bracie, umywalnia wciąga bez reszty.

58

- Jak to dobrze, że wróciłeś - powiedziała Gekrepten wsypując do kubka świeżą mate. - W domu będzie ci na pewno lepiej, a tam rzeczywiście ta cała atmosfera... szkoda gadać. Powinieneś wziąć ze dwa, trzy dni urlopu.

- No pewno. Może nawet więcej, staruszko. Te twoje racuszki są niezrównane.

- Cieszę się, że ci smakują, tylko żebyś mi nie zjadł za dużo, boby mogły ci usiąść na żołądku.

- Bez znaczenia - powiedział Ovejero zapalając papierosa. - Teraz mała sjesta, a wieczorem będzie pan w jak najlepszej formie do pokerka.

- Nie kręć się - powiedziała Talita. - Że też nie możesz ani chwili uleżeć spokojnie.

- Moja małżonka jest tak przedenerwowana - powiedział Ferraguto.

- Może jeszcze racuszka - powiedziała Gekrepten.

- Niech mu pani daje dużo soków owocowych - powiedział Ovejero.

- Międzynarodowy trust ekspertów medycznych - powiedział Oliveira.

- Weź tego, jest bardziej ocukrzony - powiedziała Gekrepten.

- Może byś się przespał? - powiedział Traveler.

- Słuchaj no, Remorino, stań tu pod drzwiami i pilnuj, żeby osiemnastka nie zawracał mu głowy - powiedział Ovejero. - Zupełnie oszalał na jego temat i nic, tylko gada o jakimś tam pistolecie.

- Może ci spuścić żaluzje - powiedziała Gekrepten

- żeby ci nie przeszkadzało radio od don Crespa?

- Nie, zostaw - powiedział Oliveira. - Nadają Gardela.

- Już piąta - powiedziała Talita. - Nie chce ci się spać?

- Zmień mu kompres - powiedział Traveler. - Widać, że mu to przynosi ulgę.

- Ta mate już za słaba - powiedziała Gekrepten. - Chcesz żebym ci przyniosła „Noticias Gráficas”?

- Dobrze - powiedział Oliveira. - I paczkę papierosów.

- Nie mógł usnąć - powiedział Traveler - ale teraz będzie chrapał całą noc, Ovejero dał mu podwójną dawkę.

- Pilnuj się, skarbie - powiedziała Gekrepten - zaraz wracam. Na wieczór przygotowałam pieczonkę, że palce lizać, masz ochotę?

- Z sałatą - powiedział Oliveira.

- Oddycha głębiej - powiedziała Talita.

- I zrobię ci ryzik na mleku - powiedziała Gekrepten. - Po powrocie taki byłeś mizerny.

- Tramwaj był przepełniony - powiedział Oliveira. - Sama wiesz, co to jest jazda o ósmej rano przy tym upale.

- Rzeczywiście wierzysz, że teraz będzie spał, Manu?

- O tyle, o ile pozwalam sobie w cokolwiek wierzyć - tak.

- No to chodźmy do dyra, czeka na górze, żeby nas wylać.

- Moja małżonka jest tak przedenerwowana - powiedział Ferraguto.

- Proszę mnie nie obrażać - krzyknęła Kuka.

- Zachowywali się wspaniale - powiedział Oliveira.

- Mało jest takich ludzi - powiedział Remorino.

- Nie wierzył mi, że będzie potrzebował Heftpistola - powiedział osiemnastka.

- Jazda do pokoju, bo każę ci dać lewatywę - powiedział Ovejero.

- Śmierć psu - powiedział osiemnastka.

59

Spędza się zatem czas na łowieniu niejadalnych ryb; ażeby zapobiec ich gniciu, napisy umieszczone w regularnych odstępach na plaży nakazują rybakom zakopywać je w piasku natychmiast po wyciągnięciu z wody.

Claude Lévi-Strauss, *Smutek tropików*

(41)

60

Morelli zastanawiał się nad *acknowledgment* artystów, którym coś zawdzięcza; nigdy jednak nie włączył jej do żadnego ze swoich opublikowanych dzieł, pozostawił sporo nazwisk: Jelly Roll Morton, Robert Musil, Daisetz Teitaro Suzuki, Raymond Russel, Kurt Schwitters, Vieira da Silva, Akutagawa, Anton Webern, Greta Garbo, José Lezama Lima, Bunuel, Luis Armstrong, Borges, Michaux, Dino Buzzati, Max Ernst, Pevsner, Gilgamesz (?), Garcilaso, Arcimboldo, René Clair, Piero di Cosimo, Wallace Stevens, Izaak Dinesen. Nazwiska Rimbauda, Picassa, Chaplina, Albana Berga i innych zostały skreślone cienką linijką jako zbyt oczywiste, aby je cytować. Ale widać wszystkie okazały się zbyt oczywiste, skoro Morelli nigdy nie zdecydował się włączyć ich do żadnej ze swych książek.

(26)

61

NIE ZAKOŃCZONA NOTATKA MORELLEGO

Nigdy nie uwol nię się od uczucia, że tu oto, tuż obok mej twarzy, uwięzione między mymi palcami, jest coś jak gdyby dążenie do jasności, wyskok ze mnie ku temu, co mnie otacza, lub z tego, co mnie otacza ku mnie, coś nieskończenie przejrzystego, co mogłoby zakrzepnąć i zamienić się w całkowitą jasność, poza czasem i poza przestrzenią. Jak gdyby drzwi z opałów i diamentów, za którymi zaczyna się być tym, czym się jest naprawdę, a czym nie chce się, nie umie się i nie jest się w stanie być.

Nic nowego ani w tym pragnieniu, ani w tym niepokoju, tyle że za każdym razem bardziej rozczarowują namiastki, które nam ofiarowuje codzienna i conocna świadomość, to archiwum wspomnień i dat, te namiętności, w których zostawiam strzępy czasu i własnej skóry, te sygnały tak odległe od tego innego sygnału tuż obok, tu, koło mojej twarzy, od tego przeczucia (które już prawie jest widzeniem) demaskującego całą fałszywą wolność, w której poruszam się po ulicach na przestrzeni lat.

Ponieważ jestem tylko tym ciałem, już dziś gnijącym w jakimś momencie przyszłości, tym staromodnie piszącym szkieletem, czuję, że to ciało żąda siebie, że żąda od swego sumienia tej, dotąd nie do pomyślenia, operacji, która sprawiłaby, że przestałoby być zgnilizną. To ciało będące mną posiada przedwiedzę stanu, w którym - wyrzekając się siebie jako takiego i równocześnie wszelkiej współzależności jako takiej - świadomość jego wykroczyłaby zarówno poza ciało, jak i poza świat, osiągając prawdziwe zbliżenie do istoty bytu.

Moje ciało będzie istniało, chociaż nie będzie mną, Morellim, który w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym już jest zgnilizną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, moje ciało będzie istniało, bo za świetlnymi drzwiami (jakże nazwać tę przemożną pewność zrośniętą ze mną?) istnienie będzie czymś innym niż ciałem i niż ciałem, i duszą, i niż mną, i tym innym niż wczoraj i jutro. Wszystko zależy od... (zamazane zdanie).

Smętny finał: *satori* jest mgnieniem i rozwiązuje wszystko. Ale, aby do niego dojść, trzeba by iść przeciw prądowi historii zarówno tej zewnętrznej, jak i tej wewnętrznej. *Trop tard pour moi. Crever en italien, voire en occidental, c'est tout ce qui me reste. Mon petit café-crème le matin, si agréable...*[80]

(33)

[80] *Trop tard pour moi...* (franc.) - Dla mnie jest już za późno. Jedyne, co mi pozostaje, to zdechnąć po włosku, a raczej po zachodniemu. A rano tak przyjemnie napić się kawki.

62

W swoim czasie Morelli myślał o książce, która nie wyszła poza etap luźnych notatek. Oto najbardziej charakterystyczna z nich: „Psychologia, słowo przestarzałe. Jakiś Szwed opracowuje teorię chemicznego procesu myślenia[81]. Chemia, elektromagnetyzm, tajne fluidy żywej materii, wszystko to dziwnie przypomina manę. W ten sposób na marginesie zagadnień socjalnych można by podejrzewać akcję innej natury, coś podobnego do partii bilardu, w który niektórzy grają, inni zaś są grani, dramat pozbawiony Edypa, Rastignaca i Fedry, dramat nieosobisty na tyle, że w jakiejś mierze świadomość i namiętność postaci włączają się weń dopiero a posteriori. Tak jakby dopiero na jakichś drugich planach zawiązywały się i rozwiązywały wątki prowadzone przez aktorów dramatu. Powiedzmy, aby zrobić przyjemność naszemu szwedzkiemu naukowcowi: jakby niektóre jednostki mimo woli oddziaływały na głęboką chemię innych i vice versa, w sposób wywołujący reakcje łańcuchowe, dezintegracje i transmutacje zarówno ciekawe, jak niepokojące.

W tym stanie rzeczy wystarczy zwykła ekstrapolacja, aby postulować grupę ludzką wyobrażającą sobie, że podlega reakcjom psychologicznym w klasycznym sensie tego starego, bardzo starego słowa; ale reprezentuje ona tylko jedno stadium fluidu żywej materii: nie

[81] „Express". Paryż, bez daty.
Dwa miesiące temu neurobiolog szwedzki Holger Hyden z uniwersytetu w Gôteborgu zaprezentował zebranym z San Francisco światowym specjalistom swoją teorię, dowodzącą, że procesy umysłowe mają podłoże chemiczne, zdaniem Hydena, fakt myślenia, pamiętania, odczuwania albo podejmowania decyzji odpowiada w mózgu i w nerwach łączących mózg z innymi organami pojawieniu się odrębnych cząsteczek, które komórki nerwowe wytwarzają pod wpływem bodźców zewnętrznych (...) Ekipie szwedzkiej udało się wydzielić dwa typy komórek z żywej tkanki królika, zważyć je (w milionowej milionowych grama) i na podstawie analizy określić sposób, w jaki wykorzystują one bodźce w poszczególnych przypadkach.
Jedną z zasadniczych funkcji neuronów jest przenoszenie impulsów nerwowych. Transmisja ta dokonuje się na skutek niemalże natychmiastowych reakcji elektrochemicznych. Niełatwo jest uchwycić komórkę nerwową przy pracy, ale wydaje się, że za pomocą precyzyjnego stosowania różnorakich metod Szwedzi to osiągnęli.
Zostało wykazane, że pod wpływem bodźców następuje w neuronach wzrost pewnych określonych białek, których jakość zmienia się w zależności od natury polecenia. Równocześnie zawartość białek w komórkach towarzyszących maleje, jak gdyby poświęcały one swoje rezerwy na rzecz neuronów. Informacja zawarta w cząsteczce białka, według Hydena, zamienia się w impuls, który neuron przekazuje swoim sąsiadom.
Wyższe funkcje mózgu - pamięć i zdolność rozumowania - tłumaczą się według Hydena tym, że każdemu bodźcowi odpowiada określona cząsteczka białkowa. Każdy neuron mózgu zawiera miliony różnych cząsteczek kwasu rybonukleinowego, różniących się od siebie układem podstawowych jednostek.
Każda oddzielna cząsteczka kwasu rybonukleinowego (RNA) odpowiada ściśle określonemu białku, podobnie jak klucz musi dokładnie odpowiadać określonemu zamkowi. Kwas nukleinowy przekazuje neuronom informacje o budowie mających powstać cząsteczek białkowych. Według Szwedów, cząsteczki te są chemicznym odpowiednikiem myślenia.
Pamięć polegałaby więc na pewnym układzie w mózgu cząsteczek kwasów nukleinowych, które odgrywają tę samą rolę, co perforowane kartki w maszynach liczących. Na przykład impuls odpowiadający dźwiękowi „mi", takiemu, jaki słyszy nasze ucho, przechodzi szybko z jednego neuronu do drugiego, aż dojdzie do tych neuronów, które zawierają cząsteczki RNA odpowiadając temu bodźcowi. Komórki natychmiast zaczną wytwarzać cząsteczki odpowiedniego białka, o którym informacja zawarta jest w kwasie nukleinowym, a wtedy odbierzemy dźwięk właściwy.
Bogactwo i różnorodność myśli tłumaczy się faktem, że mózg średniej wielkości zawiera 10 miliardów neuronów, każdy zaś neuron zawiera szereg milionów cząsteczek różnych kwasów nukleinowych. A więc ilość możliwych kombinacji jest wprost astronomiczna.
Z drugiej strony, teoria ta tłumaczy, dlaczego dotąd nie było możliwe wykrycie w mózgu ściśle ograniczonych obszarów dla każdej z tych wyższych funkcji: ponieważ każdy neuron dysponuje szeregiem kwasów nukleinowych, może on brać udział w szeregu różnych procesów mózgowych i wywoływać najrozmaitsze myśli lub skojarzenia pamięciowe, [Przyp. aut.].

kończące się współzależne oddziaływanie tego, co w swoim czasie nazywaliśmy pragnieniem, sympatią, wolą, przekonaniem, a które pojawiają się tutaj jako coś wymykającego się wszelkiemu rozumowaniu i wszelkiemu opisowi: wrogie siły okupacyjne, dążące do opanowania miasta. Poszukiwanie, które przerasta nas jako jednostki i które wykorzystuje nas do swoich celów, ukrywa konieczność, by nie będąc homo sapiens stać się homo... jakim homo? Bo sapiens jest drugim z kolei starym, bardzo starym słowem, z tych, które należy dokładnie odkurzyć przed jakimkolwiek użyciem.

Gdybym napisał tę książkę, utarte reakcje (aż do najmniej codziennych, że się tak wyrażę, do najbardziej luksusowych) nie dałyby się wytłumaczyć w świetle dzisiejszej ogólnie przyjętej psychologii. Aktorzy wydaliby się albo szaleni, albo bezrozumni. Nie żeby nie byli zdolni do reakcji uznanych, takich, jak miłość, zazdrość, litość i tak dalej, po prostu to coś, co homo sapiens zachowuje na drugim planie, z trudem torowałoby sobie drogę, tak, jak gdyby nagle jakieś trzecie oko zaczynało pracowicie mrugać gdzieś za kością czołową. Wszystko byłoby niepokojem, niedosytem, ciągłym wykorzenianiem, terenem, z którego psychologiczna przy-czynowość ustępowałaby zdezorientowana, zaś te marionetki szarpałyby się, kochały lub poznawały nie podejrzewając nawet, że oto życie usiłuje zmienić klucz w, poprzez i za pomocą nich, że oto w człowieku poczyna się jakaś zaledwie dostrzegana próba, tak jak kiedyś począł się klucz rozsądku, klucz uczuć i klucz pragmatyki; że każda następna klęska zbliża do ostatecznej mutacji i że człowiek nie istnieje, że dopiero szuka istnienia, sam się projektując, błądząc pośród słów, sposobów bycia, wesołości spryskanej krwią i innych spekulacji słownych w rodzaju tej oto tutaj”.

63

- Nie kręć się tak - powiedziała Talita. - Można by pomyśleć, że kładę ci kompresy z witrioleju.

- Bo jest w tym coś elektrycznego - odparł Oliveira.

- Nie pleć głupstw.

- Wszystko wydaje mi się fosforyzujące, jak na filmach Normana McLarena.

- Podnieś na chwilę głowę, twarda ta poduszka, zmienię ci ją.

- Lepiej zostaw w spokoju poduszkę, a zamiast tego zmień mi głowę - powiedział Oliveira. - Chirurgia jest w powijakach, to nie ulega kwestii.

(88)

64

Któregoś dnia idąc na spotkanie z Polą w Quartier Latin, natknął się na nią, jak wraz z grupą przechodniów oglądała rysunki na trotuarze; zatrzymał się więc i on, aby podziwiać profil Napoleona obok znakomitej reprodukcji z Chartres i klaczy ze źrebakiem pasących się na zielonej łące. Autorami rysunków byli dwaj chłopcy o blond włosach i indochińska dziewczyna. Pudełko od kredek pełne było dziesięcio- i dwudziestofrankówek. Od czasu do czasu któryś z artystów pochylał się, aby poprawić jakiś szczegół, co - jak łatwo było zauważyć - natychmiast pobudzało hojność publiczności.

- Stosują system Penelopy, nic przedtem nie prując - powiedział Oliveira. - Na przykład ta facetka dopiero wtedy otworzyła portmonetkę, kiedy mała Tsong-Tsong rzuciła się na ziemię, aby podretuszować blondynę o niebieskich oczach. Fakt, że praca ich łamie.

- Nazywa się Tsong-Tsong? - zapytała Pola.

- A skąd ja mam wiedzieć? - Ale ma zgrabne stopy.

- Tyle roboty, a w nocy jak zamiotą, będzie po wszystkim.

- W tym cały sens. „Kolorowe kredki jako figura eschatologiczna" - temat pracy doktorskiej. Jeżeliby zamiatacze ulic nie zlikwidowali tego rano, Tsong-Tsong przyleciałaby sama z kubłem wody. Tylko to naprawdę się kończy, co rozpoczyna się każdego ranka. Ludzie rzucając pieniądze nie wiedzą, że są nabierani, że w rzeczywistości te rysunki nigdy nie bywają ścierane. Zmieniają kolory, miejsca na chodnikach, ale pozostają w ręce, w pudełku kredek, w wyuczonym systemie ruchów. Po prawdzie, gdyby któryś z tych chłopaków spędził ranek machając łapami w powietrzu, w równe) mierze zasługiwałby na dziesięć franków, jak wtedy gdy rysuje Napoleona. Ale my potrzebujemy dowodów. Oto one. No, rzuć dwudziestaka, nie bądź skąpa.

- Dałam im, zanim przyszedłeś.

- To dobrze. Bo w rzeczywistości wkładamy te monety w usta umarłych, to są obole pojednania. Składamy hołd przemijaniu, temu, że cała ta katedra jest złudzeniem z kredy, złudzeniem, które strumień wody zniesie w ciągu jednej sekundy. Oto moneta, a katedra jutro zmartwychwstanie. Płacimy za nieśmiertelność, za trwanie. *No money, no cathedral.* A ty? Czy też jesteś *z* kredy?

Ale Pola nie odpowiedziała, więc położył jej rękę na ramieniu i zaczęli spacerować po Boul' Mich'u w górę i w dół, a potem powoli skierowali się ku rue Dauphine. Świat kolorowych kredek wirował wokół nich i włączał ich do swego tańca, frytki żółtą kredą, wino

czerwoną, niebieską łagodne, blade niebo, z czymś zielonkawym od strony rzeki. Jeszcze raz rzucili monetę do pudełka po kredkach, ażeby zatrzymać uciekającą katedrę, tym samym gestem skazując ją na zniknięcie po to, aby powstała znowu, na zmycie strumieniem wody po to, aby pozwolić jej powrócić kreska po kresce, czarna, żółta, niebieska. Rue Dauphine szarą kredką, schody brązową, pokój z chytrze podkreślonymi perspektywami jasnozieloną, firanki białą, łóżko nakryte ponchem we wszystkich kolorach *Viva México!,* miłość - kredki spragnione werniksu, który by je utrwalił w czasie teraźniejszym, rozkosz - kredką perfumowaną, usta - pomarańczową, smutek i znużenie bezbarwnymi kredkami zmieniającymi się w niedostrzegalny pył, który kładzie się na uśpionych twarzach, na wyblakłych kredkach ciał.

- Czegokolwiek dotkniesz, na cokolwiek spojrzysz, wszystko rozłazi ci się w rękach - powiedziała Pola. - Jesteś jak żrący kwas, boję się ciebie.

- Niepotrzebnie się przejmujesz zwykłymi porównaniami.

- Nie o to chodzi, że to mówisz... Masz sposób... Nie wiem... Jesteś jak lej. Czasem mam wrażenie, że wyślizguję się z twych ramion prosto w przepaść. To gorsze niż sen o spadaniu w próżnię.

- Może jednak nie jesteś całkowicie zgubiona.

- Och, daj mi spokój. Ja umiem żyć, rozumiesz? Doskonale tu sobie żyję między moimi rzeczami i moimi przyjaciółmi.

- Wyliczaj, wyliczaj. To pomaga. Łap się za imiona, żeby nie upaść. Tu jest nocny stolik, firanka nie poruszyła się w oknie, Claudette ma zawsze ten sam numer telefonu: DANton 34 ileś tam, a mama pisuje z Aix-en-Provance. Wszystko jest w porządku.

- Boję się ciebie, potworze amerykański - Pola przytuliła się do niego - przecież umówiliśmy się, że u mnie w domu nie będzie się mówiło o...

- Kolorowych kredkach.

- O tym wszystkim.

Oliveira zapalił gauloise'a i popatrzył na złożony kawałek papieru na nocnym stoliku.

- Skierowanie na badania?

- Tak, chce, żebym je zrobiła natychmiast. Dotknij tutaj, chyba jest większe niż w zeszłym roku.

Zapadała już noc i Pola, wyciągnięta na łóżku spowitym w ostatnie żółtozielone blaski, wyglądała jak z obrazu Bonnarda. „Zamiataczka ulic" - pomyślał Oliveira pochylając się, aby pocałować jej pierś dokładnie w miejscu, które przed chwilą pokazała mu niepewnym gestem. „Ale one nie wchodzą na czwarte piętro, nigdy nie słyszałem o żadnej sprzątaczce ani

zamiataczce, która by weszła aż na czwarte. Niezależnie od tego, że jutro przyjdzie rysownik i powtórzy dokładnie to samo, tę delikatną okrągłość, w której coś...” Udało mu się przestać myśleć, chociaż przez sekundę udało mu się całować ją samym tylko pocałunkiem.

(155)

65

PRZYKŁAD FISZKI Z KARTOTEKI KLUBU

Gregorovius Osip. Bezpaństwowy. Księżyc w pełni (strona zaciemniona, niewidoczna w tych przedsputnikowych czasach): Kratery? Morza? Popioły?

Tendencja do ubierania się na czarno, szaro, brązowo. Nigdy nie widziano go w jednolitym garniturze. Niektórzy twierdzą, że posiada ich aż trzy, ale uparcie używa marynarki od jednego do spodni od drugiego. Do sprawdzenia.

Wiek: twierdzi, że ma czterdzieści osiem lat.

Zawód: intelektualista. Cioteczna babka przysyła skromną pensyjkę.

Carte de séjour AC 3456923 (ważna sześć miesięcy, przedłużalna. Już była przedłużona dziewięć razy, za każdym razem z większymi trudnościami).

Kraj, z którego pochodzi: urodzony w Borzoku (metryka według deklaracji Gregoroviusa w paryskiej policji, prawdopodobnie fałszywa). Przyczyny jego wątpliwości można znaleźć w protokołach.

Kraj, z którego pochodzi: w roku jego urodzenia Borzok wchodził w skład cesarstwa austro-węgierskiego. Wyraźne pochodzenie węgierskie. Lubi dawać do zrozumienia, że jest Czechem.

Kraj, z którego pochodzi: prawdopodobnie Wielka Brytania. Gregorovius urodził się w Glasgow, z ojca marynarza i matki ziemianki, rezultat przymusowego zawinięcia do portu, niedobrego rozmieszczenia ładunku, *stout ale* i przesadnych dowodów ksenofilii ze strony miss Marjorie Babington, 22 Steward Street.

Gregorovius lubuje się w szkicowaniu pikantnego romansiku poprzedzającego jego urodzenie i oczernia swoje matki (po pijanemu posiada ich trzy) przypisując im rozwiązłe obyczaje. Bośniaczka Magda Razenswill, która pojawia się przy whisky lub koniaku, jest lesbijką, autorką pseudonaukowego traktatu na temat carezzy (przetłumaczonego na cztery języki). Ektoplazmę Miss Babington, która zakończyła karierę jako kurwa na Malcie, wyłania z siebie dżin. Trzecia z matek jest nie kończącym się problemem Etienne'a, Ronalda i Oliveiry, świadków jej ulotnych wcieleń poprzez Beaujolais, Côtes du Rhône lub Bourgogne Aligoté. Zależnie od okoliczności nazywa się Galle, Adgalle lub Minti, żyje w Hercegowinie lub Neapolu, jeździ do Stanów Zjednoczonych z trupą wodewilową, jest pierwszą palącą kobietą w Hiszpanii, sprzedaje środki antykoncepcyjne, umiera na tyfus, żyje ślepa w Huerta, razem z szoferem cara znika w Carskim Siole, co dwadzieścia lat szantażuje syna, stosuje

hydroterapię, utrzymuje podejrzane stosunki z proboszczem z Pontoise, umiera przy urodzeniu Gregoroviusa, który jest równocześnie synem Santos-Dumonta. Świadkowie zanotowali, że w sposób niewytłumaczalny te kolejne lub równoczesne warianty na temat trzeciej matki występują zawsze ze wzmiankami o Gurdiajewie, którego Gregorovius wielbi i nienawidzi na przemian.

(11)

66

Różnorodne twarze Morellego, jego strona Bouvard i Pécuchet, jego komplikacje almanachu literackiego (w jakimś momencie całość swojego dzieła nazywa Almanachem").

Chciałby szkicować pewne myśli, ale nie jest w stanie tego robić. Rysunki pojawiające się na marginesach jego notatek są bardzo słabe. Obsesyjne powtarzanie drżącej spirali.

Projektuje wiele rozmaitych zakończeń swej nie skończonej książki i pozostawia makietę. Strona zawiera tylko jedno zdanie: „W gruncie rzeczy wiedział, że nie można wyjść poza, bo nie ma poza". Zdanie to powtarza się na całej długości stronicy, robiąc wrażenie muru, bariery. Żadnych kropek, przecinków ani marginesów. W sumie niejako mur słów ilustrujących sens zdania, uderzenie o barierę, za którą nie ma nic. Ale ku dołowi, na prawo, w jednym ze zdań brak słowa „me ma". Wrażliwe oko wykrywa wyłom między cegłami, przenikające przezeń światło,

(149)

67

Zawiązuję sobie sznurowadło, jestem kontem, pogwizduję, i nagle uczucie nieszczęścia. Lecz tym razem złowiłem cię, lęku, poczułem, że poprzedzasz każdą myśl, każdą negację. Tak jak szarzyzna, która albo kojarzy się z cierpieniem, albo wynika z niestrawności. I prawie równocześnie (ale jednak później, tym razem nie dam się nabrać) formułuje się zdanie, poprzedzone mgnieniem myśli, która ją tłumaczy: „Cóż, jeszcze jeden dzień do przeżycia" etc., skąd wynika: „Mam uczucie lęku, bo..." etc.

Żeglujące idee, popychane pierwotnym, z dołu dmącym wiatrem (ale to „z dołu" jest tylko materialnym umiejscowieniem ich). Wystarczy, żeby wiatr zmienił kierunek (ale dzięki czemu zmienia on kierunek, co mu go zmienia?), a od razu zjawiają się wesołe małe jachciki o kolorowych żagielkach. „Właściwie nie ma czego narzekać" lub coś w tym rodzaju.

Po obudzeniu przez szpary w okiennicach zobaczyłem światło zorzy. Wypływałem z takiego serca nocy, że doznałem wrażenia, jakbym się sam zwymiotował, ta groza, że oto znajduję się u progu nowego dnia, wyglądającego tak jak wszystkie inne, mającego tę samą każdorazowo mechaniczną obojętność: oprzytomnienie, wrażenie światła, otwarcie oczu, okiennica, świt.

W ciągu sekundy, w zawierającej wszystko świadomości półsnu ogarnąłem potworność tego, co tak zachwyca i upaja religie: odwieczna doskonałość kosmosu, nie kończący się obrót Ziemi wokół własnej osi. Mdłości, nieznośne uczucie przymusu. Muszę znosić codzienny wschód słońca. To potworne. To nieludzkie.

Zanim powtórnie usnąłem, wyobraziłem sobie (zobaczyłem) wszechświat giętki, zmienny, pełen nieoczekiwanych możliwości, elastyczne niebo, słońce, które nagle znika albo nieruchomieje, albo zmienia kształt.

Zapragnąłem z całej siły, aby rozpadły się sztywne konstelacje, ta brudna świetlna propaganda Trustu Boskich Zegarmistrzów.

(83)

68

Ledwie zaczynał lerfić jej noemy, już jej się drliła klamycja i oboje zapadali w wodomurie, w dzikie prężyny, w rozpaczliwe dystalancje. Ale jeżeli tylko próbował wydęgać jej murtę, pogrążała się w jękliwe wyrgi i musiał rozmitrygiwać kaldurmię, czując jak powoli arnulie spektualniają się, oprzaniają, muleją i w końcu sztywnieją jak trimalsjat ergomaniny, do którego niechcący wpadło kilka fmopii kożaniery. A przecież to był dopiero początek, w jakimś momencie ona odsłaniała piwesty, zezwalając, aby przybliżył doń swoje łękowia. Zaledwie się przypalmowali, ogarniał ich, czaturował, wreszcie ekstraminował wielki ulukariusz, nagle to był już klinton, esterfuryczna konwalkisja mertrydów, dyszymiąca embokapulwia orgumnii, merpasm esprymiczny, w ogromnej nadhumicznej agorenii. Evohe! Evohe! Rozkolwieni na kreście wolpemii czuli, jak balnikują perlinni i swolodenni. Drżał trok, poddawały się marplumy w pieszorniach niemalże okrutnych, które ich znowu doprowadzały na samą granicę gunfii.

(9)

69

ZNOWU SAMOBÓJSTWO![82]

Byliśmy przykro zaskocze ni czytając w „Orthografik" wiadomość o zgonie w dniu l marca br. podpułkownika (awansowanego na pułkownika w stanie spoczynku) Adolfa Avili Sáncheza. Byliśmy zaskoczeni, że Sánchez nie chorował, o ile nam wiadomo. Poza tym od pewnego czasu prowadziliśmy listę naszych przyjaciół, którzy popełnili samobójstwo i o których śmierci „Renovigo" wspominało podkreślając pewne zaobserwowane w tych przypadkach symptomy. Na przykład, że Ávila Sánchez nie wybrał rewolweru, jak antyklerykalny pisarz Giyermo Delora, ani też stryczka, jak francuski esperantysta Eugène Lahti.

Ávila Sánchez był człowiekiem godnym uwagi i szacunku. Dzielny żołnierz, przynosił zaszczyt armii w teorii i praktyce. Miał poczucie honoru i nawet walczył na polach bitew. Bardzo wykształcony, nauczał dzieci i dorosłych. Myśliciel, pisał dużo do czasopism i zostawił kilka nie opublikowanych prac, między innymi „Karabiny maszynowe Maxim" (?). Był poetą, miał łatwość rymowania w różnych formach. Artysta władający świetnie zarówno piórem, jak ołówkiem, często zabawiał nas swoją sztuką. Sam tłumaczył swe prace na angielski, esperanto i inne języki.

Ávila Sánchez był z natury myślicielem i zarazem człowiekiem czynu, moralności i kultury. Z tego się składała jego sylwetka.

W innej rubryce są różne pozycje, i naturalnie wahamy się, czy wolno zedrzeć zasłonę kryjącą jego życie prywatne. Ale człowiek publiczny nie ma prywatnego życia, a Sánchez był człowiekiem publicznym, więc nie byliśmy wierni własnym zasadom, gdybyśmy nie pokazali drugiej strony medalu. Jako biografom i historykom nie wolno nam mieć skrupułów. Poznaliśmy Avile Sáncheza osobiście w 1935 roku w Linares, a potem odwiedziliśmy go w Monterey w jego domu, który wydawał się zamożny i szczęśliwy. W kilka lat potem odwiedzając go w Zamorra odnieśliśmy zupełnie inne wrażenie; jasne było, że rodzina się rozbija, i rzeczywiście wkrótce potem żona go opuściła, a dzieci się rozproszyły. Wreszcie w San Luis Potosi spotkał miłą młodą dziewczynę, która go pokochała i zgodziła się zaślubić. W ten sposób założył drugą rodzinę, przyjemniejszą od pierwszej i która nigdy go nie porzuciła.

[82] „Renovigo" nr 5, przekład z hispanoamerykańskiego.
„Renovigo" posługuje się pisownią fonetyczną, co bardzo |est zabawne po hiszpańsku, lecz niemożliwe do oddania w polskim tłumaczeniu. [Przyp. tłum.]

Co zabiło ostatecznie Avile Sáncheza? Choroba umysłowa czy alkohol? Nie wiemy, ale te dwie plagi były jego nieszczęściem przez całe życie i doprowadziły w końcu do śmierci. W ostatnich latach był chory i na pewno wiedział, że samobójstwo będzie nieuchronnie jego końcem. Można stać się fatalista obserwując ludzi tak świadomie kroczących ku tragicznej śmierci.

Nieboszczyk wierzył w życie pozagrobowe. Jeżeli je znalazł, niech w nim będzie szczęśliwy, chociaż na inny sposób, niż my, śmiertelnicy, marzymy i pragniemy.

70

„Kiedy znajdowałem się w stanie pierwotnym, nie miałem Boga...: kochałem tylko siebie i nic więcej. Kochałem to, czym byłem, i byłem tym, co kochałem, j byłem wolny od Boga i od wszystkich spraw... Więc błagamy Boga, aby uwolnił nas od Boga, abyśmy pojęli prawdę i radowali się nią wiecznie, tam, gdzie archaniołowie, mucha i dusza są sobie podobni, tam, gdzie ja byłem i gdzie kochałem to, czym byłem, i byłem tym, co kochałem..."

Mistrz Eckhard, kazanie *Beati Pauperes Spiritu*

(147)

MORELLIANA

Czym jest w istocie ta historia odkrywaniem tysiącletniego królestwa, Edenu, innego świata? Wszystko, co się pisze w dzisiejszych czasach, a co warto przeczytać, jest wyrazem nostalgii. Kompleks Arkadii, powrót do Wielkiej Macicy, *back to Adam,* dobry dzikus (i idźcie do...). O *raju utracony, ponieważ cię szukam, w moich ciemnościach wiekuistych, pozbawiony światła, na zawsze...* Ta sama historia z wyspami (Musil) albo z guru (jeżeli ma się dosyć pieniędzy na samolot Paryż-Bombaj), albo po prostu chwyta się filiżaneczkę od kawy i ogląda na wszystkie strony, już nie jako filiżaneczkę, lecz jako dowód tej niepojętej głupoty, żeby myśleć, że to zwykła filiżaneczka, chociaż najgłupszy z dziennikarzy obowiązany do wprowadzenia nas w teorie kwantów Plancka i Heisenberga, na trzech kolumnach wbija nam w głowę, że wszystko wibruje i drży niby kot, przyczajony do olbrzymiego skoku wodorowego lub kobaltowego, który wywróci nas wszystkich dupą do góry. Sposób wyrażania się raczej wulgarny. Filiżaneczka jest biała, dobry dzikus brązowy, Planck był wspaniałym Niemcem. Gdzieś za tym wszystkim (zawsze z a tym, trzeba uwierzyć, że to jest idea przewodnia nowoczesnego myślenia) Raj, inny świat, zbrukana niewinność, której po omacku szuka się wśród łez, ziemia Hurkalaya. W taki lub inny sposób wszyscy jej szukają, wszyscy chcieliby otworzyć drzwi prowadzące na plac zabaw. I nie dla Edenu, nie tyle dla Edenu samego w sobie, a po to, by pozostawić za sobą odrzutowce, twarze Nikity, Dwighta, Charles'a i Franco (mimo czterdziestu lat przyzwyczajania tyłków, żeby mniej bolało, bolą jednak, a czubek buta za każdym razem wchodzi głębiej i każdy kopniak uraża przez chwilkę biedną dupę kasjera albo podporucznika, albo profesora literatury, albo pielęgniarki), i może homo sapiens nie szuka wejścia do tysiącletniego królestwa (choć doprawdy to wcale nie byłoby źle), tylko po prostu chce zamknąć za sobą te drzwi i pokręcić tyłkiem jak zadowolony pies, wiedząc, że noga tej kurwy-życia została po drugiej stronie, że rozbija się o zamknięte drzwi i że z westchnieniem można trochę rozluźnić tyłek, wyprostować się, pójść na spacer do ogrodu pełnego kwiatów i usiąść, patrząc na chmurkę przez pięć tysięcy lat albo i przez dwadzieścia tysięcy, jeżeli to możliwe, jeżeli nikt się nie złości i jeżeli ma się szansę na zawsze już pozostać w tym ogrodzie i oglądać kwiaty.

Od czasu do czasu pośród legionu tych, którzy maszerują ściskając tyłki w rękach, znajduje się ktoś, kto chciałby zamknąć drzwi, i to nie tylko przed kopniakami, pochodzącymi od tradycyjnych trzech wymiarów, nie licząc tych, które pochodzą od kategorii Kanta, ani

tych, które otrzymuje się w imię przegniłej zasady niezawisłego rozumu i innych niezliczonych dupereli; ale te indywidua wierzą jeszcze wraz z innymi maniakami, że nie ma nas na świecie, że nasi ojcowie-wielkoludy wpakowali nas w coś bezsensownego, skąd należałoby się wyrwać, jeżeli nie chcemy zakończyć życia jako konne posągi lub modelowi dziadkowie, i że nic nie jest stracone, jeżeli ma się dosyć odwagi, aby twierdzić, że wszystko jest stracone i że trzeba zaczynać od zera, jak owi sławetni robotnicy, którzy jakiegoś sierpniowego poranka 1907 roku zdali sobie sprawę, że tunel, który przekopywali w górze Brasco, został źle obliczony i że po wyjściu na powierzchnię znajdują się o 15 m od robotników kopiących tenże sam tunel od strony Dubliwny. Cóż zrobili owi sławetni robotnicy? Otóż owi sławetni robotnicy porzucili tunel w stanie, w jakim się znajdował, wyszli na powierzchnię, po czym po wielu dniach i wielu nocach burzliwych obrad w najróżniejszych knajpach Piemontu zadecydowali rozpocząć kopanie tunelu w innym miejscu Brasco na własne ryzyko, w ogóle nie zwracając uwagi na robotników po tamtej stronie i po czterech miesiącach i pięciu dniach dobrnęli do jakiegoś punktu na południu, gdzie, ku wielkiemu zdumieniu emerytowanego nauczyciela, ukazali się nagle na wysokości jego łazienki. Chwalebny przykład, za którym powinni pójść robotnicy Dubliwny (jakkolwiek dla ścisłości należy nadmienić, że nasi sławetni robotnicy nie poinformowali ich o swoich zamierzeniach), zamiast usiłować za wszelką cenę dokopać się do nie istniejącego tunelu, jak to robi tylu poetów wychylających się późną nocą z okien własnego salonu.

Możecie się śmiać i myśleć, że to żarty, ale to nie żarty, śmiech jako taki wykopał w świecie więcej potrzebnych tuneli niż wszystkie łzy ziemi, cokolwiek by o tym myśleli uparci pedanci, przekonani, że Melpomena płodniejsza jest niż Queen Mab. Byłoby dobrze, żebyśmy raz na zawsze poróżnili się na ten temat. Może i jest jakieś wyjście, ale to wyjście powinno być wejściem. Może i istniejące tysiącletnie królestwo, ale przecież nie zdobywa się fortec uciekając przed nieprzyjacielem. Jak dotąd - nasz wiek tylko przed wszystkim umyka, szuka wyjścia, wyłamuje drzwi. Co się potem dzieje, nie wie nikt, ci, którym udało się to ujrzeć, zginęli, natychmiast pochłonięci przez Wielkie Czarne Zapomnienie. Inni zadowolili się małym: domkiem pod miastem, literaturą, nauką, turystyką. Istnieją jeszcze głupcy, wierzący, że wyjściem może być pijaństwo, meskalina, homoseksualizm, te tam historie teoretycznie wspaniałe, praktycznie zaś daremne, którym idiotycznie nadaje się rangę systemu, klucz do królestwa. Może istnieje wewnątrz naszego jakiś inny świat, ale nie odnajdziemy go usiłując wykrawać jego sylwetki z nieopisanego zamieszania dni i istnień, nie odnajdziemy go ani w atrofii, ani w hipertrofii; należy stworzyć go na podobieństwo Feniksa, nie egzystuje bowiem, tylko jest zawarty w naszym świecie tak, jak woda zawarta jest w tlenie lub wodorze, lub jak

na stronach 78, 457, 3, 27, 688, 75 i 456 słownika Akademii Hiszpańskiej zawarte są wszystkie elementy potrzebne do napisania jedenastozgłoskowe-*ao* poematu Garcilasa. liznąwszy, że świat jest figurą - należy ją odczytać. Przez słowo „odczytać" chcemy powiedzieć „stworzyć". Któż by interesował się słownikiem jako takim? Jeśli dzięki subtelnym alchemiom, dzięki osmozie i mieszaninom najrozmaitszych składników wreszcie na brzegu rzeki pojawi się Beatrycze, jakże nie spodziewać się w zachwycie, że z niej z kolei coś się nowego narodzi? Cóż za daremny trud człowieka, który będąc swym własnym fryzjerem, do mdłości powtarzać musi własne postrzyżyny, co dzień nakrywać do tego samego stołu, wykonywać te same machinalne czynności, kupować tę samą gazetę, stosować te same zasady w tych samych okolicznościach? Może istnieje tysiącletnie królestwo, ale jeśli kiedykolwiek do niego dojdziemy, jeżeli staniemy się nim - inne wtedy będzie jego imię. Aż do chwili, w której pozbawimy czas rózg historii, aż do chwili, w której pękną wrzody wszystkich „aż do", będziemy zawsze uważali piękność za cel sam w sobie, pokój za wzniosłe pragnienie, wciąż z tej strony drzwi, gdzie nie zawsze jest aż tak źle, gdzie wiele osób wiedzie zadowalające życie, wśród przyjemnych perfum, dobrych pensji, literatury na poziomie, stereofonicznych dźwięków; po cóż wobec tego zastanawiać się i niepokoić, że może to już koniec świata, że może historia zbliża się do krawędzi, a rasa ludzka opuszcza średniowiecze, aby *znaleźć* się w erze cybernetycznej? *Tout va très bien, Madame la Marquise, tout va très bien, tout va très bien*[83]. A co do reszty, trzeba być kretynem, trzeba być poetą, trzeba nie mieć paru klepek, ażeby tracić choćby pięć minut na nostalgie, z którymi można sobie poradzić w sekundę. Każdy zjazd międzynarodowych grubych ryb czy naukowców, wynalezienie każdego nowego sztucznego satelity, hormonu czy też reaktora atomowego, trochę bardziej przytłaczają te złudne nadzieje. Królestwo będzie królestwem z tworzyw sztucznych - to wiadomo. Nie żeby świat miał się zmienić w koszmar w stylu Orwella czy też Huxleya: będzie dużo gorzej, bo będzie to świat rozkoszny na miarę jego mieszkańców, bez jednego komara, bez jednego analfabety, pełen olbrzymich doskonałych kur o osiemnastu łapach, wyposażony w zdalnie kierowane urządzenia sanitarne, w wodę codziennie innego koloru, w subtelną obsługę sprawy intymnej higieny, w telewizor w każdym pokoju (na przykład dla Reykjaviku pejzaże tropikalne, *igloos* dla mieszkańców Hawany, te tam delikatne kompensacje zwyciężające wszelkie rewolucyjne zachcianki).

... et cetera.

Czyli zadowalający świat dla rozsądnych ludzi.

[83] *Tout va très bien...* - Wszystko w porządku, pani markizo. (Słowa popularnej piosenki)

Ale czyż zostanie w tym świecie jeden człowiek, no chociażby jeden, który nie byłby rozsądny?

W jakimś zakazanym kącie ślad Zapomnianego Królestwa, w jakiejś gwałtownej śmierci kara za przypomnienie sobie o nim. W jakimś uśmiechu, w jakiejś łzie - jego przetrwanie. W końcu nie wydaje się, aby człowiek musiał zabijać innego człowieka. Umknie mu, porwie za ster maszyny elektronicznej, rakiety międzyplanetarnej, zagra na nosie i szukaj wiatru w polu. Wszystko można zabić poza tęsknotą do Królestwa, ona tkwi w kolorze naszych oczu, w każde) miłości, we wszystkim tym, co do głębi wzburza, co wyzwala i co łudzi. Może to *wishful thinking*[84]*;* ale to jest właśnie druga dopuszczalna definicja bezpiórego dwunoga.

(5)

[84] ***Wishful thinking*** (ang.) - pobożne życzenia.

- Jak to dobrze, żeś wrócił do domu, taki już byłeś zmęczony.

- *There is not a place like home*[85] - powiedział Oliveira.

- Wypij jeszcze jedną mate, świeżutko naparzona.

- Jak zamknąć oczy, to wydaje się bardziej gorzka, coś wspaniałego. Przejrzyj sobie jakieś pismo, może ci się uda chwilkę zdrzemnąć.

- Dobrze, kochanie - powiedziała Gekrepten wycierając oczy i szukając „Idylii" tylko po to, aby mu się nie sprzeciwiać, bo nie była w stanie nic czytać.

- Gekrepten.

- Tak, najdroższy.

- Nie przejmuj się tym, staruszko.

- Pewno, że nie, kociaczku. Poczekaj, zmienię ci kompres.

- Za chwilę wstanę i pójdziemy się przejść po Almagro. Może dają jakiś musical w kolorach.

- Jutro, najdroższy, dziś musisz poleżeć. Jak wróciłeś, wyglądałeś jak...

- Mam męczącą pracę; naprawdę nie warto się przejmować. Posłuchaj jak pięknie śpiewa Cien Pesos, słychać z dołu.

- Widać, dosypują ptaszynce siemienia... - powiedziała Gekrepten - a on, z tej wdzięczności...

- Z wdzięczności... - powtórzył Oliveira. - Być wdzięcznym za to, że zostało się zamkniętym w klatce...

- Zwierzęta nie zdają sobie sprawy.

- Zwierzęta - powtórzył Oliveira.

(77)

[85] *There is not a place like horne* (ang.) - Nie ma to jak w domu.

73

Tak, lecz któż nas uleczy z tego głuchego ognia, z tego bezbarwnego ognia pomykającego nocą przez rue de la Huchette, wyłaniającego się ze zmurszałych bram, z wąskich przejść, z tego niewidzialnego ognia liżącego kamienie i czyhającego na progach, jakże zmyć z siebie jego parzącą słodycz, wspólniczkę czasu i wspomnień, tych lepkich substancji zatrzymujących nas po tej stronie, jak zmyć z siebie tę przedłużającą się słodycz, która powoli będzie spalała nas aż do obrócenia w popiół.

Widocznie lepiej jest żyć jak koty lub muchy, zawierać błyskawiczne przyjaźnie z konsjerżkami o chrapliwych głosach, z bladymi chorowitymi dziećmi, które wychylają się z okien, bawiąc się trzymaną w ręku zeschłą gałązką. Płonąć bez przerwy, cierpiąc oparzenia od samego środka, rozszerzające się niby sekretne dojrzewanie owocu, być pulsem płonącego stosu wśród nie kończącego się morza kamieni, krążyć wśród nocy naszego życia ze ślepym posłuszeństwem krwi w jej zamkniętym obiegu.

Ileż razy sam siebie pytałem, czy wszystko to nie jest po prostu literaturą, w czasach, które wśród niezachwianych równań i konformistycznych maszyn dążą do zakłamania, a pytanie, czy uda się nam odkryć odwrotną stronę przyzwyczajenia lub czy nie lepiej dać się ponieść własnej wesołej cybernetyce, czyż to z kolei pytanie nie będzie literaturą? Bunt, konformizm, lęk, pokarmy ziemskie, wszelkie dychotomie: Yin i Yang, kontemplacja lub *Tätigkeit,* płatki owsiane czy kuropatwy, Lascaux czy Mathieu, cóż za dziwna huśtawka ze słów, jakaż kieszonkowa dialektyka pełna burz w piżamach i salonowych kataklizmów. Sam fakt zastanawiania się nad wyborem wykrzywia i zaciemnia to, co wybieramy. Wydawałoby się, że wybór nie może być dialektyczny, że takie stawianie problemu zuboża go, to znaczy fałszuje, to znaczy przeobraża w coś innego. Między Yinem a Yangiem ileż eonów? Od *tak* do *nie* ileż *może?* Wszystko jest pismem, wszystko fabułą. Do czegóż nam więc służy prawda, która prawowitemu posiadaczowi daje uspokojenie? Jedyną dostępną nam prawdą musi być zmyślenie, czyli pismo, czyli literatura, pintura, skultura, agrikultura, apikultura, wszystkie tury świata. Wartości - tury, świętość - tura, społeczeństwo - tura, miłość także tylko tura, piękność - tura nad turami.

W którejś ze swoich książek Morelli mówi o neapolitańczyku, który strawił lata siedząc na progu domu i wpatrując się w leżącą na ziemi śrubkę. Na noc podnosił ją i wkładał pod materac. Z początku śrubka wywoływała śmiech, kpiny, potem ogólną irytację, potem oburzenie pośród sąsiadów, jako dowód pogwałcenia praw obywatelskich, wreszcie

wzruszenie ramion, w końcu znów spokój, śrubka stała się spokojem, nikt nie mógł przejść ulicą, żeby na nią ukradkiem nie spojrzeć i nie poczuć, że zawiera spokój. Gdy facet nagle umarł i zjawili się sąsiedzi, śrubka znikła. Widać zabrał ją któryś z nich, może teraz wyjmuje ją i ogląda w ukryciu, a potem chowa z powrotem, idąc do fabryki, i czuje przy tym ciążące nad nim tajemne potępienie, którego nie rozumie. Uspokaja się tylko wtedy, gdy wyciąga ją i na nią patrzy, ale gdy słyszy kroki, musi pospiesznie ją ukryć. Morelli uważał, że śrubka musiała być czymś innym, bogiem albo czymś w tym rodzaju. Lecz to rozwiązanie zbyt proste. Może błąd polega na przyjęciu, że przedmiot ten jest śrubką tylko dlatego, że posiada formę śrubki. Picasso bierze dziecinny samochodzik i przerabia go na brodę magota. Neapolitańczyk może być głupcem, a może odkrywcą nowych światów. Od śrubki do oka, od oka do gwiazdy...

Dlaczego poddawać się Wielkiemu Przyzwyczajeniu? Można wybrać turę, wynalazek, czyli śrubkę albo samochodzik.

Tak oto Paryż niszczy nas powoli i rozkosznie, mieląc drobniutko wraz z przywiędłymi kwiatami, wraz z papierowymi, splamionymi winem obrusami, niszczy nas swym ogniem bez płomienia, który przemyka się o wieczorze, wyłaniając się ze zmurszałych bram. Pali nas wymyślony ogień, rozżarzona do białości tura, sztuczność rasy, miasto - Wielka Śruba, straszliwa igła, przez której nocne oko przepływa nić Sekwany, maszyna koronkowych tortur, agonia w klatce pełnej rozszalałych skowronków. Spalamy się w naszym dziele, w osławionym śmiertelnym honorze, w wyzwaniu rzuconym feniksowi. Ach, nikt nas nie uleczy z tego głuchego ognia, z tego bezbarwnego ognia, pomykającego nocą przez rue de la Huchette. Nieuleczalni, zupełnie nieuleczalni, jako turę wybieramy Wielką Śrubę, kłaniamy się jej, wchodzimy w nią, wymyślamy ją co dzień od początku, z powodu każdej plamy wina na obrusie, z powodu każdego śladu rdzy na kratach Cour de Rohan o świcie, wymyślamy nasz pożar, płoniemy poczynając od środka, może to jest wyborem, może słowa otulają to niby serweta chleb, pozostawiając w środku zapach, rosnące ciasto, tak bez nie albo nie bez tak, dzień bez Manesa, bez Ormuzda lub Arymana, i raz na zawsze, i spokój, i dość.

(1)

Nonkonformista widziany przez Morellego wedle notatki przypiętej do rachunku za pranie: „Akceptacja kamyka i Bety z gwiazdozbioru Centaura, czystej powszedniości i czystej niezwykłości. Taki człowiek porusza się w najwyższych i najniższych częstotliwościach, umyślnie gardząc pośrednimi, czyli sferą najchętniej uczęszczaną przez stado ludzkiego ducha. Niezdolny do zlikwidowania typowych okoliczności, usiłuje odwracać się od nich plecami; nie chcąc przyłączyć się do tych, którzy starają się je zlikwidować (albowiem myśli, że tego typu likwidacja byłaby tylko zamianą ich na inne, równie niepełne i nie do zniesienia), oddala się ze wzruszeniem ramion. Dla jego przyjaciół fakt, że znajduje zadowolenie w głupstwach, w dziecinadach, w kawałku sznurka lub solówce Staną Getza, świadczy o żałosnym zubożeniu; nie wiedzą zaś oni, że jego poszukiwania prowadzą też w stronę przeciwną, ku jakiejś sumie, wymykającej się i urywającej, ani że poszukiwania te nie mają końca, że nie przerwie ich nawet śmierć tego człowieka, bo nie będzie to śmierć sfery pośredniej, śmierć tych częstotliwości, które można usłyszeć uchem nastawionym na słuchanie marsza żałobnego Zygfryda”.

Może po to, aby zbagatelizować egzaltowany ton tej notatki, żółty, pobazgrany ołówkiem świstek: „Gwiazda i kamyk: myśli bezsensowne. Ale intymny kontakt z gładkimi kamykami czasem prowadzi do przejścia. Pomiędzy kamykiem a ręką wibruje jakieś pozaczasowe porozumienie. Piorunujący... (słowo nieczytelne) ... że to także jest Betą Centaura; imiona i wielkości ustępują, roztapiają się, przestają być tym, czym są według naukowych twierdzeń. W ten sposób jest się w czymś, co jest po prostu (czym? czym?) drżącą ręką zaciśniętą na przezroczystym kamyku, który także drży”. (Niżej atramentem: „Nie chodzi o panteizm, to rozkoszne złudzenie, ten upadek ku górze pod płonącym niebem na brzegu morza”).

Gdzie indziej takie wyjaśnienie: „Mówić o najniższych i najwyższych częstotliwościach, to raz jeszcze ustępować *idola fori*[86] i naukowemu językowi, tym złudzeniom Zachodu. Dla mojego nonkonformisty skonstruowanie wśród wesołości latawca i puszczanie go ku uciesze dzieciaków wcale nie zalicza się do niższych przyjemności (niskie w porównaniu do wysokiego, małe w porównaniu do dużego etc.), lecz jest po prostu zlepkiem czystych składników, skąd chwilowa harmonia, satysfakcja pozwalająca przebrnąć przez resztę. Podobnie chwile wyobcowania, szczęśliwej alienacji popychające go drobnymi ruchami ku czemuś, co mogłoby być jego rajem, nie stanowią dla niego jakiegoś

[86] *Idola fori* (łac.) - idole rynku. (Termin filozoficzny wprowadzony przez F. Bacona w *Novum Organum*).

doświadczenia wyższego rzędu niż zbudowanie latawca; jest to jakby kres, ale nie wyższy, ani uprzywilejowany - nie jest to również kres w sensie czasowym, osiągnięcie kulminacyjnego punktu procesu wzbogacającego obnażania; można to osiągnąć siedząc w klozecie, przede wszystkim jednak między kobiecymi udami, wśród obłoków dymu lub w połowie lektur raczej nisko szacowanych przez dodatki kulturalne niedzielnych pism.

W życiu codziennym charakterystyczne dla postawy mojego nonkonformisty jest odrzucanie wszystkiego, co choćby z daleka zalatuje gotowymi rozwiązaniami, tradycją, instynktem stadnym opartym na strachu i rzekomo wzajemnych korzyściach. Bez większego wysiłku mógłby być Robinsonem. Nie jest mizantropem, ale zarówno od kobiet, jak od mężczyzn przyjmuje tylko to, co nie zostało wymodelowane przez nadbudowę społeczną: wie, że sam częściowo tkwi w szablonie, ale jest to świadomość czynna, nie zaś rezygnacja człowieka, posłusznie maszerującego w takt. Przez większą część czasu sam policzkuje się wolną ręką, w wolnych zaś chwilach policzkuje innych, którzy mu to zwracają z nawiązką. W ten sposób czas schodzi na niesłychanie kłopotliwym zawracaniu głowy, w które wciąga kochanki, przyjaciół, wierzycieli i urzędników, w przerwach zaś korzysta ze swej wolności w sposób, który wręcz zdumiewa otoczenie, a który zawsze kończy się drobnymi katastrofami na miarę jego i jego osiągalnych ambicji. Druga wolność, ta bardziej nieuchwytna i ukryta, dręczy go, ale tylko on (a i to niełatwo) mógłby zdać rachunek ze swych igraszek”.

(6)

75

Piękny był ówczesny królewski styl życia, którego treścią było pisanie sonetów, rozmowy z gwiazdami, medytacje podczas buenosaireńskich nocy, pogodny spokój, z jakim w wygodnych fotelach teatru Colón słuchało się koncertów lub odczytów obcojęzycznych mistrzów.

On znał jeszcze ów świat tak żyjący, tak kochający, umyślnie harmonijny i wygładzony - architektoniczny. Aby łatwiej podkreślić odległość, dzielącą go od owego kolumbarium, Oliveira bawił się w przedrzeźnianie z gorzkim uśmiechem przesadnych zdań i ozdobnych rytmów dnia wczorajszego, olimpijskiego sposobu mówienia lub przemilczania. W Buenos Aires, stolicy strachu, znowu zaczynał są czuć otoczony przez dyskretne ogładzanie chropowatości, które przywykło się nazywać zdrowym rozsądkiem, przede wszystkim zaś przez owo samozadowolenie, które wzbiera w głosach zarówno młodych, jak i starych, ich zgodę na to, by konieczność uważać za prawdę, a namiastkę za, za, za... (przed lustrem, z tubką pasty do zębów w zaciskającej się pięści, Oliveira po raz nie wiem który wybuchał śmiechem prosto we własną twarz i zamiast włożyć sobie szczoteczkę do ust, przybliżał ją do swojego obrazu, różową pastą dokładnie obrysowywał fałszywe usta, na samych wargach malował serce, ręce, nogi, litery, świństwa, przejeżdżał szczotką po lustrze, walił po nim tubką, skręcając się ze śmiechu aż do nadejścia zrozpaczonej Gekrepten z gąbką, która... i tak dalej).

(43)

76

Z Polą też zaczęło się od rąk, jak zawsze. Wieczór, znużenie po wielu godzinach straconych w kawiarni nad gazetami będącymi zawsze jedną i tą samą gazetą, warstwą piwa ciężko ugniatającą żołądek. Wystawienie na każdy sztych, obojętność i opuszczenie, które tylko czyhają, by się rzucić, ale to jakaś kobieta otwiera torebkę chcąc zapłacić za kawę, przez chwilę palce jej mocują się z opornym zamkiem - odnosi się wrażenie, że zamek brom wejścia do domu opatrzonego znakiem zodiaku, że gdy palcom jej uda się odchylić cienką złoconą sztabkę, będzie to jakąś rewelacją, która olśni przesiąkniętych pernodem i *Tour de France* kawiarnianych bywalców, może zresztą nie olśni, może ich połknie, lej z fiołkowego aksamitu wyrwie świat z posad i cały Luksemburg, rue Soufflet, Gay-Lussac, café Capoulade, fontannę Médicis, rué Monsieur-le-Prince, wszystko to pochłonie w jakimś bulgocie, tak że nie zostanie nic poza pustym stolikiem, otwartą torebką, palcami kobiety wydostającymi stufrankową monetę, aby podać ją staremu Ragon, podczas gdy Horacio Oliveira, który oczywiście efektownie przeżył katastrofę, przygotowuje się do powiedzenia tego, co się mówi przy okazji wielkich kataklizmów.

- Och, - odparła Pola - nie jestem specjalnie strachliwa.

Powiedziała: *Oh, vous savez,* w taki sposób, w jaki zapewne przemawiał sfinks zadając zagadkę - usprawiedliwiając się niemal, rezygnując z prestiżu, którego jest pewien. Powiedziała to tak, jak mówią kobiety w powieściach, w których autor nie chce tracić czasu i większą część opisów umieszcza w dialogach, łącząc w ten sposób przyjemne z pożytecznym.

- Kiedy mówię: strach - zauważył Oliveira, siedzący na tej samej ławeczce obitej czerwonym pluszem, trochę na lewo od sfinksa - mam na myśli ukryte, nieznane podszewki spraw. Pani ruszała ręką, jakby pani dotykała jakiejś granicy, za którą rozpoczyna się świat na opak, w którym ja na przykład mógłbym być tą torebką, a pani starym Ragon.

Miał nadzieję, że Pola roześmieje się i sytuacja przestanie być dwuznaczna. Pola jednak (potem dowiedział się, że nazywała się Pola) nie uznała jego przypuszczeń za absurdalne. W uśmiechu ukazywała zęby małe i nadzwyczaj regularne, o które troszkę rozpłaszczały się jaskrawopomarańczowe wargi, ale Oliveira całkowicie pogrążony był w rękach (zawsze przyciągały go kobiece ręce), chciał dotknąć ich, przesunąć palcami po każdym zgięciu ruchem japońskiego kinezjologa, chciał prześledzić niedostrzegalną drogę żyłek, zbadać stan paznokci, poznać linie zagrażające i wzgórki przychylne z wróżbiarskiego

punktu widzenia, posłyszeć szum księżyca przytykając ucho do wnętrza niewielkiej dłoni, trochę wilgotnej, może od miłości, a może od szklanki z herbatą.

(101)

- Sam pan rozumie, że po tym, co się zdarzyło...

- *Res, non verba*[87] - odparł Oliveira. - Osiem dni po osiemdziesiąt pesos, osiem razy siedem, pięćset sześćdziesiąt, powiedzmy, pięćset pięćdziesiąt pesos, a za te dziesięć postawi pan chorym coca-colę.

- Proszę bezzwłocznie zabrać swoje rzeczy osobiste.

- Dziś-jutro je zabiorę. Raczej jutro niż dzisiaj.

- Tu są pieniądze. I będzie pan łaskaw podpisać mi kwit.

- Nie będę nic łaskaw. Podpiszę i tyle. *Ecco.*

- Moja małżonka jest tak przedenerwowana - powiedział Ferraguto odwracając się tyłem i żując cygaro.

- Cóż, kobieca nadwrażliwość, wiek przejściowy, te rzeczy.

- Powiedziałbym po prostu - godność.

- Właśnie to miałem na myśli. A propos godności, dziękuję za zatrudnienie mnie w cyrku. To mnie bawiło, a nie wymagało dużo pracy.

- Moja małżonka nie jest w stanie pojąć - zaczął Ferraguto, ale Oliveira już był za drzwiami. Któryś z nich przymknął oczy, może je zresztą otworzył. Drzwi także miały w sobie coś z oka, które zamykało się i otwierało. Ferraguto zapalił cygaro i włożył ręce w kieszenie. Zastanawiał się, co powie temu egzaltowanemu, nieprzytomnemu młodzieńcowi, gdy ten się do niego zgłosi. Oliveira pozwolił sobie położyć kompres na czole (więc to jednak on zamknął oczy) i pomyślał o tym, co powie Ferragucie, kiedy ten go wezwie.

(131)

[87] *Res, non verba* (łac.) - Fakty, nie słowa. (Przysłowie łacińskie, stosowane w sytuacjach wymagających czynów i faktów, a nie deklaracji).

78

Intymność Travelerów. Kiedy rozstaję się z nimi w sieni czy w kawiarni na rogu, nagle mam uczucie, że chciałbym pozostać blisko, podglądać ich życie, *voyeur* pozbawiony apetytów, przyjacielski, smutnawy. Intymność. Ale słowo! Od razu ma się ochotę przywalić mu to fatalne „h". Ale jakież inne słowo mogłoby tak hintymnie podniecić sam naskórek znajomości, nabłonkową przyczynę, dla której Talita, Manolo i ja jesteśmy przyjaciółmi. Ludzie myślą, że są przyjaciółmi dlatego, że parę godzin tygodniowo spędzają wspólnie na kanapie, w kinie, czasem w łóżku, albo dlatego, że kolegują się w biurze. Ileż razy, gdy byłem chłopcem, złudzenie identyczności z kolegami dawało mi wrażenie szczęścia. Poczucie identyczności z mężczyznami i kobietami, z których znamy tylko jeden profil: jakiś rodzaj zachowania się, jakiś sposób oddawania się. Z wyrazistością, której nie stłumił czas, widzę buenosaireńskie kawiarnie, gdzie przez parę godzin uwolnieni od rodziny i obowiązków, zanurzeni w dymie i tajemnym zaufaniu, dochodziliśmy do czegoś, co było pocieszeniem w niepewności, co obiecywało jakiś rodzaj nieśmiertelności. Tak właśnie, mając dwadzieścia lat, wypowiadaliśmy nasze najinteligentniejsze sformułowania, poznawaliśmy nasze najskrytsze uczucia, byliśmy prawdziwymi bogami zimnego piwa i kubańskiego rumu. Och, niebo kawiarniane, *cielito del café, cielito lindo*[88]. Później ulica była jak gdyby wygnaniem, anioł z mieczem ognistym regulował ruch na rogu Corrientes i San Martín. Do domu, bo już późno, hej, prędko do roboty, do małżeńskiego łoża, do rumianku dla starej, do jutrzejszego egzaminu, do głupiutkiej narzeczonej, zaczytującej się w Vicki Baum, z którą - nie ma wyjścia - mimo wszystko przyjdzie się ożenić.

(Dziwna facetka z tej Tality. Ma się wrażenie, że idzie trzymając w ręku płonącą świecę, że wskazuje drogę, j w dodatku ta skromność, jakież to rzadkie u Argentynki z dyplomem, w tym kraju, gdzie byle tytulik wystarcza, żeby patrzeć z góry na cały świat. Pomyśleć, że sama obsługiwała aptekę, to fantastyczne, to fenomenalne, to rzeczywiście fenomenologiczne, w dodatku tak ślicznie się czesze).

Teraz dopiero odkryłem, że Manolo nazywa się w domu Manu. Talicie wydaje się to zupełnie naturalne, nie orientuje się, że dla jego koleżków to skandal, który należy taić, rana, która nie przestaje krwawić. Chociaż jakim prawem ja... A jeżeli już - to prawem marnotrawnego syna. Wspomnę nawiasem, że wypadałoby, aby marnotrawny syn rozejrzał się za jakimś zajęciem, ostatnie poszukiwania pieniędzy były dosłownie speleologiczne. O ile przyjmę awanse biednej Gekrepten, która zrobi wszystko, żeby iść ze mną do łóżka, będę

[88] *Cielito del café...* (hiszp.) - niebo kawiarniane, piękne niebo.

miał zapewniony pokój, poprasowane koszule i tak dalej. Pomysł, żeby wziąć się do handlu kuponami na ubrania, nie jest bardziej idiotyczny niż wszystkie inne pomysły, kwestia wprawy, ale przyjemniej byłoby dostać się do cyrku z Manolem i Talitą. Dostać się do cyrku, piękne sformułowanie. Na początku był cyrk i ten poemat Cummingsa, w którym mówi, że Stary w dniu Stworzenia nabrał w płuca tyle powietrza, że wystarczyłoby do wypełnienia cyrkowego namiotu. Przyjmiemy ofertę Gekrepten, która jest porządną dziewczyną, a to pozwoli nam zamieszkać blisko Tality i Manola, jako że topograficznie będziemy przedzieleni zaledwie dwiema ściankami i cienką warstwą powietrza. Podręczny burdelik pod nosem, sklep spożywczy w zasięgu ręki, targ obok. Pomyśleć, że Gekrepten oczekiwała mnie! To niebywałe, że ludziom zdarzają się takie rzeczy. Wszystkie akty bohaterskie powinny właściwie być zarezerwowane dla rodziny, a tu - ale ci hincydent! - babka informuje się u Travelerów o moich zamorskich niepowodzeniach i przez cały czas na posadzie sprzedawczyni w sklepie przy ulicy Maipu, tkając i prując ten sam fiołkowy pulower, oczekuje swojego Ody-seusza. Byłoby czarną niewdzięcznością nie przyjąć oferty Gekrepten, odmówić sobie całkowitego unieszczęśliwienia jej. Cynizm cynizmu ozdobą, lecz nareszcie jesteś sobą, hohydny Hodyseuszu.

No nie, jeżeli pomyśleć szczerze, największym absurdem życia jest jego fałszywe założenie. Oddzielne orbity, od czasu do czasu dwie ręce, które się ściskają, jakaś pięciominutowa pogawędka, dzień na wyścigach, wieczór w operze, czuwanie przy zmarłym, gdzie wszyscy czują się jakoś bardziej zespoleni (i tak jest rzeczywiście, ale kończy się to z chwilą zalutowania trumny). I równocześnie człowiek żyje przekonany, że ma przyjaciół pod ręką, że porozumienie istnieje, że zarówno zgoda, jak i niezgoda głębokie są i trwałe. Jakże nienawidzimy się wszyscy, nie wiedząc, że czułość jest aktualną formą tej nienawiści, której powodem jest właściwie odśrodkowość, ekscentracja, nieprzenikniona przestrzeń między tobą a mną, między tym a tamtym. Każda czułość jest ontologicznym drapnięciem pazura, usiłowaniem osiągnięcia nieosiągalnego, a ja, który miałbym ochotę wniknąć w intymność Travelerów, pod pozorem poznania ich bliżej, stania się prawdziwym przyjacielem, w gruncie rzeczy chciałbym posiąść manę Manu, przekorność Tality, ich sposób patrzenia, ich przeszłość i przyszłość, tak różne od moich. Skąd ta mania intelektualnego posiadania, Horacio? Skąd ta tęsknota do łączenia się, u ciebie, który właśnie pozrywałeś ostatnie liny, siejąc zamieszanie i zniechęcenie (może powinienem był dłużej zatrzymać się w Montevideo, lepiej poszukać?) w przesławnej stolicy łacińskiego ducha? Z jednej strony dobrowolnie zerwałeś z całym rozdziałem twego życia, zerwałeś tak radykalnie, że nawet nie pozwalasz sobie myśleć w języku, w którym parę miesięcy temu tak lubiłeś gadać, z drugiej zaś, och,

hidioto pełen sprzeczności, dosłownie pękasz z pragnienia, żeby jakoś się włączyć w hintymność Travelerów, histnieć z Travelerami, zahinstalować się w nich do cyrku włącznie (ale dyrektor nie przyjmie mnie tam, tak że trzeba serio pomyśleć o przebraniu się za marynarza i zachwalaniu damom świeżo przemyconych kuponów). Och, kutasie! Zobaczymy, czy znowu weźmiesz się do siania defetyzmu w szeregach, czy zjawiłeś się tylko po to, żeby zrujnować życie spokojnym ludziom. Historia o gościu, który uważał się za Judasza, wobec czego prowadził psie życie w najlepszym towarzystwie Buenos Aires. Nie bądźmy próżni. Najwyżej pieszczotliwy inkwizytor, jak mi to znakomicie powiedziano któregoś wieczoru. Niech pani tylko spojrzy na ten kuponik. Dla szanownej pani jedne sześćdziesiąt pięć pezików metr. Pani mąż, przepraszam, małżonek pani, będzie z pewnością zachwycony, jak wróci z ro... chciałem powiedzieć z pracy. Będzie skakał do sufitu, najświętsze marynarskie słowo. No cóż, musze troszeczkie na lewo, trzeba jakoś dorobić, mam chorego dzieciaka, moja żo... moja małżonka szyje do sklepu konfekcyjnego, jak to się mówi, każdy orze jak może. Widzę, że szanowna pani wczuwa się w moją sytuację...

(40)

Niebywale pedantyczna notatka Morellego: „Porwać się na powieść komiczną w tym sensie, że poprzez jej tekst można by sugerować inne wartości; w ten sposób współdziałałby on z taką antropofanią, jaką jeszcze uważamy za możliwą. Wydawałoby się, że zwykła powieść uniemożliwia wszelkie poszukiwania, bo tym ściślej zamyka czytelników w granicach własnego zasięgu, im lepszy pisarz jest jej autorem. Nieuniknione zatrzymywanie się na różnych stopniach napięcia dramatycznego, psychologicznego, tragicznego, satyrycznego czy też politycznego. Zamiast tego chciałbym napisać tekst, który nie porwałby czytającego, lecz przemocą zrobił z niego wspólnika, podszeptując mu pod konwencjonalnym wątkiem inne, bardziej ezoteryczne tematy. Pisarstwo zdegradowane do poziomu czytelnika-samicy (który zresztą i tak nie przekroczy pierwszych stronic, zagubiony, zgorszony, przeklinając wydatek na zakup książki) przy równoczesnej niejasnej świadomości, że można pisać hieratycznie.

Prowokować, zakładać pisanie między wierszami, niepowiązane, chaotyczne, ściśle antyliterackie (jakkolwiek nie antypowieściowe). Nie wzbraniać sobie - gdy sytuacja tego wymaga - wielkich efektów, potencjalnie tkwiących w tym rodzaju literatury, mając jednak zawsze na uwadze radę Gide'a: *jamais profiter de l'élan acquis*[89].

Jak wszystkie twory najwyższego lotu, w zachodnim świecie powieść zawiera się w pewnym zamkniętym porządku. Będąc do tego w zdecydowanej opozycji, poszukiwać otwartej drogi, a więc niszczyć w zarodku każdą sztywną konstrukcję zarówno charakterów, jak i sytuacji. Metoda: ironia, nie kończąca się samokrytyka, chaos, uniezależniona wyobraźnia.

Próba tego rodzaju wypływa z odrzucenia literatury odrzucenia literatury, odrzucenia częściowego, mimo wszystko bowiem pozostanie zależność od słów, lecz obejmującego wszystkie posunięcia zarówno autora, jak i czytelnika. Używać więc powieści tak, jak się używa rewolweru, aby bronić własnego spokoju, tyle że zmieniając symbol. Brać to z literatury, co jest żywym pomostem między jednym człowiekiem a drugim, to, czym wśród specjalistów jest traktat lub esej. Narracja ma być pretekstem dla posłania (nie istnieją posłania, istnieją tylko posłannicy, oni sami są posłaniem, tak jak miłością jest ten, kto kocha); narracja ma działać jako koagulator wszystkich życiowych doświadczeń, jako katalizator zawiłych i niezrozumiałych koncepcji, przede wszystkim bijących w pisarza; z tego powodu musi mieć formę antypowieści, albowiem wszelki zamknięty porządek

[89] *Jamais profiter...* (franc.) - nigdy mc wykorzystywać nabranego rozpędu.

systematycznie pozostawiałby poza nawiasem te przekazy, które mogłyby zmienić nas w posłanników, zbliżyć do naszych własnych granic, od których jesteśmy przecież tak daleko, mimo że stoimy z nimi twarzą w twarz.

Dziwaczna autokreacja autora poprzez własne dzieło. Jeżeli z magmy, którą jest każdy dzień, z tego zanurzenia w egzystencji, chcemy wydobyć moc wartości, zwiastującej antropofanię jako swój ostateczny cel, do czegóż może nam służyć zwykłe zrozumienie, wyniosły, rezonujący rozum?

Od czasu eleatów po dzień dzisiejszy dialektyczna myśl miała aż za dużo czasu, by dać nam swoje owoce. Zajadamy je, są znakomite, całe bulgoczą od radioaktywności. Dlaczegóż więc po zakończeniu bankietu jesteśmy aż tak smutni, o bracia moi z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątych lat?".

Inna notatka, prawdopodobnie uzupełniająca: „Sytuacja czytelnika. Przeważnie każdy powieściopisarz oczekuje od czytelnika, aby go zrozumiał, uczestnicząc w jego doświadczeniach, albo by podjął określone posianie i uczynił je swoim. Pisarz romantyczny pragnie być rozumiany poprzez siebie lub za pośrednictwem swoich bohaterów. Pisarz klasyczny chce pouczać, pozostawić własny ślad na ścieżce historii.

Trzecia możliwość: zrobienie czytelnika wspólnikiem, towarzyszem podróży. Urównocześnić go ze sobą, zakładając, że czytanie zniesie własny czas, przenosząc go w czas autora. W ten sposób czytelnik będzie mógł stać się współuczestnikiem i współofiarą doświadczenia, będącego udziałem autora, w tym samym czasie i w identycznej formie. Wszelkie artystyczne triki są tu bezużyteczne, liczy się tylko formowanie się materii, doraźność przeżytego doświadczenia (przeniesionego naturalnie przez słowo, lecz przez słowo możliwie odestetyzowane; stąd powieść komiczna, antyklimaksy, ironia i jeszcze wiele innych strzałek kierunkowych wskazujących «poza».

Dla tego czytelnika, *mon semblable, mon frère*[90], «powieść komiczna» (czymże zresztą jest *Ulisses?*) musi przebiegać podobnie do tych snów, w których na marginesie trywialnych zdarzeń przeczuwamy jakiś znacznie poważniejszy niepokój, mimo że nie zawsze udaje się go nam odcyfrować. W tym sensie «powieść komiczna» musi być niebywale skromna, nie oszukiwać czytelnika, nie rozpraszać go żadną emocją ani intencją, a tylko ofiarowywać mu coś w rodzaju gliny pełnej treści, zaczątku formy ze śladami czegoś, co mogłoby być wspólne, ludzkie, a nie indywidualne. Jeszcze lepiej byłoby dać mu coś w rodzaju fasady z drzwiami i oknami; za nią kryłaby się tajemnica, której czytelnik-wspólnik usiłowałby szukać (stąd wspólnictwo), której może by jednak nie znalazł (stąd współofiara).

[90] *Mon semblable, mon frère* (franc.) - mó| bliźni, mój bracie (Ch. Baudelaire, *Do czytelnika,* w tomie *Kwiaty zła,* tłum. A.

To, co autor osiągnie dla samego siebie, powtórzy się (może w jeszcze większych wymiarach, a to byłoby wspaniałe) u czytelnika-wspólnika. Co do czytelnika-samicy, ten zadowoli się fasadą, a wiemy, że istnieją bardzo piękne, prawdziwe *trompe-l'oeil*[91], i że można przed nimi z równym powodzeniem przedstawiać komedie, jak i tragedie *d'un honnête homme*[92]. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni, nielicznych zaś malkontentów niech piorun trzaśnie".

(22)

Lange).

[91] *Trompe-l'oeil* (franc.) - złudzenie optyczne.

[92] *D'un honnête homme* (franc.) - człowieka uczciwego.

80

Kiedy poobcinam paznokcie albo umyję głowę, albo nawet teraz, kiedy pisząc, słyszę burczenie w brzuchu

znowu mam uczucie, że moje ciało zostało za mną (nie popadam w łatwe dualizmy, ale mimo to widzę różnicę między mną a moimi paznokciami),

że jakoś niedobrze jest z moim ciałem, że za dużo go lub za mało (to zależy).

Inaczej mówiąc: na tym etapie należałaby się nam lepsza maszyna. Psychoanaliza wykazuje, jak obserwowanie ciała pogrąża nas w przedwczesnych kompleksach, (I Sartre, który w fakcie, że kobieta jest „dziurawa", dopatruje się egzystencjalnych implikacji, odciskających się na całym jej życiu!) Przykra jest myśl, że jakkolwiek wyprzedzamy to ciało, w samym tym wyprzedzaniu już tkwi błąd, opóźnienie i prawdopodobnie zbędność, bo te paznokcie, ten pępek,

chcę powiedzieć coś innego, coś niemal nieuchwytnego: że „duch" (moje ja - nie paznokciowe) jest duszą ciała, którego nie ma. Może duch pchnął człowieka ku cielesnej ewolucji, ale zmęczył się tym popychaniem i dalej poszedł już sam. Zaledwie zrobił dwa kroki

wyzionął ducha, aj, nieszczęsny duch, bo jego prawdziwe ciało nie istnieje i pozwala mu upaść, klap.

Biedny wraca do domu etc., ale to nie jest to, co ja... A zresztą...

Długa rozmowa z Travelerem o wariacji. Mówiąc o snach, niemalże równocześnie skonstatowaliśmy, że pewne senne konstrukcje byłyby zwykłymi formami wariacji, gdyby przedłużyć je na jawie. W czasie snu puszczamy wodze naszym zdolnościom do wariacji,

Równocześnie ustaliliśmy, że wariacja jest po prostu zafiksowanym snem.

Mądrość ludu: „to wariat, on stale śni...".

(46)

81

Według Arystofanesa właściwym zadaniem sofisty jest wymyślanie nowych racji.

Spróbujmyż wymyślić nowe namiętności albo powtórzyć minione z równym natężeniem.

Jeszcze raz powracam do zanalizowania tej paskalowskiej konkluzji: Prawdziwa wiara znajdzie się dokładnie w połowie drogi między przesądem a libertynizmem.

José Lezama Lima, *Tratados en La Habana*

(74)

MORELLIANA

Czemu to piszę? Nie myślę jasno, niemalże w ogóle nie myślę. Strzępy, zrywy, fragmenty, wszystko to szuka nowej formy, wtedy w grę wchodzi rytm i zaczynam pisać w tym rytmie, pisać dla niego, to on mnie popycha, a nie to, co nazywamy myślą i co tworzy prozę zarówno literacką, jak wszelką inną. Z początku jest tylko jakiś zamęt, który można zdefiniować wyłącznie za pomocą słów; z tego zamętu wyruszam i jeżeli to, co chcę wypowiedzieć (czy też to, co samo chce się wypowiedzieć), ma dosyć siły, natychmiast rozpoczyna się swing, rytmiczne kołysanie, które wynosi mnie na powierzchnię, wszystko rozświetla, łączy ów zamęt i tego, który jest jego ofiarą, w jakiejś trzeciej instancji, jasnej i niejako fatalnej: zdanie, akapit, stronica, rozdział, książka. To kołysanie, ten swing, w którym zamęt nabiera form, jest dla niego jedynym dowodem tego, że jest on potrzebny, albowiem gdy tylko ustaje, widzę, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Jest również jedyną nagrodą za moją pracę: czuć, że to, co napisałem, jest niby grzbiet kota pod pieszczotą naelektryzowany i miarowo się wyginający. W ten sposób przez pisanie schodzę w głąb wulkanu, zbliżam się do Matek, łączę się ze środkiem - niech się dzieje co chce. Pisać - to rysować moje *mandala* i równocześnie obserwować je, stwarzać oczyszczenie w chwili oczyszczania się; ot i zajęcia biednego białego szamana w nylonowych gatkach.

(99)

83

Człowiek robi odkrycie, że ma duszę, ilekroć poczuje, że jego ciało jest pasożytem, przyklejonym do nas robakiem. Wystarczy poczuć, że się żyje (nie tylko dlatego, że jest tak, a nie inaczej, że coś akceptujemy bo-tak-jest-jak-jest), aby najbliższa i najdroższa część naszego ciała, na przykład prawa ręka, natychmiast stała się przedmiotem ze wstrętem spełniającym swoją podwójną rolę, polegającą na tym, że jest mną i jest czymś tylko ze mną połączonym.

Łykam zupę. Później w trakcie jakiejś lektury nagle myślę: Zupa jest we mnie, mam ją w woreczku, którego nigdy nie zobaczę - w żołądku". Dotykam palcami i czuję wypukłość poruszającego się we mnie pokarmu. Tym jestem - workiem pełnym pokarmów.

Wtedy rodzi się duch: „Nie, nie jestem tym".

Jakkolwiek (bądźmyż raz uczciwi)

tak, jestem. Z możliwością małej wolty na użytek delikatnych:

„Tak, jestem t a k ż e i t y m". Albo o stopień wyżej: „Tak, jestem w t y m".

Czytam „The Waves", tę koronkę z popiołu, tę bajkę z piany. O trzydzieści centymetrów poniżej mych oczu zupa łagodnie bulgocze w worku mojego żołądka, włos rośnie mi na udzie, jakiś tłuszczak niepostrzeżenie zbiera się na plecach.

Na zakończenie tego, co Balzac nazwałby „orgią", jakieś pozbawione metafizycznego zacięcia indywiduum powiedziało mi, chcąc zrobić żart, że defekacja robi na nim wrażenie czegoś nierealnego. Przypominam sobie dokładnie jego słowa: „Wstajesz, odwracasz się, patrzysz i wtedy myślisz:

- Niemożliwe! To ja to zrobiłem?".

(W wierszu Lorki: „Nie ma rady, synu mój, rzygaj, nie ma żadnej rady!" A zdaje się, że i zwariowany Swift powiedział:

„Nie, że też Celia, Celia, Celia sra...!").

W literaturze wiele się mówi o bólu fizycznym spełniającym rolę metafizycznego ukłucia. Co do mnie, to każdy ból dwojako we mnie uderza: z jednej strony straszliwie podkreśla rozwód pomiędzy mną a moim ciałem (fałszywy rozwód, wymyślony po to, aby mnie pocieszyć), a równocześnie zbliża mnie do mojego ciała, narzuca mi je w formie bólu. Ten ból jest w większej mierze moim niż przyjemność czy też zwykła cenestezja. Jest prawdziwą w i ę z i ą. Gdybym umiał rysować, przedstawiłbym alegorycznie ból wyganiający

duszę z ciała, ale ten rysunek równocześnie wykazywałby, że wszystko jest fałszem: zwykłe pozory kompleksu, którego jedność polega na nieposiadaniu jej.

(142)

84

Włócząc się po Quai des Célestins, depczę po zeschłych liściach, a kiedy podnoszę jeden z nich i starannie mu się przyglądam, widzę, że cały pokryty jest złocistym kurzem, a pod spodem oblepiony ziemią o zapachu mchu, którym nasiąkają mi palce. Oto przyczyny, dla których znoszę zeschłe liście i przytwierdzam do abażuru lampy. Przychodzi Osip, siedzi dwie godziny i ani spojrzy na lampę. Drugiego dnia przychodzi Etienne, jeszcze trzymając beret w ręku mówi: *Dis-donc, c'est épatant, ça!* [93], i podnosząc lampę, studiuje liście, wpada w zapał. Durer, siateczka żyłek i tak dalej.

Ta sama sytuacja i jej dwie wersje... Zostaję z myślami o wszystkich liściach, których nie zobaczę, ja, zbieracz zeschłych liści, o tylu rzeczach drżących w powietrzu, których nie ujrzą moje oczy, nieszczęsne nietoperze z powieści, kina, zeschłych liści. Wszędzie będą lampy, będą liście, których nie zobaczę.

I w ten sposób *de feuille en aiguille*[94] myślę o tych wyjątkowych stanach, w których przez chwilę odgaduje się niewidoczne liście i lampy, odczuwa się je w jakimś pozaprzestrzennym powietrzu. To proste: wszelka egzaltacja i wszelka depresja pogrążają mnie w stan sprzyjający

nazwałbym to parawizją

to znaczy (chociaż trudno jest określić znaczenie)

że odczuwam zdolność do wyjścia z siebie po to, ażeby móc się objąć spojrzeniem od zewnątrz albo od wewnątrz, ale na jakimś innym planie,

jakbym był kimś, kto na mnie patrzy

(jeszcze lepiej - bo w rzeczywistości nie widzę się - jakbym był kimś, kto we mnie żyje).

To trwa przez mgnienie, dwa kroki, moment zaczerpnięcia oddechu (czasem przy obudzeniu trwa to trochę dłużej, a wtedy jest to wspaniałe)

i przez tę sekundę wiem, k i m j e s t e m, bo znakomicie w i e m, k i m n i e j e s t e m (co później chytrze zapomnę). Ale nie istnieją słowa dla materii oscylującej między słowami a czystą wizją, czymś niby blok oczywistości. Nie sposób zobiektywizować, sprecyzować to, co uchwyciłem w ciągu sekundy, a co było oczywistą nieobecnością czy oczywistym brakiem, chociaż

nie wiadomo c z e g o, c o.

[93] *Dis donc, c'est...* (franc.) - Sam powiedz, wspaniałe, no nie?
[94] *De feuille...* (franc.) - parafraza wyrażenia *de fil en aiguille, z*naczącego „po nitce do kłębka".

Inny sposób sformułowania tego samego: gdy to się zdarza, już nie jestem zwrócony w stronę świata, od siebie ku czemuś drugiemu, lecz na jedną sekundę sam staję się światem, spojrzeniem z boku, kimś, kto na mnie patrzy. Widzę się tak, jak mogą mnie widzieć inni. To nie ma ceny, dlatego trwa zaledwie mgnienie oka. Obserwuję własne ułomności, zauważam wszystko to, czego z powodu nieobecności lub z powodu braku nigdy się w sobie nie widzi. Widzę to, czym nie jestem. Na przykład (choć układam to sobie już po powrocie, jednak wypływa to stamtąd): istnieją olbrzymie przestrzenie, do których nigdy nie dotarłem, a nie można nigdy stać się tym, czego się nie zna. Dzikie pragnienie, aby puścić się pędem, wskoczyć do pociągu, pożreć całego Jouhandeau, umieć po niemiecku, poznać Aurangabad... marne, umiejscowione przykłady, które może mogłyby jednak dać pojęcie (pojęcie?).

Inna próba sformułowania: brak odczuwa się bardziej jako ubóstwo intuicji niż jako zwykły brak doświadczenia. W rzeczywistości niewiele się przejmuję tym, że nie znam całego Jouhandeau, co najwyższej odczuwam pewien smutek, że życie jest zbyt krótkie, aby wszystkie biblioteki etc. Luki w doświadczeniach są nieuniknione, jeżeli czytam Joyce'a automatycznie poświęcam jakąś inną lekturę i na odwrót etc. Uczucie braku ostrzejsze jest w...

To jest trochę tak: istnieją powietrzne linie gdzieś nad twoją głową, poza polem twojego widzenia strefy, na których granicy zatrzymuje się twój wzrok, twój węch, twój smak,

to znaczy, że jesteś ograniczony od zewnątrz,

i nie możesz wykroczyć poza te granice w pojmowaniu, bo ta rzecz, podobnie jak lodowiec, pokazuje ci z siebie tylko cząstkę, podczas gdy olbrzymia reszta jest poza twoim zasięgiem, dlatego zresztą utonął „Titanic". Hależ Holiveira, co za horrendalna hinterpretacja...

Bądźmy poważni. Osip nie zauważył suchych liści na lampie po prostu dlatego, że jego zasięg nie obejmował lampy. Etienne zauważył je od razu, jego ograniczenie natomiast nie pozwoliło mu zauważyć, że byłem zgorzkniały i ogłupiały z powodu Poli. Osip zauważył to natychmiast i dał mi do zrozumienia. I tak jest z nami wszystkimi.

Wyobrażam sobie człowieka jako amebę, która wyciąga swoje nibynóżki w celu pobrania pokarmu. Istnieją nibynóżki długie i krótkie, ruchy, krążenia. Pewnego dnia utrwala się to (co nazywamy dojrzałością, człowiekiem dorosłym). Z jednej strony daleki zasięg, z drugiej - niewidzenie lampy stojącej pod nosem. I na to nie ma już rady, bo jest się gotowym, wyposażonym w to albo w tamto. Człowiek żyje przeświadczony, że nie umknie

mu nic interesującego, aż do chwili gdy jakieś drobne przesunięcie ukaże mu na przeciąg sekundy, niestety nie pozostawiając czasu na z r o z u m i e n i e, o co chodzi,

ukaże mu jego rozczłonkowane ja, jego nieregularne nibynóżki

podejrzenie, że tam dalej, gdzie teraz widzę tylko przejrzyste powietrze,

albo w tym braku decyzji, na rozdrożu wyboru

w reszcie rzeczywistości, o której nie wiem nic

sam siebie daremnie oczekuję.

(Ciąg dalszy)

Jednostki w stylu Goethego z pewnością nie miały wielu doświadczeń tego typu. Dzięki naturalnym skłonnościom lub *z* własnej woli (geniusz na tym polega, że ogłasza się geniuszem i nie myli się) mają nibynóżki maksymalnie wyciągnięte we wszystkich kierunkach. Ogarniają płaską przestrzeń, ich ograniczeniem jest ich skóra, przerzucona (w myśli) na nie kończące się odległości. Nie wydaje się, aby mogli pragnąć tego, co się zaczyna (lub trwa) poza ich olbrzymią strefą. I dlatego, cóż chcesz, są klasykami.

Na amebę uso nostro nieznane napiera ze wszystkich stron. Mogę wiele wiedzieć i wiele przeżywać w danym i zakresie, ale wtedy to inne przybliża się od strony, gdzie powstały luki, i drapie mnie w głowę swym zimnym paznokciem. Na nieszczęście drapie mnie wtedy, kiedy chciałbym więcej wiedzieć - wszystko w moim otoczeniu tak jest stałe, tak umiejscowione, tak kompletne i masywne, i zaetykietowane, iż zaczynam wierzyć, że to był sen, że wszystko jest w porządku, że jakoś się odbronię i że nie powinienem poddawać się wyobraźni.

(Ostatni ciąg dalszy)

Aż do przesady wychwalano wyobraźnię. Biedaczka ta nie może jednak zrobić ani kroku poza granicę nibynóżek. W tę stronę - wielka różnorodność i żywość. Ale w stronę przestrzeni, gdzie wieje kosmiczny wiatr (Rilke czuł go koło swej głowy), Dama-wyobraźnia woli się nie zapędzać. *Ho detto.*

85

Bywają życia, jak artykuły literackie w periodykach i czasopismach, wspaniałe na pierwszej stronicy lecz z ogonami ciągnącymi się wstydliwie gdzieś na stronach trzydziestych, wśród ogłoszeń i reklam pasty do zębów.

(150)

86

Poza dwoma wyjątkami członkowie klubu byli zdania, że łatwiej zrozumieć Morellego z jego cytatów, niż z jego osobistych wynurzeń. Aż do swojego wyjazdu z Francji (policja nie zgodziła się na przedłużenie mu jego *carte de séjour)* Wong utrzymywał, że nie warto trudzić się odcyfrowywaniem jego zagadek, skoro zrozumiało się dwa następujące cytaty, oba z Pauwelsa i Bergiera:

„Może istnieje w człowieku jakieś miejsce, skąd można obserwować całą rzeczywistość. Ta hipoteza wydaje się szaleństwem. Auguste Comte twierdził, że nigdy nie poznamy chemicznego składu gwiazdy. W rok później Bunsen wynalazł spektroskop".

„Nasz język, tak jak i nasza poezja, wywodzi się z arytmetycznego, binarnego funkcjonowania naszego mózgu. Klasyfikujemy na tak, na nie, na pozytywnie, na negatywnie. (...) Mój język dowodzi jedynie powolności wizji świata, zredukowanej do binarnego punktu widzenia. Ta niewystarczalność języka jest oczywista i dokuczliwa. Ale cóż można powiedzieć o niewystarczalności inteligencji binarnej jako takiej? Wewnętrzna egzystencja, właściwa esencja spraw wymyka jej się. Może odkryć, że światło jest równocześnie ciągłe i nie-ciągłe, że cząsteczka benzenu ustala między swoimi sześcioma atomami wiązania podwójne, niemniej wzajemnie się wykluczające; ona uznaje to wszystko, ale nie pojmuje, jej własna struktura nie jest w stanie przyswoić sobie rzeczywistości złożonych struktur, które bada. Ażeby to osiągnąć, musiałaby zmienić swój status, byłoby konieczne, aby inne od zwykłych mechanizmy zaczęły funkcjonować w mózgach, żeby binarne rozumowania zostały zastąpione przez analogiczną świadomość, która by przybrała formy i przyjęła niepojęte rytmy głębokich struktur".

Le matin des magiciens

(78)

87

W 1932 roku Ellington nagrał *Baby when you ain't there,* jedną ze swoich mniej popularnych piosenek, o której wierny Barry Ułanow nawet nie wzmiankuje. Swoim przedziwnie suchym głosem Cootie Williams nuci wiersz:

I *get the blues down North,*
The blues down South,
Blues anywhere,
I get the blues down Est,
Blues down West,
Blues anywhere.
I get the blues very well,
O my baby, when you ain't there
ain't there, ain't there.

Dlaczego czasami ma się taką potrzebę powiedzenia: „Lubiłem to”? Lubiłem jakieś bluesy, jakieś uliczne widoki, biedną wyschniętą rzekę, gdzieś na północy. Świadczyć, walczyć z otaczającą nas nicością. W ten sposób jeszcze pozostają w powietrzu duszy takie drobiazgi, jak wróbelek, który należał do Lesbii, jak dawne bluesy, które w pamięci zajmują maleńkie miejsca, zarezerwowane dla zapachów, rycin, bibelotów.

(105)

88

- Słuchaj no, jak się będziesz tak wiercił, to ci wbiję igłę w żebro - powiedział Traveler.

- Opowiadaj mi dalej o tych żółtościach - powiedział Oliveira. - Z zamkniętymi oczami to zupełnie kalejdoskop.

- Kolor kolorowany na żółto - Traveler pocierał mu udo watą - podlega Narodowemu Związkowi Agentów wyspecjalizowanych w tych gatunkach.

- W zwierzętach o żółtej sierści, roślinach o żółtych kwiatach i minerałach o żółtym wyglądzie - posłusznie wyrecytował Oliveira. - Dlaczegóż by nie? Przecież ostatecznie uważamy czwartek za dzień wytworny, niedzielę za dzień bez pracy, różnice pomiędzy rankami a popołudniami sobót są zaskakujące, a ludzie tego nie zauważają. Boli mnie jak jasna cholera. Może to jakiś metal o żółtym wyglądzie?

- Woda destylowana - odparł Traveler. - Pewnie już się łudziłeś, że morfina... masz rację, świat Ceferina może się wydawać dziwny tylko tym, którzy wierzą w supremację własnych instytucji nad cudzymi. Wystarczy pomyśleć, ile się zmienia, jeżeli zejdzie się z chodnika i zrobi trzy kroki po jezdni...

- Tak jakby przejść z koloru kolorowanego na żółto do koloru kolorowanego na kolor pampy. Jakoś mi się zachciało spać.

- Woda jest wybitnie nasenna. Gdyby to ode mnie zależało, zastrzyknąłbym ci wina, zaraz byś się lepiej poczuł.

- Wytłumacz mi coś, zanim usnę.

- Wątpię, czy uśniesz, ale wal, bracie.

(72)

Istniały dwa listy od doktora praw Juana Cuevas, sporna była tylko kwestia, w jakim porządku należało je odczytywać. Pierwszy stanowił poetyckie exposé tego, co nazywał „powszechną suwerennością", w drugim, również podyktowanym do magnetofonu pod arkadami Santo Domingo, Cuevas niejako odgrywał się za przymusową skromność pierwszego:

„Mogą panowie zrobić tyle kopii niniejszego pisma, ile tylko sobie życzą, specjalnie dla przedstawienia go członkom ONZ i rządom całego świata. Co prawda Santo Domingo jest piekłem hałasu, ale z drugiej strony mi się podoba, tu bowiem przyjeżdżam ciskać najcięższymi kamieniami historii".

Pomiędzy kamieniami figurowały następujące:

„Papież rzymski jest największym uzurpatorem na świecie, natomiast wcale nie jest przedstawicielem Boga. Rzymski klerykalizm jest dziełem szatańskim. Wszystkie świątynie rzymskiego kultu powinny być zniesione z powierzchni ziemi po to, aby zajaśniało Chrystusowe światło, nie tylko w głębi ludzkich serc, ale poprzez uniwersalne światło Boga, a mówię to wszystko, bo poprzedni list dyktowałem w obecności bardzo milusiej panienki, wobec czego nie mogłem umieścić pewnych okropności, albowiem patrzyła na mnie tęsknym wzrokiem".

Wytworny mecenas, jako zawzięty wróg Kanta, za każdą cenę usiłował zhumanizować aktualną filozofię świata, po czym zarządzał:

„Powieść powinna stać się bardziej psycho-psychiatryczna, to znaczy prawdziwie uduchowione cząstki duszy muszą stać się naukowymi elementami prawdziwej uniwersalnej psychiatrii..."

Porzucając chwilami bogaty arsenał dialektyki, przewidywał królestwo światowej religii:

„Jeżeli ludzkość będzie się stosowała do dwóch uniwersalnych przykazań, najtwardsze kamienie staną się jedwabistym woskiem pełnym światła".

Poeta, i to z tych lepszych.

„Głosy wszystkich kamieni świata rozlegają się ze srebrnym podźwiękiem wśród wszystkich wodospadów i strumieni świata, jedyna okazja do miłości kobiet i Boga..."

Niespodziewanie archetyp wizji wdzierającej się i występującej z brzegów:

„Ziemski Kosmos wewnętrzny tak jak mentalne wyobrażenie Boga, które potem miało stać się materią stałą, jest wyobrażony w Starym Testamencie przez tego archanioła, który odwraca głowę i widzi świat nikłych świateł, oczywiście nie mogę sobie dokładnie przypomnieć słów tego rozdziału Starego Testamentu, ale treść przedstawia się mniej więcej tak: to jest, jakby powierzchnia wszechświata stawała się samym światłem ziemi i orbitą uniwersalnej energii dookoła słońca... w ten sam sposób cała ludzkość i jej narody muszą zwrócić ciała swoje, dusze i głowy... To wszechświat i cała Ziemia zwracają się ku Chrystusowi, kładąc u jego stóp wszystkie prawa Ziemi..."

A wtedy,

„pozostaje tylko jeden rodzaj powszechnego światła pochodzącego z jednakowych lamp, oświetlających to, co najgłębsze w sercach ludzkich..."

Na nieszczęście, nagle...

„Panowie i Panie, niniejszy list dyktuję pośród straszliwego hałasu, nie przerywam jednak, albowiem nie zdajecie sobie sprawy z tego, że abym mógł tak jak należy pisać (?) Powszechną Suwerenność w sposób doskonalszy i aby ta idea osiągnęła rzeczywiście światowy zasięg, zasługuję co najmniej na rzetelną waszą pomoc, aby każda linia i każde słowo było na właściwym miejscu, a nie wśród tego nieporządku synów synów synów syna zasranej matki wszystkich matek, niech ją zasrają te hałasy".

Cóż to jednak ma za znaczenie... w następnym wierszu znów ekstaza:

„Jakże piękne są wszystkie te wszechświaty! Niechże kwitną niby duchowe światło czarodziejskich róż w sercu wszystkich narodów".

List kończył się kwieciście, jakkolwiek nie był pozbawiony ciekawych wtrętów robionych w ostatniej chwili:

„Wydaje się, że wszechświat przejaśnia się niby uniwersalne światło Chrystusa, uniwersalne w każdym ludzkim kwiecie, w nie kończących się płatkach, które zapalają się wiecznie na wszystkich ziemskich drogach. W ten sposób rozjaśnia się w blasku Uniwersalnej Suwerenności, mówią, że już mnie nie kochasz, bo masz co innego w głowie. - Wasz z poważaniem. Meksyk, D.F., 20 września 1955 - 5 maja 32 int. III. - Dr praw Juan Cuevas".

90

W ostatnich dniach chodził zamyślony, a jakkolwiek męczący zwyczaj przeżuwania każdej rzeczy ciążył mu, nie mógł się od niego uwolnić. Ciągle przemyśliwał nad „olbrzymim ewenementem", zaś impas, w którym się znalazł przez Magę i Rocamadoura, sprawił, że z coraz większą gwałtownością analizował swoją sytuację. W takich okolicznościach Oliveira zwykł był brać kartkę papieru i wypisywać na niej wielkie słowa, co pomagało mu do przeżucia ich. Pisał na przykład „holbrzymi hewenement" lub „himpas". To mu wystarczało, by roześmiać się i z większym już zapałem naparzyć sobie następną mate. „Hunia - pisał Holiveira - huwarunkowana hanalizą". Używał litery „h" tak jak inni penicyliny. Po czym już mniej nerwowo wracał do „ewenementu", samopoczucie poprawiało mu się.

„Tylko się nie przejmować"; taki program hułożył sobie Oliveira i od tej chwili poczuł, że może myśleć, że słowa nie zrobią mu żadnego kawału. Postęp wyłącznie metodyczny, albowiem wielki ewenement pozostawał niewzruszony. „Kto by to był powiedział, synu, że będziesz miał metafizyczne ciągoty? - urągał sam sobie Oliveira. - Należy przeciwstawiać się trzydrzwiowym szafom, masz się zadowolić nocnym stoliczkiem codziennej bezsenności". Przyszedł Ronald i zaproponował, żeby Oliveira wziął wraz z nim udział w jakiejś (nie sprecyzowanej) politycznej akcji, i przez całą noc (Maga nie przywiozła jeszcze ze wsi Ro-camardoura) niby Ardżuna i Woźnica dyskutowali o działaniu i bierności, o sensie ryzykowania teraźniejszości w imię przyszłości, o roli szantażu w każdym działaniu społecznym, o granicach, w których podjęte ryzyko zaspokaja indywidualne wyrzuty sumienia, o codziennych prywatnych świń-stewkach. Roland wyszedł przegrany, mimo wszystko nie przekonawszy Oliveiry, że należy czynnie podtrzymywać algierskich buntowników. Oliveirze zaś pozostało na cały dzień uczucie niesmaku, bo łatwiej powiedzieć „nie" Ronaldowi niż sobie samemu. Jednego był o tyle, o ile pewny, tego mianowicie, że bez zdrady nie może zrezygnować z biernego czekania, w którym był pogrążony od swojego wyjazdu do Paryża. Pójście na łatwą szczodrobliwość i pokątne naklejanie afiszów wydawało mu się raczej gestem towarzyskim i załatwieniem porachunków z przyjaciółmi, którzy uznaliby go za odważnego, niż prawdziwą odpowiedzią na wielkie zagadnienia. Sądząc sprawę z tymczasowego oraz absolutnego punktu widzenia, w pierwszym wypadku czuł, że nie ma racji, w drugim zaś, że ją ma. Źle robił nie opowiadając się czynnie za niepodległością Algierii lub przeciw antysemityzmowi czy też rasizmowi. Dobrze robił nie ulegając łatwiźnie zbiorowych akcji i raz jeszcze zostając samotnie w towarzystwie gorzkiej mate, aby

rozmyślać o wielkim ewenemencie, obracać go na wszystkie strony jak kłębek, w którym albo nie widać końca nitki, albo jest ich za dużo.

To było na początku, z pewnością, ale należało przyznać, że charakter jego niszczył wszelką dialektykę działania na modłę „Bhagavadgity". Między przygotowaniem sobie samemu mate a pozwalaniem, aby mu ją przygotowywała Maga, wybór był jasny. Ale każda rzecz ma dwie strony, tak że natychmiast dopuszczał odwrotną interpretację: charakterowi pasywnemu odpowiada większa wolność, możność większego rozporządzania samym sobą; leniwy brak zarówno zasad, jak i przekonań czynił go bardziej wrażliwym na osiowy układ życia (potocznie ten typ człowieka nazywamy chorągiewką na dachu), zdolnym do odrzucenia czegoś przez zwykłe lenistwo, ale równocześnie także do wypełnienia pustki, wywołanej przez to odrzucenie, materiałem wybranym bądź przez sumienie, bądź też przez instynkt, oba bardziej szczere, jeżeli można to tak nazwać, ostrzej ekumeniczne.

„Hostrzej hekumeniczne" - ostrożnie sprecyzował Oliveira.

W dodatku - jakaż jest prawdziwa moralność działania? Działanie społeczne, takie jak na przykład działanie związków zawodowych, natychmiast znajduje swoje uzasadnienie na planie historycznym. Szczęśliwi żyjący i śpiący na łożu historii. Abnegację prawie zawsze można usprawiedliwić jako postawę wywodzącą się z religii. Szczęśliwi kochający bliźniego jak siebie samego. W obu tych wypadkach Oliveira odrzucał wyjście z siebie po to, aby zagarnąć cudzą owczarnię, ontologiczny bumerang przeznaczony w ostatniej instancji do wzbogacenia tego, który go rzucał, do nadania mu więcej cech człowieczeństwa, świętości. Zawsze jest się świętym kosztem drugiego, etc. Nie miał nic do zarzucenia tej działalności jako takiej, ale z nieufnością usuwał ją ze swojego postępowania. Sądził, że gdyby tylko uległ i wziął się do naklejania afiszów na ulicach czy do jakiejkolwiek działalności, poczułby się zdrajcą. Byłaby to zdrada przybrana w zadowolenie z pracy, w codzienne radości, w spokojne sumienie, w wypełnione obowiązki. Znał aż nazbyt dobrze niektórych działaczy z Buenos Aires i Paryża, zdolnych do najgorszych łajdactw, lecz we własnym pojęciu okupionych przez „walkę", przez konieczność zrywania się w środku posiłku, aby biec na zebrania albo do wykonywania zadań. U takich ludzi intensywna działalność za bardzo przypominała pretekst, tak jak się dzieci stają pretekstem dla matek, żeby do niczego już więcej nie dążyć, okulary zaś dla naukowca - by nie widzieć, że tuż pod samym ich nosem, w więzieniu, gilotynuje się ludzi, których nie powinno się zabijać. Fałszywa akcja jest prawie zawsze najbardziej efektowna, wzbudza respekt; daje sławę i prowadzi do tamponujących pomników. W dodatku nie tylko każdemu pasuje jak ulał, ale jeszcze liczy się jako zasługa (przecież rzeczywiście byłoby dobrze, żeby Algierczycy uzyskali niepodległość i żebyśmy wszyscy jakoś im w tym

pomogli - mówił sobie Oliveira). Zdrada polega na czymś innym, jak zawsze jest to zrezygnowanie z centrum, zainstalowanie się na peryferiach, cudowna radość z poczucia braterstwa z ludźmi zaangażowanymi w podobnych działaniach; i tam, gdzie inny typ człowieka miał szansę stania się bohaterem, Oliveira czuł się skazany na granie komedii. W takim wypadku lepiej już grzeszyć przez „omisję" niż przez „komisję". Być aktorem oznacza nie siedzieć na widowni, podczas gdy on czuł się stworzony na widza oglądającego z pierwszego rzędu. „Niestety - ganił się Oliveira - równocześnie chcę być oglądającym i aktorem; w tym cały dramat."

Hoglądający haktor. Ta historia chyba nie hobejdzie się bez hanalizy. Obecnie niektóre obrazy, niektóre kobiety, niektóre wiersze dawały mu nadzieję, że kiedyś osiągnie strefę, w której będzie mógł przyjąć siebie samego z mniejszym obrzydzeniem i mniejszą nieufnością niż teraz. Korzyścią nie do pogardzenia była okoliczność, że jego największe wady w końcu mogły stać się użyteczne w tym, co może jeszcze nie będzie drogą, lecz już przystankiem, nieodzownym przed wyruszeniem w jakąkolwiek drogę. Moja siła tkwi w mojej słabości - myślał Oliveira. - Ważne decyzje zawsze były jedynie zamaskowaną ucieczką. Przeważająca część jego imprez (jego himprez) kończyła się *not with a bang but a whimper*[95]*;* wszelkie zerwania, bezpowrotne „bangi" i dramatyczne finały były ugryzieniami osaczonego szczura, .niczym więcej.

Świat innych ludzi wirował uroczyście, rozpływając się w czasie i w przestrzeni, i w sposobie bycia, bez wybuchów, po prostu ze zmęczenia - podobnie jak finały miłosnych przygód Oliveiry - lub przez stopniowe wycofywanie się jak wtedy, gdy człowiek zaczyna coraz rzadziej odwiedzać przyjaciół, coraz rzadziej czytać wiersze jakiegoś poety, coraz rzadziej bywać w kawiarni, delikatniej odmierzając dawki nicości, aby nie zrobić sobie krzywdy.

„Co tu mówić, na mnie nawet mucha nie siądzie - myślał Oliveira. - Mnie nie spadnie cegła na łeb". Wobec tego czymże był ten niepokój, jeżeli nie zastarzałym pociągiem do sprzeczności, tęsknotą do powołania lub działania? Analiza niepokoju zwykle wskazywała na jakieś przesunięcie, oddalenie od centrum jakiegoś porządku, którego nie umiał określić. Czuł się spektatorem poza spektaklem, tak jakby siedział w teatrze z zawiązanymi oczami. Czasami docierało do niego wtórne znaczenie jakiegoś słowa, jakiejś muzyki, napełniając go niepokojem, bo przez nie odgadywał wtedy i pierwotne znaczenie. W takich chwilach czuł się bliższy centrum niż wielu ludzi żyjących w przekonaniu, że są osią koła, lecz jego bliskość była bezużyteczna, moment tantalowy nie osiągający nawet rangi męczarni. Kiedyś wierzył w

[95] *Not with a bang...* (ang.) - nie z hukiem, a ze skomleniem.

miłość jako we wzbogacenie, jako w ekstensyfikację potęg rozjemczych... Pewnego dnia zrozumiał, że miłości jego były nieczyste dlatego właśnie, że zakładały tę nadzieję, podczas gdy prawdziwy kochanek kocha dla samej miłości, ślepo wierząc, że przez to dzień stanie się bardziej niebieski, noc słodsza, tramwaj wygodniejszy. „Nawet z zupy jestem w stanie zrobić operację dialektyczną" - myślał Oliveira. W końcu z kochanek robił przyjaciółki, wspólniczki w jakimś specyficznym kontemplowaniu otaczającego świata. Kobiety z początku uwielbiały go (hobłędnie go huwielbiały), potem admirowały (hautentyczna hadmiracja), potem coś nakazywało im podejrzewać pustkę i cofały się gwałtownie, on zaś ułatwiał im ucieczkę, otwierając drzwi, aby poszły bawić się gdzie indziej. Dwa razy był o krok od litości i zostawienia im złudzeń, że rozumiały go, ale coś jednak podszeptywało mu, że nawet ta litość nie była prawdziwa, że była raczej wybiegiem jego egoizmu, lenistwa, przyzwyczajeń.

„Wyprzedażowa litość" - mówił sobie Oliveira i pozwalał im odejść, szybko o nich zapominając.

(20)

91

Papiery rozrzucone na stole. Czyjaś ręka (Wonga). Czyjś glos czytający, mylący się, *l* niby haczyki, niewyraźne *e*. Notatki, fiszki, na których jest jakieś jedno słowo, wiersz w jakimś obcym takim czy innym języku - kuchnia pisarza. Inna ręka (Ronald). Głęboki, dobrze czytający głos. Milczące powitanie skruszonych Osipa i Oliveiry (Babs, która poszła im otworzyć, przyjęła ich z nożem w ręku). Koniak, złotawe światło, legenda o sprofanowaniu hostii, mały de Staël. Palta można zostawić w sypialnym. Jakaś rzeźba (chyba Brancusi) zagubiona w głębi sypialni, pomiędzy manekinem w stroju huzara a stosem pudełek pełnym druków i kartonów. Nie starcza krzeseł, ale Oliveira przynosi taborety. Zapada milczenie, przypominające zdaniem Geneta sytuację, gdy ludzie dobrze wychowani milkną, ponieważ w pełnym salonie usłyszeli ciche pierdnięcie. Wreszcie Etienne decyduje się otworzyć teczkę i wyjąć papiery.

- Uważaliśmy, że lepiej będzie, jeżeli poczekamy na ciebie z posegregowaniem ich - mówi. - Tymczasem przeglądaliśmy luźne kartki. Ta chamka wyrzuciła do śmieci wspaniałe jajko.

- Było zgniłe - mówi Babs.

Gregorovius kładzie drżącą wyraźnie rękę na którejś z teczek. Na dworze jest chyba bardzo zimno, więc podwójny koniak. Oliveira wpatrzony jest w środek stołu; popiół z jego papierosa łączy się z popiołem, którego pełna jest popielniczka.

(82)

92

Teraz zaczynał rozumieć, że w momentach najwyższego pragnienia nie umiał rzucić się głową w grzywę fali i przeniknąć poprzez wspaniały łomot krwi. Kochanie Magi stało się niejako rytuałem, od którego trudno już było oczekiwać olśnień. Słowa i gesty następowały po sobie wśród pomysłowej monotonii, taniec tarantul na zalanej księżycem podłodze, powolne, lepkie wykorzystywanie ech. Przez cały czas oczekiwał, że zbudzi się z tego błogiego zamroczenia, że lepiej rozezna się w tym, co go otacza (począwszy od tapet na hotelowych ścianach aż do pobudek ich własnych czynów), nie chcąc zrozumieć, że ograniczywszy się do czekania, przekreśla się wszelką możliwość, skazuje się z góry wyłącznie na ograniczoną nędzną egzystencję w teraźniejszości. Od Magi do Poli przeszedł jednym skokiem, nie dotykając ni Magi, ni siebie samego, nie zadając sobie nawet fatygi, by podrażnić różowe uszko Poli podniecającym imieniem Magi. Niepowodzenie z Polą było tylko odbiciem nie kończącej się ilości niepowodzeń, grą, którą w końcowej fazie przegrywa się, lecz którą warto rozegrać, podczas gdy w sprawie Magi zaczynał odczuwać jakieś pretensje połączone z niepokojem sumienia, jakby zapach świtu w niedopałku przylepionym do ust. Dlatego zabrał Polę do tego samego hotelu przy rue Valette, natknęli się na tę samą starą, która powitała ich wyrozumiałym skinieniem głowy, cóż innego można było robić w taką psią pogodę. W dalszym ciągu pachniało zupą, ale wyczyszczono niebieską plamę na dywanie, robiąc tym sposobem miejsce dla nowych.

- Dlaczego tu? - zapytała Pola ze zdziwieniem. Patrzyła na żółtą kapę, na ciemny wilgotny pokój, na różowe frędzle abażuru, wiszącego u sufitu.

- Tu czy gdzie indziej...

- Jeżeli to kwestia pieniędzy, to cóż prostszego niż powiedzieć mi, kochanie...

- Jeżeli to kwestia obrzydzenia, to cóż prostszego niż wynieść się stąd, skarbie...

- Nie brzydzę się. Tu jest po prostu nieładnie. Może...

Uśmiechnęła się do niego, jakby usiłując zrozumieć. Może... Jej ręka natknęła się na rękę Oliveiry, gdy oboje równocześnie pochylili się, aby odrzucić kapę. Przez całe to popołudnie znów asystował - ironiczny i wymuszony świadek własnego ciała, asystował raz jeszcze, asystował po raz nie wiem który niespodziankom, zachwytom i rozczarowaniom ceremonii. Przyzwyczajony, jakkolwiek nie wiedząc o tym, do rytmu Magi, nagle znalazł się w innym morzu, odmienne falowanie wyrwało go z automatyzmu, skonfrontowało z nim samym, niejasno zdemaskowało jego samotność pośród widm. Urok i rozczarowanie zamiany

jednych ust na inne, szukanie z zamkniętymi oczami znajomego wgłębienia na szyi, którą zwykł otaczać ramieniem, i stwierdzenie, że wygięcie jest inne, podstawa trochę szersza, mięsień szybciej kurczy się w wysiłku, by się unieść do pocałunku lub ukąszenia. Cielesna świadomość tego pełnego rozkoszy mijania się, niespotykania, trzeba trochę się wyciągnąć, trzeba pochylić głowę, aby natknąć się na usta, które dawniej bywały tu, obok, pogładzić linię biodra, trochę bardziej zaznaczoną, prowokować odpowiedź, która nie następuje, czekać z roztargnieniem aż do chwili, gdy się zrozumie, że wszystko trzeba wymyślać od nowa, że kod dopiero się ustali, klucze i szyfry raz jeszcze się narodzą, że będą odmienne, czemu innemu będą odpowiadały. Ciężar, zapach, ton każdego uśmiechu, każdej prośby, czasokresy i przyspieszenia, wszystko jest inne, choć wszystko pozornie jednakie, wszystko raz jeszcze się rodzi znowu nieśmiertelne, miłość ciągle wymyśla się od nowa, sama przed sobą ucieka, aby powrócić do swej nieuchronnej spirali, inny jest śpiew piersi, usta całują może głębiej, a może jakby bardziej z oddali, i w chwili, w której przedtem czuło się jakąś pasję i lęk, teraz jest czysta gra i poryw nieznanej radości; lub może, na odwrót, w chwili, w której przedtem zapadało się w sen i w czuły bełkot, teraz czuje się napięcie, coś niekomunikatywnego, lecz obecnego, coś podobnego do nieuchwytnej wściekłości. Tylko rozkosz w swym ostatnim uderzeniu skrzydłem jest taka sama. Przedtem i potem świat rozpada się w kawałki i trzeba nazywać go od początku, palec po palcu, warga po wardze, cień po cieniu.

Drugi raz to było w pokoju Poli na rue Dauphine. Jeżeli kilka luźno rzuconych zdań mogło mu dać pojęcie o tym, z czym się spotka, rzeczywistość przekroczyła oczekiwania. Każda rzecz na miejscu i miejsce dla każdej rzeczy. Historia sztuki współczesnej skromnie przedstawiona za pomocą pocztówek: Klee, Poliakoff, Picasso (już z pewną dobrotliwą wyrozumiałością), Menassier, Fautrier. Zawieszone artystycznie, prawidłowo wyliczone odległości. W tak małej skali nie razi nawet Dawid sprzed Signorii. Butelka pernod i koniak. Łóżko przykryte meksykańskim ponchem. Pola od czasu do czasu grywała na gitarze - wspomnienie jakiejś miłości z amerykańskich płaskowyżów. Na tle swojego mieszkania przypominała Michèle Morgan, jakkolwiek z własnej decyzji była brunetką. Dwie półki z książkami zawierały *Kwartet aleksandryjski* Durrella, wyczytany i pełen notatek, tłumaczenia Dylana Thomasa poplamione różem do warg, numery pisma „Two Cities", Christiane Rocherfort, Blondina, Sarraute (nie przeciętą) i parę egzemplarzy NRF. Reszta grawitowała wokół łóżka: na tymże Pola popłakała chwilkę, przypomniawszy sobie przyjaciółkę, która popełniła samobójstwo (zdjęcia, stronica wyrwana z pamiętnika, zasuszony kwiatek). Po którym to wstępie Oliveira nie a nic się nie zdziwił, że okazała się perwersyjna, że pierwsza otworzyła drogę miłosnym igraszkom, że noc zastała ich niby wyrzuconych na plażę, na

której piasek ustępuje z wolna miejsca wodzie, pełnej alg. Wtedy nazwał ją Polą Paris, dla żartu, spodobało jej się to, więc powtórzyła i ugryzła go w usta mrucząc „Pola Paris", jak gdyby przyjęła to imię i postanowiła na nie zasłużyć, Paris Pola, Pola Paris, zielone światło neonu zapalające się i gasnące poprzez firankę z żółtej rafii, Pola Paris, Pola Paris, obnażone miasto z seksem poruszającym się w rytmie drgania firanki, Pola Paris, Pola Paris za każdym razem bardziej jego, piersi już nie niespodziewane, krzywizna brzucha dokładnie okrążona pieszczotą, brak zażenowania, jeśli doszło się do mety przed lub po, usta znalezione już i poznane, język mniejszy i bardziej spiczasty, mniej śliny, nie tak ostre zęby, wargi otwierające się, aby mógł dotknąć dziąseł, ażeby wszedł i przebiegł każdy zaułek tych ust letnich, trochę pachnących tytoniem i koniakiem.

(103)

Ale miłość, takie słowo... Moralista Horacio nieufny wobec namiętności pozbawionych przyczyn, w tym mieście, w którym imieniem miłości nazywa się wszystkie ulice, wszystkie domy, wszystkie piętra, wszystkie pokoje, wszystkie łóżka, wszystkie sny, wszystkie zapomnienia czy wspomnienia. Jedyna moja, nie kocham cię dla ciebie, dla siebie ani dla nas obojga - nie kocham cię też z nakazu krwi, kocham cię, bo nie jesteś moja, bo jesteś na tamtym brzegu i wzywasz mnie, bym skoczył, ale nie mogę skoczyć, gdyż w momencie najgłębszego posiadania nie ma cię we mnie, nie dosięgam do ciebie, nie przekraczam twego ciała, twego śmiechu i są chwile, kiedy męczy mnie, że mnie kochasz (jakże lubisz używać tego czasownika „kochać", z jakimś brakiem umiaru upuszczasz go na talerze, prześcieradła, siedzenia autobusów), męczy mnie twoja miłość, która nie jest dla mnie żadnym pomostem, bo nie istnieją pomosty umocowane z jednej tylko strony, ani Wright, ani Le Corbusier nie zbudowaliby nigdy takiego pomostu, i nie patrz na mnie tymi ptasimi oczami, dla ciebie operacja miłość jest taka prosta... wyzdrowiejesz wcześniej niż ja, jakkolwiek kochasz mnie bardziej niż ja ciebie. Jeszcze jak wyzdrowiejesz, ty żyjesz w zdrowiu, po prostu po mnie będzie ktoś inny, zmienia się to jak biustonosze. Taka smutna, słuchając cynicznego Horacia, który szuka miłości-paszportu, miłości--przepustki, miłości-klucza, miłości-rewolweru, miłości, która by mu dała tysiąc argusowych oczu, wszechobecność, ciszę, od której poczynałaby się muzyka, korzenie, od których można by zacząć splatać nowy język. Głupio się składa, bo wszystko to po trochu drzemie w tobie, wystarczyłoby zanurzyć cię w szklance wody, abyś niby japoński kwiatek niepostrzeżenie zaczęła wypuszczać kolorowe płateczki, nabierać form, obrastać w piękność. Dawczyni nieskończoności, przebacz mi, nie umiem brać. Podajesz mi jabłko, a ja zostawiłem zęby na nocnym stoliku. Stop. Wystarczy. Zauważ tylko, że chamem też umiem być. Aby dobrze to zauważ, bo ma to swój cel.

Ale dlaczego stop? Ze strachu, aby nie zacząć kręcić, zbyt to jest łatwe. Stąd bierzesz jakąś myśl, z drugiej półki jakieś uczucie, związujesz to ze sobą przy pomocy słów - czarnych suk i z tego wynika, że chcę ciebie. Częściowa suma: chcę ciebie. Ogólna suma: kocham cię. Tak żyje wielu moich przyjaciół, nie mówiąc o jednym wuju i dwóch kuzynach, przekonanych o miłości, którą-czują-dla-swoich-żon. Od słów do czynów, bracie. Przeważnie bez *verba* nie istnieje *res.* To, co wielu ludzi nazywa kochaniem, polega na wybraniu jakiejś kobiety i ożenieniu się z nią. Wybierają ją! - przysięgam ci, sam widziałem. Tak jakby w

miłości mogło się wybierać, tak jakby to nie był piorun, który strzela w ciebie i zostawia cię zwęglonego na środku patio. Powiedz, że wybierają, bo-je-kochają, ja myślę, że jest na odwrót. Nie wybiera się Beatryczy. Nie wybiera się Julii. Nie wybierasz ulewy, która zmoczy cię do suchej nitki, gdy wracasz z koncertu. Ale jestem sam w pokoju, popadam w sztuczności skryby, czarne suki mszczą się, jak mogą, gryzą mnie spod stołu. Jak się mówi: „spod stołu" czy też „pod stołem"? W każdym razie gryzą. Dlaczego, dlaczegóż, *por qué, pourqoui, why, warum, perché* te ohydne czarne suki? O, popatrz na nie, tu, w tym wierszu Nashe'a, przemienione są w pszczoły. A tu w utworach Octavia Paz w słoneczne uda, w wydzielone przestrzenie lata. Ale Maria i Brinvilliers mają takie same kobiece ciała; oczy, które zasnuwają się mgłą na widok pięknego zachodu, są tym samym organem wzroku, co oczy, które raczą się konwulsjami wisielca. Obawiam się tego rajfurstwa atramentu i słów, tego morza języków liżących dupę świata. Pod twym językiem jest mleko i miód... Zapewne, ale mówi się również, że zdechłe muchy mają lepszy zapach niż najlepsze perfumy. W wojnie ze słowem, w każdej wojnie, nie należy cofać się przed niczym, nawet jeśli trzeba zrezygnować z inteligencji i poprzestać na zamawianiu frytek, na wiadomościach z agencji Reutera, listach mojego szacownego brata lub kinowych dialogach. Ciekawe, naprawdę ciekawe, że Puttenham traktował słowa, jakby to były przedmioty lub nawet stworzenia obdarzone własnym życiem. Mnie także czasem się wydaje, że płodzę rzeki dzikich mrówek, które pożrą świat. Ach, gdybyż ptak Rok mógł wysiadywać w ciszy... *Logos, faute éclatante!*[96] Począć rasę, która wypowiadałaby się rysunkiem, tańcem, *macramé*[97] lub abstrakcyjną mimiką. Czyż to pozwoliłoby uniknąć dwuznaczności, źródła oszustwa? *Honneur des hommes etc.* Zapewne, lecz honor, który w każdym zdaniu traci honor, to coś jak gdyby burdel dziewic, gdyby to było możliwe.

Od miłości do filologii; aleś zajechał, Horacio. Wszystkiemu winien Morelli, który stał się twoją obsesją, jego bezsensowne usiłowania łudzą cię powrotem do utraconego raju, biedny preadamito snack-barów, złotego wieku w celofanie. *This is a plastic's age, man, a plastic's age*[98]. Zapomnij o sukach. Umykaj, psia zgrajo, musimy pomyśleć, prawdziwie pomyśleć, to znaczy poczuć, ustawić się w stosunku do, skonfrontować, zanim otworzymy drogę dla najmniejszego zdania, głównego czy też podrzędnego. Paryż to centrum, rozumiesz, to *mándala,* które trzeba obejść bez dialektyki, labirynt, w którym pragmatyczne formułki służą tylko do tego, żeby się zgubić. A więc *cogito,* które by było jakby wchłanianiem Paryża, jakbyś wszedł w niego pozwalając mu jednocześnie wejść w siebie, *pneuma,* a nie *logos.*

[96] *Logos, faute éclatante* (grecki i franc.) - Słowo, błąd straszliwy. (Parafraza wiersza P. Valéry'ego, *Soleil, faute éclatante).*
[97] *Macramé* (arab.) - materiał utkany ze sznurka.
[98] *This is a plastic's age...* (ang.) - Człowieku, jest to epoka plastyku.

Zarozumiały Argentyńcu, wysiadający ze statku, z pewnością siebie i swojej kultury po zniżonej cenie, mający wszystko w małym palcu, au courant wszystkiego, obdarzony tak zwanym dobrym smakiem, obkuty we wszystkich takich przedmiotach, jak historia ludzkości, prądy w sztuce, barok i gotyk, kierunki filozoficzne, polityczne napięcia, Shell i Esso, działalność i refleksje, kompromis i wolność, Piero delia Francesca i Anton Webern, prawidłowo skatalogowana technologia, maszyna do pisania Olivetti, fiat 1600, Jan XXIII, brawo! Brawo!

To była mała księgarenka przy rue Cherche-Midi, niebo i szarołagodne powietrze, to było to popołudnie i ta godzina, to była pora kwitnących kwiatów, to było Słowo (na początku) i mężczyzna, który czuł sic mężczyzną. Matko moja, co za brednie! I ona wyszła z księgarenki (dopiero teraz widzę, że to było coś w rodzaju uroczej metafory - ona wychodząca ni mniej, ni więcej tylko właśnie z księgarni!), i zamieniliśmy z sobą parę słów, i poszliśmy na kieliszek *pelitre d'oignon*[99] w jakiejś kawiarni na Sèvres-Babylone (i znów metafora - krucha, dopiero co wyładowana ze statku porcelana, *handle with care*[100], i ona - Babilonia, korzenie czasu, coś pradawnego, *primeval being*[101], przerażenie i rozkosz początków, romantyczna jak Atalia, ale z zaczajonym za drzewem autentycznym tygrysem). I tak Sèvres powędrował *z* Babylone na kieliszek *pelure d'oignon,* patrzyliśmy na siebie i, jak dzisiaj myślę, już zaczynaliśmy mieć na siebie ochotę (choć to działo się później na ulicy Réaumour) i tu nastąpił pamiętny dialog, pełen niedomówień zmieniających się w niepewne milczenia aż do chwili, gdy zaczęły działać ręce, milo było głaskać się po rękach patrząc na siebie i uśmiechając się, zapaliliśmy gauloise'y, jedno od niedopałka drugiego, tarliśmy się oczami, byliśmy tak jednomyślni na każdy temat, że po prostu wstyd, wokół nas Paryż tańczył w oczekiwaniu, zaledwie przyjechaliśmy, zaledwie zaczynaliśmy żyć, wszystko było tu w zasięgu ręki, bez imion, bez historii (przede wszystkim dla Babylone, a biedny Sèvres robił olbrzymi wysiłek, zafascynowany tym, że Babylone ogląda gotyk nie naklejając etykietek, że spacerowała nad Sekwaną nie widząc pływających pod prąd kaczek normandzkich). Kiedyśmy się rozstali, byliśmy jak dwoje dzieci, które gwałtownie zaprzyjaźniły się na jakichś imieninach i teraz patrzą na siebie, podczas gdy rodzice odciągają je za ręce, i jest w tym jakiś słodki ból i jakaś nadzieja, i już się wie, że jedno ma na imię Tony, a drugie Lulu, i to wystarcza, żeby serduszko było jak poziomka i...

Horacio, Horacio.

[99] *Pelure d'oignon* (franc.) - (dosł.) łupina od cebuli; tu: cebulówka.
[100] *Handle with care* (ang.) - napisy na przesyłkach „obchodzić się ostrożnie".
[101] *Primeval being* (ang.) - pierwotne istnienie.

Merde alors. Chociaż dlaczego nie? Mówię o wtedy, o Sèv-res-Babylone, nie zaś o tej żałosnej punktacji, w której wynik gry jest z góry przesądzony.

(68)

94

MORELLIANA

Fragment prozy może popsuć się nagle, niby kawałek polędwicy. Od lat spostrzegam oznaki gnicia w moim pisaniu. Jak ja, przechodzi ono swoje anginy, swoje żółtaczki, swoje zapalenia wyrostka, wyprzedza mnie jednak na drodze do ogólnego rozkładu. W gruncie rzeczy gnicie oznacza koniec składników nieczystych i powrót do praw chemicznie czystego sodu, magnezu, węgla. Moja proza gnije od strony składni, zmierzając - z wielkim wysiłkiem - ku prostocie. Przypuszczam, że dlatego nie umiem już pisać „koherentnie". Słowa wierzgają zrzucając mnie natychmiast na ziemię. *Fixer les vertiges* - jak to miło! Ale ja czuję, że powinienem ustalać elementy. Wiersze na to czekają i pewne rodzaje powieści, nawet teatru. Reszta jest faszerowaniem i nie wychodzi mi na dobre. Chociaż, czy rzeczywiście najważniejsze są elementy? Przecież opis węgla jest mniej interesujący niż opis historii rodziny Guermantes.

Mam niejasne uczucie, że te elementy, w które celuję, są jakby na granicy kompozycji. Następuje odwrócenie punktu widzenia szkolnej chemii. Tam, gdzie kompozycja dochodzi do swojej ostatecznej granicy, otwiera się teren elementów podstawowych. Ustalić je i, jeżeli to możliwe, stać się nimi.

(91)

W niektórych notatkach Morelli bardzo dokładnie wyłożył swoje intencje. Popełniając niebywały anachronizm, zainteresował się studiami lub też antystudiami takimi, jak buddyzm Zen, które w tamtych latach były dosłownie chorobą całej gniewnej generacji. Anachronizm jego polegał jednak nie na tym, lecz na fakcie, że Morelli wydawał się o wiele bardziej radykalny i o wiele młodszy w swoich duchowych wymaganiach od młodych Kalifornijczyków, pijanych sanskrytem i puszkowanym piwem. Jedna z notatek nawiązuje na sposób Suzuki do języka jako okrzyku czy też wrzasku, wydobywającego się wprost z wewnętrznego doświadczenia. Po czym następowały przykłady dialogów pomiędzy mistrzami i uczniami (równie niedostępne dla ucha spragnionego sensu, jak i dla wszelkiej logiki dualistycznej lub binarnej), jako też odpowiedzi mistrzów na pytania uczniów, przeważnie polegające na waleniu pałką w łeb, wylewaniu kubłów na głowę, wywalaniu z domu za pomocą kopniaków, w najlepszym zaś wypadku na odrzucaniu im pytań prosto w nos. Wydawało się, że Morelli dobrze się czuje w tym pozornie obłędnym wszechświecie i że przyjmuje taki rodzaj zachowania się mistrzów za prawdziwą naukę, jedyny sposób otwarcia duchowego oka ucznia i objawienia mu prawdy. Ten gwałtowny irracjonalizm wydawał mu się naturalny w takiej mierze, w jakiej obalał struktury składające się na specyficzny charakter zachodniego świata, osie, wokół których obraca się historyczne pojęcie człowieka i które w dyskusji ze stanowiskiem przeciwnym (nawet w domenie estetyki i poetyki) znajdują kryteria wyboru.

Ton tych notatek (zapiski służące mnemotechnice lub też jakimś innym nie wyjaśnionym celom) wydawał się wskazywać na to, że Morelli sam wkroczył na awanturniczą drogę analogiczną do dzieła, którego pisanie i opublikowanie kosztowało go lata trudu.

Dla niektórych z jego czytelników (i dla niego samego) było rzeczą śmiechu wartą, że próbował napisać coś w rodzaju powieści, obchodząc się bez logicznych podziałów i rygorów. W końcu wyczuwało się w tym coś jakby transakcję, jakiś proceder (jakkolwiek absurdem było wybranie narracji, dla celów nie wydających się mieć nic z narracją wspólnego).[102]

[102] Dlaczegóż by nie? To pytanie zadał sobie sam Morelli używając do tego kratkowanego papieru, gdzie na marginesie znajdowała się lista jarzyn, prawdopodobnie *memento buffandi.* Prorocy, mistycy, ciemna noc duszy: częste wprowadzenie fabuły w formie przypowieści lub widzenia. Pewnie, że powieść... Ale ten skandal wywodził się raczej z manii klasyfikacji, tak częstej u zachodnich małp, niż z jakiejś prawdziwej, wewnętrznej sprzeczności.[2]

[2] Nie mówiąc już o tym, że im gwałtowniejsze wewnętrzne sprzeczności, tym skuteczniejsze mogły się okazać w stworzeniu techniki w rodzaju szkoły Zen. Zamiast pałką w łeb, całkowicie antypowieściowa powieść, połączona ze skandalem i następującym po nim szokiem, a może nawet z jakimś odkryciem dla bardziej wtajemniczonych.[3]

[3] Niby nadzieja na to ostatnie - inny świstek papieru zawiera|ący kontynuację tego cytatu Suzuki, który twierdzi, że zrozumienie niesamowitego języka mistrzów oznacza ze strony ucznia zrozumienie siebie samego, nie zaś sensu języka. W

przeciwieństwie do tego, co mógłby z tego wnioskować filozof europejski, język Zen transmituje pojęcia, nie zaś uczucia lub przeczucia. Dlatego też jako język jest bezużyteczny, ponieważ jednak wybór zdań pochodzi od mistrza, misterium dopełnia się w tym rejonie, który się najbardziej do tego nadaje, uczeń zaś otwiera się przed sobą samym, zaczyna się rozumieć - potoczne zdania stają się kluczem:[4]

[4] Dlatego Etienne, który ściśle przeanalizował triki Morellego (rzecz, zdaniem Oliveiry, z góry skazana na niepowodzenie), twierdził, że w niektórych ustępach książki, a nawet w całych rozdziałach rozpoznaje uderzenie w twarz stosowane przez mistrzów Zen, lecz gigantycznie spotęgowane na użytek homo sapiens. Te części książki Morelli nazywał „archerozdziałami" i „rozdziałotypami" - ekstrawagancje językowe, w których można było rozeznać mieszaninę, nie bez przyczyny, Joyce'owską. Do czego miały tu służyć owe archetypy, niepokoiło Wonga i Gregoroviusa.[5]

[5] Obserwacja Etienne'a: Morelli w żadnym wypadku nie zamierzał wdrapywać się na drzewo buddyzmu, na żaden Synaj ani żaden piedestał objawienia. Również nie zamierzał przyjmować założeń pedagogicznych w stosunku do czytelnika, czy też prowadzić go ku świeżym, zielonym pastwiskom. Bez służalczości (był pochodzenia włoskiego i trzeba wiedzieć, że szczególnie szybko chwytał to, co płynęło z serca) pisał tak, jakby on sam rozpaczliwie i wzruszająco próbował wyobrazić sobie mistrza, który miał go oświecić. Ten stary potwór wyrzucał z siebie swoje zdania Zen - słuchało się go nieraz i na przestrzeni 50 stron - i byłoby absurdem i dowodem małe) wiary podejrzewać, ze na tych stronach przemawia do czytelnika. Jeżeli Morelli opublikował je, to po części z powodu włoskich cech swego charakteru *(Ritorna vincitor!),* po części zaś z zachwytu, ze tak efektownie mu wypadły [6]

[6] Etienne widział w Morellim doskonałego człowieka Zachodu, kolonizatora, który dokonawszy skromnego zbioru buddyjskiego maku, z ziarnami jego wracał do Quartier Latín Jeśli nawet liczył przede wszystkim na ostateczne objawienie, należy docenić, ze jego książka była przede wszystkim przedsięwzięciem literackim, właśnie dlatego, ze tworzona była z zamiarem obalenia form (reguł) literackich.[7]

[7] Był również człowiekiem Zachodu - jakkolwiek w tym wypadku trzeba to podkreślić jako zasługę - przez swe chrześcijańskie przekonanie, ze nie istnieje możliwość indywidualnego zbawienia i że błędy jednostki spadają na wszystkich i vice versa. Może dlatego (tak właśnie myślał Oliveira) wybrał dla opisania swoich przeżyć formę powieściową, publikując dodatkowo wszystko to, na co na swojej drodze trafił lub z czym się rozminął [Wszystkie przyp. aut]

96

Wiadomość rozeszła-się-lotem-błyskawicy i o dziesiątej wieczór klub zjawił się na miejscu w komplecie. Etienne z kluczem. Wong ścielący się na ziemi w celu obłaskawienia rozwścieczonej konsjerżki, *mais qu'est-ce qu'ils viennent ficher, non mais vraiment ces étrangers, écoutez, je veux bien vous laisser monter puisque vous dites que vous êtes des amis du vi... de Monsieur Morelli, mais quand même il aurait fallu prévenir, quoi, une bande qui s'amène à dix heures du soir, non, vraiment, Gustave, tu devrais parler au syndic, ça devient trop con*[103], etc. Babs uzbrojona w uśmiech, który Roland nazywał *the alligator's smile*[104], Ronald pełen entuzjazmu, walący Etienne'a po plecach i popychający go, by się spieszył, Perico Romero przeklinający wszelką literaturę; pierwsze piętro RODEAU, FOURRURES, drugie piętro DOKTOR, trzecie piętro HUSSENOT, nie, to nie do uwierzenia, Ronald dźgał łokciem Etienne'a i klął Oliveirę, *the bloody bastard, just another of his practical jokes I imagine, dis donc, tu va me foutre la paix, toi*[105], Paryż to dosłownie tylko to, *coño,* jedne schody gorsze od drugich, człowiek ma już tego po dziurki w nosie. *Si tous les gars du monde...*[106] Wong zamykał pochód. Wong - uśmiech w kierunku Gustawa, uśmiech w kierunku konsjerżki, *bloody bastard, coño, ta gueule, salaud.* Na czwartym piętrze prawe drzwi odrobinę się uchyliły i Perico zobaczył olbrzymią szczurzycę w białej, nocnej koszuli, podglądającą jednym okiem i całym nosem. Zanim udało się jej zamknąć drzwi, wsunął nogę w szparę i wyrecytował jej historyjkę o bazyliszku, który zabijał wzrokiem, truł oddechem i ogłuszał sykiem. Madame René Lavalette *née* Francillon niewiele z tego zrozumiała, ale odpowiedziała warknięciem i energicznym popchnięciem drzwi. Perico usunął bucik o jedną ósmą sekundy wcześniej, brrum. Na piątym piętrze zatrzymali się, aby podziwiać solenność, z którą Etienne wsuwał klucz do zamka.

- To niemożliwe - po raz ostatni powtórzył Ronald. - To wszystko sen, jak mówią księżniczki von Turn und Taxis. Przyniosłaś coś do picia, Babsie? To przecież obol dla Charona! Teraz otworzą się wrota i rozpoczną cuda, wszystkiego spodziewam się po tej nocy, w powietrzu jest coś jakby zapowiedź końca świata.

[103] *Mats qu'est-ce qu'ils mement ficher...* (franc. żargon) - ale co om tu robią, rzeczywiście ci cudzoziemcy, niech pan posłucha, chętnie was wpuszczę na górę, jeżeli mówicie, że jesteście przyjaciółmi tego sk..., pana Morellego, ale trzeba było przynajmniej uprzedzić, bo rzeczywiście, cała banda przyłazi o dziesiątej wieczór, rzeczywiście, Gustawie, powinieneś porozmawiać z gospodarzem, to już robi się zbyt głupie.
[104] *The alligator's smile* (ang.) - uśmiech aligatora
[105] *The bloody bastard.* (ang. franc.) - przeklęte bydlę, to jeszcze jeden jego kawał, jak mi się wydaje, a ty, czy dasz mi wreszcie spokój.
[106] *Si tous les gars du monde...* (franc.) - Gdyby wszyscy chłopcy na świecie (Tytuł znanego filmu, którego tematem jest międzynarodowa solidarność)

- Mało brakowało, a byłaby mi zgniotła nogę, czarownica - mruknął Perico oglądając bucik. - Otwierajże wreszcie, już mi nosem te schody wychodzą.

Ale klucz nie chciał się obrócić, aż Wong zauważył, że w każdej inicjacji najprostszym ruchom sprzeciwiają się Siły, które należy zwyciężać Chytrością i Cierpliwością. Światło zgasło.

Babs Ma tam kto zapalniczkę, *cono? Tu pour rais*
Ronald *quand même parler français, non? Ton copain*
Etienne *l'argencul n'est pas la pour piger ton charabia.*
Etienne Zapałkę, Roland. Cholerny klucz zupełnie za-
Wong rdzewiał, stary przechowywał go chyba
w szklance wody. *Mon copain, mon copain, c'est*
pas mon copain. Nie myślę, żeby przyszedł.
Perico Nie znasz go. Znam go lepiej od ciebie.
Ronald Akurat. *Wanna bet something? Ah, merde, mais*
Perico *c'est la tour de Babel, ma parole.* Daj no zapal-
niczkę. *Fleuve jaune de mon cul, la poisse, quoi.*
Wong W dni Yina trzeba być uzbrojonym
Babs w cierpliwość. Tylko dwa litry, ale za to
Etienne dobre. Na Boga, żeby ci aby nie upadły na
Babs Ronald schody. Pamiętam taki wieczór w Alabamie.
Babs Babs Było pełno gwiazd, najdroższa. *How funny, you*
Ronald *ought to be on the radio.* No, już zaczyna się
Etienne ruszać, zaciął się naturalnie. Yin, *stars fell in* i
Chór *Alabama,* zupełnie mi zmarnowała nogę, dajże zapałkę, nic nie widać, albo poszukaj światła! Nie działa. Ktoś mnie złapał za dupę, mój skarbie, ćć, ćć. Niech Wong wchodzi pierwszy, żeby wygonić diabły. Nie ma mowy. Pchnij go, Perico, przecież to tylko Chińczyk.

- Cisza - powiedział Ronald. - Jesteśmy na innym terenie. Jeżeli ktoś z was przyszedł, żeby się rozrywać, to niech zjeżdża. Daj mi butelki, *darling,* zawsze wszystko tłuczesz, jak jesteś zemocjonowana.

- Nie lubię, jak mnie macają w ciemnościach - powiedziała Babs patrząc w kierunku Perico i Wonga.

Etienne powoli przejechał ręką po wewnętrznej ramie drzwi. Czekali w milczeniu, że znajdzie kontakt. Mieszkanie było małe i zakurzone; swojskie, nisko umieszczone światła

spowijały je w jakąś złocistą mgłę, w której klub najpierw odetchnął z ulgą, a potem ruszył na dalsze oględziny, po cichu dzieląc się wrażeniami: reprodukcja tabliczki z Ur, legenda o profanacji hostii (Paolo Ucello *pinxit),* fotografie Pounda i Musila, mały obrazeczek de Staëla, nieprzeliczone książki wzdłuż wszystkich ścian, na podłodze, na stołach, w ubikacji, w malutkiej kuchence, gdzie znaleziono jajko na pół zgniłe, a na pół skamieniałe, prześliczne, w mniemaniu Etienne'a, do wyrzucenia - zdaniem Babs, stąd sycząca wymiana zdań, podczas której Wong z szacunkiem otwierał *Dissertaíio de morbis a fascino et fascino contra morbos* Zwingera, Perico, wlazłszy swoim zwyczajem na taboret, przerzucał półkę hiszpańskich poetów Złotego Wieku i oglądał małe astrolabium z cyny i kości słoniowej, Ronald zaś stał nieruchomo przed biurkiem Morellego, z koniakiem pod obiema pachami, patrząc na brulion, oprawny w zielony aksamit, idealny do zapisków Balzaka, ale nad którym trudno było wyobrazić sobie Morellego. Więc to była prawda, stary mieszkał tu, o dwa kroki od klubu, a ten przeklęty wydawca twierdził, że jest w Austrii albo na Costa Brava, gdy pytali o niego przez telefon. Gdzie spojrzeć, teczki do papierów, we wszystkich kolorach, dwadzieścia, a może czterdzieści, pełne albo puste, a na środku popielniczka, jakby drugie archiwum Morellego, pompejański wzgórek popiołu i wypalonych zapałek.

- Cisnęła martwą naturę do śmieci - wściekał się Etienne. - Gdyby Maga tu była, wydarłaby jej wszystkie włosy z głowy. Podczas kiedy ty, mąż...

- Popatrz - Ronald wskazał mu stół w nadziei, że się uspokoi. - Babs mówiła, że śmierdziało, nie masz się przy czym upierać. Otwierajmy posiedzenie. Etienne przewodniczy. Co jest z Argentyńczykiem?

- Nie ma ani Argentyńca, ani Transylwańca, Guy pojechał na wieś, a Magę nosi Bóg wie gdzie. Ale i tak mamy quorum. Wong, protokołuj.

- Poczekajmy chwilę na Oliveirę i Osipa. Babs będzie skarbnikiem.

- Ronald sekretarzem. I niech się zajmuje barem. *Sweet, get me some glasses, will you?* [107]

- Przechodzimy do punktu czwartego - powiedział Etienne siadając przy stole. - Klub zebrał się tej nocy, aby spełnić życzenie Morellego. Zanim przyjdzie Oliveira (jeżeli w ogóle przyjdzie), wypijmy, żeby stary zasiadł tu z nami któregoś dnia. Ale ci ponury widok, matko moja! Wyglądamy jak koszmary; daj Boże, żeby takie nie dręczyły Morellego w szpitalu. Ohyda. Proszę to odnotować w sprawozdaniu.

- Tymczasem pomówmy o nim - powiedział Ronald, który walczył z korkiem od koniaku, lecz oczy miał pełne łez. - Nigdy już się nam nie zdarzy takie zebranie jak to

[107] *Sweet, get some glasses...* (ang.) - Kochanie, postaraj się o kilka szklanek, dobrze?

dzisiejsze, tyle lat byłem w nowicjacie i nie spodziewałem się tego. Ani ty, Wong, ani Perico. *Damn it, I could cry*[108]. Chyba tak się człowiek czuje, jak dochodzi do szczytu góry albo bije jakiś rekord, albo... no, coś w tym rodzaju. *Sorry.*

Etienne położył mu rękę na ramieniu. Usiedli dokoła stołu. Wong pogasił lampy z wyjątkiem tej, która oświetlała zielony brulion. To prawie scena dla Eusapii Paladino - pomyślał Etienne, który uznawał spirytyzm. Popijając koniak zaczęli mówić o książkach Morellego.

[108] *Damn it,I could cry* (ang.) - Cholera, płakać mi się chce.

97

Gregoroviusa, agenta od sił heteroklitycznych, zainteresowała notatka Morellego: „Zanurzyć się w rzeczywistości lub w jakimś rodzaju rzeczywistości i przekonać się, że to, co na pierwszy rzut oka wydawało się całkowicie absurdalne, zaczyna nabierać znaczenia i układać się wokół innych form (absurdalnych lub nie), tak że w końcu z materiału rozbieżnego (w stosunku do stereotypu dnia) wyłania się i kształtuje jakiś koherentny rysunek, który tylko w zestawieniu z tamtym będzie wydawał się bezsensem, majakiem albo czymś niezrozumiałym. Czy aby nie grzeszę przez nadmiar ufności? Zrezygnować z psychologizowania, równocześnie wprowadzając czytelnika - to prawda, że specyficznego czytelnika - w kontakt z osobistym światem, z osobistymi doświadczeniami i własnymi rozmyślaniami... Taki czytelnik zostaje pozbawiony wszelkiego pomostu, wszelkiego pośrednictwa, jakiejkolwiek przyczynowości. Oto sprawy w stanie surowym: sposoby bycia, ich skutki, zerwania, katastrofy, szyderstwa. Tam, gdzie oczekiwałoby się pożegnania, znajdujemy rysunek na ścianie; zamiast krzyku - wędka; śmierć wyraża się za pomocą mandolinowego tria. A jednak to jest pożegnanie, krzyk i śmierć, lecz któż jest przygotowany do zmiany pozycji, wyniesienia się ze swego miejsca, otwarcia się, zdecentralizowania, wyalienowania? Ramy powieści zmieniły się, lecz jej bohaterowie w dalszym ciągu są wcieleniami Tristana, Jane Eyre, Lafcadia, Leopolda Blooma, świata, ulicy, domu, alkowy - są charakterami. Na jednego bohatera w stylu Ulricha *(more* Musil) czy Molloya *(more* Beckett) wypada pięciuset Darleyów *(more* Durrell). Co do mnie, zastanawiam się, czy kiedykolwiek uda mi się wykazać, że jedynym prawdziwie interesującym mnie bohaterem jest czytelnik, w takiej mierze, w jakiej choć odrobina z tego, co piszę, mogłaby przyczynić się do urobienia go, do zmienienia zajmowanych przez niego pozycji, do przetransplantowania go, wyalienowania".

Jakkolwiek ostatnie zdanie było cichym przyznaniem się do klęski, Ronald dopatrzył się w nim czegoś pretensjonalnego, co mu się nie spodobało.

(18)

98

I tak właśnie ci, którzy oświecają nas, sami są ślepcami.

W ten oto sposób ktoś nieświadomie może wskazać co właściwszą drogę, po której sam nie umiałby iść. Maga nie dowie się nigdy, ani że szczupły jej palec ukazywał mi skazę na lustrze, ani w jakiej mierze pewne jej przemilczenia, pewne niedorzeczne spostrzeżenia, pewne ucieczki oślepionych światłem stonóg stały się drogowskazem dla mojego ja, dobrze zasiedziałego we mnie samym, czyli nigdzie. A co do tej skazy na lustrze... Jeśli chcesz być szczęśliwy, jak to podkreślasz stale, / Bez poezji, Horacio, nie poetyzuj wcale...

Obiektywnie: Była niezdolna wskazać mi cokolwiek z mojego terenu, zdezorientowana nawet na swoim, poruszała się po omacku, nieprzytomny nietoperz, rysunek fruwających po pokoju much. I nagle dla mnie, pogrążonego w obserwowaniu jej, stawało się to jakąś wskazówką, naprowadzeniem na ślad. Choć nic o tym nie wiedziała, przyczyna jej łez, kolejność zakupów lub sposób smażenia kartofli były znakami. O czymś podobnym musiał myśleć Morelli pisząc: „Do południa czytanie Heisenberga, notki, fiszki. Synek dozorczyni przynosi mi pocztę i mówimy o modelu samolotu, który buduje u siebie w kuchni. Podczas tej rozmowy nagle dwa razy podskakuje na lewej nóżce, trzy na prawej, dwa na lewej. Pytam go, dlaczego dwa i trzy, a nie dwa i dwa albo trzy i trzy. Patrzy na mnie zdziwiony, nie rozumie. Uczucie, że Heisenberg i ja jesteśmy po drugiej stronie, podczas gdy dziecko nieświadomie ciągle jeszcze siedzi okrakiem, z nogami po obydwu stronach, ale niedługo będzie już tylko po naszej, a wtedy wszelki kontakt się zerwie. Jaki kontakt, z kim, po co? Lepiej czytajmy; a nuż właśnie Heisenberg..."

(38)

- Nie pierwszy raz robi aluzje do zubożenia języka - powiedział Etienne. - Mógłbym zacytować wiele wypadków, w których jego postacie, zarysowane tylko poprzez własne myśli i własne słowa, wątpią o sobie, obawiając się, że ten rysunek jest błędny. *Honneur des hommes, Saint Langage...* Daleko odeszliśmy od tego.

- Nie tak daleko - odparł Ronald. - Morelli po prostu chce wrócić językowi jego prawa. Mówi o oczyszczeniu go, o ukaraniu, w ramach higieny pragnie zastąpić „upaść" przez „runąć". Ale w głębi duszy chciałby zwrócić słowu „upaść" cały jego blask, aby móc używać go jak zapałki, nie zaś jako fragmentu dekoracji, czegoś absolutnie banalnego.

- Ale ta walka odbywa się na wielu planach - odezwał się po długim milczeniu Oliveira. - Z tego, co nam czytałeś, jasno wynika, że Morelli potępia w języku odbicie fałszywego albo niekompletnego sposobu widzenia, odbicie zasłaniające nam rzeczywistość, człowieczeństwo. W gruncie rzeczy język obchodzi go tylko na planie estetycznym. Ale to powołanie się na etos nie może mylić. Morelli rozumie, że pisarstwo czysto estetyczne jest kamuflażem i kłamstwem, które wciąga tylko lektora-samicę, poszukującego nie problemów, lecz rozwiązań, w najlepszym razie cudzych problemów, które by mu pozwoliły cierpieć, wygodnie siedzieć w fotelu, nie angażując się w dramat, który przecież powinien być również jego udziałem. W Argentynie, jeżeli za waszym pozwoleniem wolno mi oddać się na chwilę tego typu partykularyzmom, ten rodzaj kamuflażu zaspokajał nas i uspokajał na przestrzeni całego ostatniego wieku.

- Szczęśliwy, kto napotka swoje dopełnienia, czynnych czytelników - wyrecytował Wong. - To z tego niebieskiego świstka w teczce nr 21. Kiedy po raz pierwszy czytałem Morellego (Meudon, zakazany film, przyjaciele z Kuby), wydawało mi się, że cała książka jest Wielkim Żółwiem odwróconym do góry nogami. Nie do pojęcia. Morelli jest niezwykłym filozofem, od czasu do czasu kompletnie tępym.

- Tak jak i ty - Perico wstał z taboretu i rozpychając się łokciami włączył się do siedzących przy stole. - Wszystkie fantazje na temat ulepszania języka są marzeniem akademika, żeby nie powiedzieć: gramatyka. Upaść czy runąć - przecież chodzi o to, że ten ktoś wywalił się, i tyle.

- Perico - powiedział Etienne - ratuje nas od nadmiernego wyrafinowania, w którym Morelli chwilami zbytnio się lubuje.

- Tyle ci powiem - głos Perico był stanowczy - że dla mnie te wszystkie abstrakcje...

Oliveira, z wdzięcznością przysłuchujący się dyskusji, która chociaż na chwilę pozwalała mu zapomnieć o sobie, sparzył sobie przełyk koniakiem. W jakimś miejscu (nie wiedział dokładnie, w jakim będzie musiał go poszukać) Morelli podawał klucz swojej metody kompozycyjnej; jego główną trudnością było uczucie wysuszenia. Mallarmeńskie przerażenie na widok pustej kartki, idące w parze z koniecznością otwarcia sobie drogi za każdą cenę. Nieuchronnie w jego dziele musiało się znaleźć odbicie tego problemu. W ten sposób wciąż się oddalał od profesjonalnego stosunku do literatury, od tego rodzaju nowel czy też powieści, którym zawdzięczał swą początkową sławę. W jakimś innym miejscu mówił o tęsknocie graniczącej ze zdumieniem, która towarzyszyła odczytywaniu tego, co pisał wiele lat temu. Skąd wykwitły te pomysły, to cudowne rozdwojenie między autorem a jego dziełem, tak wygodne i tak wszystko upraszczające? W swoim czasie miał uczucie, że wszystko, o czym pisze, leży rozpostarte przed nim; pisać to znaczyło przebiegać maszyną Olivetti po słowach niewidzialnych, lecz obecnych, tak jak diament przebiega po wyżłobieniach płyty. Teraz mógł pisać tylko w pocie czoła, za każdym słowem zastanawiając się nad jego możliwym przeciwieństwem, nad ukrytym sofizmatem (trzeba by raz jeszcze to przeczytać - pomyślał Oliveira - ten ciekawy ustęp, którym rozkoszował się Etienne), podejrzewając, że każda jasna, dokończona myśl zawsze jest omyłką lub półprawdą, nie dowierzając słowom skłonnym układać się w poprawne całości eufoniczne, rytmiczne, tym słowom łagodnie mruczącym, które same przez się hipnotyzują czytelnika, pożarłszy najpierw autora. („Ale przecież wiersze...” - „Chociaż znowu ta notatka, w której mówi o swingu puszczając całą przemowę w ruch...”) Chwilami Morelli wypowiadał się za gorzką prostotą w rozwiązaniach: nie miał nic więcej do powiedzenia, zawodowe odruchy warunkowe myliły konieczność z rutyną, rzecz zresztą typowa dla pisarzy po pięćdziesiątce oraz dla laureatów. Równocześnie jednak czuł, że nigdy nie był tak spragniony, tak zmuszony do pisania. Odruch to więc czy rutyna to pragnienie pełne lęku, pełne rozkoszy, aby wypowiadać sobie walkę wiersz za wierszem? Skąd to natychmiastowe kontruderzenie, to odbicie, te zdyszane wątpliwości, suchość, rezygnacja?

- Gdzie jest ten ustęp na temat słowa, który tak ci się podobał? - spytał Oliveira.

- Umiem go na pamięć - odparł Etienne. - Chodzi o spójnik „jeżeli”, po którym następuje odnośnik, po którym następuje odnośnik, po którym znowu następuje odnośnik. Właśnie mówiłem do Perica, że teorie Morellego nie są specjalnie oryginalne. Jest nam bliski po prostu przez praktykę, przez siłę, z jaką usiłuje pisać, po to, by, jak sam mówi, zdobyć prawo (zdobyć je dla wszystkich) wejścia raz jeszcze do domu człowieczego, tyle że teraz już tą właściwą nogą. Oto jego słowa własne albo prawie własne.

- Nie można powiedzieć, żeby brakowało nam surrealistów - zauważył Perico.

- Tu nie chodzi o uwolnienie się od słów - ciągnął Etienne. - Surrealiści byli zdania, że prawdziwy język i prawdziwa rzeczywistość były ocenzurowane przez racjonalistów i burżuazyjny ustrój Zachodu, o czym wie każdy poeta, ale to był tylko moment w skomplikowanym procesie obierania banana. W rezultacie niejeden zjadł go ze skórą., Surrealiści czepiali się słów, zamiast się od nich uwalniać, tak jak tego chce Morelli, który także przecież wychodzi oci słowa. Fanatycy słowa w stanie czystym, oszaleli wróżbici, przyjęliby cokolwiek, byle nie było niegramatyczne. Nie podejrzewali, że tworzenie każdego języka, nawet takiego, który w końcu miałby minąć się z sensem, ukazuje nieodwołalnie ludzką strukturę, niechby to była nawet struktur a Chińczyka czy Indianina. Język to umiejscawianie się w jakiejś rzeczywistości, egzystowanie w jakiejś rzeczywistości. To prawda, że język, którego używamy zdradza nas (przy czym nie tylko Morelli wykrzykuje to na prawo i lewo) i że nie wystarcza sama chęć oczyszczenia go z jego licznych tabu. Trzeba go ożywić, nie zaś ocucić.

- To brzmi uroczyście - mruknął Perico.

- A w dodatku może się znaleźć w każdym przyzwoitymi traktacie filozoficznym - nieśmiało odezwał się Gregorovius, który entomologicznie przeglądał teczki i wydawał się na wpół uśpiony. - Nie ma sposobu ożywić języka, jeżeli się nie zacznie od odmiennej percepcji naszej rzeczywistości. Od bytu do słowa, a nie od słowa do bytu.

- Odmienna percepcja - powiedział Oliveira. - To jedno z tych słów, które równie dobrze służą dwóm panom Nie posądzajmy Morellego o problemy Diltheya, Husserla czy Wittgensteina. W tym, co stary napisał, jasne jest tylko to, że jeżeli będziemy w dalszym ciągu używali języka według jego utartego klucza, z jego utartymi skojarzeniami etc., umrzemy nie dowiedziawszy się, jakie jest prawdziwe imię dnia. Śmieszne jest powtarzanie, że, jak mawiał Malcolm Lowry, sprzedają nam życie gotowe, prefabrykowane. Morelli również wpada w banał podkreślając to, lecz Etienne ma rację: stary zarówno sobie, jak i nam ukazuje wyjście za pomocą praktyki. Do czegóż służy pisarz, jeżeli nie do burzenia literatury? A my, którzy nie chcemy być czytelnikami-samicami, do czegóż służymy, jeżeli nie do tego, by w miarę naszych możliwości pomagać w tej destrukcji?

- No, a potem? Co będziemy robili potem? - zapytała Babs.

- Sam chciałbym wiedzieć - zamyślił się Oliveira. - Jeszcze jakieś dwadzieścia lat temu istniała wielka odpowiedź: Poezja, laleczko. Poezja. Zatykali ci gębę wielkim słowem. Poetyckie widzenie świata, zdobycze poetyckiej rzeczywistości. Chyba zdajesz sobie sprawę,

że po ostatniej wojnie to kompletnie zanikło. Poeci pozostali, tego nikt nie kwestionuje, ale też i nikt ich nie czyta.

- Nie gadaj głupstw - zirytował się Perico. - Ja sam czytam całe kupy wierszy.

- I ja także. Ale nie chodzi o wiersze, chodzi o to, co zapowiadali surrealiści, o to, czego każdy poeta pragnie i poszukuje, o tę osławioną poetycką rzeczywistość. Możesz mi wierzyć, że od pięćdziesiątego roku jesteśmy w pełni pogrążeni w rzeczywistości technologicznej, przynajmniej statystycznie. Wielka szkoda, i możemy rwać sobie włosy z głowy, niemniej tak jest.

- Mam gdzieś technologię - przerwał Perico. - Na przykład Fray Luis...

- Jesteśmy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym którymś tam roku.

- Wiem o tym, ośle.

- Trudno to zauważyć.

- A może wyobrażasz sobie, że zacznę się przymierzać do zajmowania jakichś zasranych historycznych pozycji?

- Nie, powinieneś po prostu czytać gazety. Technologia tyle mnie obchodzi, co i ciebie, ale nie mogę nie czuć, jak bardzo zmieniła świat w ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci. Każdy gość po czterdziestce musi zdawać sobie sprawę, dlatego pytanie Babs stawia i nas, i Morellego w kropce. To bardzo pięknie użerać się z tym skurwionym językiem, z tą tak zwaną literaturą w imię jakichś rzeczywistości, które wydają się nam prawdziwe, osiągalne, istniejące w jakiejś części naszej, przepraszam za wyrażenie, duszy. Ale nawet Morelli widzi tylko negatywną stronę swojej wojny. Czuje, że musi ją prowadzić tak jak ty, jak my wszyscy. Ale potem?

- Bądźmy metodyczni - powiedział Etienne. - Zostawmy „potem". Jako pierwszy etap lekcja Morellego powinna wystarczyć.

- Nie można mówić o etapach nie określiwszy celu.

- Więc nazwij to roboczą hipotezą, czy jak ci się tam podoba. Morelli usiłuje po prostu przełamać mentalne nawyki czytelnika. Jak widzisz, zamierzenie bardzo skromne w porównaniu do przekroczenia Alp przez Hannibala. Przynajmniej do tej chwili nie widać w Morellim nic metafizycznego, tylko że ty, Horacio Curiado, jesteś w stanie doszukać się cech metafizycznych nawet w puszce pasty pomidorowej. Morelli jest artystą posiadającym swoistą koncepcję sztuki, polegającą na obalaniu utartych form, co jest normalne u wszystkich prawdziwych artystów. Na przykład szlak go trafia na chińską powieść-rulon, książkę, którą czytasz od początku do końca, jak grzeczne dziecko. Zauważyłeś chyba, że coraz mniej się przejmuje łączeniem w całość poszczególnych partii książki, wymogami słów,

z których jedne pociągają za sobą inne... Jak go czytam, mam uczucie, że poszukuje jakiejś międzyakcji mniej mechanicznej, mniej powiązanej przyczynowo z elementami, którymi operuje. Czuje się, że to, co już napisał, prawie nie warunkuje tego, co dalej pisze, tym bardziej, że po stu stronach sam już mało pamięta, od czego się wszystko zaczęło.

- Wobec tego - wtrącił Perico - karliczka z dwudziestej strony dochodzi do dwóch metrów na setnej. Nieraz zwracałem na to uwagę. Czasem scena zaczynająca się o szóstej po południu kończy się o wpół do szóstej. To świństwo.

- A tobie nie zdarza się czuć się karłem albo olbrzymem w zależności od nastroju? - spytał Ronald.

- Mówię o somie - odpowiedział Perico.

- Ten wierzy w somę... - uśmiechnął się Oliveira.

- W somę w czasie. Wierzy w nas przedtem i potem. Biedactwo, nie natknął się w żadnej szufladzie na własny list sprzed dwudziestu lat, nie przeczytał go i nie zdał sobie sprawy, że nic się nie trzyma kupy, jeżeli nie połączymy tego za pomocą miąższu czasu, jeżeli sami nie wymyślimy czasu, żeby nie zwariować.

- To nie zależy od rzemiosła - powiedział Ronald - ale za tym, za tym...

- Poeta - odezwał się Oliveira, szczerze wzruszony.

- Powinieneś nazywać się Behind czy Beyond, *Américain de mon coeur*. A może Yonder... to nieźle brzmi.

- Nic z tego wszystkiego nie miałoby sensu bez jakiegoś zaplecza - powiedział Ronald. - Jeżeli czytamy Morellego, jeżeli tu dziś siedzimy, to dlatego, że jest w nim coś z tego, co miał Bird, co czasem miewają Cummings lub Jackson Pollock, zresztą dość przykładów. Chociaż niby dlaczego miałoby być dość przykładów - rozzłościł się nagle, podczas gdy Babs patrzyła na niego pełna zachwytu, dosłownie pijąc-każde-jego-słowo. - Będę ich dawał tyle, ile mi się będzie żywnie podobało. Każdy chyba rozumie, że Morelli nie komplikuje sobie życia wyłącznie z amatorstwa, przecież jego książka jest prowokacją, jak wszystko, co ma jakąś wartość. W tym technologicznym świecie, o którym mówiliśmy, Morelli chce ocalić coś, co ginie, ale aby to ocalić, trzeba wpierw to zabić, a jeżeli nie zabić, to chociaż zrobić transfuzję równą zmartwychwstaniu. Błędem poezji futurystycznej - dodał Ronald ku nieograniczonej admiracji Babs - była chęć komentowania mechanizmów w nadziei, że tą drogą uniknie się leukemii. Literackie omawianie wydarzeń na Przylądku Cañaveral chyba nie pomoże nam zrozumieć rzeczywistości, tak mi się przynajmniej wydaje.

- I słusznie ci się wydaje - powiedział Oliveira. - Lepiej szukajmy, gdzie może być Yonder, jest tego do licha i trochę. Na początek powiem wam, że ta rzeczywistość

technologiczna, którą uznają naukowcy i czytelnicy „France-Soir", ten świat cortisonu, promieni gamma i rozszczepiania plutonu, tyle ma wspólnego z rzeczywistością, co „Le Roman de la Rose". Jeżeli wspomniałem o tym w rozmowie z Perico, to tylko po to, aby był łaskaw zauważyć, że jego kryteria estetyczne, zarówno jak i jego skala wartościowania, już nie są w obiegu i że człowiek, który się wszystkiego spodziewał po inteligencji i umyśle, czuje się niejako zdradzony, jakby na pół świadomy tego, że jego własna broń odwróciła się przeciw niemu, że kultura, *la civiltà,* wprowadziły go w ślepą uliczkę, tak że barbarzyństwo nauki jest właściwie reakcją nader zrozumiałą. Przepraszam za to napuszone słownictwo.

- To już mówił Klages - zauważył Gregorovius.

- Nie upominam się o prawa autorskie - szczeknął Oliveira. - Chodzi o to, że wszelka rzeczywistość, zarówno Stolicy Apostolskiej, jak René Chara czy też Oppen-heimera, jest zawsze rzeczywistością niekompletną, konwencjonalną i rozczłonkowaną. Podziw niektórych facetów dla mikroskopu elektronowego wcale nie wydaje mi się owocniejszy niż podziw stróżek dla cudów w Lourdes. Czy się chce wierzyć w to, co się nazywa duchem, czy żyć w Emmanuelu, czy chodzić na kursy Zen, czy uważać przeznaczenie człowieka za problem ekonomiczny, czy też za kompletny absurd, długa to lista, niełatwy wybór. Ale sam fakt istnienia wyboru, fakt, że lista jest długa, wystarcza, aby dowieść, że tkwimy w prehistorii i w preczłowieczeństwie. Nie jestem optymistą i wątpię, abyśmy kiedykolwiek dobrnęli do prawdziwej historii prawdziwego człowieczeństwa. Niełatwo będzie dojść do osławionego Yondera Ronalda, nikt bowiem nie może negować, że problem rzeczywistości należy stawiać w kategoriach zbiorowych, nie zaś w kategoriach zbawienia jednostki. Ludzie gotowi, tacy, którzy wyskoczyli poza swój czas i włączyli się do jakiejś ogólnej summy, że się tak wyrażę... no bo z pewnością byli tacy, a nawet są. Ale to nie dosyć, ja na przykład czuję, że moje zbawienie (jeżeli mógłbym je osiągnąć) musi być równocześnie zbawieniem wszystkich do ostatniego człowieka włącznie. A to, mój drogi... Już nie jesteśmy na polach Asyżu, już nie ma co czekać, że świątobliwy przykład posieje świętość, że każdy *guru* będzie zbawieniem dla wszystkich swych uczniów.

- Lepiej byś wrócił z Benares - doradził Etienne. - Zdaje się, że chodzi o Morellego. Nawiązując do tego, o czym mówiłeś, przychodzi mi do głowy, że to osławione Yonder nie może być wyobrażeniem przyszłości w czasie i przestrzeni. Morelli wydaje się mówić, że jeżeli będziemy się trzymać teorii Kanta, nigdy nie wyjdziemy z impasu. To, co nazywamy rzeczywistością, którą również możemy nazwać Yonder (to czasem ułatwia, jeżeli dać kilka imion jakiemuś pojęciu, w każdym razie unika się przez to ze-sztywnienia, zaszeregowania), ta prawdziwa rzeczywistość, powtarzam, nie jest czymś, co ma nadejść, jakąś metą, ostatnim

stopniem, końcem ewolucji. Nie; jest czymś, co już się znajduje tu, między nami. To się czuje, wystarczy zdobyć się na to, aby wyciągnąć rękę w ciemnościach. Nieraz czuję to podczas malowania.

- Może to diabeł - mruknął Oliveira. - Czysto estetyczne podniecenie... Chociaż może i co innego. A może właśnie to...

- Tu siedzi - Babs dotknęła ręką czoła. - Czuję go, jak trochę wypiję, albo jak...

Wybuchnęła śmiechem i zasłoniła twarz rękami. Ronald poklepał ją pieszczotliwie.

- Nie siedzi - powiedział bardzo poważnie Wong. - Jest.

- Tędy daleko nie zajdziemy - naburmuszył się Oliveira. - Cóż może nam dać poezja poza przeczuciami? Ty, Babs, ja... Królestwo ludzkie nie narodziło się z paru samotnych iskier. Cały świat miał swoje chwile wizji, niestety, zawsze wraca do *hic et nunc*.

- Ty, bracie, nie masz głowy do niczego, co się nie wyraża w absolutach - powiedział Etienne. - Pozwól mi skończyć to, o czym zacząłem mówić. Morelli uważa, że jeśli lirycy przebiją się poprzez skamieniałość dawnych form, czy to będzie przysłówek, czy koncepcja czasu, czy co tam ci się podoba, po raz pierwszy w życiu zrobią coś użytecznego. Wykańczając, a w każdym razie znakomicie redukując czytelników-samice, pomogą wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób usiłują dotrzeć do Yonder. Technika pisarska ludzi w jego stylu jest jakby zachętą do opuszczenia utartej koleiny.

- Po to, żeby ugrzęznąć po szyję w błocie - powiedział Perico, który począwszy od jedenastej wieczorem był „przeciw".

- Heraklit - zauważył Gregorovius - zanurzył się w gównie po szyję i tym się uleczył z wodnej puchliny.

- Daj spokój Heraklitowi - powiedział Etienne. - Już od tego gadania zbiera mi się na sen. Jeszcze tylko powiem, co następuje, dwukropek: Morelli jest przeświadczony, że o ile pisarz będzie posłuszny językowi, który przypadł mu wraz z tym, co nosi na grzbiecie, wraz z chrztem świętym, imieniem, narodowością etc., jego dzieło będzie miało wyłącznie estetyczny walor, który to walor nasz stary ma we wciąż wzrastającej pogardzie. Gdzieniegdzie w swoich tekstach mówi o tym, bardzo dobitnie: jego zdaniem, nie sposób naprawdę oskarżać, dopóki pozostaje się w tym samym systemie, co przedmiot oskarżenia. Pisanie przeciw kapitalizmowi z całym bagażem myślowym i całym słownictwem tegoż kapitalizmu jest stratą czasu. Można osiągnąć rezultaty historyczne jak marksizm czy coś w tym stylu, ale Yonder nie jest historią, jest jak gdyby czubkami palców, które wystają z wód historii i próbują o coś się zaczepić.

- Bzdury - powiedział Perico.

- Dlatego pisarz musi podpalić język, skończyć z zakrzepłymi formami, co więcej, podać w wątpliwość, czy ten język w ogóle jest jeszcze w jakiejkolwiek łączności z tym, co rzekomo wyraża. Nie tylko słowa same w sobie, to jest mniej ważne, ile cała językowa struktura.

- Jakoś do tego wszystkiego używa niesłychanie czystego języka - zauważył Perico.

- No pewno. Morelli nie wierzy w systemy onomatopei-czne. Jemu nie chodzi o to, aby zastąpić składnię automatycznym pismem czy inną modną sztuczką. Chce całkowicie wykroczyć poza pracę literacką, poza książki, jeżeli wolisz. Czasami za pomocą słowa, czasami za pomocą tego co słowo przekazuje. Postępuje jak partyzant - wysadza w powietrze to, co się da; a reszta idzie swoją drogą. Nie myśl, że przez to przestaje być cziowiekem literatury.

- Trzeba by już iść - powiedziała Babs, która była śpiąca.

- Możesz sobie gadać, co chcesz - uparł się Perico

- nie robi się prawdziwych rewolucji przeciwko samym formom. Ważna jest zawartość, treść, głębia.

- Mamy za sobą całe wieki głębinowej literatury - powiedział Oliveira - z rezultatami jak na obrazku. Przy czym zaznaczam, że pod słowem literatura rozumiem wszystko, co się da powiedzieć lub pomyśleć.

- Nie mówię o tym, że rozróżnienie pomiędzy formą a treścią jest z natury rzeczy fałszywe - powiedział Etienne.

- Od lat wie o tym cały świat. Należy robić rozróżnienie pomiędzy środkiem ekspresji, czyli językiem jako takim, a samą wypowiedzią, czyli rzeczywistością odzwierciedloną w świadomości.

- Jak sobie chcesz - mruknął Perico. - Ja chciałbym po prostu wiedzieć, czy rozwalenie, o które walczy Morelli, rozwalenie tego, co nazywasz środkiem ekspresji, w celu lepszego ujęcia samej wyrażanej treści, może do czegokolwiek służyć na tym etapie.

- Prawdopodobnie nie - powiedział Oliveira - ale daje nam złudzenie samotności w ślepym zaułku służby dla Wielkiej Próżności Idealistyczno-Realistyczno-Duchowo-Materialistycznej Zachodu SA.

- A jak myślisz, czy ktokolwiek inny byłby zdolny tak długo drążyć język, żeby naprawdę dokopać się korzeni?

- zapytał Ronald.

- Może. Morelli nie ma dość geniuszu czy może cierpliwości, których to wymaga. Wskazuje drogę, robi kilka uderzeń oskardem... Zostawia książkę. To niewiele.

- Chodźmy - powtórzyła Babs. - Już późno i koniak się skończył.

- Jest jeszcze inna sprawa - mruknął Oliveira. - Jego dążenie jest absurdalne w tym sensie, że każdy wie tylko tyle, ile wie, po prostu kwestia ograniczeń antropologicznych. Mówiąc stylem Wittgensteina, problemy sprzęgają się ze sobą wstecz, czyli że to, co człowiek wie, jest wiedzą człowieka, ale nie wie on już tego, co trzeba by wiedzieć o człowieku jako takim, aby móc przyjąć jego wyobrażenia rzeczywistości. Teoretycy poznania rozpatrywali już to zagadnienie, a nawet uznali, że znaleźli jakiś stały grunt, skąd można by ruszyć w przód, wprost ku metafizyce. Ale jeżeli higieniczny odwrót Kartezjusza dzisiaj wydaje się nam częściowo, a nawet zupełnie bez znaczenia, to dlatego, że w tej właśnie chwili niejaki pan Wilcox z Cleveland przy pomocy elektrod i innych aparatów dowodzi równoznaczno-ści myśli z obwodem elektromagnetycznym (przy czym on z kolei jest przekonany, że zna się na tym znakomicie, ponieważ znakomicie opanował język, za pomocą którego o tym się mówi). Jakby tego było mało, jakiś Szwed wyjeżdża z nader efektowną teorią chemii umysłowej. Mianowicie: myślenie jest funkcją współdziałania jakichś kwasów, których nazw nie przypominam sobie i nie chcę sobie przypominać. *Acido, ergo sum.*[109] Pokrapiasz sobie zwoje mózgowe takim czy innym lekiem i masz do wyboru: Oppenheimer albo doktor Petiot, znamienity morderca. Sam widzisz, jak operacja *cogito,* operacja par exellence ludzka, mieści się dzisiaj w nieokreślonych rejonach pomiędzy elektromagnety-zmem a chemią i prawdopodobnie nie tak bardzo się różni od takich zjawisk, jak zorza polarna czy zdjęcia zrobione za pomocą promieni podczerwonych. Masz tu swoje znakomite *cogito,* zwykłe ogniwo zawrotnego pędu sił, których stopnie w 1950 nazywają się *inter alia:* impulsy elektryczne cząsteczki, atomy, neutrony, protony, mikrobotony, izotopy radioaktywne, drobiny cynobru, kosmiczne promienie: słowa, słowa, słowa, „Hamlet", akt drugi (o ile się nie mylę). Nie mówiąc już o tym, że może jest właśnie odwrotnie i zorza polarna jest fenomenem i n t e l e k t u a l n y m, a wtedy to już rzeczywiście...

- Nie... Z takim nihilizmem tylko harakiri - uśmiechnął się Etienne.

- Jasne, koteczku - zgodził się Oliveira. - A teraz wracam do starego. Jeżeli jego dążenie jest równie absurdalne, jak ciskanie w Ray Sugara bananami, to przyjąwszy, że jest ono nic nie znaczącą ofensywą w pełni kryzysu i bankructwa klasycznej koncepcji Homo Sapiens, nie należy zapominać, że ty to ty, a ja to ja (albo chociaż, że tak nam się wydaje) i że jakkolwiek nie mamy najmniejszej pewności na temat tego, co nasi ojcowie-olbrzymi uznali za nienaruszalne prawdy, zawsze pozostaje nam wdzięczna możliwość życia i działania j a k g d y b y wybierając roboczą hipotezę, atakując, tak jak to robi Morelli, to, co nam się wydaje

[109] *Acido, ergo sum* (łac.) - Kwaśnieję, więc jestem. (Patafraza słynnego zdania Kartezjusza *„cogito, ergo sum"* - myślę, więc

specjalnie fałszywe, w myśl jakiejś niejasnej pewności, która prawdopodobnie okaże się równie niepewna jak i reszta, ale która pozwoli nam podnieść głowę i policzyć gwiazdy Wielkiego Wozu albo po raz nie wiem który poszukać Plejad, tych niezbadanych świetlików, tych robaczków świętojańskich naszego dzieciństwa. Koniaku.

- Skończył się - powiedziała Babs. - Chodźmy już, dosłownie zasypiam.

- Na zakończenie, jak zwykle akt wiary - roześmiał się litienne. - To ciągle jeszcze najlepsza definicja człowieka. A teraz, wracając do sprawy tego jajka...

jestem).

100

Wpuścił szton do automatu i powoli wykręcił numer. Była pora, o której Etienne z pewnością malował (a nienawidził, gdy mu przerywano pracę), ale musiał do niego zadzwonić. Usłyszał dzwonek po tamtej stronie, w atelier Etienne'a przy Place d'Italie, o cztery kilometry od poczty na rue Danton. Jakaś podobna do myszy starucha usadowiła się obok szklanej kabiny i ukradkiem obserwowała Oliveirę, który rozsiadł się na ławeczce, z twarzą przylepioną do słuchawki, czując, że stara na niego patrzy i że niecierpliwie liczy minuty. Rzecz rzadka - szyby kabiny były czyste. Ludzie wchodzili i wychodzili, z poczty słychać było głuchy (i pogrzebowy - Bóg jeden wie dlaczego?) odgłos stempli kasujących znaczki pocztowe. Po drugiej stronie Etienne odezwał się, więc Oliveira nacisnął niklowy guziczek, który dokonywał połączenia i definitywnie połykał dwudziestofrankowe sztony.

- Po jaką cholerę zawracasz mi głowę - zgniewał się Etienne, który nie wiadomo jakim cudem poznał go natychmiast. - Przecież wiesz, że o tej godzinie orzę jak wół.

- Ja też - powiedział Oliveira. - Ale musiałem zadzwonić, bo w czasie pracy coś mi się przypomniało.

- Jak to w czasie pracy?

- No właśnie, o trzeciej rano. Śniło mi się, że poszedłem do kuchni, wziąłem chleb, inny, taki, co się w Buenos Aires nazywa francuski, właściwie nie ma nic wspólnego z francuskim, ale u nas tak się nazywa. Taka bułka, trochę grubawa, jasna, mało skóry, a dużo miękiszu. Taki, co się znakomicie nadaje do smarowania masłem i marmoladą, no wiesz.

- Wiem - powiedział Etienne. - Jadłem taki we Włoszech.

- Ale skąd! Włoski nie ma z tym nic wspólnego. Jak się zobaczymy, narysuję ci go, to będziesz wiedział, ma kształt grubej i krótkiej ryby, no, najwyżej piętnaście centymetrów długości, ale pękaty. Taki chleb w Buenos Aires nazywa się francuski.

- Francuski chleb z Buenos Aires - powtórzył Etienne.

- Aha! Ale wszystko działo się w kuchni na rue de la Tombe d'Issoire, jeszcze zanim przeniosłem się do Magi. Chciało mi się jeść, więc złapałem ten chleb, żeby sobie ukroić. I wtedy usłyszałem, że chleb płacze. No pewnie, że sen mara, Bóg wiara, ale kiedy zatopiłem w nim nóż - to chleb zapłakał. Zwyczajny francuski chleb, i płacze. No... Obudziłem się, więc wcale się nie dowiedziałem, jak się to miało skończyć, ale mam wrażenie, że jak się budziłem, to nóż jeszcze tkwił w chlebie.

- *Tiens* - zadziwił się Etienne.

- No, to sam rozumiesz, że po takim śnie człowiek wychodzi na korytarz, zlewa sobie łeb zimną wodą, a potem już tylko pali papierosa za papierosem... Bo ja wiem... Może to głupie, ale uważałem, że będzie lepiej, jak ci to opowiem, no a niezależnie od tego możemy się spotkać i iść do szpitala odwiedzić tego staruszka, co ci mówiłem...

- Dobrześ zrobił, żeś zadzwonił - powiedział Etienne. - To zupełnie sen dziecka! Już tylko dzieciom mogą śnić się takie rzeczy, tylko dziecko może je wymyślić. Mój siostrzeniec powiedział mi kiedyś, że był na księżycu. Zapytałem go, co widział. A on na to: „Chleb i serduszko". Rozumiesz, że po tego typu piekarskich doświadczeniach nie można patrzeć na dzieci bez lęku.

- Chleb i serduszko - powtórzył Oliveira. - No a ja widziałem tylko chleb... Trudno. Wiesz, obok kabiny stoi jakaś stara i paskudnie na mnie patrzy; ile minut wolno rozmawiać?

- Sześć. Potem zacznie walić w szybę. Tylko stara czeka?

- Nie, stara, jakaś zezowata z dzieckiem i jakiś taki facet w typie komiwojażera, akwizytora. Tak, chyba komiwojażer, bo nie tylko ma notatnik i przewraca w nim jak wariat, ale na dodatek z kieszeni płaszcza wyłażą mu coś ze trzy ołówki.

- To jeszcze może być inkasent.

- Teraz przylazło jeszcze dwoje, jakiś czternastoletni szczeniak, co dłubie w nosie, i jakaś w nieprawdopodobnym kapeluszu. Jak dla Cranacha.

- Widzę, że poprawia ci się samopoczucie.

- Tak, nieźle tu w tej kabince. Szkoda, że tyle ludzi czeka. Myślisz, że już minęło sześć minut?

- Ale skąd. Najwyżej trzy, a może i to nie.

- To stara nie ma jeszcze prawa walić w szybę, prawda?

- Niech ją diabli. Pewno, że nie ma. Dysponujesz pełnymi sześcioma minutami, żeby opowiadać wszystkie sny, jakie ci tylko przyjdą do głowy.

- Tylko ten - odparł Oliveira. - Ale nie sen jest najgorszy, najgorsze jest przebudzenie... Słuchaj, jak myślisz, może to nie był sen, może ja teraz śnię?

- Możliwe, ale to zużyty temat. Filozof i motyl, każdy zna tę opowieść.

- Wiem, i przebacz mi, że mimo to wracam do tego. Chciałbym, żebyś sobie wyobraził świat, w którym mógłbyś ukrajać kawałek chleba bez tego, żeby chleb jęczał.

- To rzeczywiście niełatwo - przyznał Etienne.

- Nie wygłupiaj się, jak mówię poważnie. Czy nigdy ci się nie zdarzyło obudzić się ze świadomością, że dokładnie w tym samym momencie zaczyna ci się jakieś nieprawdopodobne nieporozumienie?

- Właśnie w pełni takich nieporozumień maluję moje najlepsze obrazy i gówno mnie obchodzi, czy jestem motylem, czy też Fu-Manchu.

- To nie ma nic do rzeczy. Przecież dzięki takiemu nieporozumieniu Kolumb dopłynął na wyspę Guanahani, czy jak jej tam było. Po co te greckie kryteria i kłamstwa?

- Przecież to nie ja - obraził się Etienne. - To ty mówiłeś o tym niesłychanym nieporozumieniu.

- To była przenośnia - powiedział Oliveira. - Można równie dobrze nazwać je snem. To jest coś, czego nie można określić, no właśnie nieporozumienie, które polega na tym, że nawet nie można go nazwać nieporozumieniem.

- Stara wybija szybę, aż tu ją słychać - powiedział Etienne.

- Niech idzie w czorty! Jeszcze nie minęło sześć minut.

- Chyba już. No i pozostaje osławiona południowoamerykańska kurtuazja.

- Nie ma sześciu minut. Cieszę się, że ci opowiedziałem ten sen, a jak się zobaczymy...

- Przyjdź, kiedy chcesz - powiedział Etienne. - Już i tak nie będę więcej malował, przerwałeś mi passę.

- Słyszysz, jak wali w szybę? - pochwalił się Oliveira. - Nie tylko ta stara mysz, ale i zezowata, i gówniarz. Za moment sprowadzą urzędnika.

- I wywalą cię na zbity łeb.

- Ale skąd! Mój wielki system polega na udawaniu, że nie rozumiem ani słowa po francusku.

- I faktycznie wiele nie rozumiesz - przyznał Etienne.

- Ano nie. Tylko szkoda, że to, co dla ciebie jest igraszką, w gruncie rzeczy jest smutną prawdą. Nie chcę nie rozumieć, jeżeli jako rozumienie przyjmiemy to, co nazwaliśmy nieporozumieniem. Oj... otworzyli drzwi, ktoś mnie wali po ramieniu. Cześć, dziękuję, żeś mnie wysłuchał.

- Cześć - powiedział Etienne.

Obciągając kurtkę Oliveira wyszedł z kabiny. Urzędnik wykrzykiwał mu regulamin pocztowy prosto w ucho: „Gdybym teraz miał w ręku nóż - pomyślał Oliveira wyciągając papierosy - facet zaczął by pewnie piać, a może zmieniłby się w bukiecik fiołków”. Ale wszystko kamieniało, trwało nieskończenie długo, należało zapalić papierosa uważając, żeby się nie sparzyć, bo ręka drżała, i w dalszym ciągu słuchać krzyków oddalającego się faceta, który co dwa kroki odwracał się wygrażając mu, zezowata i akwizytor spoglądali na niego jednym okiem, drugim pilnując starej, żeby nie przekroczyła sześciu minut, stara w kabinie

przypominała do złudzenia seczuańską mumię Musée de l'Homme, z tych, które zapalają się, jak im nacisnąć guziczek. Ale znów wszystko było na odwrót, jak to zawsze w snach, bo właśnie stara nacisnęła guziczek i zaczynała gadać z jakąś inną starą w którejś z niezliczonych mansard przeogromnego snu.

(76)

101

Zaledwie trochę unosząc głowę, Pola widziała „Kalendarz Poczt i Telegrafów", różową krowę na zielonej łące, fiołkowe góry na tle szafirowego nieba, czwartek l, piątek 2, sobota 3, niedziela 4, poniedziałek 5, wtorek 6, Saint Mamert, Sainte Solange, Saint Achille, Saint Servais, Saint Boniface, *lever 4.12, coucher 19.23, lever 4.10, coucher 19.24, lever, coucher, lever, coucher, levercoucher, coucher, coucher, coucher*[110].

Przytulając twarz do ramienia Oliveiry całowała spoconą skórę, tytoń, sen. Dziwnie daleką ręką pieściła jego brzuch, głaskała w głowę i w dół uda, bawiła się włosami, okręcała je wokół palców, a potem tarmosiła lekko, delikatnie, żeby się rozzłościł i żartem ją ugryzł. Po schodach wciągały się jakieś buty, Saint Ferdinand, Sainte Pétronille, Saint Fortuné, Sainte Blandine, *un deux, un deux,* prawy lewy, prawy lewy, prawy lewy, dobrze, źle, dobrze, źle, w przód, w tył, w przód, w tył. Ręka przesuwała się po jej plecach, schodziła powoli udając pająka, jeden palec tu, drugi tam, jeden niżej, drugi wyżej. Pieszczota wnikała w nią powoli, jakby skądinąd. Godzina luksusu, nadmiaru, podgryzać się powolutku, z odkrywczą delikatnością zaznajamiać się z dotykiem, z udawanymi potknięciami, czubkiem języka polizać skórę, powoli wbić paznokcie, wymruczeć *coucher 19.24,* Saint Ferdinand.

Pola trochę uniosła głowę i popatrzyła na Horacia, który miał zamknięte oczy. Zastanawiała się, czy to samo robił ze swoją przyjaciółką, matką małego. Nie lubił mówić o tamtej; żądał, jak gdyby na dowód szczególnego szacunku, by wspominać o niej tylko wtedy, gdy to było konieczne. Zapytała go o to, rozchylając mu dwoma palcami oko i z furią całując w usta, które odmawiały odpowiedzi, jedyną odpowiedzią o tej porze było milczenie, leżenie tak, jedno obok drugiego, słuchanie własnych oddechów, podróżowanie od czasu do czasu ręką czy nogą do tego drugiego ciała, pozbawione konsekwencji wycieczki, resztki pieszczot pogubionych w łóżku, w powietrzu, widma pocałunków, maleńkie larwy perfum, przyzwyczajeń. Nie, nie lubił robić tego ze swoją przyjaciółką, tylko Pola była w stanie dobrze go zrozumieć, tak odczuć każdy jego kaprys, tak dalece zrobiona na miarę, że wręcz nie do wiary. Nawet gdy jęczała, bo w jakiejś chwili jęknęła, chciała uwolnić się, ale było za późno, lasso było już zarzucone, a jej bunt posłużył tylko do pogłębienia rozkoszy i bólu, tego podwójnego nieporozumienia, które należało przeskoczyć, bo było fałszywe, to przecież było niemożliwe, by w jednym uścisku... chociaż może... chociaż może tak właśnie miało być...

(144)

[110] *Lever-coucher* (franc.) - Wschód-zachód słońca (gra słów, bo *coucher* - spać z kimś).

102

Szukając z mrówczą wytrwałością, Wong w końcu odkrył w bibliotece Morellego dedykowany egzemplarz *Niepokojów wychowanka Torlessa* Musila, z energicznie podkreślonym następującym ustępem:

„Jakie więc rzeczy mnie dziwią? Najbardziej niepozorne. Przeważnie rzeczy martwe. Co w nich budzi moje zdziwienie? Coś, czego nie znam. Ale w tym tkwi właśnie sedno sprawy. Skąd biorę owo «coś»? Czuję jego istnienie, działa ono na mnie tak, jakby chciało mówić. Jestem podniecony jak człowiek, który pragnie odczytać słowa ze skrzywionych ust porażonego i nie potrafi. Albo jak gdyby miał o jeden zmysł więcej od innych, ale nie w pełni rozwinięty, raczej zmysł, który istnieje, jest zauważalny, lecz nie funkcjonuje. Świat jest dla mnie pełen bezdźwięcznych głosów; czy zatem jestem jasnowidzącym, czy też kimś, kto ulega omamom?”[111]

Ronald znalazł taki oto cytat z *Listu lorda Chandos* Hofmannsthala:

„Tak samo jak kiedyś przez powiększające szkło zobaczyłem skórę na moim małym palcu, przypominającą równinę pełną rowów i wgłębień, tak teraz zobaczyłem ludzi i ich uczynki. I już dłużej nie byłem w stanie oglądać ich spojrzeniem uproszczonym przez przyzwyczajenie, nic już nie dawało się ogarnąć przy pomocy określonych pojęć”.

(45)

[111] Przekład Wandy Kragen.

103

Nawet i Pola nie zrozumiałaby, dlaczego nocą wstrzymuje oddech, śledząc jej sen, podsłuchując głosy jej ciała. Zaspokojona, leżąc na wznak, oddychała równo, od czasu do czasu wysuwając rękę z głębi jakiegoś niejasnego snu lub wydymając dolną wargę wypuszczała powietrze w kierunku nosa. Horacio leżał bez ruchu, z głową uniesioną lub wspartą na własnej pięści, z papierosem w ustach. Około trzeciej nad ranem rue Dauphine cichła, oddech Poli wznosił się i opadał, czasem odrobinę przyspieszając się w maleńkim, krótkotrwałym wirze, to było jak wewnętrzne drżenie jakiegoś innego życia. Oliveira powoli się prostował i przybliżał ucho do nagiej skóry, przytulał je do napiętego, czystego bębna i słuchał. Szmery, wznoszenie się i opadanie, szumy i szmery, pełzanie krabów i ślimaków, czarny, wygaszony świat w filcowym poślizgu, ujawniający się to tu, to tam, znowu znikający (Pola wzdychała, lekko się poruszała). Kosmos płynny, ciekły, w nocnym dojrzewaniu, plazmy wznoszące się i opadające, powolny, nieprzezroczysty mechanizm poruszający się opornie, i nagle zgrzyt, zawrotny wyścig niemal po samej skórze, ucieczka i bulgot albo walki, albo przenikania, brzuch Poli czarne niebo pełne gwiazd tłustych i leniwych, pełne rozbłyskających komet, ruchy olbrzymich huczących planet, morze pełne planktonu, szeptów, mruczące meduzy, Pola-mikrokosmos, Pola-streszczenie nocy wszechświata w jej własnej, małej, sfermentowanej nocy, w której jogurt i białe wino mieszają się z mięsem i jarzynami; centrum chemii przebogatej i tajemniczej, i dalekiej, i takiej bliskiej.

(108)

104

Życie, jako komentarz do czegoś, czego nie możemy dosięgnąć, a co jest tu, w zasięgu skoku, którego nie wykonujemy.

Życie, balet oparty na historii, historia na przeżyciu, przeżycie na realnym zdarzeniu.

Życie, fotografia noumenu, posiadanie w ciemnościach (kobiety? potwora?), życie - stręczyciel śmierci, przepiękna talia kart, dawno zapomniany tarok, który wykrzywione reumatyzmem ręce degradują do poziomu samotnego, smutnego pasjansa.

(10)

105

MORELLIANA

Myślę o zapomnianych gestach, o rozlicznych pozach i słowach pradziadów, o tych wszystkich rzeczach, powoli zapominanych, nie odziedziczonych, jedne za drugimi opadających z drzewa czasu. Tej nocy znalazłem na stole świecę, dla zabawy zapaliłem ją i przeniosłem przez korytarz. Ruch powietrza o mało co nie zgasił jej, wtedy moja ręka sama uniosła się, aby skulić się i osłonić płomień żywym abażurem, ochraniając go przed powiewem. Podczas gdy ożywiony płomień prostował się, pomyślałem, że był to gest nas wszystkich (pomyślałem nas wszystkich, i dobrze pomyślałem) przez tysiące lat, przez całą Erę Ognia, dopóki nie zastąpiono go elektrycznym światłem. Wspomniałem inne gesty, gest kobiet unoszących spódnicę, mężczyzn - chwytających za szpadę. Niby zagubione słowa dzieciństwa, po raz ostatni zasłyszane z ust odchodzących przodków. Nikt już nie mówi w moim domu „modrzewiowa komoda", nikt nie wspomina „konsolki". Jak dawne melodie, walce z lat dwudziestych, jak polki, które wzruszały naszych dziadów.

Myślę o przedmiotach, kasetkach, rzeczach, które od czasu do czasu odkrywa się na strychach, w kuchniach, w starych spiżarniach, i nikt już nie jest w stanie wytłumaczyć, do czego służyły.

Próżnością jest myśleć, że rozumiemy działanie czasu: grzebie on swoich zmarłych i chowa klucze. Jedynie w snach, w poezji, w zabawie - zapalić świecę i przenieść przez korytarz - z rzadka pochylamy się nad tym, czym byliśmy ongi, zanim staliśmy się tym, czym ewentualnie teraz jesteśmy.

(96)

Johny Temple:

Between midnight and down, baby, we may ever have to part,
But there's one thing about it, baby, please remember I've always been your heart

The Yas Yas Girl:

Well it's blues in my house, f rom the roof to the ground,
And it's blues everywhere since my good man left town.
Blues in my mail-box 'cause I can't get no mail,
Says blues in my bread-box 'cause my bread got stale,
Blues in my meal-barrel and there's blues upon my shelf
And there's blues in my bed, 'cause l am sleeping' by my self.

(13)

107

Pisane przez Morellego w szpitalu:

Największą zaletą moich przodków jest fakt, że nie żyją. Skromnie, ale dumnie czekam na moment odziedziczenia tej cechy. Mam przyjaciół, którzy nie omieszkają zafundować mi pomnika, na którym przedstawią mnie z opuszczoną głową, pochylonego nad kałużą pełną autentycznych żabek. Po wrzuceniu monetki do odpowiedniego otworu będzie można oglądać, jak pluję do wody, po czym żabki zaczną się kręcić podniecone i będą skrzeczały przez półtorej minuty - dość długo, aby ludzie przestali interesować się pomnikiem.

(113)

-*La floche, le clochard, la clocharde, clocharder.* Ktoś nawet robił na Sorbonie doktorat z psychologii kloszardów.

- Możliwe - odpowiedział Oliveira. - Ale nie mają Juana Filloya, żeby im napisał *Catervę.* Nie wiesz czasem, co się dzieje z Filloyem?

Maga nie mogła jednak odpowiedzieć, chociażby dlatego, że w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu. Trzeba było jej wytłumaczyć, dlaczego Filloy i dlaczego *Caterva,* przy czym myśl, że argentyńscy *linyeras* należą do rasy kloszardów, ogromnie jej się spodobała. Zawsze była przekonana, że obrazą było porównywanie *linyeras* do żebraków, a sympatia jej do kloszardów z Pont des Arts została teraz podbudowana naukowymi argumentami. Kiedy wałęsając się po nadbrzeżu odkryli, że kloszardka jest zakochana, sympatia do niej i chęć, aby wszystko jak najlepiej jej poszło, stały się dla Magi czymś w rodzaju łuku mostowego, konstrukcji, która zawsze ją wzruszała, lub też z tych kawałków drutu i starych puszek, które Oliveira maszerując ze spuszczoną głową zbierał podczas ich wspólnych spacerów.

- Filloy... Cholera - mówił Oliveira spoglądając na wieże Conciergerie i myśląc o Cartouche'u. - Ale ci kawał drogi stąd do mojego kraju! Nie do wiary, że na tym zwariowanym świecie są takie ilości słonej wody.

- Za to jest mniej powietrza - odpowiadała Maga. - Tylko trzydzieści trzy godziny.

- Ano pewnie. Ale skąd wziąć forsę na te trzydzieści trzy godziny?

- I ochotę. Bo mnie się na przykład wcale nie spieszy.

- Mnie też nie... Ale przypuśćmy... To sama widzisz, że ani mowy.

- Ty w ogóle nie mówisz o powrocie - zauważyła Maga.

|- Nikt o tym nie mówi, o naczynie wielebne, o naczynie osobliwego nabożeństwa, nikt o tym nie mówi. Chodzi tylko o stwierdzenie, że jak się nie ma forsy, wszystko idzie jak kurwie w deszcz.

- Paryż jest gratis - zacytowała Maga. - Sam to powiedziałeś tego dnia, kiedyśmy się poznali. Można gratis oglądać kloszardkę, gratis sypiać ze sobą, gratis powtarzać ci, że jesteś niedobry, gratis nie kochać cię... Dlaczego poszedłeś do łóżka z Polą?

- Kwestia zapachu - Oliveira usiadł na brzegu rzeki. - Wydawało mi się, że pachnie *Pieśnią nad pieśniami,* cynamonem, mirrą, tymi tam drobiazgami. W dodatku naprawdę nimi pachniała.

- Kloszardka chyba dziś nie przyjdzie, już by dawno tu była, jest bardzo punktualna.

- Czasem przymykają ich - odparł Oliveira. - Może na odwszenie, a może żeby miasto mogło spokojnie spać nad swą niewzruszoną rzeką. Wiadoma rzecz, że kloszardzi to większa hańba niż złodzieje, w dodatku nic im nie mogą zrobić, muszą dać im spokój.

- No to mi opowiedz o Poli. Może tymczasem doczekamy się kloszardki.

- Zapada noc, amerykańscy turyści marzą o swoich hotelach, bolą ich nogi, nakupili tandety, już mają w komplecie Sade'a, Mulera, „Onze mille verges", fotografie artystyczne, świńskie sztychy, Saganki i Buffetrów. Popatrz, jak się oczyszcza krajobraz od strony mostu. I daj święty spokój Poli, to się nie nadaje do opowiadania. Malarz składa sztalugi, bo nikt już nie zatrzymuje się, żeby na niego popatrzyć. Niebywałe, jak wyraźnie wszystko widać, powietrze jest tak umyte, jak włosy tej małej, co tam biegnie, no tam, w czerwonej sukience.

- Opowiedz mi o Poli - powtórzyła Maga uderzając go w ramię wierzchem dłoni.

- Jedna wielka pornografia - powiedział Oliveira. - Nie będzie ci się podobało.

- A jej to z pewnością o nas wszystko opowiadałeś.

- Nie. Tylko w generalnych zarysach. Jak mogłem jej opowiadać? Przecież wiesz, że Pola nie istnieje. Gdzież jest? No pokaż mi ją.

- Sofizmaty - powiedziała Maga, która nauczyła sę tego terminu podczas dyskusji Ronalda z Etienne'em. - Pewnie, że tu jej nie ma, za to z pewnością jest na rue Dauphine.

- Ale gdzie jest rue Dauphine? - zapytał Oliveira. - *Tiens, la clocharde qui s'amène.*[112] Nie... jest zupełnie olśniewająca.

Schodząc po schodkach, schylona pod ciężarem olbrzymiego tobołu, z którego wyłaziły rękawy wielu palt, czerwone szaliki, pozbierane po śmietnikach portki, kawałki materiału, a nawet zwój drutu, kloszardka doszła do najniższego poziomu nadbrzeża i wydała z siebie dźwięk pomiędzy westchnieniem a bekiem. Na nieokreślony spód, na który składały się przylepione do ciała nocne koszule, podarowane bluzki, a nawet stanik zdolny pomieścić jej odrażające piersi, nakładały się ze trzy, a może nawet cztery suknie, męska kurtka z wyrwanym rękawem, na tym związany był szalik przepięty blaszaną broszką z dwoma kamieniami, jednym zielonym, a drugim czerwonym, na włosach zaś, wręcz niewiarygodnie umalowanych na żółto, miała coś z rodzaju przepaski z zielonej gazy, zwisającej z jednego boku.

- Cudowna - zachwycił się Oliveira. - Przychodzi uwodzić tych z mostu.

- Widać po niej, że zakochana - powiedziała Maga. - Popatrz, jak sobie umalowała usta. I tusz... Użyła wszystkiego, co się dało.

[112] *Tiens, la clocharde qui s'amène* (franc. żargon) - Popatrz, lezie tu ta kloszardka.

- Przypomina Grocka w gorszym wydaniu. Albo niektóre głowy Ensora. Boska. Ciekawe, jak tych dwoje urządza się, żeby spać ze sobą... Bo nie powiesz mi, że kochają się na odległość...

- Jest takie miejsce, niedaleko l'Hôtel de Sens, gdzie kloszardzi spotykają się w tym celu. Policja im pozwala. Mówiła mi madame Leonie, że zawsze jest między nimi jaki łaps, i właśnie wtedy można się wielu rzeczy nasłuchać. Podobno kloszardzi mają kontakty z całą paryską żulią.

- Żulia, też mi słowo - powiedział Oliveira. - No pewnie, że mają. Są na marginesie społecznym, na samym brzeżku lejka. Na pewno też niemało wiedzą o rencistach i księżach. Wnikliwy rzut oka po śmietnikach...

- O, idzie kloszard. Jeszcze bardziej pijany niż zazwyczaj. Biedula, popatrz, jak czeka na niego, odstawiła tobół na ziemię, żeby móc mu pokiwać, popatrz, jaka zdenerwowana...

- Hôtel de Sens, czy nie Hôtel de Sens, pytam się siebie, jak oni to robią - mruknął Oliveira. - Te wszystkie ciuchy, co mają na sobie... Bo ona zdejmuje jakąś jedną, dwie sztuki, jak jest cieplej, ale pod spodem ma w dalszym ciągu tamtych dziesięć, nie mówiąc o tak zwanej bieliźnie. Wyobrażasz sobie, jak to może wyglądać, w dodatku pod gołym niebem? Z facetem już mniejszy kłopot, spodnie mają swoje udogodnienia.

- Nie rozbierają się - skonstatowała Maga. - Policja by im nie dała. No, a w dodatku może padać... Włażą w jakieś zakamarki, na tym terenie są takie doły na półtora metra, po brzegach leżą butelki i puszki, które zostawiają robotnicy. Przypuszczam, że robią to na stojąco.

- Z tym całym majdanem na sobie? Nie do pomyślenia. To znaczy, że facet nigdy by jej nie widział nago? To zresztą musi być widok...

- Popatrz tylko, jak się kochają... Jak na siebie patrzą...

- Wino mu tryska uszami. Czułość przy jedenastu promillach alkoholu z kawałkiem.

- Ale oni się kochają, Horacio, Oni się naprawdę kochają. Ona ma na imię Emmanuèle, była kurwą na prowincji. Przyjechała barką i tak już została nad rzeką. Kiedyś w nocy, kiedy byłam smutna, rozmawiałyśmy długo. Śmierdzi nieludzko, musiałam na chwilę nawet odejść. Wiesz, o co ją zapytałam? Zapytałam ją, kiedy zmienia bieliznę. Co za głupota zadawać takie pytania. Ale poczciwa, chociaż nie ma wszystkich klepek; tej nocy wydawało jej się, że na chodnikach kwitną kwiaty, wymieniała je jedne po drugich.

- Jak Ofelia - powiedział Horacio. - Natura imituje sztukę.

- Ofelia?

- Wybacz, pedant ze mnie. A co ci odpowiedziała, kiedy ją zapytałaś o bieliznę?

- Zaczęła się śmiać i wydudliła jednym ciągiem pół litra. Powiedziała, że jak ostatni raz coś zmieniała, to dołem, ściągała przez kolana. Wszystko darło się, wyłaziło w strzępach. W zimie bardzo marzną, wtedy pakują na siebie, co im wpadnie w rękę.

- Nie lubiłbym być pielęgniarzem i żeby mi ją którejś nocy przynieśli na noszach. Podwaliny społeczeństwa... Pić mi się chce, Maga.

- To idź do Poli - powiedziała Maga patrząc na klo-szardkę, która pod mostem pieściła się z ukochanym. - Uważaj, teraz zacznie tańczyć, o tej porze zawsze zbiera jej się na tańce.

- Wygląda jak niedźwiedź.

- A taka jest szczęśliwa - powiedziała Maga i podniósłszy biały kamyk zaczęła mu się przypatrywać z uwagą.

Horacio odebrał jej kamyk i polizał go. Smakował solą i kamieniem.

- To mój - Maga postanowiła odebrać kamyczek.

- Ale popatrz tylko, jak nabiera koloru, kiedy jest ze mną. Cały się rozświetla.

- Ale ze mną mu lepiej. Oddaj go, to mój.

Spojrzeli po sobie. Pola.

- Jak chcesz - powiedział Oliveira. - Teraz czy kiedy indziej, to wszystko jedno. Oj, głupia jesteś, dziecinko, żebyś ty wiedziała, jak spokojnie możesz spać.

- Sama? Dziękuję za łaskę - obraziła się Maga. - Widzisz, już beczę. Ale mów dalej, już nie będę płakała. Jestem podobna do niej, popatrz, jak tańcuje, no popatrz tylko, waży tyle, co góra, i tańcuje. Lepi się od brudu i tańcuje. Oddaj mi mój kamyczek.

- Masz. Wiesz, niełatwo jest powiedzieć: kocham cię. Teraz naprawdę niełatwo.

- No pewno, to by było tak, jakbyś mi dał coś napisanego przez kalkę.

- Rozmowa dwóch orłów - powiedział Horacio.

- Można się uśmiać - powiedziała Maga. - Jak chcesz, to ci go pożyczę, dopóki kloszardka nie skończy tańczyć.

- Dobrze - Horacio wziął kamyk i znowu go polizał.

- Po co mamy mówić o Poli? Sama jest i chora, odwiedzam ją, jeszcze sypiamy ze sobą, i tyle. Nie mam ochoty zmieniać jej na słowa, nawet z tobą.

- Emmanuèle wpadnie do wody - krzyknęła Maga. - Jest jeszcze bardziej pijana niż on.

- Nie, wszystko zakończy się równie ohydnie jak zawsze

- powiedział Oliveira wstając. - Czy widzisz czcigodnego przedstawiciela władzy, który się zbliża. Chodźmy, to za smutne. Właśnie jak jej zachciało się tańczyć.

- Na pewno jakaś stara purytanka tam na górze zgorszyła się i zrobiła skandal. Jak ją spotkamy, kopniesz ją w tyłek.

- Dobra. A ty wytłumaczysz mówiąc, że od czasu do czasu miewam taki nożny tik, pamiątka po pocisku spod Stalingradu.

- A więc ty staniesz na baczność i zasalutujesz.

- Wcale nieźle mi to wychodzi, żebyś wiedziała, że tego nauczyli mnie w wojsku. Chodź, pójdziemy się czegoś napić. Nie chcę się oglądać, ale aż tu słychać, jak ich ruga. Nie wiem, czy nie należałoby wrócić i jemu wpieprzyć tego kopniaka. Doradź mi, o Ardżuna! Pod uniformami marynuje się zapach całej ludzkiej podłości. *Ho detło.* Chodź, zjeżdżamy. Brudniej szy jestem od twojej Emmanuèle, brud, który się zaczął przed wiekami, *Persil lave plus blanc,* przydałby się jakiś transcendentalny środek do prania, kosmiczne mydliny. Lubisz ładne słówka? *Salut,* Gaston.

- *Salut, messieurs-dames* - pozdrowił ich Gaston. - Dwa kieliszki białego, jak zawsze?

- Jak zawsze, stary, jak zawsze. Z persilem na dokładkę.

Gaston spojrzał na niego i pokręcił głową. Oliveira wziął Magę za rękę i uważnie przeliczył jej palce. Potem położył jej na dłoni kamyk, pozamykał palce jeden po drugim, a na wierzchu złożył pocałunek. Maga spostrzegła, że miał zamknięte oczy i robił wrażenie nieobecnego. „Komediant" - pomyślała z rozczuleniem.

Miejscami Morelli usiłował tłumaczyć się z braku spoistości swych powieści, dowodząc, że to, co tak zwana rzeczywistość ukazuje nam jako życie innych, nie jest filmem, a raczej fotografią, wobec czego nie możemy ogarnąć całości akcji, albowiem dochodzą do nas tylko jej eleatycznie powycinane fragmenty. Rozumiemy człowieka jedynie w czasie krótkich chwil, gdy jesteśmy razem z nim, gdy nam coś o nim opowiadają lub gdy on sam mówi o swoich przeżyciach czy też planach. W rezultacie to, co pozostaje, jest albumem zdjęć, unieruchomionych momentów: nigdy przyszłością, nigdy przejściem z wczoraj do dziś, nigdy pierwszym ukłuciem zapomnienia, nadgryzającym utrwalony obraz przeszłości.

Zgodnie z tymi przekonaniami Morelli rysował swoje postacie w sposób jak najbardziej rwany: łączenie serii zdjęć, aby stały się filmem (co tak ucieszyłoby czytelnika, którego nazywa czytelnikiem-samicą), oznaczałoby wypełnienie przerw pomiędzy zdjęciami, literaturą, przypuszczeniami, domniemaniami i domysłami. Zdjęcia ukazują jakieś plecy, jakąś rękę na klamce, zakończenie podmiejskiego spaceru, usta otwierające się do krzyku, pantofle w szafie, ludzi idących po Champs-de-Mars, skasowany znaczek pocztowy, flaszeczkę perfum „Ma Griffe", raczej ten rodzaj rzeczy. Jego zdaniem odpowiadające tym zdjęciom przeżycia, które usiłował przedstawić z cała ostrością, miały ułatwić czytelnikowi wniknięcie, niemalże zaangażowanie się w los bohaterów. Wyobraźnia czytelnika powinna była przetworzyć otrzymane bezpośrednio informacje w akcję, nie potrzebując stosować żadnych sztuczek, aby łączyć to, co jest, z tym, co było lub też miało zostać napisane. Zadaniem czytelnika było konstruowanie pomostów pomiędzy fazami owych tak nie-sprecyzowanych, tak słabo zaznaczonych biografii, począwszy od uczesania (jeżeli nie zostało ono przez Morellego opisane), skończywszy na takich, a nie innych pobudkach postępowania, nawet jeśli byłoby ono niezwykłe czy wręcz ekscentryczne. Książka miała być podobna do szkiców, które stosuje psychologia postaci, czyli że pewne kreski miały zachęcać obserwatorów do wyobrażenia sobie i dorysowania linii, które stworzyłyby całą twarz. Czasem jednak brakowało najważniejszych linii, właśnie tych, które mogłyby najwięcej wyrazić. Kokieteria i drażliwość Morellego w tej dziedzinie nie miały granic.

Czytając książkę miało się chwilami wrażenie, że sam wierzył w to, iż akumulacja fragmentów nagle zakrzepnie w pełną rzeczywistość, że bez stawiania mostów czy też zeszywania poszczególnych kawałków materii nagle będzie miasto, będzie makata, będą

mężczyźni i kobiety wraz z pełnymi perspektywami oczekującego ich losu, zaś on, autor będzie pierwszym olśnionym widzem owego świata z każdą chwilą nabierającego spoistości.

Ale tu uwaga, bo spoistość w gruncie rzeczy oznacza przystosowanie się do czasu i do przestrzeni, podporządkowanie się gustom czytelnika-samicy. Na to Morelli nie chciał się zgodzić, raczej zdawał się szukać rodzaju krzepnięcia, które by nie naruszało nieporządku, w jakim poruszały się ciała jego małego systemu planetarnego, przeciwnie, dopomogło do pełnego, całkowitego zrozumienia racji ich bytu, nawet były nimi nieporządek, bezsens, bezcelowość. Krystalizacja, w której nic nie uległoby zaprzepaszczeniu, ale w której bystre oko, zbliżając się do kalejdoskopu, mogłoby dostrzec i zrozumieć wielobarwną różę, zrozumieć ją jako przenośnię, jako *imago mundi,* który poza zasięgiem kalejdoskopu stawałby się salonem w stylu prowansalskim albo zebraniem kuzynek z prowincji pijących herbatkę z herbatnikami marki Bagley.

(27)

110

„Sen był skomponowany jak wieża z niezliczonych warstw, wznoszących się i ginących w nieskończoności lub też zniżających się koliście i gubiących we wnętrznościach ziemi. Kiedy mnie porwał w swój wir, zaczęłam krążyć po spirali, która była labiryntem. Nie było dachu ani podłogi, ścian ani powrotu. Były tylko tematy, regularnie się powtarzające”,

Anais Nin, *Wtnter of Artifice*

(48)

111

To opowiadanie zostało napisane przez jego bohaterkę, Yvonne Guitry, dla Nicolasa Diaz, przyjaciela Gardela z Bogoty.

„Pochodzę z rodziny należącej do węgierskiej inteligencji. Matka moja była przełożoną pensji, gdzie wychowywała się śmietanka towarzyska sławnego miasta, którego nazwę wolę przemilczeć. Gdy nastąpiły pełne zamieszania powojenne czasy, wraz z upadkiem monarchii, klas socjalnych i fortun, nie wiedziałam, jaką wybrać drogę. Moja rodzina została zrujnowana, padła ofiarą granic Trianon (sic!), tak jak setki innych. Moja piękność, młodość i wykształcenie nie pozwalały mi zostać maszynistką. Wtedy to właśnie w moim życiu pojawił się *Prince Charmant,* arystokrata z najwyższych międzynarodowych sfer, bywalec na miarę europejską. Wyszłam za niego z sercem pełnym młodzieńczych złudzeń, wbrew sprzeciwom rodziny, wynikającym z mojego zbyt młodego wieku i z niechęci do cudzoziemca.

Podróż poślubna. Paryż, Nicea, Capri. Po czym - ruina złudzeń. Nie wiedziałam, co z sobą począć, nie śmiałam też zwierzyć się mojemu otoczeniu z tragedii mojego małżeństwa. Mąż, który nigdy nie uczynił mnie matką! Już mam szesnaście lat i podróżuję bez określonego celu, usiłując zapomnieć o swoim bólu. Egipt, Jawa, Japonia, Cesarstwo Chińskie, cały Daleki Wschód, wszystko to skąpane w szampanie i udawanej wesołości, lecz z sercem złamanym.

Lata płynęły. W 1927 roku definitywnie osiedliliśmy się na Lazurowym Wybrzeżu. Byłam już kobietą z Wielkiego Świata i miałam u stóp międzynarodową socjetę, spędzającą czas w kasynach, na dancingach, na wyścigach.

Pewnego pięknego dnia letniego powzięłam decyzję definitywną: separacja. Natura tonęła w kwiatach: morze, niebo, pola rozbrzmiewały pieśnią miłosną i sławiły młodość.

Festiwal mimozy w Cannes, korso kwiatowe w Nicei, roześmiana paryska wiosna. W ten sposób porzuciłam ognisko domowe, luksusy, bogactwa i samotnie ruszyłam na spotkanie życia...

Miałam wtedy osiemnaście lat i nie mając przed sobą wyraźnego celu, zamieszkałam sama w Paryżu. Paryż 1928 roku... Paryż orgii i powodzi szampana. Paryż zdewaluowa-nego franka. Paryż raj cudzoziemców, pełen tonących w złocie północnych i południowych Amerykanów, Paryż 1928 roku, codziennie nowy kabaret, nowy pomysł służący do opróżnienia portfela cudzoziemców.

Lat osiemnaście, blondyna, błękitne oczy, sama w Paryżu.

Ażeby zabić w sobie smutek, pełną piersią oddawałam się rozrywkom. Zwracałam na siebie uwagę w lokalach, do których zawsze chodziłam sama, stawiając szampana fordanserom, zostawiając personelowi bajońskie napiwki. Nie znałam wartości pieniądza.

Pewnego razu ktoś z tych ludzi, którzy ocierają się zawsze o międzynarodowe towarzystwo, odkrywa trawiący mnie, acz skrywany smutek i poleca mi lek zapomnienia... Kokaina, morfina, narkotyki. Naówczas zaczęłam poszukiwać miejsc egzotycznych, tancerzy o dziwacznej powierzchowności, południowych Amerykanów o ciemnej cerze i obfitych czuprynach.

W owych czasach nowo przybyły śpiewak kabaretowy zbierał coraz większe oklaski. Zadebiutował w kabarecie «Florida», gdzie śpiewał dziwne piosenki w dziwacznym języku.

Ubrany w egzotyczny strój, do tej pory nie znany w tych stronach, śpiewał tanga, ranchery i argentyńskie *gambas.* Był to młody człowiek, dość szczupły, smagły, z białymi zębami, o którego łaski już walczyły paryskie piękności. Nazywał się Carlos Gardel. Rozdzierające tanga, które śpiewał z takim przekonaniem, z niewiadomej przyczyny czarowały publiczność. Jego ówczesne piosenki - *Caminito, La chacarera, Aquel tapado de armiño, Queja indiana, Entre sueños* - nie były to nowoczesne tanga, lecz stare argentyńskie melodie, ukazujące czystą duszę gaucza z pampasów. Gardel był w modzie. Eleganckie kolacje i wytworne przyjęcia nie mogły obyć się bez niego. Jego ciemna cera, białe zęby, świeży, jasny uśmiech błyszczały wszędzie: w kabaretach, teatrach, musie hallach, na torach wyścigowych - był stałym bywalcem Longchamps i Auteuil.

Lecz Gardel ponad wszystko lubił bawić się na swój sposób, między swymi, w swoim kółku.

W owym czasie istniał w Paryżu kabaret pod nazwą «Palermo» na rue de Clichy, do którego uczęszczali prawie wyłącznie południowi Amerykanie... Tam go poznałam. Wprawdzie Gardeł interesował się wszystkimi kobietami, lecz mnie nie interesowało nic poza kokainą... i szampanem. Zapewne, że mile łaskotało mą kobiecą próżność pokazywanie się w Paryżu z człowiekiem dnia - ale nie mówiło to nic memu sercu.

Nastąpiły inne noce, inne przechadzki, inne zwierzenia pod bladym paryskim księżycem, pośród kwitnących łąk; wzmocniły one naszą przyjaźń; nastał okres romantycznego zainteresowania. Mężczyzna ów zaczął wkraczać do mej duszy. Jego słowa były z jedwabiu, jego zdania powoli wykuwały szczerbę w skale obojętności. Oszalałam dla niego. Moje mieszkanie, luksusowe, lecz smutne, nagle napełniło się światłem. Przestałam chodzić do lokali. W moim pięknym popielatym salonie, przy blasku elektrycznych lamp,

złotowłosa główka z ufnością tuliła się do stanowczej, ciemnej twarzy. Błękitna alkowa, która znała wszystkie tęsknoty mojej zagubionej duszy, zmieniła się w prawdziwe gniazdeczko miłości. Była to moja pierwsza miłość.

Czas frunął, szybki i ulotny. Nie wiem, ile minęło dni czy tygodni. Egzotyczna blondyna, która zdumiewała Paryż swoimi ekstrawagancjami, swoimi toaletami *dernière cri* (sic!), swoimi przyjęciami składającymi się wyłącznie z kawioru i szampana - zniknęła.

W wiele miesięcy później odwieczni bywalcy «Palerma», «Floridy» i «Garonu» dowiedzieli się z łamów prasy, że jasnowłosa dwudziestoletnia tancerka o błękitnych oczach doprowadza do szału paniczyków argentyńskiej stolicy swoimi zwiewnymi tańcami, swą wyuzdaną rozpustą i niebywałą gracją swojej zaledwie rozkwitającej młodości.

Była to Yvonne Guitry."

(Etc.)

La Escuela Gardeleanta Wydawnictwo „Cisplatina", Montevideo

112

MORELLIANA

Poprawiam właśnie opowiadanie, które chciałbym uprościć tak, aby było możliwie jak najmniej literackie. Jest to przedsięwzięcie od samego początku rozpaczliwe. Przy powtórnej lekturze od razu wyskakują niedopuszczalne zdania. Ktoś znajduje się na piętrze: „Raymond zaczął schodzenie". Przekreślam i piszę: „Raymond zaczął schodzić". Porzucam czytanie, aby po raz nie wiem który zastanowić się nad moją niechęcią do „literackiego" języka. „Przystępowanie do schodzenia" nie ma samo w sobie nic złego, poza napuszonością. Przecież „zacząć schodzić" oznacza zupełnie to samo, tyle że surowiej, bardziej prozaicznie (ograniczając się do samej informacji), podczas gdy tamta forma usiłuje połączyć przyjemne z pożytecznym. Właściwie w tym pierwszym sformułowaniu drażni mnie dekoracyjne połączenie czasownika z rzeczownikiem; czyli że razi mnie literacki język (oczywiście dotyczy to tylko moich utworów). Dlaczego?

Jeżeli wytrwam w tym postanowieniu, które zresztą straszliwie zubaża wszystko, co piszę w ostatnich czasach, niezadługo poczuję się niezdolny do sformułowania najprostszej myśli, do stworzenia najprymitywniejszego opisu. Gdybym robił to wszystko z tych samych przyczyn co lord Chandos u Hofmannsthala, nie byłoby powodu do skarg, jeżeli jednak niechęć do retoryki (bo w gruncie rzeczy o to idzie) spowodowana jest jakimś słownym wyjałowieniem idącym w parze z wysuszeniem organicznym, wtedy z pewnością należałoby raz na zawsze skończyć z pisaniem. Odczytywanie tego, co ostatnio napisałem, nudzi mnie. Równocześnie jednak za tym ' dobrowolnym ubóstwem, za tym „zaczęciem schodzenia", które zastępuje „przystąpienie do schodzenia", miga coś, co mi dodaje odwagi. Piszę bardzo źle, ale coś przez to prześwieca. Dawny mój „styl" był lusterkiem dla czytelnika-skowronka. Patrzył w nie, bawił się nim, jak publiczność, która czeka i poznaje repliki Salacrou albo Anouilha i bawi się nimi. O ileż łatwiej jest tak pisać, niż pisać (prawie nie-pisać) tak, jak chciałbym teraz, bez dialogu ze zwykłym czytelnikiem i bez spotkania, a tylko z nadzieją na pewien dialog z pewnym określonym i odległym czytelnikiem. Rzecz oczywista, że jest to problem natury moralnej.

Być może, że skleroza i wiek mój potęgują tę tendencję (obawiam się, że może trochę zalatują mizantropią) do przesadnego wychwalania etosu i do odkrywania (w moim przypadku trochę późno), że dla niepokojów metafizycznych konwencje estetyczne są raczej lustrem aniżeli wyjściem.

Czuję to samo pragnienie absolutu, które czułem mając lat dwadzieścia, ale lekki skurcz, kwaskowata i gryząca rozkosz aktu twórczego lub po prostu podziwiania piękna już nie wydają mi się nagrodą ani osiągnięciem rzeczywistości absolutnej i zadowalającej. Tylko jedna piękność może jeszcze dać mi to uczucie dojścia do mety: ta, która jest celem, nie środkiem, a która jest nim dlatego, że twórca jej w samym sobie zidentyfikował poczucie kondycji człowieka z poczuciem kondycji artysty. Natomiast płaszczyzna wyłącznie estetyczna zawiera się w tym jednym słowie: „wyłącznie". Nie jestem w stanie lepiej się wytłumaczyć.

(154)

113

Punkty węzłowe pieszej przechadzki z rue de la Glacière na rue du Sommerard:

- Jak długo jeszcze będziemy oznaczali daty „p.n. Ch.”?

- Literackie dokumenty za lat dwieście - koprolity.

- Klages miał rację.

- Morelli i jego przykład. Od czasu do czasu potworny, straszliwy, żałosny. Tyle słów, ażeby obmyć się z innych słów, tyle brudu, ażeby pachnieć Piverem, Caronem, Carvenem i p.n. Ch. Lecz może trzeba przez to wszystko przejść, żeby odzyskać stracone prawo: pierwotny użytek słowa.

- Pierwotny użytek słowa (?). Chyba puste zdanie.

- Mała trumienka, pudełko od cygar. Wystarczy jedno dmuchnięcie Charona, żebyś już przepływał bajoro bujając się jak w kołysce. Ale to łódź tylko dla dorosłych. Kobiety i dzieci dostają się za darmochę: lekkie popchnięcie i już są po drugiej stronie, ot, meksykańska śmierć - czaszka z cukru. „Kindertotenlieder”...

- Ale Morelli patrzy na Charona. Jeden mit naprzeciw drugiego. Cóż za nieprzewidziana podróż poprzez czarne wody!

- Klasy na trotuarze: czerwona kreda, zielona kreda, NIEBO. Chodnik tam, w Burzaco, kamyczek wybierany z taką troskliwością, krótkie kopnięcie końcem buta, powoli, powoli, mimo, że Niebo jest blisko, ma się całe życie przed sobą.

- Nie kończąca się gra w szachy, jakże łatwo to sobie wyobrazić. Ale zimno przenika przez dziurę w podeszwie, w oknie tego hotelu twarz pajaca wykrzywia się za szybą. Cień gołębia ociera się o psią kupę: Paryż. Paris.

- Pola Paris. Pola? Iść do niej, *faire l'amour. Carena,* Jak leniwe larwy. Ale larwa oznacza również i maskę, Morelli już gdzieś o tym pisał.

(30)

114

„4 maja 195... (AP) Pomimo wysiłków swych adwokatów i złożenia w ostatniej chwili apelacji wniesionej 2 bm. Lou Vincent został stracony dzisiejszego ranka w komorze gazowej więzienia San Quentin w stanie Kalifornia.

... ręce i kostki przywiązane do krzesła. Naczelnik więzienia rozkazał swoim czterem pomocnikom, aby opuścili pokój, po czym, poklepawszy Vincenta po ramieniu, wyszedł także. Skazaniec pozostał sam w pomieszczeniu, ale pięćdziesięciu trzech świadków obserwowało go przez małe okienko.

... odrzucił głowę w tył i głęboko wciągnął oddech.

... w dwie minuty później twarz jego pokryła się potem, palce poruszały się, jakby chcąc uwolnić się z więzów...

... sześć minut, konwulsje powtórzyły się i Vincent poruszył głową w przód i w tył. Trochę piany wystąpiło mu na usta.

... osiem minut, drgawki ustały i głowa opadła mu na piersi.

... o dziesiątej dwanaście doktor Reynolds stwierdził śmierć skazańca. Świadkowie, wśród których znajdowało się trzech dziennikarzy..."

(117)

115

MORELLIANA

Opierając się na szeregu luźnych notatek, często zresztą ze sobą sprzecznych, klub doszedł do wniosku, że Morelli widział we współczesnej beletrystyce pęd ku temu, co niesłusznie nazywano abstrakcją. „Muzyka traci melodię, malarstwo traci swą stronę anegdotyczną, powieść traci opiso-wość". Wong, mistrz dialektycznego kolażu, dodał ten ustęp: „Nie ta powieść interesuje nas, która ustawia swoje postacie w określonych sytuacjach, tylko ta, która instaluje określone sytuacje w swoich postaciach tak dalece, że przestają być postaciami, stając się ludźmi. Następuje coś w rodzaju ekstrapolacji, za pomocą której one wyskakują ku nam lub też my wyskakujemy ku nim. Kafki «K» nazywa się tak jak jego czytelnik (czy też vice versa)". Do tego dołączono niezbyt jasną notatkę, w której Morelli szkicował projekt opowiadania, gdzie imiona bohaterów byłyby pominięte po to, aby w każdym wypadku ta rzekoma abstrakcja mogła zostać wypełniona przez dowolnie wybrane konkrety.

(14)

116

W jednym miejscu znajdujemy u Morellego taki epigraf z *Abbé C.* Georges Bataille'a: „Cierpiał z powodu wprowadzenia postaci bezcielesnych, poruszających się w jakimś oszalałym świecie, postaci zupełnie nieprzekonywających".

Zaledwie czytelna notatka ołówkiem: „Tak, czasem się cierpi, ale jest to jedyne przyzwoite wyjście. Dość powieści hedonistycznych, przeżutych, pełnych psychologizowania. Trzeba zdobyć się na najwyższy wysiłek, stać się *voyant,* tak jak tego pragnął Rimbaud. Powieściopisarz hedonistyczny jest zwykłym *voyeur.* Z drugiej strony, dość techniki czysto opisowej, powieści behawiorystycznej, scenariuszy filmowych pozbawionych nawet ucieczki w obraz".

Do porównania z innym akapitem: „Jak opowiadać bez przypraw, bez makijażu, bez przymrużenia oka w kierunku czytelnika? Może po prostu odrzucając koncepcję, że powieść jest dziełem sztuki? Odczuwać ją tak, jak odczuwalibyśmy warstwę gipsu wylewanego nam na twarz, aby zdjąć jej maskę. Ale ta twarz powinna być naszą własną twarzą".

I może jeszcze ta luźna notatka: „Mówiąc o Manecie i jego *Olimpii,* Lionello Venturi podkreśla, że Manet obywa się bez natury, bez piękności, bez akcji i bez moralnych przesłanek, aby skoncentrować się wyłącznie na obrazie plastycznym. W ten sposób bezwiednie przeprowadza odwrót od sztuki nowoczesnej w kierunku średniowiecza. Ono właśnie rozumiało sztukę jako serię obrazów, w czasach Odrodzenia i w nowożytnych zastąpionych przez odtwarzania rzeczywistości. Tenże Venturi (a może Gulio Argan?) dodaje: «Ironia historii zdecydowała, że w tym samym momencie, gdy sposób przeciwstawiania rzeczywistości stawał się obiektywny, a w końcu wręcz fotograficzny i mechaniczny, geniusz pewnego błyskotliwego paryżanina, który chciał być realistą, nakłonił go do przywrócenia sztuce jej roli twórczyni wyobrażeń»„.

Morelli dodaje: „Aby uniknąć nieporozumień, przyzwyczajać się do używania słowa «figura» zamiast «wyobrażenie». Wtedy wszystko się zgadza. Nie chodzi jednak ani o powrót do średniowiecza, ani o nic w tym rodzaju. Oto błąd postulowania czasu historycznego absolutnego: istnieją różne czasy, mimo że mogą występować równolegle. W tym sensie to, co jest jednym z czasów średniowiecza, może zbiegać się z jednym z czasów epoki nowożytnej. I ten właśnie czas spostrzegli i w nim zamieszkali malarze i pisarze, którzy nie chcą szukać oparcia w otaczającej ich rzeczywistości, być «nowoczesnymi» w rozumieniu swoich współczesnych (co nie oznacza, aby chcieli być anachroniczni); żyją po prostu na

marginesie powierzchownego czasu swojej epoki, jak i tamtego innego czasu, w którym wszystko nagina się do wymagań «figury», w którym wszystko ma wartość jako znak, nie zaś jako temat opisu; podejmują dzieło, które może wydawać się wyobcowane lub nawet antagonistyczne w stosunku do otaczających je czasu i historii, które jednak zawiera te rzeczy, tłumaczy i w ostatecznym wyniku kieruje do transcendencji, na granicy której czeka człowiek".

(3)

117

Widziałem trybunał, przy pomocy gróźb zmuszony do skazania na śmierć dwojga dzieci, wbrew nauce, wbrew filozofii, wbrew humanizmowi, wbrew doświadczeniu, wbrew najbardziej ludzkim i najpozytywniejszym prądom epoki.

Dlaczego mój przyjaciel Mr Marshall, wybrawszy z pamiątek przeszłości - aby je przywrócić do życia - te precedensy, które dzikusa przyprawiłyby o rumieniec, nie przeczytał tego zdania Blackstone'a:

„Dziecko poniżej lat czternastu, jakkolwiek teoretycznie uważane za niezdolne do popełnienia zbrodni *prima faae,* może zostać oskarżone i skazane na śmierć, jeżeli opinia sądu i przysięgłych stwierdzi jego winę, opierając się na tym, że posiadało świadomość różnicy między dobrem a złem".

W ten sposób trzynastoletnia dziewczynka została spalona za uśmiercenie swojej nauczycielki.

Dwaj chłopcy, jeden dziesięcio-, a drugi jedenastoletni, którzy zabili swych kolegów, zostali skazani na śmierć, przy czym dziesięcioletni został powieszony.

Dlaczego?

Bo rozumieli różnicę pomiędzy tym, co jest dobre, a tym, co jest złe. Uczyli się katechizmu.

Clarence Darrow, *Obrona Leopolda i Loeba,* 1924

(15)

118

Jakże zamordowanemu uda się przekonać mordercę, że nie będzie go straszył?

Malcolm Lowry, *Pod wulkanem*

(50)

119

Australijska papużka nie może rozpostrzeć skrzydełek! Inspektor Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt wszedłszy do pewnego domu znalazł wyżej wymienionego ptaka w klatce mającej zaledwie osiem cali średnicy. Właściciel ptaka został zmuszony do zapłacenia dwóch funtów grzywny. Aby służyć pomocą bezbronnym stworzeniom, potrzebujemy nie tylko waszego moralnego poparcia. Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt potrzebuje również waszej pomocy materialnej. Zgłoszenia przyjmuje Sekretariat, etc.

„The Observer", Londyn

(51)

120

W porze sjesty, gdy wszyscy spali, wstawał z łóżka, nie budząc matki, na czworakach czołgał się do drzwi, cichutko wychodził, wciągając z rozkoszą zapach mokrej ziemi, i przez dużą bramę wymykał się ku pobliskim chaszczom; na wierzbach pełno było okokonionych, niby w koszyczkach siedzących robaków, Ireneo wybierał jednego z grubszych, siadał obok mrowiska, i tak długo naciskał kokon od tyłu, aż robak wysadził głowę przez jedwabisty otwór; wtedy należało delikatnie wziąć go za skórę na karku niby kota, pociągnąć łagodnie, żeby nie uszkodzić - już był goły i poruszał się komicznie w powietrzu; Ireneo umieszczał go obok mrowiska, a sam kładł się w cieniu na brzuchu i czekał; o tej porze czarne mrówki pracowały zaciekle, tnąc trawę i ściągając żywe i martwe owady ze wszystkich stron; natychmiast jakaś wywiadowczym spostrzegała robaka, tę miękką masę poruszającą się groteskowo, dotykała go swoimi mackami, jak gdyby nie mogła uwierzyć w tak wielkie szczęście, i od razu pędziła to tu, to tam, ażeby potrzeć swoje macki o macki innych mrówek; w minutę później robak był otoczony, uniesiony, tysiące szczypiec wpijało mu się w skórę, a chociaż usiłował uwolnić się, wijąc się daremnie, mrówki ciągnęły go, taszczyły ku mrowisku; Ireneo rozkoszował się najbardziej zakłopotaniem mrówek, kiedy nie udawało im się wepchnąć go do otworu, cały dowcip polegał na wybraniu robaka szerszego niż wejście do mrowiska, mrówki-idiotki nic nie rozumiały i ciągnęły na wszystkie strony, a on kręcił się wściekle; straszne musiało być to uczucie mrówczych nóg ' i szczypiec na całym ciele, w oczach, w skórze, robak rzucał się, chcąc się uwolnić, co jednak pogarszało sprawę, bo mrówek tylko przybywało, niektóre wręcz rozsierdzone wbijały weń szczypce i nie puszczały, dopóki gęba nie zanurzyła się w otworze mrowiska, inne od dołu ciągnęły ze wszystkich sił. Ireneo byłby nawet chciał znaleźć się w środku mrowiska, żeby widzieć, jak wciągają go, wbijając mu szczypce w oczy, w gębę, i ciągną z całej siły aż do kompletnego wessania w głąb i zabicia go, i zjedzenia.

(16)

121

Czerwonym atramentem Morelli z widocznym upodobaniem przepisał w notesie koniec poematu Ferlinghettiego:

Yei I have slept with beauty
in my own weird way
and I have made a hungry scene or two
with beauty in my bed
and so spilled out another poem or two
and so spilled out another poem or two
upon the Bosch-like world.

(36)

Chodząc tam i z powrotem, pielęgniarki rozmawiały o Hipokratesie. Przy odrobinie wysiłku każdy strzęp rzeczywistości mógł przybrać kształt znakomitego poematu. Ale po cóż intrygować Etienne'a, który wyciągnął swój blok i wesoło szkicował uciekające szeregi białych drzwi, noszy opartych o ściany i okien, przez które wpływała jedwabistoszara materia, szkielet drzewa z dwoma gołąbkami o burżujskich brzuchach. Chciał mu opowiedzieć ten drugi sen; zabawne, że przez całe rano był zupełnie zanurzony, pogrążony w obsesji tego pierwszego, tego o chlebie, aż tu nagle ciach, na rogu Raspail i Montparnasse drugi sen zwalił się na niego jak ściana, czy może inaczej: całe rano był przygnieciony ścianą skarżącego się chleba i nagle, niby film puszczony w odwrotnym kierunku, ściana podniosła się z niego i wyprostowała jednym skokiem, stawiając go twarzą w twarz ze wspomnieniem tego drugiego snu.

- Kiedy zechcesz - odpowiedział Etienne chowając blok. - Kiedy będziesz miał ochotę, nie ma gwałtu. Mam zamiar jeszcze pożyć ze czterdzieści latek, tak że...

- *Time present and time past* - wyrecytował Oliveira - *an both perhaps in tine future.*[113] Napisane jest, że dzisiaj wszystko będzie prowadziło do wierszy Eliota. Myślałem, za przeproszeniem, o moim śnie. Ale już idziemy.

- Tak, chodźmy, bo tego snu to już chyba rzeczywiście dosyć. Człowiek znosi, znosi, ale w końcu...

- Ale to chodzi o inny sen.

- *Misère!* - wykrzyknął Etienne.

- Nie opowiedziałem ci go przez telefon, bo wtedy go nie pamiętałem.

- No i minęło sześć minut - powiedział Etienne. - W gruncie rzeczy czynniki miarodajne mają rozum. Człowiek psioczy na nie bez przerwy, a trzeba przyznać, że wiedzą, co robią. Te sześć minut...

- Gdybym wtedy o nich pamiętał, po prostu wyszedłbym z tej kabiny i wlazł do sąsiedniej.

- Dobrze, dobrze - powiedział Etienne. - Opowiesz mi sen, a potem zejdziemy napić się wińska na Montparno. Zamieniam ci twojego wspaniałego staruszka na sen. Obie rzeczy razem to jednak trochę za dużo.

[113] *Time present and time past...*(ang.) - Czas teraźniejszy i czas przeszły są być może obydwa obecne w czasie przyszłym. (T.S Eliot, *„Cztery Kwartety" Burnt Norton,* tłum. Władysław Dulęba).

- Trafiłeś w sedno - Oliveira spojrzał na niego z zainteresowaniem. - Cały problem w tym, żeby wiedzieć, czy to są rzeczy zamienne. Dokładnie to, o czym dzisiaj mówiłeś: motyl czy też Czang Kaj-szek. A może zamieniając starego na sen, zamieniasz mi właśnie sen na starego?

- Żeby już nic przed tobą nie ukrywać, gówno mnie to obchodzi.

- Malarz - powiedział Oliveira.

- Metafizyk - powiedział Etienne. - Popatrz, już jedna z pielęgniarek zaczyna zastanawiać się, czy jesteśmy snem, czy też parą włóczęgów. Co teraz będzie? A jeżeli nas wyrzuci, to czy to będzie pielęgniarka, która nas wyrzuciła, czy też sen, który wyrzucił dwóch filozofów, którym śnił się szpital, gdzie między innymi był staruszek i rozwścieczony motyl?

- To o wiele prostsze - odparł Oliveira rozwalając się na ławce i przymykając oczy. - To tylko mój dom, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, i pokój Magi, oba razem jakoś złączone w moim śnie. Nawet nie pamiętam, kiedy to mi się śniło, zupełnie o tym nie myślałem i dzisiaj rano, myślałem o chlebie, nagle...

- O chlebie już mi opowiadałeś.

- ... nagle przypominam sobie ten drugi sen, i chleb poszedł w diabły, bo to w ogóle nie nadaje się do porównywania: może to sen o chlebie natchnął mnie... Natchnął, popatrz tylko, co za słowo!

- Nie wstydź się użyć go, jeżeli znaczy to, co, jak sądzę, znaczy.

- Pomyślałeś o małym, na pewno. Skojarzenie się narzuca. Ale ja nie mam najmniejszego poczucia winy. Ja go nie zabiłem.

- To nie takie proste - powiedział z zażenowaniem Etienne. - No chodź, pójdziemy do starego, dość tych kretyńskich snów.

- Właściwie to nawet ci go nie mogę opowiedzieć - powiedział Oliveira zrezygnowany. - Wyobraź sobie, jakbyś zajechał na Marsa i jakby jakiś gość prosił cię, żebyś mu opisał popiół. Coś w tym stylu.

- Idziemy wreszcie do starego, tak czy nie?

- Jak chcesz. Niby skoro tu już jesteśmy... Zdaje się, że łóżko dziesięć. Trzeba mu było coś przynieść, to głupio tak przyjść. Może chociaż podarujesz mu jakiś rysunek.

- Moje rysunki są na sprzedaż - odpowiedział Etienne.

123

Prawdziwy sen kołysał się w żonie nieokreślonej, raczej po stronie jawy, ale nie było to jeszcze całkowite przebudzenie. Aby o nim mówić, należało znaleźć inne terminy, wykluczyć stanowcze ś n i ć i z b u d z i ć s i ę, które właściwie nic nie znaczyły, umieścić się raczej w tej strefie, w której wraca dom dzieciństwa, salon i ogród, wszystko w jakimś przezroczystym czasie teraźniejszym, w kolorach, w jakich jawią się rzeczy, gdy się ma dziesięć lat, czerwone takie rzeczy, szafir o barwie kolorowych szkiełek, zieleń liści, zieleń zapachów, kolor i zapach połączone w całość na wysokości nosa i oczu, i ust. Ale we śnie salon z dwoma wychodzącymi na ogród oknami był równocześnie pokojem Magi. Zapomniane przedmieście Buenos Aires i rue du Sommerard przenikały w siebie łagodnie, nie jedno obok drugiego ani też jedno nachodzące na drugie, lecz stopione, przy czym ze sprzeczności przekreślonej bez wysiłku wyłaniała się świadomość tkwienia w czymś właściwym, zasadniczym, tak jak kiedy jest się dzieckiem i nie ma się żadnych wątpliwości, że salon będzie trwał zawsze: jakaś przynależność nie do obalenia, W ten sposób dom w Burzaco i pokój na me de Sommerard były m i e j s c e m, a we śnie należało wybrać jego spokojniejszą część, to wydawało się jedynym sensem snu, tylko o to w nim szło - aby wybrać tę spokojniejszą część. W m i e j s c u była jeszcze jedna osoba, jego siostra, która bez słów pomagała mu w szukaniu tej spokojnej części w taki sposób, w jaki czasem bierze się udział we śnie, właściwie nie będąc w nim, na podstawie podświadomego założenia, że dana osoba znajduje się i bierze udział: siła pozbawiona zewnętrznych objawów, coś, co jest lub też działa poprzez jakąś obecność, która może obyć się bez cech wizualnych. W ten sposób wraz z siostrą wybierali salon jako tę spokojną część m i e j s c a, i było to dobrze wybrane, bo w pokoju Magi nie wolno było grać na pianinie ani też słuchać radia po dziesiątej wieczór, natychmiast stary z góry zaczynał walić w sufit albo ci z czwartego delegowali z pretensjami zezowatą karlicę. Nie mówiąc słowa, bo przecież obecność ich była niecałkowita, on i siostra wybrali salon wychodzący na ogród, wykluczając pokój Magi. W tym momencie Oliveira przebudził się, może po prostu dlatego, że Maga wsunęła mu nogę między nogi. W ciemności dotarła do niego jedynie świadomość, że sekundę przedtem byli z siostrą w salonie z dzieciństwa i że koniecznie musi się wyszczać. Odepchnąwszy Magę wstał i wyszedł na schody, po omacku zapalił marne światło w ubikacji i nie fatygując się zamykaniem drzwi, zaczął sikać, trzymając się ściany, aby nie usnąć i nie wlecieć w ten ohydny prewet; sam - pogrążony jeszcze w aurze snu, patrzył, nie widząc, na fontannę, która wytryskiwała mu

spomiędzy palców i gubiła się w dziurze albo niepewnie spływała po czarnym fajansie. Może prawdziwy sen ukazał mu się dopiero wtedy, gdy poczuł, że się obudził, i gdy o czwartej nad ranem, odlewając się na piątym piętrze przy rue du Sommerard, wiedział, że salon wychodzący na ogród w Burzaco jest rzeczywistością, wiedział to tak, jak się wie nieliczne rzeczy niezaprzeczalne, jak się wie, że jest się sobą, że nikt inny, tylko właśnie ja myślę to, co myślę, wiedział bez najmniejszego zdziwienia ani zgorszenia, że jego życie, życie przytomnego człowieka, jest majakiem w porównaniu z solidnością i trwałością salonu, i jakkolwiek po powrocie do łóżka nie było już żadnego salonu, tylko pokój na rue Sommerard, wiedział, że m i e j s c e m jest salon w Burzaco, przepełniony zapachem jaśminu, który wnika przez oba okna, ten salon ze starym Blüthnerem, ze swym różowym dywanem, fotelikami w pokrowcach i siostrą, także w pokrowcu. Zrobił gwałtowny wysiłek, żeby jakoś wyjść z tej aury, zrezygnować z m i e j s c a, które mamiło go, dość trzeźwy, aby mieć świadomość tego mamienia, aby odróżnić rzeczywistość od snu, ale podczas gdy strząsał ostatnie krople, gasił światło i trąc oczy szedł przez podest do pokoju, wszystko było minus, minus podest, minus drzwi, minus łóżko, minus Maga. Z wysiłkiem łapiąc oddech wymruczał: „Maga", wymruczał: „Paryż", może wymruczał: „Dziś". Ciągle jeszcze majaczyło mu się coś dalekiego, jakaś próżnia, coś właściwie przeżytego. Wrócił w ten sen jak ktoś, kto szuka swojego miejsca i swojego domu po długiej wędrówce wśród deszczu i zimna.

(145)

124

Zdaniem Morellego należało narzucić sobie poruszanie się poza granicami wszelkiej łaski. W miarę jak sam zaczął się do tego stosować, z łatwością dawało się stwierdzić zawrotne zwężenie jego romantycznego świata, widoczne nie tylko w małpim niemalże ubóstwie postaci, ale i w zwykłym toku ich czynności, zwłaszcza zaś bezczynności. W końcu nie zdarzyło im się już nic, kręciły się w kółko wokół jakiegoś sarkastycznego komentarza na temat własnej nicości, udając zachwyt dla groteskowych bożyszcz, których odkryciem się chełpiły. Wszystko to jednak musiało wydawać się Morellemu ważne, wciąż bowiem piętrzył notatki na temat rzekomej konieczności podjęcia ostatecznej, rozpaczliwej próby wyrwania się z koleiny immanentnej i transcendentnej etyki, w pogoni za jakąś nagością, którą określał jako osiową, nazywając ją od czasu do czasu progiem. Czego progiem jednak i dokąd wiodącym?

Można było odnaleźć w tym zachętę, aby się przenicować i wprost osiągnąć piekący kontakt z rzeczywistością, bez pośrednictwa mitów, religii, systemów i siatek narzucających skalę. Ciekawe, że Morelli z entuzjazmem przyjmował wszelkie nowe robocze hipotezy z dziedziny fizyki i biologii i występował jako człowiek przekonany, że stary dualizm zbankrutował w obliczu dowodów, iż kategorie takie jak materia i duch sprowadzają się obie do pojęcia energii.

W rezultacie jego przemądrzałe małpy zdawały się coraz bardziej cofać w głąb własnego ja, unicestwiając z jednej strony chimery rzeczywistości (równocześnie kontrolowanej i zdradzanej przez rzekome „instrumenty poznawcze"), z drugiej - własną mitopoetyczną siłę, swą „duszę", aż w końcu kurcząc się do minimum wracały *ab ovo* do punktu, w którym znika ostatnia iskierka (fałszywego) człowieczeństwa. Nigdy nie wypowiadając tego wyraźnie, Morelli zdawał się wskazywać drogę, której początek stanowi ta wewnętrzna i zewnętrzna likwidacja. Pozostał jednak prawie bez słów, bez postaci, bez przedmiotów, potencjalnie zaś - rzecz jasna - bez czytelników.

Klub wzdychał na wpół zniechęcony, a na wpół bezradny, i tak bywało zawsze lub prawie zawsze.

(128)

125

Uczucie, że się jest jakby psem wśród ludzi: materiał do refleksji, więc dwa kieliszki canii i wałęsanie się po przedmieściach, rosnące podejrzenie, że tylko alfa może dać omegę, że upieranie się przy istnieniu jakiegokolwiek etapu pośredniego - ipsylon, lambda - jest równoznaczne z kręceniem się w kółko stojąc na jednej nodze. Strzała mknie z ręki do celu: nie istnieje pół drogi, nie istnieje XX wiek pomiędzy X a XXX. Człowiek powinien być zdolny do wyizolowania się z gatunku w obrębie gatunku i wtedy wybrać psa albo pierwotną rybę jako punkt wyjścia i marszu ku sobie samemu. Nie ma przejścia dla doktora filozofii, nie ma wylotu dla znanego laryngologa. Włączeni w gatunek, zostaną tym, czym być powinni, a jeśli nie - będą niczym. Pełni zasług, niewątpliwie, ale zawsze ipsylon, lambda czy też pi, nigdy alfa i nigdy omega. Człowiek, o którym mowa, nie przyjmuje tych pseudoosiągnięć, wielkiej gnijącej maski Zachodniego Świata. Facet, który włócząc się dochodzi do mostu na „Avenue San Martin" i z papierosem w zębach, z rogu ulicy obserwuje kobietę poprawiającą pończochę, ma zupełnie opaczne pojęcie o tym, co nazywa osiągnięciem, i nie żałuje tego, bo coś mu mówi, że ziarno tkwi właśnie w bezsensie, że szczekanie psa bliższe jest omegi niż teza na temat imiesłowu nieodmiennego u Tirso de Molina. Jakże głupie metafory! Ale kontynuuje z pieskim uporem i w dalszym ciągu na swój sposób zestawia słowa. Czego szuka? Siebie? Nie szukałby się, gdyby nie był się już odnalazł. To znaczy, że się odnalazł (ale to już nie jest bezsens, ergo nie można na tym polegać). Zaledwie rozumowaniu popuścisz cugli, już ci odstawia swój numer, już wykuwa pierwszy sylogizm w łańcuchu, który nie prowadzi cię nigdzie dalej niż do dyplomu, do małego domku w kalifornijskim stylu, gdzie dzieciaki spokojnie igrają na dywanie ku wielkiej radości mamusi. Zastanówmy się więc: czego ten facet szuka? Siebie? Siebie jako jednostki? Jako jednostki stojącej pozornie poza czasem czy też jako bytu historycznego? W tym ostatnim przypadku na próżno traci czas. Jeżeli natomiast szuka siebie na marginesie wszelkiej przypadkowości, może interesy psa nie przedstawiają się tak źle. Ale powolutku (uwielbia mówić do siebie, jak ojciec przemawia do syna, ażeby ofiarować sobie luksus wszystkich synów świata i kopnąć starego w jaja), a więc idźmy *piano, pianissimo,* zastanówmy się, czym w gruncie rzeczy jest to poszukiwanie. Otóż jest ono właśnie tym, czym nie jest. Subtelne, co? Nie jest poszukiwaniem, skoro on już się odnalazł. Zapewne, ale to odnalezienie nic nie daje. Jest mięso, są kartofle i pory, ale nie ma zupy. Inaczej mówiąc, nie jesteśmy już z innymi, przestaliśmy być obywatelem (nie na darmo wywalają mnie zewsząd, przykładem Lutetia...),

ale jednak nie nauczyliśmy się, jak wydostać się z psa, aby dojść do tego, co nie ma nazwy, powiedzmy: do jakiegoś pogodzenia się.

Potworne to zadanie brodzić w kole, którego środek, używając terminów scholastycznych, jest wszędzie, obwód zaś nigdzie. Czego szukamy? Czego szukamy? Powtórzyć to piętnaście tysięcy razy, jakby walić młotem o mur. Czego szukamy? Cóż jest tym pojednaniem, bez którego życie jest tylko ponurym żartem? Nie jest to pojednanie, jakie osiąga święty, bo chociaż w koncepcji powrotu do psa, rozpoczynania od psa lub ryby, błota, brzydoty, nędzy i od przewartościowania wszystkich walorów jest zawsze jak gdyby tęsknota do świętości, to jednak wydaje się, że chodzi nam o jakąś świętość nie religijną, o stan bez osądów różnicujących, bez „świętych" (bo święty w pewnym sensie zawsze pozostaje świętym) i tych, którzy święci nie są, toteż gorszy to biednych facetów lubiących podziwiać łydki kobiet poprawiających sobie podwiązki; słowem, jeżeli istnieje pojednanie, musi być ono czymś innym niż świętość, stan wykluczający z normalnego biegu świata. Musi ono być czymś immanentnym, bez poświęcania ołowiu dla złota, celofanu dla szkła, minimum dla maksimum. Przeciwnie, bezsens wymaga, aby ołów równy był złotu, aby maksimum zawierało się w minimum. Alchemia, geometria, nie-Euklidesowa, kompletny brak określonego stosunku *up to date* do operacji mózgu i jej owoców. Nie o to chodzi, by piąć się wzwyż - przestarzałe pojęcie zdyskredytowane przez historię, stara marchew, na którą już się osła nie nabierze, nie o to chodzi, by przesiewać, wybierać, wyszukiwać, iść od alfy do omegi. Już się tam jest. Każdy już tam jest. Strzał jest w pistolecie. Ale trzeba nacisnąć spust, tymczasem dziwnym trafem palec akurat daje znak autobusowi, aby się zatrzymał, albo coś w tym rodzaju.

Ale gada! Ależ gada ten ćmiący papierosa włóczęga przedmieść! Kobieta już poprawiła pończochę, to mamy z głowy. Widzisz? Rozmaite formy pojednań, *Il mio supplizio*... Wszystko zapewne jest tak proste: najpierw oczko puszcza, a potem trzeba przytknąć pośliniony palec, by je zatrzymać. Może wystarczyłoby pociągnąć kogoś za nos i przesunąć mu go w miejsce ucha. Trochę tylko zmienić okoliczności... Ale nie... W ten sposób też nie. Nic łatwiejszego niż zrzucić winę na warunki zewnętrzne, tak jakby istniała pewność, że zewnątrz i wewnątrz to dwie główne belki, na których opiera się dom. Ale w gruncie rzeczy wszystko jest nie tak, jak świadczy historia, a sam fakt, że o tym myślimy zamiast to przeżywać, dowodzi, że jest źle, że wpakowaliśmy się w jakąś kompletną dysharmonie, którą usiłujemy przesłonić wszystkim, czym rozporządzamy: osiągnięciami społecznymi, historią, stylem jońskim, wesołością Odrodzenia, powierzchownym smutkiem romantyzmu - i tak to idzie, i j... nas pies.

126

Dlaczego twymi diabelskimi czarami wyrwałaś mnie ze spokoju poprzedniego życia... Słońce i księżyc błyszczały dla mnie bez najmniejszej sztuczności, budziłem się wśród spokojnych myśli, a rankiem zwijałem liście, aby przystąpić do modlitwy. Nie widziałem zła, nie miałem bowiem oczu. Lecz ja się zemszczę!

Słowa Mandragory z *Izabeli z Egiptu* Achima von Amim

(21)

127

Tak więc prawdziwe potwory bez litości kalały gniazdo Kuki, chcąc tylko jednego: aby jak najszybciej opuściła aptekę i dała im święty spokój. Po czym przechodziły do spraw poważniejszych, a mianowicie do dyskusji nad systemem Ceferina Piriz i poglądami Morellego. Ponieważ Morelli nie był jeszcze popularny w Argentynie, Oliveira pożyczał im książki i mówił o rozmaitych notatkach, które w swoim czasie czytał. Odkryli, że Remorino (który w dalszym ciągu pracował jako pielęgniarz i pojawiał się w porze mate i kieliszka canii) był wielkim znawcą Roberta Arlta, co tak nimi wstrząsnęło, że przez co najmniej tydzień o niczym innym nie było mowy, tylko o Arlcie i o tym, że jakoś mu jeszcze nikt nie nadepnął na poncho w tym kraju, gdzie ludzie wolą dywany. Przede wszystkim zaś jednak mówili o Ceferinie z wielką powagą i zdarzało im się, że od czasu do czasu patrzyli na siebie w specjalny, niewytłumaczalny sposób, na przykład zupełnie równocześnie podnosząc wzrok i wtedy zdając sobie sprawę, że wszyscy troje robią to samo, to znaczy, że wszyscy troje patrzą na siebie w specjalny, niewytłumaczalny sposób, tak jak to się zdarza ludziom grającym w *truco* lub zakochanemu, gdy musi wytrzymać herbatę z ciasteczkami w towarzystwie wielu pań, a nawet pułkownika w stanie spoczynku, tłumaczącego, dlaczego wszystko w kraju idzie źle, on zaś, zakochany, musi ze swego krzesła patrzeć jednakowo na otaczających, na pułkownika i na kobietę, którą kocha, i na ciotki tej kobiety, więc patrzy na nich uprzejmie, bo przecież w rzeczywistości to naprawdę okropne, że kraj jest w niewłaściwych rękach; i nagle jego uprzejme spojrzenie porzuca ptysia z kremem, na tacy trzeciego od lewej, oraz małą łyżeczkę leżącą na wyhaftowanym przez ciocię obrusie, na chwilę się wznosi i ponad całą tą gadaniną łączy się w powietrzu z tym drugim spojrzeniem, które także uniosło się sponad bladozielonej plastikowej cukierniczki, i nagle wszystko niknie, dokonuje się jakieś spełnienie poza czasem, które staje się przesłodka tajemnicą, i gdyby dzisiejsi ludzie, młody człowieku, byli prawdziwymi mężczyznami, nie zaś ohydnymi pedrylami („Ależ, Ryszardzie!" - „Dobrze już, dobrze, Carmen, ale mnie oburza, wprost o-bu-rza-mnie-to-co-się-dzieje-w-kraju") - otóż *mutatis mutandts* trochę takie było spojrzenie potworów, gdy zdarzyło im się popatrzeć na siebie spojrzeniem równocześnie ukradkowym i całkowitym, utajonym i o wiele jawniej szym niż wtedy, gdy patrzyli na siebie wprost. Ale nie na darmo jest się potworem, jak to tłumaczyła Kuka w rozmowie z mężem, więc nagle wszyscy troje wybuchali śmiechem i okropnie się wstydzili tych spojrzeń wymienianych ot tak, bez powodu, bez gry w *truco* i bez występnych miłości. Chyba żeby.

128

Nous sommes quelques-uns à cette époque à avoir voulu attenter aux choses, créer en nous des espaces à la vie, des espaces qui n'étaient pas et ne semblaient pas devoir trouver place dans l'espace.

Artaud, *Le Pèse-nerfs*

(24)

Ale Traveler nie spał, mimo wysiłków koszmary powróciły, tak, że w końcu usiadł na łóżku i zapalił światło. Talita, ta lunatyczka, ta nocna ćma, znów gdzieś znikła, wypił więc kieliszek canii i włożył kurtkę od piżamy. Trzcinowy fotelik był chłodniejszy niż łóżko, a noc nadawała się, aby jeszcze trochę postudiować Ceferina Piriz.

Dans cette annonce ou carte - dosłownie mówił Ceferino - *ye reponds devant ou sur votre demande de suggérer idées pour UNESCO et écrit en el journal „El Diario" de Montevideo.*[114]

Sfrancuzialy Ceferino? Chociaż nie, nie było się czego obawiać. *Światło Pokoju na Świecie,* którego kilka bezcennych fragmentów posiadał Traveler, było zredagowane w znakomitej hiszpańszczyźnie, czego dowodem ten oto wstęp:

> W tym wstępie przedstawiam kilka wyjątków z dzieła, które dopiero ukończyłem, a które nosi tytuł *Światło Pokoju na Świecie.* Dzieło to było lub jest zgłoszone na międzynarodowy konkurs... ale niestety nie mogę przedstawić wam w całości wyżej wymienionego dzieła, albowiem wyżej wymieniony Magazyn nie zezwala, aby przez pewien czas wyże] wymienione dzieło zostawało przeczytane w całości, nikomu nie będącemu w bezpośrednim związku z wyżej wymienionym Magazynem...
>
> Wobec tego w tym wstępie zadowolę się tylko podaniem paru wyjątków z wyżej wymienionego dzieła, które to wyjątki znajdą państwo poniżej, ale których nie wolno obecnie publikować.

Nieporównanie jaśniejsze niż na przykład analogiczny tekst filozofa Juliana Marias. Za pomocą dwóch kieliszków canii kontakt został nawiązany, i jazda. Traveler już winszował sobie, że wstał i że Talita ma romantyczne zapędy. Po raz dziesiąty zanurzył się powoli w tekst Ceferina.

> W tym oto dziele wyjaśniamy, czym jest to, co moglibyśmy nazwać „wielką formułą na rzecz światowego pokoju". Polegało to na tym, że wyżej wymieniona formuła zawiera w sobie Ligę Narodów albo ONZ, a wyżej

[114] *Dans cette annonce...* (pełen błędów franc. łamany z hiszp.) - W tym ogłoszeniu czy też karcie odpowiadam z góry lub na Pańskie życzenie, żeby sugerować pewne idee dla UNESCO i piszę w dzienniku „El Diano" w Montevideo.

wymieniona Liga ma na celu opiekę nad wartościami (drogocennościami itd.) i rasami ludzkimi. A w końcu, jako niezbity dowód na planie międzynarodowym, odnaleźć tam możemy aluzję do kraju wzorowego pod każdym względem, wziąwszy pod uwagę, że składa się z 45 narodowych związków lub ministerstw zwyczajności i z 4 narodowych Mocarstw.

Po prostu: ministerstwa zwyczajności. O Ceferino, filozofie natury, zielarzu urugwajskich rajów, poławiaczu chmur...

Z drugiej strony ta wielka formuła pod kątem, pod którym pragnie być oglądana, nie jest obca, i nawzajem, światowi jasnowidzów; naturze początków dzieciństwa; ze środków natury jest ona formułą, która mówi sama za siebie, i nie przyjmuje się żadnych zmian w wyżej wymienionej formule mówiącej za siebie; etc.

Jak każdy mędrzec, Ceferino zdawał się odczuwać niejaką skłonność do jasnowidztwa i intuicji, lecz już mania klasyfikowania, jaką odznacza się Homo Occidentalis, wdzierała się przemocą do jego rancho, gdzie pomiędzy dwiema mate usiłował zamknąć ludzkość w trzech etapach.

Pierwszy etap cywilizacji.

Można uznać za pierwszy etap cywilizacji czas począwszy od najdawniejszych czasów przeszłości aż do roku 1940. Etap ten polegał na tym, że wszystko skłaniało się ku wojnie światowej od najdawniejszych czasów aż do 1940 roku.

Drugi etap cywilizacji.

Również można uznać za drugi etap cywilizacji czas począwszy od 1940 do 1953 roku. Etap ten polegał na tym, że wszystko skłaniało się ku pokojo-wi światowemu i odbudowie światowej. (Odbudowa światowa: zdziałać, aby na świecie każdy pozostawał przy swoim; skutecznie budować specjalnie wszystko to, co było uprzednio rozwalone: budynki, prawa człowieka, międzynarodową równowagę cen etc.).

Trzeci etap cywilizacji.

Również dzisiaj albo aktualnie można uznać za trzeci etap cywilizacji czas od roku 1953 aż do przyszłego roku 2000. Etap, który polega na tym, aby wszystko twardo dążyło ku skutecznemu uregulowaniu spraw.

Bezsprzecznie, że dla Toynbee'ego... Lecz krytyka milkła przed antropologicznymi schematami Ceferina:

To już powiedziałem, a oto ludzie w stosunku do wyżej wspomnianych etapów:

A) Ludzie żyjący w drugim etapie jako takim, w tych dniach jako takich, nie przejmowali się nic a nic myśleniem o pierwszym etapie.

B) Ludzie żyjący w obecnym trzecim etapie jako takim, my, którzy w nim żyjemy, w dzisiejszych czasach, dzisiejszego dnia, także nie przejmujemy się wcale myśleniem o drugim etapie.

C) W jutrze, które później musi nastać, które będzie po roku 2000, ludzie tego czasu i w tych czasach wcale się nie będą przejmowali myśleniem o tym trzecim etapie: o tym dzisiejszym.

To o nieprzejmowaniu się jest właściwie dość słuszne. *Beati pauperes spiritu* i oto Ceferino, na wzór Paula Rivet, na ślepo puszcza się na klasyfikacje, które stały się rozrywką popołudniowych spotkań na patio don Crespa, a mianowicie:

Na świecie można się doliczyć aż sześciu ras, a są to: biała, żółta, brązowa, czarna, czerwona i rasa z Pampy.

Biała rasa: tej rasy są wszyscy mieszkańcy skóry białej, tacy jak z krajów bałtyckich, nordyckich, europejskich, amerykańskich etc.

Żółta rasa: tej rasy są wszyscy mieszkańcy skóry żółtej, tacy jak Chińczycy, Japończycy, Mongołowie, po większej części Hindusi etc.

Rasa brązowa: tej rasy są wszyscy mieszkańcy skóry z natury brązowej, tacy jak Rosjanie o brązowej skórze. Turcy o brązowej skórze, Cyganie etc.

Rasa czarna: tej rasy są wszyscy mieszkańcy skóry czarnej, tacy jak mieszkańcy Wschodniej Afryki w swojej większości etc.

Rasa czerwona: tej rasy są wszyscy mieszkańcy czerwonej skóry, tacy jak duża część Etiopczyków o czerwonawej skórze i której sam Negus albo król Etiopii jest czerwonym przykładem. Duża część Egipcjan o czerwonej skórze. Etc.

Rasa z Pampy, tej rasy są wszyscy mieszkańcy skór rozmaitych kolorów i koloru Pampy, tacy jak Indianie ze wszystkich trzech Ameryk.

- Jaka szkoda, że nie ma Horacia - powiedział sam do siebie Traveler. - Znakomicie komentował te kawałki. Chociaż właściwie, dlaczegóż by nie? Nieszczęsny Cefe utyka na znanych trudnościach sztywnych klasyfikacji i robi, co może, podobnie jak autorzy skorowidzów encyklopedycznych. Rasa brązowa jest właściwie genialnym rozwiązaniem, którego trudno nie uznać.

Usłyszał kroki w korytarzu i wychylił się przed drzwi wychodzące na administracyjne skrzydło. Jak by powiedział Ceferino, pierwsze drzwi, drugie drzwi i trzecie drzwi były zamknięte. Widocznie Talita wróciła do apteki; niewiarygodne, z jakim entuzjazmem przyjmowała powrót na łono nauki, aptekarskie wagi i środki przeciwbólowe.

Obcy tego typu prozaizmom, Ceferino przechodził do wyjaśnienia wzorca swojej Ligi Narodów.

Liga może zostać stworzona wszystko jedno gdzie na świecie, ale najlepszym miejscem jest Europa. Liga pracuje stale, czyli we wszystkie dni robocze. Liga posiada wielki lokal albo pałac, w którym dysponuje najmniej siedmioma (7) biurami albo salonami odpowiedniej wielkości. Etc. Tak więc z siedmiu wyżej wymienionych salonów pałacu wyżej wymienionej Ligi pierwszy salon będą zajmowali delegaci krajów rasy białej i ich prezydent tego samego koloru. Drugi salon będą zajmowali delegaci rasy żółtej i ich prezydent tego samego koloru. Trzeci...

I w ten sposób wszystkie rasy, tak że można by było opuścić ich listę, po czterech kieliszkach canii (argentyńskiej, nie urugwajskiej, a szkoda, bo warto by ten moment uczcić patriotycznie) przedstawiało się to jednak inaczej, o tak, to przedstawiało się zupełnie inaczej, albowiem myśl Ceferina była krystalograficzna, rządzona symetrią i cierpieniem na *horror vacui,* innymi słowami:

> Trzeci salon będą zajmowali delegaci krajów rasy brązowej i ich prezydent tego samego koloru. Czwarty salon będą zajmowali delegaci krajów rasy czarnej i ich prezydent tego samego koloru. Piąty salon będą zajmowali delegaci krajów rasy czerwonej i ich prezydent tego samego koloru. Szósty salon będą zajmowali delegaci rasy Pampy i ich prezydent tego samego koloru. I - ten - siódmy salon będą zajmowali członkowie Sztabu Głównego całej wyżej wymienionej Ligi Narodów.

Travelera zawsze zachwycało to „ten", które przełamywało surowy, przezroczysty układ systemu, tak jak tajemniczy asteryzm, owa gwiaździstość szafirów, to przedziwne - może wskazujące na punkt zrośnięcia - miejsce w gemmie, które w szafirach przebija niby przejrzysty niebieskawy krzyż, niby energia zamrożona w sercu kamienia. (I dlaczego nazywało się to gwiaździstość, jeżeli nie w celu przywołania na myśl jakichś wschodnich bajek, pełnych kamieni lśniących niby gwiazdy?).

Cefe, o wiele mniej płynny, natychmiast podkreślał ważność sprawy:

> Inne szczegóły dotyczące wyżej wymienionego siódmego salonu; w wyżej wymienionym siódmym salonie pałacu Ligi Narodów będzie urzędował Sekretarz Generalny całej wyżej wspomnianej Ligi i Naczelny Prezydent również wymienionej Ligi, ale ten Sekretarz Generalny będzie równocześnie bezpośrednim sekretarzem wyżej wymienionego Naczelnego Prezydenta. Jeszcze więcej szczegółów: więc dobrze, w pierwszym salonie będzie urzędował przynależny mu prezydent, który będzie musiał stale przewodniczyć wyżej wymienionemu pierwszemu biuru. Co dotyczy drugiego biura - *idem,* co dotyczy trzeciego biura - *idem,* co dotyczy czwartego biura - *idem,* co dotyczy piątego biura - *idem,* co dotyczy szóstego biura - *idem.*

Traveler wzruszał się na myśl, ile owo *idem,* będące wielkim ustępstwem na rzecz czytelnika, musiało kosztować Ceferina. Ale ten znajdował się już w samym sercu swojego tematu i przystępował do tego, co nazywał „delikatną misją Ligi Narodów", a mianowicie:

> 1) Kontrolować (a może nawet ustalać) wartość pieniędzy w obiegu międzynarodowym. 2) Wyznaczać zarobki robotników, płace urzędników etc. 3) Wyznaczać wartości wszystkiego tego, co jest międzynarodowe (podać lub

wyznaczyć cenę wszystkich artykułów nadających się do sprzedawania i wyliczyć jeszcze wiele innych rzeczy: ile broni palnej powinien mieć kraj, ile . dzieci zgodnie z międzynarodowymi umowami powinna urodzić każda kobieta etc. 4) Oznaczyć dokładną wysokość sumy, która będzie się należała każdemu jako renta, emerytura etc. 5) Ile dzieci powinny urodzić wszystkie razem kobiety świata? 6) Sprawiedliwy podział dóbr na planie międzynarodowym etc.

Dlaczegóż - słusznie zastanawiał się Traveler - Ceferino powtarza zalecenia dotyczące wolności i brzuchów? W punkcie 3 mówi o tym jako o wartościach, a w punkcie 5 jako o konkretnej sprawie podlegającej kompetencjom Ligi. Ciekawe wyłamanie się z symetrii, z idealnej surowości porządnego kolejnego wyliczania, może wyrażające niepokój, może podejrzenie, że klasyczny porządek jest jak zawsze poświęceniem prawdy na rzecz piękna. Lecz Ceferino otrząsał się z tego romantyzmu, o który go posądzał Traveler, i przystępował do modelowego podziału.

Rozdawnictwo broni.

Wiadomo, że każdy z krajów świata posiada odpowiadającą mu ilość kilometrów kwadratowych terenu.

Dobrze, oto więc służę przykładami: A) Kraj, który ma, przypuśćmy, 1000 kilomet-rów kwadratowych, powinien posiadać 1000 armat. Kraj, który ma, przypuśćmy, 5000 kilometrów kwadratowych, powinien posiadać 5000 armat (innymi słowy, trzeba zrozumieć, że jedna armata wypada na jeden kilometr kwadratowy);

B) Kraj, który ma, przypuśćmy, 100 kilometrów kwadratowych, powinien posiadać 2000 karabinów; kraj, który ma, przypuśćmy, 5000 kilometrów kwadratowych, powinien posiadać 10000 karabinów etc. (innymi słowy, trzeba zrozumieć, że dwa karabiny wypadają na jeden kilometr kwadratowy etc.). Te zasady należy stosować we wszystkich istniejących krajach. Francja ma mieć 2 karabiny na każdy swój kilometr kwadratowy, Hiszpania, *idem;* Belgia, *idem;* Rosja, *idem;* Stany Zjednoczone A.P., *idem;* Chiny, *idem;* etc. Odnosi się to wszelkiego rodzaju broni, jaka istnieje, a) czołgi, b) karabiny maszynowe, c) terrorystyczne bomby; karabiny ręczne etc.

130

RYZYKO UŻYWANIA ZAMKÓW BŁYSKAWICZNYCH

„The British Medical Journal" informuje nas o nowym rodzaju wypadków, których ofiarami bywają dzieci. Powodem tych wypadków jest używanie zamków błyskawicznych zamiast guzików przy rozporkach u spodenek (donosi nasz korespondent medyczny).

Niebezpieczeństwo polega na przytrzaśnięciu napletka przez zamek błyskawiczny. Dwa takie wypadki już się zdarzyły. W obydwóch, celem uwolnienia dziecka, trzeba było uciec się do obrzezania.

Wypadek może nastąpić przede wszystkim, gdy dziecko chodzi samo do ubikacji. Zdarza się, chcąc wybawić dziecko z kłopotu, rodzice pogarszają sprawę ciągnąc zamek w nieodpowiednim kierunku, dziecko bowiem nie jest w stanie wytłumaczyć, czy wypadek miał miejsce przy zaciąganiu, czy też przy odciąganiu zamka. Jeżeli dziecko już było obrzezane, wypadek staje się o wiele groźniejszy...

Lekarz twierdzi, że odcinając dolną część zamka za pomocą szczypców lub też obcęgów łatwo można rozdzielić obie części zamka. Celem wydobycia wbitych w ciało części zamka wskazane jest jednak zastosowanie miejscowego znieczulenia.

„The Observer", Londyn

(151)

131

- Co byś powiedział na to, żebyśmy przystąpili do Narodowego Związku Zakonników od Modlitwy Uświęcającej?

- Pomiędzy tym a przystąpieniem do Narodowego Budżetu...

- Mielibyśmy niewąskie obowiązki - powiedział Traveler obserwując oddech Oliveiry. - Świetnie to sobie przypominam, musielibyśmy modlić się i błogosławić ludzi, przedmioty i te tajemnicze strony, które Ceferino nazywa miejscowymi okolicami.

- Tu musi być chyba jedna z nich - powiedział Oliveira jakby z daleka. - Miejscowa okolica, bracie, wypisz, wymaluj.

- Będziemy błogosławili zasiewy roślin i zaręczyny obarczone klątwą rywala...

- Wezwij Ceferina - odezwał się głos Oliveiry z jakiejś miejscowej okolicy. - Jakże bym chciał... Ty, teraz dopiero przychodzi mi do głowy, że Cefe jest przecież Urugwajczykiem!

Traveler nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na wchodzącego Ovejera, który pochylił się, żeby zbadać puls histerii *matinensis yugulata.*

- Zakonnicy, których zadaniem będzie walka z każdym duchowym bólem - powiedział wyraźnie Oliveira.

- Mhm - przytaknął Ovejero, aby mu dodać odwagi.

(58)

132

I podczas gdy ktoś, jak zawsze, coś tam tłumaczy, ja - nie wiem dlaczego - jestem w kawiarni, we wszystkich kawiarniach, w Elephant and Castle, w Dupont Barbes, u Sachera, w Café Pedrocchi, u Gijona, w Greco, w Café de la Paix, w Café Mozart, u Floriana, w Capoulade, w Les Deux Magots, w barze, który wystawia krzesła na Piazza Colleone, w Café Dante o pięćdziesiąt metrów od grobowca rodu Scaligerii, od wypalonej niby przez łzy twarzy Świętej Marii Egipcjanki na różowym sarkofagu, w kawiarni na wprost Giudekki, gdzie stare, zrujnowane markizy piją cienką, nie kończącą się herbatkę, w towarzystwie fałszywych, wyleniałych ambasadorów, w Jandilla, we Flocco, w Cluny, w Café Richmond na ulicy Suipacha, w El Olmo, w Closerie des Lilas, Chez Stéphane (znajdującej się na rue Mallarmé), w Tokio (znajdującej się w Chivilcoy), w Café au Chien qui fume, w Opern Café, w Dôme, w Café du Vieux Port, w jakiekolwiek kawiarni, gdzie:

We make our meek adjustments,
Contented with such random consolations,
As the wind deposits
In slithered and too ample pockets[115].

Hart Crane *dixit.* Lecz te kawiarnie są czymś więcej, są neutralnym terytorium dla apatrydow duszy, nieruchomym środkiem koła, skąd można samego siebie schwycić w pełnym galopie, widzieć się wchodzącym i wychodzącym, otulonym w kobiety, weksle lub tezy epistemologiczne, i mieszając kawę w filiżance, która w miarę upływu dni przechodzi z ust do ust, można obojętnie zabrać się do rewizji i bilansu, będąc równie oddalonym od tego ja, które za godzinę zeń wyjdzie. Sam sobie sędzią i sam sobie świadkiem, między jednym a drugim zaciągnięciem się papierosem, sam sobie ironicznym biografem.

W kawiarniach przypominają mi się sny, jeden *no man's land* wywołuje z pamięci drugi. Teraz przychodzi mi do głowy jeden z nich, chociaż nie przypominam go sobie, tylko wiem, że śniło mi się coś czarownego i że w końcu poczułem się tak, jakbym został wyrzucony (czy też jakbym odchodził, ale pod przymusem) ze snu, który - nie było na to żadnej rady - zostawał gdzieś na dnie. Nie jestem pewny, czy na dodatek nie zamykano za mną drzwi, chyba raczej tak. Następował jakiś faktyczny rozdział pomiędzy mną ze snu

[115] *We make our meek adjustments*...(ang.) - Dokonujemy naszych łagodnych sądów / Zadowoleni tymi przypadkowymi pociechami, / które osadza wiatr / W wytartych, zbyt obszernych kieszeniach. (H Crane).

(wspaniałym, pełnym, zakończonym) a teraźniejszością. Ale dalej spałem: to, że wyrzucono mnie, i to o zamykanych drzwiach też było snem. Jedna okrutna pewność ciążyła nad tym przejściowym momentem wewnątrz snu: świadomość, że to wyrzucenie nieodwołalnie pociągało za sobą całkowite zapomnienie piękności poprzedniej. Przypuszczam, że to właśnie odczułem jako zamykające się drzwi, to właśnie fatalne, natychmiastowe zapomnienie. Najbardziej jednak wstrząsnął mną fakt śnienia również i o tym, że zapomniałem poprzedni sen i że ten sen także będzie musiał zostać zapomniany (ja zaś wyrzucony poza jego zamkniętą strefę).

Wyobrażam sobie, że wszystko to ma jakieś rajskie korzenie. A może Eden, tak jak go tu sobie wyobrażają, jest mitopoetycznym odbiciem jakichś zalążków dobrych chwil, które pozostały w nieświadomości. Nagle zaczynam lepiej rozumieć przerażający gest *Adama* Masaccia. Zakrywa twarz, aby osłonić wizję tego, co było jego własnością. W tej małej, ręcznej nocy przechowuje ostatnie wspomnienie swojego raju. I płacze (bo przecież jest to równocześnie gest

człowieka kryjącego łzy) widząc, że wszystko jest nadaremne, że prawdziwa kara teraz się zaczyna, a jest nią zapomnienie Edenu, a więc owczy konformizm, tania, brudna radość z pracy, spocone czoło i płatny urlop.

133

Naturalnie, że - jak to zresztą Traveler natychmiast pomyślał - chodziło o rezultaty. Niemniej czemuż aż taki pragmatyzm? Był niesprawiedliwy względem Ceferina, jeżeli wziąć pod uwagę, że jego geopolityczny system nie został wypróbowany, w przeciwieństwie do wielu innych, również bezsensownych (i - trzeba to przyznać - tylko dlatego obiecujących). Niczym nie wzruszony, Cefe utrzymywał się na planie teoretycznym i niemalże od razu podawał nowy, niezbity dowód:

> Zarobki robotnicze na świecie.
>
> Zgodnie z Ligą Narodów należy albo też będzie należało wprowadzić, że jeżeli robotnik francuski, przypuśćmy metalowiec, dostaje płacę obliczoną według stawki podstawowej od 8 do 10 dolarów dziennie, to metalowiec włoski musi zarabiać tyle samo, czyli od 8 do 10 dolarów dziennie. Więcej: jeżeli metalowiec włoski zarabia tyle samo, czyli od 8 do 10 dolarów dziennie, to metalowiec hiszpański musi zarabiać tyle samo, czyli od 8 do 10 dolarów dziennie. Więcej: jeżeli metalowiec hiszpański zarabia tyle samo, czyli od 8 do 10 dolarów dziennie, to metalowiec rosyjski musi zarabiać tyle samo, czyli od 8 do 10 dolarów dziennie, więcej: jeżeli metalowiec rosyjski zarabia tyle samo, czyli od 8 do 10 dolarów dziennie, to metalowiec amerykański musi zarabiać tyle samo, czyli od 8 do 10 dolarów dziennie etc.

Czym się tłumaczy - zastanawiał się Traveler - owo „etc.”? Dlaczego w jakimś momencie Ceferino zatrzymuje się i decyduje na owo tak przykre dla niego „Et cetera”? Nie dlatego, że go znużyło powtarzanie, bo ono właśnie najoczywiściej go zachwyca, ani nie dlatego, że chce uniknąć monotonii, bo ona także... (już mu się zaczynał udzielać styl!). Niewątpliwie to „etc.” zostawia w Ceferinie jakiś niedosyt, zmuszając jego, autentycznego kosmologa, do irytującego *reader's digest.* Biedny, odgrywał się, dorzucając poniżej swoją listę metalowców:

> (Oczywiście można by to ciągnąć bez końca, albowiem ta teza obejmuje lub też obejmie wszystkie następujące po sobie kraje lub też wszystkich metalowców wszystkich krajów).

„Właściwie - pomyślał Traveler nalewając sobie jeszcze jeden kieliszek canii i dolewając do niego wody sodowej - to dziwne, że Talita nie wraca. Warto by jej poszukać". Ale żal mu było rozstawać się ze światem Ceferina akurat w chwili, gdy ten ostatni zabierał się do wyliczania czterdziestu pięciu Narodowych Związków, które razem reprezentowały wzorowy kraj:

> 1) Narodowy Związek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (wszystkie urzędy i zespół pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych). (Administracja każdego z działów na absolutnie najwyższym poziomie etc.) 2) Narodowy Związek Ministerstwa Finansów (wszystkie urzędy i zespół pracowników Ministerstwa Finansów...). (Administracja w formie patronatu wszelkich dóbr, wszelkiej własności, należących do narodowych terenów etc.). 3)...

I na tę samą modłę wszystkie czterdzieści pięć Związków, wśród których wyróżniały się odmiennym regulaminem 5, 10, 11 i 12.

> 5) Narodowy Związek Ministerstwa Stanu Cywilnego (wszystkie urzędy i zespół pracowników Ministerstwa Stanu Cywilnego). (Wskazówki, Pokazy, Miłość Bliźniego dla innego, Kontrola, Rejestracja i [kartoteki], Zdrowie, Wychowanie Płciowe etc.). (Administracja, Kontrola i Rejestracja, które mają zastąpić sędziów, Sądy, Sądy dla nieletnich, Opiekę nad małoletnimi, Urzędy Stanu Cywilnego: akta urodzenia, akta zejścia etc.).
>
> (Administracja, która winna zajmować się wszelkimi sprawami związanymi ze Stanem Cywilnym: Małżeństwo, Ojciec, Syn, Sąsiad, Miejsce zamieszkania. Osobnik o dobrych lub złych obyczajach, Osobnik wyzuty z wszelkiej moralności, Osobnik chory na wstydliwe choroby, Ognisko rodzinne [rodzina etc.]. Osoby niepożądane, Głowa rodziny, Dziecko, Nieletni, Narzeczony, Konkubinat etc.).
>
> 10. Narodowy Związek Własności Ziemskich (wszystkie urządzenia wiejskie związane z Wielką Hodowlą i zespół pracowników wyżej wymienio-

nych urządzeń). (Wielka Hodowla, czyli hodowla zwierząt korpulentnych: byków, koni, strusiów, sło1 ni, wielbłądów, żyraf, wielorybów etc.).

11. Narodowy Związek Dóbr Ziemskich (wszystkie gospodarstwa rolne, wielkie majątki i zespół pracowników wyżej wymienionych urzędów). (Uprawa wszelkich roślin z wyjątkiem jarzyn i drzew owocowych).

12. Narodowy Związek Hodowlany (wszystkie zakłady hodowli małych i zespół pracowników wyżej wymienionych zakładów). (Mała hodowla, czyli hodowla zwierząt niekorpulentnych: prosiąt, owiec, kóz, psów, tygrysów, lwów, kotów, zajęcy, kur, kaczek, pszczół, ryb, motyli, szczurów, insektów, mikrobów etc.).

Rozczulony Traveler nie zwracał uwagi na późną godzinę ani na wciąż opadający poziom canii w butelce. Zagadnienia ogarniały go jak pieszczoty: Dlaczego wyłączać jarzyny i drzewa owocowe? Dlaczego słowo „pszczół" miało w sobie coś diabolicznego? A ten niemalże rajski obraz dóbr ziemskich, gdzie koźlęta hodowano pośród tygrysów, szczurów, motyli, lwów i mikrobów...

Nie mogąc opanować śmiechu, wyszedł na korytarz. Niemalże dotykalny obraz gospodarstwa, w którym wyżej wymienieni pracownicy robili, co w ich mocy, aby wyhodować wieloryba, nakładał się na surowy widok pogrążonego w ciemnościach korytarza. Było to złudzenie godne tego miejsca i tej pory, i wydawało się wprost drobiazgowością zastanawianie się nad tym, co też o tej porze w aptece czy też na patio mogła robić Talita, podczas gdy klasyfikacja Związków błyszczała jak lampa przewodnia.

25. Narodowy Związek Szpitali i Instytucji Pokrewnych (szpitale wszelkiego rodzaju, warsztaty reperacyjne i zachowawcze, garbarnie, kliniki weterynaryjne dla koni, kliniki dentystyczne, salony fryzjerskie, przedsiębiorstwa strzyżenia drzew, biura rozwiązujące zawiłe zagadnienia prawne etc. oraz zespół pracowników wyżej wymienionych instytucji).

- Otóż to - powiedział Traveler. - Wyłom dowodzący znakomitego stanu umysłowego Ceferina. Horacio ma rację, nie ma sensu trzymać się gotowych wzorów. Otóż Cefe jest zdania, że dentysta, ponieważ coś naprawia, należy do tej samej kategorii, co ci, którzy rozwiązują skomplikowane zagadnienia prawne. Przypadki mają takie znaczenie jak sprawy zasadnicze. Ależ to czysta poezja, kochany... Cefe łamie twardą skorupę przyzwyczajeń, jak

to mówił, nie wiem już kto, i pozwala sobie spojrzeć na świat z innego punktu widzenia. Niewątpliwie to właśnie nazywa się brakiem piątej klepki.

Kiedy nadeszła Talita, był właśnie przy dwudziestym ósmym Związku.

> 28. Narodowy Związek Naukowych Detektywów Błędnych oraz ich Domów Pracy Naukowej (wszystkie lokale policji tajnej albo (i) policji śledczej, wszystkie lokale badaczy [podróżników] i wszystkie lokale wymienionych wzmiankowanych zakładów). (Wszyscy wyżej wymienieni pracownicy muszą należeć do kategorii zwanej „Błędni").

Talita i Traveler mniej lubili ten ustęp, nasuwał on podejrzenie, jakoby Ceferino zbyt łatwo poddał się manii prześladowczej. Może jednak błędni detektywi naukowi nie byli prawdziwymi policjantami, określenie „błędni" dawało im jakiś rys donkiszoterii, którego podkreślenie Cefe pominął jako zbyt oczywiste.

> 29. Narodowy Związek Naukowych Detektywów w sprawach dotyczących Podań oraz ich Domów Pracy Naukowej (wszystkie lokale policji tajnej albo (i) policji śledczej, wszystkie lokale badaczy i zespół pracowników wyżej wymienionych wzmiankowanych zakładów). (Wszyscy wyżej wymienieni pracownicy muszą należeć do kategorii zwanej „Podanie", a lokale i urzędnicy tej kategorii muszą być oddzieleni od innych kategorii, na przykład od wyżej wzmiankowanych „Błędnych").
>
> 30. Narodowy Związek Naukowych Detektywów w sprawach dotyczących ostatecznego graniczenia oraz ich Domów Pracy Naukowej (wszystkie lokale policji tajnej albo (i) policji śledczej, wszystkie lokale badaczy i ogólnie wszystkich pracowników wyżej wymienionych tych samych zakładów). (Wszyscy wyżej wymienieni pracownicy po-winni należeć do kategorii zwanej „Graniczenie", a lokale i pracownicy tej kategorii powinni być oddzieleni od innych kategorii, na przykład od wyżej wymienionych „Błędnych" i „Podań").

- Zupełnie jakby mówił o zakonie rycerskim - zauważyła Talita z przekonaniem. - Dziwne tylko, że w tych Związkach Detektywów jedyne, o czym się mówi, to lokale.

- Z jednej strony to, a z drugiej, co może znaczyć „Ostateczne Graniczenie"?

- Bo ja wiem, coś ostatecznego, finalnego, to nieważne.

- To nieważne - powtórzył Traveler. - Masz rację. Jakie to piękne, że istnieje świat, gdzie są błędni detektywi, detektywi od petycji i od graniczenia. Dlatego wydaje mi się naturalne, że po interludium, które jest właściwie ustępstwem na rzecz naukowego ducha (jakoś przecież trzeba to nazwać) naszych czasów, Cefe od razu przechodzi od rycerskich zakonów w ogólności. Posłuchaj:

> 31. Narodowy Związek Rzeczoznawców z Odpowiednich Dziedzin i ich Domów Pracy Naukowej (wszelkie domy i lokale wspólnoty znawców w odpowiednich sprawach i wszyscy wyżej wymienieni wzmiankowani rzeczoznawcy). Rzeczoznawcy z odpowiednich dziedzin: lekarze, homeopaci, znachorzy (wszelcy chirurdzy), akuszerki, technicy, mechanicy (wszelcy technicy), inżynierowie drugiej klasy lub lub architekci wszelkich odpowiadających im typów (wszelcy wykonawcy planów już uprzednio narysowanych, tak jak inżynierowie drugiej klasy), ogólni klasyfikatorzy, astronomowie, spirytyści, kompletni doktorzy w każdym zakresie prawa oraz praw (wszyscy biegli), klasyfikatorzy według rodzajów, buchalterzy, tłumacze, nauczyciele szkół powszechnych (wszelcy kompozytorzy), wszelcy taj-niacy - płci męskiej - śledzący morderców, zwiadowcy lub przewodnicy, szczepiący drzewa, fryzjerzy et cetera.

- Co ty na to? - Traveler wypił duszkiem kieliszek canii. - Przecież on jest absolutnie genialny!

- Ten kraj byłby rajem dla fryzjerów - powiedziała Talita waląc się na łóżko i zamykając oczy. - Ci dopiero by awansowali! Chociaż nie rozumiem, dlaczego tajniacy śledzący morderców muszą być płci męskiej?

- Nigdy nikt nie słyszał o tajniaczkach - odparł Traveler - i najwidoczniej jego zdaniem to zajęcie nie pasuje do kobiet. Już chyba zdążyłaś się zorientować, że Cefe jest purytaninem na tematy seksualne; to się rzuca w oczy od początku do końca.

- Gorąco mi. Za gorąco mi - powiedziała Talita. - Widziałeś, z jakim zapałem mówi o klasyfikatorach, nawet dwa razy ich wymienia. No, to znajdź mi ten mistyczny skok, o którym mówiłeś.

- Przejrzyj - powiedział Traveler.

32. Narodowy Związek Zakonników Modlitwy Uświęcającej oraz ich Domów Pracy Naukowej (wszystkie domy wspólnoty zakonników i wszyscy zakonnicy). (Zakonnicy lub ludzie uświęcający, którzy niezależnie od wyznań powinni należeć tylko i wyłącznie do świata słowa, zaklęć uzdrawiających i egzorcyzmów). (Zakonnicy powinni zwalczać wszelkie zło duchowe, wszelkie złe losy nabyte lub też tkwiące w dobrach, ciałach etc.). (Zakonnicy pokutujący i pustelnicy, którzy powinni modlić się i błogosławić już to ludzi, już to przedmioty, już to miejscowe okolice, już to zasiewy roślin czy też zaręczyny obarczone klątwą rywala, et cetera).

33. Narodowy Związek błogosławionych pilnowaczy zbiorów oraz domów, w których są zbiory (wszystkie domy, w których są zbiory i *idem,* domy-depozyty, składnice, archiwa, muzea, cmentarze, więzienia, przytułki, instytuty ociemniałych etc. oraz w ogóle wszyscy pracownicy wyżej wymienionych zakładów).

(Zbiory: przykład: archiwum przechowuje zbiory akt. Cmentarz przechowuje zbiory trupów. Więzienie przechowuje zbiory więźniów etc.).

- Nawet Espronceda nie wymyśliłby tego z cmentarzami! - zamyślił się Traveler. - Trudno zaprzeczyć analogii między Chacarita a archiwum... Ceferino posiada sztukę kojarzenia - to chyba w gruncie rzeczy jest prawdziwą inteligencją, nie myślisz? Po takich wstępach jego ostateczna klasyfikacja nie jest wcale zaskakująca, wręcz przeciwnie. Należałoby spróbować stworzyć taki świat.

Talita nie odpowiedziała, ale uniosła górną wargę, która opadła niby feston, i westchnęła westchnieniem pochodzącym z tak zwanego pierwszego snu. Traveler łyknął sobie jeszcze jedną canię, zanim przystąpił do końcowych i ostatecznych Związków:

40. Narodowy Związek Agentów zajmujących się rodzajami koloru kolorowanego na czerwono i Domów Czynnej Współpracy z rodzajami koloru kolorowanego na czerwono (wszystkie Domy Współpracy agentów pracujących w rodzaju koloru kolorowanego na czerwono i Wielkie Biura tychże agentów, jak również i wszyscy ci sami wzmiankowani agenci). (Przykłady koloru kolorowanego na czerwono: rośliny o kwiatach koloru kolorowanego na czerwono i minerały o wyglądzie koloru kolorowanego na czerwono).

41. Narodowy Związek Agentów zajmujących się rodzajami koloru kolorowanego na czarno i Domów Czynnej Współpracy z rodzajami koloru kolorowanego na czarno (wszystkie Domy Współpracy agentów pracujących w rodzajach koloru kolorowanego na czarno, Wielkie Biura tychże agentów, jak również i wszyscy ci sami wzmiankowani agenci). (Rodzaje koloru kolorowanego na czarno albo po prostu czarnego: zwierzęta o czarnej sierści, rośliny o czarnych kwiatach i minerały o czarnym wyglądzie).

42. Narodowy Związek Agentów zajmujących się rodzajami koloru kolorowanego na brązowo i Domów Czynnej Współpracy z rodzajami koloru kolo rowanego na brązowo (wszystkie Domy Współpracy agentów pracujących w rodzajach koloru kolorowanego na brązowo i Wielkie Biura tychże agentów, jak również i wszyscy ci sami wzmiankowani agenci). Rodzaje koloru kolorowanego na brązowo albo po prostu brązowego: zwierzęta o brązowej sierści, rośliny o brązowych kwiatach i minerały o brązowym wyglądzie).

43. Narodowy Związek Agentów zajmujących się rodzajami koloru kolorowanego na żółto i Domów Czynnej Współpracy z rodzajami koloru kolorowanego na żółto (wszystkie Domy Współpracy agentów pracujących w rodzajach koloru kolorowanego na żółto i Wielkie Biura tychże agentów, jak również l wszyscy ci sami wzmiankowani agenci). (Rodzaje koloru kolorowanego na żółto albo po prostu koloru żółtego: zwierzęta o żółtej sierści, rośliny o żółtych kwiatach i minerały o żółtym wyglądzie).

44. Narodowy Związek Agentów zajmujących się rodzajem koloru kolorowanego na biało i Domów Czynnej Współpracy z rodzajami koloru kolorowanego na biało (wszystkie Domy Współpracy agentów pracujących w rodzajach koloru kolorowanego na biało i Wielkie Biura tychże agentów, jak również i wszyscy ci sami wzmiankowani agenci). (Rodzaje koloru kolorowanego na biało albo po prostu koloru białego: zwierzęta o białej sierści, rośliny o białych kwiatach i minerały o białym wyglądzie).

45. Narodowy Związek Agentów zajmujących się rodzajami koloru kolorowanego na kolor Pampy i Domów Czynnej Współpracy z rodzajami koloru kolorowanego na kolor Pampy (wszystkie Domy Współpracy agentów pracujących w rodzajach koloru kolorowanego na kolor Pampy i Wielkie Biura tychże agentów,]ak również i wszyscy ci sami wzmiankowani agenci).

(Rodzaje koloru kolorowanego na kolor Pampy albo po prostu koloru Pampy; zwierzęta o sierści koloru Pampy, rośliny o kwiatach koloru Pampy i minerały o wyglądzie koloru Pampy).

Przebić twardą skorupę umysłową... Jak widział Ceferino to, o czym pisał? Jakaż olśniewająca (lub nie) rzeczywistość ukazywała mu sceny, gdzie polarne niedźwiedzie poruszały się między białymi, zdobnymi w jaśminy marmurami? Albo te kruki gnieżdżące się we wgłębieniach węglowych skał, z czarnym tulipanem w dziobie? I dlaczego „kolorowane na czarno", „kolorowane na biało"? Czyż to nie miało być po prostu koloru czarnego? Ale w takim razie dlaczego „kolorowanego na czarno lub po prostu czarnego"? Jakież to były kolory, których nie udało się określić poprzez żadne marihuany Michaux ani też Huxleya? Notatki Ceferina służące najwyżej do tego, by jeszcze bardziej się zgubić (o ile by to do czegoś służyło), nie wiodły daleko. W każdym razie:

Na temat wyżej wzmiankowanego koloru Pampy: Kolorem Pampy jest każdy kolor mieniący się albo składający się z jednego lub więcej odcieni.

Po czym nieodzowne objaśnienie:

Na temat wyżej wzmiankowanych wymienionych agentów zajmujących się gatunkami. Ci agenci muszą być Gubernatorami, których zadaniem będzie czuwanie nad tym, aby żaden z tych gatunków nie zagasł w świecie i aby te gatunki nie krzyżowały się pomiędzy sobą, jak również ani jedna klasa z drugą, ani jeden rodzaj z drugim, ani jedna rasa z drugą, ani kolor jednego gatunku z kolorem innego gatunku etc.

Ależ purysta, ależ rasista z tego Ceferino Piriz! Kosmos czystych kolorów na wzór Mondriana do którejś tam potęgi! Jakże niebezpieczny jako potencjalny kandydat na posła, a może nawet na prezydenta. Urugwaju, miej się na baczności! Więc jeszcze jeden kieliszek przed pójściem spać, podczas gdy pijany kolorami Cefe roztacza ostatni poemat, w którym niby na olbrzymim obrazie Ensora wszystko z dziedziny masek i antymasek, co posiada jakąkolwiek siłę eksplodującą - eksploduje.

Niespodziewanie w system Ceferina wkracza militaryzm i warto zobaczyć pół makaroniczny, pół trymegistyczny sposób, w jaki zostaje potraktowany przez urugwajskiego filozofa. Mianowicie:

> W zapowiedzianym dziele pt. *Światło Pokoju na Świecie* znajduje się dokładne wytłumaczenie, co to jest militaryzm. Tymczasem jednak w krótkiej wzmiance podamy niektóre wersje na ten temat:
>
> Gwardia (typu „metropolinarnego") dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Barana. Syndykaty zasadniczego antyrządu dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Byka. Zarząd i Komitety Uroczystości i Zebrań (bale, wieczorki, przyjęcia z powodu zaręczyn, spotkania zapoznawcze ewentualnych narzeczonych etc.) dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Bliźniąt. Lotnictwo (wojskowe) dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Raka (prasa wojskowa i magia polityczna na rzecz narodowego zasadniczego Rządu) dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Lwa. Artyleria (wszelka ciężka broń i bomby) dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Panny. Patronat i praktyczne organizowania świąt publicznych albo patriotycznych (dobór kostiumów odpowiednich dla wojskowych na rewie wojskowe albo korsa, albo maskarady, albo święta winobrania etc.) dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Skorpiona. Kawaleria (konna albo zmotoryzowana z udziałem albo dragonów, albo lansjerów, albo huzarów: typowy przykład: „Gwardia Republikańska" składająca się z oszczepników etc.) dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Koziorożca. I praktyczna służba wojskowa (kurierzy, sztafety, strażacy, zwykli posłańcy, służba pomocnicza etc.) dla wojskowych urodzonych pod znakiem zodiaku Wodnika.

Tarmosząc Talitę, która obudziła się oburzona, Traveler zaczął czytać jej część militarną i oboje musieli wpakować głowy pod poduszkę, żeby nie rozbudzić całej kliniki. Przedtem jednak zgodnie uznali, że większość argentyńskich wojskowych urodziła się pod znakiem zodiaku Byka. Traveler urodzony pod znakiem zodiaku Skorpiona był tak pijany, że wyraził gotowość natychmiastowego posłużenia się swoim stopniem podporucznika rezerwy, aby móc używać kostiumów zarezerwowanych dla wojskowych spod tego znaku.

- Zorganizujemy wspaniałe uroczystości winobrania - mówił wystawiając głowę spod poduszki i natychmiast pakując ją tam z powrotem. - Ty przyjdziesz ze wszystkimi twoimi współplemienniczkami rasy Pampa, bo przecież nie ma najmniejszych wątpliwości, że jesteś Pampa albo też jakieś skrzyżowanie z Pampą.

- Ja jestem biała - oznajmiła Talita. - I wielka szkoda, że nie urodziłeś się pod znakiem zodiaku Koziorożca, bo straszliwie bym chciała, żebyś był oszczepnikiem. Albo już chociażby kurierem albo posłańcem.

- Kurierzy są Wodnikami, córeczko. A Horacio to Rak, prawda?

- Jeżeli nie jest, to w każdym razie powinien być - powiedziała zamykając oczy Talita.

- Nie należy mu się nic więcej prócz lotnictwa. Wystarczy pomyśleć, że pilotuje któryś z tych cholernych Bang--Bangów, żeby natychmiast wyobrazić sobie, jak zwala się na kawiarnię „Águila" w porze podwieczorku. Zdarzenie wręcz nieuniknione.

Talita zgasiła światło i przysunęła się trochę do Travelera, który pocił się i kręcił otoczony przez wszystkie znaki zodiaku, Narodowe Związki Agentów i minerały o żółtym wyglądzie.

- Horacio widział w nocy Magę - powiedziała jakby przez sen. - Widział ją na patio dwie godziny temu, podczas twojego dyżuru.

- Hm - powiedział Traveler przewracając się na plecy i szukając papierosów systemem Braille'a. - Należałoby umieścić go wśród błogosławionych pilnowaczy zbiorów.

- Ja byłam Magą - powiedziała Talita przytulając się do niego. - Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę.

- Raczej tak.

- Musiało się na tym skończyć. Ale co mnie zdumiewa, to fakt, że to go tak zaskoczyło.

- Och, wiesz, Horacio narozrabia ile wlezie, a potem tak na to patrzy jak szczeniak, który zrobił na podłogę kupę i wpatruje się w nią z niedowierzaniem.

- Mam wrażenie, że to się zaczęło tego dnia, którego poszliśmy po niego do portu - powiedziała Talita. - Trudno to wytłumaczyć, przecież nawet na mnie nie spojrzał, a potem wygoniliście mnie jak psa, z kotem w objęciach.

- Hodowla niekorpulentnych zwierząt - powiedział Traveler.

- Pomylił mnie z Magą... - raz jeszcze powtórzyła Talita. - A wszystko, co się stało potem, musiało nastąpić jedno po drugim, tak jakby to wymieniał Ceferino.

- Maga - powiedział Traveler, tak mocno zaciągając się papierosem, że cała twarz zajaśniała mu w ciemnościach - też jest Urugwajką. Sama widzisz, że jakoś się to wszystko wiąże.

- Pozwól mi mówić, Manu.

- Lepiej nie. Potem będziesz mówiła...

- Najpierw przyszedł stary z gołąbkiem, a wtedy zjechaliśmy do podziemia. Horacio cały czas majaczył o zejściu, w jakichś pustych miejscach, które go przyciągają. Był w rozpaczy, Manu, to było przerażające, bo właściwie wydawał się zupełnie spokojny, a tymczasem... Zjechaliśmy windą i on poszedł zamknąć lodownię... Okropne było to wszystko.

- Więc zeszłaś z nim - powiedział Traveler. - No, no, no.

- To nie to - odparła. - To nie było zwyczajne schodzenie. Rozmawialiśmy, ale ja czułam, że on jest gdzie indziej, jakby mówił do kogoś innego, na przykład do topielicy. Dopiero teraz mi to przychodzi do głowy, wtedy jeszcze mi nie powiedział, że Maga utonęła.

- Ani jej się śniło tonąć - powiedział Traveler. - Jestem tego absolutnie pewny, chociaż nic a nic o tym nie wiem. Wystarczy znać Horacia.

- Ale on jest przekonany, że ona nie żyje, Manu, a równocześnie czuje ją obok siebie, dzisiaj wieczorem ja byłam nią. Powiedział mi, że widział ją już na statku i pod mostem na Avenida San Martín... Ale nie mówi o tym jak o halucynacji, ani nie żąda, żeby mu wierzyć. Kiedy zamknął lodownię, a ja się zlękłam i coś powiedziałam, spojrzał na mnie, ale czułam, że to na nią spojrzał. Ja nie jestem niczyim upiorem, Manu, nie chcę być niczyim zo*mbie.*

Traveler przesunął ręką po jej włosach, ale odepchnęła go z irytacją. Usiadła na łóżku i poczuł, że drży. Na taki upał. Powiedziała mu, że Horacio pocałował ją, i usiłowała wytłumaczyć mu ten pocałunek, a ponieważ nie znajdowała słów, dotykała go w ciemnościach, ręce jej jak szmaty kładły się na jego twarzy, na ramionach, ześlizgiwały po piersiach, opierały o kolana i z tego wszystkiego rodziło się coś jakby wytłumaczenie, którego Traveler nie był w stanie odrzucić, zaraza przychodząca skądinąd, skądś głęboko czy też skądś wysoko, z miejsca, które nie było ani tą nocą ani tym pokojem, poprzez Talitę ta zaraza, ten bełkot niby nieprzetłumaczalne zwiastowanie opanowywał i jego, podejrzewał, że znalazł się w obliczu czegoś, co mogło być zwiastowaniem, choć głos, który je przynosił, był pęknięty i zwiastował w niezrozumiałym języku, niemniej tylko to właśnie potrzebne było i pożądane, to będące w zasięgu ręki, żądające poznania i przyjęcia, rozbijające się o gąbczastą ścianę, o ścianę z dymu i z korka, nieuchwytne i oddalające się nagle, gdy się je trzymało w objęciach, ale jakby z wody, jakby uchodzące ze łzami.

„Twarda umysłowa skorupa” - zdołał pomyśleć Traveler. Coś słyszał, że Horacio, że strach, że winda, że gołąb; zrozumienie powoli wtłaczało się w niego przez uszy, więc ten nieszczęśnik wyobrażał sobie, że on go zabije. Można się uśmiać.

- Rzeczywiście powiedział ci to? Nie do uwierzenia przy jego dumie.

- Bo to jest inaczej - Talita zabrała mu papierosa i zaciągnęła się z chciwością godną niemych filmów. - Mam wrażenie, że jego strach jest czymś w rodzaju ostatniego schronienia, żelazną sztabą, której się trzyma przed skokiem w próżnię. Żebyś widział, jaki był szczęśliwy, że bał się dziś w nocy. Ja wiem, że był szczęśliwy.

- Tego - powiedział Traveler oddychając jak prawdziwy joga - Kuka nie zrozumiałaby, możesz być pewna. A i ja muszę chyba być dzisiaj wyjątkowo inteligentny; bo szczęśliwego strachu nie przełknąłbym inaczej, staruszko.

Talita posunęła się trochę w łóżku i oparła o Travelera. Widziała, że znowu jest po jego stronie, że nie utonęła, że on unosi ją na powierzchni wody i że w gruncie rzeczy to szkoda, przecudowna szkoda. Oboje poczuli to w tej samej sekundzie i przytulili się do siebie, jakby chcieli wtopić się jedno w drugie, w jakiś wspólny teren, gdzie słowa, pieszczoty, usta owijały ich niby obwód koła, te kojące metafory, ten stary smutek, zadowolony z tego, że wrócił na miejsce, że nadal trwa, że utrzymuje się na fali przeciw prądom i wiatrom, przeciw wołaniu i upadkowi.

OGRÓD KWIATOWY

Należy wiedzieć, że sztywne, zaplanowane ogrody w stylu „francuskich parków", składających się z żywopłotów, klombów i kwietników ułożonych z geometryczną dokładnością, wymagają wielkiej umiejętności i starania.

Natomiast przy ogrodzie „angielskim" brak ogrodniczych kwalifikacji znacznie mniej daje się we znaki. Grupy krzewów, prostokąt trawnika i jedna rabata różnorodnych kwiatów, odcinających się od leżącego w głębi muru lub parkanu, są zasadniczym elementem całości, zarówno praktycznej, jak i dekoracyjnej.

Jeżeli niektóre z zaplanowanych roślin nie dadzą pożądanego efektu, łatwo można je zastąpić sadząc inne, przy czym harmonia całości nie poniesie najmniejszego uszczerbku, bowiem porozrzucane pstre plamy o różnych powierzchniach i wysokościach zawsze będą tworzyły układy przyjemne dla oka.

Ten sposób rozplanowania ogrodu, nader rozpowszechniony w Anglii i Stanach Zjednoczonych, znany jest pod nazwą *mixed-border*. Kwiaty w ten sposób porozmieszczane plączą się ze sobą, łączą i pienią w sposób nadający twemu ogrodowi polno-łąkowy, naturalny wygląd, podczas gdy kwietniki specjalnie sadzone w kwadraty i owale wyglądają sztucznie i wymagają absolutnej perfekcji.

Tak więc zarówno z powodów praktycznych, jak i estetycznych poleca się ogrodnikowi-amatorowi urządzanie ogrodu systemem *mixed-border*.

„Almanach Hachette"

(25)

- Są naprawdę znakomite - powiedziała Gekrepten. - Jak smażyłam, to dwa skosztowałam. Lekkie jak pianka, możesz mi wierzyć.

- Naparz jeszcze mate - powiedział Oliveira.

- Już, kochanie. Tylko poczekaj, najpierw ci zmienię ten zimny kompres.

- Dziękuję. Wiesz, że to zabawne zajadać racuszki z zawiązanymi oczami. Wyobrażam sobie, że tak się trenuje kosmonautów.

- Tych, co to fruwają na księżyc w takich dziwacznych aparatach? Tych, co to ich zamykają do takich owalnych kapsułek?

- Aha! I tam im podają mate z racuszkami.

(63)

136

Mania cytat u Morellego:

„Trudno by mi było wytłumaczyć wydanie we wspólnej książce wierszy i negacji poezji jako takiej, pamiętników umarłego i notatek mojego przyjaciela prałata..."

Georges Bataille, *Haine de la poésie*

(12)

Jeżeli objętość lub ton dzieła mogą nastręczać myśl, że autor chciał dać z siebie sumę, należy co prędzej zwrócić mu uwagę, że znajduje się w obliczu czegoś wręcz przeciwnego: nieubłaganej różnicy.

(17)

I Madze, i mnie zdarza się czasem profanować własne wspomnienia. Potrzeba do tego niewiele, trochę złego humoru, trochę lęku przed spojrzeniem sobie w oczy. Powoli, w dialogu rwącym się jak kawałki starej szmaty, zaczynamy wspominać. Dwa światy odległe, obce, nie mające ze sobą nic wspólnego, wcielają się w nasze słowa i jakby za wspólną umową rodzi się kpina. Przeważnie ja zaczynam, przypominając sobie z pogardą mój dawny ślepy kult przyjaciół, źle zrozumiane i jeszcze gorzej odpłacane zrywy lojalności, te sztandary, którymi z uporem powiewałem w czasie politycznych mityngów, literackich zebrań, namiętnych miłości. Naśmiewam się z owej podejrzanej uczciwości, która, gdy najczęściej obracała się w moje lub cudze nieszczęście, podczas gdy pod spodem zdrady i podłości, przeciw którym nie mogłem nic, tkały swe pajęcze sieci, a ja patrzyłem tylko jak inni, nie krępując się mną, popełniali fałszerstwa, podwójnie winny, bo temu nie przeciwdziałam. Wyśmiewam się z moich wujów, tak zwanych modeli przyzwoitości, siedzących w gównie po szyję, na której wciąż błyszczy śnieżnobiały sztywny kołnierzyk. Szlag by ich trafił, gdyby wiedzieli, że pływają w gnoju, przekonani, jeden na ulicy Tucumán, a drugi na Avenidzie Nueve de Julio, że są modelami przyzwoitości (oto ich własne wyrażenie). Mimo to dobrze ich wspominam. Niemniej depczę te wspomnienia w dni, kiedy oboje z Magą mamy po dziurki w nosie Paryża i chcemy wzajemnie się niszczyć.

Kiedy Maga przestaje się śmiać, żeby zapytać, dlaczego opowiadam takie rzeczy o moich wujach, żałuję, że ich tu nie ma, że nie podsłuchują pod drzwiami, jak stary z piątego piętra. Starannie przygotowuję wyjaśnienie moich motywów, bo nie chcę być ani niesprawiedliwy, ani przesadny. Chcę także, żeby to wszystko zdało się na coś Madze, która nigdy nie pojmowała problemów (podobnie jak Etienne, chociaż w mniej egoistyczny sposób; po prostu dlatego, że wierzy tylko w odpowiedzialność bieżącej chwili, w moment, w którym należy być dobrym czy też szlachetnym. W gruncie rzeczy jej racje są równie egoistyczne i hedonistyczne jak Etienne'a).

Wobec czego wyjaśniam jej, że dwaj szanowni wujkowie są najlepszymi Argentyńczykami wedle kryteriów obowiązujących w 1915 r., roku, który był szczytem ich pół biurokratycznego, a pół ziemiańskiego życia. Kiedy się mówi o owych „dawnych Argentyńczykach", mówi się o antysemitach, ksenofobach, burżujach żyjących tęsknotą do majątków, w których za dziesięć pesos miesięcznie indiańskie dziewczyny bez przerwy podawały im mate, o ludziach pełnych najczystszych biało-niebieskich uczuć patriotycznych,

szacunku dla wszystkiego, co pachnie armią i wyprawami na pustynię, posiadających tuziny wykrochmalo-nych koszul, nawet jeżeli dochody ich nie wystarczały na opłacenie tego, którego pogardliwie nazywają „pachciarzem", na którego krzyczą, któremu grożą, a w najlepszym razie wymyślają. Kiedy Maga zaczyna wczuwać się w tę wizję (dla niej osobiście zupełnie niezrozumiałą), pospiesznie staram się udowodnić jej, że w ramach takiej rzeczywistości moi dwaj wujowie i ich rodziny są wzorem cnót. Najlepsi ojcowie i synowie, członkowie wszelkich kółek rolniczych i innych, czytelnicy najpoważniejszych gazet, znakomici urzędnicy, lubiani zarówno przez swoje władze, jak i kolegów, zawsze chętni do spędzania nocy przy chorym, do każdej usługi. Maga patrzy na mnie z niepokojem, niepewna, czy aby me kpię sobie z niej. Muszę więc podkreślać, zaznaczać, dlaczego tak kocham mych wujów i dlaczego czasem tylko, gdy)uź wszystkiego mam po uszy, zdarza mi się obmawiać ich i deptać te najlepsze wspomnienia, które mi po nich zostały. Wtedy ożywia się i zaczyna mi opowiadać o swej matce, którą kocha lub nienawidzi w zależności od momentu. Czasami jestem przerażony, gdy mi opowiada jakiś epizod z dzieciństwa, który innym razem opowiada mi ze śmiechem jako coś zabawnego, a który nagle staje się ponury, staje się kałużą pełną pijawek. W takich chwilach twarz jej ma w sobie coś lisiego, skrzydełka nosa wyostrzają się, blednie, mówi urywanie, wykręcając sobie ręce i dysząc, nagle jak z nadętego balonika wyłania się nalana twarz i nędznie ubrana postać matki, podmiejska ulica i matka, niby ciśnięty na pustkowie nocnik, nędza, w której matka staje się ręką przesuwającą po garnkach wytłuszczoną ścierką. Niestety, Maga nie może mówić długo, od razu wybucha płaczem, przytula do mnie twarz, podniecona i zdenerwowana, i trzeba zrobić herbaty, zapomnieć o wszystkim, iść na spacer albo do łóżka, kochać ją bez wujów i matki, i tak jest prawie zawsze, tak albo spać, ale prawie zawsze tak.

139

Nuty na fortepian (la, re, mi bemol, do, si bemol, mi sol), na skrzypce (la, mi, si bemol, mi), na trąbkę (la, si bemol, la, si bemol, mi, sol) są muzycznym odpowiednikiem nazwisk ArnolDa SCHoenberga, Anatola WEBErna i ALBAna BErGA (według tej nomenklatury, w której H oznacza si, B - si bemol, S (ES) - mi bemol).

Tego typu anagramy muzyczne nie są zresztą niczym nowym. Należy pamiętać, że Bach w podobny sposób używał swojego nazwiska, a sam proceder był wspólną własnością szesnastowiecznych mistrzów polifonicznych... Drugą wymowną analogią z przyszłym Koncertem Skrzypcowym jest ścisła symetria całości. W Koncercie Skrzypcowym cyfrą kluczową jest dwójka: dwa *mouvements séparés,* każde podzielone na dwie części, nie licząc podziału na skrzypce i orkiestrę w zespole instrumentów. Natomiast w *Kammerkonzert* cyfrą kluczową jest trójka: dedykacja symbolizuje Mistrza i jego dwóch uczniów; instrumenty zgrupowane są w trzech kategoriach: fortepian, skrzypce i kombinacja instrumentów dętych; architektura jego jest konstrukcją trzech wypływających z siebie *mouvements,* z których każde w większej lub mniejszej mierze wykazuje trzyczęściową kompozycję.

Z anonimowego komentarza na temat Kameralnego koncertu na skrzypce, fortepian i 13 instrumentów dętych Albana Berga (nagranie Pathé Vox P1 8660)

(133)

W oczekiwaniu czegoś bardziej podniecającego ćwiczenie się w profanowaniu i wyobcowywaniu się w aptece pomiędzy dwunastą a drugą w nocy, gdy wreszcie już Kuka zdecyduje się iść spać lub też wcześniej, po to, aby się zdecydowała: Kuka twardo się trzyma, ale wysiłek, aby z pełnym wyższości uśmiechem opierać się ustnym zniewagom potworów, straszliwie ją wyczerpuje. Za każdym razem wychodzi trochę wcześniej, potwory zaś uprzejmie się uśmiechając życzą jej dobrej nocy. Stosunkowo bardziej neutralna Talita nakleja etykietki albo przegląda *Index Pharmacorum.*

Ćwiczenia w rodzaju: Przetłumaczyć z manichejskim odwróceniem osławiony sonet:

Zdeflorowana, umarła i potworna przeszłość Czyż będzie mogła odrodzić nas ciemnym

uderzeniem swych skrzydeł?

Lektura jednej kartki z notatnika Travelera: Czekając na swą kolejkę u fryzjera, przeglądam jakieś publikacje UNESCO odkrywam następujące wyrazy: *Opintotoveri (Työläisopiskelija) Työvaenopisto.* Podobno są to tytuły finlandzkich podręczników pedagogiki - coś całkowicie nierealnego dla zytelnika. Czyż to rzeczywiście istnieje? Dla milionów blondynów *Opintotoveri* znaczy *Monitor Pedagogiczny.* Dla mnie... (Cholera). Za to oni nie wiedzą, co znaczy *cafisho* [116] (ku satysfakcji mieszkańców Buenos Aires). Coś jeszcze bardziej nierealnego! Podobno technicy przewidują, że skrócenie o parę godzin przelotu do Helsinek przy pomocy Boeinga 707... Wnioski, które samemu można wyciągnąć. „Żeby mnie pan tylko za krótko nie ostrzygł, Pedro".

Językowe formy alienacji; Talita zamyślona wobec takich stów, jak *Genshiryoku Kokunai Jijo,* które w żaden sposób nie kojarzą się dla niej z rozwojem sil atomowych Japonii. Powoli daje się przekonać metodą porównawczą, gdy mąż jej, złośliwy dostarczyciel materiałów zbieranych po salonach fryzjerskich, pokazuje jej wariant *Genshiryoku Kaigai Jijo* - jakoby oznaczający rozwój sił atomowych za granicą.

Entuzjazm Tality przekonanej na zasadzie analizy, że Kokunai to Japonia, zaś Kaigai to granica. Konsternacja Matsui'ego, właściciela pralni i farbiarni z ulicy Lascano, świadka popisu Tality-poliglotki, która wraca do domu jak niepyszna.

Profanacje: wyszedłszy z założenia w rodzaju „dostrzegalny homoseksualizm Chrystusa", koherentnie i systematycznie dowieść słuszności tego założenia. Podejrzewać, że

[116] *Cafisho* (hiszp.; kolokwializm) - alfons.

Beethoven oddawał się koprofagii. Bronić niezachwianej świętości Sir Rogera Casamenta, opierając się na jego *Black Diaries*. Osłupienie Kuki, wierzącej i praktykującej chrześcijanki.

W gruncie rzeczy idzie o to, ażeby wyalienować się, po prostu przez zaniedbywanie w pracy zawodowej. Jeszcze się śmieją zbyt dużo (to niemożliwe, żeby Attyla zbierał znaczki), ale owo *Arbeit macht frei* wyda swoje owoce, możesz mi wierzyć, Kuka. Na przykład zgwałcenie biskupa Fano jest typowym przypadkiem...

(138)

Po przeczytaniu zaledwie paru stron było widać, że Morellemu chodziło o co innego. Jego aluzje do głębokich warstw *Zeitgeist'u,* ustępy, w których logika ginęła wieszając się na własnych sznurowadłach, niezdolna odeprzeć niedorzeczności, które stały się prawem, ukazywały speleologiczne intencje dzieła. Morelli posuwał się naprzód i cofał, tak otwarcie gwałcąc prawa równowagi i zasady moralne przestrzeni, że bardzo łatwo można by wnioskować (jakkolwiek było inaczej, ale któż to wie dokładnie?), że wspomniane przez niego zdarzenia rozegrały się w czasie krótszym niż pięć minut, co pozwoliłoby połączyć bitwę pod Akcjum z *Anschlussem* Austrii (które to trzy A nie pozostały bez wpływu na wybór czy raczej przyjęcie tych właśnie historycznych momentów), albo że osoba naciskająca dzwonek w domu oznaczonym numerem tysiąc dwieście przy ulicy Cochabamba przekroczyła próg wiodący do atrium domu Menandra w Pompei.

Było w tym wszystkim dużo trywialności i dużo Buñuela, lecz członkowie klubu zdawali sobie sprawę, że ma to wyłącznie walor podniety, że jest parábola mierzącą gdzie indziej, ku czemuś głębszemu, dwuznaczniejszemu. Dzięki tego rodzaju sztuczkom, jakże podobnym do tych, które tak wsławiły Ewangelie, „Upaniszady" i inne teksty obciążone szamanicznymi trinitralulencjami, Morelli pozwalał sobie na luksus podrabiania tego typu literatury, którą w głębi duszy podkopywał, podminowywał i szarpał na strzępy. Nagle słowa, cały język, superstruktura stylu, semantyka, psychologia i sztuczność - wszystko to mknęło ku przeraźliwym harakiri. *Banzai!* Aż do nowego rozkazu i bez żadnych gwarancji: na końcu jednak zawsze istniała nić przychodząca z „poza" ku jakiemuś „może", ku jakiemuś „nie jest wykluczone", ku jakiemuś „kto wie", nić, która stawiała cały rzekomo definitywny aspekt dzieła pod znakiem zapytania. To właśnie doprowadzało do rozpaczy Perico Romeo, człowieka potrzebującego pewności, w drżenie rozkoszy wprawiało Oliveirę, podniecało wyobraźnię Etienne'a Wonga i Ronalda, a Magę zmuszało do tańców na bosaka z karczochem w każdej ręce.

W czasie dyskusji nabrzmiałych calvadosem i tytoniem, Etienne i Oliveira zastanawiali się, dlaczego Morelli nienawidził literatury oraz dlaczego znienawidził ją z jej własnego punktu widzenia, zamiast powtórzyć *Exeunt* Rimbauda lub wypróbować na swej lewej skroni skuteczność działania colta 0.32. Oliveira przychylał się do myśli, że Morelli podejrzewał demoniczną naturę wszelkiego pisarstwa rozrywkowego (jakaż zresztą literatura nie jest nim, służąc chociażby jako dodatek ułatwiający przełknięcie jakiejś gnozy, jakiejś

praxis lub jakiegoś etosu spośród tych wszystkich, które rzeczywiście istnieją, to tu, to tam, lub które można wymyślić?) Po zanalizowaniu najbardziej charakterystycznych ustępów nabrał wrażliwości na specyficzny ton pisarstwa Morellego. Pierwszą reakcją na ten ton było rozczarowanie, z płynącą jednakże pod powierzchnią świadomością, że nie odnosi się ono ani do okoliczności, ani do zdarzeń opowiadanych w książce, lecz jedynie do sposobu opowiadania ich, który - jakkolwiek Morelli bardzo starał się to ukryć - w końcowym efekcie przebijał przez treść opowiadanych zdarzeń. Eliminacja zasadniczych pseudokonfiiktów pomiędzy treścią a formą zaostrzała się tak, że stary pisarz krytykował na swój sposób cały materiał formalny. Nie wierząc w swoje narzędzia, za jednym zamachem zdyskwalifikował wszystko, co przy ich pomocy zostało zrobione. To, o czym mówiła książka, niczemu nie służyło, nie było niczym, bo było źle opowiedziane, bo - po prostu - było opowiedziane, było literaturą. Po raz już nie wiem który wracało się więc do niechęci autora w stosunku do własnego pisarstwa i do pisarstwa w ogólności. Oczywisty paradoks tkwił w tym, że gromadząc fikcyjne i najrozmaiciej naświetlone epizody Morelli usiłował znaleźć dla nich rozwiązanie, posługując się narzędziami pisarza, który jest panem swego warsztatu. Pozornie nie ofiarowywał żadnej teorii, nie stwarzał trudności intelektualnych, lecz wszystko, co napisał, udowadnia skuteczniej niż jakikolwiek traktat czy analiza, że świat jest do głębi przeżarty korozją, demaskuje jego fałsz; ten atak, spowodowany nadmiarem, nie zaś potrzebą destrukcji, cechuje diaboliczna ironia, która przebija przez brawurę niektórych ustępów, przez epizody starannie konstruowane w widocznym wysiłku pisarskiej doskonałości, której Morelli zawdzięcza swój sukces wśród czytelników zarówno powieści, jak i nowel. Niestety. Ten wspaniale zorkiestrowany świat dla ludzi o delikatnym podniebieniu rozpływał się w nicości. Ale w tym właśnie leżała tajemnica, bo równocześnie z całkowitym nihilizmem dzieła pojawiało się podświadome przeczucie, że nie to było intencją Morellego, że potężna autodestrukcja przebijająca przez każdy fragment książki była pogonią za prawdziwymi złożami szlachetnego metalu. I tu należało zatrzymać się, bo łatwo było pomylić drzwi i wpaść w pułapkę.

Najstraszliwsze dyskusje pomiędzy Etienne'em a Oliveirą wybuchały na tym etapie ich nadziei, bo obawiali się popełnić błąd, okazać się para kompletnych kretynów upierających się, że wieża Babel nie zostałaby zbudowana, gdyby nie było w tym jakiegoś ostatecznego celu. Moralność Zachodu w takich chwilach wydawała im się alfonsem podsuwającym po kolei wszystkie złudzenia trzydziestu wieków nieuchronnie odziedziczone, przyswojone, przeżute. Ciężko było przestać wierzyć, że kwiat może być piękny bez celu, ciężko przyjąć, że można tańczyć w ciemnościach. Aluzje Morellego na temat odwracalności

wszelkich znaków, na temat świata widzianego w innych i z innych wymiarów, jako konieczne przygotowanie do czystości spojrzenia (a wszystko to napisane przepięknie, zarazem jednak w taki sposób, że mogło wyglądać na kpinę, na grymas, na ironię przed lustrem), doprowadzało ich do rozpaczy dlatego właśnie, że kusiły czymś w rodzaju nadziei, w rodzaju usprawiedliwienia, równocześnie odmawiając im jakiejkolwiek pewności, utrzymując w rozdwojeniu nieznośnym ponad miarę wytrzymałości. Jedyną nadzieją, jaka im pozostała, była myśl, że sam Morelli także obraca się w tej dwuznaczności, orkiestrując dzieło, którego rzeczywiste prawykonanie nie może być niczym innym niż absolutną ciszą.

Tak oto posuwali się naprzód strona po stronie, wśród przekleństw i fascynacji; w końcu Maga zawsze zwijała się w kłębek na fotelu, zmęczona wątpliwościami, patrząc, jak poprzez cały ten dym, który gromadził się pomiędzy oczami, zamkniętym oknem i bezużytecznie gorejącą nocą, świt odbija się w powierzchniach dachów.

(60)

1. - Nie wiem, jaka właściwie była - powiedział Ronald. - Tego nigdy nie będziemy wiedzieli. Wiedzieliśmy tylko, kim była dla nas, jak działała na innych. Byliśmy trochę jej lustrem, tak jak ona naszym. To zresztą trudno wytłumaczyć.

2. - Była taka głupiutka - powiedział Etienne. - Błogosławieni ubodzy duchem, et cetera. Przysięgam ci, że nie żartuję, cytuję, z całą powagą. Wściekała mnie jej głupota; Horacio twierdził, że to był tylko brak wiadomości, ale się mylił. Jest oczywista różnica między głupcem a ignorantem, o czym wie każdy prócz głupca, na szczęście dla niego. Ona miała nadzieję, że ucząc się - och, to jej osławione kształcenie się - zdobędzie inteligencję. Dla niej wiedzieć znaczyło rozumieć. A sama tak dobrze rozumiała te wszystkie rzeczy, o których my nie mieliśmy pojęcia właśnie dlatego, że wiedzieliśmy.

3. - Nie popadaj w echolalię - powiedział Ronald. - W tę całą kupę antynomii, polaryzacji. Dla mnie jej głupota była ceną za to, że była taka roślinna, taka muszelkowata, taka bliska wszelkim tajemnicom wszechświata. Czekaj, mam: ona nie wierzyła nazwom, musiała dotknąć palcem po to, żeby coś uznać. To daleko nie prowadzi. To tak, jakby odwrócić się tyłem do całego Zachodu, do wszelkich Szkół. Trudno w takich warunkach mieszkać w mieście, zarabiać na życie. To ją gryzło.

4. - Tak, ale za to była zdolna do jakichś nieograniczonych szczęśliwości, nieraz byłem tego zazdrosnym świadkiem. Bo ja wiem... forma jakiegoś wazonu... Powiedz, czyż nie tego właśnie ja poszukuję w malarstwie? Zabijam się, żądam od siebie oszałamiającego tempa, po to, żeby w końcu wylądować na widelcu, na dwóch oliwkach. Żądam, żeby sól i środek świata były tu, na tym kawałku obrusa. Ona wchodziła i od razu to czuła. Któregoś wieczoru zastałem ją w pracowni przed obrazem, który skończyłem tego ranka. Płakała, tak jak to robiła zawsze, całą twarzą, ohydnie i zachwycająco. Patrzyła na mój obraz i płakała. Nie zdobyłem się na odwagę, żeby jej powiedzieć, że rano ja także płakałem. A przecież byłbym jej tym dał tyle spokoju, sam dobrze wiesz, jak wątpiła, jak bardzo czuła się nikim, robaczkiem otoczonym przez nasze błyskotliwe inteligencje.

5. - Płacze się z wielu powodów - powiedział Ronald. - To niczego nie dowodzi.

6. - Co najmniej porozumienia. Iluż innych pochwaliło to płótno za pomocą okrągłych zdań, rozróżniając takie i inne wpływy, obrzucając je na przemian wszystkimi możliwymi komentarzami. Widzisz, trzeba było dojść do poziomu, na którym możliwe było połączenie

tych dwóch rzeczy. Czasem łudzę się, że już tam doszedłem, ale jeżeli tak - należę do nielicznych, do wybranych.

7. - A do wybranych będzie należało królestwo - powiedział Ronald. - Tobie wszystko służy do tego, żeby się puszyć.

6. - Wiem, że tak jest - powiedział Etienne. - To wiem na pewno. Ale życiem zapłaciłem za połączenie rąk, tej lewej od serca z tą prawą od pędzla i płótna. Z początku należałem do ludzi, co patrząc na Rafaela myślą o Peruginie, jak szarańcza rzucają się na Leone Battistę Albertiego, kombinując, lutując, Pico z jednej strony, Lorenzo Valla z drugiej, a czy zauważyłeś, Burckhardt jest zdania, Berenson przeczy, Argan myśli, to są błękitny sjeneńskie, to są tuniki Masaccia. Nie pamiętam kiedy, to było w Rzymie, analizowałem jakiegoś Andrea del Sarto, analizowałem w całym znaczeniu tego słowa, w jakiejś chwili zobaczyłem to. Nie żądaj, żebym ci cokolwiek wytłumaczył. Zobaczyłem to (nie cały obraz, zaledwie jakiś szczegół w tle, jakąś figurkę pośród drogi). I łzy napłynęły mi do oczu, to jest wszystko, co ci mogę powiedzieć.

5. - To niczego nie dowodzi - powiedział Ronald. - Płacze się z wielu powodów.

4. - Nie warto z tobą dyskutować. Ona zrozumiałaby to o wiele lepiej. W gruncie rzeczy wszyscy idziemy tą samą drogą, tyle że jedni zaczynają od lewej, a inni od prawej strony. Czasem w samym środku ktoś zobaczy kawałek obrusa i na nim kieliszek, widelec, oliwki. 3. - Ten zawsze mówi tylko przenośniami - powiedział Ronald. - Zawsze taki sam.

2. - Nie ma innego sposobu, aby zbliżyć się do tego, cośmy zagubili, do czego tęsknimy. Ona była bliżej i czuła to. A jej jedynym błędem było pragnienie dowodów na to, że jej bliskość warta jest całej naszej retoryki. Nikt nie mógł dać jej tego dowodu, po pierwsze, ponieważ nie jesteśmy w stanie ująć go w żadną formę, a po drugie, bo w taki czy inny sposób jesteśmy wygodni i z zadowoleniem usadowieni w ramach naszej powszechnej wiedzy. Wiadomo: *Lettre* daje nam spokojny sen, stoi tu sobie w zasięgu ręki wraz z odpowiedziami na nasze wszystkie wątpliwości. I to jest prawda, ale tylko dlatego, że nie umiemy stawiać takich pytań, które by go unicestwiały. Kiedy Maga pytała, dlaczego drzewa okrywają się na lato... ale to bezcelowe, stary, lepiej siedźmy cicho, l. - Tak, tego nie sposób tłumaczyć - powiedział Ronald.

143

Rankami, jeszcze trwając w senności, której nawet ohydne skrzeczenie budzika nie było w stanie zmienić w ostrość jawy, z całą dokładnością opowiadali sobie sny. Głowa przy głowie, wśród pieszczot, wśród połączonych rąk i nóg, usiłowali zamknąć w słowa to, co przeżyli w godzinach ciemności. Travelera, przyjaciela Oliveira z lat dziecinnych, fascynowały sny Tality, jej usta ściągnięte albo roześmiane w zależności od opowieści, gesty i okrzyki, którymi je akcentowała, jej naiwne spekulacje na temat przyczyny i sensu własnych snów. Później nadchodziła kolej na jego sny, a nieraz w połowie opowieści ręce ich stykały się i przechodzili od snów do miłości, zasypiali na nowo, spóźniali się wszędzie.

Słuchając Tality, jej głosu jeszcze trochę lepkiego od snu, patrząc na jej włosy rozrzucone na poduszce, Traveler zamyślał się nad tym, jak to mogło być; wyciągał palec, dotykał skroni, czoła Tality. („A moja siostra była właściwie ciotką Ireną, ale nie jestem pewna"), upewniał się o istnieniu tej bariery znajdującej się zaledwie o parę centymetrów od jego głowy („A ja stałem nago w stogu słomy i widziałem bladosiną rzekę, która wznosiła się i wznosiła, jakby jakaś olbrzymia fala..."). Spali dotykając się wzajemnie głowami i tu, w tej bezpośredniej bliskości fizycznej, w tym kompletnym zgraniu ruchów, póz, oddechu, w tym samym pokoju, na tej samej poduszce, w tych samych ciemnościach, pod ten sam tik-tak, przy tych samych podnietach dochodzących z ulicy i miasta, przy tych samych układach gwiazd, w ciągu nocy wspólnej dla obojga, leżąc tak ciasno objęci, śnili rozmaite sny, mieli odrębne przeżycia i jedno uśmiechało się, podczas gdy drugie uciekało przerażone, jedno zdawało egzamin, podczas gdy drugie wkraczało do miasta, całego z białego kamienia.

Te poranne opowieści były dla Tality chwilami radości lub lęku, dla Travelera jednak tajemnicą, którą chciał poznać upierając się, aby znaleźć między nimi jakieś połączenie.Jak to było możliwe, żeby cała dzienna wspólnota - nocą nieuniknienie kończyła się tym rozdziałem, tą niedopuszczalną samotnością śniącego? Czasami jego obraz brał jakiś udział w snach Tality, czasami jej obraz wraz z innymi męczył się pośród koszmarów. Ale oni o tym nie wiedzieli. Każde dowiadywało się od tego drugiego po przebudzeniu. „Wtedy ty brałeś mnie za rękę i mówiłeś mi..." - a Traveler odkrywał, że podczas gdy we śnie Tality on brał ją za rękę mówiąc coś do niej, w swoim własnym - zdradzał ją z jej najlepszą przyjaciółką albo rozmawiał z dyrektorem cyrku, albo wręcz pływał w Mar del Plata. Obecność jego zjawy w cudzym śnie sprowadzała go po prostu do materiału roboczego, stawiała na równi z manekinami, nieznanymi miastami, stacjami kolejowymi, schodami, z całą rekwizytornią

nocnych ułud. Połączony z Talitą, oplatając jej twarz i głowę wargami i palcami, Traveler czuł nieprzekraczalną barierę, zawrotny dystans, którego nawet miłość nie mogła zmniejszyć. Długo czekał na cud, że sen, który Talitą rano mu opowie, będzie odpowiadał temu, co jemu się śniło. Oczekiwał, zachęcał; prowokował wzywając na pomoc wszystkie możliwe analogie, poszukując podobieństw, które nagle doprowadziłyby go do stwierdzenia tego. Ale tylko raz

- przy czym Talitą nie zwróciła na to najmniejszej uwagi

- mieli jednakowy sen. Talitą mówiła o jakimś hotelu, do którego jeździła z matką i do którego każdy musiał wnosić własne krzesło. Wtedy Traveler przypomniał sobie swój sen: hotel pozbawiony łazienek, co zmusiło go do przejścia przez dworzec kolejowy z ręcznikiem na ramieniu, żeby wykąpać się w jakimś nieokreślonym miejscu. Powiedział jej to: „Mieliśmy prawie jednakowy sen, byliśmy w hotelu bez krzeseł i łazienek". Talitą roześmiała się, ubawiona, trzeba było już wstawać, co za wstyd tak się lenić.

Traveler dalej ufał i oczekiwał - tyle że za każdym razem z mniejszą nadzieją. Sny powróciły - oddzielne. Głowy spały tuż obok siebie, a w każdej z nich kurtyna podnosiła się na inne przedstawienie. Traveler ironicznie porównał to do sąsiadujących ze sobą kin na ulicy Lavalle i całkowicie stracił nadzieję. Nie wierzył już, aby zdarzyło się to, czego pragnął, a wiedział, że bez wiary to się nie zdarzy. Wiedział, że bez wiary nie zdarza się nic z tego, co powinno nastąpić, z wiarą też zresztą prawie nigdy.

(100)

144

Zapachy, hymny orfickie, piżmo w lepszym i gorszym znaczeniu... Tu pachniesz pocieranym krzemieniem, tu kadzidłem. Tutaj... poczekaj chwilę, jakby pietruszką, ale to zaledwie cień zapachu, skrawek pietruszki owinięty w zamszową skórkę. A tu zaczyna się twój własny zapach. Jakie to dziwne, prawda, że kobieta nie może sama poczuć własnego zapachu tak, jak go czuje mężczyzna. O, właśnie tu. Nie ruszaj się, pozwól. Pachniesz plastrem miodu lub miodem w tytoniowym kapciuchu, pachniesz wodorostami, chociaż to takie zużyte porównanie. Tyle jest odmian wodorostów, Maga pachniała świeżymi algami, wyrwanymi ostatniej fali morskiej. Samą falą. Niekiedy zapach alg mieszał się z jakimś gorętszym rytmem, wtedy zmuszony byłem uciekać się do perwersji - ale było to perwersją podniebienia, rozumiecie, zbytkami majordomów wśród poddanek, uległych im nocą - zbliżyć wargi do jej warg i językiem dotknąć tego delikatnego różowawego płomienia, który drgał otoczony cieniem, a potem (tak jak teraz, z tobą) bardzo powoli rozłączyć jej uda, przechylając je nieco na bok i oddychać nią bez końca, czując, jak jej ręka, choć nie prosiłem o to, zaczyna rozpłomieniać mnie, niby ogień, który roznieca swoje topazy z pomiętej gazety. Wtedy zapach ustawał, w tajemniczy sposób ustawał, i wszystko stawało się smakiem, wgryzaniem się, sokami żywotnymi spływającymi po ustach, upadkiem w ciemność, *the primeval darkness,* piastą u koła pierwocin. Tak, w tym momencie czających się zwierzęcych instynktów, tak blisko wydzielania i jego niewiarygodnej aparatury, tam właśnie rysują się znaki początku i końca, w tej lepkiej jamie codziennych potrzeb drży Aldebaran, skaczą geny i konstelacje, wszystko staje się alfą i omegą, *coquille, concha, cunt, con, cono, milenium,* Armagedon, terramycyna, och, zamknij się, nie zaczynaj twej podrzędnej rewii, nie Wyskocz twymi lusterkami. Jakaż cisza twojej skóry, jakież przepaści pełne wirujących szmaragdów, owadów i feniksów, i kraterów...

(92)

145

MORELLIANA

Cytat:

„Te zatem są zasadnicze, kapitalne i filozoficzne racje, które mnie skłoniły do zbudowania dzieła na fundamencie poszczególnych części - ujmując dzieło jako cząstkę dzieła - i traktując człowieka jako związek części, podczas gdy całą ludzkość ujmuję jako mieszaninę części i kawałków. Ale gdyby ktoś zrobił mi taki zarzut: że ta cząstkowa koncepcja nie stanowi, Bogiem a prawdą, żadnej koncepcji, a tylko bzdurę, kpinę, nabieranie gości, i że ja, zamiast poddawać się surowym prawidłom i kanonom sztuki, próbuję wykpić im się ową kpiną - odpowiedziałbym, że tak, że właśnie, że takie, a nie inne są moje zamiary. I - na Boga - nie waham się przyznać - ja pragnę uchylić się tyleż waszej Sztuce, panowie, której nie mogę znieść, ile wam samym... ponieważ i was nie mogę znieść z waszymi koncepcjami, z waszą artystyczną postawą i z całym waszym światkiem artystycznym".

Gombrowicz, *Ferdydurke,* rozdz. IV *Przedmowa do Ftliodora dzieckiem podszytego*

(122)

LIST DO „OBSERVERA”

Szanowny Panie!

Czy ktoś z pańskich czytelników zwrócił uwagę na wyjątkowo małą ilość motyli w tym roku? W tych okolicach, gdzie zazwyczaj bywa ich zatrzęsienie, z wyjątkiem kilku rojów motylkowatych, prawie nic nie widziałem.

Od marca do dnia dzisiejszego w ogrodzie moim, który zeszłego lata pełen był motyli, zaobserwowałem tylko jednego czerwończyka, ani jednej wstęgówki jesiennej, bardzo niewiele piórolotków, jedną Quelonie, ani jednego pawiego oczka, ani jednego czerwonego admirała.

Ciekaw jestem, czy taka mała ilość motyli wszędzie daje się zauważyć, a jeżeli tak, to czemu należy ją przypisać?

M Washbourn

Pitchombe, Glos

(29)

147

Dlaczego tak daleko od bogów? Może właśnie dlatego, że pytamy.

Ale cóż? Człowiek jest zwierzęciem pytającym. Tego dnia, gdy rzeczywiście nauczymy się stawiać pytania - zaistnieje dialog. Tymczasem pytania rozpaczliwie oddalają nas od odpowiedzi. Jakiejż możemy oczekiwać Epifanii, skoro dusimy się w jednej z bardziej fałszywych wolności, w dialektyce judeochrześcijańskiej. Potrzebujemy jakiegoś „Novum Organum" prawdy, trzeba na oścież otworzyć okna i wszystko wyrzucić na ulicę, a przede wszystkim samo okno i nas wraz z nim. Śmierć albo wzlot. Musimy tak zrobić, tak czy inaczej, ale musimy. Mieć odwagę wkroczyć na przyjęcie, na głowie olśniewającej gospodyni złożyć cudowną zieloną ropuchę, podarunek nocy, i bez zmrużenia oka znieść zemstę lokajów.

(31)

148

Źródłosłów rzeczownika *persona* według Gaviusa Bassusa.

W swojej rozprawie *O pochodzeniu wyrazów* Gavius Bassus daje mądre - moim zdaniem - i pomysłowe tłumaczenie słowa *persona,* maska. Twierdzi on, że słowo to pochodzi od czasownika *personare,* zatrzymywać. I oto jak podbudowuje swoją teorię: „Ponieważ maska, całkowicie zakrywająca twarz, posiada tylko jeden otwór w miejscu ust, głos, zamiast rozchodzić się na wszystkie strony, usiłuje wydostać się tym jednym wyjściem, przez co staje się przenikliwszy i mocniejszy. Ponieważ dzięki masce głos dźwięcznieje i zaczyna wibrować *(personare),* nazwano ją *persona,* przy czym akcent jest na literze *o,* którą wymawia się dłużej".

Aulus Gellius, *Noctes Atticae*

(42)

149

Mis pasos en esta	Moje kroki na tej ulicy
calle Resuenan	Dźwięczą
En otra calle	Na innej ulicy
Donde	Gdzie
Oigo mis pasos	Słyszę moje kroki
Pasar en esta calle	Idące po tej ulicy
Donde	Gdzie
Solo es real la niebla	Jedyną rzeczywistością jest mgła

Octavio Paz

(54)

150

KRONIKA TOWARZYSKA

Szpital hrabstwa York informuje nas, że księżna-wdowa Grafion, która w ostatnią niedzielę uległa złamaniu nogi, wczorajszy dzień spędziła spokojnie.

„The Sunday Times", Londyn

(95)

151

MORELLIANA

Wystarczy codziennym spojrzeniem chwilę popatrzeć na zachowanie się kota albo muchy, ażeby odczuć, że ten nowy sposób widzenia, ku któremu skłania się dzisiejsza nauka, ten dezantropomorfizm, który z naciskiem lansują biologowie i fizycy jako ostatnią możliwość kontaktu ze zjawiskami takimi jak instynkt lub życie rośliny, jest po prostu dawnym, izolowanym, uporczywym głosem, którym pewne odłamy buddyzmu, Wedanty, sufizmu, mistyki zachodu wzywają nas do wyrzeczenia się raz na zawsze śmiertelności.

(152)

152

NADMIAR ŚWIADOMOŚCI

Dom, w którym mieszkam, niesłychanie przypomina mój własny: układ pokoi, zapach sieni, meble, światło ukośne rankiem, słabsze w południe, ponure wieczorem wszystko jest takie samo, nawet układ ścieżek i drzew w ogrodzie, nawet ta zdemolowana brama i kamienie, którymi jest wyłożone patio.

Godziny i minuty upływającego czasu również są identyczne z godzinami i minutami mojego życia. Kiedy krążą wokół mnie, mówię sobie: „Wydają się prawdziwe. Jakże są podobne do prawdziwych godzin, które właśnie w tej chwili przeżywam!".

Ze swej strony tak dokładnie zlikwidowałem w moim domu jakiekolwiek powierzchnie odzwierciedlające, że gdy jakaś nieunikniona szyba okienna uprze się, żeby ukazać mi moje odbicie, widzę w nim tylko kogoś, kto mnie przypomina. Rzeczywiście bardzo jest do mnie podobny - przyznaję!

Tylko proszę nie wyobrażać sobie, że to ja! Skądże! Wszystko tu jest fałszem. Kiedy zwrócą mi *mój* dom i *moje życie* - odnajdę *moją* prawdziwą twarz.

Jean Tardieu

(143)

153

Chociaż jesteś z Buenos Aires, zrobią cię na szaro, jeżeli nie będziesz ostrożny.

- Postaram się więc być ostrożny.

- I dobrze zrobisz.

Cambaceres, *Sentymentalna muzyka*

(19)

W każdym razie buty posuwały się już po czymś w rodzaju linoleum, nos czuł słodko-kwaśny zapach rozpylanych środków dezynfekcyjnych, na łóżku leżał oparty o poduszki staruszek z nosem niby wbite w powietrze szydełko, które zdawało się utrzymywać go w pozycji siedzącej. Papierowa bladość. Oczy podkrążone. Na wykresie temperatury dziwaczny zygzak. Że też panowie się fatygowali...

Ależ nie ma o czym mówić, kolega Argentyńczyk był świadkiem wypadku, kolega Francuz jest malarzem, taszystą, wszystkie szpitale są równie okropne. Morelli, tak, pisarz.

- To niemożliwe - powiedział Etienne.

Dlaczego nie, cały nakład kamień-w-wodę: plusk i nie ma śladu. Morelli powiedział im, że sprzedało się (i rozdało) około czterystu egzemplarzy. Tak, rzeczywiście, dwa aż w Nowej Zelandii, to doprawdy wzruszające.

Oliveira drżącą ręką sięgnął po papierosa i spojrzał na pielęgniarkę, która zrobiwszy coś w rodzaju zachęcającego gestu odeszła, zostawiając ich między dwoma żółtawymi parawanami. Usiedli w nogach łóżka, usunąwszy przedtem jakieś zeszyty i rolki papieru.

- Gdybyśmy byli przeczytali w gazecie... - powiedział Etienne.

- Była wzmianka w „Figaro” - powiedział Morelli - pod wiadomością o Straszliwym Człowieku Śniegów.

- Czy ty rozumiesz - wyszeptał Oliveira. - Chociaż może z drugiej strony lepiej się stało, bo przylazłaby kupa potwornych babsztylów z albumami na autografy i domowymi konfiturkami.

- Z rabarbaru - powiedział Morelli. - Są najlepsze. Ale wolę, że nie przyszły.

- Co do nas... - zaczął znowu Oliveira, rzeczywiście przejęty. - Bo może męczymy pana, wystarczy jedno słowo. Nadarzą się nam przecież inne okazje, rozumiemy się, nie-prawdaż?

- Słuchajcie, chłopcy, przyszliście nie wiedząc kim jestem. Moim zdaniem warto, żebyście zatrzymali się choć chwilę. Cicho w tej sali, ten, co najwięcej krzyczał, uspokoił się dziś koło drugiej w nocy. A te parawaniki są znakomite - uprzejmość lekarza, kiedy zobaczył, że coś tam gryzmolę. Niby to mi zabronił, ale później siostry przyniosły parawaniki, tak że nikt mi nie przeszkadza.

- Kiedy będzie pan mógł wrócić do domu?

- Nigdy - odpowiedział Morelli. - Moje kości tutaj zostaną, chłopcy.

- Co za głupstwa - bąknął z uszanowaniem Etienne.

- Kwestia czasu. Ale czuję się dobrze, nie będę miał więcej problemów z konsjerżką. Nikt nie przynosi mi korespondencji, nawet tej z Nowej Zelandii, skąd przychodzą takie piękne znaczki. Kiedy wydawało się książkę, która okazała się martwym płodem, jednym rezultatem są listy, choć w małej liczbie, ale wiernie nadchodzące. Od pani z Nowej Zelandii, od młodzieńca z Sheffield. Pełne delikatności wolnomularstwo; rozkosz, że jest się jedynym z niewielu, którzy biorą udział w przygodzie. Ale teraz, to już naprawdę...

- Nigdy nie przyszło mi do głowy napisać do pana - powiedział Oliveira - choć przyjaciele moi i ja znamy absolutnie wszystko, co pan napisał, to nam się wydaje takie... Zresztą pozwoli pan, że oszczędzę sobie tego rodzaju wynurzeń, i tak obaj wiemy, o co chodzi. Całe noce dyskutowaliśmy na te tematy, a jakoś nigdy nie przyszło nam do głowy, że może pan mieszkać w Paryżu.

- Do niedawna mieszkałem w Vierzon. Przyjechałem do Paryża, żeby poszperać w bibliotekach. Vierzon, no cóż... Wydawca miał dyspozycję, żeby nie podawać nikomu mojego adresu. Nie mam pojęcia, jak zdobyło go tych moich paru zwolenników. Okropnie mnie plecy bolą, chłopcy.

- Może woli pan, żebyśmy już sobie poszli - powiedział Etienne. - Jutro i tak przyjdziemy.

- Bez was będą mnie tak samo bolały - odparł Morelli. - Zapalmy sobie, korzystając z tego, że mi jeszcze nie zabroniono.

Należało znaleźć jakiś nieliteracki sposób mówienia.

Kiedy przechodziła pielęgniarka, Morelli ukrywał niedopałek w ustach z diaboliczną zręcznością i patrzył na Oliveirę z wyrazem dziecka przebranego za staruszka; było to pełne wdzięku.

... wychodząc z pewnych centralnych idei Ezry Pounda, ale bez pedanterii i nie mieszając symboli peryferycznych z ich zasadniczym znaczeniem...

Trzydzieści osiem dwa. Trzydzieści osiem pięć. Trzydzieści osiem trzy. Prześwietlenie (jakiś niezrozumiały znak).

... wiedzieć, że tylko nieliczni mogli podjąć wysiłki tego typu, nie dopatrując się w nich jakiejś nowej literackiej gry. *Benissimo.* Niestety, wiele jeszcze brakuje - i gotów umrzeć nie dokończywszy gry.

- Przy dwudziestym piątym ruchu czarne ustępują - powiedział Morelli odchylając w tył głowę. Natychmiast wydał się o wiele starszy. - A szkoda, bo partia zaczynała się interesująco. Czy słyszeliście, że istnieją indiańskie szachy składające się z sześćdziesięciu figur po każdej stronie?

- To niewykluczone - powiedział Oliveira. - Nie kończąca się partia.

- Wygrywa ten, kto podbije środek. Stamtąd można opanować wszystkie możliwości, wtedy nie ma sensu, żeby przeciwnik upierał się przy dalszej grze. Ale środek może leżeć w jakimś bocznym polu, nawet poza szachownicą.

- Albo w kieszeni od kamizelki.

- Przenośnie - powiedział Morelli. - A tak trudno od nich uciec właśnie z powodu ich piękności. *Des femmes mentales,* doprawdy. Byłbym chciał lepiej rozumieć Mallarmego, jego odczucie nieobecności i ciszy było czymś więcej niż ostateczną ucieczką, metafizycznym impasem. Kiedyś w Jerez de la Frontera usłyszałem strzał armatni o dwadzieścia metrów ode mnie i odkryłem inne znaczenie ciszy. No a psy, które słyszą gwizdki dla nas niedosłyszalne? Pan jest malarzem, jeżeli się nie mylę...

Ręce poruszały się niezależnie od niego, składając jeden po drugim zeszyty, wygładzając pogniecione kartki. Od czasu do czasu, nie przestając mówić, Morelli rzucał okiem na jedną z nich i wkładał do zeszytu, przyczepiając spinaczem. Parę razy wyjął z kieszeni piżamy ołówek i ponumerował kartki.

- A pan pewnie pisze...

- Nie - powiedział Oliveira. - O czym miałbym pisać? Do tego trzeba mieć pewność, że się naprawdę żyło.

- Byt poprzedza świadomość - uśmiechnął się Morelli.

- Tak pan myśli? W moim przypadku jest chyba trochę inaczej.

- Pan już jest zmęczony, na pewno - przerwał Etienne. - Słuchaj, Haracio, jeżeli puścisz się na wykład... Ja go znam, proszę pana, potrafi być morderczy.

Morelli uśmiechnął się, w dalszym ciągu zbierając kartki, patrząc na nie; wydawało się, że je identyfikuje i porównuje. Ześliznął się trochę niżej, szukając lepszego oparcia dla głowy. Oliveira wstał.

- To jest klucz do mieszkania - powiedział Morelli. - Będzie mi naprawdę przyjemnie.

- Boję się, że wszystko panu pomylimy.

- To łatwiejsze, niż pan przypuszcza. Zorientujecie się po teczkach, są poukładane według kolorów, numerów i liter. Od razu można się połapać. Na przykład ten zeszyt należy do teczki niebieskiej, do części, którą nazywam morzem (chociaż to na marginesie, to jest

tylko gra ułatwiająca zrozumienie). Proszę, numer 52: trzeba tylko położyć to na swoje miejsce, pomiędzy 51 a 53. Numeracja arabska, nic łatwiejszego.

- Ale za parę dni będzie pan mógł to zrobić sam - powiedział Etienne.

- Źle sypiam. Ja także wypadłem z zeszytu. Skoro już tu przyszliście, pomóżcie mi. Poukładajcie wszystko na swoich miejscach, wtedy będzie mi tu naprawdę dobrze. To znakomity szpital.

Etienne patrzył na Oliveirę, a Oliveira etc. Co za niespodzianka. Prawdziwy, choć jakże nie zasłużony zaszczyt.

- Później wszystko razem zapakujecie i wyślecie to do Paku. To jest wydawca awangardowych książek z rue de l'Arbre Sec. Czy wiecie, że Paku jest arkadyjskim odpowiednikiem imienia Hermès? Zawsze myślałem... Chociaż o tym porozmawiamy kiedy indziej.

- A jeżeli się pomylimy - powiedział Oliveira - i wszystko się pokręci? W pierwszym tomie było wiele rzeczy trudnych i wiele nadyskutowaliśmy się nad tekstem, zastanawiając się, czy nie są to pomyłki drukarskie.

- To nie ma znaczenia - powiedział Morelli. - Moją książkę można czytać, jak się komu podoba. *Liber Fulguralis,* wróżebne kartki i tym podobne. Ja tak ją układam, jak lubiłbym sam przeczytać. A nuż - przyjąwszy, że rzeczywiście się pomylicie - właśnie wypadnie to lepiej? Żarcik magika Hermesa, Paku, zwabiającego wybiegami lub przynętą. Podobają wam się te słowa?

- Nie - odparł Oliveira. - Ani wybieg, ani przynęta. Oba wydają mi się mocno nadgniłe.

- Trzeba uważać - powiedział Morelli i przymknął oczy! - Wszyscy poszukujemy czystości, wszyscy chcemy poprzekłuwać stare pęcherze. Pewnego razu José Bergamin o mało nie dostał ataku, kiedy pozwoliłem sobie wypuścić powietrze z dwóch stron, które napisał, wykazując w ten sposób... Ale uwaga, przyjaciele, może właśnie to, co nazywamy czystością...

- Kwadrat Malewicza - powiedział Etienne.

- *Ecco.* Mówiliśmy, że trzeba pomyśleć o Hermesie, pozwolić mu poigrać. Weźcie więc i uporządkujcie to wszystko, skoro już przyszliście mnie odwiedzić. Może zresztą uda mi się niedługo pójść tam i rzucić okiem na waszą robotę.

- Jeżeli ma pan ochotę, przyjdziemy jutro.

- Dobrze, do tej pory z pewnością napiszę coś nowego. I przynieście mi galuoise'ów.

Etienne podał mu swoją paczkę. Oliveira trzymał w ręku klucz i milczał, nie wiedząc, co mówić. Wszystko było pomyłką, to nie powinno było zdarzyć się dzisiaj, to było jakieś brudne zagranie na szachownicy o sześćdziesięciu figurach, niepotrzebna radość pośród najcięższego smutku, odpędzić ją jak muchę, wybrać smutek właśnie teraz, gdy jedyną rzeczą, która sama włazi w ręce, jest ten klucz do radości, to przejście ku czemuś, co tak podziwiał i czego tak pragnął, klucz otwierający drzwi do Morellego, do świata Morellego, i teraz pośrodku tej radości czuć się smutnym i brudnym z tą szarą skórą i mętnymi oczami, pachnąc nie przespaną nocą, grzeszną nieobecnością, brakiem odpowiedniego dystansu, nieodzownego, aby zrozumieć, czy dobre było wszystko to, co robił albo czego nie robił w tych dniach, słuchając czkawki Magi, uderzeń w sufit, czując na twarzy lodowaty deszcz... a ten poranek na Pont Marie, kwaśne odbijanie się wina połączonego z cania i wódką, i znowu wino, uczucie, że w kieszeni ma cudzą rękę, rękę Rocamadoura, urywek tej śliniącej się nocy, tej nocy cieknącej po udach, radość zbyt późna czy też może zbyt wczesna (pociecha: może zbyt wczesna), jeszcze nie zasłużona, wtedy jednak, być może, *tal vez, vielleicht, maybe, forse, peut-être...* Ach gówno, gówno, do jutra, mistrzu, gówno, gówno, bezbrzeżne gówno, tak jest, w porze wizyt, dzika natarczywość tego gówna na twarzy i na świecie, na gównianym świecie, przyniesiemy panu owoce, ekstra- i supergówno, supergówno i infragówno, infragówno i arcygówno, arcygówno nad arcygównami, *dans cet hôpital Laennec découvrit l'auscultation:* a może uda się jednak... Klucz, jakże znacząca przenośnia. Klucz. A jednak może uda się wyjść na ulicę i łazić po mieście czując ten klucz w kieszeni. A może jednak, klucz-Morelli, obrócić klucz i wejść w coś zupełnie innego; a może jednak.

- Trochę wcześniej, trochę później, ale po prawdzie to jest pośmiertne spotkanie - powiedział w kawiarni Etienne.

- Idź już - powiedział Oliveira. - Wiem, że cię paskudnie wystawiam do wiatru, ale będzie lepiej, jak sobie pójdziesz. Uprzedź Ronalda i Perica, że spotykamy się u starego o dziesiątej.

- Niedobra godzina - powiedział Etienne. - Konsjerżka nie będzie chciała nas wpuścić.

Oliveira wyjął klucz z kieszeni, obrócił go w promieniu słonecznym i oddał Etienne'owi tak, jakby mu oddawał miasto.

155

To nie do wiary, co można wyciągnąć ze spodni, śmiecie, zegarki, wycinki prasowe, pokruszoną aspirynę, najzwyczajniej wkładasz rękę do kieszeni, żeby wyjąć chustkę, i wyciągasz za ogon zdechłą mysz; wszystko jest możliwe. Kiedy szedł po Etienne'a, jeszcze tkwiąc we śnie o chlebie i w przypomnieniu tego drugiego snu, na który natknął się tak niespodziewanie jak na jakiś uliczny wypadek, Oliveira nagle włożył rękę do kieszeni swoich spodni z brązowego sukna (dokładniusieńko na rogu Boulevard Raspail i Montparnasse, równocześnie zerkając na olbrzymią ropuchę zawiniętą w łach szlafroka - Balzak Rodina czy też Rodin Balzaka - nierozerwalna mieszanina dwóch błyskawic z brązu) i ręka wyjęła listę aptek dyżurnych w Buenos Aires i inny świstek, który okazał się ogłoszeniami wróżek. Zabawne było dowiedzieć się, że Madame Colomier, węgierska jasnowidząca (która, przy odrobinie szczęścia, mogła okazać się jedną z matek Gregoroviusa), mieszkała przy rue des Abbesses i posiadała *les secrets des bohèmes pour retour d'affections perdues.*[117] Skąd już bez żadnych trudności można było przejść odważnie do wielkich obietnic: *Désenvoûtements,* po których wzmianka o wróżeniu z fotografii wydawała się po prostu niczym. Etienne'a, amatora-orientalistę, powinno zainteresować, że profesor Mihn *vous offre le vérit. Talisman de l'Arbre Sacré de l'Inde. Broch. c. NF timb. B.P. 27, Cannes.* Jakże nie przejąć się istnieniem Madame Sanson, *Medium-Tarots, predict, étennantes, 23 rue Hermel* (przede wszystkim dlaczego Hermel, który był, zdaje się, zoologiem, miał nazwisko alchemika), i nie odkryć z południowoamerykańską dumą szumnych reklam Anity, *cartes, dates précises,* niejakiej Joanny Jopez (*sic!*), *secrets indiens, tarots espagnoles,* i Mme Juanity, *voyante par domino, coquillage, fleurs!* Trzeba by do Mme Juanity pójść z Magą. *Coquillage, fleurs!* Tylko nie z Magą. Już nie. Madze spodobałoby się to: przyszłość poprzez kwiaty. *Seule MARZAK prouve retour affection.* Ale po co czegokolwiek dowodzić? To wie się od razu. Lepszy już naukowy ton Jane de Nys: *reprend ses VISION exactes sur photogr., cheveux, écrits. Tour magnétiste intégral.* Koło cmentarza Montparnasse, uprzednio skręciwszy kartkę w kulkę i uważnie wycelowawszy, Oliveira posłał wróżki za mur, na spotkanie z Baudelaire'em, z Devérią, z Aloysiusem Bertrand, wszystko ludźmi godnymi, aby linie ich rąk zostały obejrzane przez jasnowidzące oraz przez MMe Frédéricka, *la voyante de l'élite parisienne et internationale, célèbre par ses prédictions dans la presse et la radio mondiale, de retour de Cannes.* Na spotkanie również z Barbey d'Aurevilly, który, gdyby mógł, byłby je kazał wszystkie spalić, i konieczne, rzecz oczywista z Maupassantem (tylko czy aby kulka

[117] *Les secrets des bohèmes...* (franc.) - cygańskie sekrety, przywracające utracone uczucia.

upadnie na grób Maupassanta albo Aloysiusa Bertranda, trudno być tego pewnym, stojąc na zewnątrz).

Etienne'owi wcale się nie podobało, że Oliveira przyjdzie mordować go od samego rana, mimo że czekał na niego z trzema nowymi obrazami, które miał ochotę mu pokazać, Oliveira jednak natychmiast oznajmił, że trzeba skorzystać ze wspaniałego słońca, które dosłownie wisi nad Bulwarem Montparnasse, i pójść do Hôpital Necker odwiedzić staruszka. Etienne zaklął półgłosem i zamknął pracownię. Konsjerżka, która lubiła ich obu, od razu powiedziała, że wyglądają jak wyjęci z grobu albo jak ludzie kosmosu, które to zdanie naprowadziło ich na odkrycie, że madame Bobet czytuje science fiction, co wydało im się wręcz rewelacyjne. Doszedłszy do „Chien qui fume" wypili po kieliszku białego wina, dyskutując, czy sny i malarstwo nie mogłyby okazać się dobrym środkiem przeciwko NATO i innym aktualnym kłopotom. Etienne'a nie zdziwiło ponad miarę, że Oliveira wybierał się odwiedzić człowieka, którego nigdy przedtem nie widział, po czym doszli do wniosku, że wygodniej będzie, o ile, i tak dalej. Przy kontuarze jakaś dama z niesłychanym zapałem opisywała zachód słońca w Nantes, gdzie sądząc z toku opowiadania mieszkała jej córka. Etienne i Oliveira z uwagą wysłuchali słów w rodzaju: słońce, wietrzyk, trawnik, księżyc, kawki, pokój, kulawa, Bóg, sześć tysięcy pięćset franków, mgła, rododendrony, starość, twoja ciotka, niebieskie, aby nie zapomniała, doniczki. Po czym z uznaniem obejrzeli szlachetną tablicę *DANS CET HÔPITAL LAENNEC DÉCOUVRIT L'AUSCULTATION*[118] i obaj pomyśleli (i zakomunikowali to sobie), że *auscultation* musiało być jakimś gatunkiem węża lub salamandry znakomicie ukrytej w szpitalu Necker, ściganej przez diabli wiedzą jakie korytarze i podziemia, zanim, ziejąc, poddała się młodemu naukowcowi. Oliveira poszedł się dowiedzieć, co i jak, i zostali skierowani do sali Chauffard, drugie piętro na prawo.

- A może nikt go nie odwiedza... - powiedział Oliveira. - Popatrz, co za zdarzenie, że akurat nazywa się Morelli.

- Skąd wiesz, że jeszcze nie umarł? - powiedział Etienne patrząc na fontannę ze złotymi rybkami na wewnętrznym dziedzińcu.

- Powiedzieliby mi. A facet tylko na mnie popatrzył. Nie chciałem się pytać, czy nikt przedtem nie przychodził do niego.

- Mogli przecież przyjść nie zgłaszając się w dyżurce.

I tak dalej. Bywają chwile, w których z powodu obrzydzenia, strachu albo dlatego że trzeba wdrapać się dwa piętra i śmierdzi fenolem, dialog robi się szalenie rozwlekły, tak jak pocieszając kogoś po stracie dziecka wymyśla się najgłupsze tematy do rozmowy; siedząc

[118] *Dans cet hôpital...* (franc.) - W szpitalu tym Laennec odkrył metodę auskultacji (opukiwania chorych).

koło matki i zapinając jej nie dopięty szlafroczek, mówi się: „No już. Nie trzeba, żebyś się teraz przeziębiła”. Matka wzdycha: „Dziękuję”. A na to: „Niby nic, ale wieczory już zaczynają być chłodniejsze”. Matka: „Tak, to prawda”. Rozmówca: „Może chcesz szalik?” Nie. Rozdział okrywania skończony, przechodzimy do wewnętrznego rozgrzewania. „Zrobię ci herbatki”. Ale nie, nie ma ochoty. „Musisz się czegoś napić. Nie można przez tyle godzin nic gorącego nie wziąć w usta”. Ale ona nie wie, która jest godzina. „Już po ósmej. Od wpół do piątej nic nie piłaś. A dziś rano zaledwie parę łyczków. I zjeść coś powinnaś, niechby chleba z masłem”. Nie ma ochoty. „Zrób to dla mnie, zobaczysz, że najtrudniej jest zacząć”. Westchnienie, ani tak, ani nie. „A widzisz, że masz ochotę. Natychmiast idę postawić herbatę”. Jeżeli i to zawiedzie, pozostają siedzenia. „Niewygodnie ci tu, kurcz cię złapie”. Nie, dobrze jej. „Ale ja ci mówię, że nie, na pewno ci plecy ścierpły, całe popołudnie w tym twardym fotelu. Może byś się położyła na chwilę”. O nie, co to to nie. W tajemniczy sposób łóżko równoważy się ze zdradą. „Ale tak, może ci się uda chwilę zdrzemnąć”. Podwójna zdrada. „Zrobiłoby ci dobrze, zaraz poczujesz się bardziej wypoczęta. Zostanę z tobą”. Nie, tak jej jest bardzo wygodnie. „No to chociaż przyniosę ci poduszkę pod plecy”. Dobrze. „Nogi ci spuchną, podłożę ci mały taborecik, żebyś mogła je oprzeć trochę wyżej”. Dziękuję. „A za chwilę do łóżka. Musisz mi przyrzec”. Westchnienie. „Tak, tak, nie kapryś. Gdyby ci to powiedział doktor, musiałabyś posłuchać”. Wreszcie: „Trzeba pospać, kochana”. Warianty *ad libitum.*

- *Perchance to dream* - mruknął Etienne, który przeżuwał warianty, po jednym na każdym schodku.

- Powinniśmy mu byli kupić butelkę koniaku - powiedział Oliveira. - Przecież masz forsę.

- Nie znamy go. W dodatku może naprawdę umarł. Popatrz na tę rudą, tej pozwoliłbym się pomasować bez przykrości. Czasami miewam fantazje na temat chorób i pielęgniarek. A ty?

- Jak miałem piętnaście lat, bracie. Coś okropnego. Eros uzbrojony w strzykawkę zamiast strzały, przepiękne dziewuszki, co mnie myły od stóp do głów. Dosłownie umierałem w ich ramionach.

- W krótkich słowach, onanista.

- No to co? Co się wstydzić onanizmu? Też sztuka, może trochę niższa od tamtej, ale niemniej jednak pełna boskich proporcji, jedności czasu, miejsca i innych retoryk. Jak miałem dziewięć lat, patriotycznie onanizowałem się pod ombu.

- Ombu?

- Taki rodzaj baobabu - wyjaśnił Oliveira. - Ale zawierzę ci coś, jeżeli przysięgniesz, że nie powiesz żadnemu innemu Francuzowi. Ombu nie jest drzewem; to jest ziółko.

- Ach, dzięki Bogu, wobec tego nic poważnego.

- A jak się onanizują francuscy chłopcy?

- Nie pamiętam.

- Znakomicie pamiętasz. My tam u siebie mamy fenomenalne sposoby. Na młoteczek, na parasoleczkę... Kapujesz? Nie mogę słuchać niektórych tang, bo zaraz przypominam sobie, jak je grała moja ciotka.

- Nie widzę, co ma piernik do wiatraka.

- Bo nie widzisz fortepianu. Był taki kącik pomiędzy fortepianem a ścianą, tam się chowałem i branzlowałem się. Ciotka grała *Milonguitę* albo *Flores negras,* coś tak smutnego, że mi pomagało do marzeń o śmierci i poświęceniu. Krewa była, jak pierwszy raz zachlapałem posadzkę; bałem się, że to w ogóle nie zejdzie. Nawet chustki nie miałem. Więc na gwałt ściągnąłem skarpetki i dawaj wycierać co siły. Ciotka grała *La payama,* mogę ci zagwizdać, jak masz ochotę, też bardzo smutne...

- W szpitalu się nie gwiżdże. Aż śmierdzisz tym smutkiem, jesteś naprawdę obrzydliwy, Horacio.

- Moja specjalność, laluniu. Król umarł, niech żyje król. Jeżeli myślisz, że dla kobiety... Ombu czy kobieta - jedno i drugie w gruncie rzeczy ziółko.

- Taniocha - powiedział Etienne. - Ależ taniocha. Złe kino, dialog płatny od centymetra, znamy to, znamy. Drugie piętro, stop. Madame...

- *Par là* - powiedziała pielęgniarka.

- Jeszcze nie wynaleźliśmy *l'auscultation* - poinformował ją Oliveira.

- Niech się pan nie wygłupia - powiedziała pielęgniarka.

- Dobrze ci tak - powiedział Etienne. - Bez końca gadać o jęczącym chlebie, bez końca pieprzyć i zawracać ludziom głowę, a potem nawet ci kawały nie wychodzą. Może byś pojechał trochę na wieś? Rzeczywiście gębę masz jak dla Soutina, bracie.

- W gruncie rzeczy - powiedział Oliveira - wściekasz się, że cię wyrwałem z twoich chromatycznych onanizmów, z twoich codziennych pięćdziesięciu punktów i że solidarność zmusza cię do łażenia ze mną po Paryżu nazajutrz po pogrzebie. Przyjaciel się smuci - trzeba go rozerwać.

- Przyjaciel dzwoni - trzeba się poświęcić. Przyjaciel mówi o szpitalu, no to jazda do szpitala.

- Żeby powiedzieć ci prawdę - powiedział Etienne - to z każdą chwilą mniej się tobą przejmuję. Zamiast z tobą, powinienem teraz spacerować z nieszczęsną Luisą. Tej rzeczywiście by się to przydało.

- Pomyłka - Oliveira usadowił się na ławce. - Maga ma Osipa, rozrywki, Hugo Wolfa, te tam takie. W gruncie rzeczy ma osobiste życie, chociaż potrzebowałem czasu, żeby sobie zdać z tego sprawę. Ja, przeciwnie, jestem pusty, pełna i olbrzymia wolność, żeby marzyć, wałęsać się, wszystkie zabawki połamane, nie ma o czym mówić. Daj no ognia.

- W szpitalu się nie pali.

- *We are the makers of manners,*[119] stary. To bardzo dobre dla *l'auscultation.*

- Tam jest sala Chauffard - powiedział Etienne. - Nie będziemy przecież bez końca siedzieli na tej ławce.

- Poczekaj, aż dopalę.

(123)

[119] *We are the makers of manners* (ang.) - My sami tworzymy obyczaje.

POSŁOWIE

Gra w klasy nie ma jednoznacznego końca; może być czytana co najmniej na dwa-sposoby: według porządku stron lub według klucza, wyznaczającego zygzakowatą kolejność rozdziałów. Z tych wielu odczytań wynika swoisty stosunek formy do treści. Odłożenie książki nie oznacza ani zakończenia fabuły, ani zamknięcia formy - jest właściwie czymś przypadkowym, prowizorycznym. Pojęcie poslowia staje się w tych warunkach wątpliwe i to, co w tej chwili państwo czytacie, jest raczej „międzysłowiem" - pauzą, po której można przystąpić do kolejnej lektury w poszukiwaniu nowych, jeszcze nie odkrytych znaczeń.

Jest rzeczą zdumiewającą, że *Gra w klasy,* która ukazała się w Polsce w 1968 roku, jako książka autora w owym momencie jeszcze mało znanego, znalazła taki oddźwięk. Może dlatego, że obiektywizuje życie i postawy wobec niego w sposób, który leży na linii naszych własnych poszukiwań. Trudno jest oprzeć się ładunkowi napięcia, jakim przesiąknięta jest ta wielka książka. Dzięki temu, że do końca coś się nam w niej wymyka, że nigdy nie staje się naprawdę przeczytana, wiąże nas ze sobą na zawsze, jak wszystko co nie spełnione.

Gdyby Cortázar, prawdziwy nowator literatury naszych czasów, zaczął pisać pół wieku temu, musiałby liczyć się z tym, że - w najlepszym razie - dzieło jego zostanie docenione dopiero z perspektywy lat. Nowatorstwo było wtedy rzeczywistym ryzykiem.

Dziś rzecz się ma inaczej. Nowatorstwo jest przykazaniem, misją, od której nie można się uchylić modą, łatwo przechodzącą w epigo-nizm. Misja ta wielu pisarzy poprowadziła na manowce. Cortázar podejmuje się misji i przyjmuje modę, ale już z innej pozycji: nowatorstwo nie jest dla niego wartością absolutną; zastanawia się, co można z nim zrobić. Nowatorstwo nie jako cel sam w sobie, a jako materiał do innych celów - oto propozycja arcynowa. *Gra y klasy* jest jej rozwinięciem, jej owocem.

Syn skromnych Argentyńczyków, Julio Cortázar urodził się w roku 1914 w Brukseli, ale całe dzieciństwo spędził na jednym ze starych przedmieść Buenos Aires. „... Należał do klasy średniej, pochodził z Buenos Aires, był uczniem państwowego gimnazjum, a tych paru rzeczy nie można zrzucić z siebie jakby nigdy nic". Z pewnością me można. Trzeba znać to miasto, jego stare przedmieścia, całe szeregi niskich domków, bramki i ogródki, żeby zrozumieć wciągający marazm dni - plastikowych kulek nawleczonych na nylonową nitkę, identycznych, gładkich, żadnych, marazm ludzi siedzących na wyplatanych fotelikach przed domkami, popijających mate, mówiących „gorąco", mówiących „szkodzi na wątrobę", mówiących „drogo", mówiących „ma kochankę", żeby zrozumieć, że o wiele łatwiej jest

przyjąć to, co jest, nawet bez aprobaty, nawet z nienawiścią, niż z tym walczyć. Wyrywanie stóp przyklejających się do roztopionego, buenosaireńskie-go asfaltu wymaga olbrzymiego wysiłku, ale jest to walka o życie, a w takiej walce siły podwajają się, i może właśnie ten marazm, ten rozpalony asfalt, ta gęstość leniwie płynącej, brązowej La Płaty, ta rozpacz, dodały Cortázarowi sił. Rzecz jasna, że od początku niewiele miał wspólnego ze swymi kolegami, którzy „nigdy nie mogli zrozumieć dziwaka, uparcie pakującego palce do elektrycznego wiatraczka", chłopca, który nie umiał z nimi mówić: „jak to, więc tylko poranna kawa i pierwsze zwierzenia seksualne miałyby nas łączyć?". Był samotny, był inny, wiele czytał, wiele studiował, wiele myślał, trochę pisał, zadawał sobie pytania, kontestował, szukał, szukał, szukał...

Były to czasy, gdy na literackiej arenie Argentyny pojawił się Borges i powiedział „stop" pewnej manierze pisania (można ją nazwać klasycyzującą, patriotyczno-opisową, obarczoną nadmiarem przymiotników), uchylając drzwi dla czegoś nowego. Pierwszym, który podszedł do tych drzwi po to, aby pchnąć je i otworzyć na oścież, był Julio Cortázar. Porzucając swój dotychczasowy nieśmiały i grzeczny sposób pisania, mając trzydzieści siedem lat, w roku 1951 wystartował z *Bestiarium,* tomikiem opowiadań w zdecydowany spo-sób łamiących literackie konwencje „noweli klasycznej". Opowiadania te prawie niezmiennie zaczynają się od zwykłych, codziennych, z wielką dbałością o szczegóły opisanych realiów, w których występują zwykli, codzienni ludzie. W jakimś momencie okno się otwiera, wpada przez nie metafizyczny wiatr, tok opowiadania pęka, normalność załamuje się i od tej chwili obowiązuje nas już tylko logika lub bezlogika snu. Tak właśnie jak we śnie zakończenie jest przeważnie otwarte: weszliśmy do tego pokoju, ale nas w nim nie ma, czekała tam na nas Ala, ale może to nie była Ala, tylko koza i nie czekała, tylko pasła się na łące, chociaż to nie była łąka, tylko zawieszona w powietrzu rozmowa, a w ogóle to było co innego i działo się po naszej śmierci albo w naszej wyobraźni, albo w ogóle się nie działo. Pytany w wywiadach o swoje opowiadania, Cortázar powiedział, że nie umie ich wytłumaczyć, są to przeważnie na gorąco notowane sny. Iluż pisarzy, męczących się nad białymi kartkami, dałoby pół życia za takie sny i taką umiejętność niezatracenia niczego z ich nastroju, z ich nieuchwytności w chwili przelewania ich na papier.

Wstecz trudno jest docenić „wychylanie się" młodego, nieznanego pisarza, który w zacofanym, ciepłą wodą płynącym kraju pozwala sobie wydać tom takich opowiadań. Dziwnym trafem nie przechodzą one niezauważone. Pewna część krytyki i garść publiczności zwraca uwagę na Cortázara i zaczyna śledzić jego literackie perypetie.

Po *Bestiarium* następuje długa przerwa. Cortázar przenosi się na stałe do Paryża. Nie jest to błahe posunięcie. Do wszelkich trapiących go trudności dołącza się nowa, trudna decyzja, decyzja „wykorzenienia". Że nie pogodził się nigdy z tym wykorzenieniem, ci, którzy właśnie skończyli *Grę* w *klasy,* wiedzą doskonale. „Ja, sfrancuziały Argentyńczyk" - powie o sobie Oliveira. „Tak oto Paryż niszczy nas powoli, mieląc drobniutko, wraz z przywiędłymi kwiatami, niszczy nas swym ogniem bez koloru (...)". A w innym miejscu: „Z wyrazistością, której nie stłumił czas, widzę buenosaireńskie kawiarnie, gdzie przez parę godzin, uwolnieni od rodziny i obowiązków, zanurzeni w dymie i w tajemnym zaufaniu, dochodziliśmy do czegoś, co było pocieszeniem w niepewności, co obiecywało jakiś rodzaj nieśmiertelności".

Dopiero po paru latach pobytu w Paryżu Cortázar wydaje drugi tomik opowiadań, skonstruowanych na podobnej zasadzie jak opowiadania *Bestiarium,* pod tytułem *Tajemna broń* (*Las armas secretas*)*;* wydany w Polsce tom pod tym tytułem zawiera wybór opowiadań wziętych z *Bestiarium, z Tajemnej broni* oraz z następnego zbiorku noszącego tytuł *Koniec zabawy (Final del juego).* W 1960 roku wydaje powieść pod tytułem *Los premies (Nagrody). Nagrody* napisane są inaczej niż opowiadania, nie ma w nich miejsca na momenty oniryczne, zarówno konstrukcja powieści, jak i jej założenia są precyzyjne, przemyślane, jasne.

Zwycięzcom konkursu przyznano w nagrodę podróż statkiem. Podróż ta dla każdego z bohaterów jest czymś innym. Sam statek dla każdego jest czymś innym. I rozmowa. I cel życia. I prawda. Bohaterowie (zabawnie dobrani przedstawiciele najrozmaitszych grup społecznych) mówią o tym samym, ale tak inaczej, jakby mówili w odmiennych językach. Każdy chce coś zrozumieć, każdy błądzi, każdy szuka. Każdy usiłuje dojść na „dziób statku", skądś się wydostać, z czegoś wyplątać, dokądś dotrzeć, coś osiągnąć.

Już w *Nagrodach* widać, że Cortázar daleko odbiega od tradycyjnej powieści, że mówi innym językiem, chodzi na przełaj, fruwa lub drąży, że nie tylko nie jeździ po autostradach, ale nawet nie chodzi po wydeptanych ścieżkach. Jakby zmęczony dysertacjami Persja w *Nagrodach,* w 1962 roku wydaje *Opowieści o kronopiach i famach* (Czytelnik 1973), ten zbiór żartów, igraszek nad przepaścią, prowokacji, małych traktatów filozoficznych, obserwacji z przymrużonym okiem, poematów prozą, znowu będących zaskoczeniem dla zrutynizowanego czytelnika. Jak wygląda normalny tok naszego kojarzenia? Zegarek pokazuje nam upływający czas. Upływający czas zbliża nas do śmierci. Cortázar przeskakuje etapy: „Pomyśl, że kiedy ofiarowują ci zegarek, ofiarowują ci małe, ukwiecone piekło, łańcuch z róż, więzienie z powietrza"; lub „tam w głębi tkwi śmierć, lecz nie bój się"; lub „zegar-karczoch jest karczochem w bardzo dobrym gatunku, włożonym do

dziury w ścianie; niezliczone liście karczocha wskazują aktualną godzinę, a ponad to wszystkie godziny".

Po przeczytaniu *Kronopiów* już nam łatwiej określić, kim jest Cortázar: trochę poeta, trochę kpiarz, trochę jasnowidz, ale przede wszystkim bezwiedny (choć może i świadomy) łamacz fal, który wcina się w środek, rozbija prąd, ale przede wszystkim amator krzywych zwierciadeł, które wbrew sensowi w końcu powinny ukazać prawdę. „Ale prawda, takie słowo..."

Takie. Jednak bez niego nie można się obejść. Aby pokazać, jak bardzo nie można, niepewny i poszukujący, sceptyk i entuzjasta, w 1963 Cortázar daje nam wreszcie *Grę w klasy*. Książka wywołuje duże wrażenie. Nie jest to jeszcze sława, ale już ostateczne wyjście z anonimatu. *Times Literary Supplement* określa ją jako „najwspanialszą powieść ostatnich dwudziestu lat". Nasz młody krytyk Skórzyński porównuje ją do *Ulissesa* i woła „Nie przegapmy Cortázara, tak jak przegapiliśmy Joyce'a, którego odkryliśmy o 50 lat za późno". Nie jest to pierwsze porównanie Cortázara z Joyce'em. Konsekracja.

Gra w klasy wprawia nas w swoisty niepokój. Nie tyle wynika on z niezwykłości fabuły czy też dziwaczności postaci, ile z poszarpanego toku narracyjnego, który jest jakby sygnałem, że istnieje inny wymiar, drugie dno. Treści tego drugiego dna nie zgłębimy, może jej nie ma, może jest tylko reguła gry - przeskakiwanie z jednej przedziałki do drugiej, w niepewności, czy skok przybliża nas, czy też oddala od ostatniej podziałki, od obdarzonego nie dwoma, lecz wieloma sprzecznymi znakami nieba.

Powieść Cortázara jest wyznaniem wiary człowieka, dla którego „to, co jest z założenia sprzeczne, jest samą prawdą", jest walką poezji z filozofią, tego, co proste z tym, co sztuczne (i na odwrót), ironii z autoironią, litości z okrucieństwem, sadyzmu z masochizmem; jest wyznaniem wiary człowieka, który ma wiele do dania, którego stać na szczodrość, który nie zniża się do czytelnika (czym by go w swoim pojęciu obrażał), lecz traktuje go jak równego partnera, i to partnera czynnego, któremu pozostawiona jest inicjatywa takiego czy innego odczytania książki. „Szczęśliwy, kto napotyka swoje dopełnienie, czynnych czytelników" - powie Morelli.

Cortázar ukazuje nam nieprzewidywalność ludzkich losów i reakcji, wykazuje, że te dwie rzeczy nie są niczym ze sobą połączone; nawet gdyby reakcje były przewidywalne, więcej - prawidłowe, losy ludzkie i tak byłyby kierowane zdalnie, z jakiegoś innego wymiaru, innej fizyki i metafizyki, i powiedzieć o nich nie bylibyśmy w stanie nic. Czegóż dowiedzieliśmy się o sobie i innych po lekturze *Gry w klasy?* Żałuję, bo nie żałowałem, lub właśnie dlatego, że żałowałem, a może dlatego, że jestem bezmyślny, a może dlatego, że

jestem szatyn, a może dlatego, że śniły mi się różowe krety. Tęsknię, bo nie dość kochałem, a może przeciwnie, bo kochałem zbyt mocno, a może dlatego, że tęsknota jest wmontowana a priori we wszelkie ludzkie uczucia, a może, bo piłem i mam kaca? Szukam rzek metafizycznych nie tam, gdzie są, a jeżeli już do nich trafiam, to nie umiem się w nich zanurzyć, jeżeli nawet umiem się w nich zanurzyć, to nie potrafię się w nich utopić, a może nie chcę, a może tylko udaję, że ich szukałem, a może w ogóle nie ma takich rzek? Kiedy zadowoleni odkrywamy jakąś prawidłowość w myśleniu protágonistów, jakieś „tak, to jest właśnie tak, ja sam tak czuję!" Cortázar wybucha sarkastycznym śmiechem: wynocha z tego wygodnego fotelika, nic podobnego, pomyliłeś się, nic nie wiesz o moim bohaterze, w dodatku to, co sądzisz o sobie, też nie jest prawdą. Prawdy nie ma, a mimo to należy jej szukać, *klap, skończyło się.*

Od pierwszej do ostatniej kartki powieści Cortázar zaskakuje nas, podobnie jak przedmioty w kabinie kosmicznej, które unosząc się w powietrze zamiast spadać pogrążają nas w metafizycznej zadumie. Dlaczego nie spadają? To byłoby o tyle logiczniej, o tyle wygodniej... Ale nie ma być ani logicznie, ani wygodnie. Cortázar żąda od nas przestawienia w mózgu jakiejś klapki, jakiejś zwrotnicy. Jego sposób kojarzenia (tropizmy, ruchy konika szachowego) wymaga innej logiki niż ta, jakiej nas uczono: logiki podskórnej, w której, jak on sam mówi, należy otwierać się na pewne skojarzenia, na pewne cykle skojarzeń, odbywające się na głębszym czy też wręcz głębokim planie, gdzie cała seria wydarzeń, zapoczątkowana trzaśnięciem drzwi, na które nałożył się czyjś uśmiech, wspomnienie starej uliczki, widok róży w wazonie, układa się w jakąś figurę, w jakąś konstelację, zupełnie obcą tym wszystkim elementom, nie mającą z nimi żadnych stycznych, która - przez jakiś niepowtarzalny, już miniony moment - proponuje dojrzenie innej rzeczywistości w tym, co faktycznie było trzaśnięciem drzwi, uśmiechem, uliczką i różą.

Inna rzeczywistość! A więc już padło to słowo-klucz, obsesja, bez której pisarstwo Cortázara mimo całego swojego bogactwa nie byłoby tym, czym jest. Oto jak ją sam określa: „To jest tak, jakby w ślepym murze na sekundę ukazywało się okno, oko, które na mnie mruga. Widzę to okno, ale nie zdążam przez nie wyjrzeć, bowiem w tej samej podarowanej sekundzie, w której ukazało mi się - znika, mur znowu jest ślepy, wszystko znowu zapada w normalność, aż do następnego uderzenia skrzydłem, za dzień, za tydzień i za miesiąc". Cortázar czatuje na to okno w ścianie, które zależnie od okoliczności nazywa się „inną rzeczywistością", „centrum mándala", „kibucem pożądań", „wylotem", „wyjściem stąd tam". Obsesja tego „tu" i „tam" przenika cała *Grę w klasy.* Nie żyjemy jednoznacznie, żyjemy równocześnie na dwóch planach, jesteśmy sobą i własnymi sobowtórami (odbiciami?

dopełnieniami? ersatzami?). Każda rzecz posiada gdzieś swój utajony odpowiednik, wszelkie konstrukcje, wszelkie sytuacje kształtują się na zasadzie wagi, której szale ciągle się chwieją. Jest to obsesja i Cortázar ma bolesną świadomość, że nigdy nie uda mu się od niej uwolnić. Czy zresztą człowiek pragnie uwolnić się od tego, czego pragnie? A on pragnie tego, myśli o tym bez przerwy i nie ukrywa swojej rozpaczy, gdy po migawkowym pęknięciu rzeczywistości mur znów jest ślepy, a tamta róża znów *is a rose is a rose is a rose* i niczym więcej.

Cortázar nie zgadza się, żeby tylko to, co jest na powierzchni wydarzeń, było nam dostępne. Za każdą cenę szuka drogi do „tamtego", poprzez łamanie codzienności, przerywanie ciągłości, obalanie praw pozornej logiki. Oto, co mówi o tym Oliveira: „Niemożliwe, żeby to było naprawdę, żebym ja był kimś, kto się nazywa Horacio". A w innym miejscu: „Gdybyż przez to złudzenie można było dotrzeć dalej, na inny plan, do jakiejś niewyobrażalnej strefy, o której nie należało myśleć, bowiem myślenie unicestwiało ją w tym samym momencie, w którym określało jej granice", albo „możliwości nadwidzenia, możliwości nagłych poza wszelką świadomość zetknięć z absolutem". Cytaty takie można by mnożyć bez końca. Horacio rozpaczliwie szuka „wyjścia", „niewyobrażalnej strefy". Dążąc do niej, do prawdy, do zrozumienia, w końcu dochodzi do obłędu. Oto dowód, z jaką pasją Cortázar ściga to, co jedyne, czego szuka, a co mu stale umyka. Pasja ta zakrawa na wiarę. W obliczu wierzącego, niewierzący może tylko zamilknąć. Zamilknąć nie dowierzając. Zamilknąć zazdroszcząc. Zamilknąć nie rozumiejąc. Ale zamilknąć. Milczeć. Tyle że w wypadku Cortázara nie ma się do czynienia z namawianiem na ową wiarę, lecz z dzieleniem się nią drogą artystyczną. Nie zapewnia nas on, że inna rzeczywistość istnieje, po prostu sugeruje ją tak, że obraz jej przebija puklerz naszego sceptycyzmu i przez ułamek sekundy my także widzimy okno w murze.

W myśl tego, że to posłowie jest jedynie „międzysłowiem", nie będę próbowała go kończyć. Zacytuję tylko następujące wydarzenie. Kiedyś zobaczyłam u młodej malarki leżący na półce egzemplarz *Gry w klasy,* dziwnie jakoś szczupły, związany wstążką do włosów. „Rozmawiam z moim chłopakiem za pomocą tej książki. O czymkolwiek mówimy, wyszukujemy u Cortázara odpowiedzi, on w swoim egzemplarzu, ja w moim. Jest tu wszystko, co może być myślącym ludziom potrzebne do rozmowy. Po prostu wyrywamy więc kartkę po kartce..."

Mam nadzieję, że chowają te kartki. Powstanie z nich nowa książka, za pomocą której będą mogli dalej ze sobą rozmawiać.

Zofia Chądzyńska

SPIS TREŚCI

Tablica orientacyjna

Z tamtej strony

Z tej strony

Z różnych stron (Rozdziały, bez których można się obejść)

Posłowie